



10
17

171

287

Ha. Vogel

Cyprian

Drzeł mi się przez światy
Kto chce na górze pięknej stać
Aniwać.

WZORY PROZY

WYSTYKI I BODNAJE STOPNIE
I KSTVITY

WYSTYKI I BODNAJE STOPNIE

WYSTYKI I BODNAJE STOPNIE

WYSTYKI I BODNAJE STOPNIE

WYSTYKI I BODNAJE STOPNIE

WYSTYKI I BODNAJE STOPNIE

WYSTYKI I BODNAJE STOPNIE

WYSTYKI I BODNAJE STOPNIE

WZORY PROZY

NA

WSZYSTKIE JEJ RODZAJE, STOPNIE
I KSZTAŁTY

ZEBRANE PRZEZ

JANA RYMARKIEWICZA,

DOKTORA FILOZOFII I NAUCZYCIELA WYŻSZEGO PRZY GIMNAZYM ŚW. MARYI MAGDALENY
W POZNANIU.

POZNAŃ.

NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1856.

P.L. H.

242

WZORY PROZY

NA

WSZYSTKIE JEJ RODZAJE, STOPNIE
I KSZTAŁTY.

STOPIEŃ III.

na klasy wyższe Gimnazyów, tudzież dla Realnych i wyższych
Szkół miejskich.

BIBLIOTEKA OO. KANIEDUŁÓW
w Bieniszewie

POZNAŃ.

NAKŁADEM JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1856.

1745

WZORY PROZY

WSZYSTKIE JĘZYKI RODNYE, STOPNIE

LEKTYWY

C. VII. 4

Chlor

na klasę Wyższą Gimnazjum, w której się uczą i wyszyscy

BIBLIOTEKA OG. J. J. J.

W Białymostku

POZNAŃ

Poznań, członkami M. Zoerna

I.

Proza opisowa i opowiadająca czyli historyczna.

STOPIEŃ III.

Wierzytelność i wzniosłość.

A. Pamiętniki.

| | Str. |
|---|------|
| Moje wspomnienia przez A. J. 1838..... | 5 |
| Pamiętniki Niemcewicza..... | 35 |
| Pamiętniki Franciszka Karpińskiego, Poznań 1844..... | 90 |
| Pamiętniki Ks. Andrzeja Kitowicza, Poznań 1840..... | 157 |
| Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska, Poznań 1840..... | 193 |
| Przewagi Elearów polskich, co ich niegdyś Lisowczykami zwano, przez Wojciecha Dębołęckiego 1623..... | 206 |

B. Biografie czyli żywoty historyczne.

| | |
|---|-----|
| Życie Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana wielkiego kor., przez Franciszka Bochomolca w Warszawie 1775..... | 213 |
| Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego, kasztelana krak. hetm. w. kor., pisany niegdyś przez St. Orzechowskiego, a wydany w Warsza- wie 1775..... | 228 |
| Jan Śniadecki (z wypisów p. Lyżkowskiego)..... | 237 |
| Kopernik, przez Jana Śniadeckiego, Wilno 1818..... | 239 |
| Żywot św. Wojciecha, arcybiskupa Gnieźnieńskiego. Żył około roku pańskiego 950. przez księdza Piotra Skargę..... | 244 |

C. Charaktery czyli wizerunki historyczne.

| | |
|---|-----|
| Jan Karól Chodkiewicz, przez Adama Naruszewicza, Warszawa 1805.... | 253 |
| Długosz, przez Jędrzeja Moraczewskiego..... | 255 |
| Charakter Słowian. Wyjątek z dzieła A. W. Maciejowskiego „Historya prawodawstw Słowian.“ Warszawa i Lipsk 1832 — 1835. Tom 4.... | 258 |

D. Monografie historyczne.

| | |
|--|-----|
| Dzieje panowania Zygmunta III. przez J. U. Niemcewicza, Wrocław 1836..... | 265 |
|--|-----|

| | |
|--|------|
| | Str. |
| Ostatnie lata panowania Zygmunta starego i Zygmunta Augusta przez Joachima Lelewela, Warszawa 1821..... | 282 |
| Dzieje w koronie polskiej od 1538 — 1573. przez Łukasza Górnickiego, Warszawa 1829..... | 287 |

E. Kroniki i systemata historyi.

| | |
|--|-----|
| Z kroniki polskiej Marcina Bielskiego, Kraków 1597..... | 305 |
| Z kroniki Macieja Strykowskiego, Królewiec 1582..... | 312 |
| Historia narodu polskiego przez A. Naruszewicza, Lipsk 1836..... | 318 |

II.

Proza naukowa i rozumowa czyli dydaktyczna.

STOPIEŃ III.

Zasadniczość i wyniosłość.

A. Fantazye i charakterystyki umiejętne.

| | |
|---|-----|
| Obraz umysłowej sfery czasu, przez K. Gaszyńskiego 1845..... | 331 |
| Rodu ludzkiego przesilenie (z dzieła: Ojciec Nasz 1848)..... | 334 |
| Sen w Podhorcach przez księdza Stanisława Chołoniewskiego, Wilno 1847..... | 337 |

B. Monografie umiejętne.

| | |
|---|-----|
| Teorya jestestw organicznych przez Jędrzeja Śniadeckiego. Wilno 1838.... | 351 |
| Listy z Krakowa przez Józefa Kremera. Kraków 1843..... | 357 |
| Estetyka czyli Umnictwo piękne przez Karola Libelta. Poznań 1848.... | 368 |
| Pomysły o wychowaniu człowieka przez Floryana Bochwica. Wilno 1847.... | 371 |
| Chowanna czyli System pedagogiki przez B. F. Trentowskiego. Poznań 1842..... | 376 |
| Dworzanin polski przez Łukasza Górnickiego, wydany w Warszawie 1828..... | 383 |
| Żywot człowieka poczciwego przez Mikołaja Reja 1567., wydany w War- szawie 1828..... | 385 |
| Z polityki arystotelesowej Doktora Sebastjana Petricego. Kraków 1605.... | 387 |

C. Systemata umiejętne.

| | |
|---|-----|
| O filozofii, przez Jana Śniadeckiego. Wilno 1822..... | 395 |
| Wykład filozofii natury i filozofii ducha ludzkiego przez Dra. Józefa Kremera. Wilno 1852..... | 399 |
| Myślini czyli Całokształt loiki narodowej przez B. F. Trentowskiego. Poznań 1844..... | 408 |

| | |
|--|------|
| Estetyka czyli Umniectwo piękne Karola Libelta. Tom II. Część I. | Str. |
| Piękno natury. Petersburg 1854..... | 414 |

III.

Proza pobudzająca i zniewalająca czyli oratorska.

STOPIEŃ III.

Prawdziwość i Wzniosłość.

A. Głosy sejmowe i poselskie.

| | |
|--|-----|
| Głos Alexandra Linowskiego, posła z województwa krakowskiego, miany z okoliczności miast koronnych i litewskich na sessyi sejmowej dnia 14. Kwietnia 1791. roku..... | 425 |
| Mowa Jana Zamojskiego do króla 1605. roku..... | 429 |
| Witanie rady stanów koronnych polskich do króla JMci Zygmunta III. w polu przed miastem Kazimierzem J. Ks. Wawrzyńca Goślickiego, biskupa Kamienieckiego, czynione dnia 10. Grudnia 1587. W Krakowie w drukarni Łazarza. Czwartek 7..... | 434 |

B. Przemowy wojenne.

| | |
|--|-----|
| Mowa Karola Chodkiewicza i opis bitwy z Turkami nad Dniestrem pod Kamieńcem podolskim roku 1621..... | 439 |
| Przemowa przy uroczystem poświęceniu chorągwi wojsku nadanych, miana dnia 3. Maja 1807. r. w Warszawie przez I. P. Woronicza. Kraków 1833..... | 440 |

C. Kazania i odezwy kościelne.

| | |
|---|-----|
| Kazanie pogrzebne na zamku krakowskim w kościele św. Stanisława w roku 1583. dnia 18. Grudnia czynione przez księdza Szczęsnego Skarzynskiego, kanonika warszawskiego..... | 455 |
| Kazanie na pogrzebie królowej polskiej Anny, ostatniego potomka domu Jagiellowego, przez ks. P. Skargę. 1600..... | 467 |
| List pasterski Kaspra Cieciszowskiego, biskupa kijowskiego i czernichowskiego, polecający duchowieństwu jego dyecezyi nabożeństwo i modły za wiarę króla i ojczyznę, pisany z Warszawy dnia 27. Grudnia 1788. roku..... | 470 |

I.
PROZA
OPISOWA I OPOWIADAJĄCA
CZYLI
HISTORYCZNA.

STOPIEŃ III.
WIERZYTELNOŚĆ I WZNIOSŁOŚĆ.

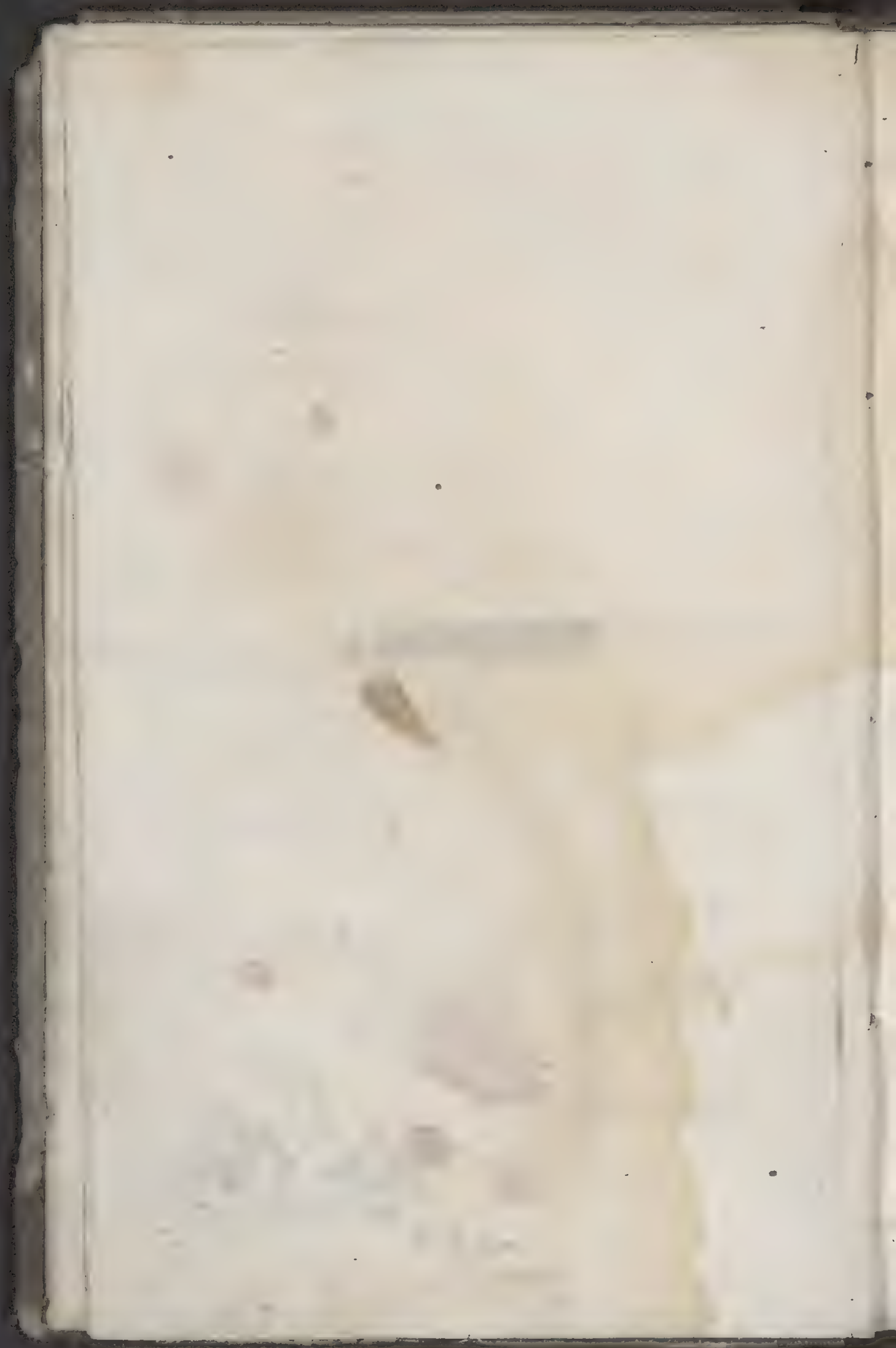
BIBLIOTEKA OO. KAMIECULÓW
w Bieniszewie



A.

PAMIĘTNIKI.

BIBLIOTEKA OO. KAMERULAN
w Biechiszewie



MOJE WSPOMNIENIA

przez A. J. 1838.

Wychowanie domowe.

Ojciec wychowywał nas po staropolsku. Od dzieciństwa hartował na zimno i gorąco; zimą i latem lataliśmy po dworze bez czapek, bez chustek na szyi, w trzewikach — uczyliśmy się strzelać z krucicy, z wiatrówki a potem ze strzelby; biliśmy się w palcaty, jeździliśmy konno, a owe harce odbywaliśmy codziennie po śniadaniu i po obiedzie w obec zgromadzonych gości i jak najuroczyściej.

Przyprowadzano dwa kucyki kasztanowate, z których jeden był mój, drugi mego brata Edwarda. Sądano nas na te kucyki oklep, dano cugle w ręce, pozamykano bramy od dziedzińca, żeby kuce do stajni nie uciekły, i dopiero puszczano nas, i dopiero w koło dziedzińca jeden za drugim uwijaliśmy się, a charty wybrykując i mieszając się między konie, im ochoty a nam strachu dodawały. Więc ja groziłem wrzeszcząc, że spadnę, a ojciec odpowiadał: — „trzymaj się malcze za grzywę.“ Wypociwszy się z godzinę, więcej od strachu jak od zmęczenia, zsiadałem z wielką radością, albowiem w dzieciństwie byłem wielki tchórz do konia. Nieraz przychodzi siadać na kuce, kuce dawno przeć gankiem, goście dawno na ganku; wołają po wszy-

stkich pokojach, po całym ogrodzie: Olesiu, Olesiu! aż po długim szukaniu wyciągają Olesia z agrestu, prowadzą jak zbiega; Oleś płacze ze wstydu i ze strachu, zaręcza że spadnie; nic nie pomaga, wyśmiejają go, wylają i dalej na kuca. Aż wkrótce mój kuc zdycha. Donoszą mi ostrożnie o tym nieszczęściu, i za to, że kuc zdechł dostałem w podarunku nożyk. Cieszę się nożykiem, ale więcej jeszcze cieszę się tym, że kuc zdechł i myślę sobie: a ha! już nie będę jeździł. Nie długo używałem tej podwójnej uciechy. Próbuje otworzyć nożyk, nie mogę, więc zębami — otwieram — nożyk wymyka się i łapie mnie za wargę — więc naturalnie z płaczem wielkim, latam w strachu wielkim, dopóki mnie z tego nożyka nie wypuszczono. Odebrano nożyk, a co gorsza powiedziano mi nazajutrz, że przyprowadzili nowego kucyka srokatego, że ten nowy kucyk będzie Edwarda, a Edwarda kucyk będzie mój. Było tedy znowu dwa kucyki — mój leniwy, Edwarda bardzo żwawy, a że był bardzo mały, więc każdemu słusznemu jeźdźcowi wymykał się, tak że mało kto mógł na nim dosiedzieć. Bałem się go okrutnie. Pewnego razu ojciec powiada: — „dziś będziesz jeździć na srokatym! — oczywiście podług starego zwyczaju zmykam do ogrodu, przypadam po krzakach jak zając; ale wytropili, wyciągają, prowadzą; idę jak na ścięcie; daremnie obiecują cukierków i krucicę, daremnie rozpowiadają mi coś o Aleksandrze Wielkim i o Bucefale; ja odpowiadam, że ja nie wielki ale mały — „to też i Bucefal mały, siadaj malcze!“ Sadzają, wydzie ram się, posadzili; ślizko mi jakby kto kuca namydlil; ja chcę stępą, koń w klus, a potem w czwał leci za drugim kucem w koło dziedzińca; dziwują się, że nie spadam, nierozumiem że nie spadam, zaczynam się bać że nie spadam; więc myślę sobie: spadnę przed ganikiem, to rozczulę papę i już nie będę więcej jeździł; krzyczę padam! padam! i spadłem — kuc pobiegł, leżę, podnoszą mię, patrzę, aż mię nic nie boli i cały jestem. Ojciec mówi: — „widzę żeś nie szklanny!“ — przypro-

wadzają kuca drugi raz. — „Siadaj malcze!“ — musiałem — znowu jadę, i myślę sobie: kiedy to nie boli spadać, to jeszcze raz spadnę — spadam znowu przed gankiem. Nic nie pomaga, sadzają raz trzeci — widzę że źle. Jak zaczne się trzymać a uganiać w koło dziecina, jak się rozzuchwałę na koniu, tak odtąd nigdy już nie spadłem; odtąd jeździłem śmiało, potem wyszedłem na tego jeźdźca, a tego dnia dostałem mnóstwo cukierków, krucicę i nowy łuk.

Odtąd już raz tylko koń mi napędził strachu, ale jakiego strachu! Już wyjeżdżałem był i za bramę i za wieś. Otóż raz mój ojciec wyjeżdżał konno, oglądać stado pasące się na obszernym rozłogu nad Bohem; ja z papą pojadę, ja pojadę z papą; zacząłem się napierać — „zlecisz, daleko na ciebie!“ — nic nie pomagało, napieram się znowu — „no pojedziesz, ale się dobrze trzymaj!“ — dopóki przez wieś, szło doskonale; męcę kuca, — nie męcz go, bo się rozbryka!“ — nic nie pomaga, męcę; aż przybliżamy się do stada; konie stadne zaczynają w okóło nas hulać; ach! jak zacznie mój koń brykać! Stado rozbiegło się, kuc za końmi jak zacznie latać po całym rozłogu; a tu z jednej strony rzeka ze skalistym, wysokim brzegiem, z drugiej strony las; już widzę że mnie zabije, albo utopi; oto krzyczałem! a kuc coraz mocniej sadzi i pędzi po nad samą rzeką; spojrzę na dół, a tam woda po skałach kipi; spojrzę na prawo czy na lewo, a tu góry i lasy uciekają, a kuc pędzi; ręce mi omdlały, puściłem cugle, cugle spłynęły po karku; kuc jeszcze bardziej pędzi, a takiego pędu już nigdy w życiu nie czułem, ani na najlepszych biegunach, ani na żelaznej drodze; pęd zamknął mi piersi, strach oczy przewrócił, wszystko mi się widzi do góry nogami, nakoniec nic nie widzę, a tylko słyszę głos mego ojca: — „trzymaj się za grzywę!“ — gdzie tu się trzymać — rozkrzyżowałem ręce, zacząłem mówić: Zdrowas Maryja i już, już miałem omdleć zupełnie, kiedy nasz pocziwy rządzca Krasicki kuca schwycił i zatrzymał. Dopieroż ja z konia na ziemię i w nogi.

Złapali mnie łatwiej jak kuca; ojciec dodał odwagi, mówiąc żem się tego trzymał, i że kiedy teraz nie spadłem to już nigdy nie spadnę; nauczył, że kiedy koń ponosi, trzeba mu trzęzłą pysk piłować i zwracać na jedną stronę. Ośmielony siadam na kuca, zaczynam mu pysk piłować kuc widzi że nie żarty, więc stępą aż do domu zaniósł. Miałemże co rozpowiadać i mamie i braciom i gościom.

Do strzelania, biegania, grania w piłkę, byłem zuch wielki; a że przytém wszystkiém byłem bardzo powolny, lubiłem towarzystwo starszych i książki, nazywano mnie filozofem. Ale filozof lubił czasem psie figle. Eustachy mój brat młodszy bał się gdzie ciemno, a ja gasiłem świecę i straszyłem go wilkami; raz zakradłszy się do sypialnego pokoju mego ojca dorwałem się strzelby nabitéj, zsypuję proch z panewki i z panem Eustachym nuż klapać, aż tu jak huknie strzelba, jak mnie trąci — strach dopomógł, wywracam się, walę Eustachego — wpadają wszyscy; my leżemy, kotara się pali, a ja krzyczę, że strzelba sama wystrzeliła i nas zabiła. — Nuż nas trzeźwić, nuż kotarę gasić — wszystko szczęśliwie się skończyło, nas wskrzeszono, kotarę zgaszono, różgą nie dostałem.

Wkrótce potem, gdy się wybierano na wielkie jakieś polowanie, zajrzałem na stole w pierwszym pokoju parę kordelasów, więc chap za kordelasy i na dziedziniec do braci strzelających z łuku; dobywam kordelasów, próbuję, ostre aż strach; a że zawsze było między nami współubieganie się, kto lepiej strzela, kto dalej rzuca kamyczkiem, i nieraz ztąd dostało się oknom, kto nową sztukę i lepszego figla wymyśli; więc ja mówię do braci, kto głębiej a od razu kordelas w ziemię wbije? Wyzwanie moje utrzymało się jednomyślnie: ten dobrze, ten jeszcze lepiej — ten dobrze, ten jeszcze lepiej; aż nakoniec jak dobędę wszystkich sił moich, jak podniosę kordelas oburącz, jak palnę się w nogę wyżej palców; przybiłem się do ziemi tak, że ani rusz; bólu nie pamiętam, ale ze strachu skamieniałem. Stoję

jak posąg; bracia w płacz, krzyczą: mamo, Oleś zabił się! — Co téż tam było płaczu! a co się krwi mojej wylało! — Obwinęli nogę, zgoiła się, ale znak dziecinnej mądrości pozostał na zawsze.

Wyjazd do szkół.

Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych, gdzie była taka jak my dziatwa, wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniawszy o szkołach. — Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś; myślimy sobie, musi tam być wiele dzieci, oto będziemy się bawić; pytamy:

— „Papo, a wstąpimy tu?“

— „Wstąpimy.“

— „A dużo tam chłopców?“

— „Długo.“

— „A jak się ten pan nazywa co tam mieszka?“

— „Gimnazjum.“

— Otóż masz — pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łzy się pokreśliły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma: źle, ale cóż robić? Wjeżdżamy do miasta; paskudne — prowadzą nas nazajutrz do szkół — szkoły brudne, po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

W tém dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klasy i nuż w perewerty; wesolo krzyczą, i nam poweselało, radzibyśmy się wyrwać do malców i pokazać im co to i my figlów umiemy; ale nie można, więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— „Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?“
a nauczyciel łaciny i greczyzny, Jagiello, nieproszony odpowiada:

— „Jak odbędziecie popisy.“

— „Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.“

— „Da się to widzieć.“

Przyszło do popisów. Straszniejsze były w domu, myślimy sobie, ksiądz Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się — popisaliśmy się doskonale; Edwarda i mnie przyjęto do trzeciej klasy, Eustachego do drugiej.

Było to w Sobotę: w poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie właśnie do pana Jagiełły; Niedzielę mieliśmy jeszcze do pohulania.

W Niedzielę rano ojciec mówi:

— „No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto, pójdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad; a tam po obiedzie grzecznie się bawić.“

— „A są tam dzieci?“

— „Jest dziewczynka ładna i grzeczna.“

Poubieraliśmy się ślicznie, ojciec każdemu poprawił czuprynę aż świeczki w oczach stanęły; ruszamy z tą postawą, bo już po odbytych popisach. Przychodzimy. W pierwszym pokoju powitał nas poważny a bardzo wesoły starzec; był to Szczeniowski, wówczas dozorca gimnazjum Winnickiego, dawniej prezes jakichś sądów, jeszcze dawniej poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmku dla braci szlachty mnóstwo łask królewskich ponawoził, dla siebie żadnej nie przyjął; poobwieszał szlachtę orderami, obsypał tytułami, obdarował starostwami, a sam dla ojczyzny wszystko poświęcał, lecz od niej niczego nie żądał, a sam błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jednej, ni o drugiej. To też doczekał wesołej starości, co się nie smuci żadnym nieszczęściem, bo ufa w Opatrzność Boską i spokojnie czeka Jój sądu.

— „Przedstawiam ci moich chłopaków.“

— „Zwawe chłopcy; a to wnuczeta moje.“

I zaczął wywodzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potem powtarzał; a kończąc ten wywód, znowu nazwał nas wnukami.

— „Kiedy my wnuki, to pan dziadunio.“

— „Mądre chłopcy, zwawe chłopcy.“

Odtąd tedy jużesmy nowego dziadunia dziaduniem

zawsze nazywali. Wprowadził nas do bawialnego pokoju; wskazał na żonę — „oto wasza baba“ — wskazał na nas — „oto twoje wnuki“ — więc po kolei cmok babunię w rękę. Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka jak anioleczek, stanęła, popatrzała i schowała się: znowu stanęła we drzwiach, i już się nachyliła do pierwszego poskoku; biała sukienka kołysała się z lekka; na prawej nóżce stoi, lewą jeszcze dotyka ziemi, jak gdyby tylko na to, żeby jej nie zgubiła; rączki na wpół podniesione jak gdyby do latania zrywać się miała; włoski jasnolite jeszcze nie spoczęły w pędzie, którym goniły za łabędzią szyjką a błękitne, duże oczki mówiły: mamó zawołaj mnie. Matka dała znak, a dziewczynka anioleczek błysnęła przez pokój, i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy rozpowiadać coś zabawnego, mówi: — „Xawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców.“ — Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy, że mamy taką siostrzyczkę i całujemy ją w buzię; powiedzieli nam, że to nie siostrzyczka, ale ciocia, a dziadunio wypalił nam naukę bardzo wesołą o uszanowaniu, jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom.

Nazajutrz oddano nas już do szkół. Gimnazjum i szkoły były umieszczone w dawnych gmachach pojezuickich. Klasy wyższe miały innych nauczycieli, niższe innych. Klasy wyższe wynosiły się nad niższe, ztąd w lecie rodziły się niesnaski, a w zimie toczyła się wojna na śnieżki, zwykle między pierwszym a drugim dzwoniem, to jest, między pierwszą a drugą po obiedzie. Z jednej i drugiej strony zbierają się niesforne gromady, sposobią zasób wojenny, to jest stósy śnieżek. Niecierpliwszi wybiegają naprzód i z niecierpliwymi drugiej strony staczają bój pojedynczy; stopniami zapala się bitwa powszechna, najzażartsza. Słabsi celniejszym strzelcom podają śnieżki: krzyk, hałas niesłychany. Chmury śnieżek krzyżują się straszliwym pędem, śniegowe bomby warczą i pękają na mężnych piersiach, ten

je odbija teką, co mu puklerzem; ten nieustraszony chwyta bombę w powietrzu i zdwojonym pędem zwraca, temu wrzeszczącemu malcowi śnieżka gębę zamknęła, oczy zabryzgała, idzie malec do klasy, jak do szpitala; tam znowu wdarła się w zanadrze rozchłystanemu bimbasowi i oziębia dalszą ochotę do wojny. Wrzawa, zamieszanie, walka się wzmacza, wściekłości przyrasta; już nie ma śnieżek, to śnieg garściami rzucając, strony zbliżają się; już, już przy sobie, już, już rozdzierać się mają; w tém dzwonią raz drugi i w mgnieniu oka bój ustał, wojska walczące zniknęły, już w ławkach; już wchodzi nauczyciel, już przeminęła zawziętość i strach wojny, a panuje bez zawziętości strach nauki.

Przyszedłszy latem na jaką płaszczyznę pod lasem, nasze pułki stawały i cały dzień hulały. Z za lasu myślałbyś, że wojna; rzenie koni, huk wystrzałów, wrzawa zamieszania, okrzyki zwycięzców, jęki zwyciężonych, bo nie raz aż krew się leje. Zagładasz z lasu; jedni gonia, drudzy uciekają; tu piłki jak kule harmatnie warczą w powietrzu i po ziemi skaczą; tu balony jak bomby poważnie wznoszą się w górę; jeden bohater porywa kulę i ciska nią jak gdyby z harmaty, drugi odbija bombę kulakiem, nie jeden zwali się na ziemię, nie jeden w rów wleci; tu niby ludzie opadną olbrzyma, olbrzym miota nimi jak niedźwiedź psiakami, dziatwa powraca do boju i dopóty się naraża na nowe guzy; dopóki olbrzyma nie uszarnoce, kilku skoczy mu na łeb, kilku do nóg się uczepi, wali się olbrzym, malce jak gruszki odleca od niego, wnet jak mrówki obsiadą i męczą go dopóki nie krzyknie, daruj: ale zwyciężony woli cierpieć jak poddać się, leży spokojnie jak gdyby zabity; malce się zagawronią, on strzepnie nimi, malce odleca i albo nowy bój rozpoczyna się, albo zaszczytny pokój następuje. Tam jedni ciskają strzałami, drudzy dzidami, ci się na gołe łby tłuką. Wojna powszechna. — Zabrzmiała trąba pokoju — bój ustaje — zniknęli nieprzyjaciele — szykują się wszyscy do jednych szeregów; każdy urwał sobie liściatych gałęzi, a choć nie

laurowe, ani oliwne, niesie je przed sobą na znak zwycięstwa i pokoju. Muzyka gra, ogromne gałęzie suną, a słońce zachodzące igra z drżącym ich liściem. Słuchając i patrząc z daleka myślałbyś, że to bożki leśne wyszły poigrać po chłodzie wieczornym, a stęskniony las bieży za nimi; ale jak muzyka ucichnie a malce różnym głosem zawrzeszczą, poznasz dopiero, że to uczniowie wracają z pohulanki. Wchodzą do miasta. Ustaje wrzask; szyki się równają, hardość rycerska krasi czoła malców, iskrzy się w ich oczach, spojrzawszy na nich mimowolnie wykrzykniesz: to dzieci rycerzów, to polskie dzieci! Z rozwiniętymi chorągwiemi, z konnicą na przedzie, przy odgłosie zwyciężkiej pieśni, oddział przesunawszy się przez miasto, zawija na dziedziniec Szczeniowskiego. Poważny starzec błogosławi wzrastającemu pokoleniu; malce w okrzykach radości porywają go na ręce, bo go wszyscy kochają jak dziadunia, wszyscy wiedzą o jego zasługach i cnotach.

Polowanie.

Nadeszła późna jesień, zaczynały się polowania. U mego ojca było bardzo wielkie myśliwstwo, były też wielkie polowania. Zbliżało się pierwsze dla mnie polowanie na wilki, a że miałem czas nasłuchać się o różnych myśliwskich przygodach, mianowicie z wilkami, więc byłem bardzo ciekawy tego polowania, a zabić starego wilka, było to dla mnie jedním z marzeń owego czasu. — Pobereżnicy przychodzili codzien z doniesieniem wiele gdzie jakiego zwierza. W wielkiej brzezynie było gniazdo wilków; pilnowano jak oka w głowie, nikomu do brzeziny wjechać nie było wolno, chyba nieboszczykowi wołowi, albo koniowi, któremi karmiono te wilki, żeby szkody nie robiły, żeby prędko rosły i żeby nie spieszyły się na wędrówkę.

Na dzień oznaczony zjechało się mnóstwo gości; już się zaczęło polowanie z chartami na małego zwierza,

to jest na zające i lisy. W domu huczno, gwarno; hulają, grają w karty, przechwalają swoje strzelby, swoje psy, swoje strzelanie; pełno młodych szalawilów i starych wyjadaczów; ścierają się jedni z drugimi, śmieją się wszyscy, radzi wszyscy i ja.

Stary Ginowski, sławny myśliwy na całą okolicę, zarządzał wielkiem polowaniem; codzien gdy zmierzchało jeździł wabić wilki, żeby wiedzieć gdzie ich legowisko, jak je obrzucić sieciami, co wcale nie łatwo po czarnej stopie. Jeździłem z nim zawsze, bo ciekawy byłem, jak to wilki wyją. Przez parę dni nie odzywały się wcale; trzeciego wieczora wjechaliśmy w inną stronę lasu, a jak pan sędzia miarkował, że wilki już sobie oczy przecierają i zabierają się do wstawania i do umywania się, kazał strzelcowi zawabić. Strzelec podszedł trochę w stronę gdzie się wilków spodziewał i zawabił przeciągłym wyciem; odpoczął, zawabił raz drugi; za trzecim razem jak się odezwą wilki o parę set kroków za nami, jak zawyją chórem, jak się wycie rozlegnie po lesie, zdawało się, że całym lasem zatrzęsło, a konie tak szarpnęły wózkami, że mi aż zęby zadzwoniły. Sędzia rozpromieniał z radości, u mnie serce waliło jak młotem, strzelec wskoczył na bryczkę i słowa nie mówiąc jechaliśmy jak najciszej; wilki szukając wędrowca przeskoczyły drogę za nami, a sędzia szepnął: — „pohulajcie przed śmiercią.“

Dopieroż radość jakeśmy wrócili do domu. Wchodzi sędzia.

— „A co?“

— „Są.“ —

— „Wiele?“

— „Ośm.“

Niech żyje sędzia! wszyscy krzyknęli, podskoczyli z radości, zatarli ręce, mróz nieszczęśliwego oczekiwania przebiegł po skórze, każdy opatrywał broń, jak gdyby ją pierwszy raz oglądał: wydano rozkazy.

Nazajutrz rano czas był spokojny, nie zimny, z lekka mglisty, wyborny do obrzucania wilków, bo liść pod

nogami nie chrupocze. Piętnaście wozów z sieciami pod las podjechało, przy nich stanęło trzystu parobków ze spisami, albo z pałkami, żaden słowa nie szepnął. Sędzia objeżdżał na koniu a za nim stawały sieci. W pół godziny sędzia objechał knieję wkoluteńko, i wkoluteńko knieję zamknięta, kulec za kulcem. Za sieciami od pola, o dwadzieścia kroków od sieci, a piędziesiąt jeden od drugiego, stoją parobcy, i mają rozkaz odpędzać wilki od sieci, żeby wszystkie od strzelby wyginęły; gdyby się który wilk uparł do sieci, to go złapać i związać mają. Wszystko gotowe.

Po sutém śniadaniu zajeżdżają koczki, koczyki, wózki, wózeczek, bryczki, bryczeczki; wybierają się myśliwi, ten torbę wiesza, ten strzelbę nabija, ten czapki szuka, ten jeszcze szklanice wyciska jak cytrynę, a wszyscy się spieszą, a każdy się późni; nieład jak w powstaniu, ochota jak w powstaniu. Mój ojciec nie czekając siadł na wózek z panem sędzią i ze mną i ruszył naprzód. — Goście widzą, że nie żarty, dalej za nami. — Powóz tuż za powozem jak na żelaznej drodze mknął przez wieś, przejrzał się w stawie i dalej sunie, aż w lesie wszystkie potonęły. Przed knieją stoją dojeżdżacze na koniach, trzymając pomiędzy sobą, jak w garści, dwadzieścia sfór gończych; gończe rwą się, skaczą, tarzają się zniecierpliwości, czasem zaskumli który, ale żaden nie szczeknie. Wysiadamy, idziem cichutko — wchodzimy w knieję. Rozdzieliliśmy się na dwie części; jedną stronę pan sędzia, drugą mój ojciec strzelców rozstawia; ja poszedłem za moim ojcem, który mi dwururkę moją z bagnetem, opatrzył, nabił i mnie niedaleko siebie postawił, a odchodząc powtórzył: — „ogłędajże się, żebyś nie przeslepił, uważaj, żebyś do psa nie strzelił, niespiesz się, żebyś nie chybił, bo mnie i sobie wstydu narobisz.“

Stoję; wszystko spokojnie; a taka cichość, że słychać konanie zwiędłego liścia. W tém sędzia na dzień dobry śpiącym wilkom strzelił z moździerza; zatrzęsły się drzewa i ciągle już drżały, opowiadając jedno dru-

giemu co odtąd słyszało. Parobcy odkrzyknęli moździerzowi przeciągłym krzykiem, który dał znać wilkom, że są w oblężeniu. Orły wzleciały nad las i patrzą, kto ich spokojność zamieszał; kruki kraczą wilkom na złą wróżbę; ślepe sowy tłuką się po gałęziach; lis pędzi do nory; zając przypada do nóg strzelcowi, jak gdyby chciał mówić, nie strzelaj do mnie — i znowu cicho; aż tu naraz jak psy zagrają, jak zaczną ujadać — najcudowniejsze brzmienie drzy lasem, wre powietrzem, zaweseliło serca. Nie można się polowania nasłuchać; ucho wyteżone, wzrok ciska się na wszystkie strony, serce niecierpliwe boju. Każdy strzał roztrąca się o wszystkie drzewa i sam donosi czy zabił; za każdym strzałem psy mocniej ujadają, za każdym strzałem nowa zazdrość w myśliwcach, dopóki ich nie załagodzi z ust do ust lecąc: pilnuj! Cały ten hałas zmieszany zbliża się ku mnie; w około mnie latają i psy i lotki, a czasem zatętni coś w gęstwinie, jak gdyby koń ciężki, i mignie ogromnym zwierzem. W oczekiwaniu i niepewności serce mi się tłucze, a sam niewiem czego chcę; wolałbym, żeby wilk wyszedł na mnie, ale się boję, boję się chybić: bo drzę cały, aż się kolana uginają podemną. W tém nagle psy zaskowytały, kilka strzałów na raz palnęło i ogromnym pędem leci zziajana stara wilczyca; wypada na halawę i z otwartą paszczą zwraca się ku mnie; przypuszczam ją jak najbliżej; palę z jednej rurki na sztych, wilczyca w bok; jak palnę z drugiej pod łopatkę, wilczyca w perewerty, wije się śmiertelnym tańcem, i jak gdyby sama dobić się chciała, skoczyła w górę i tak silnie na bok padła, że aż jęknęła, nogi wyciągnęła, ogonem się nakryła, język przygryzła; przybiegłem z bagnetem, zastałem nieżywą, pastwić się nie chciałem. Dopieroż zazdrość i wstyd dla starych myśliwych co pochybiali, radość i chluba dla mnie. Chcieli mnie ufarbować na cześć pierwszego wilka, nie dałem się. I pan sędzia się puszył, bo jak ośm wilków wyliczył, tak ośm na szubienicy wisiało.

Wjazd do Krakowa.

Ojciec tak nam zachwalał Kraków, a więc zbliżaliśmy się do niego z uczuciem dziecinnego przywiązania do tych resztek świetności Polski, z uczuciem czci religijnej dla téj świątnicy, co mieści w sobie tyle pamiątek, co tylu królów polskich była kolebką, a teraz jest grobem; co usposobiała tylu mężów sławnych w boju i w radzie, mężów, co zajaśniali na świecie i ramieniem i głową, i szablą i piórem. Jechaliśmy teraz niejako odziedzaczać naukę po tych sławnych ludziach, bośmy jechali do téj sławnej szkoły, w której się oni wyuczyli na pociechę wspólnej matki naszej; może téż odziedziczymy broń po nich, walcząc na tych samych polach, na których oni tyle krwi swojej wylali, tyle kości posiali. — Takto wyścigaliśmy czas myślą; a radzi wyścignąć dzielącą nas przestrzeń od Krakowa, jak błyskawicą przecinaliśmy ją na wszystkie strony młodem a chciwem okiem.

Aż tu nagle powóz skręcił, góra się umknęła i ukazał się nam w rozkosznej dolinie czarowny Kraków. Czterdzieści wież strzeliło do góry, pokazując ludziom, gdzie szczęście, gdzie opieka dla nieszczęśliwych; pomiędzy wieże w około świątyń Pańskich skupiło się starożytne miasto, a nad tém miastem czuwa odwieczny Wawel, z którego niegdyś oko Zygmunta poзираło z ojcowską dumą na szczęście Polski, a teraz tylko kiedy niekiedy dzwon Zygmunta, jak gdyby grobowe westchnienie wielkich królów téj ziemi, zajęczy nad jęj niedolą.

Z daleka patrząc na zamek, znać już, że pomarli panowie jego, a nie dzierżą go ich potomki. Smutne miasto i zamek smutny, pusty zamek i miasto puste. Zamek stoi otworem, strzegą go tylko pokruszone baszty; i miasto téż stało otworem, rozpadły się jego mury, bramy mu już nie potrzebne, i tylko po ich zwaliskach wiatr wieje, jak gdyby chciał straszyć świętokradzkie ręce, co się bezbożnie targnęły na cudze pa-

miątki. Wesołe przedmieścia rozrzuciły się w około miasta, jak gdyby nie traciły nadziei wesela, a Wisła macierzyńskim uściśnieniem łagodzi ciężki smutek zbolelej stolicy, a szemrząc jej ciągle przeczucie szczęścia i chwały, mignie obrazem przeszłości, szczęścia i chwały, mignie obrazem przyszłości i tęskną żalosc na chwilę ukoi. Ze trzech stron trzy mogiły ogromnym trójkątem, jak gdyby okiem Opatrzności, patrzą na Kraków: dwie mogiły stanęły po jednej stronie Wisły, trzecia po drugiej, jak gdyby mówiły, i tu i tam Polska: a jedna mogiła naucza jak Polskę rozszerzać, druga jak Polskę wskrzeszać, trzecia jak Polskę kochać. Zachodzące słońce oglądając się na południe, na śnieżnych Karpatach napisało promieniami swemi: tu granica Polski; a oglądając się na północ i wschód, żegnając po rozległej, jak cała Polska równinie, ścieląc swe promienie od morza do morza, ozłociło całą Polskę na przypomnienie, a może i na przepowiednię jej złotych wieków.

Podróż do wód.

Łańcuch gór kaukazkich z daleka pokazał się nam jak siny obłok; nazajutrz ciężkie powietrze spuściło nań nieprzebitą zasłonę; trzeciego dnia ze wschodem słońca ujrzelśmy jasnej białości, pocieniowany kształtami gór, wał śniegu; ciemny błękit niebios odbijał wybornie te niepoliczone kształty i wszystkie nam na oko położył; na niektórych wierzchołkach śnieg zeszlony dziwnie miotał promieniami słońca. Daleko przed siebie, jak gdyby na straż swoją, góry kaukazkie rzuciły na step kilkoro dzieci swoich, gór młodych, niepobielonych jeszcze szronem starości, a już okazałych wyniosłością, strojnych wszystkimi wdziękami młodości; jeszcze oko ludzkie nie może rozeznąć strasznej piękności ogromnego gór łańcucha, a już te młode góry zwabiły je wdziękiem i bogactwem swoim. Pomiedzy tą przednią strażą gór kaukazkich, najwyżej strzeliły Maszuta i Bysztan; pierwsza znaczy w języku Czerkiesów mogiłę,

i ma kształt mogiły, druga znaczy pięć gór, i ma też pięć wyraźnych wierzchołków. Te dwie góry gotują w łonie swoim źródła ludzkiego zdrowia; pomiędzy temi górami, jako w progu dobroczyńców swoich, ludzie też liczniej osiedli. Tam jest kres podróży długiej i nudnej, a ma być początek zdrowia dla słabych, zabawy dla zdrowych, wypoczynku dla wszystkich. Dwa dni patrzaliśmy na te zbawienne znaki, a dopiero trzeciego dnia późno dojechaliśmy do głównego miejsca wód kaukaskich, pod górę Maszutę.

Nazajutrz obleciałem dość porządnie zabudowane miasteczko w kilku prostych ulicach; Czerkiesi snuli się konno, przeszłorocznymi znajomymi mego ojca, biorąc mnie za mego brata, jeden drugiemu pokazywał, mówiąc: dzygid, co znaczy rycerz, a dla tego tak go nazwali, że on ich zadziwiał swoim sposobem strzelania i robienia bronią. A każdy Czerkies mówił: — kup konia, i wiele ich przyprowadzali na sprzedaż. Zaraz kupiłem sobie klacz kasztanowatą prześliczną za 40 rubli papierowych; pytam się dla czego tak tanio sprzedaje, kiedy młoda, piękna i zdrowa; dla tego, że nie daje się dosiadać; istotnie kąsała, rzucała się na ludzi, ale że była takiego składu, jak nam Rzewuski Wacław zawsze na wzór rysował, kupiłem i w téjże chwili wskoczywszy na nią, wybiegłem z Czerkiesem na wierzchołek Maszuty, gdzie dobrym koniem za godzinę dostać się można.

Niebo tam ciemnobłękitne, a czyste jak spojrzenie dziewicy; ostatnie chmurki, które się były zaspaly na łonie gór, już się przebudziły, ale tak im tam dobrze, że nim wzlecają ku słońcu w obłoki, witają się po górze, roztaczają się po niej rozkosznie, muskają jej kwiaty i ich zieloność; wzbijają się nieco i znów do góry wracają, znowu ją obejmują, że jakby na ostatnie przeżegnanie przed śmiercią, bo słońce ostrym promieniem zacina leniwe chmury; toczą się po górze, już do jej wierzchołka tylko ostatnim przyczepione rąbkiem; już się ostatni raz chmurka zachwiała — przypadła jeszcze —

jeszcze raz musnęła po szczycie góry i oderwała się od niej na zawsze; poleciała rozplynać się w ciemnym błękiecie i gdzieś tam daleko spadnie we łzach, płacząc za rozkoszną górą, co ją wypuściła. Ogniste słońce roztopiło chmury i samo jedno buja po niebie, nocą stęsknione oko karmi cudnym widokiem, wszystko mu pokazuje, ale na siebie patrzeć nie pozwala. O nędzny człowieku! ty nie możesz znieść spojrzenia słońca, a myślisz, żeś Boga przejrzał na wylot; za słaby twój rozum, abyś zgadł, co słońce, a ty myślisz, żeś odgadł Stwórcę słońc nieprzeliczonych; za słabe twe oczy, aby spoczęły na słońcu, a tyś tak zuchwały, że ziemskim wzrokiem twoim patrzyłbyś w samego Boga.

Co to za ogromny świat, i piękny i rozmaity, co to za rozliczność tych światów, co to za niezmierzona potęga Stworzyciela tych wszystkich światów, kiedy człowiek, co się ma za władcę ziemi, ani wzrokiem obejrzeć, ani myślą objąć nie podola tego ogromu, téj cudowniejszej może jeszcze rozliczności wszech rzeczy. Kto jeszcze pomimo klęsk i nieszczęść nie uznał Boga Sędziego, kto pomimo szczęścia i dóstatków nie uznał Boga Ojca, kogo widok gwiazdolitego nieba nie przejął trwogą, albo miłością Stworzyciela, niech wnijdzie na górę Beosztan. Stojąc na jéj ostrym szczycie, jak gdyby w powietrzu zawieszony, spojrz na dół na tyle przepaści i rozpadlin strasznych, na tyle spiętrzonych gór, po których jak po stopniach na ten szczyt się wdrapał, i zda mu się, że nad ten szczyt nie ma nic wyższego na ziemi; spojrz do góry, a zda mu się, że niebo jeszcze wyżej od niego uciekło; spojrz na około siebie, a strach przestrzeni tak mu oczy zaćmi, że długo upłynie, nim przejrzy. Na prawo jedno morze, na lewo drugie; na północ potoczyło się morze stepów, migające różną barwą, jak bałwanami; na południe strumienie i rzeki, niedościgłym biegiem wijąc się po rozkosznych dolinach, tu i owdzie splątały się w jezioro, jak w węzeł i znowu z niego wybiegają; nad każdą rzeką zbiegły się lasy i góry i przyglądają się wdzię-

kom wody i swojej urodzie. Im dalej, tym wyższe góry, tak cudnie ustawione, że jedna drugiej nie zasłania, jedna drugiej dodaje wdzięku; ale jak gwiazd na niebie nie policzysz, choć zda się, że wszystkie widzisz, tak i gór nie policzysz, choć zda się, że wszystkie widzisz; a wszystkie piękne, ta piękna łascm, ta skałami, tamta przepaściami, tamta że łagodnie, ta że raptem wstaje, ta zielonością, ta wspanialszą nad wszystko siwizną. Łańcuch gór śnieżnych zamyka widok śmiejący się i zielony, wygląda jak mleczna droga na niebie, zda się być kością pacierzową olbrzyma ziemi, a z tą kością zda się być wszystko związane, i góry i płaszczyzny. Cały widok zgodny, a nie pojęty, jak dźwięk wiatru, jak łoskot fali, jak strzał piorunu, jak przezroczystość dnia, jak wszystko, co nie jest ani wymysłem, ani sztuką ludzką, ale dziełem Boskiem, grą świata, co na słowo — stań się — stało się pięknem, bogatém, rokoszném, straszném, niepojętém.

Wspomnisz sobie na ludzi; spojrzysz z téj góry na ich mieszkania, a ich wsie wyglądają jak mrowiska, a nawet ich ruchu nie dojrzysz. Do koła wzrokiem oblatujesz, bo radbyś widzieć do koła cały okrąg, wszystkie przepaści, obadwa morza razem. Patrzysz i dumasz, dumasz, dumasz i patrzysz; i nim ci przyjdzie na myśl, że tu już Azya, wykrzykniesz mimowolnie — tu raj być musiał. I nie zejdziesz z góry, aż ci obłoki zasuną cudny widok, któremu granice jeno w oku ludzkim; powrócisz nie raz na tę górę i zawsze zejdziesz z niej upokorzony, poprawiony, zadumany o sobie i o Stwórcy swoim, i będzie ci tęskno za tą górą, jak za świątynią, w której ci było błogo na duszy, jak za świadkiem twych dobrych myśli i uczuć szlachetnych, jak za tronem, z któregoś zakrólował wzrokiem od morza do morza, od szczytu gór, aż na kraj stepów.

Czerkiesi.

Każdy do siebie zapraszał, najstarszy mirza albo bimirza, albo jaki książę miał przed wszystkiemi pierw-

szeństwo; zapraszając na noc, zawsze mówił, że każe dla mnie zarznąć barana, co miało znaczyć, że przyjmie suto. Zarzynali barana, przysposabiali wieczerzę, a my tymczasem na konie i do stada.

Wyjechaliśmy na górę, zdaleka w dolinie bieleje coś jakby jezioro, a to stado: bo tam najwięcej koni siwych i białych, a w jednym stadzie zbiorowym, bywa ich po dwa tysiące i więcej. Czerkiesi najbardziej cenią konie siwe, a jak się urodzi źrebię srokate, to je zarzynają i jedzą, mówiąc, że gdyby z tego miał być koń dobry, to by go Pan Bóg nie łatał. Zbrojni Czerkiesi, bo oni zawsze zbrojni, strzegą stada, a gości częstują *kumysem* — jest to rodzaj kwasu z kobyłego mleka — napój biały dość przyjemny, a u nich zwyczajny. — Przejeżdżając się pomiędzy stado, wybierałem klacze, które mi się najpiękniejsze wydały, ze źrebiętami innej maści, jak ich matki. Skoro którą pokażę, zaraz dwóch Czerkiesów wyganiają ze stada na stronę ze szczególną zęczością: wybierając po różnych stadach, kupiłem kilkadziesiąt najpiękniejszych klaczy, które potem rozrodziły się u nas w osobne stado czerkieskich koni.

Od stada wracaliśmy późno: już ksiądz muzułmański z minaretu, uplecionego z chrustu, zawołał do modlitwy, już ze wszystkich stron *auły* czerkiesi, zprosiwszy nas z sobą, ściągają się do meczetu, wyglądającego nakszałt chłopskiej stodoły, gdzie podług starego zwyczaju odmruczeli i odleżeli modlitwy. Wyszedszy z meczetu wprowadzili nas do gościnnego, okrągłego domku, podobnego do chlewika, a także uplecionego z chrustu i nakrytego słomą. Już była zastawiona wieczerza na stole obszernym, ale niższym od zwyczajnego krzesła; na stole kilka mis dużych i pełnych, kilkanaście misek i łyżek drewnianych; starszyzna czerkieska usiadła z nami za stołem, myśmy usiedli na ziemi, a oni stojąc na nogach zemknęli się tylko we troje, jak na zawiasach; inaczej nie siadają, a to dla tego, aby jak najprędzej schwycić się mogli. W jednej misie była baranina poszarpana: w różne

szmaty, w drugiej ryż z tłustością barania, doskonały, a nazywa się *pilaw*, w trzeciej jajecznicą z miodem, a w czwartej kwaśne mleko z jakimś łazankami, zatarte czosnkiem; było coś także na kształt chleba jęczmieniowego, za napój kumys albo woda, i koniec. Czerkiesi bardzo mało jedzą, i mówią, że nie trzeba wiele jeść, żeby mieć siłę, to też każdy chudy i lekki jak chart, wcięty jak osa, pleczysty jak niedźwiedź, persisty jak orzeł; u każdego żywość w ruchu, w spojrzeniu, oko pełne; rysy twarzy rzadkiej kształtności, strój swobodny, kibić wysmukłą, gibką, zręczniejszą jak u tancerza, a przy tém wszystkiém jakaś powaga na twarzy czyni czerkiesę wyobrażeniem zupełném i doskonałym rycerza wolności.

Nadeszło też i święto Bajram, na które pojechaliśmy z wód gorących do najbliższej auły. Podewsią zebrali się liczni czerkiesi; jedni uganiali się na koniach do mety, drudzy strzelali do celu, i pieszo i z konia: z konia w największym pędzie trafiali z krucicy do czapki rzuconej na ziemię, albo ze strzelby do deszczulek mniejszej jak ćwiartka papieru, a przytwierdzonej do tyczki na kilkanaście łokci wysokości, ten ostatni sposób strzelania jest najtrudniejszy, i do niego przywiązane są największe nagrody; czasem cały dzień strzelają i nikt nie trafi. W roku przeszłym mój brat Edward wygrał tę nagrodę; było to kilkanaście sztuk złotej i srebrnej monety w worku skórzannym; najpiękniejsza dziewczyna czerkieska oddawała nagrodę, wziął worek a pieniądze zostawił temu, co najpierwszy po nim trafi; czerkiesi dziwili się zarazem i zręczności i wspaniałości polskiej. Ja chciałem spróbować tego samego szczęścia, ale żem jechał z paniami, więc zwyczajnie jak z kobietami wybierania się było bez końca; przyjechaliśmy za późno -- deszczulka była już przestrelona.

Po igrzyskach następowały tańce; muzyka nędzna: na dwóch dudach grano tańce i pieśni, których ani taktu ułoić nie mogłem. Dziewice czerkieskie strojne

bogato, wystąpiły na stołeczkach cztery do sześciu cali wysokich, na które wstępują ile razy wychodzą z domu, i aż w domu je zrzucają; stołeczki te są nasadzane srebrem, złotem, podług możliwości każdego; otoż dziewice wysmukłe na tych stołeczkach występują do tańca, i z nieporównaną zręcznością wykonywają taniec najtrudniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem. Są u nich tańce popisowe, gdzie tańczą we dwie, albo pojedynczo; są tańce zbiorowe, gdzie mężczyźni tańczą, w sposób podobny do obertasa ukraińskiego, ale mniej żwawy.

Strój czerkiesek jest okazały; mają dłuższą suknię z jedwabiu, krótszą z lamy srebrnej lub złotej, pas lity, głowę obwiniętą w szal bogaty, z pod szalu spływają długie włosy, do szalu przytwierdzona zasłona cienka, w pół przezroczysta, rękawy długie, suknia fałdzista, ale w piersiach tak obcisnięta, że trudno pojąć, jak w takiej sukni oddychać można. Pytałem Czerkiesów, czy wszystkie mają podobny kształt ciała; odpowiedzieli, że wszystkie dziewice, że to jest u nich pięknoscia, że w dziesięciu, albo dwunastu latach piersi dziewcząt obszywają w skórę, którą dopiero mąż jej przecina. Czerkieski mają oko czarne, spojrzenie głębokie, posępne, rysy twarzy pociągłe, płeć biała, piękne są; ale Czerkiesi piękniejsi.

Czerkiesi w święto Bajramu występują w świątecznych strojach; żupan jedwabny, albo z lamy srebrnej lub złotej, po wierzchu rodzaj kontusza, ale bez wyłotów, najczęściej granatowy, czasem pasowy, obszywany taśmą srebrnozłotą, spięty na haftki, a rękawy dłuższe na ćwierć łokcia od ręki; na piersiach ładunki srebrne lub złote; wyrabiane sztuczną robotą, zawieszone na łańcuszkach, chowają się do pól w kieszonki z tasieniem; szyja goła, broda krótko i ostro ścięta; na ogolonej głowie albo mała czapeczka taśmami wyszyta, albo większa z baranem, lub inném futrem w około, mogącym się zwiesić na oczy; taka czapka służy mu za hełm spuszczaną: gdy baran srebrnej białości albo kruczej czar-

ności spłynie w jedwabnych pierścieniach na oczy, a burka najeżona włosem wysoko, natenczas nikt Czerkiesa nie pozna. U wąskiego paska wybijanego guzikami srebrnemi wisi *kindżał*, krzesiwo i kilka narzędzi do opatrywania broni; *szaszka* bogato oprawna, przewieszona na jedwabnym sznurze przez prawe ramię na lewy bok ostrzem do góry, żeby się ostrze nie tępiło, i żeby jednym zamachem i szablę dobyć i ciąć można było; na lewo zawieszone krucice, wetknięte z tyłu za pas; czasem zamiast strzelby łuk na plecach; strzelbę wieszają przez plecy w bardzo wygodnych pochwach z burki robionych, tak, że strzelba nigdy nie zamoknie, w pe-dzie nie tłucze o plecy, a wkłada się i wyjmuje bardzo łatwo; na szyi na jedwabnym sznurku zawieszony rodzaj kaptura, zwany *baszlik*, który w czasie sloty nakładają na czapkę, a deszcz spływa po nim na lskniącą burkę, a po śliskiej burce na ziemię; obuwie mają bardzo obciśnięte, raczej nogi bardzo kształtne; po wierzchu szkarpetek safianowych noszą trzewiki safianowe bez osobnych podeszew; obuwie to byłoby niewygodne do chodzenia po bruku, ale po komnatach wysłanych kobiercami, albo po stepach wysłanych miękkim kwiatem bardzo wygodne; zresztą Czerkies chodzić nie lubi i prawie się na krok z domu nie ruszy inaczej jak konno.

Czerkiesi tak uzbrojeni, a konie ich tak osiodłane, że nie ani dzwoni, ani brzęczy i jadącego jeźdźca nie słyszeć: bo téż sposób ich wojowania na tém polega, aby napasnąć, zabić, zabrać i uciec nie narobiwszy ha-lasu. Często dwóch, trzech wpada na cały półk, czyto jazdy, czyto piechoty, zsadzą z koni dowódców i w nogi; jeśli ich nie zabiją pusiwszy za nimi pięćset kul, to już i nie złapią: utonął Czerkies w bujnych burzanach i kiedy za nim gonią, on goni za goniącymi i kogo może, urywa z oddziału.

Kontrakty kijowskie.

Już mrozy ścinają, już niebo szarzeje, już nieznosną grudę zasypuje miękki puch, a na odpoczynek po-

dróżnym ściele się droga. Wszędzie białło, śnieg błyszczy brylantem, cisza w powietrzu, sanki mkną po śniegu, a lekko, a cicho jakby się bały budzić uśpienia świata. Wrzawa uciekła za ludźmi do domów, skupiła się przy ogniskach domowych, a czasem tylko wybiegnie z ludźmi do lasu, parę godzin zapoluje po lesie i znowu do ognia uciecze: czasem się wykradnie na sanki i pędzi z ludźmi do sąsiedniego domu i wszystkie domy kolejno obiega, po wszystkich lasach kolejno popłoszy i znowu do ognia.

Na wsi ukraińskiej zima wesoła, a cóż dopiero jak przyjdą święta, a potem kontrakty. Nigdzie święta nie są tak huczne i gromadne jak u nas, bo nigdzie nie dochowały się tak czysto staropolskie zwyczaje. Na święta u nas zjeżdżają się w każdej okolicy do domów najważniejszych: ta cześć obchodzi kolejną i naprzód wiedzą, gdzie zbiegowisko. Tam już wszystko gotowe na przyjęcie bliższych i dalszych sąsiadów; pokoje gościnne ogrzane, dworki wiejskie wyporządzone, jest gdzie przyjąć i stu ludzi, jest czém nakarmić i trzysta koni. Ile razy palną z bicia, tylu gości zajechało.

Stoły wysłane sianem, przykryte obrusem jak śniegiem. Na stole w ogromnych srebrnych misach polewka migdałowa, na srebrnych postawach ogromne szczupaki wysadzane przezroczystymi przysmakami jakby drogiemi kamieniami, tam *łanunice* z makiem, tam *kutia*, dalej wykwintne łakocie i różne owoce, na środku złocisty kosz z cukrami, na koszu spoczął lecący aniołek i trzyma opłatki. Tak zastawiony stół na wilią czeka na gości; goście czekają na gospodarza, gospodarz czeka na pierwszą gwiazdę; kuchmistrz wysyła co chwila kuchcika gwiazdźdźiarza, żeby wyglądał gwiazdy, a sam pilnuje, żeby się kraszki dobrze urumieniły, żeby się karp dobrze wysadził, żeby się nic nie przypaliło, nic nie zakrzepło. Wpada kuchcik i krzyczy, że gwiazdę wynalazł. W mgnieniu oka sto świec, jak sto gwiazd, oświeciło stoły, gospodarz prowadzi najstarszą niewiastę, za tą poważną parą wsunęły się liczne pary i stół opasały;

aniołek oddaje opłatki, a gospodarz dzieli się chlebem Bożym z rodziną i gośćmi, zapraszając ich do siebie znowu na rok przyszły.

Nazajutrz po trzech mszach sute śniadanie i już cały dzień huczno i wesoło; brzmi muzyka, a jak się wieczór zbliża, dziewczęta przez okna szukają gwiazdy, która pierwsza znajdzie, w pierwszej parze wywinie mazura i sama sobie tanecznika wybierze. Kilka dni świąt schodzi na hulaniu.

Ochocze grono radzi, gdzie tu na nowy rok pojechać, a po nowym roku, gdzie na Trzech Królów, a po Trzech Królach już też pytania i rady na 10go Stycznia, wszyscy u mojej matki z powinszowaniem imienin, które przypadają 12go, bo cóżby to były za imieniny, coby trzy dni nie trwały: 12go po wieczerzy i po tańcach, kobiety zabierają się do spoczynku, a mężczyźni do podróży.

Pełny dziedziniec sani, konie parskają, woźnicy rozgrzewają ręce tłukąc je po ramionach, służba się zwija, częstuje woźniców, panom szuby podają; zapalone kagańce rubinowym ogniem płoną, rozświeciły się szeroką luną i zaróżowały śnieg spadający szerokimi płatami. Sciele się droga, dobre będą kontrakty. Zajeżdżaj! — dzwonki zadzwoniły — śnieg zachrupotał — kozacy z kagańcami wylecieli za bramę — sanie pomknęły jedne za drugimi — a za nimi powlokły się długie cienie. W głębokiej budzie, w niedźwiedzich szubach, z wilczurą w nogach spi się doskonale na skórzanych poduszkach aż do białego dnia; dopiero popas. Rejwach w karczmie, żyd dostał w kark parę razy od kucharza, kozak za pejsy parę razy targnął i w mig wszystko jest, czego potrzeba. Po popasie jedzie się dniem, a że liczne grono więc wesoło; z sani na sanie przeskakują, strzelają, bawią się, panowie sami pojeżdżają: z góry sanie poszły w zatokę, wywróciły się; dopieroż śmiech, ten już otrzepuje się ze śniegu, tamten jeszcze w kozłach. podnieśli sanie i dalej ruszają, gwarząc, strzelając i wywracając się, aż do noclegu. Coraz więcej sani spływa z różnych dróg na wielki szlak; zbliżając się do kar-

czem, nuż wyprzedzać się; kto pierwszy zajędzie, zdobywa karczmę dla swojego groma: pełna karczyna, drzwi zatarasowane, nie puszczamy nikogo; a tam krzyczą, otwieraj żydzie! bo karczmę zapalę; żyd w strachu, a my się śmiejemy.

Ognie płoną na kominach i w kuchni, przysmażają bigosy i zrazy, zgrzeją piwo ze śmietaną, zgotują kaszę obwarzoną, i wnet obiad wyborowy. Szlachta jedna gra w karty, druga strzelby myje, a wszyscy gawędzą i śmieją się, aż do późnej nocy. Przededniem już wszyscy powstawali, już po herbacie, już wszyscy upakowani, i dalej w drogę. Im bliżej Kijowa, tém więcej sani: od Biało-Cerkwi już szlak zawałony saniami, a z ostatniego noclegu od Wasilkowa, to już sanie za saniami, a czasem we dwa rzędy jadą, przeganiają się, bo droga szeroka, a tak ujeżdżona, że szkli się, jak lód.

O trzy mile od Kijowa, widać już wieżę Zofijjskiej Ławry, co najwyżej stojąc i sama najwyższa, dumnie podnosi złotą głowę swoją; dalej jakby z pod ziemi wyrastają różne kopuły i wieżyczki, a wszystkie błyszczą potrójnym złocistym krzyżem. Przed rogatką strażnik zatrzymał sanie z beczkami — wódka — a to ruble, aż oskoma moskałom, co tam stoją.

Kijów rozparł się szeroko, a góry podzieliły go na trzy części. Bolesław ciał w złotą bramę starego Kijowa, i choć już nie ma téj złotéj bramy, ale jest jeszcze mur z jéj-zwalisk, i każdy Polak, co pierwszy raz wjeżdża do Kijowa, myśli o téj bramie i nim wjedzie do miasta wstępuje do niéj, choć nie po drodze. Na Peczerskiém Zofijjski monaster, strzegą go pieczary pełne Świętych i twierdza; na Peczerskiém także gmachy rządowe, a na Padole Kontrakty. Tam cały ruch, tam ogrzane domy czekają na gości, tam izba kontraktowa, zabawy, muzyka, piękne wystawy zbytkowych towarów, tam najwięcej smażonych owoców w słojach, a pieniędzy w beczkach. Sanki lekkie pędzą we wszystkich kierunkach, a tak się zręcznie wymijają, jak karty w ręku kuglarza; zwoszczycy krzyczą, piszcza, rysaki

kłusują, a skakuny wykrecone jak tancerki, chłodząc się kłębami śniegu, sadzą w czwał: i tak przez dni dziesięć.

Tyle ludzi w Kijowie; a jak kto nowy przyjedzie, w tejże chwil wszyscy wiedzą, i wiedzą gdzie zajechał, bo każdy skoro przyjechał, wchodzi do izby kontraktowej, a tam wsze wieści spływają wszystkimi ulicami i wszystkimi ulicami wypływają z tamtąd na cały Kijów, a z Kijowa wszystkimi szlakami na całą Ukrainę. Wprawny szlachcie kontraktowy rozumie tę izbę jak Francuz giełdę; wejdzie raz pierwszy, a po liczbie, po gwarze, po twarzach pozna zaraz, czy dobre kontrakty, to jest, czy dużo pieniędzy, czy drogie dobra, czy jest kupiec na zboże i wódkę; a jak się raz taki szlachcie przejdzie po izbie, to już może całe kontrakty siedzieć u siebie, bo wie, co ma robić przez całe kontrakty, bo wie, że go znajdą, skoro się dowiedzą, że ma pieniądze. Jeździłem do izby kontraktowej, choć nie miałem tam nic do roboty; bo w niej spotyka się i towarzyszków szkolnych i znajomych ze wszelkich stron Polski; bo tam młodzież cała. Gdzie młodzież tam ruch i życie, tam się usłyszy i dowcipny żarcik i słówko nadziei polechce ucho; tam się dowiedzieć, gdzie jaka zabawa, gdzie będą świetne zapusty, gdzie panny piękne; a więc ruszam do izby kontraktowej. Zwoszczyk zajeżdża przed izbę aż zaburczy, wyskakuje się, jak kto umie, wbiega się, albo wylazi się na wschody; z obszernego ganku; sto głosów woła sani swoich, a zwoszczycy tak uważni i wprawni, że kiedy zaledwie głos jego pana doleci, on już zajeżdża; po obszernym rynku dzielne konie krzyżują, i nim do izby wejdiesz, patrzysz na uganiające sanki, jak na zręcznych harcowników. Obróciwszy się ku izbie, a z izby jak z ula, wychodzi szmer głuchy; snuje się szlachta; wejdiesz do izby, gwar, krzyk, wołanie, tłum ludzi, a ten tłum ciągle się odmienia; i tak cały dzień i tak dni dziesięć. Po słupach izby poprzyklejano nazwiska wsi do przedania, albo do puszczenia w dzierzawę; po za słupami w około izby

kramy z rozmaitemi towarami. W końcu izby drzwi do izb sądowych. U tych drzwi wieczorem po zapaleniu świec, staje woźny i wykrzykuje, kto komu w dzisiejszym dniu pomimo wyroku nie zapłacił; więc szlachta skupia się i słucha, naprzód dla tego, że ciekawa, potem dla tego, że cudza bieda ludziom śmiech, a na koniec, żeby wiedziała, komu niepożyczać pieniędzy; a woźny matacz, jak mu dłużnik nic nie da, to po trzy kroć wykrzykuje jego nazwisko, tak donośnym głosem, jak Poczajowskie dudy, a jak mu się opłaci, to raz tylko wymówi, i tak urzędowym głosem zachuczy, że nikt nie zrozumie.

W tym roku jak i zawsze najświetniejsze granie Lipińskiego, bo on mistrz wielki, a do tego Polak, ulubieniec Polaków. Skoro Lipiński nie przyjedzie kiedy na kontrakty, i nie zagra co polskiego z polską duszą i sercem, to zdaje się, że czegoś bardzo ważnego brakowało. Nie jeden szlachcic, pierwój jak o cenę dóbr, zboża, pyta, czy jest Lipiński: skoro jest, wszyscy go rwą do siebie, ten na obiad, ten na wieczór; wszyscy go otaczają tą czcią, jaka się należy ludziom niepospolitym, a do tego swoim. W tym roku Lipiński był u nas na obiedzie, bo nas z nim zapoznał jego i nasz przyjaciel, Antoni Nowotny, a to za to, żeśmy obiecali nie bardzo go już wywracać jadąc z Kijowa. Pan Antoni był człowiek pełen nauki i znawca sztuk pięknych, aleśmy go kochali więcej niż za to, za poczciwe jego serce i za przywiązanie ku naszej rodzinie.

Ostatnich dni kontraktów zwiedziliśmy przedniejsze cerkwie. Wiele jest w nich bogactw i dawnego smaku, każda prawie cerkiew ma swego Świętego; ale wszystkie bogactwa i wszyscy Święci zbiegli się do Zofijskiego monasteru. Tam cerkiew strojna zewnątrz dziewięciu złocistemi kopułami, wewnątrz wygląda, jakby jeden klejnot; wszystko od srebra, złota i drogich kamieni, a palące się lampy migocą w nich różnobarwném a błyszczącym światłem; wonność kadzidła zaprawiła powietrze, cichość dodała powagi temu miejscu, tak, że

wchodząc zazdrości się, że to nie kościół. Obejrzawszy cerkiew weszliśmy na wieżę; powietrze było czyste, dzień jasny: oko spojrzawszy ku dołowi widzi obszar wielkiego miasta, co błyszczy wszędzie kopułami i potrójnemi krzyżami; widzi Dniepr ogromny, co się tuli do miasta, bo mu zimno, co spokojny, bo on śpi teraz; widzi przestrzeń niezmierną a białą i tylko z jednej strony pocieniowały ją góry, z drugiej gdzie niegdzie poczerniały sosnowe lasy. Cudny to ma być widok w lecie, bo téż cudne położenie Kijowa, alem go w lecie nie widział.

Zeszedłszy z wieży, poszliśmy do sławnych pieczar. Już popi czekali nas z zapalonemi świecami, wzięliśmy każdy świecę do ręki; szliśmy długo pod ziemią; ciekawość i mimowolne poszanowanie dla miejsca, któremu tyle milionów ludzi cześć świętą oddaje, zamknęły usta największych niedowiarków; milczenie ma zawsze w sobie coś tajemniczego, bo w milczeniu zawsze człowiek rachuje się sam z sobą. W tém uroczystém milczeniu weszliśmy do pieczar; przy wejściu popi, co nas przyprawdzili, zostali, a czerńcy, co się modlą w pieczarach, strażnicy pieczar, słudzy Świętych, co tam mieszkają, wskazywali nam drogę podziemną; skorośmy weszli w ziemię, drogi podziemne strzeliły wązkimi ramionami na wsze strony, z każdego ramiona nowe drogi rozchodzą się, krzyżują się, w nowe ramiona rozdzielają się i tak się wiją pod miastem, a nieskończonym biegiem przechodzą na drugą stronę Dniepru. Pieczary te ogrzane miłym ciepłem ziemi, pełne są czystego powietrza, a światło, które sam niesiesz, rozświeca ciemność i pokazuje ci błyszczące ołtarze, bogate zasłony, otwarte srebrzyste trumny, a w nich ciała Świętych owinięte w jedwabne lite szaty; tu przez okienko widzisz Świętego klęczącego, dalej spotykasz ich razem po dwóch, po trzech; dalej Siedmiu Braci Śpiących, co wystawili cerkiew zofijską, przyszli tu, gdzie ich widzisz, pokładli się i zasnęli na wieki snem błogosławionych. Dalej spotykasz Śgo. Jana, co stał kiedyś, a z cza-

sem wchodzi w ziemię, a gdy się cały zagrzebie, to się świat ma skończyć; dziś już się wkopał do piersi. Chodzi się po tych pieczarach przez parę godzin, i tylko małą częśćkę obejrzy się, a co krok to nowy Święty, a niemal przy każdym jakieś świętości do nabycia; przy tym obrazki, przy téj krzyżyki, przy tamtéj pierścienie. Są którzy mówią, że urywali tym Świętym słomiane palce, ja tego nie widziałem; ale wkrótce po mnie zwiedzała te pieczary ze swymi przyjaciółmi pewna moskiewska pani, a zwiedzając, śmiała się z prostoty tych, co wierzą w Świętych; w ciągu téj lekkomyślnéj wesołości zbliżyła się do Św. Barbary, na której palcach zawsze pełno pierścieni dla wiernych; płaci za pierścień i chce go zdjąć sama, jak inni czynili; bierze za jeden pierścień, pierścień nie daje się, próbuje drugi, i drugi zejść nie chce, porywa za trzeci, i trzeci się opiera; ręka jęj zadrżała, strach ją objął, przelekła się własnego życia i została pokutnicą.

Po dziesięciu dniach pobytu w Kijowie, pokonczywszy roboty, jak kto mógł, ten kupiwszy parę wiosek, ten przedawszy zboże, co się ma urodzić, ten opłakawszy czyjeś straty dla tego, że sam na nich stracił, ten ograwszy się, jak włoskie skrzypce, tamten zakochawszy się jak kot, a każdy nakupiwszy smażenin i kawioru, herbaty i cukru, śledziów i minogów, nowych książek polskich i nowy kalendarz berdyczowski, wraca do domu, rad, że cały się wyrwał ztamtąd, gdzie wojenny gubernator i twierdza. Zmyka się do domu, kiedy sanna ginie, a kiedy trwa sanna, to się jeździ rzemienym dyszlem, tu polując, tam tańcząc, a wszędzie hulając.

Ślub siostry.

Na dziedzińcu kończą na łeb na szyję chwilowy gmach na uczty i tańce, w mgnieniu oka wyrosły na około niego i drzewa i kwiaty; drzewa i kwiaty wciśnęły się do obszernéj izby, skromne drzewa po kątach

stały, a ciekawe kwiaty pną się po słupach, wdrapały się na gzymsy, niektóre wieńcem splotły się, jak gdyby tańczyć chciały, inne spocząwszy na zwierciadłach dziwują się swój krasie, inne wlażyły na sufit, poczepiały się po oknach i świecznikach. Już szkli się posadzka, już wszystko gotowe.

Pojazdy i cugi pana młodego spoczywają dzień cały, a nadedniem, żeby nikt nie wiedział, woźnice ujeżdżają konie i uczą je, jakimi płasami w dzień ślubu zatańczyć mają. Muzyka mego wuja ciągnie jakby oddział wojska, za nią wozy z przyborem muzycznym, jak z bronią, ze strojną barwą, jakby ze zbrojami: idąc przez wieś brzmi polskiego, stanawszy na dziedzińcu zwinęła się w kłębek, a z tego kłębka wywinęły się śpiewne dźwięki, świeże i czyste jak panna młoda; zgodne jak dobre małżeństwo.

Goście zjeżdżają się tłumnie; u wrót wsi stoją kozacy na koniach i rozprowadzają gości po dworach. Już wszystkie dworki zajęte; w każdym stroją się panie i panny, każdy dworek wnet ustrojony w kobierce i zwierciadła; w adamaszkową kotarę i w srebrną gotowalnię; w mgnieniu oka każdy dworek zmienił się w świątynię dumania i wdzięków, a nad każdym gdzie są goście powiewa chorągiew. Gościnne konie spoczywają, a dworskie powozy gości rozwożą i zwożą; młodzi niecierpliwa a grzeczna, odwiedza i konno i pieszo i powozami; ruch na wsi, jak gdyby w mieście w czasie ostatków.

We dworze cicho — ksiądz Markiewicz słucha państwa młodych spowiedzi, uczy ich powinności małżonków i rodziców; panna młoda płacze — pada do nóg matce — dziękuje jej za to, że ją wypielegnowała — płacze — przeprasza matkę za wszystkie jej kłopoty i trudy — za wszystkie uchybienia swoje — i jeszcze więcej płacze — matka i córka płaczą, a jak ksiądz Markiewicz powiedział — opuścisz dom matki i ojca, a pójdziesz za mężem twoim — i matka i córka zachodzą się od płaczu; matka tuli swe dziecko. — Pan młody

i bracia patrzą na to i milczą i płaczą — a kapłan świątobliwy słowami religii zabrania zbytniej czułości. Tak było dniem przed ślubem. Nikt panny młodej nie widział dnia tego; przepłakała i przemodliła noc całą, a nazajutrz ukłękła do ślubu z suchém okiem, bo już łez nie było.

W dzień ślubu pojazdy pana młodego wjechały z hałasem na dziedziniec, pan młody wyskoczył z pierwszego powozu; woźnice czwaniąc się końmi jak dziećmi swemi, objeżdżają w koło; dyszlowe tylko ciągną, licowe idą w samych poskokach, naręczny forytarski podniósł łabędzią szyję, jak gdyby czuł, że najpiękniejszy, wszystkie parskają na szczęście dla państwa młodych, a młodzież chwali dzielne konie i cieszy się jak swemi.

Około południa wszyscy zgromadzali się w bawialnej komnacie, gdzie długim rzędem wiszą rodzinne wizerunki. Matka zajęła pierwsze miejsce; pannę młodą prowadziło dwóch braci; pana młodego dwie panny; weszli — padli do nóg matce — matka błogosławiła — łza spokojna spłynęła po licach — oderwaliśmy naszą siostrę od nóg matki i przy odgłosie trąb i kotłów poprowadziśmy ją do ołtarza. Po ślubie od ołtarza odprowadzali moją siostrę stryj i wuj, oba żonaci, a jej męża dwie panie zameżne.

Dopieroż zaczęły się zabawy i wrzawa; mężatki ciągną moją siostrę do siebie, a ona do panien ucieka; młodzież droczy się z panem młodym, odgania go od siebie, aż wkupił się do nas obietnicą stuletniego wina na cukrową wieczerzę.

Izba jadalna przystroiła się w herby państwa młodych, cukry błyszczały ich imionami; państwo młodzi zasiedli pierwsze miejsca; po dwóch godzinach obiadu zaprawionego muzyką i wesołością, po hucznych zdrowiach i państwa młodych i ich rodziców i kobiet i różnych obecnych ze starszizny, przyszło nakoniec — *kochajmy się!* i przecież wstali od stołu. Po obiedzie spotykam kuchmistrza stojącego przy drzwiach, z chlubą go pytam: — a pieczeń łosia? była panie, jakem wcho-

dził, wtedy dano łosia, odpowiedział głosem uroczystym, rozśmiałem się a nie było z czego, bo w każdym stanie próżność, bo każdemu zdaje się, że wszyscy na niego patrzą. Nazajutrz pan kuchmistrz przyszedł do państwa młodych z winną polewką po dukaty.

Moja siostra, co wczoraj błyszczała tylko urodą, dziś wystąpiła w perłach i brylantach; co wczoraj miała włosy w kwiatach, dziś je pod czepek schowała; co wczoraj była w powiewnej bieli, dziś uwinęła się w szal ogromny, bo taki zwyczaj; co wczoraj ją prowadzili do ślubu, ona dziś odprowadzała od ślubu męża ochmistrzyni swojej, bo już ona pani, a choć najmłodsza między nami, już niby najstarsza; bo to ten ślub dziwy wyrabia, lotne panienki przerabia w poważne panie, a stare panny w młode mężatki.

Po trzech dniach wesela i tańców, goście zaczęli się rozjeżdżać, i rozjeżdżali się cały tydzień; po tém nuż objeżdżać sąsiedztwo, hulać po sąsiedztwie; nakoniec odprowadziliśmy naszą siostrę do jej nowego domu.

PAMIĘTNIKI NIEMCEWICZA.

Urodziłem się dnia 16. Lutego 1758 w Skokach, majątności o dużą milę od Brześcia litewskiego, z Marcelego Ursyna Niemcewicza i Jadwigi Suchodolskiej. Ojciec mój bogobojny, wielce był biegłym w dziejach narodowych; znał dobrze wady bezrządu naszego, ubolewał nad niemi, a co na ów czas rzadko, przyjacielem był rządu monarchicznego i dziedzictwa berła.

Znajduje pociechę w wspomnieniu o matce mojej, była to prawdziwie starodawna cnotliwa Polka, do rzadkiej w młodym wieku i aż do późna piękności łączyła ona czysty rozsadek, tkliwość serca i dobroć. Najlepsza matka i małżonka wydała na świat 15 dzieci, z których osmioro w młodym wieku pomarło. siedmioro żyło je-

szcze w początku wieku tego, dziś ja najstarszy sam jeden zostałem.

Cofam się teraz pamięcią w pierwiastki dzieciństwa mego, te może przytomniejszemi mi są jak świeższe zdarzenia; na świeżym bowiem mózgu dzieciennym, nie stwardniałym przez lata, głębiej się wyobrażenia ryją. Nie wspomnę jak to, co obyczaje i ducha wtenczas panującego malować może.

Najznaczniejsza osoba, która wówczas u nas bywała, był ksiądz Infulat Rogaliński, opat Wistyecki. Kiedykolwiek prałat ten miał nas odwiedzić, cały dom nasz po-bożny nadzwyczaj był w poruszeniu; w pokojach, w kuchni, w piwnicy przygotowywano wszystko, co mogło być najlepszego; zaniatano, okurzano, zatykano świece jarzące, stawiano stoliki, warcaby, nowe karty do maryasza. Opat Infulat miejsca, gdzie był słynący cudami obraz Matki Boskiej, był to wielki personat; ubierano mnie w nowe sukienki, uczono, bym jak tylko ksiądz Opat wnijdzie do pokoju, wraz plackiem padł mu do nóg i całował obydwie, jakoż tak czynilem; Infulat mnie podnosił i całował policzki. Był to ksiądz przystojny, otyły, wesóły, w powinnościach kapłańskich i obyczajach nieposzlakowany, lubiący polowanie. Pamiętam jak nieraz przyjeżdżał do ojca mego, by z ganku strzelać w lot jaskulki. Po obiedzie grano w warcaby, wieczorem w maryasza, pancerolę, kontra, tryszaka; kasztelan już nie był dobrego tonu.

Na wszystkie święta jeździliśmy do Wistyc i zostawali nietylko na obiad, lecz często na noc; opactwo było obszerne i dogodne, opat żył przystojnie, księża Cystersi toż samo; mieli oni codziennie szklankę miodu na obiad, w niedzielę i święta lampeczkę wina, jak to zwano na konsolacyą.

We wszystkich życia tego smutnych przygodach, strapieniach, udawano się z szczerą wiarą do Matki Boskiej Wistyeckiej. Raz ja mały zachorowałem dość niebezpiecznie, ofiarowano mnie do cudownego obrazu, a gdym wyzdrowiał, kazał mój ojciec zrobić *rotum*. to

jest wizerunek lany z czystego srebra, mnie malenkiego; poszliśmy moi rodzice, panna dworska, służący, duży pajuk i ja piechotą do Wistycy na noc, by nazajutrz przy wotywie zawiesić ofiarowane *ex votum*. Nazajutrz poszliśmy do kościoła, a gdy miała wynieść wotywa, i ksiądz Opat miał już wynieść in pontificalibus, rozesłano dwa duże kobierce dla moich rodziców, dla mnie mały, położyliśmy się wszyscy krzyżem jak dłudzy i przez całą wotywę pobożnie leżeli; zawieszono potem srebrny wizerunek u pozłacanego rękawa Matki Boskiej. W czterdzieści kilka lat potem, gdym Wistycę odwiedził, widziałem jeszcze ten świecący się mój wizerunek; uległ zapewne powszechnemu dziś zniszczeniu.

Mówiąc o Wistycach, muszę jeszcze jedno uczynić wyznanie. Raz gdy ks. Infułat powrócił z Warszawy, pospieszyli rodzice moi odwiedzić go; wieczorem zaczęto grać w karty, ja postrzegłszy na bocznym stoliku leżący kalendarzyk polityczny, w czerwony safian pięknie oprawny i pozłacany, podobno były w nim obrazki, przewracałem go długo, nareszcie tak mi się podobał, iż schowałem go do kieszonki i z nim do domu wróciłem; lecz o Boże, jaka burza, gdy to ojciec mój postrzegł, jak strofował, mówiąc, że kraść cudzą rzecz, jest to największy grzech przed Bogiem i wstyd przed ludźmi. Gdyby nie dobra matka moja, możeby się było skończyło na różgach. Umyślnym odesłano kalendarzyk napowrót, a surowe naponnienie tak mocno przejęło mnie trwogą, iż przysięgam, iż odtąd nicem w życiu mojem nie ukradł.

Pamiętki wielkiego nabożeństwa rodziców moich silnie w umyśle moim utkwiły; właśnie w r. 1764 zaczęła się missya w Brzesciu u kss. Dominikanów; ks. kaznodzieja Obłoczyński z wymowy i światobliwości swojej głośno słynąć zaczął. Całe województwo Brzeskie Litewskie zjeżdżało się by go słuchać, moi rodzice byli pomiędzy pierwszymi i nieraz brali mnie z sobą. Nauki księdza Obłoczyńskiego wiele dobrego sprawiały. Patetycznym głosem zachęcał on do zgody, do darowa-

nia uraz; nieraz gdy silnie krzyknął, *przepraszajcie się!* zacięci od lat wielu nieprzyjaciele, występowali z ławek, szli ku sobie i łzy wylewając, ściskali się i przepraszaali się nawzajem. Jak piękny tryumf religii! w uściech cnotliwego kapłana ileżby się przyczyniała do uczynienia ludzi dobrymi.

Wracam do księdza Obłoczyńskiego; wkrótce gorliwa pobożność, ostre pokutne życie jego, uczyniły go więcej jak człowiekiem, uczyniły go świętym. Był to człowiek średniego wzrostu, chudy, blady, słodki, pokorny; uszanowanie dla niego było bez granic, gdy do rodziców moich przyjeżdżał; wszyscy całowaliśmy go w ręce. Nie chciał stać we dworze, obrał sobie mały pokoik w oficynie; rano gdy mu zaniesiono kawę, dla umartwienia lał do niej ukrop. Gdy odjechał, panna Chajecka, panna matki mojej, jak wszyscy bardzo nabożna, klękała i gołemi kolanami sunęła się od dworu do oficyny, gdzie ksiądz Obłoczyński nocował; całując cały czas ścieżkę, którą święty ten kapłan przechodził. Wkrótce mąż ten świątobliwy, otrzymał sławę zgadywania i przepowiadania wszystkiego. Raz wśród kazania raptem się zatrzymał i rzekł: *król umarł!* w kilka dni potem przyszła wiadomość, że August III w Dreźnie życia dokonał.

Jedno jeszcze z przypomnień dzieciństwa mego, jest siedmioletnia wojna; często bowiem mówiono o niej. Dziwno jak w narodzie naszym cenioną jest sława wojenna. Król pruski, zachęcony nierządem i polityczną słabością naszą, nie uważał godności narodu, jak po własnym kraju wysyłał swe wojsko po Polsce, by do służby jego werbowali ludzi naszych; przecież mimo tych obelg, że odnosił zwycięstwa, że w złych przygodach pokazał się wytrwałym, życzenia Polaków były za nim. Żydzi kramarze niemało zarabiali rozwożąc po dworach chustki z wyciskaniem na nich portretami Fryderyka pruskiego nazwanego później przez Prusaków *der einzige*, bo *der grosse* niedość było dla nich.

* * *

Nim dom rodzicielski opuszcze i przystąpię do opisu drobnych zdarzeń życia mojego: nie będzie od rzeczy wspomnieć, jakie w drugiej połowie XVIII. wieku były w Polsce zwyczaje mieszkającej po prowincjach majątniejszej szlachty, tém potrzebniejszém to sądzę, iż zwyczaje te coraz bardziej zamierają, a wkrótce nie będzie nikogo coby je pamiętał.

Przedniejsze cechy obyczajów owych były: pobożność, gospodarstwo rolnicze, gościnność, uprzejmość. Po śniadaniu ranném i modlitwie wyjeżdżał gospodarz w pole obzierać roboty wiejskie, obiad zawsze w południe; ktokolwiek nań przyjechał, wdzięcznie przyjęty, po obiedzie grano w maryasza, dalej rozmowy, o siódmej wieczerza, po dziewiątej udawano się do łoża. W jesieni i zimą polowanie wiele czasu zabierało; ojciec mój posiadał obszerne lasy, pamiętam, że niedźwiedzie znajdowały się w nich czasem, lecz wkrótce, gdy zaczęto wydzierać nowiny, karczować, pouciekały niedźwiedzie; lecz dotąd mało znana pszenica, zamiast komiengą posyłane zboże do Gdańska skutami, powiększyło dochody. Wielkie święta, imieniny, zapusty, obchodzone były z hojnym dostatkiem, uroczystością, weselem.

Na Boże Narodzenie, Wielkanoc i imieniny, przyjeżdżali z Brześcia i okolic przełożeni klasztorów z oracyami; na Boże Narodzenie kończyły się zawsze życzenia temi słowy: „aby ten małeńki urodzony Jezus zsyłał *largiter* na dom wasz wszystkie prosperitates i successa.

Nie dosyć na tém, przychodzili paupery, studenci z Brześcia, z gwiazdą, z jasełkami i dyałogami. Treść wystawień tych było narodzenie Chrystusa, Trzej Królowie i Heród wycinający dzieci w Betlehem. Wystawienie to zabawiało nas, zachwycało więcej niż dzisiejsze Rossiniego opery. W szkołach kss. Jezuitów w Brześciu na teatrze zwykli starsi studenci grywać dyałogi nakształt melodramów dzisiejszych. Jeden z nich wy-

stawiał Ś. Franciszka Xawerego w Indyach, broniącego miasto przeciw niewiernym. Baszty i mury malowane były na kartonach. Indyanie strzelali do nich z łuków, waliły się baszty i wieże, lecz ukazywał się wśród kartonów Ś. Xawery, upadłe na ziemię mury sznurkami znów podnosiły się do góry. Druga sztuka, był Ś. Antoni Padewski nad brzegiem morza każący do ryb; karpie, szczupaki, okonie, raki, wyścibiwszy głowy nad wodę, z otwartymi pyszczkami słuchały świętego; przyznam się i ja jak mała płotka słuchałem, dziwiłem się i wierzyłem.

Wigilia Bożego Narodzenia była wielką uroczystością. Od świtu wychodzili domowi słudzy na ryby, robiono na rzece i toniach przeręby i zapuszczano niewód; niecierpliwie oczekiwano powrotu rybaków, jakaż radość, gdy przyniesiono ceber z rybami, a matka moja dawała kucharzowi rozkazy, jak każda ryba miała być przyprawiona. Dnia tego jednakowy po całej możej Polsce był obiad. Trzy zupy, migdałowa z rodzenkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziem, kucya dla służących, krążki z chrzanem, karp' do podlewy, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okonie z posiekanemi jajami i oliwą, etc. etc. Obrus koniecznie zasłany być musiał na sianie, w czterech kątach izby jadalnej stały cztery snopy niemłóconego zboża jakiego. Niecierpliwie pierwszej gwiazdy czekano, gdy ta zajaśniała, zebrali się goście i dzieci, rodzice moi wychodzili z opłatkiem na talerzu, a każde z nich biorąc opłatek, obchodziło wszystkich zebranych, nawet służących, i łamiąc go, powtarzało słowa: „bodajbyśmy na przyszły rok łamali go z sobą.“ Potém do uczty, która się do późnej przeciągała nocy, wino dodawało wesołości, śpiewano pieśni z kantyczek, szczególniej:

W żłobie leży

Któż pobieży

• Kolędować małemu etc.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że nuta ta miarą

polskiego tańca złożona, była faworytnym tańcem króla Władysława IV.

Obrzędy wielkanocne były następujące. W wielki Czwartek równie suto rybno jak w wigilią był stół zastawiony. Na wielki Piątek jeździliśmy do Brześcia do kss. Jezuitów na passyą, wchodziło do kościoła bractwo Biczowników, okryte od stóp do głów białą płócienną kapą z kapturami, w których miejsce tylko na oczy było wycięte. W bractwie tém znajdowali się pierwsi obywatele województwa, na czele bractwa byli starsi z laskami w rękę, za danym znakiem odkrywali pokutnicy swe plecy nagie, chłostali się dyscyplinami, niektórzy tak okrutnie, iż plecy ich krwią spływały, powtórne uderzenie laskami było znakiem, żeby przestać, powtarzało się to pięć razy na pamiątkę pięciu ran chrystusowych. Wiele osób w wielki Piątek wstrzymywało się od jedzenia, wieczorem przestając na szklance piwa, a z oliwą i kminem suchą posoloną grzance chleba. Nie powinienem przepomnieć jednego jeszcze wielkanocnego obrządku. W wielką Środę, na pamiątkę, że w ten dzień Judasz wydał Chrystusa Pana, studenci rzucali z chóru kościelnego *kota*, jakby to Judasza, drudzy czekali na dole z kijami, gonili go, bili, aż zabili.

Wielka Sobota poświęcona była do strojenia grobów Pańskich i odwiedzania ich. Kobiety zatrudnione pieczeniem placków i ciast wielkanocnych na święcone. Późno w nocy lub nazajutrz odprawiała się rezurekcyja z wielką uroczystością. Pierwsze osoby niesły baldachim nad celebrującym księdzem. Pyszne placki, mazurki często trwały aż do przewodniej niedzieli, lecz grzechem było trzymać je dłużej, okruszyny nawet rzucano w ogień.

Po Bożem narodzeniu zaczynało się życie wesołe, odwiedziny, polowanie na wilki. Te jako szkodliwe trzodom, starano się wszelkimi sposobami wytepić, kopano doły z lekka wytrzesione słomą, w środku na żerdzi przywiązywano gęś lub kaczkę, gdy słoma śnie-

giem przytrzęsniona została, a gęś krzyczeć zaczęła, nieraz wilk chcąc ją jednym susem porwać, w dół wpadał: nic pokorniejszego jak wilk w dole głębokim, wierzyc mu atoli nie można, psami zaszczwać, lub zabić go potrzeba.

Niebezpieczniejsze polowanie na wilki było z prosięciem. Młodzi kawalerowie wsiadali na sanki biorąc kilka sztućców i prosię z sobą. Kręcili prosię za ogon, kwik onego tak przyjemny wilkom zgromadzał ich ze wsząd, wtenczas młodzież strzelała do nich kilku, lecz gdy gęsta była gromada i śmiali naczelnicy, ściągali czasem strzelców i pożerali ich.

Następowały zapusty. Tu ustawne zapraszania, kuliki, a w ostatki hulanie bez miary. Jeżdżono kulikami, to jak zebrało się kilka familii i jechało do sąsiada, za ich przyjazdem gospodarz oddawał im klucz od piwnicy i spiżarni, jedli i pili aż nie wypróżnili wszystkiego, wtenczas zabrawszy z sobą gospodarza jechali dalej, tak wesoła gromada powiększając się coraz jak kłęb śniegu, objeżdżała powiat cały, zwyczajnie do najmętniejszego przybywano na końcu, zwyczaj kulików w ostatnich czasach coraz bardziej ustawał.

Na same ostatki zapraszana była familia i bliżsi przyjaciele, jak się tam zmieszczono, dziś gdy obszerniejsze palace i mieszkania stawiają, trudno pojąć zdaje się. Przedniejsi tylko goście mieli pokoje osobne, reszta mieściła się w obszernej stołowej izbie, każde małżeństwo przybywało z pościelą w dużym tłumoku, słano więc tę pościel pokotem. Parawanik na żelaznym drążku śrubowany, na prętach onego w górę zawieszona karmazynowa kitajkowa zasłona łoża. Po ranniej kawie lub wódce z zakąską piernika, tłuczniczy lub tatarskiego ziela, dla mężczyzn wnoszono na dużych półmiskach bigos hultajski, kwaśnej kapusty z wędliną i kielbasy, i znów wódkę, wszystko to spałaszowano, równie jak w godzinę potem zastawiony obiad obfity; niewiem jakie żołądki mieli ojcowie nasi, lecz jedli i pili dziś nie do wiary. Po obiedzie grano w karty, maryasza, try-

szaka, kontra, pancerolę, dzieci w gaskę. Kwindecza i faraona Moskale dopiero wprowadzili. Tańce polskie, mazurki kończyły wieczór. Muzykantów żydów sprowadzono z Brześcia. Orkiestr ten składał się z cymbałów, ze skrzypców i z basetli. Cymbały najwięcej czyniły hałasu, pejsaki żydowskie jak gdyby wichrem wzdęte, trzęsły się nad niemi okropnie.

W początkach Lutego o Gromnicach, przypadały sejmiki deputackie, zbierała się szlachta do Ojców Bernardynów, i obierała dwóch deputatów na trybunał Litewski, ostatecznie przez sześć miesięcy w Grodnie, przez drugie sześć w Wilnie sądzący, wcześniej ukartowane wybory kończyły się zgodnie i prędko. Wybrani lauttissime traktowali szlachtę braci, każdy powracał do domu. Takie zwyczaje, takie życie nieobrażające w niczem ni moralności, ni przystojności, mogły być długo zachować Polskę w pokoju (zatargi i czuby między panami niedługo bowiem trwały), gdyby Polska była wyspą, sromem niedostępnemi skalami otoczoną, ale że była krajem na wszystkie strony na oścież otwartym, że nie uważała, że szlachta, która sobie wszystkie rzędy i prawa i pieczę nad krajem przywłaszczała, dbała jedynie o wiarę katolicką i zgubne swe przywileje, spuszczała się na wszystkich świętych, nie chciała ni płacić podatków, ni mieć wojska do obrony kraju, nie dziwić się przeto, że wkrótce przyszły czasy, że czyhający na dziedzictwa jej sąsiedzi swe zamysły spełnili na niej.

* * *

Nastąpił rok 1777, a w nim kończy się bieg nauk moich w korpusie kadetów, mogę powiedzieć, że miałem wszystkich nauk w szkołach publicznych dawanych, żadnej jednak dokładnie. Do matematyki mało miałem zdolności. Historia i literatura więcej miała dla mnie powabów. Weześnie obudził się we mnie smak do poezyi, w szesnastym roku napisałem poemat *Monomachia* czyli wojnę kobiet. Treść była następująca:

zwykliśmy byli chodzić wieczorami w Niedzielę do kapitanowej Dyszkiewiczowej od gwardyi litewskiej, tuż przy pałacu mieszkającej, zchodziło się tam wiele żon i córek oficerskich, ztąd umizgi młodziuchnych kadetów do nich, zazdrości i kłótnie, opisanie więc ich w poemacie epiczno-komicznym zawarłem; żałuję, że to poema zginęło, ciekawym byłbym widzieć plód chłopięcej muzy mojej, pamiętam tylko dwa pierwsze onego wiersze, nie wiele o całym dziele rokujące.

„Walecznych bohaterek śpiewać będę dzieła,
Zkąd się wojna kobieca w koszarach zaczęła.“

Nie wiem jak plód ten dziecinny dostał się do komendanta naszego ks. A. Czartoryskiego, G. Z. P. Raczył zwrócić nań uwagę i sam krytykę poematu tego napisał i mnie oddać kazał, wytykając błędy; jako dobre naznaczył dwa wiersze i miejsce, gdzie dwa przeciwne wojska kobiet z podniesionemi wachlarzami do starcia się

„Krzyząc niezmiernie, w takiej lecą wrzawie,
Szeregiem długogarle do cieplic zórawie.“

Od tego czasu zacząłem bawgrać wiersze i nałóg ten nie opuścił mię przez lat z górą sześćdziesiąt. W miesiącu Sierpniu 1777, po odbytych egzaminach, wyjechałem z stryjecznym bratem moim Ignacym Niemcewiczem do rodziców. Ignacy został u ojca w Neplach, ja pospieszyłem do Klenik, do rodzinnego domu. Nie wyrównać nie może radości wyborniej matki mojej, widząc dorosłego już pierworodnego syna. Dwaj młodszy bracia moi, Jan i Kajetan, przyjechali także na wakacje ze szkół pojezuickich, pod księdzem Obrompalskim w Brześciu. Cztery siostry moje były jeszcze małe. Niestety! z siedmiorga nas naówczas, jam tylko najstarszy ze wszystkich pozostał.

Wtenczas to odebrał ojciec mój od ks. Czartoryskiego z Wołczyna zaproszenie, by go odwiedził. Był tam zjazd wielki z przyczyny spodziewanego tam przybycia króla

Stanisława Augusta. Całe województwo Brzeskie Litewskie zjechało się do Wołczyna. Rodzice moi wzięwszy mnie z sobą przybyli tam także. Wołczyn był dawną majątnością ks. Czartoryskich; objął go książę General jako spadek po stryju swoim księciu Kancelerzu Litewskim. Tu księcia Kancelerza siostrzeniec król Stanisław August urodził się, pokazują dotąd dom, gdzie pierwszy raz dzień ujrzał. Pałac o jednym piętrze obszerny, z kilką oficynami i trzema dziedzińcami, sale i pokoje bogato umeblowane, między portretami pamiętam w naturalnej wielkości portrety dwóch królów Augustów, żony Augusta III. w bogatej na rogówce sukni, a na tej wyszywane były papugi winogrona jedzące, portret Karóla XII., matki królewskiej trzymającej za rękę siedmioletniego Stanisława Augusta w żupaniku białym i kontusiku karmazynowym. Duże sale w marmurach z złotem lisztowaniami, słowem wszystko po pańsku.

Przyjechał nakoniec król, całe województwo wysypało się na ganek dla przywitania go. Bawił dni kilka, przez które codzienne bale i uczy; król tańczył ze wszystkimi urzędnikami. Matka moja nie lubiąca go dotąd mniemając, że z Moskalami trzymał, ujęta grzecznością jego, pogodziła się z nim wcale.

Po odjeździe królewskim, gdy się przerzedzila kompania, książę General przystąpiwszy do ojca mego: syna Wać Pana, rzekł mu, biorę do siebie i będę miał o nim staranie; a księżna żona jego, wtenczas w całej swojej piękności, siedząc z matką moją na kanapie, rzekła jój: tak jest, weźmiemy go i nie oddamy prędzej aż ożenionego. Nie spełniło się to ostatnie przyrzeczenie, lecz spełniło się pierwsze, książę bowiem przez długie lata był mi prawdziwym ojcem.

Powróciliśmy do domu dla oporządzenia mego, a gdy to się skończyło, ojciec odwiózł mnie do Wołczyna i zostawił mi wiernego hajduka swego Teodora jak służę i jak guwernera, mnie zaś dał 10 czerw. złotych. Nigdy tak bogaty nie byłem.

Znalazłem się na dworze pana wielkiego, lecz swia-

tlejszego, uczeńszego niż inni panowie nasi. Dwór jego zawierał wielu urzędników, oficyalistów, cudzoziemców, metrów, prócz przyjeżdżających codziennie gości. Stół był zawsze na 60 osób nakryty prócz marszałkowskiego.

Książę zostawszy właśnie wtenczas komendantem szczupłego wojska litewskiego po śmierci jenerała Wi-thinghoff, mianował kapitana Berken, przy nieboszczyku będącego adjutantem, porucznika Orłowskiego i mnie adjutantami swymi.

Książę chcąc mię zapewne zaprawić do stylu i zatrudnień łatwą jaką pracą, dał mi do tłómaczenia dawny romans francuzki *Histoire secrete de la Reine de Navarre*. Później tłómaczyłem inne stare romanse, *Histoire de Jean de Bourbon prince de Carencey, le siége de Calais*, wszystko to dało mi jakąś łatwość w stylu, zwyczaj zatrudnienia, lecz jak nierównie lepiejby było gdyby mi dano było coś ważniejszego i pożyteczniejszego do tłómaczenia, jak n. p. historią Karóla V. przez Robertsona; mniemano zapewne, że dzieło tak ważne było jeszcze nad siły moje. Nie przestawałem przecież na prozie. Djabełek poezyi kusił mię zawsze. Jałem więc tłómaczyć pierwsze poezye, co mi wpadły pod ręce, to jest Henryadę Voltera i przetłómaczyłem dwie pieśni, dowiedziawszy się atoli, że p. Chomentowski już poema te przełożył, dałem pokój.

Jesień była pogodna i piękna, dworscy wyjeżdżali na polowanie z chartami szczując zające, lisy i wilki, sam książę wychodził z krogulcem, puszczając go na przelatujące czaple i inne ptastwo, nieraz na przykrywanie siecią kuropatw. W Listopadzie ruszyło księstwo przodem do Warszawy, dwór później za nimi, dziwno dzisiaj zdawać się będzie, jak wielcy panowie podróżowali naówczas. Stanowniczy jechał dniem wprzód zapisywać kwatery, przygotowywać żywność i furazę. Do dnia wychodziły sześciokonne bryki, z kuchnią, kredensem, piwnicą, dalej karety z dziećmi, damami, rezydenci jechali we własnych pojazdach, my adjutanci i dworscy konno, dawano nam atoli wózki pod rzeczy

i sługi. Przyjeżdżając na popas, zastawaliśmy już obiad gotowy, toż samo na nocleg, drogi tak były złe, ciężary powozów tak ogromne, iż ledwo pięć mil na dzień ujeżdżaliśmy i z Wołczyna do Warszawy, 25 mil, pięć lub sześć dni wlekliśmy się.

W Warszawie w błękitnym pałacu, mnie i koledze memu Orłowskiemu dano jeden pokój z przegrodą dla sług, nikt bowiem wtenczas bez sługi obejść się nie mógł. Zacząłem wtenczas pobierać pensyą moją adjutancką 8 czerw. złotych na miesiąc, nadto książę każdemu z nas dawał konia wierzchowego i masztalerza, powinnością naszą było utrzymywać korespondencyą z pułkami wojska lit., odpisywać na przychodzące listy i raporta. Z rana, gdy książę siadł do fryzowania, przychodziliśmy z listami do podpisu. Zwyczajem naówczas było, że znaczni nawet urzędnicy przychodzili z rana do wielkich panów z czolobitnością swoją, jakoż przedpokoje i pokój ubieralny jego zawsze były pełne. Książę rzadko kiedy jadał u siebie, zawsze u ojca, małe księżniczki z guwernantką, my i adjutanci u marszałkowskiego stołu.

* * *

Na sejmie 1780, gdy powierzony Andrzejowi Zamojowskiemu wprzód kanclerzowi W. Koronnemu, kodex praw dokonczonym został, wniesionym został do aprobacyi stanów: lecz gdy usłyszano zamiar nadania opieki i swobód miejskiemu i włościańskiemu stanowi, pełna jeszcze naówczas przesądów szlachta, z oburzeniem odrzuciła go całkiem, byłem ja na téj sessyi i nad tą zgrozą cierpiałem. Wnoszono nawet, by pod karą odsadzenia od czei i sławy, nikt kodeksu tego na potém wnosić się nie ważył, lecz głos księcia Stanisława Poniatowskiego odwrócił ten brzydki wniosek.

W tym roku zaproszony został książę od Radziwiłła Wojewody Wileńskiego do Białej na wesele przyrodnej siostry jego, idącej za mąż za młodego Massalskiego synowca biskupa Wileńskiego. Zjazd był w Białej nie-

zmierny. Prócz księcia przybył tam hetman Ogiński i wielu litewskich panów. Od dawna obronny zamek Bielski podobnego zjazdu nie widział. Lubo pośledniejszy od Nieświeża, w bogatych sprzętach i ozdobach wystawiał przecież dawny przepych polski. Sale obszerne jak stodoły, ozdobione portretami rodziny Radziwiłłowskiej. Bogaty gabinet, w którym wszystkie ściany, posadzka i sufit były z zwierciadeł. Zamek otoczony wałem, przekopem, z obronną bramą, z boku której były więzienia; panowie bowiem sami sadzili sług, włościan swoich, a nieraz i ubogą szlachtę. Sprowadził wojewoda na uroczystość tę 3,000 nadwornego wojska. Gdzież ten cały przepych się podział? I Biała i inne po całej Polsce i Litwie dobra Radziwiłłowskie równające się królestwu saskiemu, z ostatnią Radziwiłłówną poszły w ręce syna Wittgenszteina.

Długie były z biskupem spory koło intercyzy. Dom Radziwiłłowski miał swą osobną pragmatykę, mocą której kobiety z domu tego nie miały więcej posagu jak 20,000 złotych polskich. Chciwy biskup domagał się więcej, hojny lecz uparty Radziwiłł obstawał przy prawach i zwyczajach rodziny, nikt nie chciał ustąpić, schodziły dni, nakoniec ks. Wojewoda wyznaczył godzinę do ślubu.

Ubranie panny młodej odprawiało się publicznie, fryzował perukarz, na kilka pięt wynosząc tupet, na nim pukle, z których dwa wijąc się z góry spadały aż na piersi. Ileż gaz, blondyn, koronek. Panny będące na respekie stały w około trzymając nalewki, miednice, haftowane tureckie ręczniki i części ubiorów żeńskich; my kawalerowie staliśmy z daleka i patrzyliśmy na te obrzędy. Księżniczka oblubienica nie była ładną, lecz słodką i uprzejmą. Cóż powiem o mężu jej Massalskim; nitekczemna, drobna, słabowita figurka, tyle tylko mająca rozpoznania, że się od zwierzęcia różniła, był w niej nawet dobry zapas waryacyi, raczej śmiesznej jak szkodliwej; długo by było wyliczać ją. Massalski powróciwszy z zagranicy udał się do dóbr

swoich Olekszye, jeżeli się nie mylę. W kilka dni urzędnicy powiatowi przyjechali, jak się mówiło naówczas, z rekognicyą do księcia pana. Cóż robi książę pan? wylatuje tyłem domu po drabinie aż na szczyt drapiąc się i tam tlejący węgiel wzięwszy w zęby, żyga nim na stojących gości na dole. A to afrykańska małpa! rzekł pisarz Szwejkowski, nie ma tu co robić, i odjechali.

Massalski był szefem, jakem już wspomniał maleńkiego pułku. Osobliwsze miał on wyobrażenie karności wojskowej, rozumiał, że każdy wyższego stopnia mógł niższego stopniem od siebie bić kijem, i tak porucznik chorążego, kapitan porucznika swego, książę Czartoryski dowódzca całego wojska litewskiego i jego kijem wytrzepać. Na tych zasadach wsparty, rozgniewawszy się raz na pólkownika swego Belcourt, brał się już na niego do kija, gdy obrażony Francuz porwawszy go za piersi i z łatwością podnosząc do góry: *Voulez vous, mon Prince*, zawołał, *que je vous jette par la fenêtre* i już niósł go do okna, nędzne stworzenie zaczęło przepraszać i skończyło się na tém.

Nieskończyłbym, gdybym wszystkie szaly biedaka chciał wyliczać; wracam do wesela. Gdy się gotowania księżniczki skończyła i już w wielkiej sali zebrani czekali by do kościoła wyjeżdżać; nie pokazał się chudy, maleńki pan młody. Zaczęto go wszędy szukać i obleciano cały zamek, znaleziono go nakoniec w małej izdebce służącego, ubranego w lamowój srebrnej sukni jak już do ślubu, leżącego jak długi. Cóż tu książę robisz? zapytał podpułkownik jego Frankoski. Chcę jeszcze cokolwiek utyc, odpowiedziało książątko. Przywiedziono go na dół do sali, gdzie cała familia i goście byli zgromadzeni. Zaczęto czytać intercyzę; tu znów Biskup Wileński, stryj pana młodego, z przyczyny szczupłości posagu, zaczął się przeciw. Księżę Biskupie, zawołał stary Radziwiłł rozdąsany, czerwony, — synowiec waszności ma już lata dojrzałe, może sam sobą się rządzić. Panie szwagrze, rzekł obracając się do Massalskiego, czy chcesz pojąć *in sociam vitae* siostrę moją. Proszę

bardzo, odpowiedział Massalski. Czytaj wasze dalej, odezwał się Radziwiłł, obracając się do mecenasa. Gdy mecenas skończył i już się jechać do kościoła zabierano, znów wysunął się Biskup. Z pasterskiej powinności mojej, rzecze, powinienem jeszcze zapytać młodzieńca, czyli wstępując w stan święty małżeński, wyuczony jest w artykułach wiary świętej. Któż świat ten stworzył? Pan Jezus, odpowie półgłówek. Pan Bóg, odpowie Biskup; wiele jest Bogów? a trzy, odezwie się szeptliwy Massalski, *nie, nie*; jeden we trzech osobach. Panie księże Biskupie, zawołał książę Radziwiłł, to niepotrzebne mitregi, jedźmy do kościoła, to mówiąc, ruszył z miejsca i wszyscy za nim. Gdy wsiadł do karety i my wszyscy za nim, stojące wojsko jego na obszernym dziedzińcu, artylerya, piechota, zaczęło ognia dawać i strzelało aż do końca obrządku ślubnego, kościół gorzał lampami, stanęli państwo młodzi przed ołtarzem, gdy trzy guwernantki księżniczki, pp. Tipelskirch, Sanoan i podobno Borucka rozrzewnione tym widokiem, zemdlały i wywróciły się, książę Radziwiłł tknięty tym widokiem, natychmiast każdej po 6000 zł. dożywotniej pensyi wyznaczył. Wróciliśmy wśród huku armat do ślubnej wieczerzy. Hetman Ogiński wniósł zdrowie familii, gdy przyszła kolej na Massalskiego, powstał z kielichem w ręku i zawołał jak mógł tak głośno, *zdrowie familii dobrodżiki!* Powstał śmiech powszechny i długo uspokoić się nie mógł. Przesadzonymi niejednemu zdadzą się może te anegdoty o biednym Massalskim, lecz ręczę za ich prawdę.

Rozgniewany biskup wyjechał i wraz zaczęła się dawna polska, huczna, serdeczna wesołość. Pito porządnie na obiadach, wraz po obiedzie zaczynały się tańce, nikt w nich prócz kilku młodzieży nieuczył się tańczyć, szły jednak zamaszysto poważne polskie tańce stworzone do ubioru polskiego. Gdy nie tańczono, bywały koncerty najpocieszniejsze w świecie. Któż na nich grał, oto stary Radziwiłł i hetman Ogiński, oba na klarynetach. Ogiński umiejący muzykę, a nawet kompozytor,

grał gładko, lecz przebóg, jakież były kwiczenia księcia Karola Radziwiłła? Lubił on opowiadać historią dzieciństwa i młodości swojej, a raczej wymyślone od siebie dzikie duby; trwa ich jeszcze tradycja po Litwie. Pamiętają starzy ludzie różne historye, które Radziwiłł lubił opowiadać. Jak w pierwszej młodości swojej służył za chłopca u księdza, jak mu usługiwał do mszy, chędożył sutanę, opatrywał konia jego, jak często był bitym. Jak płynąc z Tryestu do Wenecyi spotkała go burza, a gdy okręt całkiem na jedną stronę się przewalał, on skoczył w morze i jak hajduk wywracając się karęte, on okręt barkami swojemi wsparł i ocalił. Raz opowiadał przed królem, że przewodził bateriom szturmującym do Gibraltaru, a gdy się w opowiadaniu do najwyższego stopnia zmyślania posuwał, zaczęto się uśmiechać: nieprawdaż, Panie Michale, obróciwszy się do Morawskiego zapytał, wszak byłeś zemną? Mości książę, odparł Morawski, nie mogę przyświadczyć, gdyż w pierwszym szturmie zabity zostałem. Nie trzeba rozumieć, żeby Radziwiłł sam wierzył tym wszystkim baśniom. Opowiadał je przez jakąś prostotę; wreszcie nie uczony, nie nigdy nie czytający, o nie nie pytający, lubiący mówić, o czémże miał gadać? Lecz nieokrzesany ten człowiek, posiadał najlepsze serce, hojny, popularny, bez najmniejszej pychy, nie za przysłowie ale w rzeczy samej, brał on wszystkę szlachtę za rodzonych braci swoich; w przywiązaniu do ojczyzny nikt go nie przewyższył.

Zbyt długo może rozciągnąłem się nad księciem Karólem Radziwillem i opowiadaniem weselném w domu jego uroczystości; lecz miałem na uwadze, że to było ostatnie w Polsce podobne wesele i że drugiej takiej uroczystości następne pokolenia nie ujrzą. Podaję ją raczej jak ciekawość, niż do naśladowania przykład. Ciekawi obyczajów wieków dawnych, powinni by także starać się dostąpić czytania pamiętników księdza Pijara Kitowicza; ten będąc jeszcze w stanie świeckim, był świadkiem czynów konfederacyi Barskiej i opisywał je

z całą prostotą, ze wszystkimi wieku owego przesadami i dla tego są bardzo ciekawe. Kitowicz zniechęcony głupstwami konfederatów wstąpił do księży Pijarów *).

Spędziliśmy dziewięć dni na ustawnych godach, opuściliśmy Białę. Wjeżdżając na most od Pragi, książę lubiący z ludem rozmawiać, spotkał furmana wiozącego drzewo. Cóż tam słyhać, mój bracie? zapytał. A cóż? odpowiedział furman, nic, tylko że córka starsza księcia spaliła się! Książę dalej pytać nie mógł. Co za cios dla ojca! Było to ulubione dziecko, rzadkiej piękności i przymiotów, spłonęła przez zajęcie się u kolumny muszlinowej sukni i potrwożenie przytomnych. Nie będę rozwodził się nad ciężkim żalem rodziców po stracie tak wielkiej; książę atoli w obywatelskiej usłudze szukał pociechy. Trybunały, lubo już nie tak huczne, pijatyckie, nawet krwawe jak dawniej, potrzebowały jednak przykładu ścisłej sprawiedliwości i przy stojności. Książę więc Czartoryski postanowił na rok następujący być marszałkiem trybunału litewskiego. Został więc deputatem z Słonimskiego powiatu. Z całym więc dworem ruszyliśmy tam w Maju, odwiedziliśmy w Białymstoku panią Krakowską siostrę królewską. Miasteczko Białystok porządkiem, czystością celowało w Polsce. Wspaniały pałac jego mógłby być wszędy panujących mieszkaniem. Właściciel onego hetman Branicki długo przebywał we Francyi i tam nabrawszy gustu do poloru i sztuk pięknych, przeniósł je do majątności swojej. Dwór jego nie był tak tłumnym jak innych polskich panów, lecz był dostojny i przy stojny. Mokronowski, później wojewoda Mazowiecki, obojga państwa był przyjacielem. Pałac umeblowany z najlepszym smakiem, malarz nadworny Miris Francuz malował wcale dobrze supraporty i ozdoby, ogrody pełne kanałów, wytrysków, obszerne i rokoszne. Za-

*) Wiadomo, że ś. p. Edward Raczyński wydał drukiem te pamiętniki Kitowicza w kilku tomach.

staliśmy tam księcia Poniatowskiego ex-podkomorzego W. Ks., był to osobliwszy człowiek; lekkości wszystkie młodociane, passye nie odstąpiły go aż do zgrzybiałości. Dzikie jego były nieraz pomysły. On to wystawił na Szulcu pałac wiejski z ogrodem, wodami, wśród których były małe wysepki, a na nich małe, dziwaczne domki, miał on na wysepkach tych i domkach zaprowadzić kolonię małp, nie mógł atoli nigdy projektu tego doprowadzić do skutku, małpy gryzły się, topiły, zdychały. Lekki, niestały, odmieniał kochanki i faworytów. Zrana wyjeżdżał latem w nankinowym fraku na białym angielskim koniu, bez masztalerza, lecz młody jaskrawo ubrany laufer jak motylek latał przed nim. O godzinie 2-giej jak był zwyczajnaówczas, miał obiad na 10 osób, na którym czarnooka Józefka prezydowała. Dalej teatr. Iluż podobne prowadziło życie!

Miedzy tymi muszę wspomnieć księcia Marcina Lubomirskiego, jednego z najinajętniejszych panów naszych. Ten w stolicy królewskiej trzymał batalion nadwornej piechoty, ta publicznie zaciągała warty u niego z bębniami i muzyką, inniejsza, że hulał, lecz niejednym dopuszczał się przestępstw publicznych. By się z nich wywinąć, pojął córkę feldmarszałka austriackiego Haddika; protekcyą związku tego wszystko pokryła. W kilku latach stracił on prawie cały majątek swój, nakoniec udał się do niejakiego Franka, żyda polskiego, wodza nowej sekty żydowskiej znaniej w Polsce pod imieniem Szapsaswinników; sekta ta łączyła obydwa testamenty, stary i nowy, przypuszczała przyjście Messyasza chcąc uchodzić za Chrześcian, bardzo tajemnie trzymała się dawnych swoich obrządków. Nie łączyła się jak między sobą, grzebała się osobno, zachowywała niedziele i szabas, wszystko atoli tajemnie. Wielu żydów w Polsce przeszło na nią i między tymi najznacniejsi Wołoscy, Krysińscy, Szymanowscy, Lancoronscy; obierali oni bowiem sobie bez skrupułu dawniej szlachty imiona. Frank ten niepospolity był człowiek, umiał wzbudzić w żydach rzadki entuzjazm;

hojne składki zbierano na niego. Lękając się prześladowania w Polsce, przeniósł się do Austrii, gdzie cesarz Józef II dał mu protekcję, trzymał on dwór znaczny w Brynie i żył wspaniale. Pamiętam iż w roku 1783 jadąc do Wiednia, spotkałem go przez Bryn jadącego na spacer w pięknej karecie; sześciu ułanów poprzedzało pojazd. W 10 lat później przeniósł się on do Aszaffenburga, gdzie się z nim złączył książę Marcin Lubomirski i jak mówiono został pół żydem i córkę jego pojął. Odtąd niesłyszano o nim. Zostawił z Haddykowej jedną córkę Łucyą wydaną za Janusza Tyszkiewicza.... Ktokolwiek czytywać będzie zapisywania te, niech się nie dziwi nieporządkowi ich. Chwytam wspomnienia jak się przesuwają w pamięci mojej, cofają lub wyprzedzają czasy. Przerzucenie się księcia Marcina Lubomirskiego na sektę Franka, cofnęło mnie w najdawniejsze chwile dzieciństwa mojego. Rodzice moi mieszkali jeszcze w Skokach, ja mogłem mieć wtenczas lat 6, gdy pamiętam drogą idącą koło dworu z Brześcia do Skoków w piątek mnóstwo wózków żydowskich przelatywało pędem. Mój dobry Boże, mówiła dobra, pobożna matka moja, do czego to przyszło, książę Radziwiłł został żydem, Kapcany lecą do Czernawczyc. Jakoż w rzeczy samej książę Radziwiłł krajczy W. ks. Litewskiego do wielu już poprzednio okazanych znaków szaleństwa przydał i ten, że się żydem uczynił. Co piątek więc lecieli do niego żydzi na boruchy, suty łokszyn, szczupaki i kugiel; do tego prowadziła samowładność panów i szlachty naszej. Przecież zgorszenie moralne i obrażona pycha Radziwiłłowska tak były wielkie, iż familia postarała się o kuratelę nad księciem krajczym Litewskim. Był on ojcem trzech synów: Jakóba który zwaryował, Dominika który się z siostrzenicą moją ożenił i księcia Michała wojewody Wileńskiego, który obu tych braci, lubo Dominik był zdrów, trzymał w kurateli.

Szczegóły te malujące osoby, obyczaje wieku już zeszłego, odprowadziły mnie od podróży naszej na try-

bunał Litewski. Do Grodna, później do Wilna wyjechaliśmy zwykłym licznym taborem i wlekliśmy się powoli z Białegostoku przyjeżdżając do Grodna; miasto to z drugiej strony Niemna korzystnie się wydaje. Ponieważ prawa nakazywały, że każdy czwarty sejm dla dogodności Litwinów w Grodnie miał się odbywać, a dawny zamek, w którym król Stefan Batory umarł, już był zniszczony, August trzeci wystawił nowy, niezbyt jednak obszerny. W tym książę z całym swym dworem ulokował się, a izba sądowa była w sali sejmowej. Deputaci, jak zawsze większa część posłów w Warszawie, tak i tu mieszcili się po klasztorach. Codziennie był stół u księcia na 60 osób. Litwa miała nad Koroną tę korzyść, że nie rozrzucone w księgach praw, ale zawarte w jednym porządnym jasnym statucie ustawy swe miała. Statut ten był dziełem Lwa Sapiehy kanclerza i hetmana W. ks. Litewskiego; zebrał on je ze wszystkich najlepszych prawoksiąg w owym wieku, mianowicie z praw angielskich, w ważnych bowiem sprawach, gdy dekret w jednym dniu napisanym być nie mógł, nie wychodzono z namowy, i sędziowie całą noc zamknięci byli w izbie aż do ogłoszenia dekretu, a to by strony nie miały sposobności widzenia się z sędziami i ujmowania ich sobie. Gdy taki przypadek zachodził ciekawa była rzecz, widzieć hajduków deputackich, znoszących kilkadziesiąt piernatów, i na tych kilkudziesiąt wąsatych deputatów chrapiących pokotem.

Z zaczęciem trybunału w Grodnie w letargicznym stanie Polski zaszło ważne w kraju zdarzenie, o którym wspomnieć należy. Rozległa ekonomia czyli dobra królewskie stołowe, dane były w zarządzenie Antoniemu Tyzenhauzowi, później podskarbiemu nadwornemu W. ks. Litewskiego. Był to niepospolity człowiek. Zwyczajném tylko naówczas Jezuickiém wychowaniem, naturalném pojęciem, biegłym rozumem, pozgadywał czego się nie uczył, czego nie widział, o czém zaledwie słyszał; urządził on na nowo dobra królewskie a chcąc wzniecić nieznany w kraju przemysł, założył

w kraju rozmaite rękodzieła i z zagranicy majstrów do nich sprowadził; w tém tylko zbłądził, że od jedwabnych i zbytkowych zaczął. Nie umiejąc i słowa innego języka jak polski, w towarzystwie p. Bohusza przebiegłego jak sam człowieka zwiedził obce kraje, mianowicie Francją i Holandją i co w nich pożytecznego widział, to bez względu na różnicę położenia i moralnego i fizycznego, a nadewszystko politycznego wzajemnych krajów, cały gorliwością zajęty, chciał do siebie wprowadzić. Wesóły, rubaszny, skory do kielicha, mający w ręku korzystne arendy i nieograniczony kredyt u króla, stał się nietylko popularnym, ale całą Litwą rządzącym tak dalece, że na sejmach gdy przyszło wotować, pierwszy poseł Litewski z Wileńskiego, zniósłszy się z panem Tyzenhauzem, tak zawsze wotował, *cała prowincya Litewska affirmative lub negative*. Zarówno niestety! rządził on trybunałami, mimo możnych Radziwiłłów i Czartoryskich, on szale sprawiedliwości jak chciał podnosił lub zniżał.

* * *

Rozstałem się z żalem i wdzięcznością z dobrym księciem moim i na koszt wspólny z panem Sołtykiem puściłem się na Tryest. Jakem powiedział wprzód, *cursive* tylko tę podróż opiszę, rozciągle bowiem i na miejscach pisana zaginęła z resztą. Przejechawszy Styryę, kraj górzysty, pierwszy raz dojeżdżając do Tryestu, z wyniosłej góry ujrzałem morze. Jestże człowiek, co pierwszy raz widząc tę okiem nieścignioną przestrzeń, te białe żagle sunące się po niej, ten las masztów wracających, idących w różne części świata, jestże człowiek, któryby widokiem tym nie był zachwycony i nie podawał się głębokim dumaniom. Jak pięknie lord Byron opisał morze; przetłómaczyłem przed rokiem pyszne jego strofy.

Zabawiliśmy przez parę niedziel w Tryescie. Cesarz Józef II z powrotem z Medyolanu odwiedzał to miasto, widziałem go na Towarzystwie kupieckim rozma-

wiającego z kupcami. Żaden z cesarzów niemieckich nie śmiał dawniej tak się pospolitować. Nic lepszego i pożyteczniejszego, gdyby familiarność ta nie prowadziła ludzi do zuchwałych wstrząśnień, gdy się przyzwyczajają nie nie szanować. Dość dobra była w Tryescie opera włoska. Dawano *Didone abandonata* Anfossiego. Umyśliliśmy odwiedzić Illiryę i Dalmacyę, kolonie słowiańskie. Pobratymstwo z temi ludami silnie mię do téj podróży pędziło. Wzięliśmy więc w Tryescie felukę, i płynąc brzegiem Istrii, stanęliśmy nad świtem w mieście Pola. Jakież było moje zadziwienie, gdy obudziwszy się, słyszałem nad brzegiem mówiących mową ojczystą moją, z niewielką odmianą. Dziś Pola jest małym, nieludnym miasteczkiem, znacznym musiało być za czasów Rzymian, świadkiem tego kościół Augusta całkiem zachowany, amfiteatr dziś się pławiący w morzu, dawniej może wśród miasta, *tantum potuit mutare locos vetustas*. Ludność uboga, obdarta; przy świątyni Cezara, pana świata, stał przywiązany, zamysłony, jak ja, osielek.

Wypytując się, jak się można dostać do Spalatro, sławnego miasta, gdzie Dyoklecjan, sprzykrzywszy sobie wielkość świata, usunął się od niej, woląc spokojnie sadzić w ogrodzie kapustę, odpowiedziano nam, że się tam pokazało powietrze; trzeba więc było porzucić nadzieję widzenia Dalmacyi i powrócić nazad do Tryestu.

Wkrótce atoli prowadząc dalej podróż naszą włoską, wypłynęliśmy do Wenecyi wraz z jenerałem austriackim Feketą, ten woził z sobą jakąś awanturnicę, nazywającą się panią Lubieńską, lecz słowa nieumiejącą po polsku. Jedynowładnie rządziła ona tym austriackim rycerzem.

Jeżeli zbliżając się do Tryestu zadziwił mię sam widok morza, cóż dopiero, gdy pomyslnym pędzony wiatrem, ujrzałem z łona tego powstające wspaniałe miasto z wieżami i wspaniałemi gmachami swemi, co więcej, gdym ujrzał mieszkanców miasta tego niechodzących, niejeżdżących, ale pływających jak ryby; prze-

cież mieszkańcy miasta tego w V wieku najazdem barbarzyńców z lądu wygnani, w tych zatokach adryatyckiego morza schronienia szukając, z czasem najbogatsze, najpiękniejsze, a w XI i XII wieku potężną rzeczpospolitą założyli; nie masz jej dzisiaj i śladu, mało kto widział rzeczpospolitą wenecką tak jako nie w sile i poważeniu, ale w zewnętrznych swych formach była. Jam ją jeszcze tak zastał. Widziałem dożę w lamowym złotym płaszczu z gronostajami, na ogromnym złocistym bucentaurze, otoczonego senatorami, zaślubiającego morze, w Maju więc cała przestrzeń wodna okryta była gondolami, mnóstwo cudzoziemców, cała ludność wenecka wysypała się. Doża stanawszy na przodku pomostu, rzucił ważny złoty pierścień w głębie, mówiąc: zaślubiam cię morze; natychmiast biegli nurkowie rzucili się za pierścieniem i podnosili go. Mało kto w tak żywym i okazałym stanie widział to świetne miasto. Przypadkiem zjechało się do niego trzech monarchów: Gustaw III, król szwedzki; książę panujący parmeński i arcyksiążę Ferdynand, rządzca Medyolanu. W zdarzeniach podobnych zwyczajem było w Wenecyi, że Rzeczpospolita dawała dla znakomitych gości zawody na morzu, czyli kursa statkami. Najpierwsi patrycyusze wysadzili się, kto łódź piękniejszą, z bogaciej ubranymi majtkami wysła na zawody te, *Regate* zwane. Było tych łodzi wiele, piękniejszych jedna od drugiej, nie płynęły, ale lotem orła leciały.

Wieczorem Pizani dał bal wielki dla monarchów i cudzoziemców. Bal ten był na wyspie należącej do rodziny Pizanich, wśród niej wznosi się wspaniały pałac. Pałac ten i ogrody rzesisto oświecone były lampami, na drzwiach wisiały lampy w kształt rozmaitych kolorowych owoców, widziałem więc pomarańcze, cytryny, granaty gorejące ogniami, przezroczyste. Pałac cały i ogród napełnione śmiejącemi się, wytwornie ubranemi damami i kawalerami, wszystko to czarodziejski, zachwycający przedstawiało widok.

Na ważniejsze atoli nad te patrzałem ja przedmioty.

Trwała jeszcze rzeczpospolita wenecka, lubo już bez dawnéj potęgi i znaczenia, ze wszystkimi atoli w rządzie swym nienaruszonymi formami. Szlachta tylko składała rząd. Doża, prócz reprezentacyi, mało miał władzy: Wielka rada, senat, inkwizytorowie, byli panami osób i życia. Byłem ja na ich obradach. W ogromnych salach, ozdobionych obrazami Tintoretto i Pawła Veronese, zbiera się kilkaset szlachty w czarnych togach i niezmiernych upudrowanych perukach; peruki te ściśnięte z sobą, noszący je kandydaci klaniający się do stóp senatorom, proszący ich o wota, miały postać zburzonego bałwanami morza. I wielka rada i senat służą tylko do wyboru; wykonanie praw i rząd cały zależy od rady dziesięciu i trzech inkwizytorów. Ci to więżą, karzą śmiercią, wskazują na wygnanie. W czasie bytności mojej, podczas assumpcyi, wśród ustawnych uciech, weselości, powszechnych maskarad, jeden z Pizanich schwytany i na wygnanie skazany był. Byłto już rząd słaby zewnątrz, nie raz okrutny u siebie, podejrzliwy jak każdy despotyzm, leniwy, cały rozkoszom oddany, z czasem samby się poprawił, lecz nie mieli prawa obcy wywracać go, niszczyć niepodległości jego. Tę jednak zbrodnię popełnił dyrektoryat francuski, a później Napoleon.

W Wenecyi towarzysz podróży mojej, pan Sołtyk, przymuszony dla śmierci stryja swego, biskupa krakowskiego, wracać do Polski, rozstał się ze mną; od tam sam kontynuowałem podróż moję po Włoszech, z Wenecyi kanałem do Mestra, dalej furmanem czyli wetturynem puściłem się do Bononii, zatrzymawszy się tam ile było potrzeba, by obejrzeć piękne miasta tego malowania. Nic mię nie zachwyciło więcej lubością kanałów i domów wiejskich, jak Brenta, gdzie po obu brzegach rzeki tworząc ulicę, ciągną się najpiękniejsze palace pierwszej szlachty weneckiej, tam ona, choć krótko, poznaje się z ładem, patrzeć może na powaby natury, drzewa, kwiaty etc. Z Bononii, przebywszy Apenniny, spuściłem się w przyjemną dolinę Toskanii. —

W Apeninach widziałem: chmury lecące pod nogami memi, pasterzów trzód, karwiących się polentą czyli pyzami zrobionemi z mąki kasztanów. Zachwyciła mnie Florencya nadobnością budowli swoich, przepyszną galerią, którą ród Medyceuszów sam zebrał i darem ojczyźnie swój zostawił. Jak niegdyś w Grecyi, tak tu piękne posągi niezamknięte pod dachem, lecz na ulicach, po placach publicznych, zachwycają przechodnie oczy.

Panował wtenczas nad Toskanią arcyksiążę Leopold, brat cesarza Józefa II; nie było mędrszego i sprawiedliwszego pana, a rozwioźlejszego człowieka; pociąg jego do kobiet był niewstrzymany, mówią, że do dwustu dzieci naturalnych zostawił, lecz przy téj lubieżności umiał rządzić, dał Toskanii kodex praw pełen ludzkości. Widziałem go idącego w publicznej processyi wraz z licznemi dziećmi; świeżo zmarły syn jego Franciszek I, którego Józef II wziął do siebie na wychowanie, małym był naówczas chłopakiem. Hrabia Coloredo, ochmistrz jego, sam mi powiadał i za najpierwsze w rządzeniu dawał mu prawidło, nie rządzić nazbyt.

Stępiona wiekiem pamięć moja wstecz coraz cofać się musi, bo co tylko narodowego, pragnie w zapisywaniu niniejszém umieszczać. Na wieży świętego Marka w Wenecyi znalazłem ostrzem na kamieniu wyryte imiona polskie w XVI jeszcze wieku, między temi Firleja; nie ma zapewne prochów jego, a to co szpilką wyrył trwa dotąd. W Padwie jest wiele pamiątek Polaków uczęszczających do akademii padewskiej. Jan Zamojski tam się uczył i był rektorem téj akademii. Włochy, później Francya, były kraje, do których przodkowie nasi od wieków aż do XVIII wieku cisnęli się po naukę. Niemcy dopiero po reformie Lutra rzucili się do nauk. Od wniścia Prusaków do Polski wielu naszych, nie tak jak wprzód, majątnych tylko, ale nawet i uboższych, do uniwersytetów niemieckich udawać się zaczęło. Filozofia Kanta wielu skantowała głowy, dowodem Kalasanty Szaniawski, rzucający się

we wszystkie metafizyczne manowca, dziś ateusz, jutro fanatyk, znów napoleonista, znów Moskal, a nigdy Polak.

Oglądając muzeum w Bononii, postrzegłem wypchanego rysia z przyklejoną kartką z końca XVI wieku, wyrażającą, że król polski Stefan zwierzę to, jako nieznane we Włoszech, papieżowi podobno Grzegorzowi XIII darem przysłał.

We Florencyi poznałem Kawalera Mann, posła angielskiego, przyjaciela Horace Walpole; ciekawa jest korespondencya tych dwóch uczonych Anglików.

Odwiedzałem często galeryą florencką, dziwić się niezmiernym jej we wszystkich literackich i pięknych sztukach skarbom. Rzadkie kosztowne obrazy, posągi, starożytności, brzozy, rycia na kamieniu, wszystko to jedna Medyceuszów zebrała familia. O Boże, pomyślałem sobie, były i u nas ledwie nie tak możne jak Medyceuszów rody, wychowując się we Włoszech, winny były nabrać smaku do kunsztów pięknych i nauk i poczynić ich zbiory, przecież nie widziałem ich nigdzie. Jagiellony i Wazowie kochali się w pięknych sztukach i mieli ich, jak to pamiętniki owych czasów twierdzą, znaczne zapasy, do podobieństwa, że i magnaci nasi musieli mieć kosztowne zbiory. W Zamościu był piękny obraz Zwiastowania, Carlo Dolce, w Białej u Bernardynów, w Pożajściu u Kamedułów, w Berezie u Kartuzów widziałem niedawno piękne obrazy w ołtarzach kościelnych, gdzież się podziały?

Trudno mi opisać wzruszenia, które uczulem, gdy się zbliżałem do Rzymu. Całe dzieje potężnego tego ludu, Pana świata, stały mi w pamięci. Stapać po ziemi klasycznej, po ziemi, po którejto stapało tylu bohaterów męstwem, miłością ojczyzny, świętymi cnotami świetnych, zanurzyło mnie w głębokich dumaniach. Na ostatniej poczcie Starta, już mnie uderzyła olbrzymia kopuła Ś. Piotra, lecz nie nowy Rzym, Rzym dawny zajmował mnie całego, nikły atoli stopniami te uniesienia, gdy wjechawszy przez Porta del popolo, spotka-

łem zamiast Quiritów i synów Marsa, mnostwo Abusiów w czarnych kitajkowych płaszczkach, upudrowanych, z wachlarzami w ręku, snujących się po ulicach. Przyjechałem do Rzymu w najsilniejsze letnie gorąca; upały nie osłabiły nadzwyczajnej żądzy co prędzej widzenia wszystkiego; w nankinowym fraku, w szarych dla kurzu trzewikach, wybiegłem zaraz, by widzieć kościół Ś. Piotra; proporce w tym ogromnym gmachu, najwspanialszym ze wszystkich na świecie wieków późniejszych, tak są dobrze zachowane, że nie wydaje się tak wielkim jak jest w rzeczy samej. Po Egipskich atoli pyramidach, nic świat bardziej zadziwiającego nie ma. Zbierane na wystawienie i ozdobienie gmachu tego podatki były jedną z pierwszych przyczyn odszczepienia się Lutra.

Nazajutrz udałem się do Capitolium. Z jakąż czcią postępowałem temi wschodami, któremi szli niegdyś tryumfujący bohaterowie rzymscy, lecz i tu omamienie znika; zamiast kościoła Jowisza kapitolijskiego, stoi duży konwent Bernardynów Ara Coeli zwany. Ujrzałem przed podwojami kościoła tego poszóstną karetę, wkrótce wyszli w processyi Bernardyni, niosący małe dziecko z wosku ulepione, jeden z nich w komży i stule siadł w tyle, trzymając dziecko na łonie, dwóch drugich na przodzie. Pytam coby to znaczyło? *Questo e Jesu bambino*, odpowiedziano mi. By to zrozumieć, potrzeba wiedzieć, że w Rzymie panuje powszechna wiara, iż to wyobrażenie woskowe małego Jezusa jest cudowne i że położone na łóżku chorego dziecka, zdrowie mu przywraca; posyłają więc po nie i zdarza się, że dziecko chore ozdrowieje. Tu nie można powiedzieć, że wiara twoja uzdrowiła cię, bo niemowlę wiary mieć nie może; wiara chyba rodziców cud ten otrzymuje.

Zwiedziłem wszystkie zabytki starożytności, muzea, etc. Nieraz wieczorem udawałem się do Colizeum; jakież naówczas były moje dumania, w ulatujących pędem latach i wiekach, ileż wypadków, scen i odmian ten gmach ogromny, acz dużo przez Barberinich uszko-

dzony, nie był świadkiem? Tu niezłomni w wierze swój pierwsi Chrzescianie pasowali się z lwami i wśród okrzyków tysięcznego ludu konając, obracali się do Cezarów mówiąc: *Morituri te salutant.* Miejsce to przy pogodnej, cichej nocy, w najśłodsze umysł wprawia zadumania; tu młodzież muzyczna włoska, niemieccy artyści zbierają się i śpiewając chórami odpowiadają sobie. Tu słodka muzyka, niemniej słodka cichość nocy i jasność księżyca rozczula serce głęboko i myśl w tkliwych pograża dumaniach. Kto wie, myślałem sobie, może w tym gmachu gdzie Cezary, tryumfujący konsulowie, przychodzili okropnym przypatrywać się widowiskom, gdy te ustały, tak jak dziś w tejże nocnej cichości, po tymże blasku drżącego księżyca rzeźny Wirgili, przychodził dumać i składać boskie rymy swoje, nie przewidywał żyjący pod cesarzem Augustem, gdy Rzym był panem świata, że przyjdzie czas gdzie hordy Barbarzyńców wyleją się z północy i zniszczą to państwo tak pyszne; nie przewidywał tego tak, jak nie przewiduje dzisiaj odrętwiała Europa, że przyjdą może wkrótce Moskale, Baszkiry i Kałmuki, zagładzą te wiekami nabyte z taką pracą cywilizacyi owoce.

Pokrótkie tylko wspomnę o dalszych moich podróżach, by co prędzej do spraw domowych powrócić. Obejrzawszy przez cztery miesiące co było godnego w Rzymie, widząc Papieża celebrującego w dzień Śgo Piotra, sławną w dzień ten illuminacją zamku S. Anioła, miejsce gdzie był grób Adryana, wyjechałem do Neapolu; lubo w same upały kanikuły przebywałem bagna Pontyńskie tak miane za zaraźliwe, zdrów jednak stanąłem w Parthenopie. Widziałem króla Ferdynanda IV łowiącego ryby, sprzedającego je na targu, kłucącego się z przekupkami, widziałem dzieci jego wtenczas małe; dziś już oni panowali i umarli. Co mię bardziej zajęło, widziałem Pompeję i Herkulanum. Te miasta przed osmnastu wiekami lawą i popiołami żywcem zakryte, dziś znów na widoku stojące, jak gdyby

Opatrzność umyślnie je zachowała, by nam dać poznać jakie były u dawnych zwyczaje, ich sztuki piękne, narzędzia, słowem życie domowe. Wszystkie te bowiem przedmioty, nawet kości i zgliszcza naówczas żyjących widzieć tam można. Wyrazić nie mogę w jak głębokich zadumaniach pogrążył mnie widok tych domów, ulic, świątyń, zawierających mnóstwo tak jak my dziś żyjących. Iluzja tak była wielka, iż zdawało mi się, że i ja tam żyłem; co więcej w blisko pół wieku później, gdy wędrowny artysta przybył do Warszawy z panorama miejsc ciekawszych, między temi i Pompeja, interesowanie się moje do miejsca tego tak było żywe, że zaniechawszy inne widoki, blisko godzinę siedział przed nim. Zdawało mi się, że tam żył, że poznał dom w którym mieszkałem. Podług mnie jest to jeden z najciekawszych starożytności zabytków.

Rok 1796.

Zbyt długo zapewne rozciągnąłem się nad opisywaniem uwięzienia mego w twierdzy ŚŚ. Piotra i Pawła w Petersburgu; ze wszystkich bowiem notatek i rękopismów, tyczących się wypadków politycznych, to jedno tylko opisanie pozostało w całości, z innemi Bóg wie co się stało..... Ileżbym nie dał, gdybym je mógł mieć pod ręką, osobliwie dzienniki moje podróżne i inne; w ciągu dzisiejszych pamiętników moich mniej byłoby opuszczeń, więcej dokładności. Ze wszystkich strat, com poniósł, zaguba rękopismów moich nie jest najmniej bolesną. Nie mieć innych materiałów, jak tylko starą, dziurawą jak rzeszoto pamięć, jest to całe opisanie dawne uczynić w wielu miejscach pełne opuszczeń i omyłek. Przecież, gdy nastawają przyjaciele, bym ciągnął je dalej, gdy w pracy tej znajduję w strapieniu i tęsknocie mojej niejakiś roztargnienie, piszę dalej.

Nie wyjechaliśmy sami z Petersburga. General Kosiuszko, by większą w Imperatorze wzbudzić ufność,

prosił go, aby jeden z oficerów jego odprowadził nas do Sztokholmu. Wyznaczony do tego major Udom, tenże sam co nas od Maciejowic prowadził, człowiek obyczajniejszy od swych kolegów.

Pan Libiszewski z Wielkiej Polski, który towarzyszył w więzieniu Tomaszowi Wawrzeckiemu, ofiarował się odprowadzić generała Kościuszkę do Ameryki. Był to młodzieniec w samej sile wieku, hoży, mocny, usłużny, posiadający doskonale muzykę, grający na waltorni do podziwienia, śpiewający dobrze. Był on nam wielce pomocny; generał Kościuszko nie mógł jeszcze chodzić, trzeba go było nosić z powozu i do powozu, Libiszewski tę ciężką odbywał posługę z najlepszą chęcią: miał nadto generał murzyna i kucharza Jean.

Dla znacznych śniegów nie ujechalśmy dnia tego jak ledwie trzy mile: stanawszy na noc w pocztowym domu, wszyscy spaliliśmy w jednej izbie na ziemi wraz z małemi świnkami. To ubóstwo tak blisko stolicy zadziwiło mnie nie mało, lecz więcej nierównie, że o kilka mil od stolicy, już mieszkańcy nierozumieli prawie po rusku, lecz po fińsku mówili, a tak stolica tak potężnego kraju już była jakby w obcej krainie. Jadąc dalej drogą Finlandzką aż do Abo, znaleźliśmy toż samo. Abo, stolica naówczas Finlandyi Szweckiej, całe prawie drewniane, z dachami krwią wołową pomalowanemi, dość porządne; tam pierwszy raz widziałem zwierzęta Reny, równie do pożywienia jak do pociągu służące. Mieszkańcy mówią po szwedzku, są religii luterskiej. Pozналиśmy tam generała Wredé, jednego z faworytów Gustawa III, mieszkał on w swoim Bostel, to jest w folwarku od rządu; wojsko bowiem prowincjonalne szwedzkie od generałów aż do żołnierza, zamiast pieniędzmi, bierze żołd swój w ziemi podług stopnia jaki posiada. Generał Wredé z największą podejmował nas gościnnością. Dalej, dla nawały śniegów musieliśmy używać dwóch dylów spojonych z sobą w kształt V., te ciągnione koniami odgarniały śnieg na dwie strony i gładziły drogę dla podjazdów naszych. Postępowa-

liśmy jednak powoli, najprzód dla dni krótkich, gdyż ledwie 4 godziny było widno i o drugiej z południa trzeba już było na obiad i nocleg zajeżdżać; nietylko napoje, woda, ale mięso, drób, ryby zmarznęte, tak, że wszystko siekierą trzeba było rozcinać. Pułapy w domach Finlandzkich wiejskich są jak kabiny okrętowe budowane; górą widać drągi na których nawiązane są duże przedziurawione w środku żytnie chleby z tatarskim zielem, twarde niezmiernie, potrzebujące dobrych zębów, nie wiem czy je dwa razy pieką na rok. Domy chłopów szwedzkich są czyste i porządne. Stan wiejski jest wolny, ma wpływ do prawodawstwa, odbiera dostateczne wychowanie i nauki. Zastawaliśmy nieraz familie zgromadzone koło dużego ogniska, przy którym wisiał kocioł zawierający warzącego się psa morskiego.

Ogromne bory z świerków i sosen, łamiące się z trzaskiem gałęzie ich pod ciężarem śniegu, jarząbki czarne z ponsowemi brwiami, cietrzewie przelatwały gęsto. I Finlandya i Szwecya, kraj co do rolnictwa nie żyzny, mało ornego pola, same jeziora i skały. Przedniejszy handel jest żelazo, śledzie i wytłoczony olej z ostatnich, reszty z wytłoczonych śledzi służą za nawóz. Bydło małe i nędzne, codziennie rano gospodynie gotują obrzynki i reszty z warzywa i krówy karmią niem, paszy prawie nie ma. Z Abo przyszło nam przebierać się do Szwecyi, morzem czyli golfem Botnickim, sięgającym Laponii. Trudną była przeprawa ta, raz bowiem po wierzchu zamarzłego już morza, gdy ludzie biegli przodem z bosakami, próbując czy lód dość mocny, znów otwartemi statkami, wolnym morzem płynąc po wysepkach archipelagu tego, aż przybyliśmy do wyspy *Ekreu*. Tam taka nawała śniegu spadła na nas, iż dom w którym mieszkaliśmy, zupełnie z dachem śniegiem był zawalony, tak dalece, że kominem spuszczano nam żywność, najwięcej białe zajace, jarząbki, w tej północnej krainie pospolitsze od wołowego mięsa. Drzewa w około same tylko wyścibiały wierzchołki

swoje, zresztą zakopane w śniegu. Przez kilka dni jak w obłęzieniu trzymani byliśmy na téj wyspie.

O milę drogi od Sztokholmu, sam jeden puściłem się saneczkami do téj stolicy, by jenerałowi Kościuszcze opatrzyć wygodną gospodę. Wieczorem już gdy pędzę, uderza mnie obok drogi żywy blask jak gdyby gorejących świec: poznałem w krótkie, iż to były dwa wilki stojące, szczęściem nie rzuciły się na mnie; nie pospieszając prędzéj, by nie okazać im trwogi, szczęśliwie zajechałem do Stockholmu.

Obrałem wygodne mieszkanie w hotelu utrzymanym przez Francuza, w najpierwszój ulicy, niedaleko pałacu królewskiego. Nazajutrz wzięwszy najętego lokaja, obszedłem miasto nie zawierające jak 60,000 mieszkańców, ale dla położenia swego nadmorskiego, dla mnóstwa wysepek rozsianych przed sobą, wielce przyjemne. Z południa wyjechałem naprzeciw generała i wprowadziłem go do mieszkania jego.

Przyjazd jego sprawił znaczne w Stokholmie wrażenie. Wszyscy starali się go widzieć. Jakoż nie zamykały się podwoje, uważałem jednak, że jak w Anglii tak i tu lud nie cisnął się pod okna, lecz wszyscy urzędnicy, Ministrowie krajowi i zagraniczni odwiedzali chorego wodza. P. Rosenkrantz, jeden z faworytów młodego króla, mówił ze mną bym nakłonił Kościuszkę, aby prosił o audyencyą u króla; nie chciał tego jednak Kościuszko, lubo mu nawet proponowano prywatne spotkanie w wiejskiém mieszkaniu królewskiém.

Panował naówczas Gustaw IV, syn sławnego awanturniczego Gustawa III. Jeszcze on na ówczas nie okazywał znaków, tego prawie pomieszanego, które go dziś włączają po Niemczech i Szwajcarach uczyniło. Widziałem go na paradzie wojskowój. Wyższy od miernego wzrostu, chudy, blady, rzekłbyś, że drugi Cezar rzymski, tak królewską powagą swoją zajęty. Już był doszedł pełnoletności, sam rządził, usunął się stryj jego książę Sudermanii.

Wszystkie, jak już wspomniałem, wyższe matedory

ustawnie nas odwiedzały, bez huku i stuku karet, wszystkie przychodziły piechotą; przedpokój nasz pełen był błotników, (galoches) dosyć by ubóstwo kraju oznaczyć. Znaleźliśmy tam jeszcze ostatniego posła polskiego Jerzego Potockiego, starostę Tłumackiego, gdyż mimo nastawiań Carowej, aby mu kazano porzucić Sztokholm, pozwolono mu w nim bawić. Królowa nawet matka naznaczyła mu małą pensyą. Z dawniej znajomych widziałem tam barona Toll, ostatniego posła szwedzkiego w Warszawie i P. Hailes, również tam ostatniego posła angielskiego. Ten ostatni z dowcipem cierpkosatyrycznym, zawistny najmniejszego postępu czy to wolności, czy przemysłu w innych narodach, chcący by tylko jedna Anglija je miała na świecie.

Oglądałem niektóre ciekawości w Sztokholmie: katedrę, gdzie jeszcze obrazy czci katolickiej były zarzucone na chórze i grób Karola XII. Niemasz w grobie tym żadnych posągów, żadnych ozdób. Ogromna trumna z marmuru czarnego i na niej z poślaczanego spiżu potężna rozciągniona lwia skóra z napisem: Karol XII. Jeździłem do Drottingholm wiejskiego pałacu królewskiego o milę od Sztokholmu. Z jakimże ściśnieniem serca widziałem tam potężne obrazy wyrażające zwycięstwa Karola XI nad Polakami, wszystkie przesadzone podług podania uprzedzonego przeciw nam Puffendorfa. Puffendorf udawał się najprzód do Polski, prosząc o tytuł historyografa i pensyą, dalej do Danii, odrzucony od obu dworów udał się do Szwecyi, gdzie przyjęty i nagrodzony, osobistą zemstę wywarł na Polaków, ze zgwałceniem pierwszego obowiązku dziejopisa prawdy i bezstronności.

Ominąwszy atoli stronnictwo Puffendorfa, wyznać należy, że wojny nasze ze Szwedami za Jana Kazimierza, haniebną są dla narodu naszego epoką. Ileż rozwiąłości, słabości w radach, nieodwagi w wojsku, niestałości, lekkości we wszystkich czynach.

Paweł I posunął grzeczność swoją tak dalece, że dał rozkaz posłowi swemu w Sztokholmie, by codzien

odwiedzał generała Kościuszkę i donosił mu o stanie zdrowia jego. Wtenczas to poznałem się z p. Alopeus sekretarzem jego, przystojnym naówczas młodzieńcem, który aż do śmierci takim się być sądził, został posłem w Berlinie i tam umarł.

W Sztokholmie rozstaliśmy się z moskiewskim oficerem Udom, któremu Kościuszko darował piękny zegarek; odprawiliśmy także murzyna i kucharza Jean, a wzięliśmy na miejsce jego kamerdynera starosty Tłumackiego Potockiego, dawniej posła tam naszego.

Zastałem tu kilku dawnych żołnierzy polskich, wziętych w niewolę pód Maciejowicami, zasłanych do Finlandyi moskiewskiej, z kąd umknęli do Szwecyi. Raz gdym szedł ulicą, usłyszałem śpiewanie słowika; patrząc, aż to znajomy mi żołnierz z pułku Działyńskich; ten nieraz zwykł był nas bawić w obozie, doskonałym swoim naśladowaniem słowika, był on jak Niemcy zowią *lustig* Rejmentu. Trudy i wygnanie nie zmieniły wesołości jego, z czułością przywitaliśmy się z sobą. Dałem słowikowi mały podarek.

Posel holenderski, którego równie nie pamiętam imienia, lubo w zatraconych dziennikach moich znajdować się musi, był osobą przez którą, ponieważ Holandia była naówczas sprzymierzona Rzeczypospolitą francuzkiej, zaczął generał Kaściuszko korespondować z rządem francuzkim: korespondencya ta trwała aż do wyjazdu jego z Ameryki. W tenczas już chciał Kościuszko wyprawić mnie do Kopenhagi, bym tam opatrzył dla niego okręt do wypłynienia, rozumiem że już do Francyi, lubo nie wyjawiał tego wyraźnie; nie przyszło jednak do tego. Przedsięwzięliśmy podróż do Gothenburga, gdzie więcej było okrętów. Jakoż przedsięwzięliśmy tę drogę lądem, ciągle przebywając krainę skalistą, przecinaną strumieniami i niezmiernymi jeziorami, te i uprawę i ludność ścieśniały niezmiernie, drogi wyborne, robione, poczty acz przez chłopów trzymane, regularne, na każdej stacyi jest księga, w której podróżni zapisują, czyli z posługi byli lub nie byli kon-

tenci, gospody acz ubogie, chędogie, wszędy widać, że lud nie żyje w niewoli.

Zboczyliśmy umyślnie z drogi, by widzieć sławny kanał Trolhaetta, połączyć mający za pomocą jezior Wenern i Orebro Bałtyckie morze z północnym czyli Niemieckim; 2000 żołnierzy z liniowego wojska pracowało około niego od lat kilku i po tyluż ledwie dzieło skończonym zostało.

* * *

Jeżeli żegluga ma swoje niebezpieczeństwo i nieprzyjemności, ma też swoje chwile przyjemne. Mieszkaniec ładu nie może sobie wystawić pysznego, zachwycającego widoku słońca. Kiedy morze małym tylko marszczy się wietrzykiem, kiedy żagle z lekka zaokrąglone suną okręt łagodnie, słońce wydobywające się na widnokręsie jakąż purpurą, jakimż bryłami złota i farb rozmaitych barwi obłoki, niż samo jak gdyby dłonią Wszechmocnego pełnięte stanie na krawędzi morskogo kryształu! Jak miłe pokazanie się wieloryba wyrzucającego wytryski wód, przerywa jednostajność zawsze tegoż samego widoku. Zielsko morskie, polipy, kształcie wielkich gwiazd mnogimi rączkami łapiące niedostrzeżone oku robaczki i karmiące się niemi, często w nocy fosforyczne te płazy całą przestrzeń morską jak płaszczem ognistym okrywające, wszystko to bawi, zachwyca, zanurza myśl naszą w słodkich głębokich dumanach.

Cóż gdy na horyzoncie zabieli się żagiel! Nikt go jeszcze nie widzi, a już majtek na górze masztu lub kapitan przez perspektywy, powiada jakiej wielkości, zkąd i dokąd płynie. Chęć widzenia podobnych sobie stworzeń, dowiedzenie się o szerokości, udzielenia sobie wiadomości nawzajem, sprawia, że dwa okręta zbliżają się do siebie, a gdy już blisko siebie staną, największa cichość panuje. Wtenczas kapitan bierze morską trąbę i głosem tubalnym zapytuje: zkąd i dokąd plyniesz, jaka twoja szerokość, jakie twoje nowiny?

Po udzielonych nawzajem odpowiedziach, bądźcie zdrowi, mówią sobie, obracają się rudle, napełniają się żagle, warzy się morze szumem: coraz bardziej oddalają się nawy; zmniejszają i nikną.

Latające stadami ryby, uganiające się za niemi delfiny, znużonym jednostajnością nastreczają rozrywkę. Tu dodać muszę, że ryba, którą Anglicy zowią dziś delfinem, nie jest rybą u dawnych imieniem tém zwaną, głowa jej cokolwiek przypomina dawnego delfina, lecz bynajmniej wielkość, ta tylko jest sporego szczupaka. Szczególna własność jego jest, że gdy złapany, wyciągnięty na pomost, łuska jego mieni się ustawnie w najżywsze farby, raz złote, ponsowe, zielone i inne. Miełiszy go gotowanego. Pospolite u żeglujących innie-
manie, że czasem jest jadowitym, zwłaszcza gdy się ociera o miedziane grunta, jakoż gdy go gotują, wrzucają w kocioł srebrny talar; jeśli jadowity, grynszpan na talarze osiada, przeciwnie, czysty wcale jest smaczny. Francuzi zowią go *la dorade*.

Nie powinienem tu opuścić zdarzenia w téj podróży, które nas ledwie o wielkie niebezpieczeństwo nie przyprowadziło.

Na szerokości 40^o gdy ze słabym bardzo wiatrem płyniemy spokojnie, o 1 z północy donoszą kapitanowi, że w niedalekiem oddaleniu postrzega się liczna flota, że światłem na każdym statku. Zrywamy się, wybiegamy na pomost. Nic piękniejszego jak widok ten, te żagle białe, te liczne migające się światła, ta ogromna fregata, strzegąca je jak guwernantka dzieci, wszystko to bawiło, ale nie długo. Jeden z okrętów tych kupieckich wyboczył z drogi i prosto sztabę swoją ku nam obrócił. Napróżno kapitan przez trąbę morską wołał na sternika, napróżno sam okręt swój rudlem chciał zwrócić w inną stronę, by uderzenia przeciwnéj nawy uniknąć, wiatr tak był lekki i słaby, iż okręt kierować się nie dał. Wtenczas dopiero powszechna trwoga, gdy naprzeciw idący okręt tak do naszego zbliżył się, gdy się obydwóch żagle, liny, maszty pozaczepiały z sobą

i boki statków okropnie tłuc się z sobą zaczęły; a gdy kapitan chcąc wiedzieć, czyli już otworu nie było w bokach statku, zawołał: *all hands to the pump*, wszystkie ręce do pompy, taka trwoga powstała w mnóstwie pływających osadników, osobliwie w kobietach i dzieciach, że wszystkie z płaczem i krzykiem wcisnęły się do kabiny naszej, jak gdybyśmy mogli im pomóc.

Blisko godziny trwało to niebezpieczeństwo, aż póki majtkowie, pobiegłszy po linach z siekierami, nie porozcinali poplątanych żagli i sznurów i nie uwolnili nawy; straciliśmy w tej przygodzie wierzchni maszt, wiele lin i żagli; statek atoli uszedł bez szkody.

Flota którąśmy spotkali, złożoną była z blisko sta kupieckich okrętów, z Jamaiki do Londynu płynących. Okręt który wpadł na nas, był *Anna*, sternik jego pijany spał na rudlu i to było przygody przyczyną. Nazajutrz fregata konwoju i z całą flotą ze dniem wróciła ku nam, pytając, czy nie potrzebujemy jakiej pomocy. Attencya prawdziwie chwalebna.

Z nasztukowanym masztem, z podartemi żaglami postępowaliśmy leniwo, aż ujrzelśmy się na mieliznach Newfoundland-Banks. Morze w tém miejscu wieczną jest okryte mgłą i niepogodą. Ujrzelśmy tam na około mnóstwo wielorybów, silnemi wytryskami wyrzucających wodę do góry, niemniej jak wielką liczbę rybackich okrętów z różnych krajów, zatrudnionych połowem sztokfiszu, zatrzymaliśmy się i my, chcąc sobie równie świeżą żywność zdobyć. Kapitan wszystkim nam rozdał wędy z dużemi hakami przywiązanemi do mocnych sznurów, kawałki wieprzowiny służyły za pierwszą pojętą, dalej wnętrzości z pierwszych sztokfiszów złapanych. Ryby te niezmiernie są żarłoczne i prędko się nader chwytają; pamiętam, iż raz, gdym jednego wyciągał z morza, hak u którego wisiał urwał się i ryba w głębie morza wpadła nazad; lecz zaledwie inną wziął wędę i zarzucił, wraz też sama ryba uchwyciła się, mówię też sama, gdyż urwany pierwszy hak miała jeszcze wiszący u pyska. W godzinę czasu ułowiliśmy

blisko sta tych ryb. Niektóre miały wpojone w swe brzuchy duże pijawki, krew ich ssące. Najsmaczniejsza część w sztokfiszu jest język; wyrzynają go gdy przychodzi do suszenia. Rybacy płatają sztokfisz i wraz na pomoście solą. Stanawszy na brzegach suszą i wędzą. Namarynowaliśmy języki dla generała Kościuszki. Z reszty sami przez wiele dni smaczne mieliśmy pożywienie.

Lubo wolni od burz i wiatrów gwałtownych, długa jednak żegluga przykrzyć się nam zaczęła, zwłaszcza iż tylko soloném żywiliśmy się mięsem, pili zepsutą wodę, w której już robactwo okazywać się zaczęło. Przecież litosne niebo, nigdy długo nieprzedłużające cierpień ludzkich, zaczęło nam zapowiadać prędkie ujrzenie długo niewidzianej ziemi. Kawałki drzew jakby świeżo uciętych okazały się na morzu, wkrótce ptastwo lądowe dało się widzieć i jakieś zawiania zapach ziemi niosące z sobą. Ujrzeli nakoniec majtkowie ląd i radośnemi powitali go okrzykami. Ci tylko bowiem co długo żeglowali, pojąć mogą radość jaką ten widok roznieca. My na pomoście w kilka dopiero godzin, spostrzegliśmy ziemię. Kreśliła się ona niska z płaczącemi wierzbami gibkie długie swe gałęzie w morza kryształach. Rzeka Delaware tak jest przy ujściu swém szeroka, iż długo nią płynąc, jeszcze się zdaje, że jesteście na morzu. Płynąc nią dalej, okazują się dobrze uprawne niwy, okryte najwięcej Indyjskiém zbożem *maïs*. Przybywszy wieczorem naprzeciw miasteczka którego nazwiska już nie pamiętam, kapitan kazał spuścić bat, wzięwszy mnie z sobą popłynął do onego: pierwszy raz postawiłem stopę na ziemi nowego świata: najwięcej mnie uderzyły zapach cedrowego drzewa i wielka liczba murzynów. Kupiliśmy potężną sztukę świeżego wołowego mięsa, włoszczyzny i świeżego chleba, z jakąż radością pożywaliśmy je nazajutrz: wyjąłem butelkę wina du Cap darowanego nam w Londynie przez dawnego Gubernatora przykładu tego: o 4tej z południa przybliżył się okręt do nadbrzeżów Filadelfii. Uprzedzone pospólstwo czekało już generała Kościuszkę z powozem

i angielskim sposobem, samo zaprzęglszy się doń, zaciągnęło go do hotelu pani Loveson na *second Street*.

* * *

Przebywszy na morzu 81 dni, miło było ujrzeć się na stałym lądzie: wrażenie jednak jednostajności téj wodnej przestrzeni tak silném było na źrzenicach moich, iż nazajutrz obudziwszy się i otworzywszy oczy, przez wiele minut zdawało mi się, żem patrzył na morską równinę; lecz boleśniejszego nad to doznałem uczucia, ból nieznosny w wielkim palcu u nogi, czerwoność i nabrzmienie onego nieznosnie dokuczać mi zaczęły. Doktor Roche, pierwszy z lekarzy w Filadelfii i dawny przyjaciel Kościuszki, szczęściem pospieszył go odwiedzić i do mnie zajrzał. Ten więc nauczył mię, że ból mój nic innego nie był jak podagra, spowodowana przez długą morską podróż, brak ruchu, żywność soloną i złą wodę. Przeszkoda ta przyszła właśnie wtenczas, gdy stan i interesa Kościuszki, pierwsze jego umieszczenie, ciekawość nakonec oglądania miasta i tak nowéj dla mnie krainy, potrzebowały chodzenia. Wziąłem więc kule i opierając się na nich, powlokłem się powoli do bankiera i za różnymi dla Kościuszki potrzebnymi sprawunkami. W pięć dni, świeże powietrze, świeży skromny pokarm, przywrócił mi zdrowie.

Przybyliśmy do Filadelfii w kilka dni po zakończeniu sessyi Kongressu, na której nieśmiertelny Washington urzędowanie swe prezydenta złożył. Generał Kościuszko nie wielu dawnych swych znajomych zastał, między tymi był generał Mifflin, ten acz urodzony kwakrem, podniósł oręż w czasie wojny o niepodległość i walczył z chwałą. Był on naówczas gubernatorem Pensylwanii. Z ciekawością obchodziłem miasto; domy w sposobie angielskim, czerwone, niepobielane: miasto widać, że na urząd przez W. Penn budowane; wzdłuż ulice, noszą nazwiska różnych amerykańskich drzew, w szerz numerów 1, 2, 3, 4, 5 etc. Miasto leży między spławną rzeką Delaware i nie wielką rzeczką Shuy-

kill. Między jedną a drugą rozciągały się pola na ćwierć mili; dziś przestwór ten już napełniony jest domami.

Sama postać kraju, płody onego, zadziwiły mię nie pomalū. W ogrodzie publicznym drzewa *katalpy* z pięknym kwiatem i *liliodendrum*, rodzaj klonu, noszący wonny kwiat na wzór tulipanów, *iudithtree*, które wczesnie na wiosnę nim wypuści liście, oblewa się całe jak krwią czerwonym kwiatem; *rhodedendron*, *camelia* etc., nowością przyjemną były dla mnie. Towarzystw nie miałem czasu poznać, wkrótce bowiem okazała się w Filadelfii żółta febra, która nas do wyjazdu przymusiła. Udaliśmy się do miasta New-York, do dawnego znajomego Kościuszki generała Gates, sławnego zbiciem i wzięciem w niewolę pod Saratogą generała angielskiego Bourgoyne z całym wojskiem jego. Miał on piękne wiejskie mieszkanie pod samym miastem. Dziś słyszę, że dom ten już wchodzi prawie w środek miasta. W Trenton wjechaliśmy do stanu New-Jersey, przejeżdżaliśmy przez Princestown, gdzie jest gimnazyum, przez Elisabethtown, gdzieś później osiadł, przeprawiliśmy się przez North-river czyli Hudson i o południu stanęli przed domem generała Gates. Stary ten wojownik i podeszła żona jego, przyjęli nas jak najuprzejmiej i wygodne dali mieszkanie.

Przedniejsi mieszkańcy z New-York pospieszyli odwiedzić generała Kościuszkę, między innymi Brockholst-Lewingston i Edward kuzyn jego, ten co świeżo był posłem w Paryżu. Miasto New-York dalekiem jeszcze było od tego, czém jest dzisiaj. Ledwie 30 tysięcy mieszkańców liczyło, dziś ich liczy 150 tysięcy. Przywiózłem list do p. Gahn, konsula szwedzkiego w New-York, który później porządnie zarwał s. p. żonę moję. Z tym byłem na teatrze publicznym, ledwie on był skończony, nie było na teatrze podłogi, tak iżeśmy stali w piasku. W 10 lat potem teatr w témże mieście równał się angielskim.¹ Sławny Cooper grał na nim.

Zabawiwszy przez dwie niedziele u generała Gates, wróciliśmy się napowrót do Filadelfii, najprzód do Eli-

sabethtown, później do New-Brunswick, czekając aż zaraza żółtej febry w Filadelfii ustanie. Stanęliśmy w prywatnym domu i wraz wszyscy obywatele z miasteczka tego i okolic zaczęli Kościuszkę odwiedzać. Pospieszyła przed wszystkimi wdowa po dawnym przyjacielu Kościuszki pani Suzanna Kean, osoba przystojna, posiadająca wiele wiadomości, wybornego ułożenia i tonu, wraz z ośmioletnim synem swym Piotrem. Mógłbym ja wtenczas zgadywać, że osoba ta stanie się w kilka lat małżonką moją. Siostra jej pani Ricketts i kuzyn pan Brockholst-Livingston, tuż pod Elisabethtown mieli majątności swoje. Bywałem u nich. Zabawą moją było chodzić z fuzją i strzelać ptaszki Robins zwane, na obiad dla Kościuszki. Wkrótce generał White dawny równie znajomy Kościuszki osiadł w tejże samej prowincyi w New-Brunswick nad rzeką Passaile napisał do nas list zapraszając do siebie. Udalismy się bez zwłoki. Zastalismy dom czysty i porządnny, familią składającą się z generała White, żony jego z domu Ellis, ich córki Elizy i siostry gospodyni stariej panny Ellis, wyborniej kobiety lubiącej ogrodnictwo. Czytanie, przechadzka z fuzją, strzelanie robinów i turkawek było moją zabawą. Mielismy w ogrodzie dzikie kaczki ubrane w pierza najżywszych i najpiękniejszych kolorów, a colibri, acz już w jesieni, unosiły się jeszcze nad kwiatami, nie siadając nigdy, lecz wpuszczając dzióbek swój niewiekszy od igły w samym locie smokcząc z nich nektary.

Z wielką trudnością złapałem jednego. Odzież jego ze szmaragdów, rubinów i złota. Wsadziłem go do malej klatki; lecz lubom kładł najwyborniejsze kwiaty i wodę obficie ocukrowaną, nie ruszył niczego, mocno trzepiąc się i tłukąc po klatce, tak że bojąc się by się nie zabił, wypuściłem go na wolność. Maleńka ta ptaszyna, nie mająca jak półtora cala, znieść nie może i chwili niewoli, w tak małym stworzeniu jakaż dusza szlachetna! Jakież szczęście dla kolibrów że się nie urodziły w Moskwie!

W ciągu bytności naszój w New-Brunswick, po skończonej sessyi kongresu, powracał prezydent naówczas John Adams, następny po Washingtonie, z powrotem do domu, do prowincyi Massachuset, powracał w dyliżansie wraz z drugimi; a że było zimno, poszedł starzec grzać się do kuchni, gdzie kucharka murzynka przygotowywała śniadanie. Nie bardziej nie małuje prostoty obyczajów naówczas Ameryki, jak że pierwszy urzędnik potężnego kraju tak się stósował do systemu przyjętego równości. Będzież tak długo?

* * *

W roku 1802 latem odebrałem niespodzianie list od dawnego kolegi mego Tadeusza Matusewicza z doniesieniem, że ojciec mój żyć przestał i że familijne interesa moje wymagały, abym choć na czas do kraju pośpieszył. Już Alexander I panował. Nie bez trudności pozwoiliła żona moja na ten wyjazd; wypłynąłem w Lipcu, i po 50dniowój żegludze stanąłem w Londynie. Tam nie zabawiwszy jak tydzień, popłynąłem do Hamburga, zkąd przez Berlin w początkach Października stanąłem w Warszawie.

Jakże opiszę silne wrażenie, które sprawił na mnie wjazd do téj stolicy. U Wolskich rogatek pruski żołnierz po niemiecku mię pytał. Miasto jak niegdyś huczne i ludne, dziś milczące i z rzadkim mieszkańcem. Nie bawiłem jak trzy dni, odwiedziwszy tylko marszałka Małachowskiego i Tadeusza Mostowskiego, kolegę więzienia mego w Petersburgu. Oddać jednak należy sprawiedliwość rządowi pruskiemu, iż nie szerzył ni prześladowań, ni okrucieństw. Każdy używał rozsądnej wolności i bezpieczeństwa. Generał Köhler, komendant wojskowy, Meier i inni pierwsi cywilni urzędnicy, zdawali się raczej cudzoziemcami w mieście, niżli rządzcami.

Wyjechałem do brata w Brzeskie w początkach Października. Przebywszy granice nie bez zwykłych w Moskwie na komorze przekór, zajechałem do Adam-

kowa, do stryjecznego brata mego Stanisława Ur. Niemcewicza starosty Rywiatyckiego. Tu nowe rozrzewnienia. Brat mój rodzony Jan, siostry p. Dunin, Krosnowska, Hryniwiecka, w dwie godzin czasu przybyły. Ileż lat minęło jakśmy się nie widzieli; ileż ważnych, smutnych te lata nappełniło zdarzeń i łez i ucisków! Siedmioro nas rodzeństwa, od lat tylu nie widzących się z sobą, zebrało się pierwszy raz! Niestety! dziś wszyscy już w grobie. Jam jeden najstarszy, najbardziej skolatany pozostał sam jeden. Oboje rodzice już leżeli w kościele naprzeciw pałacu.

Słodki, lecz rzewny był pobyt mój między rodzeństwem. Ileż dawnych czasów, wspomnień, wyciskało mi łez z oczu! Sąsiedzi odwiedzali nas często, lecz ledwie część pozostała tych, których znałem w dzieciństwie mojem. Każde drzewo, każda chatka poczciwych kmieci naszych, przypominała mi dzieciństwo moje.

Obowiązki wdzięczności księciu Adamowi Czartoryskiemu G. Z. P. za wychowanie, szczególną pieczę nademną i świadczone mi dobrodziejstwa, słodką nakazywały mi powinność odwiedzenia go co prędzej. Wyjechałem więc do Puław na święto księżnej. Miejsce, w którym spędziłem swobodnie najlepsze dni młodości mojej, słodko było odwiedzić. Przyjęty jak prawie dziecko domowe, nie znalazłem już Puław w dawniej świetności i okazałości swojej. Był atoli onych był jeszcze dostatni. Dom zrabowany w czasie rewolucyi kościuszkowskiej, wracał do dawnych ozdób. Dwór i rezydenci mniej liczni, byli jednak. Ostatni młody Dominik Radziwiłł, ostatni młody Radziwiłł chował się przy księciu. Zwyczajem bowiem było wielce chwalebnym pana tego, znacznieszą młodzież polską wychowywać w swym domu.¹⁾

*) Zastałem w Puławach wielu jeszcze dawnych znakomitych domowników księcia, z którymi będąc adjutantem u księcia wiele lat mile spędziłem, generała Orłowskiego, pólkownika Ciesielskiego, lecz iluż straciłem? Ksiądz Grzegorz Piramowicz kanonik Kamieniecki, ksiądz Kobylański, dwaj wieszczkowie Książnin i Zabłocki już nie żyli. Choć kilka słów wi-

Księżna Czartoryska z największym staraniem, pracą i gorliwością zbierała najdawniejsze pamiątki i starożytności.

nieniem pamięci ich poświęcić. Piramowicz, z rodu Ormian we Lwowie, był Jezuitą. Mało co nad cztery stopy wysoki, krępy, gruby, z niezmierną głową i krótkimi nogami, prawie ślepy, niemile uderzający postacią, lecz w obcowaniu, w mowie, jak przyjemny, jak wzbudzający szacunek, przychylny, przyjaźń. W r. 1757, przy ustanowieniu kommissyi edukacyjnój, został on jej sekretarzem i aż do końca trwania jej na tym pozostał urzędzie. Z rozmaitych dzieł jego, te tylko pamiętam dzisiaj: o *Wymowie i Dykcjonarz Starożytności*. Niepospolitym był on kaznodzieją. Nie wiem czy się znajduje kazanie jego na sejmie 1788 do tegoż pod Puławami miane. W potocznych towarzystwach był on pożądanym, przyjemnym, dowcipnym, wesołym. Był najprzód proboszczem w Kurowie, dobrach przyjaciela swego Ignacego Potockiego, marszałka w. Litewskiego; przed śmiercią książe Czartoryski G. Z. P. dał mu jedno z najintratniejszych probostw w Międzyrzeczu. Tam w smutku życia dokonał w r. 1800.

Ksiądz Kobylański, ex-jezuita, uczony, rozsądny, mniej z świątobliwości znany, jedno tylko zostawił dzieło pisarza Rzewuskiego i to mu niewiele sławy przyniosło. Inaczey się ma z Książninem i Zabłockim. Obydwa na krótko przed zniesieniem Jezuitów wstąpili do ich zakonu. Książe A. Czartoryski spostrzegłszy w obydwóch talenta, na dwór swój wziął ich za sekretarzy. Książnin miernego wzrostu, blady z wypukłemi oczyma, lecz słabym wzrokiem, z wąsem gęstym, rudym, nosił się po polsku. Cały on poświęcił się poezyi i z równą łatwością pisał rymy ojczyste jak i łacińskie. Niektóre wyszły drukiem, więcej w rękopiśmie do dziś dnia pozostało. Matka Spartanka jest celném dziełem jego. Książnin słodki w pożyciu, był niezmiernie tkliwego serca, wszystko głęboko brał do duszy. Ostatni cios tak żywo uczuł, że mu się umysł pomieszał, wpadł w głęboką melancholię i świat sobie zbrzydził. Książe dał mu mieszkanie i wszelkie wygody w Końskiej Woli, gdzie życia dokonał.

Zabłocki jak Książnin równy wiekiem, jak on kleryk jezuicki, przez księcia A. Czartoryskiego za kancelarzystę w kommissyi edukacyjnój umieszczony, z gustem i talentem do literatury zrodzony, popędliwszy w miłości, pojął żonę i wkrótce ją utracił. Zachęcony od księcia A. Czartoryskiego, przetłumaczył piękne dzieło *St. Reala* w pięciu tomach, gładką piękną polszczyzną. Niepohamowana atoli passya do teatru, uczyniła go dramatycznym autorem, przetłumaczył amfitryona Moliera, kilka innych sztuk z francuzkiego. Napisał wierszem dobrą, oryginalną komedią pod tytułem *Zabobony*. Wkrótce tak blisko ocierający się o kulisy, ścisłe znajomości z aktorami zabierał, nie przestając pisać komedyi, mniej lub więcej szczęśliwie. Trwało to aż do drugiego rozbioru kraju. Wtenczas zniechęcony ze światem, poznawszy marność wszystkiego, udał się do duchownego stanu. Mecenas Polski, książe A. Czartoryski dał mu probostwo w Końskiej Woli. Dziwne tych dwóch poetów i przyjaciół zdarzenie. Książ-

ności polskie i by im godny dać przytułek, wznosiła świątynię Sybilli, na wzór téj, która trwa dotąd w Tywoli niedaleko Rzymu. Później wzniosła domek gotycki, gdzie średnich wieków starożytności złożyła.

Z słodką smętnością przypominając tę przeszłość przebyłem czas niejaki w Puławach, które długo były jak własnym domem moim. Wtenczas to napisałem o nich poema, dzieląc je na cztery części, Ranek, Południe, Wieczór i Noc, zawierające cały tryb życia Puławskiego. Nie było one drukowane nigdy.

Zimę przepędziłem w Warszawie, dawszy atoli księciu słowo, że go jeszcze na wiosnę odwiedzę. Dawna przyjaciółka moja pani Stanisławowa Potocka dała mi w pałacu swoim mieszkanie. Założone świeżo przez uczonego Albertrandego Towarzystwo przyjaciół nauk, raczyło mię obrać członkiem swoim. Towarzystwo to założone pod obcym rządem, acz dosyć liberalnym, dążącym jednak do zniemczenia nas, z wielką ostrożnością postępować musiało. Jakoż pierwotne roczniki onego, mało co zawierają narodowego. Sam nawet Albertrand jeden z najpierwszych Antykwaryuszów, czytał rozprawę o nazwiskach koni Faetona. Trwożliwy bez granic, nie śmiał on narodowości i dziejów Polski dotykać. Był on prawdziwie głęboko uczonym i nadto

żnin ze stratą Ojczyzny stracił i rozum. Szczęśliwszy Zabłocki szukając u ołtarzy Boskich pociechy, w przykładnym życiu kapłańskim przedłużył życie. Odwiedzał on nieraz obłąkanego przyjaciela, rzecz dziwna, że Książnin widząc go, rozmawiając z nim, nierównie przytomniejszym i spokojniejszym był niż zwykle; o dawnych nawet czasach rozmawiając, był zupełnie przytomnym.

Książnin już nie żył; zastałem jednak Zabłockiego i odwiedziłem go w jego plebanii. Z światowego, wesołego młodzieńca, zastałem spokojnego, smutnego, zniechęconego ze światem człowieka. Nie wyruszał się prawie z probostwa, to lubo obszerne i wygodne, w największym jednak trzymane przez niego nieporządku i niedbalstwie. Znalazłem w salonie kozynek z jajami, krubkę z miodem, wory z kaszami, wędzonką, słoniną, na stole księgi nabożne i zaczęte kazanie.

Zdarzenia smutne polityczne ze światowego człeka uczyniły przykładnego księdza, zarywającego cokolwiek klehostwa.

znacznym w literaturze naszój, bym o nim rozciąglój nie wspomniał.

Ród Albertrandego od dawnych czasów z Włoch przeniósł się do Polski. Brat jego był rytownikiem małych winetek. On sam-udawszy się do stanu duchownego, wydał najprzód po francuzku i polsku krótki, suchy nawet zbiór dziejów Polskich na wzór historyi francuzkiój prezydenta Henault. Niezmierną pracowitością swoją i nauką zalecił się królowi Stanisławowi Augustowi, który zamierzywszy, by Biskup Naruszewicz wydał historią Polską, chciwy materyałów do niój, wysłał Albertrandego do Rzymu, dla szperania w bibliotece Watykańskiój. Ztamtąd do początków dziejów naszych wiele wyczerpał; zwiedził i niemieckie księgarnie; późniój król, znając jak wiele łupów za Jana Kazimierza wywieźli Szwedzi z Polski, posłał go do Stockholmu; ta podróż znaczne przyniosła skarby. Po śmierci królewskiój wszystkie te rękopisma nabył Tadeusz Czacki, starosta Nowogrodzki, któremu nauki w zabranych prowincjach Polskich, osobliwie gimnazyum Krzemienieckie, tyle są winne. Wszystkie te skarby po śmierci Czackiego, nabył żyjący dziś książę Czartoryski do Puławskiój sławnój Biblioteki.

Wracam do Albertrandego. Zwiędł on i wysechł nad książkami. Szczupły, blady, suchy, niedbały w ubiorze i swój osobie, nie wychodził prawie od siebie; w jednym ręku jego było pióro, w drugim niezmierna lulka, téj on od świtu do północy nigdy z ust niewypuszczał. Został on przed śmiercią biskupem in partibus. Umarł dość podeszły.

Radzono mi, abym rozrzucone dotąd pisma moje wydał razem, i że to nawet szczupłym zapasom moim korzystać jakąś przyniesie. Jakoż zebrałem je, ogłosiłem prenumeratę; pozwolenie drukowania najinniejszój od rządu Pruskiego nie doznało trudności. Pierwszy tom w drukarni Mostowskiego wyszedł; prenumerata nań była obfita, lecz zysk ten (jak późniój powiem) był dla mnie stracony. Drugi tom już po wyjeździe moim dru-

kowany, nie mi prawie nie przyniósł, oddano mi bowiem moją należność w książkach drugiej edycji, gdy pierwsza zaspokoila już była wszystkich.

Na posiedzeniach Towarzystwa publicznych, czytałem niektóre poezye, *Glińskiego* i tłumaczenia z *Gay Country-church-yard*, etc.

Właśnie wtenczas za staraniem księcia A. Czartoryskiego, wielkie względy i ufność posiadającego u Aleksandra I, uniwersytet Wileński, na nowo urządzony i obficie obdarzony został. Zapisywano kosztem wielkim ze wszystkich krajów, najbieglejszych do wszystkich nauk professorów i hojne dawano im opatrzenie. Uniwersytet napisał do mnie, proponując mi katedrę literatury polskiej; lecz nie czując się dość biegłym i zdatnym do takiego zawodu; związany nadto w inną część świata ślubami małżeńskimi, składając winne dzięki, podziękowałem za ofiarę.

Z nadejściem wiosny 1803, podług przyrzeczenia mego, wybrałem się do ojczystego mego siedliska. Niestety! Już nie zastałem ukochanej siostry mojej Krasnowskiej; w kwiecie wieku zesłała ze świata. Była to kobieta, równie z przyjemnej postaci, jak z rzadkiego rozsądku, powszechnie ceniona. Miała ona prawdziwie mężką odwagę i skłonności. Podczas wojny 1794 za Kościuszki ledwie lat 14 licząca, słysząc o walkach Kościuszki, bez wiedzy rodziców, wykradła się z domu, wzięwszy ojcowski pałasz i pistolety, wsiadła na koń, puściła się drogą do obozu i ledwie ją o dwie mile dopędzono i przywiedziono do domu. Miłe chwile spędziwszy z bracią i krewnymi, pojechałem podług przyrzeczenia mego do Puław, z kąd razem z księciem do wód Bardyowskich w Węgrzech, w tej części gdzie lud jeszcze mówi po polsku. Wielu tam zastałem panów węgierskich, od których nie mało odebrałem grzeczności. Wody te przyjemne są do picia i wzmacniające. Powracaliśmy przez Galicyą i wstąpiliśmy do siostry księcia, księżnej Marszałkowej Lubomirskiej do Łancuta. Jest to dawny starożytny zamek, utwierdzony

przeciw Tatarom, dziś obszerne gmachy jego ozdobione pięknym posągami Kanowy, obrazami Roberta, Dawida, pani *Le Brun* i wielą innemi. Życie w tym zamku było prawdziwie pańskie. Starożytna Polska gościnność łączyła się z tonem modnym dzisiejszym. Zamek acz obszerny napelniony gośćmi krajowymi i obcymi. Wiedziano tam jeszcze kontusze, lecz tonęły one w mnóstwie fraków. Stary cukiernik księżnej, odziedziczony po ojcu, księciu Czartoryskim, wojewodzie ruskim, ogolony, w kontuszu, najwyborniejsze cukry zastawiał. Księżna sama powagę z uprzejmością łączyła.

Spędziłem zimę częścią w Krakowie, częścią w Puławach. Ilekroć Kraków odwiedzam, patrzę na dawności i świetności naszej zabytki, zdaje mi się, że prawdziwem polskiem powietrzem oddycham, lubo już w nim panowali Austriacy. W Puławach dawnych czasów odnowiły się zabawy: wiele było młodzieży rezydującej na dworze księcia, wiele ładnych rezydentek, panien, gości. Zaczęto wystawiać obrazy z osób żyjących, reprezentujące lub pierwszych malarzy malowania, lub z dziejów Polskich znakomitsze zdarzenia, wszystko w celu odświeżenia w umysłach młodzieży zeszłych już czasów, świetniejszej, szczęśliwszej, chlubniejszej nad dzisiejszą przeszłości.

Pierwszy pomysł wystawienia podobnych obrazów należy się księżnie Izabelli Czartoryskiej; później naśladowano je w Berlinie i Wiedniu.

Księżna Radziwillowa, z rodziny pruskiej, ciotka panującego króla, wydana za księcia Antoniego Radziwilla, odwiedziła Puławy. Dano dla niej widowisko obrazów i pysniejszy nad inne wjazd Baszy Tureckiego do Mekki. Scena była na drodze, na schodzącą drodze, za bramą pałacu do drogi ku Włostowicy. Jeszcze znajdowały się wielbłądy i piękne konie na stajni książęcej. Skarbiec zawierał wiele bogatych starożytnych kulbak, rzedów, dyfteków, czapraków, ubiorów nawet Tureckich. Użyto tych wszystkich bogactw, by wystawę tę jak najwspanialszą uczynić. Księżna Pruska

była cała w zachwyceniu, a wróciwszy do Berlina, modę podobnych wystaw zaprowadziła do niego.

Spędziwszy półtora roku z krewnymi i przyjaciółmi w ojczyźnie, dzieliłem czas między jednymi i drugimi. Z poczciwym bratem moim Janem łatwo zakończyłem interes. Biedny ojciec mój, w starości swojej cały opanowany od księży, na znaczny majątek swój zaciągał gdzie mógł długi, hypotekował je na ziemskich dobrach swoich, zaciągnięte zaś pieniądze księżom oddawał, mianowicie księdzu Proboszczowi w Żbierowach, tak że po śmierci jego przyjść musiało do exdywizyi, znaczna więc część majątku odpadła od pięknej włości *Klenik*, a mnie po odtrąceniu dawniej zaciągniętych długów, nie zostało jak 4,000 czerw. zł.

W Warszawie od Pani Stanisławowej Potockiej, w Puławach od XX. Czartoryskich, wszędzie doznawszy najżywszych dowodów przyjaźni i uprzejmości, z jakimże żalem przyszło mi się rozstawać z tak dobrymi przyjaciółmi, ze smutną myślą, że już ich może nie ujrzę więcej. Wyruszyłem przy końcu Marca 1804 r. na Berlin, drogą do Paryża, w kompanii z p. Węgierskim, który się później z panną Wielopolską ożenił.

* * *

Na wiosnę roku 1805 żona moja przedsięwzięła odwiedzić krewnych swoich mieszkających po większej części ciągiem West-River i Kudson, chcieliśmy zacząć od brata jej Filipa, o którym już wspomniałem, lecz wprzód odwiedziliśmy siostrzenicę jej Panią *Rudekes*, z domu *Bajard*. Tam nie wiem z jakiego powodu napadła mnie febra zbliżająca się do żółtej. Musieliśmy się więc wrócić nazad do Elizabethtown. W paroksyzmach cierpiałem tak nieznośne bole głowy, że m się zrzucał z łoża i tarzał po ziemi. Doktor *Williamson* by mnie uleczyć, uciekał się do gwałtownego lekarstwa, to jest do arszeniku dawanego w niezmiernie małej dozie; jakoż w dwóch niedzielach zginęła febra; raz więc jeszcze wyjechalismy, tą razą statkiem aż do West-point,

miejsca sławnego w czasie wojny o niepodległość amerykańską. Celem podróży było odwiedzenie państwa *Williams*. P. Półkownik *Williams* był kommandantem tej twierdzy, więcej naturą jak sztuką mocnej. Sama Angielka z domu *Hanke*, oboje grzeczni, światli i znając Europe zwiedzili. Półkownik był siostrzeńcem sławnego *Franklina*. Córka ich, wyborna kobieta, malująca dobrze, dziwnie podobny wymalowała dla mnie portret w miniaturze *Franklina*, który dotąd noszę na tabakierze.

Tegoż lata sąsiad mój Lord *Bolingbroke* dla ważnych przyczyn pod imieniem Pana *Belassis* do Ameryki schroniony, wraz z żoną *Hompesch* wypłynął do Anglii. Wielka była to dla mnie strata; obcowanie z ludźmi lepszego wychowania, wiadomości i pozycyi, rzadkie jest w Ameryce.

Będąc u państwa *Williams*, odwiedzaliśmy znajomości nad brzegami North-River mieszkające. Nic wspanialszego jak rzeka ta, oskrzyniona niebotycznymi, stromemi skalami, tak jest szeroka i głęboka, iż ogromne trzymasztowe okręty idą nią i powracają. My małą łódką puściliśmy się nią do sąsiada i wracając późno w żegludze naszej przez wpływ wody morskiej zatrzymanym, musieliśmy schronić się w zaciszny ustepek. Między nami i bezdenną przepaścią wiała tylko deska była, w około skały, cichość nocna wszędy, była to uroczysta chwila; późno wróciliśmy do domu.

Późno w jesieni 1806 zaczęły nas dochodzić wiadomości o wojnie między Napoleonem, Prusami i Moskwą, wojnie chępliwością Prusaków i zawziętością pięknej królowej pruskiej wznieconej. Napoleon wsparty szczęściem szedł naprzód jak nawałnica jaka wszystko sprzątając. Bitwa pod Jena i przeważne zwycięstwo w tém miejscu aż do Poznania otworzyły drogę Napoleonowi. Tam Wybicki, Radoliński i inni Polacy zawsze gotowi przy każdej okazji dopominać się o utraconą Ojczyznę, zaszli drogę Napoleonowi, ofiarując mu usługi swoje, byle przywrócenie Polski przedsię-

wziął. W odpowiedzi oświadczył podbijacz te słowa, „wystawcie mi 30,000 wojska, a wrócę wam Polskę.“

Nie potrzeba było więcej Polakom. W dwóch miesiącach czasu stanęło około 40,000 Polaków pod bronią; wszystka młodzież, chłopięta nawet cisnęli się do szyków i z zabranych na Prusakach jeńcach polskich w ich służbie będących utworzyło się kilka pułków.

Mieszkającemu w drugiej świata połowie późno bardzo wiadomość o wojnie téj doszła. Z jakimże upragnieniem oczekiwałem okrętów przybywających z Europy i doniesień o wypadkach wojny tak żywo mię obchodzącej. Obumarła już nadzieja znów się odżywiać zaczęła. Miotła mną niespokojność wrócenia co prędzej do ojczyzny i bycia jój pożytecznym. Największa trudność zachodziła od przywiązanej żony. Niemo cnego zdrowia, nieumiejąca jak po angielsku, obca zwyczajom europejskim, mająca jedynaka młodego syna, nie chciała ze mną jechać, wzdrygała się na oddalenie moje. Użyłem więc za pośrednika p. Rudefort krew nego jój, jednego z najznacniejszych ludzi w Ameryce. Ten przełożeniami swemi tyle na żonie méj dokazał, że sama uznała, iż powinnością moją jako Polaka było w tak ważném położeniu spieszyc na pomoc, przyrzekła nawet, iż jeżeli Polska powróconą zostanie, pospieszy za mną.

W staréj słabéj głowie mojej, mieszają się wspomnienia faktów i tak, zapomniałem dwóch ważnych okoliczności, zdarzonych pierwéj rokiem, najprzód, naturalizacyi mojej na obywatela amerykańskiego, po wtóre, podróży mojej do Niagara, sławnego na świecie spadu wody. Przebywszy czas w Ameryce przepisany, by mieć prawo stania się obywatelem, udałem się do pułkownika Ogden, jednego z pierwszych adwokatów w Elisabethtown, by mi ten interes ułatwił. Wyjechaliśmy więc razem do Newark, stolicy powiatu naszego. Tam gdy pólkownik Ogden poprzysiągł, że ja mieszkał w Zjednoczonych Stanach przez lata prawem przepisane, a ja wyprzysiągłem się szlacheckiego stanu

meo, poddaństwa Carowi, a przysięgłem wierność prawom nowéj ojczyzny mojej, wydał mi magistrat świadectwo z pieczęcią, że jestem obywatelem amerykańskim. Świadectwo to wielce mi w opłakanym stanie moim dzisiejszym pożytecznem jest i będzie. Jeżdżę bowiem i przebywam tu za paszportem amerykańskim. Przez wdzięczność dla p. Ogden ofiarowałem mu szablę daną mi w Londynie od wybornego p. Kołaczkowskiego z napisem na głównej *wiwat konstytucya 3. Maja 1791.* Zostanie więc i ta pamiątka w nowéj części świata. *Quae ora in terris nostri non plena laboris!* W towarzystwie lorda i lady Bolingbroke, sąsiada mego, odbyłem podróż do Niagary. Wyrzucałbym bowiem sobie, gdybym będąc w Ameryce nie widział tego cudu natury. Niestety! puszcze przez które przebywaliśmy, były naówczas bezdrożne tak, żeśmy siekierą drogi sobie otwierać musieli. Dziś już ludne tam miasta kwitną. Podróż ta, cała opisana, została w Warszawie wraz z innemi memi rękopismami.

* * *

Jedną jeszcze z téj epoki przypomnieć muszę okoliczność, z innemi związek mającą. Od roku i więcej zajmowałem się posągiem Kopernika, składką publiczną a nadewszystko hojnym przyczynieniem się niezgasłej pamięci najgorliwszego obywatela X. Stan. Staszycy w Rzymie przez Torwaldsena ulanego. Jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, bardziej jak miłośnik sławy narodowej, nie żałowałem w téj mierze trudów. P. Norblin, urodzony w Polsce, ułał ten posąg. W początkach więc Maja już był do postawienia gotów, już założono fundamenta, gdzie na pargaminie w puszcze blaszanej złożono imiona prezesa i wszystkich członków towarzystwa. Architekt chybił w proporeyi podstawy. Dzień 5 Maja wybrano za dzień uroczystości. Że to była rzecz publiczna, a zatem potrzebowała oznajmienia rządowi, napisałem do Mohrenheima, sekretarza W. Kniazia Konstantego, jako dyskrecyjalną władzę ma-

jącego od Cara, prosząc go, by W. Ks. Konstantego uwiadomił. Dowiedział się o tém Nowosilców, widząc że W. Ks. zezwalał, przypadł do niego. „Przebóg co czynisz, rzecze, zważ jaki tłum pospólstwa będzie na téj uroczystości, zważ kto będziemy, najzapaleńszy Polak, najgłówniejszy nieprzyjaciół Rossyi. Gotów on użyć téj chwili, by publiczność całą zapalić, pobudzić do buntu.“ Konstanty, któremu mniej potrzeba było, by wzbudzić wszystkie podejrzenia i trwogi. „Masz rację, rzekł obracając się do Mohrenheima, napisz zaraz do Niemcewicz, by wprzód przemówkę swoją dał do przeczytania. Uczynił tak Mohrenheim, a jam niechcąc dać Nowosilcowowi prawa wtrącania się w rzecz naszą, odpisałem, że gdy tyle trudności, odsłonięcie posagu Kopernika może się obejść bez żadnej mowy. „Czy widzisz starego rewolucjonistę, rzekł Konstanty, cóż mu to szkodzi, że ja mowę jego przeczytam.“ Tu Mohrenheim, człowiek dobry, pocóż masz się dłużej spierać, rzekł mi, pójdź sam i przeczytaj mu, co masz mówić. Czas nagiął, pierwszy raz w życiu mojem udałem się do Belwederu, do W. Kniazia. Wpuszczony bez czekania, „księżu, rzekłem, niechciałeś zaufać rozsądkowi memu, żadałeś czytać wprzód mowę moję, owoż ją masz.“ To mówiąc wręczyłem mu tłumaczoną po francuzku krótką przemówkę moję. Zaczął ją czytać. Wkrótce zmarszczywszy białe brwi swoje, z opryskliwym jak zwykle tonem, zawołał: „jakże śmiesz chwalić obywatelstwo łajdaka tego Staszycy?“ „Staszyc, rzekłem, był człowiekiem powszechnie szacowanym; nadto, mógłbym zamilczeć, że on ledwie nie w połowie przyczynił się do kosztów posagu tego?“ „No, rzecze, to można powiedzieć bez żadnych innych pochwał.“ I oddając mi papier: „Przyrzecz mi, dodał, że nic więcej nie powiesz nad to, co tu jest napisaném.“ „Przyrzekam, rzekłem, nadto p. Nowosilców będzie obrządkowi temu przytomnym, on więc zda rapport.“

Tu właśnie miejsce nadmienić, z kąd pochodziła ta zawziętość W. Kniazia przeciw Staszycowi. Staszyc

urodzony z duszą pełną gorliwego obywatelstwa, z młodości chwycił się rozmaitych nauk, teologii, mineralogii, literatury, wędrował po Francyi, pisał o polityce, statystyce, pisał nawet poema o rodzie ludzkim, wierszem nierymowym, z wymysłonemi przez siebie nowemi dzikiemi wyrazami i obrotami. Wydał to poema i dzieła swoje ozdobione rycinami z niesłychanym przepychem. Znajac srogość cenzury Szaniawskiego, cały pyszny nakład dzieł swoich oddał w schowanie Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Mimo tajemnicy atoli, ultraświętoszki nasze nienawidzący liberalnych zdań Staszyca, znaleźli sposób doniesienia przez Nowosilcowa W. Księciu, że dzieło Staszyca nie tylko było bezbożnem lecz burzącem naród przeciw najwyższej władzy. Dosyć na tém, posyła W. Ks. Konstanty żołnierzy, odbijają skład gdzie było to dzieło, porywają wszystkie egzemplarze i do Belwederu do W. Księcia przywożą. Któż uwierzy? jak drugi Kalif Omar przez całą zimę innego na kominku swym nie miał opału jak egzemplarze dzieła Staszyca.

Wracam do obchodu odkrycia posągu Kopernika. Odbył się on dnia 5 Maja 1829; oddawna fundament i podstawa już było gotowe. Napisaliśmy program, podług którego, jak należało, od mszy ś. w kościele ś. Krzyża, uroczystość zacząć się miała. Cała publiczność z weselem czekała téj chwili. Całe przedmieście Krakowskie napelnione były tłumami ludu. Na gruntach domu Towarzystwa stanęła muzyka i śpiewacy, którzy stósowny do uroczystości hymn wykonywać mieli. Zebrani wszyscy członkowie, udaliśmy się do kościoła, lecz jakież było nasze zadziwienie, gdy zamówionój mszy nie zastaliśmy. Później dowiedziałem się tego przyczyny. Duchowieństwo nasze naówczas, oprócz niewielu światłych i przykładowych, dzieliło się na dwie części, na rozwiązłych i na fanatyków. Ci się tajemnie złączywszy, postanowili, że ponieważ Kopernik systematem swoim zgrzeszył przeciw pismu ś. i wyklętym został przez Papieża, uczcić obchód jego mszą ś. byłoby świętokradztwem. Wyszliśmy nakoniec z kościoła. Stałem na

postumencie i krótką uczyniłem przemowę, w ówczesnych gazetach znajdującą się. Zasłona przykrywająca posąg spadła, zabrzmiała huczna muzyka i hymn stosowny do okoliczności, okrzyki ludu rozdzierały powietrze. Niestety! ostatni to był dzień nasz radości! Wkrótce po poświęceniu posągu Kopernika i przyjeździe Cara na koronacyą, przybył z Berlina do Warszawy sławny wędrownik Humboldt, niedawno z podróży swej na Ural, do Syberyi, aż na granicę Chińską. Że przed rokiem obraliśmy go byli członkiem towarzystwa naszego, by uczcić tak znakomitego mędrca, daliśmy dla niego wielki obiad. Dowiedział się o tém W. ks. Konstanty. Cóż robi? z rana tegoż samego dnia zaprasza pana Humboldt na obiad do siebie i od 2 godziny trzyma go do 6, naigrawając się i śmiejąc się ustawnie do swoich, że nam figla wyrządził.

Humboldt jest zapewne jednym z pierwszych uczonych w historyi naturalnej i jeografii, lecz nie widziałem gadatywusa większego. Gdy był na sessyi naszej zamiast odpowiedzenia na komplement, który mu uczyniłem przez 1½ godziny trzepał nam ustawnie o podróżach swoich, toż samo u stołu, toż samo za każdym spotkaniem.

PAMIĘTNIKI

FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO.

Parmań 1844.

Urodziłem się w r. 1841 dnia 4 Października w ziemi Halickiej na Pokuciu, w powiecie Kołomyjskim, we wsi Hołosków, trzy mile od Stanisławowa, z rodziców Andrzeja i Rozalii Karpińskich. Czego pamięć moja nie zasięga, a co mi tylko matka powiadała, w lat pięć może wieku mojego, brat mój rokiem starszy Kajetan

umarł. Kiedy wszyscy śmierć dobrego tego chłopca (jak powiadano) oplakiwali, ja jeden wesół byłem, że sukienki po nim pozostałe a lepsze od moich mnie się dostawały, tak od dzieciństwa miłość własna mocniejsza w ludziach nad wszystko! Ale to już dobrze pamiętam, jak w rok może potem matka nasza ojcu i wszystkim nam powiadała, że syn jej nieboszczyk Kajetan widocznie się jej po śmierci pokazał i kiedy go wypytywała się na jakiej drodze umarła jej siostra była, Kajetan odpowiedzieć miał: „Wielkiż to tam świat, mamuniu i ciężko każdego obaczyć!“ To dowcipne ratowanie się, ażeby i prawd tamtego świata nie objawiać i matce pytającej się odpowiedzieć, dało cechę prawdy snowi zapewne, że pokazaniu się Kajetana powszechnie wierzono w okolicy. Ale wiek dzieciństwa mego, wielkiem był wiary zabobonnej i przywidzeń. Taż pobożna matka moja dobrą jakąś duszę po północy widziała (bo duchy tylko przed północą ukazywały się) białą ubraną, z cierniem po przysciece dla kaleczenia umyślnie bosych nóg idącą, która potem przez szczelinę w oknie do izby weszła i za obicie skryła się. Kosztowało to widzenie ojca, dzieci wszystkie i czeladź, bośmy wnet pobudzeni, pacierze klęcząc przez trzy godziny przy obiciu za tę duszę potrzebną ratunku odmawiać musieli. — Ojciec nasz słyszał jak Śty Józef z obrazu swego który był w izbie wymówił to słowo: „cnota;“ widział w wigilię Bożego narodzenia, także po północy Najświętszą Pannę na niebie w żółtym robronie, widział upiora, pokazywał nam wielu włóczących się opętanych od diabła, powiadał wiele historyi o oczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się diabłom, o czarownicach i babach na Łysą Górę na ożogu kominem wylatujących, również jak o lunatykach, którzy kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył przez szczelinę, przez sen, przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom, pod jakim planetą kto się urodził, również i przepowiedniom kalendarza, a cyganki włóczące

się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów na stół rzucanych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę najchętniej w dom przyjmował. — Z tych wszystkich zabobonów im bardziej im w tamtych czasach wierzone i obawiano się, tém więcej my dzisiaj śmiejemy się. Ojcowie nasi zaś, jak dawni Grecy albo Rzymianie, wszystko prawie w urojonych cudach widzieli. Matka i ojciec mój, byli to razem ludzie najcnotliwsi i najsurowiej powinności dobrego Chrześcianina wypełniający. Kłamstwo w dzieciach najsrożej karane było, artykuły wiary najwcześniej nauczane, skromność, szanowanie się wzajemne i miłość między rodziną nakazywane; a mimo to ja starszą siostrę moję, że była po oście ślepą trzy lata, rozgniewawszy się czasem, ślepą nazywałem, o co ukarany w czasach kiedy mi się narażiło to słowo, ślepą nie wynawiałem, ale tylko oczyma na nią mrugał. Mścić się i dla swego pożytku oszukać i to z urodzeniem naszym rodzi się z nami. — Z drugą siostrą moją, kiedyśmy po pacierzu codziennie na śniadanie mleko lub piwo jedli, żem więcej bo prędzej jedząc zjadał, na co się ona skarżyła, kazałem jęj łyżką na połowę mleko przedzielić, ażeby sobie swoje połowę trzymała, a ja tymczasem jedząc, jęj połowę jak lejką przechodzącą na moje stronę zjadłem. Krzyżyk bursztynowy, z szyi jęj spiacęj, kobiecie z jagodami przechodzącęj za kwartę jagód zamieniłem. Ale nie długo udało mi się oszukiwanie moje; kiedy zmłoczek w stodole naszęj, nożyk swój prosty na progu położył a ja go ukradkiem schwytał, spostrzeżony potém od ojca mojego, żem nim coś strugał, i spytany z kądbym go wziął, do zwyczajnego wykretu, żem go znalazł, udałem się; zwołani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk, kiedy się zmłoczek do niego przyznał, dodając, że ja byłem przytém w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył. Kazał najprzód ojciec mój, abym upadł do nóg wieśniakowi i przeprosił go, żem go tą moją kradzieżą zmartwił, rozumiałem, że się już na tém mojem upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść różgę

surowy ojciec temuż samemu zmłockowi kazał mi 10 różg wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował, wziął potem sam różgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi 10 różg swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał. O święta rękę ojca mojego (choć cię już nie masz od tak dawnego czasu) jeszcze ja cię i teraz w myśli mojej całuję. Tém to ja surowém ukaraniem wziąłem wstępną największą w dalszém życiu mojem co jest cudzego tykać, karałeś ojcie i każdy upór i każde łgarstwo surowo, a że pierwsze z dziecięciem obchodzenie się, największe w niem czyni wrażenie, o jakże często wyszedłszy na świat, przypomniały mi się nakazy twoje! W roku moim ósmym już umiejącego czytać i trochę pisać oddał ojciec do bliskich szkół Stanisławowskich, gdzie dobrze starszy odemnie brat mój Antoni już od lat kilku uczył się, ażeby i ja do szkoły przywykał; było to odwiezienie moje w porze zimowej i kiedy ojciec po obiedzie mnie zostawując do domu odjeżdżał, ja uprzedzony bojąc się nader wszystko szkoły, za wrotami stancyi gdy nikogo za saniami nie było, przysiadłem cicho z tyłu i dopiero w pół drogi odkasznieniem wydałem się, tak zaraz nazad do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście różg danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu interes ten zakończyło.

Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, Hetmana W. Kor. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki; i prawdziwie podobnej ludności to miasto przedtém i potem nie widziało i widzieć nie będzie. Kilkadziesiąt Senatorów, między którymi kilku Biskupów, cóż dopiero sam dom Potockich w tylu gałęziach między najświetniejszymi wtenczas, cóż dopiero wojsko pozgromadzane które w tamtym wieku na koronacjach tylko królów albo cudownych obrazów i na pogrzebach dowodziły, cóż dopiero niepolicone obywatelów mnóstwo

z dalekich nawet województw dla ciekawości pozgromadzone, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło. Ojciec mój mieszkał wtenczas w Stanisławowie i mogłem na tym pogrzebie widzieć wszystko, z czego po części już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkim od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnymi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotymi frezlami, światłem, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy po wezłowiach położonemi przyozdobiony, od drzwi kościelnych aż do katafalku na kroków kilkadziesiąt posadzka z tarcie umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi na koniach wpadając łoskotu więcej czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę Bożą, kiedy dla człowieka Hetmana z domu Bożego stajnię zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednym i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiej, inny łamał szpadę, inszy rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar i t. d. Każdy zaś złamawszy swoje narzędzie, przy nogach trumny spadał z konia niby żał po Hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohaterów nie udało się wyrzucić skruszenia chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrzucali, ale udał się lepiej niby żał i spadnięcie z koni bo byli dobrze pijanymi. Blisko dwóch niedziel odbywała się ta uroczystość trupowa, a może do ćwierci roku niektórzy goście przyjmowani przez syna zmarłego Hetmana bawili w Stanisławowie.

Pierwsza którą w tych czasach widziałem egzekucją kryminalisty w Stanisławowie wielkie na mnie uczyniła wrażenie; był to rozbójnik nazwiskiem Bajurak, który na plac śmierci idąc, kazał sobie podać fujarę czyli ulubioną piszczalkę góralską, na której smutne dumy góralskie przygrywał. Ojciec mój umyślnie na tę egzekucję za rękę mnie prowadzwszy, stanął ze mną tak blisko, ażebym widział ścięcie zbrodniarza, które gdy

się dopełniło, tak do mnie widokiem tym pomieszanego rzeczce: „Moje dziecię, Bajurak zapewne zaczął od kradzieży małych rzeczy i może tak jak ty w dzieciństwie nożyk u kogo ukradł, co że mu wcześniej nie zganiono, postąpił do rzeczy większych, a że ludzie zwyczajnie po domach strzegą się od złodzieja, widząc że tą drogą żyjąc między ubogimi nie tak łatwo zbogacić się potrafi, puścił się na rozbój, który prędzej spanoszyć może; moje dziecię! złe każde jest jak mała gadzina, której jad z czasem o śmierć przyprawi.

Już byłem w szkole grammatyce, kiedy na wakacje przyjechaliśmy do domu, brat mój starszy będąc rektorem a mający skłonność do stanu duchownego (co potem ziścił) w blizkiej izdebce kazania przy rodzicach miewał, kiedy raz żartując ojciec zapytał mnie czyli też i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wstąpiłem zaraz na miejsce, które się niby amboną nazywało, gadałem może z pół godziny, same słowa nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak gością wszystkie kaznodziejskie udając jak się napatrzyłem na kazaniach w Stanisławowie, ale co ojca najwięcej zabawiło, że w tym słów niezwiązanych natłoku nigdy się nie zastanowił; zyskałem od rodziców daleko więcej za moje kazanie jak brat starszy, bo on tylko zimne pochwały a ja rodzynki i gruszki odebrałem. Dzieckiem będąc w szkołach już ja ciebie, słodka przyjaźni, poznałem. Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko Sosnowskiego i Malickiego tak jak oni do mnie przyłgnałem? trzeba wyznać że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniej wszystkie przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym na ten czas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół łączyć zwykło. Z Sosnowskim który był w niższej szkole odemnie, do takiej przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy,

w której prócz poprzysiężenia przyjaźni była obietnica wspólna, że któryby z nas pierwój umarł; ten drugiemu ma się po śmierci (jak na ten czas wierzono możliwości takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na tamtym świecie powiedzieć, co żeby tém mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu, gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli, i dla utwierdzenia większego tych naszych układów na téjże samej mszy obadwaj komunikowali. W półroku potem pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszej pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł, jak długo bezsenne nocy w strachu trawione, póki wyspowiadawszy się i komunią świętą przyjąwszy śmiały potem, w nocy nawet ku kracie grobowej szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał, tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni.

I z drugim przyjacielem Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła, starsze klasy jako to Poetowie, Retorowie i Filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami modliły się. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim podczas kazania śmieliśmy się i łokciami żartując z drugich potracali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moję i zaszedłszy po za ławki z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek przydawszy głośno: „złego i w kościele biją,” a potem poszedł do swojej ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda z strony ojca, a wstyd z mojej strony, przypominały mi na potem skromność w kościele.

Krew żywa, która do swywoł poruszała, była mi razem pomocą, żem się i naznaczonych mi na pamięć

pensów najłatwiej zawsze nauczył, a te pilność i honor jakiś sprawował żeby w szkole nademnie lepiej się uczącego nie było. Dyrektor mój Nadziejowski zwyczajnie przed pójściem z rana do szkół, pensów na pamięć wydawanych słuchający, raz mnie słuchać nie chciał, bo (powiedział) że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale taż sama żywość zrobiła mnie do mojej religii wpoionej przez ojca gorąco przywiązanym. Nasłuchawszy się z żywotów śś. Pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby ukradkiem od naszej gospodyni uciekłem w nocy, do bliskiej Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołądźnią, pomalu przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany że nie będę mógł do żołądźi przywyknąć. Różga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcej bliżniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest tylko to mówić a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz ś. Sebastjana strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl być męczennikiem dla wiary; wiedziałem że Chocim miasto tureckie na Wołoszczyźnie, nie tak od Stanisławowa odległe, umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta, Mahometa proroka Muzułmanów, ostatniemi łzami wyrazić; tak obrażeni Turcy, pewnieby mnie za wiarę moję zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego przyszło mi do głowy doświadczyć pierwój jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały, dużą szpilkę utkwilem sobie w udo, z bólu krzyku narobiwszy, i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę, najbardziej na skrzypcach, chciałem się jej uczyć najusilniej, ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego jak i mówić po francuzku na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle zrozumiana religia połączona z chęcią nauczania się na instrumencie, wyganiała mnie do Częstochowy, ażebym uciekwszy z domu tam służąc przy kapeli kościelnej, razem N. P. Częstochowskiej

przez kilka lat służył. Ale ten układ Ksiądz mi na spowiedzi odradził, nie czynić źle (jak mówił) marnując rodziców, ażeby się działo dobrze.

Około tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic służąc za ekonoma u pana (którego zapomniałem nazwisko) człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych winnym został; nie bał się zaboru bo nad kontusz, żupan i kilka koszul, nic więcej nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana, przystał do drugiego na taką funkcję. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa, woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku, pokazano tedy woźnemu i dwóm szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowem: że nic się po nim nie zostało prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana opowiadając o śmierci zbiega i że zapewne nie po nim nie zostało się, a tym czasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blisko byli kościoła kiedy trup mniemany (a którego pewnie krisis choroby uspiła była) ruszać się począł a wreszcie i wieko od trumny zrzucił. Czasy to były w których najwięcej w upiory wierzono i biedni chłopci zląkwszy się, w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc co się z nim było stało, i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopą kryjącego się, na Boga zaklinać począł ażeby do niego przystąpił; póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopci nie dowierzali, ale potem zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powracali, gdzie on przybywszy

prosił najusilniej tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odesłał, bo ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią, największy na duszy ciężar czułem, że od pana dawnego uciekłem, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniej służąc za jego szkody. Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz odesłał go do starego jego pana, u którego stanawszy, wszedł mniemany trup do pokoju, w tym samym kontuszu w którym był uciekłem, właśnie wtenczas kiedy pan jego dawny w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącym na stoliku pisał. Widząc w zwierciadle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze do niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekłem do drugiej izby, gdzie się zamknąłem. On biedny prosić przede drzwiami począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągnięty dług darował. A pan z za drzwi krzyknął zalekniony: Ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu, ale precz! Poznano po wszystkich przestrachach co się stało, i poczciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.

Już dwa roky odbyłem na Retoryce, i kilka kazań w Niedziele postne na nabożeństwie studenckim w kongregacyi miałem, kiedy przyjechawszy do księdza brata do Oleśni miasteczka gdzie był komendantem i gdzie rodzice moi już starzy na dewocyi mieszkali, zastałem tam zjazd obywatelów na pogrzeb Aleksandra Roszczyca, porucznika chorągwi pancerniej hetmańskiej (co na ten czas wiele znaczyło) nazajutrz się odprawiać mający. Przypadkiem przyszedłem do księdza Wojcickiego, scholastyka stanisławowskiej kolegiaty, przyjaciela rodziców moich, który na tym pogrzebie miał celebrować, a ten mi o swoim zmartwieniu powiedział, że na zjazd taki wojskowych i rodziny, mowy żadnej pogrzebowej nie będzie, kiedy ksiądz co mówić miał zachorował. Proponowałem siebie za mówcę, nadewszystko, że Roszczyca nieboszczyk, był mi dobrze znajomy, i kochał mnie. Z ukontentowaniem ofiarowanie się moje przyjęte od scholastyka a ja nie bawiąc powró-

ciwszy do domu, tę mowę sobie napisawszy, uczyłem się jej na pamięć, bo wtenczas nie było zwyczaju z karty czytać. Noc była widna i kiedy chodząc po miasteczku mowę sobie moje w pamięć wbijałem, zdybawszy kilka stróżów nocnych (co po ulicach „ostrożnie z ogniem“ wołali) obiecałem im półzłotego na wódkę byle razem co mają siły, „ostrożnie z ogniem“ zawołali, było to przy jednym domie miejskim gdzie pólkownik przedniej straży Cieński z żoną, z rodziną i z wielu towarzystwa gospodą stali. Okrzyk gwałtownie pod oknem zrobiony, obudził wszystkich i kiedy ja na zapłacenie krzykaczów półzłotka dobywałem, wypadli z kijami towarzystwo i moich wołaczów dobrze wybili, a ja z półzłotkiem i ze strachem uciekając przecie ocalałem. Przyszedł na koniec dzień pogrzebu; gdy już do grobu trumnę spuszczać mieli, zacząłem mowę moję, w której po wielu zmarłego pochwalałem, po pożegnaniu wojskowych i sąsiadów, kiedy do pożegnania żony pozostałej i dzieci przyszło, dzieci które s.p. matce oddaje, żeby ją cieszyły miasto niego a kiedyś obaczywszy się z żoną, którą teraz opuścił, pytać się będzie przed Bogiem o pozostałych sierot wychowanie i obyczajność ich; tak to mocnymi wyrazami i tkliwym tonem głosu wyraziłem, że matka głośnym szlochaniem na czas mnie zastanowiła, niżeli ją utulić mogli. Po tym pogrzebie nastąpił wielki obiad, na którym że mi pogrzebowa mowa moja, zrobiła powszechną tam wziętość, między osobami u stołu najpierwszemi byłem posadzony, co moję miłość własną najmocniej na pierwszy raz lechtało, co trochę mnie nawet pychę nadeło.

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii, przyjechałem na wakacye do brata i rodziców. Mielśmy zawsze dla matki naszej, a najbardziej dla ojca groźnego uszanowanie, nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem; a nawet o ścianę stojąc przed nim oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimści roz-

mawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie jak przedtém przechodził. Kryminałem byłoby spytać się za co to; w milczeniu skromném, z oczyma w ziemię spuszczonemi czekałem końca, w tém ojciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwie co napisać umiem a ty już filozof, doświadczałem cię tylko jak téż przyjmiesz policzek od ojca twego, ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz (w tém ukląkł w pośrodku izby i podniosłszy ręce do góry) Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba pobłogosław to dziecko moje, niech żyje długo zdrowo szczęśliwie.“ Padłem mu do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku który odebrałem, a on klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi a będziesz szanowany, ten policzek który odebrałeś od ojca niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego, wzgardę takową znać może!“

Nie długo potém, bo może w półroku, ten srogi ale razem najenotliwszy ojciec pożegnał nas; przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał, i widząc się bliskim zgonu, matce tylko zalecił „powiedz tam Franciszkowi niech prawdą idzie na świecie,“ i to już ostatnie jego słowa były, bo po nich skonał po daniu mi znać o trzy mile oddalenia; przyjechawszy już go ułożonego na katafalku zastałem, i już mnie w osobności kilku naszych przyjaciół trzymali, żem nawet pogrzebu ojcowskiego nie widział.

Cztery lata uczyłem się filozofii głupiej, a natenczas powszechniej perypatetycznej, traciłem czas młodości mojej najlepszej. Powiedział ktoś: „Ucz się tego za młodu, co ci na całe życie potrzeba będzie.“ Moja pe-

rypatetyka jak nikomu tak i mnie pożytku w życiu nie zrobiła.

* * *

Porzucił ja z czasem świat oświecony, i kiedy świeżo, uczony Kant w Królewcu, gwałtem znowu do szkół wprowadzić perypatetykę piśmami swojemi usiłował, sobie tylko uczynił krzywdę, że użyteczną terazniejszą filozofią na doświadczeniach fizycznych, geometryi zasadzoną do dawnego *Eas rationis* powrócić chciał. W przeciągu kursu filozofii mojej ciebie ja to miłości najpierwszy raz poznałem; na próżno Jezuici słodkiemi namowami przynęcali mnie abym do ich nowicyatu poszedł i był Jezuitą, mocniejsza natura nad wymowne ich przekonywania, swoją pójść drogą wołała. — Jeżeli żyjesz jeszcze najpierwsza oblubienico moja, zdrowie ci i szczęście!... więcej stem mił oddalony, przegrodzony od Pokucia kordonami, obcym ja się dla mojej ziemi zrobiłem, żyjący teraz w Litwie. — Maryanna Bröselówna córka kapitana Saskiego, z Turkułówny urodzona, sierota bez matki i ojca, za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę miana na Pokuciu, najpierwszą była, do której się w życiu przywiązałem. Moja do niej miłość była niewinna jak ona, po całych prawie nocach, ze mną rozmawiać i bawić lubiła, ale kiedym ją raz pocałował, ze dwie niedziele gadać ze mną nie chciała. Obyczajność i skromność jeszcze mi od ojca mojego wpajaną, jakże daleko mocniej ta niewinna panna we mnie ugruntowała. Ona to jest moja Justyna, do której tę najpierwszą z moich sielanek: *Tęskność na wiosnę do Justyny* napisałem, i którą pod tém imieniem tyle razy potém wspomniałem. Długo się można kochać, ale długim głodem, nienasyceciem się; lat kilka i ja w mojej niewinnej i ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jej zyskowne trafiło się zamęście, bo prędzej przybiega szczęście, kiedy go pięknej a cnotliwej kobiety oczy zawołały, a ja ubogi wzięwszy tę szanowną pannę, chybabym z nią na

służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jój, ażeby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potém rzecze: ja się dla ciebie prąść nauczę, i grzędę kopać będę; jużem się do niój wracał i byłbym tego nie żałował, ale jój i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśleć małżeństwo. A tak skończywszy drugi rok mojej filozofii, żebym się nawet od miejsc tych, gdzie ona była, usunął, porzuciłem Pokucie i do Lwowa na słuchanie teologii odjechałem razem z Maurycym Cieńskim, Wojciecha Cieńskiego pułkownika synem, który pod dżór mój oddany był.

Nowy dla mnie w tój ruskiej stolicy świat się otworzył; blisko przypadłe kontrakty lwowskie, narobiły mi wiele znajomości, między którymi pierwszy był Wacław Rzewuski, hetman natenczas polny koronny, pan słodki, skronny, najlepszy obywatel, najlepszy mąż i ojciec, któremu jako piszącemu wiersze, ja także piszący, i już cokolwiek z tój strony znany, przez Jezuitów prezentowany byłem. Zaproszono nas na obiad, gdzie między innymi i mój professor teologii, Starzeński Jezuita, razem z Sociuszem braciszkiem u stołu siedział. Wszczął się dyskurs o Rzymie, gdzie Starzeński dawniej czas jakiś bawił, którego hetman zapytał: jak téż daleko może być prostą linią do Rzymu ze Lwowa? a ten odpowiedział, że nie wie dokładnie, braciszek w głos odezwał się: 30 mil spełna. Wszyscy rozśmiali się i umyślnie o czém inszém dyskurs hetman rozpoczął. Kiedy po obiedzie ksiądz Starzeński i ja z nim razem pożegnaliśmy hetmana, i ksiądz wyszedłszy z domu, Sociusza braciszka kurtować zaczął, że się tak głupio u stołu z swojemi 30 milami do Rzymu wyrwał, on mu odpowie: „jużci lepiej zrobiłem jak Waszeć Dobrodzieju, żeś odpowiedział: nie wiem, bo to brzydko dla Jezuity, ażeby czego nie wiedział.“ Takie to w tym zakonie było powszechne prawie o sobie mniemanie, że Jezuita wszystko wiedzieć powinien, i chociaż przyznać potrzeba, że naukami wszystkie inne,

których tyle w Lwowie znajdowało się, zakony przechodzili, przecież to im zawsze krzywdę czyniło, że i wszystkiém głośno pogardzali. — Około dziesięciu było w tamtym czasie studiów znakomitych we Lwowie i w końcu kursu nauk, professorowie zakonnicy zapraszali professorów Jezuitów na publiczne dysputy z filozofii albo teologii, co wzajemnie i Jezuici, zapraszając na takie dysputy professorów zakonników czynili. Jezuita, czyli on zaproszony, opugnował to jest zadawał pytania studentowi zakonnikowi czyli u siebie broił się podobnie opugnującemu professorowi zakonnikowi, zawsze starał się lub upokorzyć zakonnika, że dysputa która zwyczajnie trwać miała dwie godziny, po drugim albo trzecim argumencie kończyć się musiała, kiedy mnich tak student jako i professor jego, nie odpowiedzieć nie umieli, a to nas samych studentów jezuickich prawdziwie pogarszało. Nowo przybyły professor teologii u Bazylianów, Misterski nazwiskiem, oduczył trochę pychy Jezuitów; kiedy zaproszony od nich na dysputę teologiczną, do podobnego stanu zamilczenia ich przyprowadzić umiał, do jakiego oni innych professorów mnisich przyprowadzali, ale skromny Bazylian w swoich krótkich zarzutach razem podtrącał sposób jakby się Jezuita ratować mógł i nie był publicznie zawstydzonym, a razem o ludzkim z ludźmi postępowaniu tém samém przestrzegł.

W drugim roku teologii mojej, podnieśli Jezuici lwowscy szkoły swoje na akademią, a między inszymi studentami świeckimi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem, a Stój teologii bakalarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznej pierwszej processyi akademickiej, tłumnie goście do kościoła jezuickiego zgromadzili się. Ja doktor, ubrany byłem po wierzchu polskich moich natenczas sukien w płaszczyk czarny po pas, błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlagami na około, z pętliczkami srebrnemi na przodzie, w ręku berło wyzlacane, a na głowie (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolo-

nój i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającej, biret mi włożono. Rektor akademii Jezuitów w pąsowym aksamitnym ze złotemi fręzlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii Jezuici w płaszcze także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele procesyą, akademik Zamojski w ławkach siedzący, umysłnie na to przysłany z Zamościa, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nieważność tego aktu.“ Jezuici strwożeni i zagniewani w rozruchu niezmiernym akademika protestującego się, z kościoła wytrącić kazali, a ja pewniejszój się rzeczy chwytając, berłem mojem w głowę go uderzywszy, dobrze go przygluszyłem, drugi zaś kolega mój, nowy doktor także filozofii, już go był za łeb zahaczył i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby Jezuici w płaszczech akademickich przybieglszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymaném zwycięztwie swoim „*Te Deum laudamus*“ kończyliśmy; przyczyna miała być téj protestacyi zgwałcone dawne prawo akademii Zamojskiej, którém warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa żadna akademia podnoszona nie była. Prawo zapewne nie prawne, jak gdyby to więcej oświecenia w narodzie, szkodliwém być miało narodowi.

Bawiąc się w Lwowie, poznałem się także z Ignacym Cetnerem wojewodą Belzkim, najczęściej tam przebywającym i o kilka mil ode Lwowa dobra swoje Krakowice zwane mającym. Już żony, z domu Potockiej, u siebie niemiał, która się z nim ustawicznie kłóciła, a on z nią nigdy. Był to jeden z ludzi najpoczeiwszych i najgrzeczniejszych dla każdego, nierządem w dobrach swoich i zbyteczném urzędnikom swoim pobłażaniem, ich pozbogacał, a swój ogromny majątek do więcej połowy zmniejszył; kochał się w ogrodach, w których przez całe życie sam nawet pracować rydłem lubił często, ziola zaś i krzewy tak miał rzadkie, że kiedy potem cesarz Józef ogród botaniczny we Lwowie fundować chciał, wielu ziołami od Cetnera zapomagać się

przykazał. Ten słodki człowiek, który mnie prawdziwie kochał i dla zmartwień jego w czasie kontraktów Lwowskich, gdyby można, co dzień chciał mnie mieć u siebie na obiadach. Miał prawdziwie chrześcijańską religią, w tłumie mających z nim interesa, wielu mu przykrości głośno mówili, a on często do bliskiego gabinetu wychodził i znowu do zgromadzenia powracał. Raz przez ciekawość wszedłem za nim do tegoż gabinetu i znalazłem go splakanego przy nogach krucyfixu, kiedym go cieszyć zaczął, on mi odpowiedział: „przy tych nogach mam zawsze najpewniejsze pocieszenie, a ten, który mi dopiero tak ostro publicznie gadał, bójki mu kiedyś sprawiałem, do szkół go dawałem, bo był synem mojego ekonoma i w mojej służbie spanoszył się.“ Najwięcej ten zacny człowiek takiego rodzaju miał kredytorów, którzy niewdzięczni znęcali się nad dawnym panem swoim, że panem ich być nie umiał.

W tym czasie słyęła w Lwowie pobożnością i wiadomością pisma Śgo Tamburuni; była ona Polka a mąż jej Włoch, od dziada u nas zasiedziały mieszczanin tamtejszy, on tylko pocziwy człowiek, a ona tylko niby nabożna. Zapraszana bywała do pierwszych domów i chociaż na czas krótki, zgodziła przecież z mężem niespokojną Cetnerową. Miewała kazania u siebie w kamienicy, na jedném z których i ja byłem. Wyznać potrzeba, że mowy jej były pełne ognia, rozumu i ducha chrześcijańskiego, była do tego młoda, piękna, oczy miała zawsze spuszczone na dół, a nie nigdy (jak powszechnie fałszywie głoszono) nie jadała. Ja młody, pisma także cokolwiek jako już teolog umiejący, a mający reputacyą nie rozpustnie żyjącego młodziana, znalazłem łaskę u świętochny, ta mi pozwalała częściej bywać u siebie. Raz ją zagadnałem: „którzy też to są błogosławieni ubodzy w duchu?“ Kiedy mi ona prawdziwe znaczenie wyrazu tego ewangelii tłumaczyła, ja jej odpowiedziałem, iż myślałem, że to są ludzie będący w łaźni, ubodzy bez koszuli, a w duchu, bo w gorącym powietrzu; zgałła mi żartowanie z pisma, wsze-

lako łaski u nabożnisi nie straciłem. Prawie zawsze kilku mnichów u niej zastawałem, ale raz znalazłszy ją samą, zacząłem piękność jej chwalić, a ona mi rzecze: „Grzeszniku, jak śmiesz to ciało chwalić, które niezabawem trupem i pastwą robactwa będzie?” Chociaż moje pochwały były przedłużone, nie nadto się nabożnisia moja gniewała i słodko na mnie, nie w ziemię jak zawsze, patrzeć zaczęła. W tém para mnichów nadszedłszy, ona rzecze do nich, wskazując na mnie: „Oto i ten młody człowiek, drogą naszą zapuścił się.” Przyszedłszy do przytomności i o drodze zbawienia pomówiwszy, wyszedłem, myśląc mniój dobrze o świętochnie a nie o sobie, którym ją do téj trochę słabości przywiódł. Nie długo potem arcybiskup Lwowski Sierakoński, sławny starzec z przykładnego życia i sprawowania urzędu swego bez nagany, przyjechał do Lwowa i dowiedziawszy się o kazaniach i o poście ustawicznym bez jedzenia żadnego pani Tamburuni, kazał jej przyjść do siebie na obiad i koniecznie pod posłuszeństwem winném Biskupowi swemu jeść mięso. Ze łzami jeść je musiała, a co dla niej przykrzejszém jeszcze było, kazania nawet jej mieć zakazał. On już o wszystkiém wiedział a my potem powszechnie we Lwowie dowiedzieliśmy się, że ta fałszywa dewotka zrana codziennie kilka filiżanek kawy wypijała i dużą bułkę chleba ukradkiem zjadała. Tak to fałsz nie długo w przybranéj na siebie cnoty sukience ludzi, bo poznać łatwo, że nie na niego zrobiona była.

Skończyłem kurs mojej teologii, odbywszy publiczną niezłe dysputę, na której prócz innych gości był i arcybiskup Lwowski. Ten po kilku dniach wezwał mnie do siebie na obiad i dając mi pochwały z niedawnej mojej dysputy, obranie stanu duchownego radził mi; kiedym mu odpowiedział, że powołania do tego stanu żadnego nie czuję, radził mi post przez 3 Środy, prosząc Boga, aby mnie oświecić i natchnąć raczył. Pamiętał znów dobry ten pasterz, po trzech niedzielach

znowu mnie do siebie wezwać, aby o natchnieniu mojem dowiedzieć się. Powiedziałem mu jak było, że widząc jakiej doskonałości stan duchowny potrzebował, wolę być znośnym człowiekiem, niżeli niedobrym księdzem. Takeśmy skończyli z arcybiskupem, który mimo odmówienia mojego, był potem na mnie zawsze łaskaw i rad mnie w domu swoim przyjmował. Pochlebne dla mnie między ludźmi znaczniejszymi przyjęcie, zrobiło mię wiele o sobie rozumiejącym, a te wszystkie względy dla mnie przypisywałem mojej biegłości w filozofii i teologii.

Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów, wkrótce po skończeniu teologii, do palestry udałem się. Umiejąc nie źle łaciński język, w którym ekspedycje sądowe w koronie wychodziły, jeszcze roku na tej drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości w innych młodych kolegach moich narobiło. Jam niedbał o zazdrość, kiedy mimo niej gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcie potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoją opowiedział, i papiery do niej potrzebne pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykrętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko daje, byleby podstępny i mogącym sąd uludzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem wziąłem pieniądze i zrobiłem jak szlachcie żądał. Po krótkiej złota pociesze, przyszła zgryzota. Ojciec mój! jakże to wiele razy w życiu mojem, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś. Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego „Franciszek niech idzie prawda na świecie,” takąż to prawda, pomyślałem sobie, zgubić podstępem, niewinnego przeciwnika tego, któremu pozw pisałem? cóż mi on będzie winien, że nie tylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię! Albo jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat?

Takie myśli codziennie mnie trapiły, aż do przyjścia kadencyi sądowej na który czas i szlachcie któremu pozew pisałem i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi pieniądze powróciłem, upominając ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził, inaczej sam mu szkodzić mogę choćbym i sobie razem zaszkodził, szlachta się jakem żądał pogodzili, a ja bojąc się téj ślizgięj drogi, zwłaszcza kiedy i inszemi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę.

Po kilkoletniém bawieniu we Lwowie, odjechałem na Pokucie, dla odwiedzenia matki mojej i rodzeństwa mego. Już brat mój był proboszczem w Chocimierzu, przy którym na dewocyi i matka moja mieszkała. Dzieńcem tego miejsca był Marcin Koziębrodzki starosta olchowiecki. Z patrona w trybunałach, jak nam powiadał, nie zgoła nie mając, tylko statek i trochę łaciny ze szkół, przyszedł do sta tysięcy z dóbr dziedzicznych intraty. Ale więcej on miał jeszcze bogatych kolegów, Worcela, Bukara i innych, z których pierwszy do 300 tysięcy intraty liczył. Takto w tamtych czasach droga palestry złotem była usypana. —

Nie można sądzić, żeby wszyscy z nich tą ścieżką poszli, na której więcej złota znaleźć można niżeli cnoty, bo mój Koziębrodzki był człowiekiem poczciwym, nie skąpo w domu żyjącym, a nadewszystko w posiedzeniach zabawnym. „Świat, większa szkoła jak lwowska“ (tak on mi mawiał) a ja sobie potwierdziłem tę prawdę wspomniawszy na księżnę Jabłonowską z Jezuitą Starzeńskim. O kilkamil od Chocimierza mieszkali państwo Ponińscy starostowie ostrowscy, z temi w domu ich Zachajpółu poznawszy się, poznałem razem tak w mężu jak i w żonie edukacją wyższą, wiadomość rzeczy większą, jak gdzie indziej znaleźć mogłem. To mnie zachęciło że w domu ich bawić czas niejaki postanowiłem. Sam był synem wojewody poznańskiego, sama, Kalinowskiego starosty Winnickiego córką. Poniński przy wielu języków i umiejętności po-

siadaniu, wielki razem samochwał. Żona przy wzroście hożym, ciele najbielszém, twarzy nie wiele przyjemnej, ręce najpiękniejszej i z czytania ksiąg wiadomości niepospolitej, ustawicznie dysputować lubiła; cnotliwa to razem kobieta; byłem przykładem czasem nadaremny, mężowi swojemu nienaruszonej wiary małżeńskiej, a sąsiadom grzeczności w społeczeństwie. Bawiąc w tym domu czas jakiś, przyszło mi się rozkochać w jejmości, i to była druga moja Justyna, która jak pierwsza, do wszystkiego co dobrem jest, powodem była dla mnie. Ona sama początków języka francuzkiego uczyła mnie, a ja jej synów łaciny. Ona przestrzegała, jeżeli w kompanii, albo z czem obojętném, i mogącym kogo urazić wyrwałem się. Także nauki, sam na sam jak prawdziwa przyjaciółka, dawała mi, żem uznał niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnej przypowieści: „kochaj kobietę uczciwą, a sam staniesz się uczciwym.“ Skromność do tego przykładna, młode moje zapędy utrzymująca. Mimo różnicy wieku bo 14 latami odemnie starsza była, więcej lat 10 trzymała mnie w szczęśliwych więzach, bo najżywszą młodość moję od rozpusty zachowała, a za jedno pozwolenie, pocałowania siebie jakże ona odemnie wielu cnót wypełnienia potrzebowała, niżeli do tego szczęścia mojego przyszło! Michał Siedlecki był u tych państwa rządcą domu, jakże rzadki taki człowiek na świecie! Gdyby był zwyczaj, wielkim cnotom gdziekolwiek się znajdującym stawiać posągi, jego by tak między pierwszymi, unieśmiertelnić potrzeba. Ale cnoty, chociaż najczęściej między ubogimi bawić lubią, najmniej ich tam ludzie uważają. Znający świat bo wojażował, umiał język niemiecki, architekturę, geometryą, a to przy rozumie naturalnym, najczystsiej, przecież bez żadnej pychy; a nawet mianý był za człowieka najskromniejszego w obcowaniu. Dwór którym rządził, miał go za ojca, a pan patrzył na niego, jak na największego swego przyjaciela. Rzecz dziwna, że go nikt nigdy rozgniewanego nie widział, co czasem do utrzymania ludzi

w bojaźni i dbałości w pełnieniu obowiązków potrzebne; ale to bieg zimnej krwi jakiśś sprawiał, który go nawet do miłości oziębłym robił. Takim zaś był skrupulatem w pełnieniu powinności swojej, że czasem całą noc nie spał, ażeby co ma być skończone, skończył. Krzywdy nadewszystko aby komu nie zrobił, chronił się, choćby przez zbytę sumienność, siebie samego skrzywdził. Tak się trafiło, że mając do dwudziestu tysięcy na rozchód domowy, w ręku swoich corocznie, przy podawaniu regestrów na końcu roku z swoich zasług, kilka set złotych przez kilka lat przyczyniał, które (jak mi się po części przyznawał) przez zapomnienie zapisania drobniejszych wydatków tracił; co kiedym doniósł pani jego, wszystko mu potem powrócone, a nadal na końcu rejestru dodawać pozwolono, zapomnianych ekspensów kwotę. Z takich to ja cnot człowiekiem, na serce moje pomieniałem się, i dla niego nadwornym niby byłem teologiem, a on dla mnie nadwornym obyczajności przykładem; ale on się czasem mieszał i do teologii; bo kiedy przed nim płakałem na ostrą kochankę moją a panią jego, on mnie tém łagodził, że była cudzą żoną.

Umarł August III. z domu saskiego, król polski, z którego śmierci doniesieniem do wszystkich dworów europejskich, wysłany był posłem Poniński, starosta ostrowski. Po jego wyjeździe im mocniej namiętność moja do pozostałej żony wzmagala się, tém więcej cnotliwa kobieta, lubiąc mnie, jakem uważał siebie i mnie martwić umiała.

Na miejsce Sasa, wtrącony moskiewską przemocą, wstąpił na tron Stanisław Poniatowski stolnik litewski. Początkiem domu Poniatowskich w Polsce, był włoski szlachcic, nazwiskiem Torelli, który otrzymawszy indygenat przed 200 latami, ożenił się z panną Poniatowską ostatnią z domu, a to pod kondycją, ażeby odmieniwszy włoskie nazwisko, odtąd (jak się to często dawniej dla utrzymania imienia praktykowało) nazy-

wał się Poniatowski, przydomek zaś został mu z jego rodowitego nazwiska ciołek, bo Torelli, we włoskim języku ciołek znaczy. W trzecim sukcesorze zubożał dom ten, w czwartym go podniósł Poniatowski z księżniczką Czartoryską ożeniony, kasztelan potem krakowski, pierwój sławny bawieniem przy Karolu XII królu Szwedzkiem i robieniem jego interesów, którego syn Stanisław, przez miłość dla niego Katarzyny II, imperatorowój rosyjskiej, królem polskim, pod imieniem Sanisława Augusta ogłoszony. Co wkrótce potem nienawistne magnaty nasze, nagle tego domu podniesienie się, w dwóch wierszach polskich znajomych powszechnie wyrazili:

Przedziwne to jest dzieło Boskiej opatrności
Syn królem, ojciec w krzesle, a dziad podstarości.

... Nie na tém skończyli magnaty nasze, bodło ich to ustawicznie czemu nie Radziwiłł, Lubomirski albo Potocki królem — jakby narodowi więcej zależało na tém kto z domu król ten? niżeli żeby sprawiedliwie panował. Radziwiłł wojewoda Wileński z Branickim hetmanem W. koronnym mieli najznaczniejszą, bo dwadzieścia kilka tysięcy wynoszącą, przeciwko téj nowój elekcji partya. Ale i Potoccy w kilku województwach mieli po kilka tysięcy ludzi, zebranych w celu zrzucenia z tronu nowo obranego króla; wszelako te wszystkie dywizye łatwo porozpraszano od wojsk moskiewskich i skończyło się na tém, że gniewając się jeszcze na króla, przepraszaali go magnaty nasze.

U pani Ponińskiej bawiąc, albo z nią w różnych domach bywając, poznałem się między innymi z Mrozowickim rejmentarzem partyi ukraińskiej, i z Bielskim łowczym nadwornym koronnym, za którymi były siostry Ponińskiej. Mrozowicki poczeiwy ten i piękny Polak, większą część majątku swego na usługach ojezyny straciwszy, spokojny starzec w domu przesiadywał, lubił słuchać o dziejach dawniejszych sławnych mężstwem Polaków i w całym życiu starał się ich na-

śladować. On mi to mawiał: „mam jeszcze siłę, ale nie trafia się sposobność!” Piękne syny i córki, wszystko to grzeczne, z sercami najlepszemi, równie jak ich ojciec i matka. — Antoni Bielski z żoną swoją Teklą z Kalinowskich, ludzie bogaci, żyli téż najokazaléj. Dwór liczny, kapela, błazny nadworne, polowania kosztowne, córki piękne, wszystko to robiło ich dom najzabawniejszym i wiek mój młody, gdzie dziewcząt wiele, gość ustawiczny i tańce częste, do Pieniak, Bielskich mieszkania, nęcił mnie najczęściéj. Ten zacny i prawdziwie piękny człowiek szczerze mnie sobie upodobał, do wszystkich mnie rozrywek, do wszystkich biesiad używał; najbardziéj zaś lubił z filozofii albo z teologii dysputy, które mi łatwo przychodziły. Sposobność zaś dostania bohaterów, którzyby się ze mną potykać mogli, była najłatwiejsza z kks. Dominikanów pobliskiego Podkamienia, gdzie oni mieli swoje studia. Raz u stołu siedząc, gdzie prócz inszych gości Regent teologii z Podkamienia ze swoim lektorem i nadwornym teolog Bernardyn siedział, wśród najżywszój mojej z nimi dysputy, postrzegłem że ktoś na koniu nędznym na dziedziniec wjechał. Spytałem Bielskiego siedząc przy nim i żartując, że ten jakiś Pauper, nie rychło na obiad jego przyjeżdża. Odpowiedział mi, że to Bazylian Nestorski, Superyor nad dwoma Bazylianami, którzy w bliskiej wiosce jego mieli swoją cerkiewkę i kilka włók gruntu, a zapewne ten superyor po odebranie procentu kilkaset złotych funduszowego przyjechał. Ani mi do myśli przyszło, żeby to był ten sam Nestorski, który za mojej teologii we Lwowie, nad wszystkich tam uczących teologii sływał, Jezuitów tyle razy w dysputach przemógł a przemoc swoją przez skromność zawsze utaić starał się. Kiedy wszedł do sali, poznałem go, że tenże sam był i zdziwiłem się razem, że tak wielki w zakonie swoim człowiek na tę nędzę przyszedł, że sam (jakem się wtenczas od Bielskiego dowiedział) czasem nawet rolę ubogą orał. Powiedziałem panu domu co był za człowiek Nestorski, dano mu miejsce

u stołu i Bielski o dyspucie zaczętej powiedziawszy mu, (jak dawniej) skromnie i księdza Regenta teologii i jego lektora i Bernardyna nadwornego i mnie równie poprawił. Mnichy z gębami otwartymi dziwili się tylko a ja, pewny zwycięstwa Nestorskiego, w duszy mu winshawalem, któremu moja tam natenczas bytność na dobre wyszła, bo Bielski prócz zwyczajnego procentu, drugie mu tyle pieniędzy na jego potrzeby własne ofiarował. Z tego zdarzenia uważałem, że chociaż jedni z najdawniejszych są mnisi Bazylianowie, przecież najmniej od pierwiastkowego instytutu odstępili, i największy u nich człowiek posłuszny swojej zwierzchności, kiedy kazała do pługa nawet pójdzie; ale zda mi się, że sami tylko Bazylianie, swoich mają Cyncynatów, chociaż w regule ś. Benedyktyna fundatora tychto najbogatszych mnichów wyraźnie napisano: „Stary mnich niech się modli w chórze za młodego, a młody niech rolę orze, ażeby i siebie i starego pożywił.“

Bielski we wszystkim chwalebny, miał skłonność do wina, i w ten czas, kiedy sobie podpiał, najhojniejszym był dla tych, których polubił. Ja chociaż ubogi miałem sobie za upodlenie, wtenczas mu się nastrezczać, kiedy on pijany prezenta faworytom rozdawał; dla tego też od niego nic nie zyskałem, bo też on nic nigdy trzeźwy nikomu nie dał. Wszelako i pijany miał uwagę w rozdawaniu darów swoich. Raz starego swego kamerdynera Przyjemskiego zawołał do garderoby, i otworzywszy bióro z talarami, pozwolił mu wziąć talarów tyle, ile tylko może na raz dwoma garściami zająć. Przenosząc z bióra do czapki swojej, w garściach talary kamerdynier, kilka mu na ziemię upadło, które on potem zebrawszy, nazad do bióra położył. Co widząc pan pochwalił wierność, i drugie dwie garście wziąć talarów pozwolił. Wyszedł kamerdynier chwając się przed kolegami służącymi z hojności pańskiej i zdarzenia o drugich garściach powiadał. Zawołany w krótko do garderoby i kapelmeister, kiedy mu równie garść talarów wziąć pozwolił, a on w przenoszeniu umyślnie

kilka wypuścił i potem zebrane nazad do bióra włożył, ażeby mu jak kamerdynerowi i drugą garść wziąć pan pozwolił, poznał to Bielski, i pierwój nawet wzięte dwie garście talarów nazad do bióra włożyć kazawszy: „To (powiada) w Przyjemskiego cnotę przybrałeś się?”

Miałem lat około 26 kiedy się konfederacya Barska zaczęła. Początkiem jój niby był Krasieński i Puławski, ale Potoccy i inni magnaci, nie kontenci z króla, podnieśli ją; nareszcie jeden z Potockich podczaszy litewski, naczelnikiem jój u nas na Rusi ogłosił się. Byłem wtenczas w domu Bielskiego, kiedy szumne uniwersały Potockiego mające za hasło: „wiarę i wolność“ do Bielskiego do Pieniak przyszły. Z niewymowną radością, dzień ten był obchodzony; ja sam wiedząc, jakie niedłady u nas wyrabiał się, cieszyłem się w duszy, że przecież naród poczuł krzywdy i upodlenie swoje, aleć nie rozumiałem w czém to ta wiara ukrzywdzona!!! Bo chociaż dyssydenci Polacy téj zawieruchy początkiem byli, gdy żądali i otrzymali, przez udanie się do Moskwy i Prusaka, potwierdzenia dawnych przywilejów w narodzie, ażeby do wszystkich urzędów przypuszczanymi byli, zdaje się, iż o to katolicy urażać się nie powinni byli; wierz jak chcesz, ale prawa narodu zatrzymaj, kochaj ojczyznę jak matkę to już tém samem, masz cechę obywatela. Ponieważ podczaszy lit. Potocki, był już z wojskiem, po większej części z pospolitego ruszenia zebraném, w miasteczku Podhajce, odległem od Bielskiego około mil 10, pojechałem z nim do tego miasteczka konfederacyi Barskiej, który Bielskiego na samym wstępie tak przywitał: Mospanie Łowczy, dosyć już tego panowania Poniatowskich,“ z takiego przegrywku poznaliśmy, jaki to będzie taniec, i że to ani o wiarę, ani o wolność idzie, jak w uniwersałach swoich popisali, ale był im nieznośny, na tronie siedzący Poniatowski. Cóżkolwiek było, Bielski jako kochający ojczyznę swoją obywatel, ktokolwiek tam królem będzie, byle się lepiej działo narodowi, i byleby od jarzma cudzego uwolnić się, powró-

ciwszy do domu, stokonną chorągiew, z ludzi i koni pięknych zebraną odesłał do obozu konfederackiego. Tymczasem i mój weteran, dawny Rejmentarz partyi Ukraińskiej, Mrozowiecki z dwoma synami swoimi Józefem i Mikołajem kilkanaście przytém ludzi zbrojnych mający, wyjechał do obozu konfederackiego. Inszych prócz tego wielu, tak z korony, jak z Litwy, obywateli osobiście stawiło się, ale magnaci tajemnie tylko konfederacyję barską wspierali, czekając okazania się losu jej. Różny ten był w początkach; ale nakoniec kiedy po większej części decydowało się szczęście za stronę moskiewską i Potocki próżno od starego Wita, komendanta Kamieńca Podolskiego, napierał się ustąpienia mu tej fortecy pogranicznej, z swoją partją uchylć się musiał na Wołoszczyznę, z kąd pomocy tureckiej przeciwko Moskwie, równie także Turkowi ciężkiej, spodziewał się. A tymczasem marszałkowie równych konfederacyi, różnym losem Moskalom w Polsce opierali się. Byłem przytomny w Lwowie, kiedy do tego miasta niby to fortecy, czterech marszałków konfederackich, z wojskiem około czterech tysięcy przyszło, chociaż tam Moskwy nie było; ale komendant garnizonu, generał Korytowski, w kilkaset ludzi swoich, oparł się tłuszczy niesfornej i widzieliśmy go jednego poranku w szlafroku skutecznie odpierającego konfederatów, wpadających przez dziurę do miasta nieopatrzonego dobrze. Trwoga była powszechna w mieście i wszyscy zgromadziliśmy się do Potockiej, kasztelanowej lwowskiej, której syn był jednym z marszałków konfederackich. Ale po dwóch dniach potem, konfederaci widząc niesposobność swoją do odebrania Lwowa, przedmieścia tylko popaliwszy gdzie i kościół jeden karmelitański zgorzał, od oblężenia miasta odstąpili. Czas to był w którym i ja ruszony patriotyzmem (gdyby, jakem się spodziewał, konfederaci Lwów odebrali) miałem się przyłączyć do nich i już w tym celu wszystkie zrobiłem był przygotowania; ale widząc największą między niemi niesforność, pijaństwo i rabunki,

zupełnie tę myśl z głowy usunąłem; najbardziej kościół dobrowolnie przez nich spalony, co za wiarę (jak w swoich uniwersałach ogłaszali) bić się wyszli, oświecił mnie, że to zapewne o wiarę im nie chodziło.

* * *

Myślałem odtąd, jakby wyjechać z kraju, a za granicą, nim się rozruchy narodu uspokoją, czego się nauczyć, i z powodu téj przyszłej wędrówki mojej przebrałem się po francuzku. — Wyjeżdżał po jakimś czasie ze Lwowa do Wiednia, młody Puzyna, staroście upitski, z guwernerem swoim księdzem Kolańskim Jezuitą, znanym potem w Polsce, z pięknych pism swoich i z pięknego myślenia sposobu przyjacielem moim. Z niemi ja zabrałem się do Wiednia, około dwieście dukatów mając tylko zapasu w tę podróż. Jakże wiele razy, niżejśmy do Krakowa odjechali, przejeżdżając pomiędzy różne tłumy niekarnych naszych konfederatów, nie tylko o ubogie pieniądze moje, ale nawet o życie bać się przyszło. Z pomiędzy nas trzech jadących, ja jeden najwięcej byłem przedmiotem wyrzucania ich, że młody i czerstwy, wyjeżdżałem z ojczyzny, kiedy ją ratować potrzeba, a wszyscy prawie którzy mnie tak groźnie karcili pijanymi byli. W takim stanie, ja nie mając się czego spodziewać, z bezrządnej konfederacyi, nie ratowałem prawda ojczyzny mojej, ale i oni pijani nie wiele ją mogli poratować. W Głogowie u ks. starościny Bolimowskiej, konfederatki zaciętej jaki był i brat jej, hetman Braniecki, odebrałem z Warszawy patent kapitana złotéj chorągwi, który mi tam miał być i był przysłany z Warszawy, co mi w Wiedniu, jak mnie przed wyjazdem ze Lwowa nauczono, dało wstęp, mając mundur oficerski i port d'épée, kiedym chciał na cesarskie pokoje. Tam u księżny, nasluchałem się modlitw publicznych ku potłumieniu króla, i Moskalów. Tam prócz innych konfederatów poznałem i Potockiego, starostę szczereckiego, który potem od konfederacyi był

posłem do Konstantynopola, a który w krótkce w Wiedniu będąc, wiele mi dowodów przyjaźni swojej oświadczył.

Do Krakowa przybywszy, przysiągłem Bogu w Jego kościele, żyć najskromniej w Wiedniu, o którym mi powiadano, że był najrozpustniejszym. Widziane piękności Krakowa, dały mi myśl jaki też Wiedeń będzie, ta dawna cesarzów stolica? Ale potem tam przyjechawszy, prócz większej nierównie ludności miasta, nic piękniejszego w Wiedniu nie widziałem, nad kaplicę w kościele katedralnym, sławną grobami królów polskich w Krakowie.

Jadąc do Niemiec, w Białej, ostatnim miasteczku polskim, zastaliśmy wiele marszałków naszych konfederackich, (między którymi był sławny pułkownik Paszczowski) już trzymających się umyślnie blisko granicy, ażeby w przypadku uchylić się można do cudzej ziemi. Co też nie długo potem nastąpiło. Z kąd wyjeżdżając, do bliskiego miasteczka szlązkiego Bilitz, postrzeżone przy drodze znaki graniczne orłów cesarskich wzruszyły we mnie miłość ojczyzny mojej, którą porzucałem. Postrzegłem w Bilitz, zaraz inszy porządek, wiele domów miejskich murowanych i ochędostwo wszędzie największe, wtenczas kiedy my, jak we wszystkiém, tak około domów i miast naszych niedbali. Szląsk kiedyś był polską prowincją i miło mi było, już kilkanaście mil w tym kraju ujechawszy, spytać się moim językiem wieśniaka po drodze idącego o drogę do Oderburga, a on mi odpowie, że dobrze jedziemy, ale dodał: „Niemcy to nazwali Oderburg, a to miasto zowie się Bogamirów po dawnemu.“ Jak to dawność i usiłowanie niemieckie, nie mogło wymazać z pamięci pospólstwa nazwiska starożytnego miasta tego. Znowu ja na ciebie wspomniałem, ojczyzno moja, jak daleko kiedyś rozciągały się twoje osady, które nieladem potraciłaś! A ten mój język pozostały jeszcze pomiędzy pospólstwem, potwierdził mi wielkość dawnych naszych Słowianów, którzy tak znaleli w czasie teraźniejszym.

Przez Opawę, Ołomuniec, Brün w Morawii przejeżdżając, moim własnym językiem rozmówilem się, i dopiero do Austrii wjechawszy, już chłopci niemieckim tylko odpowiadali. Wszystkie wsi, miasteczka i karczmy uporządkowane, co tylko wygoda chciała, dostarczyły; drogi najlepiej utrzymywane, podróż najmielszą czyniły. Ale wjechawszy w Austrię, obraziło mnie przy stacyach podróżnych wybieranie od podróżujących myta, po krajcarze jednym więcej od mili, jak dawniej płaciliśmy. Kiedym się o przyczynę mytnika pytał, odpowiedział mi: że ponieważ odesrodka Marca, zima jest, opłaca się zwyczajnie w tych czasach na kozuch dla cesarzowej Marvi Teressy krajcar na milę jedną od podróżnych. Znowu ja pomyślałem: czyliż ja temu winien, że zimno? i czyli Marya Teressa nie ma z czego sobie kozucha sprawić, ażeby aż podróżnych w zimie także jadących obdzierała! Tak uważając ślady absolutnego panowania, znowu sobie słodziłem moje, chociaż w klótlwym ale kraju wolnym, urodzenie.

Przyjechaliśmy nakoniec do Wiednia, do tego miasta tak żadanego odemnie, Puzyna z Kobylańskim zajęchali prosto do Teresianum Collegium, gdzie młody Puzyna, w tym konwikcie miał się edukować. Ja przed wyjazdem ze Lwowa poznałem się tamże z Trynitarzem Niemcem spolszczalym, który miał ojca w Wiedniu, i kiedy proszony od niego, dałem mu na drobne jego potrzeby kilka czerwonych złotych, on mi napisał list do ojca swego mieszkającego w Wiedniu, pod znakiem złotego Pelikana, na przedmieściu Józefstadt nazwaném, zapewniając, że pewno u ojca jego stancję mieć będę. Z takim listem, przenocowawszy w Teresianum, nieumiejący języka niemieckiego, prócz słów najpotrzebniejszych kilkadziesiąt, wyszedłem szukać w tém ogromném mieście przedmieścia Józef-Stadt, złotego Pelikana, i bildhauera czyli snycerza Szwarca nazwiskiem. Tak szczęście zdarzyło, że do południa wszystko znalazłem, a on gdy przeczytał, rzucił się na mnie sple-

kany starzec, i z czuciem największém powtarzając syna, o którym od kilku lat żadnej nie miał wiadomości, ścisnął mnie serdecznie, i zaraz porządny alkierz, w którym miał warsztat snycerski, wyprzątnąć kazał, i sprowadzenia się mojego, jakem to mógł wyrozumieć, jak gdyby syna własnego czekał. Nazajutrz sprowadziwszy się do niego, doznałem po ćwierć roku mieszkania tam, że prawdziwie rad mi był w domu swoim, nawet z ciężkością przyjął miesięczną opłatę od stołu i mieszkania mego. Tak miłość syna, którego on dawno nie widział, zrobiła mi przyjaciela u ojca, którego nigdy nie znałem.

Do Wiednia przybyłem w roku 1769 w Marcu, którego piękne położenie nad Dunajem, forteca miejska najwarowniejsza, przedmieścia najrozleglejsze a ludność do 300,000 mieszkańców mająca, w początkach bawiły mnie. Zaufany w mój mundur oficerski i w port d'épée, który nosiłem, a nauczony jeszcze w Polsce, że w takim ubiorze, choćby gdzie nieproszony na muzyki, które znaczniejsi ludzie w tém mieście dają, wchodzić mogę, przechodząc raz blisko domu jakiegoś, i słysząc muzykę grającą, wszedłem do sali, gdzie światła wiele, obicie adamaszkowe czerwone, i gęste zwierciadła, dały mi do myślenia, że tam książę jakiś niemiecki mieszka. Przybiegła do mnie jakaś piękna dziewczyna, i mówiła do mnie coś po niemiecku, czego nie zrozumiał prócz dwóch słów *essen* i *trinken* ukloniłem się jój tylko, domysłając się fałszywie, że mi w tym domu, jeść i pić czyli wieczerzę dać chciano. Kiedy w taniec kilka par poszło, zdziwilem się, że jak mężczyźni tak i dziewczęta w zwyczajnym tam mieszczan ubiorze, co już dobrze znałem, tańczyły. Oświecił mnie w krótkce jakiś koło mnie siedzący Niemiec a po łacinie cokolwiek umiejący, że to była austerya, gdzie pospólstwo przez cały tydzień prócz Piątku i Soboty bawi się. Tak ja najpierw, dla pokazania się między Niemcami, mego munduru złotój chorągwi i port d'épée użyłem.

Po kilku niedzielach bawienia mego w Wiedniu, nadjechał tam ksiądz proboszcz kolegiaty wiślickiej Strumiński, dobrze po niemiecku umiejący prałat, ale za granicą jak i ja niebywały. Z nim według afiszu, których tam po bramach pełno, poszliśmy na licytację sprzętów różnych. Wszedłszy do sali licytacji, z ciężkością przecisnęliśmy się przez tłum pospółstwa i widząc tam Niemców po większej części ubogich, nie zdjęliśmy w sali kapeluszów. Już do stolika przystąpiliśmy, za którym siedzący sprzedawca zawołał: „Dwa kapelusze na sprzedaż!” kiedy go pytano gdzieby były, pokazał je na głowach naszych i po niemiecku potem do nas rzecze, co mi potem mój prałat wytłómaczył: „że ta licytacja imieniem cesarza odbywa się i miejsce to powinno być szanowane.” Tak ja znowu mój oficerski kapelusz upokorzony zdjąć musiałem, co mój prałat przedemną zrobił. Z tymże księdzem po kilku dniach poszliśmy na nieszpory do katedralnego kościoła Śgo Szczepana, na słuchanie tam najpiękniejszej muzyki, siedzieliśmy u stallów kanonicznych przy wielkim ołtarzu i o różnych rzeczach rozmawialiśmy. W tém ku wielkiemu ołtarzowi i ku nam idzie jakiś, po wszystkich szwach sukni bogato galonowany Niemiec; stanąwszy przed nami, grzecznie nam się pokłonił i my powstawszy, obydwaj grzeczniemy mu się odклонili; zaczął mówić do nas po niemiecku, a po skończonej perorze uklonił się odchodząc i my się wzajemnie uklonili. — Wytłómaczył mi ksiądz prałat, że to był szwajcar kościelny arcybiskupa wiedeńskiego, który przestrzega gadających w kościele podczas nabożeństwa, ażeby drugich nie gorszyli — a czasem nieposłusznych i wyprowadza. Znowu ja z moim mundurem w oczach 2000 może ludzi będących w kościele upokorzony, a mój prałat bardziej, bo szwajcar, jak księdzu, miał mu zapewne więcej nagadać. — Tak płaciłem wstydem za nieznamość kraju i zwyczajów jego, tak zapłaci i każdy przyjeżdżający do zagranicznego miasta, niemający nikogo, ktoby przestrzegał. Ale prócz szwajcara i sam

rozum powinien był przestrzegać, że w kościele gadać nie należy.

Ze z przedmieścia Jozefsztadt daleko było do miasta, gdzie wiele rzeczy uczyć się zacząłem, przeprowadziłem się do miasta, a mój poczciwy gospodarz bildhauer płakał rozstając się ze mną i najmniej mnie dwa razy w tydzień nawiedzał. — Tak dobry uczynek mój dla syna we Lwowie, zrobił mi w ojcu prawdziwe przywiązanie. W mieście wygodniej mieszkałem, u metra francuzkiego języka, tańczyć i nauk w uniwersytecie jakich tylko żądać mogłem zręczniejszym uczyłem się. Najbardziej mnie bawiła fizyka experimentalna, przez sławnego Franz Jezuitę dawana i chemia przez sławniejszego jeszcze w Europie Jakin profesora. Zgromadzenie na lekcjach bywało największe, z pierwszych nawet w mieście ludzi i dam zacniejszych zebrane. — Szkoła botaniki, anatomii, chemii, jak i medycyna experimentalna w Bürger-Szpital pod starcem profesorem Antonim Ham głośna. Cesarska biblioteka każdemu otwarta, teatr, hece, widowiska różne, licytacje różne i fajerwerki tygodniowe na przemiany mnie zabawiały. Ale skwasilo wkrótce wszystkie te piękne rozrywki jakieś niszczenie ciała mego widoczne i mimo rady najslawniejszych w mieście doktorów v. Switena, Haena i Humelawra coraz w gorszym się stanie widziałem. — Byłem wszelako przez półtora roku bawienia mego w mieście chorym chodzącym i może więcej rozrywki różne, niżeli doktory przy życiu mnie utrzymały. Co Środa bywałem na obiadach u księżnej Lubomirskiej, wojewodziny krakowskiej, w Wiedniu od dawna mieszkającej, tej kobiety prawdziwie najcnotliwszej, powszechnie w mieście, począwszy od cesarzowej Maryi Teresy, szacowanej, a matki Polaków wszystkich, przejeżdżających albo bawiących w Wiedniu. Z wyjazdem wróciło mi zdrowie.

* * *

Na końcu dzierzaw moich w Galicyi Zabokruki trzymając, zdziwiłem się że chłopci tamtejsi mieli także

swoją mitologią, raz z jednym z nich saneczkami przejeżdżając o ćwierć mili od wsi, obaczywszy przy drodze kamień jak słup jaki, grubości do czterech łokci, a wysokości może do dziesięciu mający, pytałem mego wieśniaka, co by znaczył ten kamień, a on mi odpowie: przed wiekami matka z córką pracowała na téj łące i kiedy matka najpilniej robi, córka często sobie folgując, napominania matki nie słuchała; matka rozgniewana, przeklina ją ażeby się w kamień obróciła i oto, mówi dalej wieśniak, taż sama nieposłuszna córka w kamień się zaraz obróciła i tu przy drodze stoi. Nie śmiałem się z baśni téj błędnego wyvodu, kiedy tak użyteczny cel miała. Ale nazajutrz gromady wieśniaków znowu o tenże słup pytając, najpierwsi starcy toż samo potwierdzili, jeden z nich tylko, chociaż był jeszcze młodszym, rzecze: ja temu panie nie wierzę, bo gdzieby dziewczka tak gruba i tak wysoka była. Dobrowody, wioskę od Bielskiego arędując, miałem sąsiada w Monasterzyskach: starostę halickiego Potockiego, człowieka najpoczeiwszego i żonę jego z książąt Lubomirskich; Witosławskich podczaszych, ludzi najprzychylniejszych dla mnie; a najbliżej stolnika Piaseckiego, rzadkiej poczeiwości człowieka; temu przed kilku latami pułkownik rosyjski idąc na Turczyna pod Chocim, a słysząc o cnocie jego, dał 3000 dukatów do schowania, z przydatkiem na piśmie, że jeżeli by na téj wojnie zginął, tedy Piasecki połowę pieniędzy jego odda generałowi jego, a drugą sobie weźmie; jeżeli by zaś z wojny wyszedł, tedy je odda całe pułkownikowi; trzy lata o pułkowniku nie było słyhać, na koniec powrócił i Piasecki zupełnemu pieniądze, odkopawszy z ziemi, oddał. Poczeiwy pułkownik, rozkochany w cnocie poczeiwego Piaseckiego, czyni mu dar całej połowy tychże pieniędzy swoich za wierne ich dochowanie, których tenże nie przyjmuje, mówiąc: że swojej cnoty nie sprzedaje i tylko zegarkiem wziętym na pamiątkę kontentuje się, chociaż nad 25 tysięcy złotych nie miał majątku więcej. Nie widziałem człowieka większą mają-

cego rezygnacją na wolę Boską jak miał Piasecki, co jest jedynym sposobem szczęścia ludzkiego na ziemi; najsmutniejsze przypadki, gradobicia, upadek bydła, śmierć dziecięcia, nie go prawie nie obchodziło, i zawsze go widziałem wesołego z tém swoim hasłem: „Bóg tak chciał.“ U żony jego, już jak on dobrze starćj, widziałem piękną małą szkatułkę jaszczurem obitą, z brzegami srebrnemi, wewnątrz mającą 4 butelki kryształowe i kieliszek takiż we środku, a pod wiekiem otworzywszy skrzyneczkę, piękne zwierciadło; miała ten prezent (jak powiadała Piasecka) od pani swojej Sieniawskiej, u której za młodych lat służyła. Ponieważ w tamtych czasach różu damy na twarz nie kładły, jęjmość po ubraniu się, piła z tego puzderka słodką gorzałkę póty, póki się jęj czerwoność trochę na twarzy nie pokazała. — Mój Piasecki jedynym był w naturalności w wszystkich swoich odpowiedziach: — już po zabraniu kordonu, na lwowskich kontraktach byłem z kolei od gubernatora lwowskiego, pysznego Ruszperga, proszony na obiad. Piasecki na coś mnie potrzebował i po obiedzie przyszedł za mną do gubernatora; że tam chyba za meldowaniem się wpuszczano do gubernatora na pokoje, kiedy przypadkiem kamerdynerów przed pokojem nie było, wszedł Piasecki do pokoju, w którym jeden tylko był przy kominku grzejący się gubernator, i widząc Sarmatę z wąsami, a nie spodziewając się, iżby inszy język rozumiał, po łacinie go zapytał: jak tu wszedł, nieopowiedziawszy się? Odpowiedział: widziałem że tedy ludzie przechodzą i ja też przeszedłem; znowu gubernator: czemu nie czekałeś przed pokojem? bo tam zimno, odpowiedział: spytano znowu: czego by żądał? że mnie szukał; sam gubernator wyjść musiał do drugiego pokoju i mnie wywołać, ażeby się prędzej zbyć tego człowieka nie podług niemieckiej etykiety.

Trafiło się, że u Witosławskiego podczaszego był w domu brat jego, obożny koronny Witosławski, który zemną poznawszy się, wiele mi o nieznanej odemnie

Warszawie, wiele o królu, a najwięcej o domu księcia generała Czartoryskiego nagadał: jak ten pan i sam lubiący nauki, lubił i wspierał ludzi uczonych. Nie miałem ja wstępu żadnego do domu Czartoryskich, ale sam go sobie zrobić chciałem, ato zebraniem wszystkich sielanek moich i inszych wierszem i prozą robót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą“ w jednym tomiku, księciu generałowi dedykowałem i tę książeczkę potem przez tegoż oboźnego Witosławskiego księciu generałowi Czartoryskiemu, nieznajomemu nieznajomy przesłałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w téjże książce pod tytułem „Sumienie“ dedykowane były. Naruszewicza tak nieznałem jak i Czartoryskiego; pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczas jeden słynął z rymotwórstwa i że między pierwszymi łaskami króla zaszczycał się, ażeby tak wstęp mieć do monarchy; z którym to Naruszewiczem, kiedy potem w Warszawie poznałem się; z tak tkliwie opisanój zgryzoty sumienia myślił o mnie, że kogoś może zabiłem, a ja pomyślałem kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumienia inne może mieć powody. — Ale nieznałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedym tak myślał w Galicyi.

Po niejakiem czasie przesłania zabawek moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękować starosie kaniowskiemu Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych, zlewem sukcesyi na siebie spadłój po Opalińskićj, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. — Już wtenczas Potocki siedział u Bazylianów w Poczajowie po popełnionych tylu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszkając z żoną z domu Dąbrowską, skarbnikową halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u PP. Karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozvodu z nim czekającą, sam tymczasem siedział u Bazylianów poczajowskich, niby w intencyi zostania Bazylianem, ponieważ był greckiego

obrzędki; ten zaś obrządek takim zdarzeniem przyjął: Dawniéj jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszyscy bezkarnie popełniając kryminały, czasem téż Potocki — Potocki ten przypominał sobie religią! — Sprowadził do Horodeńki, miasta swojego przy granicy wołoskiej, księży misyonarzy, którym 30,000 intryaty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspinały tamże w Horodence dla nich murować rozpoczął. Przyszła tymczasem spowiedź wielkanocna i spowiadając się Potocki, do ks. misyonarza Zabłockiego przystąpił. Zaczny ten kapłan po wysłuchaniu grzechów, absolucyi penitentowi dać niechciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorszenia przed przeszłemi spowiedziami popełniał a poprawy żadnej nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. — Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalać kaze, zapisy dla nich skasować postanawia, a tymczasem pocziwi księży, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodeńki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli. — Na widok ten smutny patrzył przez okno tyran i przecież serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcéj rozwalać zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wyspowiadany i absolwowany od Bazylianów, ruski obrządek przyjął, 30,000 zł. Bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspinały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwiastkowego przyczynił.

Kiedy książę Czartoryski do niego (jak się wyżej wspomniało) z podziękowaniem przyjechał, on wtenczas bawił u pani Łaskiej pod Buczaczem w dobrach kiedyś swoich, a ztamtąd przyjechali obydwaj ci panowie do mego sąsiada, podczaszego Witosławskiego na dwa dni. Nie wiedziałem o niczém w domu moim w Dobrowodach, kiedy po wieczery czytając książkę,

wchodzi do izby nieznajomy mi piękny młodzieniec po francuzku ubrany. Był to Julian Niemcewicz z księciem Czartoryskim przybyły i wcześniój mnie poznać żądający, od Witosławskich o pół mili odemnie odległych przyjechał. On mi o bytności księcia tam powiedział i na obiad jutrzejszy zaprosił; ciekawy nazajutrz poznania pana, o którym mi tyle dobrego powiadano, wcześni do sąsiada przyjechałem i znalazłem księcia jak dla wszystkich, tak i dla mnie najgrzeczniejszego. Co inszego spotkać mi się było z tyranem Potockim, starostą kaniowskim, który chociaż już nikomu strasznym być nie mógł (bo jak się powiedziało) i pod Niemcami szumieć nie można było, a nawet z dóbr się już wyzuł i spokojnie na dewocyi siedział w Poczajowie, ale wspomnienie na okrucieństwa jego dawniejsze, oczy jego nawet najdziksze, wzrost i mowa olbrzymia, wstręt do niego czyniły.

* * *

Wjechałem nakoniec w stołeczne narodu polskiego miasto w roku 1780, gdzie w domu księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P. jako łaskawie zaproszony, tak i przyjęty byłem. Po kilku dniach przez księdza Naruszewicza, natenczas koadjutora biskupa smoleńskiego, na rozumnym (jak nazywano) obiedzie królowi prezentowany byłem, który mi powiedział: waćpana Sielanki we Lwowie drukowane, dawniej go nam zaleciły; kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany. — Kazano mi siedzieć i słuchałem tłómaczenia pięknej ody Horacyusza do Postuma, którą ja także przetłómaczyłem.

W pałacu księcia Czartoryskiego w krótce był dzień smutny, z obchodzenia rocznicy śmierci księżniczki Teressy Czartoryskiej, z której okoliczności napisane wiersze moje, powszechnie podobały się, a najwięcej zjednały mi łaski księżnej, matki téj zmarłej nieszczęśliwie. Grzejąc się bowiem księżniczka Teresa przy kominku, zapaliły się jój suknie, i mimo przytomnych

w pokoju wielu kobiet, (z których jedna z przestrachu zemdląła, insze zaś przytomność potraciły,) biegając, przelekniona, tém bardziej jeszcze rozżarzała na sobie płomień; przygaszono nakoniec ogień na księżniczce, ale mniej może z oparzelizny niżeli z przestrachu w mialinę wpadłszy, po kilku dniach umarła. Ojca nie było w domu, i kiedy po dwóch dniach powraca do Warszawy, w bramie pyta się szyldwach, coby w mieście słyhać było? a ten odpowiedział, że księżniczka jakaś Teressa Czartoryska spaliła się; z początku wierzyć nie chciał, wszelako przybiegłszy prędko do pałacu swego, poznał tam z łez powszechnych, że rzadko na świecie trafiający się przypadek na dom jego trafił.

Książę generał podolski już był naznaczony marszałkiem trybunału litewskiego i niżeli z nim na pierwszą grodzieńską kadencją wyjechałem do Litwy, miałem czas przez kilka niedziel przypatrzeć się Warszawie; z resztą co mi o niej poczciwi ludzie Witosławski, obożny koronny, i Borzęcki, marszałek dworu książęcego powiadali, potem przez kilkanaście lat tamże mieszkając, wszystko znalazłem prawdą.

Król miał oblicze szanowne, serce najlepsze, wiadomości rzeczy wielkie, grzeczność w obcowaniu nadzwyczajną, wymowę niepospolitą, ale zarazem w czynnościach tak słaby, że sam sobie prawie nigdy nie wierzył, i dla tego radząc się drugich, każdy według interesu swego przeciągał go w stronę gdzie żądał. — Nie to mi, nie to rozum, co pięknie mówi, ale co rządnie czyni; pierwszego z czytania książek i obcowania z ludźmi rozumnymi nabyć można (i to by się bardziej pamięcią niżeli rozumem nazywać powinno) drugi sama natura daje, albo umyka. — Wolał często zniżać się niżeli podnieść, ażeby się nie podał w niebezpieczeństwo, wolał fałsz niżeli prawdę, ażeby się większej liczbie fałszywych nie naraził. — Lubił pochlebców i pozbogacał pochlebiających w tenczas, kiedy człowiek prawy w ubóstwie pod oczyma jego chodząc, próżno

się wsparcia spodziewał. — Jako to owe wiersze na sławnego natenczas, a pierwszego w kraju Lachowskiego, kaznodzieję królewskiego potwierdzają:

Lachowski prawdę mówił jest tylko plebanem,
Naruszewicz pochlebiał, biskupem i panem.

Życie króla rozpustne zepsuło Warszawę. Rozpusta do tego stopnia przysła, że w mieście tém (śmiało powiedzieć można) 10 razy więcej rozwodów było, niżeli w Polsce i Litwie całej. — Nawet już w zwyczaj między możniejszymi przy pisaniu ślubnych intercyz weszło, ażeby się, któraby strona rozwodzić chciała, to drugiej pewną summę płacić obowiązana była.

Mimo tych wad królewskich, miał on (jak w tym wieku zepsutym rzadko) najmocniejszą religią, i w kilka lat potem sam to słyszałem, jak u siostry swojej Branickiej, kasztelanowej będąc, kiedy o darowaniu krzywd bliźniemu mowa była, on ze łzami w oczach powiadał: moja sestro, ja w pacierzu szczerze te słowa wymawiam i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Taki był król w Polsce, ale gorsi daleko magnaci kraju; pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa Boskie i ludzkie gotowi byli podeptać; zabójstwo, krzywoprzysięstwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich wazone, a takimi drogami idąc, stali się potem nieszczęśliwymi, bo szczęśliwymi być nie umieli. Poddanego wieśniaka równo z bydłem kładli, mieszczanina w ostatniej pogardzie mieli, równego nakoniec sobie szlachcica tylko dla tego, że ubogi, upodlili — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy, upadam do nóg, całuje nogi pańskie, niegodny podnózek i tym podobne i może nieznane w całej Europie. Ale z tego powszechnego magnatów zepsucia, wyjąć potrzeba niektórych wartych lepszego wieku narodu, takim był znany ze wszech miar August książę Czarto-

ryski, wojewoda ruski, po którego wkrótce nastąpił śmierci, dobrze Sztakelberg, poseł rosyjski, powiedział, że po zgonie Czartoryskiego niema teraz przed kim w Warszawie zdjąć kapelusza. Takim był zięć jego Lubomirski, marszałek wielki Koronny, takim syn Adam Czartoryski G. Z. P., Stanisław Małachowski, referendarz Koronny; Ignacy Potocki, marszałek litewski; Czapski, wojewoda chełmiński; Radziwiłł kasztelan wileński i kilku innych.

Księża po większej części zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony. Wyjąć wszelako z pomiędzy liczby ich należy: Szembeka, plockiego; Okeckiego, poznańskiego; Cieciszewskiego, kijowskiego i ze dwóch może jeszcze biskupów, którzy ani do zgorszenia owieczek sobie powierzonych, ani do zguby i frymarków na ojczyznę swoją, nie przyczynili się. Szlachta po województwach na zawołanie magnatów przedała, wszystko, czego tylko ci żądać mogli, robiła. Stąd sejmiki i sejmy według układów pańskich odbywały się i ten, który ustawicznie i upadał do nóg i całował nogi pańskie, nie miał czasu i serca do usłużenia nie-szczęśliwej ojczyźnie swojej.

Miasto Warszawa w nierządzie i bez znaczenia żadnego, chociaż kilkadziesiąt tysięcy samego pospólstwa mające, nie mogło się podnieść pod ciężarem uciemiężenia i niesprawiedliwości, i chociaż król wszelkimi sposobami temu zapobiegać chciał, szlachcie wszelkimi sposobami przeszkadzał, bo zapomniał myśleć (jak ojcowie jego) o dobru ojczyzny swojej, ale tylko o poprawienie losu swojego ubiegał się i ta miłość dobra własnego, sposób nawet myślenia w kraju naszym odmieniła.

* * *

Powróciwszy z kadencyi Wileńskiej do Warszawy, wydałem pismo *o wymowie w prozie albo w wierszu*, które królowi i bratu jego prymasowi tak podobało się, że przysłali do mnie Gwintofta, sekretarza komisji edu-

kacyi, ażeby według prawideł, w témże mojem piśmie wyrażonych, napisał książkę prelekcyi na wymowę dla szkół narodowych; przyjąłem z ukontentowaniem, pochlebnie to dla mnie poselstwo, kiedy razem za pracę, którą miałem pisać to dzieło podjąć, ofiarowano mi 300 dukatów. Ale po kilku dniach ksiądz *Grzegorz Piramowicz*, członek towarzystwa ksiąg elementarnych, prosił mnie, ażebym odstąpił pisania o wymowie, gdyż on od kilku lat zbierając rzeczy, przydatne do dzieła o wymowie, już zaczął pisać tę książkę dla szkół narodowych. Odstąpiłem niechętny mego do téj pracy wezwania, kiedy i inisi za nim do mnie interessowali się. Czekano wydania książki Piramowicza, więcej dwóch lat, a potem wyszła w samych cytacjach autorów, jak dawnych tak i późniejszych, bez wytknięcia w niej uczącym się, jak mają poznać piękność wymowy, pokazać ją uczniom, w których ona wyrazach wydaje się najbardziej, te i tym podobne pożyteczne wyluszczenia opuściwszy, na książkę elementarną dosyć była duża. Przysłał mi ją autor z listem swoim, któremu odpisałem, żeby mi darował myśl moją, że wieleby jeszcze do jego książki przyczynić należało ażeby była krótsza.

W tym czasie bawienia u Czartoryskiego, poznałem się lepiej z *Kniaźninem*, który dawniej był sekretarzem u księcia, a wtenczas tylko w domu jego bawił. Pisywał on wiersze, ale czy to szkólniej przysady pełne, nie wszystkim podobać się mogły; poprzyjaźniwszy się z tym pocziwym człowiekiem, radziłem mu, ażeby więcej prostej a tkliwej natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą; bo co tylko dawniej przed Rzymianami Grecy, albo za czasów starych Rzymian tkliwy *Virgili* albo *Horacyusz* napisał, dotychczas za piękne pospolicie uznajemy. Usłuchał rady mojej *Kniaźnin* i tym sposobem napisał: „*Zale Orfeusza nad Eurydyką*,” które wiersze między dziełami jego, z druku wyszłemi, zapewne na czele położyćby można.

Bywał często w domu książąt *Józef Szymanowski*, którego powszechny szacunek w Warszawie z życia cnotliwego i pięknych jego poezyi, zwłaszcza kościół Wenery w Knidos i mnie z nim poprzyjaźnił. Nikt nadto nie pochwalił grzeczności jego dla wszystkich i w zepsutej Warszawie obyczajów jego nieskażonych.

Nie samą moją prawdą powiedzianą czasem narażenie się książęciu Czartoryskiemu, ale i cichego nieprzyjaciela mego w tym domu Skowrońskiego podżeganie osłabiły przywiązanie tego pana do mnie; raz mi on oświadczył, że książę wojewoda wołyński, Sanguszko, prosił o to, ażebym z synem jego chciał jechać za granicę; przykro mi było słyszeć to od księcia, bo kochając go prawdziwie, żyć już przy nim do śmierci chciałem. Wszelako widząc, że on dwór swój i mnie też między innymi odprawić żąda, poszedłem widzieć się z Sanguszkim, który chociaż zyskowną dla mnie roczną ofiarował mi pensyą, a po skończonym 4roletnim wojażu wieś na Wołyniu, do ośmiu tysięcy intryaty czyniącą, dożywociem zapisywał; żał mnie objął, że stracę ulubionego pana księcia Czartoryskiego i odmówiłem Sanguszkowi.

Książę Czartoryski zdawał się być kontent, kiedym mu żał mój i przywiązanie do niego opowiadał, które nad zyski największe dla mnie przekładałem. Ale w kilka niedziel znowu potem książę proponuje mi drugie miejsce u drugiego Sanguszki, marszałka litewskiego, i przynajmniej prosi, ażebym do babki dziecięcia Sanguszkowy marsz. lit. pojechał. Jużem wyraźniej zrozumiał, że Czartoryski zbyć się mnie z domu żądał; ale serce moje, które się do niego przywiązało, jeszcze mocniejsze było od rozumu. Gdym się obaczył z starą Sanguszkową, z tą kobietą, którą w Warszawie dziekanową pań nazywano, która prawdziwie rozumem i najgrzeczniejszem każdego w domu przyjęciem przodkowała, kiedy mi jeszcze ze łzami w oczach tak powie: to dziecko sierotą, bez ojca jest, matka jego nie wiele o niego dbająca, jeżeli go pod dozór swój nie

weźmiesz, przed Bogiem na ciebie skarżyć się będę. Wzruszony łzami téj najznacniejszój pani, przyjąłem obowiązek zatrudnienia się, formowaniem i dozorem nad *edukacją Romana Sanguszki*, siedmioletniego dziecięcia, najpiękniejszego w całej Warszawie chłopca, przy znacznej pensyi rocznej, a po 9ciu latach, wsi do 10 tysięcy czyniącej dożywociem. Powróciwszy do domu księcia Czartoryskiego, nazajutrz z rana rzeczy moje wyprowadziwszy do starój Sanguszkowój pałacu, chcąc pożegnać księcia, w pokoju go nie zastawszy, że był u księżnój żony na kawie, chociaż tam nigdy nikt z nas do niej nie wchodził, ja jednakże jako już nie obowiązany do uważania układów dworu tego, i księżną w łóżku jeszcze leżącą, a księcia przy niej kawę pijącego znalazłem i dziękując mu za chleb, który w domu jego półtora roku jadłem, na końcu razplakawszy się, powiedziałem, nie tylko uczynkiem, ale myślą, nawet nie zgrzeszyłem przeciwko w. ks. mości, wszelako mnie z domu swego jak winowajcę jakiego wypędzasz, a ja tu przy tobie do mojej śmierci żyć chciałem. Rzucił się książę do mnie i z uczuciem rzecze: toż u mnie zostań, z całego serca proszę. Odpowiedziałem, że dałem już słowo Sanguszkowój i zapłakany wyszedłem.

Po tygodniu przyjechało z Lubartowa dziecię z matką i z ojczymem księciem Kazimierzem Sapiechą jen. lit.; król sam na ręku tego pięknego chłopca trzymając, oddawał mi go w domu Sanguszkowój i wkrótce potem przeprowadziliśmy się do konwiktów warszawskiego księży Pijarów, gdzie z innymi kawalerami pod rektorstwem najznacniejszego księdza Stadnickiego brał lekcye swoje, a ja tylko obyczajów i jego doglądał; po kilku dniach bawienia mojego u Pijarów, musiałem pokochać się i przywiązać.

* * *

Wyjechałem nakoniec z Warszawy po trzy-letniem bawieniu do Galicyi, straciwszy czas u księcia i moich cokolwiek pieniędzy z domu wziętych, a przybywszy

do domu mego w Dobrowodach, przywitał mnie tam mój sąsiad dawny, Piasecki, i widząc uiszczone wszystko (jak mi przepowiadał) w bawieniu mojem między panami żałował wraz ze mną czasu i pieniędzy straconych, bo u Czartoryskiego przez półtora roku bawiąc, nie tylko nic nie zebrałem, ale nawet swoich blisko 80 dukatów straciłem, na porządniejsze we wielkim świecie utrzymywanie się.

Czwartego dnia po moim powrocie i siostra moja, wdowa, Jankowska, z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przyjechała. — Rozrzewnienie, które czułem, witając się z tą pocziwą kobietą, jej stan ubogi, zawiedzione nadzieje moje w kwapieniu się do Warszawy, były okazją wierszów, które napisałem pod tytułem „*Powrót z Warszawy na wieś*“; a te na niemiecki język wierszami przetłumaczone i wydrukowane, widziałem wkrótce we Lwowie.

Po roku bawienia się na wsi zachciało mi się znowu do miasta, tak raz zakosztowawszy życia na wielkim świecie, jak ów pijak gorzaleczany, chociaż ten trunek cierpki i palący, przecież mu miło zawsze powracać do niego. Przyjechałem do Warszawy i u przyjaciela Stadnickiego u Pijarów stanąłem, który mnie ze łzami radości witał. Najpierw poszedłem do Czartoryskiego który mię dosyć zimno przyjął, a Skowroński mi powiedział, że książę to czuł, jakobym go w wierszach moich „*Powrót z Warszawy na wieś*“ opisał, odpowiedziałem: alboż to książę do siebie bierze te wiersze? po kilku dniach król kazał mi być na obiedzie u siebie; już on czytał dawniej moje wiersze *Powrót z Warszawy na wieś*, i tak mnie obaczywszy ze łzami radośnemi wita: cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał? — odpowiedziałem: „właśnie to samo, że nic nie zrobiła.“ Król zagadał mnie czém innym, zamawiając sobie że zaraz po obiedzie powiadać mu miałem o rządzie w Galicyi, o zabieraniu sreber z kościołów, jakoż po obiedzie z królem obstąpili mnie wszyscy, chcąc ciekawi słuchać historyi galicyjskiej;

ledwie zaczął mówić o zabieraniu sreber z kościołów w Galicyi za rozkazem Józefa cesarza, pod pozorem niby na wydatki wojny przeciwko Turczynowi i dodawszy: „niech to będzie N. P. fanatyzmem, ale jak cesarz Józef w kilkanaście tylko ludzi przy sobie przejeżdża się po Galicyi, zapaleńcy o wiarę, jak rozumieją pogwałconą, mogą gdzie go ubić na drodze,“ to kiedy wymówił, król i wszyscy odemnie odstąpili i com mu miał opowiadać z pół godziny przynajmniej, w 3 minutach sam się zostałem. — Wtenczas jak obudzony, przypomniałem sobie, że i król z Częstochowy srebra pozabierał, i to było przyczyną odejścia wszystkich.

Nauka jeszcze od ojca mi zostawiona, ażebym tak mówił jak myślę, a potem bawienie się moje zawsze między równymi, między którymi przywykły mówić co myślę, były przyczyną téj mojej niedworności, która mi u Czartoryskiego będąc, często szkodziła. Ale po jakimś czasie król trafił na surowszego jeszcze were dyka; powracając z przechadzki, wstąpił do kościoła Bernardynów na Pradze, w którym to kościele podług rozmiaru w Lorecie uczynionego, był wymurowany domek Najśw. Panny Loretanśkiej, wielu pobożnych srebrnymi wotami wzbogacony. Król wszedłszy do tego domku, kiedy wszystkie ściany gołe zastał, rzecze przytomnym Bernardynom: „a moi ojcowie słyszałem, że tu wiele sreber mieliście, a teraz żadnego wotum nie widzę?“ nie przyszło księdzu gwardyanowi odpowiedzieć, bo się skwapliwie braciszek, przed nim wyrwał: „nie masz sreber, nie było i nie będzie!“ Król rozśmiał się i odjechał. Ale kiedy gwardyan zaczął fukać braciszka, o porywczosć w głupiej odpowiedzi do króla, braciszek mu rzecze: „kiedym źle zrobił, żem królowi tak odpowiedział, to pójdę, mu powiem, gdzieśmy srebra pochowali.

* * *

W tych latach zaczął się sejm 3 Maja, nazwany od konstytucyi tegoż sejmu kilkuletniego w tym dniu pod-

pisanéj polskiego na potém i tronu dziedziczném ogłoszenia. — Ponieważ wiele o tym sejmie dokładnych wiadomości z druku już powychodziło, nie o nim pisać nie będę, to tylko namienię, do czego ja chociaż nie byłem posłem, wchodziłem skrycie, bo za zepsuciem się wszystkiego w ojczyźnie, ubogiemu o tém radzić głośno i mówić wolno było, i tylko magnaci decydować mogli. Decydowali zaś tak, jak swój pożytek widzieli, a ubogi mianą był powszechnie za niewiadomego rzeczy i pogardy godnego. Widząc ja przez nieszczęśliwe elekcyje do zguby coraz bliżej Polskę przychodzącą, bo król elekcyjny nie myślał nadal o dobro narodu naszego, gdyż kiedy dzieci dziedziczyć po nim nie miały, cóż on miał dbać o to, co się po jego śmierci z Polską dziać będzie; magnaty zaś nasze umyślnie elekcyje wolne królów utrzymywali, że może z nich który, albo przynajmniej z dzieci jego tym królem będzie obranym, a przynajmniej jaki z pretendentów obcych do korony bogato go za porobione przez jego partye obdarzy.

Magnaty nasze tę wolną elekcyą zrzenicą wolności nazywali. Zważysz ja to, wszystko na pół roku jeszcze przed sejmem 3 Maja, widząc, że Stanisław Małachowski, referendarz koronny, ten najpocześniejszy z pomiędzy magnatów już był wcześniej marszałkiem tego sejmiku naznaczony, a książę Adam Czartoryski, także pan dobrze o narodzie myślący, oświadczył się, że chce być posłem ze swojego województwa lubelskiego; przyszło mi na myśl napisania 4 listów; do Małachowskiego, do Czartoryskiego, do Radziwiłła Karóla, wdy. wil.; znaczącego w narodzie i słynącego obywatelstwem i do Szczęsnego Potockiego, wdy. ruskiego, który bogactwem, kredytem natenczas w kraju i obywatelstwem był znakomity, bo darował R. P. harmat pięknych spiżowych 24, pułk swoim kosztem własnym do swojej śmierci utrzymywany i wtenczas sam też go między inszemi w piśmie mojem: „o szczęściu człowieka w towarzystwie“ pochwaliłem; ale nietrzeba widzieć nikogo chwalić, póki życia dobrze nie skończy. Listów

tych moich 4 jednakie było brzmienie, że ponieważ sejm przyszedł czyni nadzieję sejmowi obywatelskiego niechby się uspiomy naród obudził, niechaj osłabiające nas coraz bardziej elekcyje królów porzucił, i tron następnie dziedziczny naznaczył, a ponieważ sami nie jesteśmy w stanie oparcia się trzem, które nas rozbierały mocarstwom, niechby król pruski (Wilhelm natenczas panujący) ogłoszonym był przez konstytucyą, królem dziedzicznym polskim po śmierci Poniatowskiego, a tak on swój zabór Polsce pewnie powróci, a od dwóch pozostałych potencji, zabory odebrać silnie pomoże. Co mi tylko wymowa i prawdziwe uczucie ucisków natenczas poszepnąć mogło, wszystko to w tych listach wyraziwszy, nie podpisawszy się kto byłem, tylko jak obywatel, wspólną ze wszystkimi nędzę i upodlenie cierpiący, listy 4 wspomniane w swoje miejsca na pocztę porozsyłałem i miałem potem wiadomość, że wszystkie poodchodziły. Wda. wil. Radziwiłł najżywiej list do siebie pisany poczuwszy, pojechał nawet unyślnie do króla pruskiego, i namawiał go do przyjęcia korony polskiej. To tedy niewiadomą inną przyczyną było, dla czego natenczas król pruski z taką gorliwością do sejmowi 3 Maja przykładał się, dla czego przez posła swojego Lukieczyńskiego alians zrobił z Polakami, wojska 20,000 na potrzebę narodu naszego dać obiecał tymczasem, a w potrzebie większej, bronięcia nas całą potęgą swoją nadzieję zrobił. W czasie sejmowi tego będąc przytomny w Warszawie, jużem się w cichości cieszył pomyślnym skutkiem listów moich, kiedy wszyscy prawie posłowie o ustanowienie dziedzictwa tronu głośno gadali. Ale magnaci, kiedy to na obywatelach polskich nie mogli przynajmniej odmienić, przyszłego króla chcieli, i bojąc się, jak sam byłem przytomny gadaniom ich jak powiadali wolności narodowej, ażeby mocny u siebie Prusak jej nie przygniótł, elektora Saskiego po śmierci Poniatowskiego królem naznaczyć woleli, z którym (myleli magnaci) jak z słabym łatwiejby sobie począć mogli i intrygi robić po dawnemu.

Przyszedł nakoniec czas ogłoszenia konstytucyi 3 Maja, w której kiedy Lukiczyni elektora saskiego następcą po Poniatowskim usłyszał, głośno odezwał się i oświadczył, że tylko do obwołania konstytucyi 3 Maja trwał alians jego monarchii z Polakami, króla swojego widząc od tronu usunionym.

Kiedy to w Polsce w czasie 3 Maja dzieje się, ja tymczasem bawiący w Warszawie, i często widując króla, raz mu stan mój ubogi przypomniałem, a on mi na to najpochlebniej odpowie: honor w. pan robisz panowaniu mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem. To królewskie oświadczenie chociaż mi nie dało pieniędzy, ale jakże wielką dało nadzieję polepszenia losu mojego, którego około dwóch lat czekając nadaremnie, znowu się królowi przypomniałem, a on mi rzecze: krzywdy mi w. pan robisz tą prośbą swoją, ja bez przypomnienia o w. panu myśleć powinienem, i proszę nigdy prośbą swoją mnie nie pokrzywdzić; słuchałem króla, nie mu o sobie niemówiąc i on téż nie o mnie nie mówił do śmierci swojej, żeby mi datek jaki z siebie ofiarował, a wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensye dożywotnie, królewszczyny, dobra pojezuickie, albo kaduki rozbierali. A tak widząc marność nadziei moich, wyjechałem na wieś do Suchodoliny w Litwie, po ogłoszeniu w Warszawie konstytucyi 3 Maja. Wszelako król, chcąc się niby uiścić z obietnicy swojej wspierania mnie, najcięższym dla mnie uiścił się sposobem, kiedy się umówił z księciem Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, opiekunem małoletniego księcia Dominika Radziwiłła, Ordynata Nieświeża i Olyki, ażebym ja przez 10 lat był jego rzadcą edukacyi, i razem nauczycielem obyczajów. Płaca roczna przez opiekuna naznaczona mi była tysiąc dukatów a matka małoletniego potém obiecała przyczynić 500 dukatów corocznie prócz tego po wyjściu z opieki podług prawa litewskiego za lat 10 tegóż dziecięcia, miał mi być dany dożywociem folwark jaki ordynacki. Wielkie to w prawdzie zyski, ale większa daleko także ofiara moja, bo

wolności przez lat dziesięć utracenie, a jeszcze innie już wtenczas więcej lat 50 mającemu. Wymawiałem się z początku od tak ciężkich obowiązków, wspomniawszy, jak żadnej godziny wolnej dla siebie mieć niemógłem, chcąc się pocziwie sprawić, i jak dawniej trochę u księcia Romana Sanguszki, w takimże będąc obowiązku przez rok jeden, życia tylko ledwie niestraciłem ze zgryzoty. Dobrze to dawni powiedzieli: „kogo Bogowie nienawidzą, tego dozorcą małoletnich zrobili;“ bo jakże dziecko z pod oka swojego, choćby na czas najkrótszy wypuścić można, kiedy to, co przez pół roku wmawiając w niego cnoty pracowałeś, jedna godzina, w której by się dziecko opuszczone od dozórcey z służebnym jakim nieobyczajnym zdobywszy, zupełnie zniszczyćby mogła. Wymawiałem się tedy ile możności, ale nakoniec zwyciężony naleganiem króla i usilnemi prośbami zacnego ze wszech miar opiekuna, przyjąłem najprzykrszejszy dla mnie według sposobu myślenia mojego ten obowiązek niewoli dziesięcioletniej. Dał mi znać potem do Suchodoliny książę opiekun przyjechawszy sam do Zabłudowa, gdzie matka z małoletnim dziećciem mieszkała; tam gdy przybyłem, najlepiej przyjęty od cnotliwego opiekuna, ale zimne od nadto swe dziecko pieszczącój matki, zaraz po obiedzie wyjechaliśmy do bliskiej sąsiadki na kawę: opiekun, księżna, małoletni Dominik i ja. Wąską drużyną kawalkata księżnej, kilkunastu służalców przed naszą landarą otwartą jadąc, i widząc ją z daleka chłopca naprzeciwko jadącego wóz swój worami ciężkimi naładowany mającego, kiedy mu dworzanie ustąpić z drogi kazali, a on ustąpić z drogi nie mógł, dla kolei, w której głęboko koła zapadłe były, kilka pacholików dworzańskich z konia zsiadłszy, wóz ze wszystkiem na bok wywrócili dla przejazdu wolnego książętom; ja to z daleka widząc, kiedy się kareta przybliżała do wywróconego z worami wozu, zawolałem na stangreta, ażeby stanął z landarą, co gdy tak się stało, wtenczas mówię do małego księcia: oto Dominisiu ludzie wasi wywrócili z wozem i z temi worami tego wieśniaka ubo-

giego, a któż go tu wśród pola poratuje, ażeby te ciężkie wory nazad do woza powkładał, ludzie nasi przyczyną są umartwienia jego niewinnego, niechże ci ludzie nazad mu, jak wywrócili, na wóz te wory powkładają; a tak, czyż nie lepiej, iż cię będzie błogosławił, aniżeli przeklinał ten biedny chłopek, i twoi służący będą się strzegli krzywdy na potém nikomu nie robić. Pierwszą to była lekcya obyczajności w tym dniu pierwszym przybycia mego do Zabłudowa. — Poczciwe serce mego opiekuna wzruszyło się i zapłakał, kiedy tymczasem służący za rozkazem małoletniego wory chłopu sami na wóz poukładali, a dziecko pojęło dobrze lekcya, bo torbę jeszcze z chlebem wieśniaka na boku pozostałą obaczywszy, służalcem swoim podjąć i na wóz włożyć rozkazało. Złe domowe przykłady, które długo byłoby wspominać i wymieniać, psuły zamiary moje, że nie mogłem tak z dziećciem postępować jak chciałem i należało, i czucie moje nad tém tak się pomnożyło, że przez rok bawienia mojego w Zabłudowie 5 razy przed matką małoletniego płakałem, ażeby mi nie bronila według mojego sposobu myślenia rządzenia dziećciem jój; ale kiedy nadaremne były lzy moje, namawiałem ją przynajmniej, ażeby na aniwersarz 3 Maja konstytucyi narodowej pojechała do Warszawy, gdzie dziecko i świat razem obaczy, (i jak mówiłem) kiedy królowi opowiem wszystko, pewnie ją król namówi, że z dziećciem dla jego edukacyi, mieszkając w stolicy, razem się tam i złych domowych przykładów uchronimy.

Wyjechalismy przecież z Zabłudowa do Warszawy, a tam ten dobry mój projekt nie udał się, i kiedy ani król, ani inni znaczniejsi namówić księżną nie mogli do bawienia dłużej nad dwie niedziele w Warszawie, powrócilismy nazad do Zabłudowa. Tymczasem nieprzyjaciele konstytucyi, samiz wyrodni Polacy pobudzili Moskwę przeciwko patryotom i wojna w kraju zaczęła się. Znowu ja moją księżną do Warszawy namawiam a powodem mi było niby niebezpieczeństwo saméjże księżnej i dziećcia, dla wojsk nieprzyjacielskich w blis-

kości; przecież dała się namówić, że po półroku upłynionym znowu powróciliśmy do Warszawy, ale zaraz po pierwszym noclegu z domu wyjechawszy, tak się uparła powrócić do Zabłudowa, że wszystkie moje przekładania były nadaremne i powróciła jak żądała do domu nazad, a ja podziękowawszy jej po roku smutnego życia mego, porzuciwszy okrutny obowiązek i pieniądze, nawet mi naznaczone od opiekuna, wyjechałem z noclegu tego do Warszawy, gdzie król i opiekun, jakim im wszystko opowiedział to moje porzucenie małoletniego, uznali za niewinne. Pieniądze zaś mi należące za rok ten męki mojej, kiedy opiekun, książę Maciej Radziwiłł był odnieniony, a opieka małoletniego przyśadzona, wojewodzie wileńskiemu, zostały w skarbie Radziwiłłów przez lat 13 opieki księcia wojewody, dopiero kiedy małoletni doszedłszy lat według prawa litewskiego zaczął rządzić sam dobrami, oddał mi należytość za mój rok pracowity 1000 dukatów, ale 500 dukatów od matki małoletniego mi obiecane przepadły. Jakże to małe było nieszczęście moje z porównaniem z nieszczęściami, które czułem ku ojczyźnie mojej. W oczach to moich było, jak ona od zdrajców Polaków naszych cierpiała, i wydam też ich po imionach, bo kiedy im najgorzej czynić milionom ludzi wolno było, zaczoby mi pisać o tém nie wolno? Nawet dla poskromienia na potem podobnych winowajców, których potomność przeklinać będzie, pisać koniecznie należy.

Szczesny Potocki, wda ruski, i *Seweryn Rzewuski*, hetman polny koronny, pierwszy i drugi kiedyś obywatele najlepsi, bo pominawszy pierwszego, o którym wspomniałem wyżej, Rzewuski z ojcem swoim Wacławem, hetmanem koronnym, najpoczeźwyszym obywatelem, na dobrowolne więzienie, chcąc tém ulżyć ojcu nieszczęśliwemu, poszedł do Moskwy, ale sprzykrzyło mu się potem temu wyrodnemu synowi poczeźwą drogą chodzić, i poszedł tedy, gdzie wszystkich idących przeklinają. Ci tedy dwaj magnaci po obwołaniu konstytucyi 3 Maja uważając w pysze swojej i że dziedzictwem

korony polskiej dworowi saskiemu oddanem im samym a może ich potomkowi, któremu droga do tronu posunięcia się, na wieki zamkniętą była, kiedy elekcyje królów usunięto; miotani ambicyą, że mieszczanom nawet radzenia o narodzie w czasie sejmów przez wspomnioną konstytucyą moc była dana, a z tego powodu i książę *Sapiecha*, kanclerz litewski, do tych dwóch trzeci z czasem przystąpił, ułożyli sobie *targowicką* podnieść konfederacyą, któraby ustawy sejmu 3 Maja i tronu dziedzicznego obaliła. Jakóż to pewna jest, że Szczęsny Potocki, widząc, jako był nienawistny dworowi petersburskiemu na tronie siedzący Poniatowski, łącząc się przez konfederacye z Moskalami, spodziewał się, że detronizawszy Stanisława Augusta, sam po nim na tron polski nastąpi, na czém się i sam oszukał i naród zgubił.

Konstytucya sejmowa ogłoszona 3 Maja 1792 r., a dnia 9 tegóż roku w Maju dnia pamiętnego w potomności dla Polaków, bo targowicka konfederacya przyczyną była zupełnego upadku Polski, wyszedł uniwersał do narodu o obranym marszałku konfederacyi koronnej w Targowicy na Ukrainie Szczęsnym Potockim.

Wkrótce w tejże Targowicy wyszedł uniwersał do duchownych, ażeby oświecali lud o zbawiennych zamiarach konfederacyi targowickiej, a 20 Junii uniwersał do narodu, powracający mu rzplątą, którą sejm 3 Maja, jeszcze trwający, a który raczej spiskiem nazwaćby się powinien, w monarchią przeistoczył. Potem nastąpił uniwersał, niszczący patenta i znak od despotycznego rządu warszawskiego spisku dawane żołnierzom, a województwo podolskie w liście swoim do Szczęsnego nazywa go twórcą zbawienia i nowej szczęśliwości rzpltej. W tém imperatorowa przez list swój barona Büchlera do sprawowania interesów przy konfederacyi mianowała, aby był tłumaczem dawnych przyjacielskich myśli imperatorowej dla Polski. Konfederacya zaś do Warszawy dla odebrania przysięgi od

gwardyów i jakichkolwiek bądź tamże znajdujących się żołnierzy, równie i odróżnych tamże magistratur.

W Sierpniu gromi konfederacya Bazylianów włodzimirskich o przywiązanie ich do konstytucyi 3 Maja i wskazuje, ażeby *ad loci ordinarium* na karę odesłani byli.

Zakazuje potém konfederacya przez uniwersał noszenia medalów i krzyżyków od rządu despotycznego 3 Maja wojsku rozdanych, a nieposłusznym surową karą grozi. W Wrześniu delegowani od konfederacyi do Petersburga oświadczyli imperatorowój, że w najdalszych potomkach wdzięczność dla niój Polacy mieć będą. Oświadczając nadto, że przed całym światem ogłaszać będą Polacy, że ich ratowała Katarzyna. Posłowi francuzkiemu Dessorches powiedzieć kazano od konfederacyi, że już nie jest posłem od rewolucyonistów francuzkich i naszego posła Oraczewskiego z Francyi odwołano, jakoż temu Dessorches w dniach 10 z Warszawy wyjechać kazano.

Po takich oświadczonych łaskach imperatorowój przyszedł od niój dyspartyment do konfederacyi targowickiej, ażeby dla wojsk imperatorowój w Polsce i Litwie będących, dostarczano na 8 miesięcy furazu: maki żytniej 500,000 korey, krup około 50,000 korey, owsa do miliona korey i siana około dwóch milionów cetnarów, co nie zapłacono.

Oświadczyła konfederacya przez swój uniwersał, że ktoby od dnia 16 Listopada za dwa miesiące najdalej nie uczynił akcesu do konfederacyi targowickiej, miał być uznany za niezdatnego do wszelkich na potém urzędów.

W tém przyszła wiadomość, że wojska pruskie do Polski weszły, z tego chociaż już można było domyślać się o intencyach dla Polski sąsiadów naszych, przecie konfederacya targowicka, jak gdyby w najlepsze czasy dnia 5 Grudnia ustanowiła medal dla obrońców rzeczypospolitej z napisem: „Civibus quorum pietas conjuratione die 3 Maj 1792 oblitam et diletam libertatem

Polonam tueri conabatur; z drugiej strony: „Decreto Reipublicae nexa confederationis junctae; w koło: Gratitude civibus exemplum posteritati.“ Ustanowiła ta konfederacya także przysięgę professorom szkoły kadetów, że nic czynić nie będą, coby było przeciwko religii i rządowi teraźniejszemu krajowemu, nie uczniom nie wspomną, ani o rozszerzeniu władzy królów, ani o sukcesyi tronu i monarchii.

W Styczniu wyszła 1793 deklaracya pana Buchholza, posła pruskiego, że bojąc się Jakobinów w Polsce, król pruski wprowadza wojska swoje dla poskromienia onych.

Odpowiedziała konfederacya, że o żadnych Jakobinach nie wie, że ma i swoje wojsko dla poskromienia ich, gdyby byli, i prosi, ażeby się Prusacy do kraju swego usunęli, a Prusacy tymczasem Toruń gwałtem odebrali. Kiedy Prusak wchodził w kraj nasz dla zaboru, nasze małe korpusy wszędzie wojsku jego ustępowały, jeden Dąbrowski wice-brygadyer, (który potem w wojsku francuzkiem na taką sławę i stopnie zasłużył) oparł się mężnie w Gnieźnie z dwoma swemi szwadronami dwa razy większej sile nieprzyjaciela, i aż za rozkazem wyższej swojej kommandy, ustąpił.

W tém wyszedł uniwersał konfederacyi do narodu na pospolite ruszenie, ażeby się mieli w gotowości, ale w drogę aż za ostatnim rozkazem wyruszyć mają.

Wieść się téż rozchodzić zaczęła, że Moskwa chce dezarmować wszystkie wojsko polskie i o to nota podana do Sywersa, posła moskiewskiego, który przez notę odpowiedział, że niepodoba się imperatorowej pospolite ruszenie nakazane, oświadczając, że imperatorowa każe rozgramiać wszystkie kupy zgromadzające się.

Król przystąpił do konfederacyi targowickiej, mimo najusilniejsze prośby poczciwych obywatelów, a między innymi Małachowskiego, referendarza, maszalka sejnu 3. Maja, który kiedy żadnym sposobem od tego przedsięwzięcia odwieść go nie mógł, oświadcza mu, ażeby przed przemocą moskiewską do drugiej stolicy swojej do Krakowa z sejnem usunął się, a jeżeliby i tam ci-

śnieni od Moskwy byli, która mimo pamiętnego oporu walecznego Kościuszki, wojsk naszych natenczas jenerała, już się natenczas ku Warszawie zbliżała, tedy w témże Krakowie przez Wisłę w Kordon austrijacki przeprawić się radził, a z tamtąd dopiero wysłać posłów do cesarza niemieckiego, prosząc o wdanie się do Katarzyny moskiewskiej: w czemeśmy téj monarhini zawinili, prócz téj pocziwój przyczyny, że sejmem 3. Maja porządek jakiś w kraju zrobić chcieliśmy i kiedy 3 potencie, związawszy się w téj porze przeciwko Francuzom, mocą prawa zgwałconego na królu ich ściętym przez kata, za cóż tu Moskwa w tym samym czasie niewinnego króla prześladować, z kraju go nawet swego wypędza. Jeżelibyś N. P., mówił dalej królowi Małachowski, (jak mi to sam potém powiadał) na tę podróż do Krakowa pieniędzy nie miał, dam ci swoje 30,000 dukatów, które mam w domu, a na 70,000 znajdę dziś kredyt u bankierów, a tak przyjmij 100,000 dukatów od obywatela, który i ciebie i naród ocalić pragnie. Ale ani wszystkie przekładania jego, ani lzy naszych pocziwych obywatelów nie pomogły. Przemogła intryga Prymasa, brata królewskiego, a między innymi i Chreptowicza, kanclerza litewskiego, pensyonowanych od Moskwy. I zgodne to było z charakterem króla, najłatwiej odmieniającym się; z duchem niewojennym i lubiącym spokojność, choćby to go najdrożej kosztowało. Tak zrobił przed rokiem: wybrał się ze wszystkim do obozu na Pradze stojącego, rozesłał uniwersały po koronie i Litwie z wyrazem, że osobiście stawi się w wojsku, zjadł obiad ten bohater na Pradze z Generałami naszymi, a na noc do Warszawy powrócił, z kąd się potém nie wyruszył.

Na tém przystąpieniu królewskiem do konfederacyi targowickiej, naród stracił prawdziwą szczęśliwość, a Szczęsny Potocki urojona: bo myśląc, że po odrzuceniu obrzydzonego od Katarzyny Poniatowskiego, on będzie królem polskim, o czem już i wiele przyjaciół moskiewskich myślało, a między innymi Branicki, het. ko-

ronny, publicznie u stołu Kochanowskiego, generała komendanta przeciwko Polakom wojsk rosyjskich, pił zdrowie: Najjaśniejszego Szczęsnego!

Potocki, mówię, na tém przystąpieniu króla do konfederacyi, najwięcej stracił, bo tém samein już król z Moskwą pojednał się, a jemu zupełnie nadzieja polskiego tronu upadła.

Żona Potockiego, Mniszkówna, która z nim dawniej oziębła żyła, a nawet często z niego szydzić śmiała, kiedy im nadzieja błysnęła tronu, pogodziła się zupełnie z mężem, górnemi równie z nim myślami upojona. Była natenczas w Wiedniu u księcia Lichtensteina na balu, kiedy tam wiadomość przyszła o przystąpieniu królewskiem do konfederacyi targowickiej. Francuz, przytomny także na tym balu, kiedy się już goście późnym wieczorem rozjeżdżali, rzekł do pani Potockiej: „dobranoc mościa pani exkrólowa!“ To prawda, że gdyby był Poniatowski do konfederacyi targowickiej nie przystępował, Rossyanie dowiedziawszy się, iż chłopów polskich obruszono, jakoby im schyzmę wprowadzać chciała Katarzyna, a ci z kosami i siekierami gromadnie (zwłaszcza mazury i krakowiacy) iść chcieli na Rossyanów, broniąc wiary katolickiej; dowiedziawszy się w Petersburgu, że król uniwersałami swojemi szlachtę w narodzie do obrony ojczyzny pobudził, że rzucając domy i wioski swoje, z gotowizną pieniężną jaką mieć mogli, ze wszech stron ku Warszawie ciągnęli, obawiając się złego końca Katarzyna, generałowi swojemu przeciw Polakom Kochanowskiemu, traktatem z naszymi tę wojnę zakończyć kazała, gdyby był tymczasem król niewieściuch do konfederacyi targowickiej nie przystąpił.

Dnia 7 Marca 1793 roku, napisana instrukcja Potockiemu, marszałkowi konfederacyi, do Petersburga jadącemu, ażeby tam mówił o złączeniu najściślejszém Polski z Rosyją, i razem żeby doniósł, że naród poprzysiągł w konfederacyi bronić całość granic, czynił zaś to na fundamencie obietnicy imperatorowej w po-

czątkach konfederacyi, że miała całość Polski granic tymczasowych utrzymać, co nawet królowi, kiedy przystąpił do konfederacyi, obiecała; do tego konfederaci targowiccy za wiadomością jej nawet przysięgali na te konfederacye przy swobodach narodu i całości granic polskich, bo taka jej na to była deklaracya. Pod niebytność Potockiego, marszałka, zastępcą jego obrany Antoni Puławski, marszałek konfederacyi województwa wołyńskiego. Za jego zastępstwa d. 9 Kwietnia przyszła deklaracya imperatorowej przez Sywersa, posła jej w Warszawie konfederacyi oddana, o podziale polskiego kraju i o potrzebie zwołania nowego sejm w Polsce, przez któryby Polska trzem potencjom podzieloną była, co sejm przyszedł potwierdzić miał. Sejm grodzieński zaczęty na wiosnę r. 1793, był jeden z najburzliwszych dla pomieszanych wielu pocziwych posłów z zdrajcami ojczyzny. Ambassador rosyjski Sywers, siedmiu gorliwych posłów w areszta żołnierzom rosyjskim pobrać kazał, których potem na czas jakiś za prośbą króla wypuścił, ale potem znowu ich pobrano i pod konwojem rosyjskim do swoich powiatów, z kąd byli posłami, odsyłano. I kiedy król, jak inni pocziwi posłowie, zdawał się w początkach być przeciwnym nowemu zaborowi Polski, jako niezgadżającemu się z traktatem 1773 r., którym trzy dwory zabezpieczały natenczas całość kraju Polsce pozostałego, przez swoją gwarancyą, uczyniono to na postrach drugim (co pewnie było tajemnie z królem umówiono), dobra królewskie Moskwa zasekwestrowała, toż uczyniwszy z marszałkiem litewskim, Tyszkiewiczem. Kiedy posłowie Sywersowi wspomnieli, że imperatorowa konfederacyi nawet targowickiej, obiecała całość granic Polski, on na to odpowiedział: że myślała imperatorowa o tych granicach, które teraz po tym zaborze naznaczają się. Na tym to sejmie chciała Moskwa, ażebyśmy się do państwa rosyjskiego wcielili, a to na jedno wychodziło, co się zrobić poddanymi rosyjskimi. Tenże Sywers oświadczył sejmowi, że do wszystkich posłów

przeciwnych traktatowi podziału, poszle Moskalów do wsi ich na eksekucyą; codziennie zaś przed bramą zamku grodzieńskiego, gdzie się sejm odprawował, stał Hauptwach z kilkuset żołnierzy rossyjskich z kilku armatami ku drzwiom zamkowym dla postrachu wyrzutowanemi. — Posłowie, którzy na tym sejmie grodzieńskim obywatelstwem swoim dystyngowali się, byli następujący: *Krasnodebski*, poseł litewski, który w mowie swojej publicznie królowi wyrzucił, iż wojskom naszym pod komendą synowca swojego, Józefa Poniatowskiego będącym, umyślnie przed Moskwą unyknąć się kazał; chociaż (jak wiadomo wszystkim) my byli ję zwycięzcami; *Karski*, poseł płocki, wyrzucił także wyraźnie niedbanie o ojczyznę i między inszemi wyrazami (co ja przytomnym będąc na sessyi sejmowej, sam słyszałem) powiedział w mowie swojej: stało się tak N. P., jakoś sam w początku panowania swego, będąc od przeciwnych sobie obywatelów rozgniewany, powiedział: „że choćby tyle Polski zostało, którejbyś ziemię kapeluszem swoim przykryć mógł, utrzymasz się przy koronie.“ Król na to rozgniewany, z tronu zakrzyknął: „nieprawda.“ Wrzawa — potem i posłów z obydwóch stron wszczęta, z których królewscy przyjaciela dopraszali się o sąd na Karskiego, jako występnego o obrażony majestat.

Po téj sessyi będąc u pani Krakowskiej, siostry królewskiej, kiedy tamże do niej przyszedł z sessyi, i marszałek litewski, Tyszkiewicz, a ta mu z uczuciem wspomniała, (bo już ję ktoś to doniósł) jak Karski publicznie królowi gadał, Tyszkiewicz weredyk na to odpowie: gdyby Karskiego przedemnie, jako przed marszałka litewskiego pozwano, jak chciano do moich sądów marszałkowskich pozwać, jabym go nie mógł karać, bom toż samo o królu, że miał to zapewne mówić, słyszał od nieboszczyka księcia marszałka korony Lubomirskiego, który jako poczciwy człowiek nie lubił zmyślać, a powiadał, że był przytém, kiedy się król rozgniewany z takim wyrazem wyrwał. Prócz tych dwóch

posłów wsławili się jeszcze obywatelstwem na tym sejmie *Skarżyński*, poseł łomżycki, *Szydłowski*, poseł plocki, *Mikorski*, poseł wyszogrodzki, *Ćiemniewski*, poseł różański, *Aleksandrowicz*, poseł smoleński. Ci cnotliwi obywatele i wielu innych im podobnych przyszli na pokoje królewskie i widząc go skłonionego do podpisania zaboru kraju, a tym się najwięcej składającego, że i dobra mu nawet tronu pokonfiskowano, a tak zkadby żyć miał nie ma, i jeszcze (jak mówił) mnie z wami razem Moskwa zabierze: „pójdziemy z tobą królu, odpowiedzieli poczciwi posłowie, w najdziksze kraje, będziemy jeszcze tam na ciebie zarabiać, ażebyś miał wyżywienie i wygodę jakąś, a nie czyn narodu twego nieszczęśliwym podpisaniem podziału kraju.“ Jakoż to pewna, że gdyby król był nieprzystąpił do podpisania traktatu podziałowego kraju, nigdyby był pewnie ten podział nie doszedł. Ale widać było wyraźnie, że byle spokojnie na reszcie kraju panował, nie dbał o tak wielką szkodę narodu. Miał dnia jednego dwie mowy długie na sessyi; w pierwszej niby jest obojętnym na traktowanie z ambasadorem rosyjskim o podział kraju; radzi posłać do niego, ażeby zatrzymał się, niżeli poseł nasz od imperatorowej powróci; na co gdy ambassador nie pozwolił, drugą znowu miał dłuższą mowę, gdzie radzi przystąpić do traktowania podziału. Te dwie duże mowy, potem drukowane, w jednym dniu nie mogły być skomponowane, tak wytworne jak były, i widać, że dawniej obydwie zrobione, i że w tym dniu na zrobienie drugiej czasu nawet nie miał król, a z tad widać, że chciał podziału; tak się wcześniej z ambasadorem skrycie umówił. Które posądzenie potem się i potwierdziło: bo kiedy kraje królowi pruskiemu wyznaczono, a między niemi Gniezno, Poznań, te pierwsze siedziby przodków naszych, okrzyk powszechny posłów naszych, nawet przyjaciół rosyjskich zrobił się: jakim prawem Prusak dziedziny najdawniejsze Polaków zabierać miał? i kiedy nikt do podania do laski marszałkowskiej projektu takiego nie

idzie, dwaj, *Podhorski* i *Miączyński*, poseł wołyński, projekt ustąpienia królowi pruskiemu kraju wspomnianego do łaski marszałkowskiej, jak zwyczaj, podali.

Marszałkiem tego okropnego sejmiku był Stanisław Bieliński, tak przekupiony, jak i inni, i kiedy wołać zaczął: otóż są i projekta na wydział pruski od posłów podane, przystąpiwszy patryoci posłowie do stołu marszałkowskiego i obaczywszy, że te projekta podpisów nazwisk tych, którzy je podawali, nie miały, okrzyk znowu zrobił się: otoż zdrajcy wstydzieli się nawet na swoich projektach podpisać, a tém samém jak też potrzeba według prawa nie są warte; marszałek sejmowy chciał dać pióro i kałamarz kolegom swoim do podpisania się; ale przeciwni posłowie pocziwi kałamarz i pióro pochowali, że nie było sposobu podpisania się. Wtenczas król na tronie siedzący, w oczach narodu, na co i ja patrzałem, a potem dla wstydu spuściłem na dół oczy, dobył z kieszeni ołówek i *Miączyńskiemu* z *Podhorskim* oddał, ażeby się na swoim podpisali projekcie: „Heu! regni rerumque oblite tuarum!”

Tak jest on to zapewne zrobił, zapomniawszy się, ale on to zrobił, co w duszy myślił, chcąc skończyć kłopoty, a nareszcie w kraju spokojnie siedzieć. Zapomniał się król, Polak nieobywatelski, bo w oczach narodu zgromadzonego nigdy tego zrobić nie powinien był. Stał się traktat tego drugiego, a okropniejszego nad pierwszy, podziału kraju polskiego podpisany, którym to grodzieńskim traktatem zaborowym, więcej Rosya, Prusak i Austria wzięli ludności i mil kwadratowych kraju naszego, niżeli się reszty całej Polski zostało. Zaraz po podpisaniu traktatu tego, ponieważ sejm ten był pod konfederacyą targowicką, Puławski, téjże konfederacyi zastępca marszałka, dał bal z tańcami w Grodnie na Worodnej, gdzie miał tymczasem mieszkanie. O ścianę sali, gdzie całą noc tańczono, ja nocowałem; oni tam śpiewali i tańczyli, a ja to słysząc płakałem.

Po skończonym sejmie grodzieńskim ja nie mając

już domu innego (bo klucz Suchodolina puszczone mi 6 letnim kontraktem od przyjaciela Badeniego, przenosząc się do małoletniego Radziwiłła, subarendowałem na drugie triennium), sprowadziłem się do mojej kolonii w brzeskiem województwie, przy lesie białowieskim sytuowanej na którą to kolonię, czyli kawał ziemi pustej z lasu wyrąbanego pozostałej, około włók 20, na którą tenże poczciwy Badeni bez mojej o to prośby, jeszcze w roku 1791 wyrobił mi przywilej u króla: bo kiedy każdemu kto chciał (a odbierali tatarzy i żydzi nawet) pustą ziemię do wyrobienia na gruntach królewskich na lat 50 rozdawano, ażeby po upłynionym takim terminie, taż kolonia do króla wtenczas polskiego, jaki natenczas będzie, powracała bez żadnej nagrody za zabudowanie wszelkie i osadzenie wieśniaków, — przyjaciel Badeni jak się rzekło i dla mnie takż przywilej uzyskał, o czém król i zapomniał, bo zdziwił się, za dwa lata potem, kiedy mu w Grodnie po upadku Polski, powiedziałem, że mieszkam w kolonii. — Pobudowawszy się w téjże kolonii, chociaż ubogo, ale wygodnie, zacząłem szczerze myśleć o sobie, ażeby na starość, swój mając kawałek chleba, po cudzych kątach nie poniewierać się. I nie mając majątku żadnego prócz dwóch tysięcy dukatów na procencie, ciężko mi było uskutecznić bez żadnego poddanego wytrzebień dzikiego gruntu kolonii, wszystko robiąc najemnym cudzym wieśniakiem. Wziąłem się tedy i sam więcej 50 lat mający do roboty, widząc, że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich, tyle wieku marnie przepędziwszy: zacząłem uprawiać rolę i kilka morgów, wycinając i wykopując korzenie krzaków, sam wytrzebiłem. — Najemnicy którzy przy mnie pracowali z tém większą robili mi ochotę, im szczerzej i mnie też przy sobie pracującego widzieli; skutek téj pracy mojej był najlepszy: bo zawsze w czasie tych robót moich jadłem i spałem smaczniej. Nie masz wstydu za robotę około roli eo pierwszém człowieku jest powołaniem, i kiedy raz JW. sąsiad sześciu konni i kareta przejeżdżał, a ja blisko publicznej drogi

krzaki na gruncie w moim szlafroku wycinam, niemniej którzy przy mnie robili przestrzegali mnie, że pan jakiś nadjeżdża, ażeby roboty mojej poprzestał, jam odpowiedział: że tym bardziej robić będę, bo to mi jeszcze chwałę robi. Poznał mnie przejeżdżający pyszny JW. i wysiadłszy z karety, z pół godziny zabawiwszy się ze mną, kiedy się dziwił pracowaniu mojemu razem z chłopami, a ja jemu toż samo co i najemnikom moim odpowiedziałem, dodałem jeszcze: że piękniej jest daleko pracować, niżeli szachrajstwem majątek robić. — W tych czasach, ażeby mnie widział, przyjechał do mnie do kolonii przyjaciel mój Badeni pocziwy, i kiedy mu o mojej pracy powiadałem około roli, — ażeby mi jej ulżył, wypuścił mi pańszczyznę, blisko mnie wsi ekonomicznej Kletno nazwaną, a tak przez ten rok do 7 włók gruntu, licząc w to i najemnika jeszcze liczego, wytrzebiłem; wieśniaków do tego uboższych z bliskich kluczów ekonomicznych siedmiu na gruncie moim osiadło, i jak można na prędko za przyłożeniem się mojem pobudowało się, z umową 5cioletniej wolności, po których upłynionych, dwa dni na tydzień pańszczyzny robić mieli, albo czynsz od pół włoki swojej siedziby złp. 60 na rok płacić. Tak już blisko wioskę mając, mieszkanie moje w kolonii nie zdawało mi się być dzikiem. Kiedym tam wieśniakom nowoosiadłym prawa ich, na których grunt mój osiedli, czytał, a w nich między inszemi było umieszczono, ażeby w przypadku jeżeliby jeden drugiego ważył się w złości uderzyć pobity oddać mu wzajemnie nie miał, ale zaraz do dworu na skargę przychodzić, wtenczas dwór zawsze jednostajnie osądzi: że bijący będzie publicznie ukarany kilkunastu różgami, nie przez dworskiego ekonoma danemi, ale tenże sam różgi bijącemu dawać będzie. Tym sposobem nie było u mnie bójek między sobą wieśniaczych i po takiej karze na jednym z bogatszych, a tym samym pysniejszych, wieśniaków wypełnionej skończyło się. Że jeżeliby się z czasem między nimi pokazał jaki, tedy za pierwszą poszlaką, różgami pośrodku

wsi ćwiczony musiał być, za drugą z utratą wyrobku, pola i zabudowania ze wsi wypędzonym. Jeden z tych wieśniaków nazwiskiem Jakób Mosić padł mi ze łzami do nóg, dziękując za to prawo, czyniące mu nadzieję, że sami tylko cnotliwi osiadać będą w téj kolonii. Jakkż pokazało się potém, że tenże Jakób był człowiekiem w każdym zdarzeniu najpoczciwszym i od wszystkich wieśniaków szanowany, a odemnie nad innych kochanym. W kilkanaście lat potém w roku 1808 umierał on; przez tydzień choroby najweselszym go widziano, a płaczącój żonie i dzieciom widzącym śmierć jego bliską, śmiejąc się mówił: „oto wojska rossyjskie wkrótce przechodzić mają i ciemnić was będą; ja się zapewne pokwapię i umrę pierwój, a wy się tu nacierpicie; jam szczęśliwszy od was, bo pójdę na prążnik do Ojca!“ Winienem był wspomnienie rzadkiój enocie wieśniaka tego, nad którego grobem płakałem.

* * *

Od r. 1795 spokojnie siedząc w kolonii mojej, która z ostepu, dawniej Kraśnik nazwanego, dzisiaj się Karpinem zowie, uprawialem rolę zapomniany od króla i panów, a samemu tylko w poprawieniu losu mego przemysłowi mojemu zostawiony. Mógłem mieszkać gdzie w mieście jakim i żyć z procentu 2000 dukatów, które miałem natenczas, ale znając cokolwiek świata wielkiego, że ledwie dziesiąta część ludzi znajduje się, z któremiby niecierpliwemu żyć można było, ażeby się z niemilem ust wicznie nie zdybać, wolalem osiąść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego zagrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi; w mieście zaś mieszkając, jakiż sposób zagrodzenia się od złego człowieka, żeby mnie nie naszedł? Mam dom dosyć wygodny, i nikomu pałaców nie zazdroszczę, dwie potrawy przy chlebie smacznym na obiad, i dwie na wieszerzą, oto już cała uczta moja. Przy wielkim gościńcu mieszkając niewam często i gości, ale jakże ich wiele jest, którychbym rad i nigdy nie widział i nigdy

nie miał. Jeden importun, że często do miasta powiatowego jeździł, a droga mu koło mnie przypadała, nigdy nie opuścił, ażeby mnie kilka godzin gadaniem bez związku nie nudził. Ani u sąsiadów moich będąc, więcj nie żądam, nad ulubieńsze mi kaszę i pierogi. Opo-
 dal trochę odemnie jesteś przyjacielu Stryjeński, i coś jeszcze jest, co mię czasem od domu twojego odstręcza; a ty cnotliwy Badeni, w inszym kordonie mieszkający, i więcj stu milami odemnie oddalony, jakże się przyjaźnią twoją pocieszyć mam? Tu w powiatach okolicznych, jakże już wiele nabiegałem się, a przyjaciela znaleźć nie mogę. Miałem go niby, kiedy on był nieszczęśliwy po upadku ojczyzny, bawilem go w smutku, ratowałem trochę pieniędzmi, i cieszyłem ubóstwo jego. Trochę potém zapomóżony zrobił się dla mnie pysznym i znowu nieszczęśliwy do mojej się uciekł przyjaźni; ale raz odrzucone i pogardzone serce moje przez niego, już się ku niemu nawrócić nie chciało, i byłem stały niedbać o niego potém. Inszy magnat, niby z przyjaźni ofiarował mi 3000 dukatów, bylebym przy nim do śmierci mieszkał; podziękowałem za dar tak piękny, nie podejmując się mieszkania przy nim, chcąc być wolnym do śmierci, zwłaszcza kiedy mi na kawałku chleba i wygodzie w domu moim nie zbywało. „Ale (powiedziałem) z daru tak pięknego, który jegomość ofiarować chciałeś, widzę to, że mię lubisz; otóż przez wdzięczność, bez żadnej pretensyi, zwłaszcza nie daleko od pana mieszkając, kilka razy na rok w dom pana przyjadę i po kilka niedziel bawić będę. Przyjął magnat ukontentowany przyrzeczenie moje, i zaraz wtenczas trzy niedziele bawić obiecałem. Po kilku dniach mieszkania w jego domu, o coś posprzeczaaliśmy się z sobą, i widząc go bez przyczyny upartym, rzeknę: ja mam te i te przyczyny, na dowód tego co mówię, a pan daruj mi, żadnej nie masz. On wtenczas rozgniewany: „A wpan widzę lubisz się sprzeczać.“ Ja mu zaś na to: „Tak jest, mój Panie, sprzeczam się, bom pieniędzy nie wziął od jegomości, które gdybym był przyjął,

jakaś wdzięczność kazała mi by zawsze powtarzać: tak jest panie dobrodzieju.“

Do inszego magnata w inszém zgromadzeniu, tony sobie dającego, rzekłem: A pan téż podatek wypłacił imperatorowi? On rzekł: „skądżeto? wypłaciłem.“ A ja mu na to: i ja „wypłaciłem, i tak chociaż już nie mam ojezyny mojej, przynajmniej nie znęcają się nademną jak dawniej w anarchii polskiej wielkomożni, i mogę im prawdę powiedzieć bez bojaźni zemsty ich.“ Insi moi to niby w okolicach tutejszych przyjaciele, przyszedłszy do honoru jakiego w powiecie swoim, zaraz tonem pysznym ze mną rozmawiać zaczęli, a po upłynionym urzędzie znowu grzecznie jak dawniej; ale mnie już do siebie nigdy przyciągnąć nie mogli. Oni głupi! myśleli że urząd robi człowieka zacniejszym, zapomniawszy, że pokorną cnotą najwyżej się podnieśliemy. Insi zabierali przyjaźń ze mną, żeby co zyskać, a widząc że się im nie udaje, porzucili. Insi widząc mnie, mającego jakiś szacunek między ludźmi, nazywali mnie w posiedzeniach swoim przyjacielem, co mnie jeszcze, że byli ludźmi niecnotliwymi, wstydziło. Insi nakoniec, a tych najwięcej, którzy mnie wychwalali i grzeczności wyrządzali, w jednym celu, żebym co na ich pochwałę napisał. Ale po wierszach moich pod tytułem: „*Zale Sarmaty*,“ jeszcze na początku panowania Pawła napisanych, jak w nich dałem sobie słowo wierszów odtąd nie pisania, tak odtąd żadnych nie pisałem.

W tęsknicy, domowej osobności, najwięcej bawią mnie książki i gitara. Książek mi najpiękniejszych pożyczał, grzeczny dla mnie jak dla innych obywatelów, blisko w Szerszewie konsystujący z pułkiem swoim general rosyjski Kamiński. Młody ten panicz dawał to często poznawać, że był synem feldmarszałka, i ja wymawiałem mu to w poufałości, którą do niego miałem. Insi się płaszczyli przed nim, ale mnie on poważał, bez mego upodlenia żyjąc z nim. Między książkami, które corocznie mu z Francyi najnowsze przychodziły, była i książka, par Mr. Michau: o wierze, pra-

wach i obyczajach Indyanów, i tę przetłumaczyłem na język polski, wyrzuciwszy z niej wiele mniej ciekawych opisów. Przed wyjściem nieco i po wyjściu generała Kamińskiego pod Austerlitz, zaczęły się kłopoty koło nas, które wojska moskiewskie przechodząc tędy, koniecznie za sobą prowadzić muszą. Kilkunastu generałów w domu moim w przechodach swoich almkowało, a wieśniacy moi biedni czasem każdy po 40 żołnierzy na noc do jednej chaty z obejściem przyjmować musieli, dając darmo żołnierzowi barszcz i krup trochę, chleb zaś trzy funty na dobrą wagę płacony. Kogoż łzy ludzi płaczących rozerwać mogą!?

Piszę ja ten rękopism w roku 1822, zaś 81 życia mego, i będąc tak już na siłach słabym żegnam się z wami: najpierw krewni moi, Franciszku Kozierowski z żoną i sześciorgiem dziećmi twojemi; żegnam się też z wami, najdawniejsi, bo więcej od lat 40 przyjaciele moi: Karólu Prozorze, obożny litewski, i Ignacy Si-cheniu, starosto krzemeńczucki; jakże mi miło będzie z wami, jako z ludźmi poczciwymi i na tamtym świecie obaczyć się?! Ale obaczę ja i ciebie wkrótce, cnotliwy i kiedyś tak groźny dla mnie ojciec mój! Nie wszystko ja to, nie wszystko wypełniałem, w czém ty mnie w młodości mojej napominałeś; ale przynajmniej od owego nożyka, w dzieciństwie od parobka skrycie wziętego, nikomu (jak sobie przypominam) krzywdy nie zrobiłem. — Szedłem ile możności prawdą na świecie, jakoś mię konający napominał i chociaż ta droga wiodła mię czasem do umartwienia, ale też taż sama prawda wyznana (jakeś mi to przepowiedział) słodziła potem smutki. Ty pewnie u Boga naszego dobrego tam jesteś dobrze położony; powiedz za dziecięciem twojem: że było ułomnem, ale przynajmniej starało się, aby zbrodniarzem nie było.

PAMIĘTNIKI

Ks. ANDRZEJA KITOWICZA.

Poznań 1846.

Panowanie Augusta III.

O początkach panowania Augusta III. niepiszę: bo w tych byłem dzieckiem, ani wzięł przed się pisanie dawniejszych dziejów, tylko tych, które się za używaniem rozumu mojego zdarzyły. To jedno przytaczam, co ulgnęło w moją młodą pamięć: że w dzień koronacyi Augusta III. w Krakowie odprawionój, po wszystkich miastach publicznych, z rozkazu rosyjskiego, była palona illuminacya. Każdy mieszkaniec musiał oświecić okna domu swego. Niebyła to tak przednia illuminacya, jaka dała się widzieć palona Stanisławowi Augustowi (o której będzie w swoim miejscu), ale tylko świece i lampy także wystawiono w oknie na prostej desce; a w niektórych pałacach świece woskowe i lampy oliwne, bez żadnych figur malarskich i snycerskich. Ktoby zaś nie palił świeczek, przynajmniej dwóch w oknie, byłby poczytany za nieprzyjaciela króla Sasa, a partyzanta Leszczyńskiego, i jako taki źle od Rosyan traktowany; dla tego najuboższy gospodarz wolał stracić dwie świece, niż nabyć na grzbiet sto knutów czyli batożków. Ta illuminacya zaczęta w wieczór trwała do wypalenia się świec.

Drugi obmiot, który do dziś dnia nieuszedł z pamięci mojej, był następujący: Żołnierze rosyjscy, mający kordygarde w domu rodziców moich, nalawszy wody w dużą misę, śledzia surowego z łuską w drobne kawałki pazurami szarpiąc w tęż wodę wdrobili, potem sucharów podobnie nadrobili, a nażegnawszy się nad nią i nakiwawszy, z wybornym apetytem ową zupę jedli. Pieniądze kopiejkami zwane nosili w gębie między wargą spodnią i zębami. Gdy mieli co jeść lub pić,

owe kopiejki brali do ręki. Grubsze zaś pieniądze chowali w kieszeniach. Niechlujstwo ich w jedzeniu, pić i odzieży było aż do obrzydzenia; rozrabiając w dzieży ciasto na chleb, z którego potem robili suchary, takim chlebem albo sucharami wcale się niebrzydździ. Oficerowie niżsi, wyjąwszy sztabowych, mało co byli schludniejsi od gminnych żołdatów; dla uniknienia gadu, używali koszul kitajkowych rozmaitego koloru, w której materyi, ile śliskiej, robactwo niekowane, nie tak łatwo jak w płótnie utrzymać się mogło, i kitajka nie tak często prania potrzebuje.

O głodzie pod panowaniem Augusta III.

Po wyjściu Rossyan z Polski, jakoś w drugim czy w trzecim roku po koronacyi, nastąpił głód, którego te okoliczności pamiętam: najprzód że żadna potrawa tak nie smakowała jak chleb, nawet ludziom dobrze się mającym, i winneczas mało chleba używającym; powtóre, że w Warszawie pełno było ludu zgłodniałego, schodzącego się do niej z okolic. — Panowie i najętniejsi obywatele czynili wielkie składki na tych nędzarzów, których mimo tę opatrność co dzień wielka liczba umierała. Grzebiona w wielkie doły po cmentarzach i po polach, przez grobarzów umyślnie na to wysadzonych, którzy zmarłych zbierali po ulicach, kładli na kary i do dołów zwozili. Żywym dawano pewną porcyą chleba co dzień, w pewnych miejscach murcin albo parkanem opasanych. Byli ludzie z długimi biczami, od nich zwani bicznikami, którzy przed godziną dystrybucyi chleba zganiali ubóstwo do owych miejsc, zajmując wspomnionemi biczami i pędząc jak bydło. Wielu albowiem z tych mizéraków, z łakomstwa głodem rosącego, spodziewając się większego pożywienia w pojedynczej od domu do domu żebraniu, unikało zajmu do gromady. Wpędzonych w zamknięcie potem wypuszczano po jednemu tąż samą bramą, dając każdemu pod równą miarą sztukę chleba; i tak czyniono co dzień. Umierali jednak i przy takiej opatrności, mianowicie

ci, którzy niewstrzymując apetytu, prócz chleba rozdanego, szukali większego gdzie mogli posiłku; a nawet końskie mięso z zdechłych koni żarli. Wielu zmarłych znajdowano z kawałkiem chleba u gęby; gdy ściśniony żołądek, niemogąc trawić pokarmu cheiwie jedzonego, odejmował jedzącym życie.

Od roku 1743 zacząłem notować moją chronologią; którego roku jakoś ku jesieni pokazała się gwiazda wielka ogromności księżyca w pełni, z ogonem naksztalt miotły długim i szerokim; była figury okrągłej, gładkiej, bez promieni do koła. Jasność miała bystrą, tak w swojej kulis, jak ogonie równą. Wchodziła i zachodziła ta gwiazda przez niedziel sześć po zachodzie słońca, równo z księżycem; widziana nietylko na horyzoncie polskim, ale też nad całą Europą, jako o niej były ze wszad uwiadomienia. Odbywwszy swoją wizytę więcéj się niepokazała. Za pierwszém swoim zajaśnieniem nabawiła ludzi wielkiej trwogi. Jedni mówili: iż kto się téj gwiazdce przypatruje, ten roku niedożyje; drudzy: że któryś monarcha europejski umrze; inni: że będzie głód; inni: że powietrze; inni: że wojna. Tego, co nastąpiło, nikt jednak niezgadł, to jest: powietrza na bydło (o którym zaraz) i prócz którego Polska nie miała szczęśliwszych czasów, i podobno więcéj takich mieć nie będzie, jak były pod słodkiém panowaniem Augusta III., przeciw któremu niewdzięczność Polaków, sprawiedliwie ukarały niebiosa następniém panowaniem.

O sejmach.

Nieszczęśliwe sejmy, zrywane regularnie, nieoziebaly jednak chęci dobrego króla do składania następnych, to ordynaryjnych, na które ten monarcha punktualnie zjeżdżał z Saksonii, do której po zerwanym zwyczajnie sejmie znowu powracał. Przed każdym sejmem na ćwierć roku zjeżdżał król do Wschowy, miasta pogranicznego, gdzie odprawivszy Senatus Consilium w materyach, jakie miały być traktowane na przyszłym

sejmie, i uniwersały na sejmiki przedsejmowe podpisyawszy, wracał do Saksonii, bawiąc tam aż do zbliżenia się czasu sejmu, uprzedzając czas jego zwyczajnie dwiema lub trzema niedzielami. Takim sposobem August III. panował w Polsce, aż do wojny siedmioletniej, od zaczęcia której, jako się wyżej mówiło, mieszkał ciągle w Warszawie.

Zrywacze sejmów różnych do zerwania używali pozorów; nigdy sprawiedliwych: bo te z natury rzeczy takimi być nie mogły. W roku 1758. po obraniu marszałkiem Adama Małachowskiego, krajczego koronnego, sejm zerwany został dla téj przyczyny, że rosyjskie wojska znajdowały się w Polsce. Co za racya płonna? — to i owszem radzić należało, aby niebyły; radzić zaś ważniej inaczéj niemożna było, tylko na sejmie; ale to był tylko wybieg; — przyczyna zrywania sejmów była zawsze jedna: chydzenie panowanie Augusta. Obaczymy pod następniém panowaniem Augusta, jak ta Rosya, która pod Augustem III. wcale się niewdawała do sejmów, ani żadnych krajowych spraw, pod Stanisławem Augustem zupełnie rządziła niemi i wartami swemi otaczała izby sejmowe, a przecie sejmy się nierwały i za ważne uchodziły, gdy ta *familia*, która za panowania Augusta III. wszystkie sejmy psuła, za Stanisława Augusta psuć je zaniechała.

W roku 1760. znowu sejm zerwany, z téj saméj, co i poprzedzający, przyczyny, to jest, że Rosyanie w Polsce; że pod bronią żołnierza exotycznego sejm wolny być nie może. Ten sejm zerwał się przed obraniem marszałka.

Tegoż roku 1760. zgorzał kościół katedralny gnieźnieński, tłustością w pobliskim domu przez nieostrożne smarzenie zapaloną, na dach kościelny podczas upałów wiatrem zanieśioną i w szczerbę blachy, pokrywającej dach na wiązanie drzewiane, wiekiem wysuszone, ściekłą.

Następującego roku 1761 zwołał król sejm extraordinaryjny; zaczął się 27 Kwietnia pod starą laską

Adama Małachowskiego, krajczego koronnego, bawił się na rugach aż do dnia 2 Maja, którego zaszedł przeciwko niemu manifest, nie już od jednego posła, jak przeciw dawniejszym bywało, lecz od trzydziestu dziewięciu posłów w grodzie warszawskim podpisany. Jak liczba zrywaczów wielka, tak przyczyna zerwania mała: oto, że tego sejmku niepoprzedziło Senatus Consilium, które nie więcej nie miało w mocy, jak tylko wynajdować materje do przyszłego sejmku; te zaś były w uniwersałach na sejmiki wydanych dokładnie wydrukowane, i czy wyszły z izby senatorskiej, czy z kancelaryi koronnej, jeden obmiot miały: przygotowanie Polaków, o czém radzić na sejmie mają. Zawzięte duchy, na uczynienie niesławném panowanie Augusta III., nawet mu pomyśleć dobrze o kraju nie dopuściły, zrywając sejm dla tego, że sam król, nie z senatem, wydał na sejm uniwersały. Ten sejm zerwał się przed obraniem marszałka, lubo się włókł tydzień, mozoląc króla przejażdżką codzienną z pałacu saskiego na zamek do izby senatorskiej, momentu drogiego czasu z swojej przyczyny niezwłókł izbie poselskiej, skoroby się z senatorską, po obraniu marszałka, złączyć chciała. Ukarany król za to, iż przed nim nie miał rady stanu, złożył ją dnia 13 Maja, nie żeby co pożytecznego na nią przedsięwziął, gdy wszystkie usiłowania jego ku dobru kraju były zdesperowane, ale żeby coś czynił i nie próżnował. Jakoż nie na nią wielkiego nie traktowano, jedynie o sposobie zapobieżenia monecie złotej, w kraj wchodzącej. W téj materji resultatum tego Senatus Consilii zostawiło w mocy królowi, złożyć sejm extraordinaryjny, kiedy zechce. Znudzony król sejmami wciąż zrywanemi, nie składał pozwolonego. Jakoż, gdyby był złożony, byłby i zerwany, a materja monety na sejm wprowadzona, już tém samem, że sejmowa, nie mogłaby być od żadnej zwierzchności szczególniej traktowaną i rozwiązana. Podskarbiowie tedy obojga narodów, z innymi panami, rej wodzącymi,

zniosłszy się, zrobili redukcya, którą otrąbiono w Warszawie dnia 12 Września 1761.

O sejmie ordynaryjnym 1762.

Ostatni to był sejm pod panowaniem Augusta III., co do liczby sejmów, pierwszy zaś co do gwałtownego sposobu sejmowania, który da się widzieć w dalszém swoim opisanu, do którego nim przystąpię, muszę wprzód ukazać czytelnikowi przyczynę, która tę gwałtowność spłodziła. Raczy sobie tedy przypomnieć czytelnik to, co się o szlachectwie grafa Bryła, przez dekret trybunalski zyskaném, wyżej powiedziało, i to drugie, że familia Czartoryskich, pół Polaków po sobie mająca, sprzeciwianiem się ustawiczném najlepszym albo najniewinniejszym na czas zamysłom dobrego króla, wszystkie niemal urzędy dla swoich partyzanów na nim, ułagodzić ją sobie pragnącym, wymuszała. Przydać jeszcze muszę trzecią przestrożę do pierwszych dwóch: że przy końcu panowania Augusta III. graf Bryl, minister królewski, Jerzy Mniszek, marszałek nadworny koronny, zięć pierwszego, i Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, kreatura tych dwóch, składali trójcę dworską, i nią powszechnie zwani byli, za której zdaniem szedł we wszystkiém August III.; ta trójca szafowała łaskami królewskimi; bez niej nikt niczego od króla nie dostąpił. — Blisko przed tym sejmem zaważowały niniejsze urzędy: pieczęć wielka koronna; pieczęć mniejsza litewska, buława wielka litewska i województwo wileńskie. Te wszystkie urzędy familia Czartoryskich uwzięła się pozyskać dla swoich przyjaciół. Trójca dworska oddawała do jej woli buławę mniejszą litewską (bo większa z dawnego zwyczaju należała hetmanowi polnemu), podkanclerstwo litewskie i województwo wileńskie; zostawiła tylko do wolnego szafunku królowi Jmci, a raczej sobie, podkanclerstwo koronne. Czartoryscy, jako już dawno postanowili u siebie pokazać jawnie moc swoją, górującą nad mocą trójcy, której nienawidzili, tak na ofiarę

niezupelną wszystkich urzędów żądanych, podaną sobie przez Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego, odpowiedział książę kanclerz litewski, Czartoryski, głowa i rządcą rodziny: „albo wszystko, jak my chcemy, albo nie.“ Mniszech, któremu też nie zbywało na dumie, spytał się kanclerza: „a kiedy nie?“ na co kanclerz: „kiedy nie; to będziemy wiedzieli, co z tém czynić.“ Zirrytowany temi groźbami dwór, oddał zaraz województwo wileńskie ks. Karólowi Radziwiłł, miecznikowi litewskiemu, buławę polną Sapieże, wojewodzie płockiemu, podkanclerstwa zaś koronne i litewskie zachował podług prawa do przyszłego sejm. Między okolicznościami, wchodzącemi do województwa wileńskiego, godna wspomnienia następująca: gdy Bohusz, sekretarz R., przyszedł do Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego z propozycją wyliczenia zaraz 40,000 czerwonych złotych, byleby pan jego, książę Radziwiłł, otrzymał województwo wileńskie, rzekł do niego marszałek: „Ale mospanie, jakże mu dać tak wysokie krzesło, kiedy to człowiek szalony!“ — Na co Bohusz: „Tém lepiej; jeżeli albowiem dacie ten wakans mądrymu, książę Czartoryski, kanclerz litewski, znajdzie rozum na rozum i potrafi mądrego przeciągnąć na swoją stronę; szalonego zaś przerobić na swoją partya nie potrafi.“ — „Bravo, mospanie! licz waść pieniądze!“ — i takim sposobem R. (w samą rzecz szaleniec) otrzymał województwo. — Ta dystrybucya wyżej wspomnionych wakansów przejęła do żywego Czartoryskich: postanowili tedy Bryła młodego, cześnika koronnego, posłem ziemi warszawskiej na sejm nadchodzący obranego, wypchnąć z poselskiej izby, jako nie szlachcica polskiego, tylko przez dekret trybunałski piotrkowski takim zrobionego. — To tedy było, co Stanisław Poniatowski, stolnik litewski, na tymże sejmie poseł litewski, chciał Bryłowi zadać, a czego partya dworska Bryłowi niedopuszczyć uwzięła się. Gdy tedy Poniatowski jeszcze przed elekcyą marszałka sejmowego chciał ostrzedz sejm, że w izbie między po-

slami znajduje się jeden poseł nie szlacheć, i na ten koniec żądał od marszałka starój laski głosu pozwolenia, Radziwiłł, podkomorzy litewski, który miał głos mocny, będąc partyi dworskiej, niemal razem z Poniatowskim zawołał, albo raczej tego krzyknął: Mei panie marszałku, proszę o głos! Co Poniatowski powtórzył: Mei panie marszałku, proszę o głos! to wzajemnie Radziwiłł krzyczał: proszę o głos. Było tego po kilka razy między tymi dwoma tylko sam na sam wołającymi. Lecz gdy Poniatowski, nie dbając już o danie sobie głosu, zaczął wymawiać te pierwsze słowa: „*Znajduje się między nami*“ — huknęła na niego cała partya dworska, naprzeciw niej nowym hukiem obydwu stron wrzeszczących na siebie: „Nie masz zgody na głosowanie przed obraniem marszałka i prosimy o głos dla posła mówiącego“ — dalszych słów Poniatowskiego, które były: „*nie szlacheć Brył poseł Warszawski*“, nikt przed hałasem słyszeć nie mógł, chyba tuż siedzący przy Poniatowskim. Zaczęty ten wrzask od samych posłów stał się powszechnym i arbitrom, którzy się w kole poselskim między posłami znajdowali, a z tych najwięcej było czerechy służącej Radziwiłłom i Czartoryskim, lub tych dwóch partyi przyjaciółom, uzbrojonęj pałaszami i pistoletami pod sukniemi.

Trwała ta wrzawa z pół kwadransa, aż nareszcie w dobycie szabel wybuchnęła, co iż się stało w okamgnieniu, trudno było dostrzedz z której strony i kto pierwszy dobył szabli. Ile jednak siedząc w górnej ławie i mając pod okiem całe poselskie koło, mogłem dostrzedz, przy roztargnionym wzroku na Poniatowskiego i Radziwiłła, to mi się zdawało, że najpierwsza szabla która błysnęła, była litewska, osadzona w furdymencie i trzymana od ręki obleczonej w rękawiczkę łosią z karwaszami pod sam łokieć długiem: głowa zaś tego junaka nakryta była po same oczy czapką tęgą, drutami i bawełną przeszywaną, jakich czapek Litwini do pojedynków i tumultów zażywali, za czém rozumieć mogę, że wspomniane dobycie szabel wszczęło się

w partyi Radziwiłłowskiéj, azatém dworskiéj. Równow z dobyciem szabel, pomieszane wprzód między sobą ile w ciasnym na taką ludność cyrkule partye, rozskoczyły się i stanęły naprzeciwko sobie w dwóch ścianach, sięgając się ciosami wzajemnie mogących; do czego jednak nie przyszło: bo Małachowski, krajezy koronny, marszałek staréj laski, biegając od końca do końca między owemi ścianami, stawiając przed oczy bliską przytomność króla w izbie senatorskiéj z senatorami siedzącego, obrażę majestatu królewskiego przez dobycie szabel, zgwałcenie świątyni praw, przykład straszny zuchwałości i tym podobne uwagi, dokazał tego, że szable pochowano i uciszono się. Po tém uciszeniu marszałek Małachowski miał mowę długą swoim zwyczajem, ubolewając nad tak nieszczęśliwym dla przyszłości przykładem, a dalej ciągnąc rzecz obligował posłów, ażeby dla naradzenia się in plena activitate, co z tym przypadkiem czynić należy, raczyli przystąpić ad turnum, to jest do głosowania porządkiem województw, a że tego roku kolej pierwszeństwa przypadła na prowincyę małopolską, zatém dał głos województwu krakowskiemu, pierwszeństwo w prowincyi małopolskiéj trzymającemu. Lecz gdy miasto czekania kolei swojej, Poniatowski, stolnik litewski, zaczął domagać się głosu, i podobnież jak pierwéj swoim wołaniem o głos zaczął go tłumić Radziwiłł, znowu powstała wrzawa, znowu się zaczęli rozstępować na partye i mieć ku palaszom, acz ich jeszcze nie dobywając. Marszałek widząc, iż nasadzona jest rzecz na wypchnięcie Bryła z poselskiéj izby, co by się stać nie mogło bez wielkiéj rzezi, odwołał sessyę na dzień jutrzejszy. Takim tedy sposobem przyjaciele dworscy uratowali Bryła od hańby publicznej zarzutu nieszlachećwa. Ale że ten sposób, ile był pomocny w krytycznej owéj godzinie Bryłowi, tyle przeszkadzał sejmowi i przy zaciętości familii Czartoryskich na Bryła, byłby dni wszystkie jego zniszczył i wycieńczył aż do limity, a możeby przyszło w dalszych sessyach do krwawéj rozprawy, której skutkiem byłoby

zerwanie sejmu, zaczęm nie tracąc darmo czasu i nie czekając jakiego fatalnego skutku, wypadło dworskiej partyi zerwać go bezzwłocznie, nie chcąc Bryła exponować na hańbę nieszlachectwa. Jakoż tego samego dnia pokazał się manifest przeciw sejmowi uczyniony w grodzie warszawskim przez Szymakowskiego, stolnika i posła ciechanowskiego. Przyczyna w tym manifeste do zerwania sejmu dana: gwałt wolności przez dobyte szabel w izbie sejmowej zadany, acz może i on sam, razem z drugimi, jako mazur kordyacyjny, dobył swojej serpentyny. Lecz tak mu podyktowano: bo słusznój przyczyny do zerwania sejmu nigdy wynaleść nie można było. Potomność niechaj osądzi, jeżeliby nie lepiej było, skryć grafa Bryła i niepokazywać go na sejmie, niżeli zrywać tenże dla punktu honoru jednéj osoby. Gdyby był dwór tak pomyślił, cała wina zepsucia sejmu spadłaby była na Czartoryskich, jako zawsze sejmy psujących, a Brył byłby szlachcicem, jak nim został za dekretem trybunałskim, mając inne honory i urzędy publiczne, oszczędłby się był bez poselstwa przemijającego. Ale ambicja wzięła górę nad wszystkimi z strony dobra publicznego uwagami, i wpisała dwór ten jeden raz w registr zrywaczów sejmowych.

Jeszcze dwa dni po manifeste Szymakowskiego zjeżdżali się posłowie do izby poselskiej, ale już mów żadnych nie było, prócz jednego marszałka, który izbę zagajał i zaraz po zagajeniu posłów po dwóch do szukania Szymakowskiego i sprowadzenia go, aby izbie sprowadził activitatem, delegował, i to zrobiwszy, natychmiast sessyą do jutra limitował, po których dniach, gdy delegowani uczynili izbie wiadomość, że Szymakowskiego nieznaleźli w okręgu Warszawy, sejm pożegnał, wywarłszy w mowie pożegnawczej wszystkie przekleństwa na tego, kto był przyczyną zerwania sejmu. Niewymienił jednak nikogo, lubo dobrze wiedział, (bo i sam jako przyjaciel dworu w te rady wchodził), kto go zerwać kazał, i kto się téj przysługi podjął, i że zaraz pan zrywacz sejmu, zrobiwszy tę dobru publicz-

nemu psotę, z dukatami za nią nabytemi z Warszawy prysnął. Szukali go delegowani dla zachowania formalności w zwyczaj wprowadzonej szukania zrywacza od pierwszego sejnu zerwanego, i aby na szukaniu czas trawiąc, nieszczęśliwemu sejmowi godzin przyczynili.

Na taką wrzawę i tumult, wszczęty w kole poselskiém (jako się wyżej opisało), arbitrowie siedzący za kołem po ławach przy ścianach będących, jedni przejęci strachem na łeb pozskakiwali na ziemię, uciekając co ducha w sobie z poselskiej izby i roznosząc fałszywą wieść po ulicach, że się rąbią w poselskiej izbie; drudzy śmielsi, powstawszy na nogi, cofnęli się tyłem z niższych ław na wyższe: raz dla tego, ażeby od szabel, gdyby się te po całej izbie rozpierzchły, po nogach nie dostali; drugi raz, ażeby z wyższego miejsca tumultowi w kole poselskiém wybuchłemu lepiej się przypatrzeć mogli, którym cofnięciem nagłym i tęgiem od liczby osób skupionych uczynioném, stojących za sobą naprzeciw oknu dwóch młodych Radziwiłłów, podkomorzyców litewskich studentów, podówczas w konwiktzie pijarskim i jednego towarzysza huzarskiego témże oknem na ulicę wypchnęli. Towarzysz, mężczyzna słuszny, azatém ciężki, uderzywszy czołem o bruk przed kancelaryą, zabił się na miejscu. Radziwiłły, chłopcy lekkie, jeden spadłszy na towarzysza, zdrów przemierzył wysokość trzeciego piętra do ziemi, drugi, niedostawszy żadnej podkładki, tylko trochę błota, złamał rękę; i na tym przypadku skończyło się fizyczne dobro publicznego nieszczęście.

Jak partyi dworskiej niebył tajny zamach Czartoryskich na Bryła, tak wzajemnie Czartoryskim niebyła tajna tego zamachu przedsięwzięta z strony dworskiej odsiecz; co się ztąd pokazać dało: *najprzód*: że posłowie nie zasiadali miejsc swoich podług ziem i powiatów, ale partyami; *potóre*: że w koło nie weszli sami jak należało, lecz z wielką i zbrojną assistencyą (jak się wyżej rzekło); *potrzecie*: że skoro błysnęły

szable, natychmiast używającym sukni francuzkiej w miejsce szpad dodano rapirów dragońskich: *poćwarte*: iż z izby poselskiej niewychodzili razem, lecz partyami, zatrzymując się druga, póki zupełnie niewyszła pierwsza; *popięte*: że do domów nie powracali karetami, w których przyjechali, ale na koniach, w mniemaniu zapewne, iż na ulicy jaka walka między czereďą słuźącą wyniknąć może, z której panowie łatwiej na koniach niż w karetach wyniknąćby się potrafili. Te tedy okoliczności mocnym są dowodem, iż ta scena, która się w izbie poselskiej odbyła, niebyła przypadkowa, lecz urządzona. Że zaś do rozlania krwi nie doszło, przypisać to należy albo jakiegokolwiek na króla refleksyi, albo, że nikt nie śmiał zostać pierwszym w tej jacie publicznej zaręczaczem, albo na ostatek geniuszowi, wpływającemu już mocno na naród, burzliwemu ale niekrwawemu.

O śmierci i przymiotach Augusta III.

Umarł tenże król w Dreźnie, tegoż roku 1763, na apoplexyą, dnia 1 Października. Z jego życiem skończyła się szczęśliwość Polski, naręszcie i exystencya, jako się da widzieć pod następnym panowaniem.

Był August co do ciała wzrostu wielkiego, a przytém kształtnego. Nikt go z panów nie dosięgał wzrostem, tylko jeden Chodkiewicz, starosta żmudzki; lecz jak był wysoki, tak był chudy, gdy przeciwnie August był tuszyszy do wzrostu proporcjonalnej. Minę miał wspaniałą i zawsze wesolą, wzrok i chód powolny. Co zaś do przymiotów duszy, te opisać trudno. Niewchodził w żadne poufale obcowania z panami, niezatrudniał się żadnymi interesami publicznymi, w których dwóch okazyach własność duszy najlepiej wyszpiegować można.

Zdawał się we wszystkich sprawach publicznych i domowych na ministra. Minister był jego natelnikiem, minister był jego wyrokiem. Jak go minister natelnał, tak on postępował; jak minister komu sprzyjał, takiego ten affektu i od króla dozuawał. Zgola królem

rzadził minister, ministrem zaś Muiszech, marszałek nadworny koronny i Sołtyk, biskup krakowski.

Król nie pokazywał się panom, tylko raz na dzień, gdy z pokojów swoich szedł do kaplicy na słuchanie mszy, której żadnego dnia nieopuszczał, chyba wtenczas, gdy był chory. Szedł do kaplicy przez salę, w której się panowie o 11 godzinie punktualnie zgromadzali i przez długi kurytarz do kaplicy, na boku pałacu stojącej, prowadzący, z rękami wyciągnionemi, w które go szeregi panów i szlachty z obu stron uszykowane całowały. Kto z pospolitszych obywateli miał jaką suplikę do króla, podawał mu podczas tego marszu, nisko nachylony, albo na jedno kolano przykleknawszy. Król odebrane supliki oddawał paziowi za sobą idącemu, a paź odniósł je do ministra, który podług woli swojej imieniem królewskiem dawał na nie odpowiedzi, albo też w kął zarzucał za niewarte lub natrętne uznane. Zawsze przed królem, pokazującym się na widok, postępowało z laskami dwóch marszałków krajowych, a przynajmniej jeden, albo na jego miejscu znajdujący się przy królu pieczętarz koronny lub litewski. Bez laski, przynajmniej jednej, nigdy król niewychodził z apartamentów swoich na widok publiczny. Nawet gdy się znajdował w innym kościele na nabożeństwie, zawsze mu laska asystować musiała. W drodze do kaplicy szedł za królem tłum panów, biorąc miejsce jedni przed drugimi, podług godności. Wtenczas po słówku posyłali do uszu królewskich jakie potoczne zdarzenia, lub swoje żądania. Powróciwszy król z kaplicy zatrzymywał się w sali przedpokojowej, przez ten czas, który zbywał do godziny dwunastej, przechodząc się między panami, z tym i z owym cokolwiek rozmawiając. O godzinie dwunastej schyliwszy nieco głowy ku panom, na znak pożegnania, wchodził do swoich apartamentów, które natychmiast za nim odźwierniowie zamykali. Panowie zaś pobawiwszy się z sobą jaki kwadrans czasu rozjeżdżali się z pokojów, i już od tej godziny król był niewidzialny aż do jutra. Kto jednak z panów wielkich

miał jakiś interes do króla, znalazł przystęp o godzinie wprzód naznaczonej, o którą trzeba się było postarać u grafa Bryła, bo inaczej warta stojąca przy pokojach nikogo nie puściła. Damy pierwszej rangi prezentowały się królowi w jego apartamentach tylko w dni galowe z powinszowaniem jakiego festynu, idąc szeregiem, ubrane w roby i w klejnoty i przystępujące do pocałowania ręki królewskiej jedna po drugiej według rangi. Po skończonem całowaniu ręki królewskiej, postawszy przed nim jaką chwilę, którym król na znak szacunku pokazał jakiś wdzięk uśmiechający i przemówił jakiś żarcik wesoły, odchodziły tym samym porządkiem, którym weszły. Pojedynczo i prywatnie żadna u niego dama przystępu nie miała. Zachował albowiem ten król czystość swojego stanu nienaruszoną, przykładem od jego dworu bynajmniej nienaśladowanym.

Niemając, czy nie chcąc mieć król żadnego zatrudnienia na swojej głowie, cały czas w zimową porę przesiadywał w pokojach swoich, bawiąc się z domownikami swymi potocznymi dyskursami, a najwięcej myśliwskimi, projektując polowania na które wyjeżdżał często: to do Kozienic, ekonomii królewskiej, to do dóbr Radziwiłłowskich w puszcze i wielkie zwierza obfitujących. Lubił także polowanie na gluszcze, na które ordynaryjnie wyjeżdżał na wiosnę. Aże ten ptak grę swoją odprawia w głębokich lasach, do jazdy powozem nie sposobnych, przesiadał się na konia, na którym dojeżdżał do stanowiska, mając idących wedle siebie hajduków mocnych, którzyby za potknięciem się konia, ciężarem osoby królewskiej zwątlonego, króla od upadku ratowali. Szczęścia posłużonego na tém polowaniu znakiem były pióra tego ptaka, przypięte do kapeluszy albo czapek wszystkich osób, które królowi na tém polowaniu asystowały.

Chował przy dworze swoim błazna czyli trefnisia, który go, w melancholicznym humorze będącego, śmiesznymi żarcikami i kuglarskimi figlami rozrywał, i drugiego poetę, który w niemieckim języku z każdej oko-

liczności dowcipne i śmieszne wiersze nagle składał. Ci dwaj ludzie mieli przystęp do króla wolny każdego czasu. Asystowali mu także podczas publicznych obiadów, i kiedy w ogrodzie do tarczy strzelał. Tytuń palił mocno, a najwięcej po obiedzie, po którym przy tytuniu popijał sobie saskie piwo, tegie i tłuste, dla niego robione. Prócz wyrażonych dopiero, miał jeszcze jedną rozrywkę, nie ze wszystkiem przystojną. Kazał przywłóczyć przed okna swego pałacu w miarę strzelania ściery zdechłych koni dla zwabienia psów. Te strzelał z wiatrówki, a hycel płatny miesiącami, ubite psy codziennie wieczorem wywłóczył z dziedzińca, i zakładał nowe ściery, z gnatów ogryzionych wyczyszczając dziedziniec.

Jadał tłusto i wiele. Kuchnia jego nie miała równiej w Europie, tak co do wytworności potraw, jak co do wielości ich; kucharzów, kuchcików, posługaczów kuchennych, pomywaczek, liczbę do setnej dochodzącą. Tóż samo niemal było w eukierni. Choć sam jeden obiadował, zastawiano jednak przed niego najmniej 20 potraw i potem wety i cukry. Ale zato niejadał wieczerzy, chyba bardzo rzadko i to bardzo lekki specyalik. Lecz za niego pili dobrze jego dworsey. Zgoła, co się tyczy stołu ten był suty aż do zbytku, iż weszło w przysłowie (kiedy kto miał dobry obiad) mówi: „jadłem dzisiaj jak król polski.“ Szambelan, odprawujący dzienną służbę, podawszy królowi pierwszą farfurkę z potrawą, siadał z nim do stołu, i kto jeszcze inny z domowych, kogo król zawołał.

W dni galowe, jako to w dzień narodzin, koronacy królewskiej tym podobne, dawał król otwarte stoły dla senatorów i urzędników koronnych, do których zasiadali za biletami liczbowanemi, losem ciągnionemi. Jaką kto wyciągnął liczbę, takie zasiadł miejsce, podobną liczbą do krzesła przypiętą oznaczone, pokazując król tym sposobem, że wszystkich, mimo różnicę godności każdego, równo szanuje. W dzień 3ci Augusta dla samych tylko orderowych dawał król obiad, do którego

siadali porządkiem wyżej opisanym. Tego dnia, imieniny królewskie i uroczystość orderu Orła Białego znaczącego, ubierali się wszyscy w suknie jednakowe, to jest czerwoną wierzchnią, białą spodnią.

Kiedy przyjeżdżał z Saksonii do Warszawy, albo z Warszawy do Saksonii, albo do Grodna na sejm, lub gdzieindziej na polowanie, czynił to pocztowemi końmi, w pomoc którym panowie przystawiali po stacyach swoje cugi, i kto tylko miał, najmował do tej jazdy swoje konie, od których pocztmajstrowie brali na dwie mile po 5 tynfów od pary koni, a najemnym placili po dwa szóstaki na jednego konia, i tak wszyscy znaczne zyski z jazdy królewskiej ciągnęli. Postylioni brali tryngieltu po 3 złote, ci co smarowali powozy, za jedno nasmarowanie tyńfa jednego. Zgoła nikt dla króla nogą ani ręką nieruszył bez dobrej natychmiast zapłaty. Stanowiska w podróży do Saksonii i ztamtąd kiedy jechał na Wrocław, to jedno było w Lubochni, drugie w Sokolnikach; kiedy na Poznań, to w Kleczewie, w których miejscach były pobudowane dla niego pałace i przy nich utrzymywani kosztem jego murgrabiowie, a po śmierci jego téż pałace ze wszystkiemi meblaini dostały się posesorom dóbr, w których były zbudowane.

Lubił téż strzelanie do tarczy, na którą zabawę, o kilkaset kroków od pałacu odległą, nosili go hajducy w lektyce, na trzy stacje po dwóch rozstawieni, szybko, choć z ciężarem nie lada jakim cetnarowój osoby królewskiej, nogi zbierający. Po obu stronach lektyki biegli paziowie, szambelan i oficer, a za lektyką lokaje, służbę dñową u króla trzymający. Tuż za królem w drugiej lektyce tymże sposobem niesiono ministra grafa Bryła. To strzelanie zaczynało się o godzinie czwartej po południu i trwało do godziny szóstej przez jeden miesiąc Maj, do którego strzelania wzywał król niektórych senatorów i urzędników koronnych orderowych; którzy się ofiarowali do tej zabawy królowi, byli zapisani w katalog, i podług tego katalogu byli przywołani do strzelania. Mający strzelić wchodził do

strzelnicy o 300 kroków od tarczy odległej, gdzie mu strzelec królewski podawał sztuciec nabity i odbierał wystrzelony. Kto zaś nie chciał strzelać z sztucca królewskiego, wolno mu było strzelać z własnego, od swego strzelca nabitego. Za każdym wystrzeleniem lauffer ubrany w toge kitajkową czerwoną, wybiegał z za tarczy, z dołu dla siebie za nią wykopanego, oglądał w tarczy postrzał, zabił go kolkiem, i na tabliczce białej okrągłej pokazał czarno odmalowany numer taki, jaki kto w tarczy ustrzelił. Jeżeli zaś kto wcale tarczy chybił, obiegił ją trzy razy do kola. Poeta królewski za każdym strzeleniem na pochwałę strzelającego, albo na żart z niego, powiedział parę wierszy niemieckich; błazen zaś ciągle podczas tego strzelania różne figle stroił, albo z drugim nadwornym którego pana błaznem w ezuby i zapasy dla rozrywki królewskiej chodził. Gdy się skończył miesiąc strzelania, rozdawał król dziesięć premii między tych, którzy się najlepiej popisali, mniej zręcznych pominawszy. Te premie składały się z numizmatów różnego walurowi złotych, albo z sztuk porcelanowych. Nie było obowiązkiem wpisanym w katalog każdego dnia znajdować się na strzelaniu; wolno było czasem nie być. Przez przypodobanie się jednak królowi rzadko który opuścił bytność swoją. Miły widok króla wspaniałego i wejrzenia wesołego zwabiał liczne goście obojczy płci z osób dystygowanych, oprócz tych, którzy należeli do strzelania.

Niewypowiedzianą dobroć tego króla ukazać może czytelnikowi następujący przypadek: Gdy raz jednego w Piotrkowie wyrócił go z królową pocztylion, tak, iż oboje, jedno przez drugie wytłoczyli się z karety na bruk, i ze strachu uciekać począł, złapanego przez ulanów król przed siebie przyprowadzić i rozśmiawszy się do niego, oraz dawszy mu za tę sztukę dukata jednego, usiąść na konia i jechać dalej z sobą kazał.

Kochał się także ten król wielce w orkiestrze, czyli w kapeli, do której dobierano wirtuozów, śpiewaków

i śpiewaczek w całej Europie najslawniejszych. Ta orkiestra grała często królowi na jego pokojach w dni galowe, po kościołach, w których się król na nabożeństwie znajdował, i na operach, dobierając do siebie na wspomniane opery kapelów różnych panów, mianowicie Wielhorskiego, kuchmistrza litewskiego, i księcia Czartoryskiego, kanclerza w. lit., tak iż liczba muzykantów, grających operę, przenosiła sto osób. Te opery wielkie odbywały się dwa razy w tydzień: we Wtorek i Piątek. A lubo dla wielkiego kosztu w odmianie, jedną operę grano przez pół roku, po staremu król bywał na każdej punktualnie, nie tęskniąc sobie w widoku jednej półrocznej reprezentacyi, siedział w łoży nieporuszony, przez trzy godziny a czasem i dłużej trwając opery, i gdy widział operhausu nienapełnionego spektatorem, dziwił się niegustowi polskiemu, iż się nieubiega do widzenia rzeczy, tak wielce delectującój oko i ucho, darmo, to jest bezpłatnie, której widzenie w innych krajach lud najpospolitszy opłacać nie żałuje. Trzeba bowiem wiedzieć, iż te opery zawsze darmo dawane były; podczas sejmu lub innych zjazdów za biletami dla dystyngowańszych osób; prócz sejmów i zjazdów bez biletów, dla wszystkich, jakiegokolwiek gatunku ludzi.

Niemiała Polska i niebędzie miała tak dobrego, tak wspaniałego króla, jak miała Augusta III., a oraz tak nieszczęśliwego dla Polaków, iż mu nic dobrego dla kraju (choć z duszy tego pragnął) zrobić niedozwolili, zrywając sejmy ciągle, a wszystkę winę nieładu i nierządu stąd pochodzącego, na niewinnego króla składając. Na ostatek familia Czartoryskich przez fakcye swoje przewrotne i dumne, ochydzwszy przed narodem po większej części zwiedzionym panowanie Augusta, detronizować go postanowiła, gdyby go była śmierć przed tym zamachem wściekłym, a nawet względem dworów obcych nierozumnie przedsięwziętym, nieuchyliła. Bo August urodzony księciem dziedzicznym saskim, skoligowany z cesarzem niemieckim i innymi

królami europejskimi, miał więcej reputacyi w całej Europie, wiadomój przyczyn nierządu polskiego, niż jeden kanclerz Czartoryski, głowa przewrotna swojej familii, który u cesarzowej rosyjskiej pracował o zepchnięcie króla z tronu, osadzenie na nim swego synowca Adama, generała ziem podolskich; na czém tak by się był zawiódł po detronizacyi Augusta, jak się zawiódł w tém przedsięwzięciu po śmierci jego, jako się niżej da widzieć. — Panował August nad Polską lat 30, godzin wspomnienia słodkiego i pamięci nieśmiertelnój.

O sejmie electionis 1764.

Sejm tedy electionis zaczął się dnia 27 Sierpnia 1764 r. pod szopą, która była drewniana, tarcicami obita i tarcicami przykryta, a nazajutrz dla większego przestworu udał się w okopy, w kwadrat uformowane, z czterema bramami. W środku okopów były ławy proste do siedzenia dla posłów i arbitrów i krzesła dla senatorów. Materya tego sejmu była: obranie króla nie innego, tylko Polaka i ceremonia, jaką miało być odbyte to obranie. Wiedzieli od sejmu konwokacyjnego wszyscy dobrze, iż nie kto inny, tylko Poniatowski będzie królem: bo nikt prócz niego konkurentem jawnym i mocnym do korony nie pokazał się. Lecz dla uformalizowania wolnej elekcji, wszystko tak robili, jak być było powinno, gdyby w samej rzeczy naród wolnie, nie z przymusu, nie pod armatą rosyjską, króla sobie obierał. A że Rosyane temu sejmowi asystowali, stojąc na pogotowiu pod Warszawą, przeto niebyło nikogo, któryby się propozycji podanej od prymasa, aby Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego obrać i narodowi ogłosić za kandydata tronu, sprzeciwił. Cały skład sejmu jednemi ustami odpowiedział: „zgoda“ i już pierwsza materya najważniejsza w jednym momencie została ułatwiona. Druga co do sposobu czyli ceremoniału tego obrania również nie miała trudności, lecz dla operacyi swojej więcej potrzebowała czasu, przeto ją też kilka

dni wleczono; aby tylko dla kształtu, chociaż nie dla potrzeby.

Na początku tego sejmu Sołtyk, biskup krakowski przybył do Warszawy; z stanowiska swego posłał do księcia Czartoryskiego, kanclerza w. lit. z propozycjami, iż gotów jest przystąpić do jedności obrad publicznych, uznać Poniatowskiego królem, byle władza odebrana Branickiemu była przywrócona, i dekret zapadły na R. został zawieszony do sejmu koronacyjnego. Lecz gdy familia Czartoryskich wszystko w ręku swoim mająca, takimi propozycjami jednego księdza, który niedawno uciekał przed ich partyą, wzgardziła, odjechał napowrót do Kiele, dóbr swoich biskupich, z miną grożącą, od której żeby się familia zabezpieczyła, posłała w dobra jego 1300 Rosyan, którzyby jego próżną fantazją na wodzy trzymali.

Sejm tymczasem swoją drogą spokojnie postępował. Uchwaliwszy w okopach zgodnie kandydatem do tronu Poniatowskiego, należało podać to do wiadomości i akceptacyi całemu narodowi. Dzień do tego dzieła naznaczony został 7 Września, które odprawiło się takim sposobem.

Wszystkie województwa, senatorowie, posłowie i nieposłowie, zjechali się na pole elektorskie i stanęli na koniach, jak się wyżej opisało. Do tak stojących przyjechał pryimas z swego pałacu z znaczną asystencją, kariolką bogatą, od złota aksamitu; ponosowego i galonów na wszystkie strony blask rzucającą, czterokonną; z stangretem i forysiem na koniach siedzących, także galonami, a konie czubami złotemi błyszczących. W takiej figurze (niemogąc konno, bo na krzyże zawsze stękał i dla tego pochyło chodził) objeżdżał województwa. Najprzód przyjechał do województw poznańskiego i kaliskiego z aryną następującą: Witam waszeciów mościwych panów i braci na tém elektoralném polu; oraz pytam, jaka jest wola i zgoda prześwietnych województw wielkopolskich, kogo mam mianować za króla i pana? — Odpowiedzieli na

to Twardowski, wojewoda kaliski (bo książę Jabłonowski, wojewoda poznański, sekretny, a od nikogo niewsparty pretendent tronu, nie śmiał się pokazać na tym sejmie) i Mielżyński, kasztelan poznański, że sobie nie kogo innego życzą mieć królem, tylko imci pana Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego, i natychmiast podali do rąk prymasowi kandydacyą, podpisem szlachty obudwóch województw stwierdzoną. Tę odebrawszy prymas stojący w karyolce, pytał się po trzy razy szlachty tychże województw: „Jestże zgoda w.w. panów, abym nominował za króla i pana imci pana Poniatowskiego, stolnika litewskiego?“ A za każdym razem odebrawszy odpowiedź w krzyku donośnym: „Zgoda“ i „wiwat!“ pokłoniwszy się usiadł i jechał ku następującemu województwu. Że zaś poczynając od województw wielkopolskich tę objażdżkę, uczynił krzywdę województwom małopolskim, na które przypadał tego roku turnus pierwszeństwa, przeto się przed wotowaniem żalili na prymasa seryo Krakowianie i Sandomierzanie, których on przepraszając za tę omyłkę, złożył ją na kalwakatę przed karyolką przodkującą, iż go ta do pomienionych województw wielkopolskich zaprowadziła.

Niebyło żadnej odmiany we wszystkich województwach, wszędzie jedna arynga, pytania i odpowiedzi, wyjawszy województwo kijowskie, do którego gdy przybył prymas z zapytaniem wyżej wyrażonem, Potocki, wojewoda kijowski, na czele swego województwa na koniu siedzący (jedynie przez bojaźń ściągnięcia Rossyan do dóbr swoich téj elekeyi assystujący, w sercu zaś haniebnie jako pan wielki brzydzący się tak ubogim królem) z pacierz ruchając wargami, nie mógł wykrztusić tego słowa Poniatowski, ale tylko odpowiedział: „Zgadza się z poprzedzającemi województwami, a reszty (dołożył oddając kandydacyą prymasowi) ten papier nauczy.“ Szlachta zaś jego na zapytanie odezwiała się: „Zgoda i wiwat!“ Druga także osobliwość zaszła w województwie ruskiem. Szlachcie

jeden nie paradnie ubrany i na koniu podłym, wysunawszy się z szeregu ku prymasowi, zaczął do niego jeszcze przed pytaniem taką perorę: „Mości książę! proszę waszój książęcej mości imieniem całego naszego województwa, ażebyś nam nominował za króla i pana jasnie oświeconego książęcia Jmci wojewodę ruskiego, od którego nasze województwo ruskie wszelkich doznaje dobrodziejstw“ (a notabene, nie obejrzał się po sobie i chudym koniu swoim, że na nim żadnego pańskiego dobrodziejstwa znać nie było; lecz wróćmy się do rzeczy). Prymas jakby tego nie uważał, swoje pytanie zaczął, na które książę wojewoda ruski wyraźnie odpowiedział, iż chce mieć za króla i pana Stanisława Poniatowskiego, i oddał prymasowi kandydacyą, jeszcze zaś wprzód uchyliwszy kapelusza, odpowiedział szlachcicowi: „dziękuję wniepanu.“ Uważałem, iż książę wojewoda ruski, na siwym mierzyńku siedzący, odpowiadając prymasowi, dużo był na twarzy pobladł; czy go ów szlachcic zmieszał swoją niespodziewaną i bez wszelkiej konsekwencji nominacyą, czyli też usta nie zgadzały się z sercem, które dużo na to boleć musiało, iż za jego pieniądze korona się nie jego Adamowi, ale Stanisławowi dostawała.

Tak tedy dzieło najpryncypalniejsze całego narodu niemal w godzinie odbyte zostało, w zgodzie, w spokojności i w skromności od wieków w tém królestwie nie praktykowanej. Powiadają starzy: iż na przeszłych elekeyach pijaństwo i rabanina tak były zwyczajne, jak gdyby były częściami istotnemi całego dzieła. Na téj zaś nikt się ani krwią nie oblał, ani winem nie zachłysnął, bo nie tylko wina, ale i szklanki wody od pragnienia na polu elektorálnem nie było.

Nazajutrz Sosnowski, pisarz polny litewski, marszałek sejmowy, zagaiwszy sessyą sejmową pod szopą, przeniósł się z senatorami i posłami w okopy, dla większego przestworu, gdzie stanawszy w środku na krzesła książę prymas, pytał się po trzy razy, jeżeli jest zgoda stanów sejmujących, żeby przystąpił do nomi-

nacyi za króla Stanisława Augusta, wczoraj na polu elektorálném przez naród zgodnie podanego. Na co gdy od wszystkich zewsząd słyszane były odpowiedzi, po tyleż razy „zgoda!” przystąpił do téjże nominacyi, którą w krótkich słowach odbywszy, zlecił marszałkom dwom litewskim, to jest Ignacemu Ogińskiemu, wielkiemu, i Józefowi książęciu Sanguszkowi, nadwornemu (bo tylko ci dwaj sejmowi temu assystowali, koronni zaś w domach swoich na króla się dąsali), ażeby ludowi pospolitemu okopy otaczającemu, obwieścili po bramach okopowych, że Poniatowski, stolnik litewski, zgodnemi i powszechnemi głosami obrany jest królem polskim pod imieniem Stanisława Augusta, pod którym imieniem ma być uznawany od wszystkich stanów i kondycyi całego narodu za prawdziwego i prawnego monarchę. Co gdy marszałkowie wspomnieni w czterech bramach okopowych głosem ile mogli mocnym ludowi donieśli, i doniosłszy do koła sejmowego powrócili, książę prymas zaczął hymn: „Te Deum,” który śpiewali wszyscy przy odgłosie trąb, kotłów i bicia z armat. Po odśpiewaniu hymnu ruszyli się wszyscy w parady do pałacu Poniatowskich na krakowskiém przedmieściu, obok koszar Kazimirowskich zwanych stojącego, w którym się znajdował król świeżo obrany. Tam odebrawszy zwykle takim dziejom powinszowania, i oddawszy wzajemnie podziękowania, wsiadł na konia, niebogato lecz gustownie w rząd i siatkę przybranego, jechał otoczony panami i niezmierną kalwakatą do kolegiaty s. Jana, która kalwakata miała przed sobą chorągiew ulanów królewskich, a za sobą wydział gwardyi konnej koronnej. Wszyscy jadąc z wolna wykrzykiwali vivat, które słowo gdy przeszło od końca do końca, znowu się zaczynało i trwało ciągle i hucznie aż do samych wrót kościelnych.

W kościele powtórnie było śpiewane Te Deum przy biciu z armat i powinszowania od prywatnych, a najwięcej od dam królowi oddawane, po których skończonych szedł król gankami z kościoła do zamku prowa-

dzącemi w niezmiernym tłoku, trzymając obiedwie ręce wyciągnięte do całowania wszystkim, mimo których przechodził. Na zamku małą chwilę zabawiwszy między owym tłokiem, zamknął się w gabinecie swoim ażeby radości, przed obliczem narodu w sobie tłumionej, mógł rozpuścić cugle i podzielić się nią z faworytami.

1768.

Konfederacya w Barze zawiązała się w Lutym a dała się widzieć w swojej zbrojnej postaci w Marcu roku 1768. W początkach nie miała tytułu ani konfederacyi jakiego województwa, ani konfederacyi ogólnej całego narodu, ale od miejsca nosiła tytuł konfederacyi barskiej. Marszałkiem jej był Michał Krasiński, podkomorzy rużański, konsyliarzem Puławski, starosta warecki, dawniej sławny patron trybunalski i plenipotent generalny całej rodziny Czartoryskich, a potem obmierzywszy sobie ich fakeye w zrywaniu sejmów, główny nieprzyjaciel. Ci dwaj w początkach cały rój wodzili i pryncypałami stanęli. Zasada tej konfederacyi była przy wierze katolickiej i dawniej wolności polskiej. Miała też ta konfederacya i proroka, wspomnianego w manifestie czyli akcie swoim, niejakiego Marka karmelite, z pobożności prawdziwej czy obłudnej (sam Bóg wie) wziętego wielce u panów ruskich, który tej konfederacyi pomysłny obiecywał skutek i na dowód swojej obietnicy pioruny i grzmoty jako niegdyś Samuel prorok z nieba sprowadził, albo też gdy z naturalnej przyczyny zburzone powietrze piorunem wystrzelić miało, w tym punkcie mu ordynans swój do wystrzelenia dał, i tym sposobem zaufanie swemu proctwu zjednał. Lecz nie sprawdził, bo konfederacya zniszczoną została, sam zaś prorok Marek schwytany od Rossyan, batożkami ocięty i gdzieś do klasztoru wtrącony z oczu ludzkich zniknął.

Skoro w Warszawie usłyszano o pomienionej konfederacyi, natychmiast na jej rozproszenie wyprawiono

wojska rossyjskie i pułki lekkie koronne, jakoteż ułanów królewskich pod pułkownikami Arnoldem Byszewskim, faworytem królewskim, Chojeckim, wojną i innymi mniej sławą *junaków* zaszczyconymi, a nad tymi wszystkimi przełożono Xawerego Branickiego, łowczego pod on czas koronnego, człowieka nieustraszonego serca. Ta tedy partya Rossyan i Polaków najprzód dobyła Baru, konfederatów rozproszyła, wielu w niewolę pojmała, reszta rozproszonych konfederatów, goniono po Rusi i różnemi klęskami niszczona, zamknęła się w fortecy berdyczowskiej, gdzie ich Branicki, przywódząc piechocie rossyjskiej na froncie, w samej bramie kulą karabinową po kapeluszu draśniony, zwawo nacierając i wołając na Rossyan: „stupaj, przystupaj!“ dobył, wielu w niewolę zagarnął; reszta obronną ręką uszła.

Niemogąc się konfederaci nigdzie w kraju oprzeć Rossyanom, wynieśli się na Wołoszczyznę. Tam do konfederatów pierworodnych barskich przyciągnęli konfederaci litewscy pod marszałkiem Pacem, starostą ziołowskim, wkrótce po konfederacyi barskiej związani, podobnym nieszczęściem jako i barscy od Rossyan i pułków królewskich w rozmaitych potyczkach pobici.

Do tych konfederatów, w Wołoszczyźnie będących, przyłączył się Joachim Potocki, podczaszy litewski, generał rejmentu konnego, który chodził pod tytułem królowej Jadwigi. — Tego Potockiego konfederacya uczyniła rejmentarzem generalnym. Że imię Potockich wiele znaczyło u Turków, tak iż je Turcy inaczéj nie wspominali, tylko: Wielika Potocka, przeto wspomniany Potocki usilnie namawiał konfederatów, aby się udać do Turka i żądać jego protekcyi. Przeciwnie Puławski wszelkich sił dobywał rozumu swojego, aby się konfederacya wyniosła z Wołoszczyzny i udała się pod protekcyą Józefa cesarza, jako pochoć od niego do związania się i pomoc w czasie obiecaną mająca, przywódcą za przyczynę takiego zaufania wdzięczność, którą dom austriacki mieć powinien Polakom za oswo-

bodzenie Wiednia od oblężenia tureckiego przez Jana Sobieskiego króla. Te dwie głowy pasowały się uporczywie, a cały skład konfederacyi deliberował, czyjéjby rady chwycić się pożytecznie było. Przewyciężył Potocki, Turcyja na jego perswazyę wypowiedziała Rossyi wojnę i zaraz ją rozpoczęła, konfederatów z Wołoszczyzny do kraju swego przyjęła, wszelką im z razu ludzkość świadczyła i we wszystkie potrzeby opatrywała, spodziewając się (jak byli od głów konfederackich upewnieni), że się cały naród polski porwie do broni i z swojej strony Rossyę atakować będzie, Puławskiego zaś poczytawszy za zdrajcę, w kajdany okuli i do Stambułu odesłali, w których tamże w pół roku umarł. Lecz gdy Turcy, wpłatawszy się w wojnę z Rossyą dla interesu Polski, widzieli, że cały prawie naród polski cicho siedzi, jedno z królem i z Rossyanami trzyma, a tylko garstka niedobitków konfederatów przy nich się tuła, poczęli ich zaniedbywać, żywności im i innych potrzeb odnawiać, nareszcie gdziekolwiek po kilku zdybanych, od korpusu odłączonym, głowy ucinąć i swoim wodzom obyczajem tureckim jakoby rossyjskie odnosić, postrzegli konfederaci, iż się w ostatniem nieszczęściu znajdują. Potracili albowiem na usługach tureckich w potyczkach wszystkie konie, innych niedostawszy, większą połowę ludzi przez głód, przez choroby, przez morderstwa tureckie i przez apostazyę do tureckiej wiary. Zatem reszta pozostałych konfederatów prosili cesarza tureckiego, aby im pozwolił wyjść z jego kraju, i aby im na ten koniec dał konwoj, bez któregoby ich Turcy byli co do jednego wygubili, obiecując cesarzowi iż powróciwszy do ojczyzny, oziębłych braci swoich zagrzeją i przygaszoną konfederacyą rozniecą po wszystkich województwach. Cesarz turecki, który w ich stanie biednym i w garstce małej żadnej dla siebie nie widział pomocy, uczynił z łaskawością ich prośbie zadosyć.

Wynieśli się tedy konfederaci z tureckiego państwa do Węgier, przedniejsi wołami, podlejsi pieszo, odarto,

wynędzniało. Zapomniałem (za co czytelnika mego przepraszam) umieścić w swoim miejscu: że Potocki z Krasieńskim na wstępie w kraj turecki zaciągnęli od Turczyńa dług na rzeczpospolitą polską trzy miliony złotych polskich, które rozrzutność, mnogość potrzeb i niewierność szafujących niemi, a mianowicie Kossakowskiego, marszałka pod ten czas powiatowego wiłkomierskiego konfederacyi, o skradzenie znacznej części téj summy i ujechanie z nią do Polski obwinionego, wkrótce roztrwonili, tak iż owi panowie naczelnici powracając z Turcyczyny (jako się wyżej rzekło) na lepszy ekwipaż od wołowego zdobyć się nie mogli. Revers zaś na te trzy miliony, dany Turkom, dostawszy się Rossyanom z całą kancelaryą turecką po przegranej batalii, przepadł na wieczne czasy, który zachowany od tego przypadku i przy lepszym losie niż wypadł wojny tureckiej z Rosyą, mógłby być obciążać albo ubogą zawsze rzecz pospolitą polską, albo dobra zaciągających pomieniony dług.

Trzymając się konfederacyi pogranicza węgierskiego i wchodząc tedy owedy w kraj swój, otrząśli się tureckiej nędzy, zmocnili się nowemi partyami rodaków i zaczęli po Podgórzu i Krakowskiem nowe gonitwy z Rossyanami, losem atoli zawsze niemal dla siebie nieszczęśliwym; bo po każdej potyczce ustępować placu Rossyanom byli przymuszeni, choć nieraz więcej Rosyan niż swoich zgubili. W takich gonitwach zaszli aż w góry między góralów, którzy dali się namówić do broni przeciw Rossyanom, jakoż nie mało im zatrudnienia i szkody ci sprawni ludzie między górami przyniesli. Lecz gdy konfederacyi, najwięcej z jazdy składający się, długo w górach trzymać się nie mogąc, w kraj równiejszy wyciągnęli, i ową piechotę góralską za sobą wyprowadzili, Rossyanie zastąpiwszy im od gór, niemal wszystką ową piechotę kartaczami wygubili, reszta uszedłszy w góry, więcej serca do wojowania z Rossyanami niepokazała; jazda zaś konfederacka rozproszona, w różne strony kraju pouchodziła,

zbierając się coraz na nowo i rozpraszając po każdej przegranej. Takimi gonitwami upędzana z miejsca do miejsca, przyszła aż pod Bielsk, miasto górnego Szląska, należące do Sułkowskich, w którym mieście za pozwoleniem cesarskiem starsze głowy konfederackie, to jest marszałkowie, regimentarz generalny i konsyliarz założyli sobie siedlisko dla spoczynku, którego jako nieprzywykłe do niewczasów wojennych, po owęj przykrój i niebezpiecznej z Turek aż tu włóczędze wielce potrzebowały, korpusy wojskowe z wodzami swemi na pograniczu zostawiwszy. Lecz gdy rossyanie natarłszy na owe korpusy zebrane pod Bielskiem, znieśli je, a za niedobitkami aż w kraj szląski zapędzili się, widząc owi panowie naczelni, iż w tak bliskim miejscu granicy mogliby Rossyanie śmiałość swoją posunąć lada kiedy dalej, i wpadłszy do samego Bielska, zagarnąć wszystkich w niewolę, prosili powtóre cesarza, aby im samym tyko, bez wojska pozwolił jakiego głębszego w kraju swoim schronienia. Cesarz udając zawsze przyjaciela konfederacyi, wyznaczył im miasto Preszów w Węgrzech, uważając zapewne, iż takowém umieszczeniem i Węgrom, mającym wino do zbycia, i Polakom, wina węgierskiego miłośnikom, dogodzi.

O ataku Częstochowy.

Gdy Zaremba zatrudniał się ściganiem i ukaraniem Malczewskiego, tudzież komedya graną pod Poznaniem, Rossyanie tymczasem szturm za szturmem do Częstochowy przypuszczali, jako się da widzieć niżej.

Naradzano się w Warszawie, czy mają, czy nie mają kusić się o Częstochowę, kiedy słabszych twierdz Lanckorony, Bobrka i Tyńca konfederatom wydrzeć dotąd nie mogli. Drewicz pułkownik, między innymi oficerami rossyjskimi, przeciw konfederatom walczącymi, najbieglejszy w sztuce wojennej, oświadczył Wejmarowi, generalnemu komendantowi wojsk rossyjskich w Polsce będących, iż byle jemu dana była dyspozycja tego dzieła, tedy za trzy godziny najwięcej

dobędzie tego kurnika: mniemając takim imieniem urągającym Częstochowę, który ułożywszy u siebie za nieomylnie pomyślny, skoro wyszedł z Warszawy, posprowadzał z Berlina jubilerów i złotników do taksowania klejnotów i sreber Częstochowskich, jakby je już miał w ręku. Nim przystąpił pod fortecę, o kilka dni jeszcze będąc, tentował Puławskiego, aby dobrym sposobem poddał fortecę, której zapewne dłużej nad 24 godzin utrzymać nie potrafi. Jeżeli się dobrowolnie podda, obiecywał mu generalstwo w wojsku rosyjskiem i pierwsze u imperatorowej względy: jeżeli zaś szturmem dostanie się w ręce rosyjskie, ma się spodziewać najokropniejszej surowości, jako wiarołomca, niedotrzymujący słowa danego na piśmie, pod Barem złapany: iż więcej przeciw wojskom imperatorskim walczyć nie będzie. — Puławski odpisał Drewiczowi: Jeżeli się sam osobą swoją przeniesie do konfederacyi, generalność da mu marszałkowską godność, wyższą generalskiej. Takowe przeniesienie nie powinno go zastanawiać, jako już raz z służby pruskiej do rosyjskiej bez abszytu (co w samej rzeczy tak było) przeniesionego. Co się zaś tyczy rewersu danego pod Barem, wytknął podobnież jednego majora rosyjskiego Szuwałów, czyli na podobieństwo (zda mi się) takiego imienia zwanego; który złapany w potyczce od Puławskiego pod Jampolem na Podolu, dał takiż na siebie rewers, a z tem wszystkiem znajduje się teraz pod Częstochową, w pułku generała Szuwarowa. Zatem wiarołomstwo Puławskiego równem wiarołomstwem majora Szuwałów zostało pokwitowane. Przydał na ostatek, iż jeżeli jeszcze raz bądź z takim, bądź z innem jakimkolwiek pisaniem do niego przyśle, ten kto je przyniesie, natychmiast zostanie na branie powieszony. Zrozumiawszy Drewicz z takiego odpisu humor twardy Puławskiego, więcej go nie kusił. Udał się do Paulinów, których przez sekretne bilety namawiał, aby jakim sposobem Puławskiego zdradzili i do wzięcia fortecy Rossyanom dopomogli, obiecując im

niezmierne nagrody za taką przysługę: przeciwnie, jeżeli się do niej nie przyłożą, grożąc spaleniem dóbr ich, i po zdobyciu fortecy wszystkich w pień wycięciem. Znając Paulini tyrański umysł Drewicza, na wielu duchownych, zamordowanych z łada podejrzenia o sprzyjanie konfederatom pokazany, postanowili ułasić się mu. Odpisali: że ile z nich, będą się starali ułatwić Rossyanom zdobycie fortecy, ale że do tego małą mają sposobność, ponieważ Puławski wszystkich ich w jednym kurytarzu osadzonych trzyma pod mocną strażą. Jakoż Puławski, niedowierzając bojaźliwym zakonnikom, ściśle ich trzymał w klasztorze: co jeszcze bardziej obostrzył, gdy jeden z takich biletów, donoszący Drewiczowi o stanie fortecy mocnym i więcej nad istotność samą wyniesionym, w maźnicy w blaszanej puszcze u prowizora na wieś dla żywności klasztornej za pozwoleniem swoim wyjeżdżającego znalazł. Nie czynił jednak Puławski za to Paulinom więcej przykrości, tylko tyle, ile ostrożność wyciągała, uważając, iż to czynili z bojaźni Drewicza okrutnika. Drugi raz przejęto dziewczynę od Drewicza z biletem od Paulinów z podobną do zdrady namową pisany, niosąc dla pozorów koszule jakoby Frenkowej, żydówce z mężem i córką w fortecy w areszcie osadzonej od lat kilku, którą dziewczynę Puławski zaraz na bramie obwiesić kazał.

Gdy się te sztuki nie udały Drewiczowi, podstąpił pod fortecę. Puławski z swojej strony przygotował się na przyjęcie Rossyan jak najlepsze, najprzód kazawszy ludziom wynieść się z majątkami, spalił rzuconemi wieńcami ognistemi domy pod fortecą będące. To zrobiwszy kazał zatoczyć w bramę ośm sztuk armat, kartaczami nabitych, we dwa gradusy uszykowanych, otworzył bramę, wyszedł wprost niej za rogatki z dwoma set piechoty, kazał broń złożyć na ziemię, udając poddawającego się. Na tak powabny widok Drewicz oślepiiony chciwością, rozumiejąc, że Puławski przerażony ogromnością armii rosyjskiej, szczupłej swojej sile nie

ufając, upadł na sercu i w samej rzeczy poddaje się, począł wołać na swoich: „stupajcie rabiata, stupajcie, poddajet się Puławski!“ (tak go zwali Rossyanie). Zaczem piechota rossyjska, w liniach maszerująca, skoczyła hurmem do fortecy, a gdy się zbliżała na strzelanie z flinty, Puławski swojej piechocie kazał nagle porwać broń i wydać do Rossyan ognia: toż usunawszy się na bok bramy, odsłonił armaty w niej zasadzone, z których sypiąc ogień i z ręcznej broni, położył trupem do dwóchset, nim uchodząc nazad na raczku tak daleko się odsunęli, że ich kartacze sięgać nie mogły. Dopiero pokłoniwszy się z daleka Drewiczowi, wszedł do fortecy. Drewicz zawstydzony takim pierwszym przywitaniem, a oraz porywczą lekkomyślnością swoją, cofnął się pod starą Częstochowę, grożąc jak najprędzej pomścić się na Puławskim. Kazał narobić drabin, spędził kilkaset chłopstwa z siekierami do niesienia tychże i różnych innych posług wojennych. Przez dwie niedziele co noc szturm za szturmem przypuszczał coraz z innéj strony, zawsze ze stratą odpędzony. W dzień zaś kawalerya rossyjska wychodziła naprzeciw kawalerii konfederackiej, czyniąc między sobą rozmaite harcowania z małą obu stron stratą. Bo jeżeli Rossyanie upędzili kawaleryą konfederacką, ta uchodziła pod wały fortecy, z której armatą od dalszego zapędu nieprzyjaciela wstrzymywano. Toż samo czyniono z obozu rossyjskiego, jeżeli jazda konfederacka jazdę rossyjską pędziła. — Wyrzucili Rossyanie do fortecy 500 bomb, z których dwie tylko wpadły do fortecy: jedna w refektarz, skórą mokrą wołową natychmiast zgaszona, druga w kopule wieży, z małą tejże szkodą; inne wszystkie albo nie dosięgały fortecy, albo ją przenosiły. — Armata częstochowska tak była donośna, że sięgała pod starą Częstochowę, połowę niemal mili od téj fortecy odległą, co się dało widzieć jednego razu, gdy oficerów rossyjskich jedenastu dla przypatrzenia się dziennym harcom usiadło na stosie drzewa na kupie leżącego, na najwyższym kłocu, przy nich ekonom z Kruszyny, ma-

jętności jednéj pani wielkiej (nazwiska jęj nie pomnę), przełożony nad chłopami do obozu spędzonymi, opowiadać tego przypadku. Puszczarz częstochowski dał do nich ognia trochę za nisko, że kula uderzyła w sam rdzeń kloca, z którym lecąc na ziemię, pokaleczyli sobie ręce, nogi i głowy. Gdyby był wziął na cel cokolwiek wyżej, byłby wszystkim postumenta poucinał.

Jednéj nocy, gdy się Rossyanie uciszyli gotując się do generalnego szturmu, Puławski zrobił na nich wycieczkę w 200 ludzi pieszych; napadł na śpiących, rąbał, kłuł bagnietami, biegając między nimi i wołając: „Mospanie Zaremba, tu, tu!“ Ubił ich do 200, nim przyszli do sprawy, którzy w samęj rzeczy rozumiejąc, że Zaremba na nich napadł, miasto obracania się ku fortecy, skąd była wycieczka, obracali się w tył swego obozu, z kąd napaść mniemanego Zaremby być rozumieli. Gdy się zaś postrzegli i do sprawy przychodzić poczęli, Puławski rejterował się pod nocy zasłoną do fortecy, straciwszy swoich tylko 15. Sam jednak ledwo nie zginął, albo nie wpadł w ręce Rossyanom. Bo gdy się spóźnił za swoimi, a Rossyanie już go doganiali, upadł czempredziej na ziemię i przykrył się płaszczem, trafunkiem napadniętym. Rossyanie więc rozumieli, że leży trup zabity, minęli go nacierając za konfederatami uchodzącymi; aż gdy z fortecy armatą wstrzymani, do swego się stanowiska wrócili, Puławski podniósł się, i szczęśliwie uszedł do fortecy.

Nakoniec Rossyanie co bądź to bądź przypuścili szturm walny do koła. W jednéj ścianie już byli wysoko na drabinach, od którego kirysyerów rossyjskich imperatorskiego pułku legło 150 i jeden rotmistrz, rodem Kurlandczyk, który jęcząc w fosie do białego dnia wzięty do fortecy, w niej wkrótce skonał. — Wszystkich zaś Rossyan i chłopów polskich do dźwigania drabin i w tym szturmie legło przeszło 2000. — Po najnieszcześniejszym tym szturmie jeszcze bombardowali fortecę trzy dni, ale żadnego szturmu nie przypuścili: nareszcie nie nie wskórawszy i bynajmniej fortecy nie nadwyreżywszy odciągnęli.

O ubieżeniu zamku krakowskiego.

Miasto Kraków i zamek krakowski znajdowały się w ręku rossyjskich w jak największem bezpieczeństwie, ponieważ konfederaci o wyparcie ich z tego siedliska nigdy się nie kusili. Jednakże szczęście zrobiło sobie raz igraszkę: że bez szturmów na kilka niedziel zamku krakowskiego konfederatom powierzyło. — W tym zamku znajdował się niewolnikiem Besiekiński, konfederat łęczycki, po wygojeniu się z ran przez nadskakiwanie oficerom rossyjskim, wolnym chodzeniem po zamku bez pilnowacza żołnierza udarowany. A jako ptak, choć się ma najlepiej w klatce, jednak myśli ustawicznie, jakby z niej wylecieć, tak też i Besiekiński spaceru nie używał z indifferencją, tylko szukając dziury, którąby mógł wycisnąć się na świat. — Jednego dnia zaszedłszy w kąt pod mur ku Wiśle prowadzący, natrafił na loch zarosły z wierzchu krzewiną. Spuściwszy się wewnątrz, wyszedł nim na zamek nad Wisłą ku Tyńcowi i naznaczywszy ową jamę, którą wyszedł na wolność, co prędzej pospieszył do Tyńca: opowiedziawszy, jakim sposobem uszedł z niewoli, i że tym sposobem mógłby być zamek ubieżony, dodał ochoty do wykonania tak pomyselnego zdarzenia, ile gdy opowiedział, że w zamku mało co jest Rossyan i komendant z oficerami bawi się w miasteczko. Wybrali tedy konfederaci z pomiędzy siebie czterdziestu, szablą tylko i karabinem uzbrojonego. A dla poznania się w ciemności nocnej koszule na wierzch sukien powdziejawszy, ruszyli w marszu jak najcichszym pod komendą pułkownika francuzkiego Szoazel, zwanego za przewodnictwem owegoż Besiekińskiego. Weszli owym lochem w zamek, rzucili się na odwach, z którego ubiwszy kilku w pierwszym impecie, resztę poddającą się bez oporu jako snem rozmarzoną i niespodzianym atakiem prawie z zmysłów ogołoconą zagarnawszy w niewolę, do jednej piwnicy wszystkich wtarasowali. Toż samo uczynili i z tymi, którzy usłyszawszy rozruch, z kwater na sukurs do odwachu się zbiegali: a tak w momencie prawie bez najmniejszej

swojej straty zostali panami zamku. Komendant rosyjski, będący w mieście, przerażony tym niespodziewanym przypadkiem, chciał garnizonem małym, będącym w mieście, rzucić się do odbicia zamku. Lecz Szoazel, aby go od tego zamysłu odstraszył, kazał konfederatom biegać ile sił po zamku, i ze wszystkich okien bez przestanku sypać ogień na snujących się po mieście Rossyan, co ich strwożonych umiennianiem wielkiej siły, do nadejścia sukursu zatrzymało, a orzadło sposobność konfederatom opatrzenia przyzwoicie zamku w ludzi i amunicyą: do którego najprzód Walewski marszałek wstępnyin marszem w dzień odstrzeliwając się, dwieście ludzi, a potem w kilka dni ówżę Szoazel, idąc na przebój zastępującym sobie Rossyanom i gwardyi konnej koronnej, Mirowskim zwanéj, z Warszawy na sukurs Rossyanom nadeszły, ale murem stawić się na drodze konfederatom obcesowo z ogniem i ręcznej broni i armaty idącym nieśmiejacéj, tylko z daleka zaskakującéj tak jak i Rossyanie, wprowadził szczęśliwie do zamku czterysta konfederatów.

Opatrzywszy tedy należycie ludźmi i amunicyą zamek, bronili się w nim mężnie konfederaci przez sześć tygodni. Lecz na początku szóstego tygodnia poczęło konfederatom zbywać na żywności, której z nikad dostać nie mogli, będąc znaczną siłą nieprzyjaciela z różnych miejsc pociągnionego pod Szuwarowem i Branickim zewsząd opasani. Jeden Tyniec, jako bliski tylko milą drogi od Krakowa, mógłby ich być potrzebami przez odważne nocne wycieczki suplementować. Lecz Walewski marszałek po odprowadzeniu do zamku pierwszego wydziału konfederatów powróciwszy do Tyńca, stał się zupełnie nieczynnym. Zachwyił zapewne od Branickiego przekonywającéj wiadomości: że konfederacya niema żadnego fundamentu i że wkrótce koniec weźmie. — A tak niemając z nikad wsparcia, pozjadawszy wszystkie konie, a Francuzi jako delikatniejsi, wszystkie koty, które złapać mogli, na ostatku poddać się musieli.

O końcu Puławskiego i reszty konfederacyi.

Puławski dowiedziawszy się, że Zaremba przeszedł na stronę rosyjską, mając go dawno za podejrzanego, wtenczas zupełnie osądził go za zdrajcę. Wziąwszy tedy 600 ludzi, szedł spieszo do dóbr jego pod Piotrkowem leżących, z intencją zrabowania ich i spalenia. Pod Radomskiem, mil 8 od Częstochowy będącego doszedł goniec wyprawiony od Radziwińskiego, komendanta pod ten czas w Częstochowie, donoszący mu, że Austriacy wypędzili generalność z Preszowa, że pod pozorem zasłonięcia konfederatów od Rosyan opanowali Tyniec, Lanckronę i Bobrek, wyrugowawszy ztamtąd konfederatów poobdzieranych z broni, koni i wszystkich bagażów, niewiedzących, co się stało w Preszowie, i dla tego Austryakom za przyjaciół mianym wnijsia do pomienionych fortec niebroniących: że takimże chydnym sposobem obesзли się z generalnością: że Radziwiński przestrzega go, jako o porwanie króla obwinionego, azatém w największym niebezpieczeństwie od wszystkich konfederatów zostającego, aby się jak najprędzej wrócił i radził o sobie zaniechawszy Zarembę, który, że się wywikłał z honorem z nieszczęśliwój konfederacyi, wart, (gdy można) naśladowania, nie zemsty. Przerażony Puławski tak okropném doniesieniem, wrócił się czempredzej do Częstochowy, gdzie rozmówiwszy się krótko z Radziwińskim, uszedł w pięć koni za granicę pod ukrytą osobą. Przebrał się do Ameryki, gdzie pod ten czas Amerykanie prowadzili wojnę z Anglikami, wybijając się z pod ich jarzma.

Sejm następujący w Warszawie ponowił dekret na Puławskiego: osądzony za królobójcę, za zdrajcę ojczyzny, i głowa jego na śmierć od kogokolwiek wskazana. — Puławski w amerykańskiém wojsku tak się wstawił walecznością swoją, że został generałem. Lecz wkrótce przyszła wiadomość, że w jednym ataku okryty wielą ranami umarł. Później zaś: że po skończonej wojnie w pojedynku od jednego Anglika zginął. Bądź

w ataku, bądź w pojedynku zginął: to pewna że nieżyje, i żadnej o nim więcej wiadomości niebyło i nie masz.

Chcieli Austriacy tym sposobem opanować Częstochowę, którym opanowali Lanckoronę, Tyniec i Bobrek, lecz ta sztuka już była wiadoma Radziwińskiemu, dla tego ich dobrowolnie nie przyjął. Oni też atakować nie śmieli, aby ze wstydem nieodeszli, a do tego że Częstochowa w ich podział, który wkrótce po konfederacyi nastąpił, Polski, niewpadała. Niechcieli tedy nakładem swojego życia komuś innemu służyć, Radziwiński dośiadywał w Częstochowie, póki nie nadszedł książę Galiczyn, generał rosyjski, z niewielką dywizją. Jemu tedy Radziwiński, niemając dalszego opierania się fundamentu, oddał fortecę przez kapitulacyą, która zawierała w sobie: 1. że konfederaci wyjdą z fortecy bez broni, tylko z rzeczami swojemi, a oficerowie tylko z szablą przy boku: ale zaraz wyszedłszy za obóz rosyjski powinni się rozejść z kupy, żadnych odtąd dywizyów nieformować, i dać na siebie starszyzna rewersa, jako odtąd żadnego rozruchu w kraju czynić niebędą: jako zupełnie związku barskiego odstepują i generalności preszowskiej jako zniszczonej: jako ją za bunt poczytują: jako Stanisława Poniatowskiego za prawdziwego swego króla uznają. 2. Że ludzi z regimentu gwardyi konnej koronnej, zabranych pod Krakowem, a znajdujących się w fortecy, z końmi, bronią i wszelkim munderunkiem, nieukrywając żadnego między sobą żołnierza, w téjże fortecy wiernie zostawia. 3. Że oficerowie tylko ci przy rangach swoich i przy dalszej służbie zostaną, którzy przed zabraniem od konfederatów w tymże regimencie służyli; którzy zaś od generalności konfederackiej kreowani zostali, żadnego znaczenia mieć niebędą i razem z innymi konfederatami z fortecy oddalić się powinni. —

Po takiej kapitulacyi Radziwiński otworzył bramę i wyszedł z wszystkimi konfederatami. — Lecz inne komendy rosyjskie, niezważając na paszporty Gali-

czyna, gdzie tylko napadli konfederatów powracających z Częstochowy, wszędzie obdzierali.

Galiczyn, pobożny Rosyanin, odebrawszy fortecę, żadnej krzywdy Paulinom tamtejszym nieuczynił, owszém ludzko się z nimi obchodził. Zakupił mszę świętą przed obrazem cudami słynącym i téj klęcząc słuchał. Oglądał skarbiec nietykany zostawiwszy.

Armaty wszystkie spiżowe przeprowadzili Rosyanie do Warszawy, a zabawiwszy kilka niedziel w fortecy, oddali ją regimentowi polskiemu generała Wybranowskiego.

Mazowiecki regimentarz ziemi Dobrzyńskiej, i Wielichowski rotmistrz i Bońkowski porucznik konfederacyi wielkopolskiej, niemogąc sobie wyperswadować, że to już przyszedł koniec konfederacyi, mając nabitą głowę posiłkami zagranicznymi, włączyli się jeszcze ze cztery niedziele po województwie lubelskiem i sandomirskiem. Napadli raz w Kozienicach na huzarów, niedawno Zarembovskich, wtenczas już królewskich, ubili kilku i zabrali im dziewięć koni. Lecz niedługo po téj akcji rozpędzeni od Rosyan z stratą kilkunastu swoich, więcej się niezbierali. Mazowiecki wszedł za granicę, jako masz wyżej. Wielichowski zaś i Bońkowski, mniej znaczni w kraju, ukrywali się w nim aż do sejmu, który dla wszystkich konfederatów ogłosił generalną amnestya, pod zasłoną której zaciągnęli się na towarzyszków do kawaleryi nadwornej.

PAMIĘTNIKI

JANA CHRYZOSTOMA PASKA.

Poznań 1846.

Rok 1657.

Roku pańskiego 1657, mieliśmy wojnę węgierską, na którą były zaciągi nowe, między którymi zaciągał téż Filip Piekarski, krewny mój, z której przyczyny i ja tam po-

jechałem. Złodziój Węgrzyn, szalony Rakocy, świerzbiała go skóra, tęskno go było z pokojem, zachciało mu się polskiego czosnku, który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego niżli węgierski smaku.

Jako Xerxes podniósł przeciwko Grecyi wojnę, tak i pan Rakocy podobną szczęśliwością we czterdzieści tysięcy Węgrów z Multanami, Kozaków zaciągawszy drugie tyle, wybrał się na czosnek do Polski: Aleć dano mu nie tylko czosnku, ale i dzięglu z kminem. Bo jak on tylko wyszedł za granicę, zaraz Lubomirski Jerzy poszedł w jego ziemię; palił, ścinał, gdzie tylko zasiągnął, wodę a ziemię zostawując. Potém od matki Rakocego wielki okup wzięwszy, wyszedł synowi perswadować, żeby wszystkiego czosnku niejadał, i przynajmniej na rozmnożenie zostawił! A my téż już z Czarnieckim posługiwali jakeśmy umieli; i tak szczęśliwie najadł się czosnku, że wszystko wojsko zgubił, sam się w nasze ręce dostał; potém uczyniwszy targ o swoją skórę, pozwolił miliony, i uprosiwszy sobie zdrowie, jako Żyd do granicy w bardzo małym poczie udał się, kilku tylko wielmożnych hrabiów zostawując w zastaw umówionego okupu, którzy z razu wino pili, na srebrze jadali w Łancucie; jak zaś nie było widać okupu, pijali wodę, drwa do kuchni rąbali i nosili, i w téj nędzy żywot kończyli. Okup przepadł, on téż sam (Rakocy) nigdzie nie mając oka wesołego, bo gdzie się obrócił, wszędzie płacz i przekleństwo słyszał od synów, mężów, braci, których na wojnie polskiej pogubił, wpadł w desperacyę i umarł. Otóż masz czosnek! Kiedy na tę wojnę wyjeżdżał Rakocy, pożegnawszy się z matką, wsiadł na konia; w oczach jej padł koń pod nim. Kiedy mu matka perswadowała, żeby zaniechał téj wojny, mówiąc, że to znak jest nie dobry, odpowiedział: że to nogi końskie złe, ale nie znak. Przesiadł się tedy na innego; aż tu złamał się pod nim most i znowu spadł z konia; na to powiedział, że dyl był zły. Jak to przecie przepowiedzenia te zwyczajnie rade się sprawdzają!

Rok 1658.

Roku pańskiego 1658 król z jedném wojskiem pod Toruniem, drugie wojsko w Ukrainie, jednia zaś dywizya z panem Czarnieckim. Pod Drahimem staliśmy przez miesiąc trzy. Na końcu Sierpnia poszliśmy do *Danii*, na pomoc królowi duńskiemu, który uczynił dywersyę wojny szwedzkiej u nas w Polsce; nie tak ci to on podobno uczynił z politowania nad nami, lubo ten naród jest od dawna przychylny narodowi polskiemu, jako dawne świadczą pisma, ale przecie mając wrodzoną przeciwko Szwedom nie-

nawiść i owe zawzięte w sąsiedztwie nieprzyjaźnie, chwycił się sposobności, za którą mógł się krzywd swoich wtenczas, kiedy król szwedzki był zabawny wojną w Polsce, pomścić. Wpadł mu z wojskiem w państwo, bił, ścinał i zabijał. Gustaw, wojennik wielki i szczęśliwy, powróciwszy z Polski i niektóre fortece w Prusiech osadziwszy, potężnie przycisnął Duńczyków, tak, że i swoje od nich odebrał i państwo ich prawie wszystko opanował. Duńczyk tedy koloryzując rzecz swoją, że to właśnie z miłości ku narodowi naszemu uczynił, że pakta złamał i wojnę przeciwko Szwedom podniósł, prosi o sukurs Polaków: prosił też i cesarza. Cesarz wymówił się paktami, które miał z Szwedem, i że z téj przyczyny posłać posiłków nie może. Druga wymówka była, że wojska natenczas nie miał, pozwoliwszy królowi polskiemu zaciągnąć wszystko na jego usługę. Król tedy nasz posyła Czarnieckiego z sześciu tysięcy wojska naszego. Posyła też, wprawdzie z swego ramienia, generała Montekukulego z wojskiem cesarskiem. Tam kazano nam iść kommonikiem (t. j. jezdno, — bez wozów z prowiantem); Wilhelm zaś, elektor brandenburski, był w osobie króla polskiego, i onto był nad temi wojskami niejako naczelnikiem. Zastawiliśmy tedy tabory nasze w Czaplunku, mając nadzieję powrócić do nich najwiecej za pół roku.

Tam kiedyśmy wychodzili, było bardzo wiele i różnych namysłów w ludziach wojskowych. Trwożyło to nie jednego, że to iść za morze, iść tam, gdzie noga polska nigdy nie powstała, iść z sześciu tysięcy wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi, do jego własnego państwa, któregośmy potęgi w ojczyźnie naszej wszystkimi siłami nie mogli wytrzymywać! A jeszcze też nie było udecydowaniem, żeby wojsko cesarskie miało z nami pójść. Ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać; bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mię miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imię boskie wzywając na pomoc, tém się najmniej nietrwożył, ale szedł śmieie tam, gdzie jest wola wodza, pod błogosławieństwem ojcowskiem i macierzyńskiem, obiecując gorąco majestatu boskiego błagać i upewniając mię, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli bożej. Gdyśmy tedy poszli do Międzyrzecza, już na granicy uchodziło siła kompanij i czeladź nazad do Polski, osobliwie Wielkopolaczków, z pod tych nowo-zaciągniętych powiatowych chorągwi, jakoto: starosty osieckiego, półku wojewody podlaskiego, Opalińskiego. Chorągiew Kozubskiego wszystka się rozjechała, sam tylko

z chorążym i z jednym towarzyszem z nami poszedł. Wojewody sandomierskiego Zamojskiego, chorągwi huzarskiej została wszystka kompania, prawdziwiej, pouciekała, tylko przy chorągwi sześciu towarzyszy i namiestnik zostawszy; poszli przecie z nami i włączyli się tak przy wojsku; zwaliśmy ich cyganami: że to w czerwonych szatach była czeladź. Z pod inszych chorągwi zostało po dwóch, po trzech. Tak oni tchórzowie i dobrym pacholkom serce byli zepsuli, że nie jeden wodził się z myślami. Wchodząc tedy za granicę, każdy według swojej intencji swoje Bogu złożył śluby; zaśpiewało wojsko polskim trybem: *O gloriosa Domina*; konie zaś po wszystkich półkach uczyniły okrutne parskanie, prawie aż serca przyrastało, i wszyscy to osądzili za znak dobry, jakóż i tak się stało. Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzecza; przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było jeszcze granicę polską i miasta. Jaki taki obejrzawszy się, pomyślił sobie: „miła ojczyzno! czy cię też już więcej oglądać nie będę!“ Jakas tęskność ogarniała z razu, póki blisko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jakby ręką odjął; a dalej poszedłszy, już się i o Polsce zapomniało. Przyjęli nas tedy Prusacy dosyć uprzejmie, wysławszy komisarzów swoich jeszcze za Odrę. Pierwszy tedy prowiant dano nam pod Kiestrynem, i tak dawano wszędy, pókiśmy elektorskiego państwa nie przeszli, i przyznać to musimy, że dobrym porządkiem: bo już było takie urządzenie, żeby noclegi były rozpisane przez całe jego państwo, i już na noclegi zwożono prowianty. Postanowiona też była w wojsku naszym maniera niemiecka, że przechodząc miasta, oficerowie z szablami dobytymi przed chorągwiami jechali, towarzystwo zaś pistolety, czeladź bandolety do góry trzymając. Karanie zaś było za przekroczenia już nie ścinać, ani rozstrzelać, ale za nogi u konia uwiązawszy, włączyć po majdanie, (t. j. po placu) tak we wszystkiem, jako na uczynku złapano według dekretu, albo też dwa lub trzy razy na koło; zdało się to zrazu, że to nie wielkie rzeczy, ale okrutna to jest męka, bo nie tylko suknia ale i ciało tak opada, że same tylko zostają kości.

Ruszyło się potem wojsko do Nibolu, ztamtąd do Apenrade, ztąd znowu poszliśmy na zimowisko do *Hadersleben*, gdzie wojewoda sam stanął z jednym tylko półkiem naszym królewskim i półkiem jego dragonii; inne zaś półki w Kolbryku, w Horsenz i po inszych wsiach i miasteczkach; a lubo głębiej miało iść wojsko w duńskie królestwo, uważał to jednak dowódzca, żeby stanąć na zimę jako najbliżej z téj przyczyny, aby przecie więcej jeść

chleba szweckiego niż duńskiego. Jakoż tak było, bo przez całą zimę czaty nasze do tamtych wiosek wybiegały, mszcząc się na nich krzywd naszego narodu. Opisaćby siła było, co tam z nimi robili czatownicy nasi, stawiając sobie przed oczy świeże od nich krzywdy w ojczyźnie swojej. Prowadzono z czat wszelakich prowiantów a szczególnie miodu wielką wieziono obfitość: bo po polach lada gdzie przestronne pasieki, a wszędzie pszczoły w słomianych pudełkach, nie w ulach; ryb wszelkiego rodzaju podostatkiem, chleba siła, wino złe, ale zaś miody dobre; drew o małe, bo ziemię rzniętą a suszoną palą, z której węgle są takie jak z drew dębowych, i nie mogą być foremniejsze; jeleni, zajęcy, sarn nad miarę i nie bardzo płochy, bo się nie każdemu godzi je szczuwać; wilków też tam nie masz i dla tego zwierzę nie płochy, da się zjechać i blisko do siebie strzelić, a osobliwie takeśmy je łowili: upatrzwszy stado jeleni w polu, (bo i pod wieś przychodziło to licho jak bydło), to się one objechało z téj strony od równego pola, a potem skoczywszy na koniach i krzyk uczyniwszy, nagnało się je na te doły, gdzie ziemię kopią do palenia, a któreto doły są bardzo głębokie i szerokie, w które tego dużo nawpadało; ztamtąd dopiero trzeba je było wywłóczyć i rznąć. O wilkach namieniłem, że ich tam nie masz; prawo bowiem takie, że kiedy wilka obaczą, powinni wszyscy na głowę wychodzić z domów, tak po miastach jako też i po wsiach, i tak długo owego wilka prześladować gonią, aż go albo umorzą, albo utopia, albo złapią, a nie obdzierając go, tak ze wszystkiem na wysoki szubienicy, albo na drzewie, obwieszają na grubym żelaznym łańcuchu, i tak długo wisi, póki kości staje. Nietylko rozmnożyć, ale i prezentować się wilkowi nie dadzą. Kiedy mu się zdarzy wnieść na jeleninę, to z tego tu tylko przystępu, który jest między morzami wązki; z inszej zaś strony nie ma nigdzie przystępu: bo z jednej strony morze bałtyckie, z drugiej strony od północy Ocean oblewa to królestwo; chyba, żeby sobie w Gdańsku u pana prezydenta najął okręt do przewozu, zapłaciwszy od niego dobrze! Z téj przyczyny zwierza wszelkiego wielka tam jest obfitość; kuropatw zaś nie masz z téj przyczyny, że to jest zwierzę głupie: przelekawszy się lada czego, to wpadną w morze i utoną.

Lud też tam nadobny; białogłowy gładkie i zbyt białe; stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie; gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słyhać kiedy człowiek do człowieka mówi; wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki. Sposób życia ich ucieszny bardzo: bo rzadko

co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy w kupie uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy młóca, (bo tam białogłowa młóci cepami jako i chłop), ledwo nie za każdym snopa omłóceniem to posiedzą na słomie, i wzięwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często czynią, a po kasku. Wołu, wieprza, albo barana kiedy zabijają, to najmniejszej kropli krwi nie zepsują, ale ją wytoczą w naczynie, namieszawszy w to krup jęczmiennych albo tatarczanych, tém kiszki owego bydłęcia nadziewają i razem w kotle uwarzą, i osnują wieniec na wielkiej misce koło głowy owegoż bydłęcia te kiszki, i tak to na stole stawia przy każdym obiedzie, i jedzą za wielki specyał; nawet i w domach ślacheckich tak czynią; i mnie częstowano tém do uprzykrzenia, ażem powiedział, że się Polakom tego jeść nie godzi, boby nam psy przyjaciółmi były, gdyż to ich potrawa. Pieców w domach nie mają, chyba wielcy panowie, bo od nich wielki podatek na króla idzie; powiadali, że sto bitych talarów od jednego na rok. Ale kominy mają szerokie, przy których krzesielek stoi tak wiele, ile w domu osób; posiadłszy to się tak ogrzewają; albo téż, dla lepszego izby ogrzania, jest w środku izby rowek jako korytko, który węglami napełniwszy, rozedmą z jednego końca i tak się to żarzy i ciepło sprawuje. Kościoły tam bardzo piękne, w których przedtém bywały katolickie nabożeństwa; piękniejsze téż, niżeli u naszych polskich Kalwinistów, bo są ołtarze, obrazy po kościołach. Bywaliśmy téż na kazaniach, gdyż umyślnie dla nas gotowali się po łacinie i zapraszali na swoje *praedikta*, (bo tam tak zowią kazanie), i tak kazali ostróżnie, żeby najmniejszego słowa nie wymówić przeciw wierze; rzekłby kto, że to rzymski ksiądz każe; i tém szczycili się mówiąc: my w to wierzymy co i wy, daremnie nas nazywacie odszczepieńcami. Ale po staremu ksiądz Piekarski łajał o to, żeśmy tam bywali.

Wspomniony elektor Wilhelm bardzo się nam grzecznie stawiał, we wszystkich okazjach akkomodował się, częstował, popolsku chodził. Kiedy wojsko przechodziło, więc zwyczajnie ten tego, ten téż tego powita, to on wyszedł przed namiot, lub téż przed stancją jeżeli w mieście stał, i trzymał tak długo czapkę, póki wszystkie nieprzechodziły chorągwie. Pono téż to on spodziewał się, że go powołają na państwo po śmierci Kazimierza. Jakoż ledwieby było do tego nieprzyszło, gdyby był nie podrwił poseł podczas elekcyi, któremu gdy rzekł pewien senator: „niech książę jmc porzuci Lutra, a będzie u nas

królem“, odpowiedział na te słowa, deklarując: „żeby tego nie uczynił i dla cesarstwa!“ a co mu książę miał bardzo za złe i złażał go, że tak grubiańsko odpowiedział, nie pytawszy go się o to. Tam będąc w Danii znosił się z nim wojewoda często, gdyż on był w osobie króla polskiego i miał dowództwo tak nad naszym jako i nad cesarskim wojskiem, którego było 14,000 z generałem Montekukulim, a z nim było Prusaków 12,000, ale lepszego ludu niżeli cesarscy.

Aż tam już radzą jak się pod *Koldyng* zamek podszańcować, jak mury rąbać; a czém rąbać, nie wspomnieli. A siekiery kędy? Dopiero strażnik kazał zaraz Wołoszy z pod chorągwi, żeby się rozjechali po wsiach o mil dwie albo trzy, dla nabycia siekier. Jeszcze nie świtało, a już 500 siekier na kupie leżało. Skoro tedy zegary poczęły bić i z północkska kazano trąbić pobudkę, wstał sam strażnik, mało co śpiąc, i owe siekiery kazał podzielić między chorągwie i piechotę; w godzinę po pobudce kazał otrąbić, żeby byli gotowi do szturmowania za godzinę i żeby snopy każdy niósł przed sobą na piersiach, dla postrzału od ręcznej strzelby; ażeby wszyscy raz skoczywszy pod mury i jako najlepiej przycisnąwszy się do nich, żeby z góry nierażono, drugim odstrzeliwali. Gdy tedy świtać poczęło, podemknęło się wojsko bliżej pod miasto. Ja też dopiero do księdza; rzecz mi potem: pan porucznik Charlewski prosi cię z ochoty do przywodzenia czeladzi! „Niechże tam już oni idą, a waść zostań“, odpowiem. „Już to wszyscy słyszeli, żeś mię waćpan prosił; rozumiałby kto o mnie, że ja się lękam; pójdę“. Jakiśmy z komi zsiadli, aż też zsiada Kossowski Paweł i Łącki. Było nas tedy przy czeladzi z pod naszej chorągwi pięciu; ale komenda po staremu przy mnie była: bo mi już była dana dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namysłili się na ochotę. Oddawszy się tedy Boskiej i Jego Najświętszej Matki protekeyi, każdy swoje z osobna Jego S. Majestatowi poślubiwszy wota, z kompanią się też już tak właśnie jako na śmierć pożegnawszy, stanęliśmy już osobno od konnych. Ksiądz Piekarski, Jezuita, uczynił do nas exortę w ten sens: „Lubo wdzięczna jest Bogu ofiara każda, z serca szczerego dana, to ta osobliwie najmilsza ze wszystkich, kto krew swoją za dostojęństwo Jego świętego Majestatu na plac niesie. Za cóż pobłogosławił Abrahamowi, że wszystek świat plemię jego odziedziczyło? tylko za to, że na jedno Boskie rozkazanie z ochotą krew ukochanego poświęcił Izaaka. Woła na nas krzywda Boska, od tego narodu poniesiona; wołają świątnice pańskie, od nich po całej Polsce zprofanowane; woła krew braci naszych i ojczyzna ręką ich spustoszona; woła na ostatek.

Najświętsza Panna, Matka Boska, która jest imienia przeczystego, że ten naród jest bluźniercą! żebyśiny za te pretensye ujeli się szczerze, żeby w osobach naszych widział jeszcze świat nieumarłą przodków naszych sławę i fantazyą. Niesiecie tu, odważni kawalerowie, z Izaakiem krew swoją na ofiarę Bogu; upewniam was imieniem Boskiem, że kogo Bóg, jako Izaaka, samą jego kontentując się intencją, zdrowo i z sławą dobrą z téj wyprowadzi okazji, i nadal wszelkiem swoim nagradzać mu będzie błogosławieństwem; kogoby zaś cokolwiek potkało, za najświętszy majestat Boga i Matkę jego wylana kropla krwi, by najcięższe, wszystkie obmyje grzechy i wieczną bez wątpienia w niebie zgotuje koronę. Oddajcież się Temu, który dziś ubogo w jasełeczkach położony, krew swoją ochotnie dla zbawienia waszego ofiaruje Bogu Ojcu. Ofiarujcież te swoje terazniejsze czyny w nagrodę jutrzejszego nabożeństwa, które zwyczajnie o tym czasie odprawiamy, witając nowego Gościa Boga, w ciele ludzkim na świat zesłanego. A ja w tym mam nadzieję, którego przenajświętsze wspominam imię Jezus, i w przyczynie przenajświętszej Jego Matki, do której wołam: „broń czei syna Twego!“ Przyczyną swoją Matko u Syna spraw to, żeby tę imprezę raczył pobłogosławić, żeby tę zasną kawalerią szczęśliwie z tego upału wyprowadził, i na dalszy zaszczyt swego Boskiego Majestatu zachować raczył. Tych tedy w przedsięwziętą drogę dając wam wodzów, zastępców i opiekunów; w tych gruntowną pokładam nadzieję, że was wszystkich powracających w dobrém witac będę zdrowiu“. — Mówił potem z nami akt skruchy i wszystkie modlitwy, to jest te, co się odprawiają z owymi, którzy już pod miecz idą. Przystąpiwszy do niego bliżej, rzekłem: ja też proszę mój dobrodzieju o błogosławieństwo“. Ścisnął mnie z konia za głowę i błogosławił, a zdjawszy z siebie relikwie, włożył na mnie, mówiąc: „idźże więc śmiało, nie bój się“. Ksiądz Dąbrowski, także Jezuita, jeździł do innych półków; ten prawie więcej płacze niżeli mówi; bo taki miał zwyczaj, choć był nie zły kaznodzieja, że jak co począł mówić, rozpłakał się i nie skończył kazania, a narobił śmiechu.

Tymczasem powraca trebach do Szwedów wysłany, częstując nas ich słowami: „Jeżeli chcecie, czyńcie z nami, co wam fantazyja kawalerska każe; my także, jakeśmy się was w Polsce nie bali, tém bardziej i tu się nie boimy“. Zaraz potem zaczęli strzelać; bo nas lekce wazyli, widząc, że działka i jednego nie mamy, piechoty tylko jeden półk, a Piaseczyńskiego cztery szwadrony i Semonowa ludzi trzysta, ale bardzo dobrych. Na konnych mówili oni, że to

ludzie do szturmów nie zwyczajni i pójda w rozsypkę jak raz ognia dadzą, co nam sami więźniowie powiadali.

Już każdy z pacholków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach tylko; niektórzy też z bronią palną; a w tém przyjeżdża wojewoda i mówi: „Niechże was Bóg ma w swojej opiece i imię jego święte. Ruszajcież, a jak przez fosę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić.“ Że zaś tedy duchowni kazali to ofiarować na pamiątkę jutrzni: bo to samém było świtaniem w dzień narodzenia pańskiego, zacząłem tedy z tymi, co w mojej komendzie byli: „Już pochwalmy króla tego.“ Wolski także Paweł, który potem był starostą lityńskim; towarzyszył natenczas królewskiej pancerniej chorągwi, co także swojej chorągwi czeladź przywodził, kazał też samo śpiewać. Tak Bóg dał, że z pod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u innych co nie śpiewali, powytykano dziesięcinę. Skorośmy tedy do fosy przyszli, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fosę; jaki taki obaczywszy pierwszych, także to czynił, i wyrównali owę fosę tak, że już daleko lepiej było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z półku królewskiego; bo złe było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał; kto jednak swój wyniósł, pomagał, i znajdował w nich kulę, co i do połowy nieprzewierciała. Wychodząc tedy z fosy, kazałem ja swoim wołać: „Jezus, Marya!“ lubo insi wołali: „hu, hu, hu!“ bom się spodziewał, że mi więcej pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan *hu*. Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecały kule, a tu jaki taki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moimi pacholkami, że przy srogim filarze, albo raczej narożniku, było jakieś okno, w którym srodze gruba żelazna krata; zaraz tedy przed ową kratą kazałem rąbać na odmianę: ci się zmordują, a ci wezmą. Było zaś na drugiem pięttrze nad nami także takie okno, z taką kratą; z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z innój strzelby nie mógł strzelać do nas i wysadzać się nijak, dla owéj kraty; chyba tam do dalszych mógł strzelać. Jam też kazał do góry nagotować 15 bandoletów, i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało, aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcej rąk pokazywać, ale tylko kamienie wypychali na nas przez owę kratę; ale już się tego przecie snadniej można było uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią tak rąbią mur, i naokolusienko nie wiedzieć, gdzieby

Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owęj kraty widać, radzimy, bo tu już grad kul na nas nie pada; rokosz, by coprędzej wnieść pod dach; ale że nie było czém owęj kraty wyważyć, musieli jeszcze dalej rąbać. Skoro mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi włożyć pojednemu. Wolski, jak to chłop cheiwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: „ja wleżę”. Tylko wlażł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi; tam go do siebie zapraszają; my go też tu nazad wydzieramy; ledwieśmy chłopca nie rozerwali; woła na nas: „dla Boga, już mię puście, bo mię rozerwiecie!” Krzyknę ja na swoich: „Dajcie w okno ognia”. Włożyli tedy kilka bandoletów w okno i dali ognia; zaraz Szwedzi puścili Wolskiego; dopieroż my po jednym owém oknem leżli; już nas tam było z półtorasta; tymczasem idzie kilka rot muszkieterów, co to znać ztamtąd uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu nasi dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wychodzimy tedy sobie szczęśliwie z sklepu i stawamy szeregiem w dziedzińcu, a tu naszych coraz więcej ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas Szwedzi na dziedzińcu, dopiero poczęli trąbić i chorągwią białą wywijać, co jest znakiem prośnienia o miłosierdzie, odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego świńskiego: powiadali bowiem dawniej, że o pardon prosić nie będą. Z kupy tedy rozchodzić się nie dałem, aż póki nie obaczę powszechnego zamięszania w wojsku nieprzyjacielskiem. Wolski także z swoimi w dziedzińcu. Nie masz nic. Wszysey ludzie porozsadzani, i każdy swojej pilnował kwatery. Aż tu widać, po schodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że schodzą na dół muszkieterowie. Mówię do swoich towarzyszków: „a otoż mamy gości.” Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby półksiężycem; bo nie tak razi szeregiem jak w kupie; i rozkazaliśmy po wydaniu pierwszego ognia, zaraz wziąć na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły biją, hałas, krzyk, grzmot; wychodzą tedy w dziedziniec i zaraz stawają do ordynku; my też do nich przystępujemy; już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać; bo ich już był Tetwin, oberszt-leitnant, z dragonią złamał. Skoczymy tedy na tych, co nam w czole dadzą ognia; z obu stron kilku padło, i tam też wzięliśmy ich na szable; wpadło ich kilku na schody, zkąd przyszli; drugich zaraz lewem skrzydłem przerznięto od schodów, i nuż ich sieć! Ci, co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz nam przychodzą; jak tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem; dopiero co żywe z naszego rycerstwa w rozsypkę,

w rabunek po pokojach; po tych tamto kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, i zdobycz wynoszą. Gdy się to dzieje, wchodzi też Tetwin z dragonią, rozumiejąc, że najpierwszym w zamku będzie, a tu trupa leży moc, a nas tylko z piętnastu stoi towarzystwo, bo się już od nas porozbiegali, i żegna się, mówiąc: „a tych ludzi kto narzwał, kiedy was tu tak mało?” „My,” odpowiedział Wolski; „ale i dla was będzie, ano wyglądają z wieży.” A w tém prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię: daj sam, zetnę go; on prosi: niech go pierwój rozbiorę, bo suknie na nim piękne pokrwawia się. Rozbiera go tedy; wtém przyszedł Adamowski, towarzysz krajczego koronnego Leszczyńskiego, i mówi: panie bracie, gruby ma kark na waszmości młoda rękę; zetnę ja go. Targujemy się tedy, kto go ma ścinać, a tymczasem wpadli nasi i do sklepu w którym były prochy w beczkach; pobrawszy insze rzeczy, biorą też i prochy w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z luntiem zapalonym i bierze też proch, aż jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmogący! kiedy to huknie impet, kiedy się mury poczną trząść, kiedy owe marmury, alabastry, latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na której wierzchu nie było dachu, tylko płasko; cyną wszystka pokryta, tak jak w izbie posadzka; rynny dla spływania wód mosiężnozłociste, a w koło tego statuy także na rogach także z mosiędzu, a grubo-złociste; miejscami też osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam nieuszkodzonych z bliska nie widział, ale po rozrzuconiu przypatrowaliśmy się. A jedną wyrzuciły prochy całą nienaruszoną na tę stronę ku wojsku, która właśnie taka była jak kobieta żywa, do której na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona komendanta, wyrzucona prochami; a tu leżała owa statua, jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznać tak trudno było, aż prawie pomacawszy dopiero twardość kamienną.

Na téj wieży, albo raczej sali, królowie uciechy swoje miewali, kolacye jadali, tańce i różne odprawiali zabawy, bo jest w śliczném bardzo położeniu; może z niej wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżę komendant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli, i ztamtąd o darowanie życia, lubo nie rychło, prosili; co mogliby byli otrzymać, ale te prochy, które właśnie pod tą wieżą zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętą, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko przed dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzeć;

dopiero zaś impet straciwszy, widać ich było lepiej, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpadali. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, aleć ich tam nie puszczone; Piotr święty przywarł zaraz fórtkę, mówiąc: „A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancya ich do Pana Boga nieważna i nie potrzebna; w kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc Jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okupno, jako poganom; teraz częstował was Czarniecki pokojem i zdrowiem, chciał darować, pogardziliście. Pamiętacie, coście w sandomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzili? A przecie i tam Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić; wyrzuciły prochy pana Bobolę, szlachcica tamiecznego, i z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecie zdrowy został; i teraz strzelaliście gęsto, a nie wieleście Polaków nabili; czemu? bo ich aniołowie strzegą, a was czarny; a toż macie jego usługę!“ Miły Boże, jakie to sprawiedliwe sądy twoje! Szwedzi naszym Polakom tak wyrządzili w Sandomierzu, zasadziwszy miny zdradziecko w zamku. A tu sami na się zbudowali tę samolówkę: bo im to nasi nie z umysłu uczynili, ponieważ i samych tenże przypadek pożarł ze dwunastu. Nie wiadano tedy, kto tam z naszych zginął, ale się tylko dorozumiewano, kiedy ani żywego, ani zabitego nie znaleziono. Widzieli ten przypadek obaj królowie, duński i szwedzki; widziały wszystkie wojska cesarskie i brandenburgskie, ale rozumieli, że to Polacy tryumf jakiś czynią na cześć Bożego narodzenia. Radziejowski tedy i Korycki powiadali królowi szweckiemu, przy którym jeszcze natenczas byli, że to coś innego; nie-masz tego u Polaków w zwyczaju, tylko na wielkanocne święta. Po oném szczęśliwém zwycięztwie zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam osadził na tej fortecy wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczystość mszy świętej słuchać; mieliśmy księdza, ale nie było apparatu. Jenó cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą aparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko; nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiono się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te Deum laudamus* śpiewano, aż się po lesie rozlegało. Klęknałem księdzu Piekarskiemu służyć do mszy; ucieszony ubieram ręce umyć.“ Odpowie ksiadz: „Nie wadzi to nic; nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego.“ Spotykaliśmy potem naszych łóźnych, wiozących naszym różny zasilek.

Gdzie kto swego zastał, tam siadł i jadł, z owego wczorajszego głodu. Wojewoda wesoło jechał, że to prawie niezwykłym przykładem, bez armaty i piechoty, wziął fortecę taką; oboje mógłby być mieć od elektora blisko stojącego, ale fantazya w nim była, że nie chciał się kłaniać, ale żeby do niego samego ta należała się sława, ufając w Boga porwał się i dokonał.

Rok 1659.

Rok pański 1659 zaczęliśmy tamże w *Hadersleben*, daj panie Boże szczęśliwie, gdzie zażywaliśmy i mięsopusty, lubo nie z taką przecie, jak w Polsce, wesołością. Mieliśmy jeszcze na przeszkodzie wyspę *Alsen*, która że nam w tyle zostawała, dla tego też nam na wielkiej była przeszkodzie; bo czeladź nam na czatach porywano i zdobycz odbierano, gdyż tam załoga była wielka. Przeszło tedy koło niej wojsko brandenburskie i z armatą i z piechotą, a po staremu uderzyć na nią nie śmieli, czyli też nie chcieli, jak to powiadają, że „kruk krukowi oka nie wykole.“ Wojewoda pojechał raz na rozpoznanie w trzysta koni, wprowadzie na przejażdżkę; nie mówiąc, kazał otrąbić, żeby nazajutrz gotowość była wszelka i na koń wsiadano. Jużemy tedy nie zapomnieli o lepszym porządku: bo się kazało i w sakwy czeladzi nabrać żywności, i takeśmy jechali. W pewnym miejscu odcięliśmy lód siekierami: bo morze jeszcze z brzegu nie było puściło, lubo nie bardzo było zimno i pogody były piękne; to samo uczyniła dragonia na drugiej stronie; a stało się to w lot, że załoga nie wiedziała, ażeśmy już na drugim lądzie byli; bo sobie siedziała w mieście i po wsiach. Było pływać jak na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku tej odnogi było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć: bo było takiego miejsca z pół staja. Sam tedy wojewoda, przeżegnawszy się, wprzód w wodę; półki za nim, których jeno trzy było, nie całe wojsko, każdy za kołnierz zatknawszy pistolety a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął na środek, stanął, i kazał każdej chorągwi odpocząć, a potem dalej. Konie już były do pływania probowane; który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć; dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potem zima tęga njęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew też każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi widząc, że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi; owych też co przybywali na pomoc, przerznęli nasi końmi, a dopiero w nich

jako w dym! Powiadali zaś więźniowie: „rozumieliśmy na was, żeście djabli, nie ludzie.“ O komendanta tamiecznego przysłał król duński z prośbą, żeby mu go żywcem dostawić, bo miał do niego wielką jakąś pretensyą; nie wiem, jak go tam przywitano. Po owej robocie, jak się wojsko dorwało do cieplej izby, kto go mógł złapać, chłopą lub też kobietę, to zaraz odarł z koszuli, żeby się przewlec. Przetrasnąwszy tedy ową wyspę, bo to nie wielka, jeno jej siedm mil, miast kilka a wsi kilkadziesiąt, osadził tam wojewoda na komendzie grzecznego kapitana, szlachcica duńskiego, z ludźmi nowozaciecznymi. Bo taki był rozkaz, że zaraz za nami, gdzieśmy weszli z wojskiem, oficerowie króla duńskiego werbowali, i tymi ludźmi osadzano fortece, które się dostawały; wziął jednak wojewoda sobie sto Szwedów dobrych i pomieszał ich między dragonią, w nagrodę tych, co przecie tu i owdzie musiało ich ubywać, jak to zwyczajnie: gdzie drwa rąbią tam wiory padają. Potém wróciło wojsko do swoich kwater, już się nazad w statkach przewożąc. Jak tedy ten rok pięknie się skończył wzięciem *Koldynga* z dobrą sławą, tak i ten nowy dosyć się w fortunie zaczął, wzięciem tak chwalebnie téj wyspy Alsen.

PRZEWAGI

Elearów polskich, coich niegdyś Lisowczykami zwano

przez

Wojciecha Dębołęckiego. 1623.

O przyczynie zaciągu Elearów polskich na cesarską.

Stojąc na niepochybněj prawdzie słów Bożych, iż bez niego nic nie możemy: jemu samemu w Trójcy s. jedynemu, naprzód przyczynać się musi przedziwna opatrność jego, i uznana być wszechmocność ręki jego nad kościołem św. katolickim. Dla którego, aby bramy piekielne przeciw niemu nie przemogły, sam Elearów Polskich serca do siebie przyciągnawszy, ich przeciwko nieprzyjaciołom wiary św. obrócił, męstwa dodał, szczęściem błogosławił, i sam im hetmanil.

Gdy albowiem w bujnocznych krajach cesarskich, niebaczni poddani jego, jadę wieloróżnych herezvi zarażeni, i nimi jako truciznami nadęci, zapuchłe oczy mając do obaczenia prawdy, naprzód na kościół św. katolicki bluźnierskie usta swoje wywarli, a potém tych obecnych lat, i na wła-

snego pana swego, cesarza chrześcijańskiego Ferdynanda II. samą świątobliwością nad insze nieszczęśliwego, (gdyż według Pawła św. wszelki pobożnie w Chrystusie żyjący, przenaśladowanie mieć musi) zbrojno-wojenną rękę podnieśli, jemu wiernych katolików z zamku Praskiego na pański despekt oknem powyrzucali, i naostatek, przekłęci, dla ufności w samych sobie, zbrojach, fortcach, i fortelach swoich, tak wysoko w zaczętej rebelii postąpili, iż mniemanych panów sobie naobierawszy, pod ochroną ich, kościoły katolikom gwałtem brali, ciała wiernych z grobów dobywali, relikwie świętych Bożych palili, na ołtarzach bluźnierstwy swemi gniew Boży na naród ludzki wzbudzali; obrazy świętych, a na ostatek i krucyfiksy deptali, kielichy, krzyże, i insze srebra kościelne wiecznemi czasy na chwałę Bożą oddane, na pieniądze przerabiali, dzwony na działa przelewali, kapłany i zakonniki męczyli: którymi i inszemi podobnemi skutkami niewiar swoich rozruchani, w roku Pańskim 1620 niesłychaną ludzką potęgą z pomienionymi pany swemi mniemanymi, to jest: Niemcy z Frydrychem, Falsgrafem Palatinem Renu, a Węgrowie z Bethlem Gaborem, wojewodą Siedmiogrodzkim, od Czechów na ratunek wezwanym, pod Wiedeń przyszli dobywać pomazańca Bożego, którego przed tém za cesarza i pana swego obrawszy, jemu przysięgali: O jak straszna rzecz była patrzeć: wtenczas z wiedeńskich murów, tak na arcyzbrojną potęgę Czechów, Morawców, Rakuzan, Szlązaków i wszystkiój prawie Rzesze (choć cicho) tratującej pod opieką Frydrycha, bałwanego króla czeskiego, w ogrodzie cesarskim, gdzie więc lwy i insze bestye chowywał, wykrzykujących; jako i niezliczone Węgierskie mrowie pod tytułem Bethlemgaborowym, po polach Wiedeńskich biegające! O jako brzydko było słuchać niebezpiecznych o zdradę wewnętrzną przegrózek, samychże Wiedeńczyków! O jako żałośna rzecz patrzeć na niewinnego cesarza Chrześcijańskiego, zewsząd utrapionego, na męczeńską koronę gotowego; ale samój się tylko klęski kościoła Bożego, a tém większego katolictwa przenaśladowania bojącego! O jako do serca przenikały głosy wielu biskupów i inszych niezliczonych kapłanów, którzy z różnych miejsc zbiegali się współumrzeć z pomazańcem Bożym, a widząc ono według Dawida św. zgrzytające pogaństwo i narody próżnomysłne około stojące, z swymi królami szczerociemskimi i książęty współzgrupadzonymi przeciw Panu Bogu i przeciw pomazańcowi jego, wołali nie wychodząc z kościołów do władce wojsk wszystkich: *Excita domine potentiam tuam, et veni ut salvos facias nos.* Wzbudź panie moc twoją, a przyjdź, abyś nas zbawił!

W takim utrapieniu widząc cesarza Chrześcijańskiego

w Wiedniu z ostatkiem katolików między wewnętrznymi zdrajcami zawartego, ktoby był nazwał Wiedeń Bethulią, cesarza Danielem między lwami, a jego wiernych gromadkę Zuzanną między dwoma w zawziętej niecnocie starcami, Frydrychem i Bethlem Gaborem, niewieleby był tytułów słuszności pochybił, gdyż ratunku, prócz od Boga cudownego, niskąd nie było.

To tylko samo nadzieję poniekąd czyniło, iż przyszedłszy pod Wiedeń, w tym się ogrodzie obozem położyli, gdzie pospolicie cesarze lwy i insze rzadko widziane bestie dla uciech chowują. Z tego abowiem dobrowolnego abo raczej od Boga sporządzonego ich zjednoczenia się mieszkaniem z bestjami, znak był i nadzieja, iż miał sam Pan Bóg wszechmogący z bestjami porównawszy, w moc i posłuszeństwo cesarzowi oddać, jako niegdy i one Adamowi.

Przyczyny dla którychby Bóg wszechmogący, pod tym czasem kościół swój święty i hetmana, jemu na obronę danego cesarza Chrześcijańskiego tak bardzo ucisnąć i tak się niebezpiecznie niepokalaną wierze powszechną zachwiać dopuścił, między inszemi, samą tajemnicą Boskiej wiadomości, te są: Naprzód: aby obiecana opieka jego, z defektu natenczas mocy i ratunku ludzkiego, wiernym Chrystusowym tém wdzięczniejsza, i do potwierdzenia w ufności potężniejszą była; a nieprzyjaciół wiary i hardogłupie ich rozumki, aby tém bardziej zhańbiła, i obrzydliwość ich grzechu pokazawszy, do pokuty ich tém prędzej nagnała. Druga: aby tak pralaci kościoła Bożego, jako i monarchowie katoliccy państw doczesnych, takim uciskiem do serc przenikającym przestrzeżeni, na potem wszelkie kacerstwa zawczasu póki się nie rozkrzewią wykorzeniali. A na ostatek też pono i dla tego, aby się niesłychaną cierpliwością i łaskawością cesarza Chrześcijańskiego, drudzy monarchowie karali, a przeciwnikom kościoła Bożego i wiary świętej, mając ich zmoc, jako cesarz swoim, nie folgowali: Bo cierpliwość, jako chwalebna jest o krzywdę swoją, tak o Bożą nagany godna.

W ostatnim tedy ucisku, jak się pokazało, będącemu dla pomienionych przyczyn, acz przez krótki czas, cesarzowi Chrześcijańskiemu, gdy na samego Boga przyszło dać ratunek oblubienicy swojej, kościołowi świętemu, acz mógł mając pełne niebios starowiecznego harcownika z diabłem, wypuścić którego z nich na syny jego, jako niegdy w starożytnym zakonie czyniwał; mógł z niebieskich szanów obłokami osypanych strzelbę ognistych piorunów wypuścić; mógł ich rozstępnej ziemi, jako Datama i Abirona, rebellizantów Mojżesowych, darować; mógł wodami jako Giganty zatopić, lubo wiatrami jako słomę po świecie roznieść, lubo ogniem, jako


Sodomczyki zapalić; mógł głodem, morzem, języków i zmysłów pomieszaniem i rozlicznymi inszemi sposobami; niech gniewu swego na nie obrócić. Aby jednak wszechmocność jego pokazała się być mądrością przeplecioną, raczył sobie obrać, aby słabością katolicką potęgę kacerską, głupstwem ich mądrość, a pokorą pychę ich, jako krwią dyament, skruszył i rozsypał.

Ztąd samże Pan Bóg, na obronę pomazańca swego Chrześcijańskiego w Wiedniu obleżonego, zaciągnął przez podanie do serca a poselstwo Jerzego Chumaniego, męża nie mniej żarliwością jako i urodzeniem wielkiego, w roku pańskim 1619, kozactwo Polskie, które pospolicie Lisowczykami zwano. Któremu wojsku, acz się już ojczyzna zdumiewała, uważając jako świeżo było w tak małej gromadzie wszystkie Moskiewskie ziemie, pełne żołnierza ojczystego, i ze wszech miar jako pod czasem wojny uzbrojone, z wielką odwagą wszerz i wzdłuż za dzielnomeżnym wodzem Alexandrem Lisowskim, mężem jako ze wszech miar szczerowojeńnym, tak i wiecznej pamiętki godnym, przeszło, zaniki i miasta na króla pana naszego Zygmunta III. odbierając. Dla samego jednak kozackiego ich sposobu wojowania, świat ich między pospolitymi kozakami, dla lekkości i nieużywania zbroi za najpodlejszego, dla ślepo natarczywój rezolucyi za najgłupszego, dla ustawicznej chętki wojowania i dobrowolnego się na nie natracania za najniespokojniejszego żołnierza poczyta: choć nimi Pan Bóg przeciwniki swoje, jakkolwiek najforemniejsze, najmędrsze i najgórniejsze, upokarza i tłumi.

W którym zaciągu Boskim tego ludu z narodu Pańskiego, na obronę kościoła świętego i hetmana jego cesarza Chrześcijańskiego, naprzód uważać potrzeba osobliwą łaskę Boską przeciw koronie Polskiej: iż nie inszym, prócz tym narodem, ulubił sobie na wieczną pamiętkę w Chrześcijaństwie zbuntowanego kacerstwa przytłumić. W tém abowiem nie inszego się rozumieć nie może, tylko to, iż z osobliwój łaski swojej, naród Polski pod Boską łaskawą opieką jego wojujący, jako niegdy Machabejski, wszém narodom straszny raczył chcieć uczynić. Czego i sam czas potwierdza, przez to, iż nie wprzód był pomieniony Boski zaciąg narodu Polskiego, aż pierwój, zgromadziwszy się na obronę cesarza Chrześcijańskiego Hiszpanowie, Francuzowie, Węgrowie, i wszelkie Chrześcijańskie narody wojenne (wcale ich męstwo zachowując, gdyż nikt nie może nad Boskie dopuszczenie), królestwo Czeskie, Morawę i Szląsk skutecznie utracili; Węgierskiego także królestwa, z przyległemi xięstwami jego, już poniewoli odstąpiwszy, przed własnymi się Rakuzanami w Wiedniu zawarli; i broniąc się, według wyższego pokaza-

nia, niedostateczni byli. Wtenczas dopiero Bóg wszechmogący z narodu Polskiego *Eleary* zaciągnął, i nimi, jako się niżej pokaże, moc swoją oświadczając, cesarza Chrześcijańskiego wybawił, i wszystko co przedtém jego było, onemu z tryumfami powrócił.

Na ostatek, żeby się i tego na wzbudzenie do chwały Bożej nie opuściło, tak się Pan Bóg raczył wezbrać na sławę narodu Polskiego, iż gdy znowu potém wszystkiém, uporu swego pokrzepiać cheieli, nikim inszym tylko tym narodem, złość ich zawsze potłumiał, a potęgę rozgraniał. Za co jego najświętszemu majestatowi, niech będzie wieczna cześć i chwała.



B.

BIOGRAPHIE

CZYLI

ŻYWOTY HISTORYCZNE.



ZYCIE JANA ZAMOJSKIEGO,

kancelerza i Hetmana wielkiego kor.

przez

Franciszka Bohamolca, w Warszawie 1775.

Wstęp.

Miedzy trudnemi do pojęcia rzeczami i nad tą często się zamyslam: czém się to dzieje, że w niezmiernym owym Obywatelów świata tłumie, nie wielu tak zacnych ludzi znajdziemy, którzyby się w czym wielkim, a mianowicie w przymiotach do rządzenia zdatnych, znacznie nad innych wsławili. Nie jest mi tajno, że wielu narodom, ba i całym wiekom, na światle nauk zbywało, a przez niedostatek pisarzy nie mało zacnych mężów pamięć u potomnych narodów straciło; z tym wszystkim ich liczba nie może być tak wielka, żeby miała wnieść w porównanie z niezmierną tych ludzi zgrają, którzy się po ziemi czołgając, żadnego pamiętnych dzieł śladu po sobie nie zostawili.

Wszakżesz i w oświeconych narodach taż trudność zachodzi. Żadnego nie znajdziemy, któryby i liczbą i wielkością dzieł sławnych nad inne tak bardzo wygórował, jak Rzymski. Nie zbywało w nim i na pilnych dziejopisach, którzy nie tylko współżyjących, ale i dawniejszych wieków zaciągając pamięć, wypisali znaczne swych bohaterów czyny i do naszej wiadomości przesłali. Więcej nie równie w tym narodzie osobliwszych mężów każdego wieku znajdziemy, niż w innych przez wszystkie wieki. Z tym wszystkim, szczupła nader zdaje się być temu ich garstka, kto tego Państwa niezmierną ludność i obszerność rozważa.

Wszyscy to sprawiedliwie wyznajemy, iż nad inne narody Rzymianie mieli osobliwsze do rządzenia światem przymioty, co i Wirgiliusz rzeczą im właściwą być sądzi:

Tu regere imperio populos Romane memento.

Wszakże nie wielu i między nimi było Fabrycyuszów, Kamillów, Scypionów, Fabiuszów, Paulinów, Marcellusów, Pompejuszów i Cezarów.

Ale od dawnych wieków, obróćmy oko na terażniejsze, przebieżmy myślą wszystkie świata krainy, nie wielu zaiste takich znajdziemy, o których to mówić można, co Homer z okoliczności śmierci Tyrezyasza rzekł o małej liczbie bohaterów na polu Elizejskiem spoczywających:

Hi soli sapiunt: reliqui volitant velut umbra.

Tę tak znaczną między ludźmi różnicę niektórzy mniej baczeni fortunie raczej i przypadkom, niż cnocie przypisują; drudzy ją na czasie urodzenia zasadzają, jakby to tegoż samego czasu i pod tą planetą, pod którą mąż wielki wziął życie, inni tak podli nierodzili się, że ledwo między ludźmi policzeni być mogą.

Są drudzy, którzy cnocie najwięcej przypisując, twierdzą, iż do wielkości człowieka i samej nawet cnoty wydoskonalenia, zewnętrzne niektóre rzeczy wielce pomagają, jako to czerstwość i ozdoba ciała, ojczyzna, w której kto żyje, współobywatelów obyczaj, dostatki fortuny i inne okoliczności. Tym rzeczom, jeżeli mamy jaką moc przypisywać, tedy możemy to mówić, co niegdyś rzekł Temistokles pewnemu obywatelowi Seryfińskiemu. Gdy bowiem przymawiał Temistoklesowi, iż on nie przez się, ale przez zacność swęj ojczyzny wielkim stał się człowiekiem, Temistokles na to: *to prawda, odpowie, gdybym ja był Seryfinem, a ty Ateńczykiem, nie byłibyśmy oba sławnymi.*

Ztąd wnosić możemy, że jako cnota bez tych zewnętrznych posilków nie zawsze być sławną może, tak i one bez cnoty nie dokazują. Któż bowiem tego nie widzi, iż wielu i urodzeniem i dostatkami i ciała ozdobami zaszczyconych, że się w gnuśności i lenistwie kochali, ani cnoty gruntownej przez pracę, ani sławy pamiętnej przez cnotę nie nabyli.

Przeciwnym sposobem nie mało takich znajdziemy, którzy lubo żadnej zewnętrznej pomocy nie mieli, samą jednak umysłu statecznością wsparci, i cnoty dostąpili i z cnotą wielkich rzeczy dokazywali. Przetoż to za rzecz pewną mieć powinniśmy, iż sama cnota prawdziwa, wielkimi nas czyni. Wszakże i o tém wątpić nie możemy, że taż sama przy zacnym urodzeniu i dostatkach silniejszą bywa i piękniej się wydaje.

Sławny tej prawdy przykład mamy w *Janie Zamojskim*, którego tu żywot dla przykładu, naszym i potomnym wiekom, do publicznej wiadomości podać umyśliłem. Nie są nikomu tajne zewnętrzne jego ozdoby, jako to: zacność urodzenia, wielkość dóbr, wysokość urzędów, dzieł niepospolitych świetność, i inne tym podobne. Wewnętrzne jednak, z których tante jako ze źródła wypłynęły, bardziej podobno są sławne, niż doskonale nam wiadome. O wiel-

kich jego tam na wojnie, jako i w pokoju dziełach, najodleglejsze nawet narody słyszały, i zadziwiała się, o prywatnych zaś jego i domowych cnotach, o gruncie serca o doskonałości rozumu i o znakomitej a gruntownej pobożności, wielu jest, którzy dostatecznej niemają wiadomości. Przetoż dla pokazania prawdziwej jego wielkości, i te wyrazić umyśliłem. Zebrałem je z różnych pism tych ludzi, z których jedni będąc jego domownikami, drudzy poufałymi przyjaciółmi, lepiej go znali, niż inni.

Urodzenie Zamojskiego.

Urodził się Jan Zamojski z Stanisława kasztelana Chełmskiego i z Herburtownej, w roku Pańskim 1541 d. 1. Kwietnia, w Skokowie zamku ojcowskim, w Chełmskiej na Rusi ziemi leżącym. Ród jego z ojca pochodził od jednej z najdawniejszych i najszlachetniejszych *kozłorogów* familii, która starożytnością swoją żadnemu w Polsce domowi nie ustępuje, i nie mało zacnych mężów tak w rycerskim jako i senator-skim stanie, a w tym biskupów i arcybiskupów wydała.

Jeszcze za Władysława Łokietka jeden z tej familii od szarzej sukni Saryuszem nazwany, podczas wojny z Prusakami trzema włóczniami srodze raniony, leżał na placu po-tyezki, i wypływające z siebie wnętrzości ręką wstrzymywał. Zdarzyło się, że król objeżdżając ten plac, postrzegł i owego Saryusza między trupami w tak okropnym stanie leżącego, a zdjęty uzaleniem zawołał: *o jak wielki ból ten nieborak cierpi!* Na co mu Saryusz: *wiekszy o królu, rzecze, jest ból, w jednej wiosce mieć złego sąsiada.* Zdziwiony król tak wielką umysłu jego statecznością, uczcił ją wieczną pamiątką i do dawnego herbu, przydał mu trzy włócznie. Ażeby zaś odtąd spokojniejsze miał życie, kupił od kłótliwego sąsiada grunta, i one nadał Saryuszowi.

Od owego czasu *kozłorogowie*, którzy za herb mieli w polu czerwonym kozę, połowę kozy do hełmu przenieśli, a na to miejsce trzy włócznie położyli. Z tej przyczyny *kozłorogowie* *Jelitezykami*, od wypływających *jelitów*, nazywali się. Najdawniejsze ich siedlisko było w województwie Sieradzkim.

Gdy po długich wojnach Polskie panowanie Rusz przyjęła, wielu Polaków obrało sobie mieszkanie w tej obfitej prowincyi, ile gdy z dawnych familii Ruskich jedne przez wojny wyginęły, drugie na wygnanie poszły. W tymże czasie, to jest po roku Pańskim tysięcznym, najpierwszy z *Jelitezyków* *Tomasz* na Rusi osiadł. Po uczynionym albowiem dóbr ojcowskich z bracią podziale, gdy widział szczupłość części na siebie spadającej, sprzedał ją braci, a sam prze-

niosłszy się do ziemi Chełmskiej, kupił tam dobra dla siebie. Ze zaś wioska jego, w której mieszkał, była mostem oddzielona od sąsiedzkich, przetoż nazwano ją *Zamościem*, a Tomasza, zwyczajem pod ten czas pospolitym, *Zamojskim* od wioski mianować zaczęto.

Od tego *Tomasza* nie tylko familia bardziej się na Rusi rozkrzewiła, ale się i dzierzawy onej, częścią przez przykupną, znacznie pomnożyły. Między innemi dwa najcelniejsze Zamojskich były tam siedliska. Jedne, *Stary Zamość* nazwany, mający kilka wiosek do siebie należących, które po śmierci stryja swojego, chorążego Chełmskiego bez potomstwa zeszłego, *Tomasz* objął. Drugie siedlisko, które miał *Tomasz* po ojcu, *Skokowką*, a potem Nowym *Zamościem* było nazwane. Ten zamek zdawna drewniany, leżący przy dwóch rzek spławie, miał do siebie kilka wiosek przyłączonych.

Przy samych osiadłości swojej na Rusi pierwiastkach, Kozłorogowie przypuszczeni byli zaraz do urzędów tej prowincyi i wkrótce do tej przyszli powagi, że inni obywatele we wszystkich sprawach za ich szli powodem. Wszakże między wszystkimi Kozłorogami, czyli Jelitezykami, najbardziej, ile wiedzieć możemy, celował *Mikołaj Zamojski*, dziad stryjeczny naszego *Jana*, który i dowcipu bystrością i niepospolitą tak w prawie ojczystem, jako i w rządach biegłością znakomity, naprzód referendarzem koronnym, potem sekretarzem większym od *Zygmunta I.* był uczyniony i znacznemi dochodami kościelnymi od niegoż opatrzony został. Brat jego *Felix*, a *Jana* dziad, prywatne sobie życie ulubił, wszakże i ten znaczne w swęj ziemi urzędy sprawował. Syn *Felixa* *Stanisław* a ojciec *Jana*, chcąc na większą imienia swojego sławę zarobić, obrał życie żołnierskie, i na wielu potyczkach, a osobliwie pod *Rewlem* z Moskalami, dał wielkie dowody i serca nieustraszonego i biegłości w sztuce rycerskiej: za co od *Zygmunta Augusta* najprzód wodzem nadwornego wojska królewskiego, potem starostą *Bełskim* uczyniony, nakoniec wzięwszy kasztelanią *Chełmską* w senacie umieszczonym został.

Wychowanie *Jana Zamojskiego*.

Jan w dzieciennym jeszcze wieku utraciwszy matkę, posłany był zaraz na nauki do *Krasnostawu*, które to miasteczko jest stolicą kapituły *Chełmskiej*, i po *Chełmnie* najpierwszém po ten czas było w tej prowincyi, a z dobranui *Zamojskich* graniczyło. Tam pod *Wojciechem Ostrowskim*, sławnym nauczycielem, w pojęciu nauk pierwiastkowych wszystkich prawie współuczniów celował. W samym jego dzieciństwie,

roztropność nad lata i chęć do enoty wczesnie rokowała, jak wielkim miał być potem w ojczyźnie mężem. Szczęśliwy, iż miał takiego ojca, który tych wrodzonych jego przymiotów nie zaniedbał wydoskonaląc, jakoż to było pierwszym gruntem i zasadą przyszłej jego wielkości.

Wysłanie do cudzych krajów Zamojskiego.

Miał on brata imieniem *Aukta*, którego ojciec postanowił do rycerskiego życia sposobić, obróciwszy *Jana* do obywatelskich rzeczypospolitej usług. Wkrótce *Auktus* umarł, a *Jan* ledwie dziecienny wiek skończywszy, wyjechał z rozkazu ojcowskiego do Paryża, do dworu Delfina francuzkiego, Franciszka. Tam będąc *Jan*, nie tylko w dworskich obyczajach, ale też w naukach pilnie się ćwiczył, aby przez to zdolniejszym stał się do służenia swojemu królowi i ojczyźnie. Często on w późniejszym wieku mawiał, iż pod ten czas przeciwko pospolitemu młodych obyczajowi postąpił. Drudzy albowiem chcąc jak najprędzej z jarzma nauk uwolnić się, spieszą do dworów królewskich lub pańskich, on zaś, z innych podziwieniem, umyślił od dworu do szkół, od próżnowania do pracy, od rokoszy do niewygód szkolnych udać się. Znał on to dobrze i w kwitnącym wieku, że od młodości źle lub dobrze przepędzonej, dalszego wieku los zawisł. Przetoż wykonał to mężnie, co mądrze postanowił.

Oddalwszy się od dworu, zamknął się, iż tak rzekę, w cieniu Luteeyi. Zdawna te szkoły największą miały w Europie zaletę; pod ten czas jednak przez zacnych zbiór nauczycieli najbardziej kwitnęły. Do nich tedy udał się Zamojski. Do ćwiczenia się w krasomówstwie używał *Adryana Turneba* i *Dyonizego Lambina*, do filozofii *Jakóba Karpentariusza*, a do matematyki *Piotra de Penna*, których wszystkich sława, aż do naszych wieków przez mądre księgi od nich wydane doszła i w potomne trwać będzie. To mnie zadziwia, iż on przy tych naukach nie zaniedbał i arytmetyki, która podówczas była w wielkiem pogardzeniu u ludzi zacniej urodzonych. Mniemali oni, że ta nauka samym tylko rachmistrzom, ludziom najemniejszym jest przyzwoita. Inaczéj o niej Zamojski sądził i publicznie tego dowodził, iż ona niemniej do spraw domowych, jako i do dobrego rzeczypospolitej rządu jest wielce potrzebna.

Na tych i tym podobnych naukach lat cztery we Francyi przepędziwszy, udał się do Strasburga. Uczynił w tém zadość woli ojca swojego, który losem owych czasów uniesiony, kacerstwem się był zaraził, przetoż syna swojego do przyjaznej swym błędom akademii wyprawił. Nie strawił i tam próżno czasu, bo pod *Janem Sturmiuszem* bardziej

się w krasomównstwie wydoskonalił. Nie zaniedbał on i języka greckiego, ale do zupełnej jego umiejętności nieprzyszedł, na co potem nieraz się uskarżał.

Dawną on miał chęć zwiedzenia krajów włoskich, wiedział bowiem jak wielu tam sławnych było mężów w naukach. Padwa jednak między innemi miastami włoskimi najbardziej pod ten czas słynęła, tak dalece, iż ją siedziskiem i stolicą wszech nauk nazywano. Przetoż ze wszystkich narodów, niby na jarmark najslawniejszy, młodzież zająca do niej się zbiegała. Tam tedy, za otrzymaniem choć z trudnością pozwoleniem ojcowskim, Zamojski przeniósł się z Strasburga. Było pod ten czas dwóch sławnych nauczycieli w Padwie, którzy w krasomównstwie największą zaszczycał się doskonałością: Franciszek Robertellus Utyneńczyk, i Paweł Sygoniusz Modeńczyk rodem. Oba ci zacni mężowie miłością sławy pobudzeni, jeden drugiego chcąc przesadzić, ustawiczną z sobą wiedli utarczkę. A jako w rzeczach pospolitych, tak i w szkołach to bywa, że za powodem dwóch hersztów uczonych a sobie przeciwnych, pospólstwo téż szkolne na dwie strony rozdzielać się zwykło. Toż samo działo się pod ten czas w Padwie. Robertellus miał po sobie Niemców, a Sygoniusz Francuzów. Zamojski do żadnej z razów nie wziął się strony. Tym bowiem do Padwy przybywszy umysłem, aby tych wszystkich cenił i szanował, od którychby się mógł czego nauczyć, równie się obu zasługiwał. Że zaś potem odstąpił od tej obojętności, stało się to z niejakiego przypadku, którego było przyczyną grubiaństwo Robertella. Rzadko to bywa, żeby człowiek głęboko uczony, nie miał jakiego dziwactwa. Zaprzatniony ustawicznie naukami, a przeto rzadko z ludźmi przestający, łatwo wykroczy z granic obyczajności. Toż i Robertellowi przytrafiło się. Gdy bowiem raz pewnego przyszedł do niego Zamojski, szukając w jakiejś szkolnej trudności u niego objaśnienia, Robertellus rozumiejąc, iż on od Sygoniusza namówiony, chciał go, jak mówią, w pole wyprowadzić, grubiej nieco niż ludzkość wyciągała, odprawił go od siebie. Tą niegrzecznością obrażony Zamojski, przywiązał się zupełnie do strony Sygoniusza, i w wielu mu rzeczach przeciw Robertellowi dopomagał. Nie tylko albowiem Polaków tam uczących się do niego przeciągnął, ale téż i różnemi pismami, któremi uczniowie nawet, na siebie wzajemnie powstawali, honor nauczyciela swojego utrzymywał. Największą jednak w tym jemu przysługę uczynił, gdy osobliwym swoim przemysłem i sprawnością tego dokazał, iż senat wenecki prym Sygoniuszowi nad Robertellem przyznał.

Dla lepszego tej sprawy i innych po niej następujących

objaśnienia, umyśliłem przełożyć niektóre Padewskiej akademii ustawy.

Ponieważ pomieniona akademia nad wszystkie inne europejskie najbardziej pod ten czas kwitnęła, przetoż i uczących się mnóstwo, z różnych krajów tam przybywających, niezmierne prawie bywało. Dzielila się na różne narody, jako to: francuzki, niemiecki, hiszpański, polski, angielski, szkocki, czeski etc. z każdego z tych narodów obierano co rok kolejno rektora akademii. Przywileje jego osobliwsze były. Do niego należało sądzić sprawy między obywatelami szkolnymi, bez żadnej od tego sądu apelacyi, i wykraczających karać, urzędników szkolnych obierać, i onym jurgielty rozdawać, ustawy nowe przepisywać lub odmieniać. Z tych najslawniejsze są, które za rektorstwa Jana Zamojskiego i jego pracą były ułożone. Znalazłem je w bibliotece tutejszej publicznej *Zaluskich* pod tytułem *de Constitutionibus et immunitatibus almae Universitatis etc. Libri IV. Patavii 1564.* Jest to książka dość spora in 4to.

Powaga rektora tak wielka była, że wszyscy miasta urzędnicy, prócz prezydentów, wszyscy prałaci i biskupi, prócz Padewskiego, na wszystkich zgromadzeniach pierwsze miejsce i prawą rękę dawać mu powinni byli. Miał zawsze przy sobie wyznaczonych dla powagi, kiedy gdzie szedł, urzędników akademickich i sług, którym wolno było szpad używać, nawet gdy sami gdzie bez pana wychodzili. Ale powróćmy do sprawy Robertella z Sygoniuszem.

Przyjaciele Robertella, chcąc pierwszość dla niego wyjednać, wysłali dwóch posłów z pomiędzy siebie do senatu weneckiego. Zamojski dowiedziawszy się o tém, przyjął na siebie poselstwo przeciwniej strony, dla pomieszania zabiegów tamtęj. Do swego towarzystwa dobrał innych wielu, których rozumiał i porozdawał każdemu z nich różnych narodów imiona. Senatorowie rozumiejąc, iż Sygoniuszowi wszystkie narody sprzyjały, a Robertellowi dwa tylko, przyznali swym wyrokiem prym pierwszemu.

Wielkość dowcipu, doskonałość w naukach i przyjemność w postępowaniu ze wszystkimi, taką Zamojskiemu miłość u młodzi szkolnej zjednała, że najprzód ogłoszony był od nich *princeps juventutis Literatae*, a potem na godność rektora tej akademii wyniesiony, a to z tém większym wszystkim podziwieniem, że w tamtym roku urząd rektora przypadał na niemiecki naród, jemu przeciwny. Nie wspominałbym tu tych prywatnych jego nad rówiennikami zwycięstw, gdyby to nie miało służyć do pokazania w młodym wieku tej jego wielkości, która przyszłej niejakiem była dodatkiem.

Wyniesiony na tak wysoki w owej akademii stopień Zamojski, nie przestawał w różnych naukach, a najbardziej w jurisprudeneyi, szukać większej doskonałości. Wiedział on, iż ta nauka wielce pomaga do sprawowania wysokich w Rzeczypospolitej urzędów. Przeplatał te prace swoje czytaniem ksiąg w każdym rodzaju najslawniejszych. Gdy wszystkie z pilnością i uwagą przeczytał, udał się do ksiąg ojców świętych i doktorów kościoła. Zkąd ten największy odniósł pożytek, że błędy Lutra, któremi od ojca był nieco zarażony, zupełnie porzucił i w pobożności chrześcijańskiej mocniej się ugruntował.

Bawiąc się pomienionem różnych ksiąg czytaniem, miał zwyczaj myśli swoje nad tém zastanawiać, co mu przynieść jakies oświecenie mogło; nad temi jednak najbardziej bawił się naukami, które mu większą do służenia ojczyźnie sposobność ukazowały. Nie szedł on torem tych ludzi, którzy dopiero uczyć się poczynają obowiązków swego urzędu, gdy go objawszy sprawować powinni. Przyprawował on wcześniej swój umysł do spraw Rzeczypospolitej, aby za powrotem swoim do ojczyzny mógł zdolnym być do nich. W tych myślach zanurzony, postanowił dać dowód swojej nauki, wydając na światło publiczne księgi dwie o *Senacie Rzymskim*, który swojego czasu mógł się nazywać szkołą publiczną rządu wszystkich narodów. Te księgi lubo w pierwszych latach młodości swojej napisał, w wielkim jednak aż dotąd są u mądrych szacunku. Łacina w nich wyborna, uwagi rozsądne, nauka gruntowna i niepospolite z dziejów starożytnych przykłady. Dla tej doskonałości nie raz były przedrukowane w różnych krajach pod tytułem *Joannis Sarii Zamosci de Senatu Romano Libri Duo*.

Wstęp do usług Rzeczypospolitej Zamojskiego.

Po wydaniu tych ksiąg wkrótce Zamojski do ojczyzny powrócił. Przyjazd jego poprzedziła sława o pięknych sercu i dowcipu jego przymiotach. Nie zawiodł on publicznej nadziei, która o przyszłej jego wielkości powzięta była. Zygmunt August, który ojca jego dla wielkich cnót i zasług miłował, uwiadomiony wcześniej o syna w naukach doskonałości, wziął go zaraz do siebie; a wiedząc o tém, iż prawdziwa mądrość na pożytecznem nauk zażywaniu zawisła, polecił go Piotrowi Myszkowskiemu, w greckich i łacińskich naukach biegłemu senatorowi, na podkanclerskim pod ten czas urzędzie zostającemu, aby przy nim sprawując urząd sekretarza, do usług rzeczy pospolitej zażył swych przymiotów. Najpierwsza to i najdostatniejsza w królestwie szkoła bywała, w której nie tylko pisząc, ale też i w pu-

bliczne wchodząc sprawy rzeczypospolitej, do wyższych w niej urzędów sposobniejszymi stawali się a potem już nie gośćmi w ojczystych prawach do senatu wstępowali. Postrzegł w nim zaraz Myszkowski i gruntowną naukę i obyczaje chwalebne, przetoż nie bawiąc, dał mu pole do pokazania ich całemu królestwu.

Księgi publiczne rzeczypospolitej, albo *Archiwa*, w których się zawierają granice królestwa, sojusze z innemi państwami, prawa albo pretensye do narodów sąsiedzkich, ustawy ojcyste, przywileje, zwyczaje i podatki, te mówię księgi w Krakowie w skarbcu królewskim pilnie chowane, tak były rozrzucone i pomieszane, że ich w potrzebie użyć niepodobna rzecz była. Ułożył je był niegdyś sławny Kromer, ale czy to z niedostatku czasu, czy z niedostatku pilności, nie było w tém ułożeniu dobrego porządku. Po nim, w tak długim czasie przeciągu znowu się te księgi rozrzucały i tak się pogmatwały, iż dla trudności ich użycia, całe już były zaniedbane i w niepamięci, iż tak rzekę, pogrzebione. Potrzeba je przypomniąca. Poznano, jak wiele na tém zależy, aby te księgi przejrzano, porządnie ułożono, i rejestr onych spisano.

Rzecz tak wielkiej wagi wyciągała pracy takiego człowieka, któryby dowcipem, nauką, roztropnością i wiernością nieposzlakowaną był zaszczycony. Między wszystkimi zdał się być najzdolniejszym do tego dzieła Zamojski, i zaraz był od króla do tego wyznaczony. Przyjął on chętnie tę pracę na siebie, i z osobliwszą pilnością przez całe trzy lata nad nią się bawił. Powynajdował tam niektóre księgi, od kilku wieków nietykane, niektóre przegniłe lub od molów popsute, a niektóre starożytnym charakterem tak pisane, że prawie niepodobne zdawały się być do czytania. Ten tak nudny ksiąg stósami nieporządnie leżących widok, odrąbiłby i najpilniejszego człowieka: ale Zamojski im więcej w tém znajdował trudności, tém usilniej starał się uczynić zadość swemu obowiązкови. Jakoż wszystkie te pisma poplesniałe, wprzód z wielką pilnością przeczytał, potem ich summaryusze pispisywał, nakoniec tak porządnie one ułożył, że za pierwszém w jego rejestrze lub summaryusze wejrzeniem, mógł każdy bez trudności poznać gdzie, w której księdze i na jakim miejscu tego szukać, czego potrzebował. Ta jego dla ojczyzny usługa dobrze mu się opłaciła: bo i sławę mu wielką i pożytek przyniosła. Trzyletnie albowiem tych ksiąg czytanie i wypisowanie, zjednało mu niepospolitą w sprawach i dziejach rzeczypospolitej biegłość, która mu potem ku wielkiej bywała pomocy w sprawowaniu najwyższych w ojczyźnie urzędów.

Tę jego tak użyteczną usługą król ucieszony, w nagrodę prac na niej podjętych, ofiarował mu królewską Zamechską. Ojciec zaś widząc wiek swój podeszły chciał go za życia swojego postanowić. Hieronim Ossoliński, kasztelan sandomierski, mąż zacny i przyjaciel ojca, ofiarował swą synowicę w małżeństwo Jana. Chętnie on na to zezwolił, ponieważ i uroda i piękne przymioty zalecały tę damę; ale nie długo z tej swojej cieszył się pomysłnością. Rok jeszcze nieupłynął był po weselu, kiedy jednegoż prawie czasu i żonę i ojca utracił. Ojciec albowiem w wielki Piątek, a żona w Poniedziałek po przewodniej Niedzieli z tym się światem pożegnali. Fatalna to była dla niego Wielkanoc, bo i ojca, i żonę serdecznie kochał.

Po śmierci ojca odebrał od Zygmunta Augusta ofiarowane sobie starostwo Bełskie, którą to łaskę królewską często wspominał z wielką wdzięcznością. Gdy bowiem rozrzewniony nowiną o śmierci ojca odebraną, przyszedł ze łzami do króla, król z przyrodzenia swego ociągający się, i wszystko do jutra odkładający, zapomniawszy pod ten czas swego zwyczaju, zaraz mu to starostwo obiecał, i otarłszy mu swą ręką łzy, zalecił, aby się od nich wstrzymał, i nikomu o śmierci ojca nie wspominał, a to dla uniknienia natrętów o to starostwo.

Tym urzędem zaszczycony Zamojski, miał i do zasług w ojczyźnie drogę otwartą i większą do nich przez pomnożone intraty sposobność. Co wkrótce pokazało się. Gdy bowiem Zygmunt August nie bawiąc z tym się światem pożegnał, Zamojski, nie tylko dla biegłości w sprawach ojezystych, ale też i dla bogactw, między najpierwszymi strony dworskiej przyjaciółmi był policzony.

* * *

Wyprawa na Moskwę.

Po skończonym sejmie 1579 i uchwalonych na poparcie wojny podatkach, Stefan Batory z Warszawy do Wilna wyjechał, gdzie wszystkie swoje myśli ku rozporządzeniu wojny przedsięwziętej obrócił. A najprzód pisał do Mieleckiego, który podczas wyprawy Połockiej hetmanik, zapraszając go do obozu, i więcej jeszcze dając mu władzy nad wojskiem, niż przedtém miał. Ale on, czy to dla odpoczynku po trudach przeszłych, czy też dla dawniej urazy, wymówił się z tej usługi. Przykre mu było, jako się rzekło, nieposłuszeństwo Węgrów, i większe króla do Bekiesza niż do niego przywiązanie. I to też go bolało, że król bardziej zdawał się sprzyjać Zamojskiemu, niż jemu: przetoż i prywatne między nimi, choć szwagrami niesnaski panowały.

Król sam na siebie przyjąwszy urząd hetmana, przybrał sobie ku pomocy Zamojskiego i zalecił mu część zaciągania tak jazdy, jako i piechoty. Doświadczywszy albowiem na Gdańskiej i Połockiej wyprawie jego zdatności do dzieł rycerskich, powziął nadzieję, iż on, jako mający miłość i powagę u stanu rycerskiego, wielu do wojskowej służby pociągnie. I nie omylił się na tém. Na samę albowiem sławę imienia Zamojskiego, szlachta, nawet znaczniejsza, kupami leciała do obozu. Prócz tego, iż go kochali, mieli też i na to wzgląd, iż on jako wiele mogący u króla, potrafi dobrze nagrodzić ich trudy i zasługi. W krótkim tedy czasie tak liczną zgromadził jazdę, iż i najmocniejszemu nieprzyjacielowi oprzeć się mogła. O piechotę trudność zachodziła. Szlachta albowiem, sądząc ją za niegodną stanu swojego, wstręt od niej zawsze pokazywała. Mieszczanie do wygod miejskich przyuczeni, mniej zdatni byli do trudów wojennych, a chłopci niewolniczem jarzmem obarczeni nie mieli ducha żołnierskiego. Przetoż na przeszłej wyprawie musiano użyć piechoty zagranicznej. Zamojski chcąc i ten rodzaj żołnierstwa, tak wielce ojczyźnie potrzebny, wprowadzić, wszelkiego o to starania dokładał.

Miał on przy sobie Mikołaja Urowieckiego, krewnego swojego, męża dzielnego, który zostając przy jego ojcu dobrze się w sztuce wojennej wyćwiczył. Podczas dobywania Połocka, był nad jedną jazdy chorągwią przełożonym i znakomite dał męstwa swojego dowody. Tego tedy wyprawił Zamojski do samej szlachty pod piechotę zaciągania. Toż samo zalecił Wybranowskiemu, Mroczkowi i Łukaszowi Sernemu, który niegdyś z honorem służył w wojsku francuzkiem. Te Zamojskiego starania pomysłny skutek odebrały. Każdy albowiem z pomienionych rotmistrzów koło 500 piechoty z szlachty zaciągnięj przyprowadził.

W tym samym czasie, gdy Zamojski żołnierzy zbierał, małżonka jego z domu Radziwiłłówna z tym się światem pożegnała. Wkrótce i córka jego jedynaczka poszła za matką do grobu. Był to cios ciężki na Zamojskiego, bo i żonę i córeczkę serdecznie kochał. Wojsko jego całe, tak jazda jako i piechota, widząc wodza swojego kochanego w tak ciężkim smutku, dobrowolnie wzięło na się żalobę. Tą barwą lud jego od innego wojska różnił się i nazywany był powszechnie: czarnemi pułkami. Tymczasem Moskal różnemi poselstwami króla uwodził, ale widząc, iż go nie może od wojny przedsięwziętej odrazić, wyprowadził częścią pieniędzmi, częścią obietnicami niejakiegoś szlacheica Ościka w to, iż się on odważył uczynić zasadzki na króla w Wilnie będącego; ale szczęściem pierwój je odkryto, niż do

skutku były przyprowadzone. Takimi książęcia moskiewskiego postępkami, król bardziej rozjuszony, postanowił zaraz swe wojsko ruszyć do miasta w Moskwie, znacznego, *Wielkie Łuki*, nazwanego.

Dobycie Wielkich Łuk.

Miasto *Wielkie Łuki*, leżące w bliskości rzeki Ławaty, która nie daleko od niego wpada do wielkiego jeziora Perby, wielki handel i wygodny prowadziło. Okolice jego w łaki i zboża obfitujące, wabiły zewsząd do siebie mieszkańców. Z tych przyczyn do takiej wielkości i bogactwa przyszło, że po Moskwie, mieście stołeczném i po Pskowie, najpierwszém całego Państwa Moskiewskiego miastem, nazywać się mogło. Sławne też było i mocną fortecą, do której dwa nacie twierdz na około wystawionych, przystępu broniło. Xiążę Moskiewski po zdobyciu przez naszych Połocka, przejrzał to, iż Polacy do tego miasta pomkną się, przetoż kazawszy spalić miasto i przedmieścia, fortecę samą jak mógł najmocniej obwarował i straż tak liczną w niej osadził, że nie tylko się bronić, ale i na otwartem polu mogła się bezpiecznie potykać z Polakami. Słowem tak ją opatrzył i utwierdził, jakby na niej całą pomysłność tej wojny pokładał.

Król stanawszy obozem, zlecił Zamojskiemu dobywanie tej fortecy i prócz wojska, które miał pod sobą, przydał mu część piechoty Węgierskiej. Rzeka Ławat i bagna wielkie dzieliły obóz królewski od fortecy. Zamojski tak porządnie wszystko ułożył, iż w jednym dniu całe prawie swe wojsko przeprawił, i one należycie oszańcował. Nazajutrz wziawszy część jazdy, wyjechał dla oglądania i poznania przystępów do fortecy. Wypadli nań Moskale, ale tak mężny odpór znaleźli, iż utraciwszy kilku swoich, do fortecy cofnąć się musieli. W kilka dni potem postrzegłszy Moskale, iż nasi, dalszych szanów kopaniem zmordowani, mniej ostróżnie i niedbale powinność swą na strażach czynili, wypadli na nich, zabili jednego, a chorążemu, który się im niepoddawał, chorągiew poszarpawszy, z wielkim pospiechem do swoich powrócili. Po kilka razy przypuszczali nasi szturm do miasta, który że się nie udawał, poczęto szemrzeć w obozie i tracić nadzieję zdobycia onego. Nakoniec radzili królowi odstąpić od tej fortecy, ale Zamojski im się oparł i króla w tem przedsięwzięciu utwierdził.

Tym czasem jezioro, które część słabszą fortecy zasłaniało, nasi spuścili. Mając tedy wolniejszą już drogę, Węgry na siebie szturm przyjęli, i tak się w nim popisali, że potrafili wznieść pożar w fortecy. Moskwa samym widokiem

tak liczego rycerstwa Polskiego dosyć już strwożona, bardziej się jeszcze przeraziła tym pożarem. Przetoż wysłała do króla posłów, prosząc go o wstrzymanie wojny na niedziel dwie, żeby tymczasem o stanie fortecy, mogła donieść księżciu swojemu i prosić go o zezwolenie na jej poddanie, pod uczciwemi warunkami. Wielu radziło królowi, aby nie był ich prośbie przeciwnym; ale Zamojski znając, iż się to działo dla zwłoki czasu, utwierdził króla w popieraniu zaczętego oblężenia. Z tymwszystkim pozwolono Moskwie wysłać kogo do księżęcia, i na to pas wolny dano, wszakże bez przerywania dzieł wojennych.

Zamojski po kilku szturmach uważwszy, iż działa jego nie nie szkodziły fortecy, ponieważ jej wały gęstą darnią okryte były, chciał przez podkopy drogi do niej szukać, ale się i to nieudało, bo grunt na około fortecy był miękki i błotnisty. Uradzono tedy: darnię od wałów oddzielać, a drzewo, z których się te wały po większej części składały, różnemi podżogami zapalić. Na ten koniec podszańcowawszy się pod najwyższą twierdzę, która fortecę od wojska naszego zasłaniała, a z drugiej strony rozłożywszy armaty, dla przeszkodzenia Moskwie wycieczki, wysłano ku tej twierdzy jednego piechura dla doświadczenia, jeśli się ten zamysł mógł udać. Już ów piechur zaczął był motyką darnię rozwalać w tym Moskałe wypadli i zabili go. Pomścili się za niego nasi, kilku nieprzyjaciół z dział ubiwszy i kilku złapawszy, przez co tego dowiedzieli, iż się odtąd nie śmiała Moskwa z fortecy wysuwać.

Zamojski wybrawszy z piechoty jak najdzielniejszych i częścią pochwałami, częścią obietnicami ich serca zagrąwszy, wysłał ich do szturmu. Wielu, a nawet zacnie rodzonych, dobrowolnie na tę wyprawę swe usługi ofiarowało. Dodając tedy wzajemnie sobie serca, z taką ochotą i zwałością przypadli do owej twierdzy, że prawie w momencie odarłszy z niej darnię, do ścian drewnianych dobrali się i taką w niej dziurę zrobili, że się w niej znaczna część naszych pomieścić mogła, równie od dział, jako i ręcznych pocisków bezpieczna. Tymczasem drudzy z obozu, z ogniem i różnemi podżogami przybiegli. Nieprzyjacieł widząc swoje niebezpieczeństwo, ostatnich sił do swojej obrony zażył. Jedni z twierdzy, drudzy z wałów, inni z okien różnemi pociskami i strzelaniem naszych odpędzali. Ich rozpacz a naszych chęć sławy do dzielnej walki pobudzała. Przetoż zapomniawszy na swe niebezpieczeństwo nasi, jedni coraz więcej podżog dodawali, drudzy odstrzeliwując się podżogaczów bronili.

W kilku już miejscach ogień wybuchać poczynął ale

nieprzyjacieli różnemi sposobami, a najbardziej skórami mokremi tłumili ten pożar, i szerzyć się mu niedopuszczała. Nakoniec zdawało się, iż go cale ugasili.

Byli w naszym obozie, którzy szemrali, iż rzecz z tak wielkim kosztem i niebezpieczeństwem przedsięwzięta, nie dobrze się powiodła: ale Zamojski mąż statecznego umysłu, nie na to nie uważając, większe daleko kazał czynić przygotowania do ponowienia nazajutrz takiegoż szturm. W tym o trzeciej w noc straży, ogień ów, który w pośrodku wałów przytłumiony był tylko, ale nie cale ugaszony, zaczął się coraz większych nabierać, i tym mocniej wybuchnął, im dłużej tlał zatrzymany. Przetoż nie tylko tę twierdzę i domy jej przyległe, ale też i kilka cerkwi zamkowych w momencie prawie ogarnął. Moskale, nietylko strwożeni, ale i po większej części opaleni, nie wiedzieli sami, co mieli czynić, nasi tymczasem ze wszystkich obozów ruszywszy, kędy kto mógł, wpadli do fortecy. Żadnej tak ciężkiej, jak tam, przez całą tę wojnę klęski Moskwa nie doznała, do której jednak sama dała przyczynę. Wiedząc albowiem z jednej strony ogień, z drugiej nieprzyjaciela u siebie, przecież w najlepszym była stanie, mocno się z naszymi o poddanie fortecy targowała. Zaczyn gdy coraz uciążliwsze obowiązki zwycięzcom podawała, tymczasem ogień dobrał się do składu wielkiego prochów i znaczną część Moskwy jednych porozrywał, drugich podusił; resztę nasi długim ich uporem rozjątrzeni, dokonali.

Zamojski hetmanem.

Król mający do Pskowa ciągnąć, począł myśleć, komu by mógł dać najwyższy rząd nad wojskiem. Mielecki był hetmanem; ale roku przeszłego wymówiwszy się królowi z dalszych wojennych usług, złożył buławę. Król pod ten czas w niedostatku wodza, sam hetmanił; ale ztąd różne nieprzyzwoitości wynikały. Wiele takowych rzeczy działo się w obozie, o których hetman wiedzieć powinien. Trudny do króla przystęp, ile innemi sprawami zaprzątnionego, czynił to, iż inaczej szły rzeczy, jak należało. Nad to i na samego króla przyciężko było, i nieprzyzwoicie, zatrudniać się temi rzeczami, których mógł bezpiecznie komu innemu powierzyć. Wojskowi też przełożeni, uczyniwszy wprzód między sobą radę, upraszali króla, aby urząd hetmański w tym królestwie zawsze poważany przywrócić i buławę komu by sam rozumiał, ofiarować raczył.

Tą odezwą wojskowych król w swoich zamysłach potwierdzony, zaraz oczy swe obrócił na Zamojskiego. Wielkie już w całym wojsku miał on imię, przetoż wszyscy

powszechnie życzyli go na tym stopniu oglądać. Król i ich żądaniu i swojej chęci dogadzając, posłał mu buławę przez Jędrzeja Zborowskiego, marszałka swego nadwornego. Ta łaska królewska zmieszała Zamojskiego. Wyjechał on z domu niespodziewając się tak wysokiego w rycerstwie stopnia; przetoż nie miał takiego przygotowania, jakiego tak wielki urząd wyciągał. Z téj przyczyny wymawiał się z razu od téj godności, ale nakoniec, gdy go król przymuszał, uczynił jego woli zadosyć. Hetmańska władza nie miała przedtym żadnych granic prawami opisanymi. Każdy hetman tyle jęj miał, ile mu król pozwalał. Jan hrabia Tarnowski, będąc hetmanem, tak wielkie miał sobie przywileje nadane, jakich żaden ani przed nim ani po nim nie miał aż do owego czasu. Król Stefan znając i wierność ku sobie i wielkie do rządzenia wojska Zamojskiego przymioty, wszystkich tych przywilejów pozwolił jemu, któremi niegdys Tarnowski był zaszczycony.

Śmierć Zamojskiego.

Ten zacny mąż za życia jeszcze swego, nietylko od obywatelów, ale i od zagranicznych wielkim sprawiedliwie nazwany, gdy już był przyszedł do tak wysokiego zasług i sławy stopnia, że mu sami nieprzyjaciele nie zadać nie mogli, prócz jego wielkości i wagi, postanowił był od spraw publicznych całe się oddalić, i resztę dni swoich w spokojności przepędzić. Ale nie długo jęj na tym świecie zażywał, bo roku pańskiego 1605 dnia 3 Czerwca, mając lat wieku swojego 64, przeszedł do wieczności. Godna jest wspomnienia odpowiedź jego, którą skończywszy lat 63 wieku swojego, dał winszującym sobie, iż przebył ten rok klimakteryczny. Podziękowawszy albowiem za ich życzliwość rzekł: „Kto skończył rok sześćdziesiąty trzeci, temu już każdy rok jest klimakterycznym.“

Miał on we zwyczaju na początku wiosny, i co rok bawić się dietą i lekarstwami osuszającymi, zostając przez trzy lub cztery tygodnie pod dachem. Tegoż sposobu ratowania zdrowia, na wyprawie Inflantskiej i sejmowych sprawach zwatłonego, powróciwszy do Zamościa, używał przez czas niejaki. Dnia 3 Czerwca po wesołych z domowemi i gośćmi rozmowach, nie czując żadnej na zdrowiu słabości udał się do snu, którego po południu miał zwyczaj zażywać. Gdy się ocknął, mdłości go niespodzianie ogarnęły tak mocno, że w krótkim czasie, na ręku żony, syna jedynaka i przyjaciół, dokonał chwalebnego życia.

Pogrzeb swój wcześniej za życia ułożył, zalecając, aby go bez wszelkiej okazałości obrządkiem katolickim pocho-

wano. Nad grobem nic więcej nie kazał napisać, jak tylko te słowa: *Joannes Zamojscius Regni Poloniae Cancellarius et Exercituum Praefectus, Quod Mortale Habuit, Reliquit.*

ŻYWOT I ŚMIERĆ JANA TARNOWSKIEGO,

kasztelana krak. hetm. w. kor.

pisany niegdyś przez

St. Orzechowskiego, a wydany w Warszawie 1773.

Wstęp.

Piszesz do mnie Jakubie Górski, abym ci pogrzeb pana Jana Tarnowskiego kasztelana krakowskiego, hetmana koronnego, nieodjeżdżając z Tarnowa Łacińskim językiem wypisał. Krótki czas naznaczyłeś mi, i ku łacinie, i ku pogrzebu: albowiem, i po łacinie mnie do ciebie pisać ziemianinowi, który ledwie polskie umiem, nie jest łatwa; i pogrzeb tak zacny i żalony onego dobrego człowieka, i sławnego pana, i dzielnego hetmana tak wystawić, abyś ty słysząc o nim, tak żalonym był, jako ja jestem na ten pogrzeb patrząc, to na mnie trudna jest. A wszakżeż, iż podobno myślisz to w cudze krainy dalej ludziom po łacinie podać, co się sam w Tarnowie na tym pogrzebie działo, wypisać wszystko porządnie, jakoby jaki komentarz, dodając wam uczonym materji, na którejby pióro wasze łacińskie tak bujało, jakby jedno chciało.

Winnimy tę posługę uczynić, naprzód ojczyźnie polskiej, matce naszej wspólnej, która szczęśliwa tym swym płodem była: winniśmy też to onemu zmarłemu, który na wszystkim narodzie polskim to wysłużył, aby w pamięci naszej on wiecznie żywym był: winniśmy też samym sobie, abyśmy tego daru Bożego, który miły Pan Bóg nam był dał z domu Tarnowskiego, wdzięcznemi się być pokazali, chcemyli drugi taki z rąk Bożych wziąć. Ale nie bawiąc się zalecaniem długo, słuchaj pogrzebu.

O pogrzebie Wielebnego Pana, zacnego męża i bohatera wielkiego, pana Tarnowskiego tak rozumięj, że pogrzeb ten przystojny był śmierci jego, tak jako też i śmierć żywotowi jego przystojna była. Jesliż tedy o pogrzebie jego mam do ciebie pisać, muszę od żywota jego począć, a przez śmierć do pogrzebu jego nakoniec przyjść, abyś wiedział, iż wszystek pogrzeb tego pana obchód, był przystojny Tarnowskiemu,

na którym nie zmyślonego nie było, ale wszystka prawda żywota jego rzetelnym wszystkim obchodem wyobrażoną była; co więc dziwna na inszych pogrzebach: gdy za szcekarzami drzewa łamią, albo za kacerzmi świece noszą, którzy, iż nie byli godni znaków tych, nieprystojnie obchód chrześciańskimi albo rycerskimi upominki się im wyrządza. Pierwój tedy powiem ci który, a jaki człowiek w Polsce umarł, potym ci kształt pogrzebu jego wypiszę temu umarłemu przystojny. Tu mało cię prosić będę, abys nie czekał odepnie o tym umarłym takiej mowy ludzi onych, którzy pochlebstwem jawnym ludzie śmiertelne, nieśmiertelnymi Bogi czynią, wyciągając sławę ludzką. Ja do ciebie pisać będę o Janie Tarnowskim, człowieku u Boga grzesznym, ale u wszech ludzi dobrym, i przez wątpienia Bogu miłym, dla prawdziwój swój wiary, który teraz to przed sobą ma, czym się Bogu i ludziom za żywota podobał, to jest: prawdziwą wiarę przeciwko Panu Bogu, a skutki wiary tój przeciwko bliźniemu swemu; z kąd téż i ozdoba chwały jego, a nie z moich słów w tym naszym Komentarzu niech będzie; gdyż tak i w zakonie pisano jest: Qui gloriatur, in Domino gloriatur. Z tego ja kresu nie wykroczę, ani od tego przykazania nie odstąpię ani na lewą, ani na prawą. Tak do ciebie o Janie Tarnowskim pisać będę, jako o jednym darze Bożym wielkim, którym darem domu Tarnowskiego Pan Bóg uczył, uraczył i uwielbił naród nasz wszystek polski. Bo abym to porządniej uczynił, pierwój powiem o zacnym narodzie jego, potym o wychowaniu jego, nakoniec o dzielności jego; niczego tu nie powiem, czegobys z wielką pociechą nie rad slyszal.

Wychowanie Tarnowskiego.

Został był Jan Tarnowski po ojcu swym Janie, panu Krakowskim, z matką swą w dzieciństwie sierotką. Był wychowany od pocziwój matki swój z wielką pilnością. Ale i to muszę, co mu się było będącemu w pieluchach przytrafiło, wypisać. Miał mamkę, której piersi pożywał, która niżli rok dziecieniu wyszedł, umarła, po której dziecie mamki żadnej innój jąc się niechciało, tak, że przez tę przyczynę pana tego ciało zliszajało nad zwyczaj rodzaju Tarnowskiego, krasnego, urodziwego rodu. Ten mimo inne, za tą przygodą człowiekiem krótkiego ciała był. Co nie jest dziw: bo i między zwierzęty każde zwierzę, które czasu swego nie dosie, zliszeje: ale jednak nieszczęście to jego, dziwnym sposobem, natura ona ostra i dzielna Tarnowska jemu nagrodziła. Albowiem dziecie ono przed dwiema laty dobrze mówiło i piątego Donaty umiało, dziesiątego

po sto wierszy z Wirgiliusza mówiło za text; piętnastego roku listy łacińskie w potrzebach swych do rad koronnych, i do króla Olbrachta pisało.

Miał dwa braty rodne: Aleksandra, który na Bukowinie zabit i Pana wojewodę Sendomirskiego, który potym umarł. Sam ten został w znamienitej ojczyźnie swój. Mógł być użyć swój woli, mógł być, jako mówią świata zażyć w młodości swój. Ale się jemu toż trafiło, co i Herkulesowi za wieku dawnego, który w młodości rozmyślając sobie, w któraby się drogę udać na świecie miał, na puszczy widzi dwie panie: jedną rozkosz, drugą cnotę. Rozkosz mu zalecała dziwne biesiady, pieszczoty, maskary, psy, kotki; a druga, to jest cnota, obiecywała mu srogość życia, nieprzyjaźni, niebezpieczeństwa, prace i wojny. Tu więc Herkules, gdy obaczył w tej rozkoszy upadek, udał się za cnotą, za którą sława, i błogosławieństwo wieczne tudzież w tyle było. Tę baśń wyraził dobrze w polskim wizerunku swym stryj mój Mikołaj Rej Oksza. Także ten Jan Tarnowski w rękach swych miał rozkosz, i cnotę. Ojca nie było, bracia pomarli, opiekuna też piętnasty rok nie cierpiał. Młodość go wiodła ku rozkoszy, była chuć ku złemu, była też możność ku uczynieniu, co ciału lubo było. A wszakoż krew ona Tarnowska sama przez się chyliła go od rozkoszy ku cnotcie, i ktemu go przywiodła, iż on dawszy diabłu, i rozkoszy po gębie, za cnotą się udał, i opuściwszy matkę i dom, do mądrego człowieka i urzędnika wielkiego Macieja Drzewieckiego, biskupa Przemyckiego, a podkanclerza na on czas koronnego, wszystek się był skłonił, aby jego radą i sprawą na dworze Olbrachta króla młodość swą wyprawował ku wszelkiej cnotcie, i ku wszelkiej uczciwości, domu wielkiego synowi przystojnej: z której sprawy swojej takie miejsce u króla Olbrachta miał, iż gdy był król zachorzał, a dekret był uczyniony, aby żaden do króla na pokój nie chodził, jedno wezwany, sam tylko pan krakowczyk, (bo go tak po ojcu naonczas zwano) dekretem albo edyktem o nim był wyjęty, aby jemu samemu tylko, i niewezwanemu wolno było do króla na pokój wchodzić. Toim ja słyszał od ojca swego, który naonczas dworzaninem u króla Olbrachta był. Takie świadectwo o wychowaniu swym, i wyćwiczeniu w młodości swój pan Jan Tarnowski miał.

Potém gdy z młodości już wychodził po śmierci Olbrachta króla, u Aleksandra, a potém u Zygmunta między pierwszymi dworzany był poczytany, który jakoby szczenię jakie z rodu myśliwe pokazywał się, ku jakiemu się on urodził polu: spraw bojowych na dworze się przysłuchiwał,

hetmanów się dzierzał, w rozmowach ich się kochał, historye możnych królów i hetmanów rad czytał.

Przyszła bitwa u Orsze z Moskiewskim, na którą Jan Tarnowski na swą szkołę z innemi panięty jechał. Tam na onęj wojnie moskiewskiej, on panięty huf świetny, i zacny, w którym Kmitowie, Tenczyńscy, Tarnowscy, Zborowscy, Ostrorogowie, Czarnkowscy, Zarebowie i innych rozliczne wielkich domów panięta, wszyscy Jana Tarnowskiego sami sobie i hufowi swemu byli przełożyli. Tam ona wrodzona w onym panie natura ukazała możność swą: albowiem nigdy przedtém nietylko wojennęj sprawy hetmańskiej, ale nigdy na wojnie nie będąc, tak on panięty huf sprawował, jakoby przedtém hetmanem zawsze ludu wielkiego bywał: albowiem tak on huf sprawował, iż z nim jedno jeden Kmita, a jeden Zborowski zabici są.

Te były, iż tak rzekę prymicie albo początki hetmana tego, u króla Zygmunta miłe, a u wszech sławne: i już w tenczas z tego początku rosła o nim nadzieja przyszłej dzielności wielka.

Cudzych krajów zwiedzenie.

Po bitwie moskiewskiej, schowawszy matkę swą r. 1517, nie chciał przestać na sprawach i na obyczajach domowych, ale opuściwszy dom, i dwór polski precz wyjechał, i po rozlicznych krainach pielgrzymował, szukając tak po ziemi, jako téż i po morzu onęj drogiej perły, którą nam ewangelia święta zaleca, ważąc na nią nie tylko koszt, ale nakońiec i zdrowie swoje. A tu mię spytasz co tak za droga perła jest? Powiem ci krótko. Być dobrym a cnotliwym.

Jan tedy Tarnowski widząc wielkie przykłady domowe, a chcąc nietylko równym przodkom swym być, ale chcąc téż przodki swoje celować, szukał pomocy ku tak wielkiemu celowi. Przeto nie gnił doma na Tarnowskim miedzie, nie trawił młodości swęj sprosnemi biesiadami dworskimi; nie przestawał téż na imieniu swoim Tarnowskim, chwałę przodków swych, za hańbę swą miał: poczytając sobie za hańbę imię Tarnowskich bez dobroci a cnoty Tarnowskich.

Przeto jakem już pisał, Chrześcijańskie i pogańskie kraje przechodził, przez bystre Dunaje i burzliwe morza pływał; w morzu, i w ziemi szukając godności wielkiemu człowiekowi przyzwoitej: i jeżdżąc, chodząc, pływając, nie oparł się, aż na Synai górze, w Jerozolimie oblanęj krwią Pańską. Aleksandryą, i wszystek Egipt, miejsca paniątkami staroświeckimi nadobne, przechodził, Ateny uczone widział, w Rzymie apostolskiej się stolicy uklonił, a ztamtąd do Hiszpanii, a potém do Portugalii jechał na

wojnę, przeciwko murzynom; Emanuelowi na pomoc: na której wojnie, gdy mu się było zdarzyło dobrze, przez francuską ziemię, a potem przez niemiecką i przez angielską do polskiej się był wrócił, wdzięcznym u pana swego poddanym, i wszem zaleconym człowiekiem.

Bitwa Obertyńska.

Skoro hetmanem Jan Tarnowski został, Piotr Wołoski wojewoda, podniósł walkę, hołd rzuciwszy, na króla Zygmunta, hołdownego swego pana. Posłan był na jego Jan Tarnowski, hetman wielki, z pięciu tysięcy ludu tylko, między którymi młodzików, aniżeli éwików więcej było. Widział Jan Tarnowski, że go Wołoszyn prześlągił ludem i mocą: widział też w wojsku swoim być trwogę, i rozpacz, jako to zwykło bywać na młodziki, którzy *Tyrone*s po łacinie się zowią. Chcąc tedy niebywalce one na nieprzyjaciela z nie-nagła naprawić, a serca im dodać, u Grudca na Pokuciu z szczęściem tysięcy bitwę zwiódł i nieprzyjaciela poraził: w której bitwie, acz sam hospodar mołdawski nie był, a wszakże onym szczęśliwym początkiem tak był młodziki swe Tarnowski zaprawił, że z chucią wszego swego wojska naprzeciwko hospodarowi samemu ku Obertynu obozem pociągnął. Miał Piotr wojewoda pięć i dwadzieścia równego ludu tysięcy: miał dział wiele, miał nakoniec wszemi rzeczami przeciwko naszym przyprawne wojsko. Który to Piotr, wiedząc o małości wojska polskiego, hardzie i swobodnie nocą przyszedł na obóz nasz, urągając, wyzywając, i hańbiąc wojsko polskie nasze. Wtenczas Jan Tarnowski hetman pokazał się czém był: albowiem sprawiwszy wojsko porządnie, sam na krzyż między wozy upadł, wzywając przeciwko mocy onęj wielkiey wołoskiej, ratunku Bożego na pomoc; polecając ziemię ruską, sam siebie i wojsko swe w obronę przeciwko mocy onęj Panu Bogu. Takowe nabożeństwo nieżyczliwi jemu za bojaźń poczytali: co i ja im przyznawam, i powiadam, że sroga tam tego hetmana bojaźń natenczas była. Bał się o ruską ziemię, które na bitwie onęj, jako na szańcu były wystawione; bał się o cześć królewską, o którą Zygmuntovi królowi z hołdownikiem swym szło; bał się o wojsko swe jemu zwierzone: bał się sam o siebie jako człowiek śmiertelności poddany. Bojaźń tedy ona była, która tam wtenczas męstwo hetmana ostrzyła. Strachci męstwo pokazuje. A przeto Jan Tarnowski w onym wielkim strachu będąc, ku samemu się Panu Bogu uciekł, widząc nitekzemne być siły wojska swego; to też pewnie wiedząc, iż nie w wielkości ludu, ale w siłach Bożych położone są wszystkie ludzkie zwycięstwa.

Jako ta pokora wielkiego tego hetmana iu Pana Boga ważna była, wnet się na świtanie ukazało. Albowiem dał mu był Pan Bóg serce mężne, sprawę mądrą, rycerstwo posłuszne: przeto on oną miłością wojska swego wielkie, i nadęte wojsko wołoskie poraził, Piotra wojewodę rannego, i ostatek wojska jego gonił, działa mu pobrał, ziem ruskich obronił, Pokucie wygrał, sprawiedliwość pana swego, i króla wszemu światu okazał! Czego wszystkiego w wielkiej pokorze płaczliwemi dziękami ku Panu Bogu używał, jemu samemu cześć i chwałę oddawał, rycerstwo swe umiłował, i każdego cnotę, i męstwo bez zwłoki wysławiał, upominki wszystkie tak od króla, jak od innych panów sobie posłane, między rycerstwo rozdawał, zbite ludzkie znaczne z płaczem pogrzebował. Takięci pokory w wielkim zwycięstwie zażywał, że go nikt nigdy nie słyszał tak mówiąc: poraziłem, wygrałem; ale: poraziliśmy za łaską Bożą, i sprawiedliwością pana, a króla naszego. O cnoto! jakież ty dzielna! Paniś jest, gdy na swego trafisz!

Po tej sławnej bitwie ruszył się do Zygmunta króla pana swego. Gdy od Mohiły ku Krakowu się przybliżał, rada koronna, i duchowieństwo, i wszystek Kraków jezdno i pieszo przeciwko niemu wyszedł witając, Toczono naprzód obfite działa, sztuk kilkadziesiąt, na których były herby polskie; przez Olbrachta króla w Wołoszech na Bukowinie stracone. Więźnie też zacne, Wołoską radę, przed nim widziano. Lud pospolity krakowski palcem sobie na działa, i więźnie pokazywał, mówiąc: ten jest Logofet kanclerz ziemie mołdawskiej; ten hetman mołdawski, dwornik Burkulap: to wszystko był król Olbrecht na wojnie potracił, co teraz nam Pan Bóg do naszego Krakowa wraca: bądźże Tobie Boże chwała; a ty bądź zdrów Tarnowski! bądź nam szczęśliwym hetmanem! i tak tryumfując na zamek wjechał.

Tam w kościele naprzód głównym przed ołtarzem na swe kolana z radami koronnemi upadłszy, Panu Bogu podziękował, że posług jego i królowi Panu zwierzchniemu, i wszystkiemu narodowi polskiemu poszczęścił. Po modlitwach onych, chorągiew ziemi Wołoskiej, z wielką bawolą głową, i z innemi chorągwiami mniejszemi, na wojnie wołoskiej zdobytemi, na grobie świętego Stanisława zawiesił, nie ku chlubić swój, ale ku chwale Bożej, i ku ludzkiej wiecznej pamięci.

Potem z kościoła z wielkimi tłumy ludzi wyszedł Jan Tarnowski ku królowi. Gdy na plac wchodził, tę cześć Zygmunt król temu hetmanowi wyrządził, której był za wieku królowania swego żadnemu hetmanowi nie wyrządził. Albowiem on wielkiej powagi król, z miejsca swego kró-

lewskiego powstał, i przeciwko niemu aż na ganek wyszedł. Tamże Jan Tarnowski Zygmunta, jako poddany a hetman króla swego z wielką ucziwością witał. Summa witania była: dzięki wprzód Bogu za zwycięstwo, a pokorne do króla upominanie, aby drugi raz Bogiem nie kusił, mało ludu przeciwko nieprzyjacielowi wielkiemu na harc sadowiać. Potem męstwo rycerskie (a o swoim nie) opowiadał, i prosił aby rycerstwo miłował. Na co król łaskawie odpowiedział, z zdrowia i szczęścia się jego radował, łaskę jemu, i rycerstwu obiecował.

Obchód pogrzebu.

Był na ten czas pan Jan Krysztof, kasztelan Wojnicki, syn jego w Gorliczynie u Przeworska, który dowiedziawszy się, że Ojciec już swój wiek zakończył, dniem i nocą z małżonką swą ku Wiewiorce biegał. Tam przyjechawszy ojca umarłego znalazł; ztąd w taką żalność, i w tak wielki smutek był wpadł, że się Doktorowie i służebnicy jego on bardzo bali. Także potym obiwszy żalobą w kościele, postawiono ciało, przy którym ustawicznie kapłani psalterz śpiewali, i msze miewali. Pan też Wojnicki z miłą i smutną małżonką swą, każdy dzień przy ciele mszy słuchali, od ciała całe trzy miesiące nigdzie z Wiewiorki nie odjeżdżali, świetność swoją, i Dworu swego w grubą żalobę wnet odmienili, i wszystko wesele w smutek wielki obrócili.

Po Polsce wszędzie, także w Litwie, i w Rusi, pełno żalności i smutku było. Naprzód król Jegomość, jako żalnościwym królem po tym hetmanie swym w Litwie był, wypisał o tym dostatecznie łacińskim językiem Piotr Rojzyusz, Hiszpan. W Polsce też, a zwłaszcza w Rusi, jako śmierć pana tego zasmuciła wszystek lud pospolity, ztąd znać możesz. W niektórych miastach zwłaszcza w Przemyślu burmistrz zakazał tańców i biesiad wesołych dnia onego, którego ta smutna nowina do Przemyśla przyszła była. U jednego mego przyjaciela byłem na biesiadzie: były krotofile tam wielkie; ale skoro ta wieść o śmierci tego pana przyszła, wnet nasze wesele w żalnościwą bolesć się obróciło. Panny tańców wnet przestały, umilkli piszczkowie, zgasła biesiada; a gdziekolwiek się obrócił, nie usłyszałem głosu innego, jeno: „jużemy siedli; jużci nie będzie Jan Tarnowski na podwodziech do Rusi biegał nas bronić!” Takiego płaczliwego narzekania wszędzie było pełno po Rusi.

Ale co się o tym długo bawić? Pogrzebu pompa żalosa jego, pokazuje jawnie, z jaką bolescią pospolitą Jana Tarnowskiego, hetmana i senatora, korona polska straciła, o którym pogrzebie słuchaj:

Gdy czas pogrzebowi na poniedziałek przed świętym Bartłomiejem założony był, w sobotę przed tym ciało z Wiewiorki na zamek Tarnowski było przywiezione, które ciało smutny syn z małżonką swą, i z panem wojewodą Sendomirskim, Stanisławem, bratem swym stryjeczynym, w wielkim zebraniu pań i panów z Wiewiorki na Tarnowo prowadził, aby z tamtego miejsca do grobu ciało prosto wiezione, na którym się też miejscu urodziło, było: bo pan Jan Tarnowski, na Tarnowie był się urodził. W niedzielę zjechało się było, jakoby na pogrzeb pospolitego Ojca wiele rozliznego ludu, którego tak wielka moc była, że w mieście, po przedmieściu, po wsiach, wszędzie pełno koni i ludu było, którym wszystkie stajnie i obroki hojnie rozdawane były.

W poniedziałek nad południem z zamku Tarnowskiego do kościoła ciało prowadzono. Tłuszcze były wielkie ludu, pola między zamkiem a miastem ludem smutnym, a czarnym były przykryte. W procesyi ubogich w kapach z świecami, huf wielki był, za którymi szli kapłani, między którymi ci byli pierwsi: Jakób Uchański Biskup Kujawski: Walenty Herbert Biskup Przemyśki, Stanisław Szumowski Szufragan Krakowski, Andrzej Przesławski Scholastyk i Wikary Wojciech Starzyski Archidyakon Krakowski, Jan Ławczowski Opat Tyniecki i drugi też był Pokrzywnicki, Jan Zborowski proboszcz sendomirski, Marcin Łyczko, proboszcz Tarnowski. Za xieżą tudzież kilkadziesiąt koni wiedziono, jedwabnemi dekami przykryte. Za końmi szły mary pod złotogłowy, srebrnogłowy, aksamity, których było kilkadziesiąt. Za nim jechał Stanisław Kozicki młodzieniec z proporcem czarnym, na którym złotem było wybito obraz krzyża sgo., a około, te były litery: *In hoc signo vinces*: a na drugiej stronie tegoż proporea złotym pismem, krótka historia dziejów jego była wyrażona.

Za tym proporcem jechało drugie pachole Bobola z drzewem: za nim Kirysnik Brzostowski, za Kirisnikiem jechał Nikodem Radoszowniecki podkomorzy w czarnej atlasowej długiej szubie sobolami podszytej, w kuczmie sobolowej, reprezentując pana swego umarłego. Za tą jazdą potem ciało wieziono. Po marach, i po koniach herby jego cztery: Heliwa, Sulina, Gwiazda, Koń stary. Za ciałem przy panu Wojnickim panów, paniat i ludu pospolitego tłum wielki. Przy pani Wojnickiej także pań i pańien mnóstwo wielkie.

Gdy ciało już w kościół Tarnowski nad wieczorem wprowadzone było, Łukasz Dominikan Lwowiezyk, osobliwe kazanie na onym pogrzebie uczynił. Tema kazania onego była: Izajasza proroka Cap. 1. *Et derelinquetur Filia Sion*,

ut umbraculum in vinea, et sicut tugurium in cucumerario, et sicut civitas, quae vastatur.

Było wprawdzie czego słuchać: i nie był na kazaniu żaden, aby się tej profecyi nie lękał. Przypominał też o żywocie pana tego tyle, ile czas mógł znosić. Po kazaniu tegoż dnia był kondukt, po kondukcie ciało do grobu nowego schowano na prawej ręce ołtarza wielkiego. Proporzec czerwony nad grobem zawieszono.

Nazajutrz procesye po kościołach były, za którymi panowie i panie nabożnie chodzili. W kościele u Bernardynów ksiądz biskup Przemyński żałobną mszą śpiewał: na ofiarę i panie chodzili. U Fary także ksiądz biskup Kujawski żałobną mszą śpiewał: po ewangelii kazał. Pelen kościół ludzi był. Kazał około bojaźni: żywot też umarłego pana przypominał, słuchali tego kazania, pan Wojnicki, pan Spytek Jordan wojewoda Krakowski; pan Marcin Zborowski wojewoda poznański, pan Stanisław Tarnowski, wojewoda Sandomirski: Stanisław Herbert Lwowski, Walenty Dębicki Sąddecki, Zbigniew Sieniawski Sanocki, Jan Herbert Lubaczowski kasztelan. Byli też Posłowie na pogrzeb posłani, jako: pan Jan Ocieski kanclerz koronny poseł króla Imci; tak też poseł Niemiec był od księcia pruskiego, poseł księcia Ostrońskiego i poseł wojewody Wileńskiego.

Po kazaniu u ołtarza podawano znaki, tak rycerskie jako i chrześcijańskie tego pana umarłego. Pan Wojnicki syn jego szczyt świecami oblepiony. Pan wojewoda Sandomirski synowiec niósł Kapalin świecami oblepiony, pan Jan Rzewuski niósł miecz świecami oblepiony. Pan Jan Sieniawski wojewodzie ruski herbownych panów z Tarnowa niósł, i łamał drzewo. Potém Brzostowski kirysnik z konia spadł z srogimi i ogromnym trzaskiem. Nie jeden tam w ten czas zapłakał, patrząc na onę śmiertelności odiniane; a jak ludzka cześć i chwała wniwecz się rychło odmienia, a prawie w proch się obraca. Ale jednak one wyświadczały, iż Jan Tarnowski prawdziwym chrześcianinem i rycerzem był. Oddawał nam żywym na swym pogrzebie zapaloną świecę, na znak, iż on świecy, którą był na chrzcie z rąk kapłanskich raz wziął, nie zgasił niewiarą, ani kacerstwem żadnym, jakoś to z żywota jego jasnie poznał. Oddawał nam też zbroję całą, na znak tego, że w rycerskim stanie był dobrym, a enotliwym rycerzem. A iż on dla rzeczypospolitej drzewa, zbroję, szczytu, konia swego przeciwko nieprzyjacielowi polskiemu, wiernie, a mężnie używał, z tego wszystkiego niech będzie dana od nas samemu Bogu cześć i chwała. Po tych i innych wszystkich ceremoniach, był obiad na probostwie wielki i długi. Ja nie byłem na tym obiedzie, bom się był zabawił koło tego

pisania; dla tego téż o nim nie piszę: to tylko wiem, że był dostatni, jako u pana wielkiego.

JAN ŚNIADECKI.

(z Wypisów p. Łyszkowskiego.)

W liczbie współziomków, którzy przez charakter, naukę, pracę, gorliwość o dobro powszechne i położone zasługi, mają prawo do pamięci i wdzięczności naszej, jedno z najznakomitszych miejsc zajmuje Jan Sniadecki,

Urodził się dnia 29 Sierpnia 1756 r. w Żninie, województwie gnieźnieńskim. Młodość Sniadeckiego była nieprzerwanym ciągiem najusilniejszej pracy i przykładania się do nauk; nadzwyczajna bystrość pojęcia, szczęśliwa pamięć i zapał szlachetny do celowania w postępach i nauce, zdziałały to, iż w 18 już roku życia swego, w którym gwałtowność namiętności porywa zwykle innych i czułego dozoru wymaga, Sniadecki przewodził już innym, zjednaawszy dla siebie przychylność i zaufanie najpoważniejszych osób. Miłość pracy i doskonalenie się w naukach, zamieniła się u niego w niezwykłą można mówić namiętność. Przebywając w Getyndze, dni trawił na lekcyach publicznych, oddany ćwiczeniu się w astronomii; w tej cudownej nauce, która, jak sam powiadał, najwięcej przynosi zaszczytu umysłowi ludzkiemu, i w pomocniczych jej umiejętnościach, a nocy przepędzał na uczeniu się budownictwa wojskowego, języka i literatury niemieckiej.

Ale ta chciwość pracy niszczyć zaczęła młode jego siły i wzrok nadzwyczajnie bystry z przyrodzenia przytępieć. Uważając to przyjazny jemu, a znamienity w owych czasach lekarz Baldinger, zaledwo mógł wyrwać zapalonego młodzieńca ze smutnego stanu zdrowia, w jakim się znajdował; on mu kazał zapakować książki i wyjechać natychmiast z Getyngi, dla zwiedzenia obcych krajów i przepędzenia kilku przynajmniej tygodni na rozrywce. Przekonany wreszcie o zupełnem sił swoich wyczerpieniu wyjechał Sniadecki w Listopadzie 1779 r. z Getyngi do Leidy, sławnej wówczas tylu uczonymi ludźmi, i tam główne założywszy siedlisko, kanałami różne odbywał wycieczki po całej Holandyi.

Te małe podróże wzmacniając nadwątłone zdrowie, przynosiły mu razem inne, a nie mniej ważne od samych książek korzyści. Jan Sniadecki zwiedzając obce kraje niepoprzestawał na powierzchowném ich oglądaniu; szukał on

znajomości i towarzystwa sławnych nauką i publicznemi cnotami ludzi, bez których każdy kraj, pozbawiony życia, mimo najcudowniejszych dzieł przemysłu i geniuszu ludzkiego, martwym byłby tylko siedliskiem niemych pomników. W obcowaniu więc z najuczeńszymi mężami Holandyi, nową i powabną znajdował naukę, obszernych nabywał wiadomości. Jakoż jednym z najpierwszych prawideł jego życia było, że się wszędzie starał o przybliżenie do najznakomitszych ludzi, wszędzie i zawsze szukał z nimi związków. Takim sposobem nabył wkrótce młody wędrownik polski między rówieśnikami swoimi wielkiej wziętości i znaczenia, a wrodzona uprzejmość, żywość i rzadki dar przekonywającej wymowy, garnęły do niego serca wszystkich, z którymi zabierał znajomości.

Naukowy zawód swój rozpoczął Śniadecki w akademii krakowskiej od czasu jej urzędzenia za Stanisława Augusta i zostawał w niej aż do początku 1806 r.; w tym przeciągu czasu odbył powtórna podróż za granicę r. 1804.

Podczas pobytu swego w akademii krakowskiej wydał algiebrę r. 1783 a między rokiem 1782 — 1785 rozprawę o Koperniku i geografią astronomiczną.

Odtąd co dzień rosła sława i wziętość Śniadeckiego, na którą bądź pięknemi płodami swojej nauki i wymowy, bądź niezgiętą prawością i mądrym urzędowaniem zasługiwać nieprzestawał. Po powrocie z zagranicy Śniadecki uległ silnym naleganiom i przeniósł się do Wilna. Zostawszy rektorem uniwersytetu wileńskiego, piastował ten urząd aż do roku 1823. Szkoła ta jemu winna swoje zakwitnienie, i pod jego sterem ukształciła tylu nauczycieli gruntownie oświeconych, tylu biegłych lekarzy i znamienitych autorów. Nigdy nie odmawiał rady, zachęty wsparcia uczniom, w których dostrzegał prawdziwy talent, pracowitość i dążenie do gruntownej nauki.

Dobroczynność była jedną z najpierwszych cnót Jana Śniadeckiego, ale skroinna i ukryta: bo z serca pochodząca; nieodbijała tak głośniego echa, jakie się roznosić zwykło od tych miłosiernych datków, które są owocem próżności i rachunku. W ostatnich kilku latach życia zdaje się, iż cnota stała się w nim panującą. W wiejskiem ustroniu, hojną ręką rozdzielał na około siebie dary. Ubogi wieśniak za najmniejszą przysługę, umyślnie wskazaną sobie, odbierał sowitą nagrodę. Nieszczęściem jakim przywalony, lub podupadły, niechybnie znajdował wsparcie. Co większa, każdy dar, każda pomoc Jana Śniadeckiego połączona była z tą rzadką delikatnością, która nieupokarzając nikogo, tysiąc razy miłszą ją czyni i samęj tylko wdzięczności uczucie zostawia.

Dnia 21 Listopada 1830 r. skończył życie Jan Śniadecki w Jarzunach, powiecie wileńskim i tam spoczywają zwłoki jego. Dnia tego zdawał się być zdrowym i jak zwykle siadł do stołu. Przy końcu obiadu głowę oparł na ręce, rozumiano że zasypia, wszyscy wyszli w cichości, aby nieprzebudzać ze snu czcigodnego starca. Niestety! był to sen śmierci. Zgon jego tak był lekki, spokojny, wolny od cierpienia, iż zdaje się, iż odpowiada użytecznemu życiu, niezakłóconemu nigdy żadną burzą, ani ciężkimi przygodami.

Pozostaje nam jeszcze wspomnieć o pismach jego. Oprócz dwóch jego dzieł naukowych Algebry i Trigonometrii, pisma Jana Śniadeckiego ogłoszone drukiem przystępne są dla każdego stanu i wieku. Obejmują one: geografią matematyczną, żywoty naukowe: Kopernika, Poczobuta, Kołłątaja, zagajenia akademickie, listy, rozprawy w naukach, rozprawy filozoficzne i filozofią ludzkiego umysłu.

Wszystkie te pisma cechuje jasność wykładu, czysta, wzorowa polszczyzna i nieprzerwany wzgląd na rzeczywisty pożytek, na stan naukowy swych współziomków. W geografii astronomicznej znajdujemy wykład prawd przez Kopernika i Neftona odkrytych i tłumaczenia najważniejszych zjawisk natury; ale to sposobem tak jasnym tak wzbudzającym zamiłowanie do nauki, że dzieło to nietylko u nas, ale i między dziełami najbardziej posuniętych narodów znamienite by miejsce zająć powinno.

Zdaje się, że Jana Śniadeckiego możemy uważać jako wzór tego praktycznego rozumu i zastosowania się do potrzeb kraju, którym odznaczyły się prace współczesnych jemu uczonych, jako to: Piramowicza, Kopczyńskiego, Dmochowskiego, tłumacz Iliady, Potockiego, Karpińskiego, i. t. p.

Może późniejsze pokolenie dalej posunęło wyobrażenie swoje co do pojmowania poezyi, ale nigdy nie przewyższy mężów tych w zasługach położonych dla kraju, języka i oświaty.

KOPERNIK.

Przez

Jana Śniadeckiego. Wilna 1818.

W dwudziestym szóstym roku panowania Kazimierza Jagiellończyka, Ery zaś chrześcijańskiej roku 1473 dnia 19 Lutego urodził się Kopernik w Toruniu, z ojca Mikołaja, i z matki Barbary Watzelrod, siostry Biskupa War-

mińskiego. Odesłany na nauki do akademii krakowskiej, i w rejestr jej uczniów roku 1492 zapisany, czerpał w tej jedynej podówczas polskiej szkole przez lat pięć wiadomości literatury greckiej, łacińskiej i nauk matematycznych. Tym trojakim rodzajem nauk słynęła pod ów czas w Europie szkoła krakowska. Jakób z Kobyłina, Mikołaj Szadek, Marcin z Olkusza, sławni matematyki profesorowie, byli współuczniami Kopernika, wszyscy zaś w matematyce i astronomii uczniami Wojciecha Brudzewskiego: i kiedy za naleganiem Xiążęcia Kardynała Fryderyka Jagiellończyka, Brudzewski wyjechał do Litwy na urząd sekretarza przy księciu litewskim Alexandrze, królu potem polskim; Kopernik w r. 1497 przeniósł się do Bononii: gdzie pod astronomem Dominikiem Marya z Ferrary, jak świadczy Retykus, nie jako uczeń, ale jako świadek i pomocnik, nad obserwacyami gwiazd pracował.

Wyjechał więc z ojczyzny swojej Kopernik już opatrzony w wiadomości astronomii i matematyki: któremi tak słynął we Włoszech, iż w dwudziestym siódmym roku wieku swego, ucząc publicznie matematyki w Rzymie, liczne bardzo zgromadzenie uczniów na swoje lekcyje ściągnął. Tam w ciągu swego nauczycielstwa, nie zaniedbując obserwacyi gwiazd, uważał zaćmienie księżyca w roku 1500. Wracając z Włoch do Polski, w Padwie popisywał się z swego w Anatomii postępu, i stopień doktora Medycyny otrzymał. W Krakowie zaś w liczbie akademików roku 1504 jest zapisany: i zdaje się, jak gdyby było jego przedsięwzięciem zostać przy akademii, gdyby go był wuj jego Biskup Warmiński, dawszy mu kanonią, do Warmii nie zawołał.

Ale nie zapuszczajmy się w dociekania i domysły o drobnych zdarzeniach i znikomych dziejach jego życia: bo historia człowieka, który pierwszy założył niewzruszone grunta nauki, i stał się, że tak powiem, nauczycielem wieków i narodów, bydz powinna historią jego rozumu. Zamiast więc szperać, za przykładem niektórych, po jego rodzie i pokoleniu, wnidźmy raczej w genealogią wielkich o budowie świata myśli i wynalazków, żeby się przekonać, iż Hypparch, Philolaus, Apollonius i inni wielcy w starożytności ludzie byli godnymi przodkami; Galileusz, Kepler i Newton potomkami Kopernika.

Jak szedł do poznania dawnych błędów i ich poprawy.

Co tylko osiadł w Frauenburgu, pilne uważanie biegów niebieskich, doskonalenie istotnych do tego pomocy, a najbardziej, jak się Pawłowi III. Papieżowi spowiada, ścisłe roztrząsanie wykładu i wszystkich Astronomii początków,

cały jego umysł zajęło. Chcąc odkryć i pokazać dzieło natury, zaczął naprzód być surowym sędzią tego, czego się nauczył. „Wystawmy sobie (mówi Kopernik w przedmowie do Pawła III.) członki ciała ludzkiego rozrzucone, pochodzące od osób różnego kształtu, urody i wielkości: gdyby kto pozbierawszy te tak różnorodne części do siebie zle przystające, w proporcji niezgodne, w stosunku nieforemne, wziął się połączyć je razem i złożyć; wystawiłby zapewne raczej poczwarę, jak postać szykowną człowieka. Taką budowę wydała mi się w ścisłym rozstrząśnieniu dawna nauka astronomii. Widziałem w tłumaczeniu biegów niebieskich mniemania naciągane do jednych przypadków, odmieniane lub odrzucane w drugich: tam wikłające porządek rzeczy, tu mieszające pojęcie, a nigdy prawie nie dogadzające przekonaniu: w dziełach zaś natury więcej okazujące dziwactwa i zamieszania, niż szyku i porządku. Cóż wypadało sądzić o całym tym gmachu, okrytym chmurą ciemności, i chwiejącym się pod ciężarem zarzutów i trudności? Oto, że cały fundament, na którym osiadł, musi być nieugodzony, słaby i fałszywy.“

To surowe o nauce Ptolemeusza zdanie, mające dziś za sobą całą moc ściśle dowiedzionej pewności, powiedziane na początku XVI. wieku, przed głową na ów czas całego chrześcijaństwa, wystawia nam w Koperniku człowieka, który natchnięty mocą przekonania, wynosi się pierwszy nad powagę czternastu wieków, nad uprzedzenia uporczywe i powszechne uczonych, wreszcie nad pozorne zmysłów świadectwo, i w rzeczach dociekaniu ludzkiemu zostawionych oddaje cześć prawdziwie, mężną ale przystojną odwagę. Wyćwiczony przez nauki matematyczne w sztuce ugruntowanego, czystego i porządnego myślenia, którego wzorem były i będą zawsze pisma Jeometrów dawnych, poniósł ten wielki człowiek w naukę astronomii tę głęboką i skupioną uwagę, tę skrzętną i surową ścisłość w równaniu, wiązaniu i dowodzeniu myśli: a nie mogąc zaspokoić swego przekonania tém, co się w oczach innych wydawało pewnością; odważył się wnieść w źródło wątpliwości, i sądzić mniemania ludzkie, równając je z widowiskiem biegów niebieskich.

Jakie miał niebezpieczeństwa do uniknienia.

W tak trudnym przedsięwzięciu trzeba było uniknąć dwóch równie niebezpiecznych przypadków, przez które przechodzić zwykły nauki fizyczne, naznaczone w epoce swego dzieciństwa najczęściej piętnem słabości ludzkiej. Tworzyć bowiem w fizyce mniemania i domysły, jestto czasem naukę dzieł przyrodzenia zamienić na zbiór uczonych

przywidzeń: zabronić sobie znowu wszelkich myśli do tłumaczenia i związania skutków naturalnych, postrzeżeń i doświadczeń, jest zostawić, że tak rzekę, odłogiem wiadomości nasze, a naukę skazać na wieczną nomenklaturę, obciążając pamięć bez zatrudnienia myśli i rozsądku. Trzeba więc do pomysłności w podobnym zawodzie szczególnie uprzywilejowanej głowy, obdarzonej siłą nie marzenia, ale zgadywania tajemnic natury. Nie dosyć, że jaka trafna myśl zabłyśnie rozumowi w takowem dociekaniu; pozostaje mu jeszcze téj myśli, poznanie wszystkich jej stron i postaci, godzenie jej z dziełami natury i świadectwem zmysłów; pozostaje nadto dostrzeżenie pewnych granic, do których nas te zmysły prowadzić mogą: rozróżnienie wszystkich odmian przypadkowych i obcych, którym czucia nasze podlegać zwykły: wreszcie pokonanie tego rodzicielskiego do myśli naszych przywiązania, które nas utrzymuje i zapala, ale téż częstokroć i zaslepia w poznawaniu rzeczy.

Zbiór i widok ogólny jego nauki i wynalazków.

Trafność w myśleniu i stosowaniu, utrzymanie pewnej uwagi między usługą zmysłów i władzą rozumowania, uspienie miłości własnej przez wygórowaną miłość prawdy, te są wielkie i rzadkie przymioty, które doprowadziły Kopernika do odkrycia porządku świata, i które on w jego wyłożeniu za prawidło myślenia potomności zostawił.

„Że słońce jest gwiazdą nieruchomą, otoczoną szeregiem planet około niego krążących, których jest i środkiem biegu, i pochodnią oświecającą: że oprócz planet głównych, są planety drugiego rzędu czyli księżyce, naprzód około swych planet, a potem wraz z niemi około słońca bieżące: że ziemia jest planetą głównym, bieg trojaki mającym: że wszystkie widowiska biegu dziennego i rocznego, wszystkie pory roku, i z nich wypadające odmiany w świetle i powietrzu są rzetelnymi skutkami biegu ziemi wirowego około swój osi, i peryodycznego około słońca: że wszystkie biegi gwiazd stałych są tylko złudzeniem oka naszego, a prawdziwym wypadkiem biegu ziemi: że nakoniec w biegu wszystkich planet, tak pierwszego, jak drugiego rzędu, zachodzą dwojakie skutki baczego rozróżnienia wyciągające, to jest jedne które pochodzą od biegu ziemi; drugie, które wypadają z ich własnego około słońca obrotu.“ Te są niewzruszone i wieczne w fizyce niebieskiej prawdy, które Kopernik pierwszy światu objawił i wyłuszczył w swém nieśmiertelném dziele o obrotach niebieskich.

Umarł Kopernik, kiedy wyszła jego książka o *obrotach*

Niebieskich już drukiem ogłoszona:¹⁾ był to wschód nieśmiertelności przy zgonie niktącego człowieka. Jego gieniusz w tém dziele wylany, wieleł się już że tak powiem, w pamięci ludzkiej, mając tak szczęśliwie zatrudniać uwagę, i upłodniać myśli i pojęcia następnych wieków. Wypracował i obia- wił dzieło to Kopernik, kiedy Zygmunt pierwszy władał szczęśliwie berłem polskiem. To panowanie tak dla Polski dobroczynne i świetne, tak dla nauk łaskawe i przyjazne, warte było tego znakomitego zaszczytu: jakoż rządy tego wielkiego, a zawsze miłego Polakom króla, będąc już pod ów czas przykładem mądrości, stały się jeszcze stolicą oświe- cenia dla całej Europy.

W pasmie przemian i znikomości rzeczy ludzkich, dwa tylko są źródła rzetelnój, trwałej i dobroczynnej chwały człowieka: dzieła sprawiedliwości, któremi się tworzy, utrzy- muje i zdobi porządek towarzyski; i wynalazki, które do- skonalać sily i władze ludzkie, odstawiają nam porządek fizyczny świata. Świat bowiem jest zbiorem niewyczerpanej różnaitości stworzeń; jego poznawanie jest składem niezli- czonych porównań, których człowiek istotnie potrzebuje do znalezienia i ocenienia swojej prawdziwej wartości: gdyż jej wiadomość jest najczęściej matką błędu i okropnych sku- tków moralnego nierzędu. Te same zaszczyty, które uzacniają człowieka w porządku towarzyskim, stanowią rzetelną chwałę narodów w porządku politycznym: i dla tego rządy pracu- jące nad szerzeniem dzieł sprawiedliwości, i opiekujące się postępkiem nauk, są prawdziwą i widzialną na ziemi Opa- trznością; bo wpływają skutecznie w doskonalenie obyczaj- ów, i władz człowieka: z których pierwsze stanowią całą dostojność i zacność; drugie zawierają całą dzielność natury ludzkiej: tamte kierują czyny, te prowadzą myśli ludzkie do najważniejszych osobistych i towarzyskich korzyści.

Liczymy w dziejach polskich te, lubo przemijające jednak zawsze chlubne epoki rządu opatrzności. Kazimierz wielki i Zygmunt pierwszy, zawsze będą odbierać błogosła- wienstwa Polaków: ostatni nawet zgon bytu politycznego Polski, nie przestanie być sławnym w dziejach narodów, pierwszym przykładem w ustawie i dziełach komisji edu- kacyjnej. Jej usiłowaniami zaszczerpione w Polakach szlache- tne do nauk i ich wzrostu przywiązanie, dało początek na- szemu towarzystwu, i tej gorliwości, z którą stara się czcić i uwielbiać wynalazki i prace swych uczonych rodaków. Ustały dla nas pożytki wielkich przykładów cnoty publicznej i mężstwa z dziejów domowych: ale owoce dowcipu i ro-

¹⁾ Umarł Kopernik 1 Czerwca 1543.

zumu, które się zrodziły na ziemi polskiej, zapalać nas powinny do utrzymania tego dziedzictwa chwały narodowej przez nasze niewinne prace około wzrostu nauk i umiejętności. Skazani na pokutę za błędy i przewinienia ojców naszych szukajmy pociechy w spokojnym, ale najdogodniejszym człowieka zatrudnieniu, to jest, w rozwadze prawdy i natury; w przyjemnościach i rozkoszach dowcipu.

ŻYWOT Ś. WOJCIECHA ARCYBISKUPA GNIĘŻNIEŃSKIEGO.

Żył około roku Pańskiego 950.

przez księdza Piotra Skarę.

Sława i światłość wielkich narodów, czeskiego, polskiego, węgierskiego, przenajchwalebniejszy mąż, kapłan i męczennik Chrystusów z narodu onego słowiańskiego, z Czechów idący, zacne i z królami krwią spojone rodzice miał: których on chwałę i stan wielki świecki, świętym i dziwnym żywotem swoim duchownym okrasil i wślawił. Będąc niemowięciem, zachorzał, i żalosc nie małą rodzicom uczynił: którzy pragnieniem zdrowia jego ściśnieni, pociechy swęj doczesnej w nim odstąpili, a P. Bogu na służbę go poślubili: woląc raczej żywym go między sługami kościelnemi widzieć, niż na smętną śmierć jego patrzeć. Poniesli go na poły umarłego do ołtarza przeczystej matki Bożej Maryi: prosząc aby ona na służbę synowi swemu nowego a maluczkiego sługę przykazała, a zdrowie mu do tego zjednała. Nieomieszkając dzieciątko ozdrowiało. Anielska i nasza cesarzowa świętą przyczyną swoją i cudem onym, naznaczyła sługę wielkiego Panu Bogu. Skoro trochę podrośł, oddali go rodzice kapłanom, i z sługą, który go z dzieciństwa pilnował. Ale gdy sługa on przez niestatek swój od pacholęcia uciekł, Wojciech téż święty po nim tęskniąc do ojca pobieżał. Nie wdzięcznie go ojciec przyjął, i jako zbiega różgami obil, i do szkoły oddał: a Pan Bóg rozum Wojciechowi otwarzając, i baczenia zaraz z nauką przymnażać mu poczał. Widząc dowcipne dziecię, rodzice dali go arcybiskupowi magdeburskiemu na wychowanie, na imię Albertusowi, u którego tak był wdzięczny, iż mu swe imię przy bierzmowaniu dał: i przeto dwoje imię miał, i z chrztu Wojciech, i z bierzmowania Adalbertus. Dziewięć lat na nauce strawiwszy, stał się z niego uczony człowiek w każdej nauce, iż mało sobie

równych towarzyszków w téj mierze miał. I wrócił się po skończonych naukach do domu ojca swego, gdzie go młodość i krew bujna uwiodła. Bo gdy z pracy szkolnej wyprzągł, a próżnowania sobie dopuścił, za światem się i jego próżnościami udał: na Pana Boga mało wspomnieć, rokoszy, marnéj kosztować, z rówieśnikami biesiad używać, i inne pochlebstwa a zwodzenia świata tego przyjmować począł. Nie długo w takim stanie nieprawej drogi trwał: Pan Bóg upominał go śmiercią pierwszego biskupa Pragskiego Drytmara, do której się był trafił: który iż umierać straszliwie wołał, że go czarni czarci do piekła wlekli, wielki mu gwóźdź w serce wbił, iż o poprawie żywota swego i drogach Bożych, którymi pierwéj chodził, statecznie myślił, i niemieszkając, ukrócił obyczaje swoje i w klubę je bogobojność wprawił. Rychło potem na pragskie biskupstwo, jako swoje krew, i zacnego, uczonego, a cnót pełnego człowieka Czechowie po Drytmarze obrali. Obrany będąc, jechał na poświęcenie do arcybiskupa Mogunckiego, i przy cesarzu Ottonie wtórem na dostojność biskupa poświęcony był. Wróciwszy się na biskupstwo, dochody kościelne na cztery części rozdzielił: jedną na kapłany i kleryki swe, drugą na ubogich, trzecią na poprawę kościołów i wykupno niewolników, czwartą na swoje wyżywienie. Wiódł żywot światobliwy: bogactwy gardził, złoto sobie za błoto miał, i rozkosze do piekła prowadzące o ziemię uderzył. To jedno jego pragnienie i staranie było, aby o Chrystusie myśląc, nic sobie innego nie smakował, niczego innego nie szukał, posty gęstemi i wielkimi trapił członki swoje: a modlitwa, była mu chlebem powszednim, w której się ustawicznie za swe i ludzkie grzechy, Panu Bogu skruszonym sercem korzył. Wszystką się siłą starał, jakoby był złe namiętności swe i chuć, i pokusy świeckie i cielesne, z serca swego wyrzucił. Serce wolne od myśli świeckich chować, na skrzydłach je rozmyślania nabożnego w niebo podnosił, i jako uczył tak żył, iż mu nikt rzecz nie mógł: przyjacielu, lecz sam pierwéj siebie. Wtym tylko nieszczęśliwy był, iż czujność około owiec swych mając, mało im pomagał: bo na złą a zepsowaną rolę trafił. Ludzie nieukarani, w zbytki wielkie i rozpustność cielesną się wdawali: niewolniki chrześcijańskie, i dzieci swe żydom przedawać śmieli, święta gwałcić, postów nie chować, nikogo nie słuchać, to ich obyczaje były. Klerykowie téż i stan duchowny naprzód się był skażył, karność kościelną zmiatali, biskupa sobie nic nie ważyli, i świeckie przeciw niemu a możniejsze pany pobudzali. Lecz wrzody one upominaniem, karaniem, przykładem: ale jako szaleni z ran tych tak szkodliwych, przywijania i ma-

ści drogie zdzierali, pracy było dosyć, a pożytku nie: upominania gęste, ale sprzeciwienie większe. Co miał czynić ś. biskup. Z jeziora niepołownego sieci zdjął, a bojąc się aby przy złych rybach a głębokiej wodzie i sam nie utonął, myśleć o sobie też począł. I postanowił udać się na pielgrzymowanie. W Rzymie u świętego Bonifacyusza, w zakonnym się ubiór obłókł, i pod posłuszeństwem starszego, ochotnie się do zamykania Boskiego w żywocie onym zapalał, każdemu najmniejszemu służył tym ochotniej, im mu co wzgardzeńszego poruczono, wzgardy się samego siebie a pokory pilnie ucząc, stał się jako małym już w leciech doskonałym, między małymi bratami kuchnią umiata, miski i naczynia umywa, wodę nosi, wszystkiej się domowej służby u starszego domaga. Myśl każdą swoją i co mu kolwiek czart do serca przyniósł, starszemu oznajmił. A w tym jednak mądrze się o trudnościach pisma świętego pytał, i o sposobach i naturach cnót i występków, rad rozmowy i nauki słuchał. I tak co dalej postępując, założył osnowanie pokory, na której inne cnoty szczęśliwie postawił, i stał się domem i budowaniem Bożym.

Przez pięć lat tam będąc, wszystkim się wdzięcznością obyczajów swych w miłość podał, wiele ich w cnotach doskonałości przechodząc; jeżeli kto zazdrością zdjęty okonąć nieżyczliwe obrócił, umiał go rychło pokorą ubłagać i ujać. W tém stęskniał się Czechowie i Prażanie bez swego biskupa, i wyprawili dwóch poń, Pappata i Chrystyana mnicha wymownego, którzy wzięwszy list od arcybiskupa Mogunckiego do papieża jachali, prosząc: aby biskupa ich posłał do sprawowania owiec, wszelaką poprawę ludu i posłuszeństwo pasterzowi swemu obiecując. Acz ta perła miła była papieżowi, i nierad z niej Rzym zubożył, wszakże dla ludzkiego zbawienia, Wojciechowi wrócić się na biskupstwo kazał. Toż mu i opat jego poruczył. On posłuszeństwem wol swoją przełomiwszy, wrócił się z onymi posły. Lecz skoro w jedno miasto czeskie, wszedł, wyjrzał iż przekupują w dzień święty, i frasować się począł, mówiąc, takście poprawę obiecali? Obruszyła ta rzecz bardzo świętego Wojciecha, a gdy co dzień większych grzechów przyczyniali, a za stare nie pokutowali, umyslił ich drugi raz odbieżyć, i powiedział swemu wiernemu towarzyszowi Pappatowi: abo masz zemną iść, abo mię więcej nie ujrysz. I puścił się do Węgier, gdzie mu się niejaka droga do szczepienia chrześcijańskiej wiary otworzyła. Bo książę Węgierskie Gejssa i z żoną przychylnym się wierze świętej pokazywał, i syna swego Stefana do chrztu, abo jako drudzy piszą, do birzmowania świętemu Wojciechowi ofiarował.

Tam nieco znajomości Bożej, przez rok i dalej z nimi mieszkając, w serea one pogańskie wsiawszy, i Chrystusa im opowiedziawszy, gdy do zupełnego fundowania tam wiary jeszcze pogody nie widział: znowu się do Rzymu do klasztoru swego do Benedyktynów wrócił.

Gdy Otto trzeci cesarz w Rzymie od papieża koronowany był: arcybiskup Moguncki pisał znowu do papieża, aby do owiec biskupa świętego Wojciecha z Rzymu wygnał. Długo się wymawiał, o pożytku swych owiec wątpiąc, a o swe się roztargnienie bojąc: wszakże iż nadzieję miał, że go męczenna korona potkać miała: dla téj saméj ochotnie się zasię wrócił. Przybliżając się do Czech niechciał prosto na swe biskupstwo jachać, ale się udał do Polski do księcia polskiego, Bolesława chrobrego: który napierwéj koronę królewską Polskę ozdobił, który go już przedtém znał i wielce miłował. Przyjęty jest z wielką cześcią od Bolesława jako człowiek święty.

Bolesław książę polskie, papieża prosił, aby mu go za arcybiskupa do Gniezna dał: wtenczas gdy stolica po Robercie pierwszym arcybiskupie osierociała. Tam w tym jako głównym mieście, jako pasterz najwyższy wszystkiéj Polski, Polaki nowe chrześciany w wierze świętej posilił: zbawienną im drogę ukazując, i w niebie patronem zostając, których i pieśni onéj, Bogarodzica, nauczył. Potém słysząc iż w Prusiech byli srodzy poganie i mōźni, którzy królom polskim wielkie i trudne wojny zadawali: ludzkiego zbawienia i chwały Chrystusowéj rozmnożenia pragnąc: Bolesława prosił aby go do Prus woda, na nawrócenie pogaństwa do wiary Chrystusowéj wyprawił. Acz mu żal było bardzo z ziemie swéj tak drogi skarb wypuścić, wszakże bacząc tak wielką i pilną około dusz ludzkich posługę, uczynił to; wyprawił go woda, dobrze szkuty opatrzywszy. Dwóch z sobą towarzyszków wziął kapłanów Wojciech święty, Gaudencyusza, i drugiego na tę drogę już z tym umysłem idąc, iż abo one pochańce nawrócić, abo wzdy męzną, i którój dawno pragnął, śmierć za Chrystusa podjąć miał. O nienasycone miłości Bożej serce, małoś już był prac dla Chrystusa podjął.

Wysiadł Wojciech święty z towarzyszami na jeden wyssep, który Wisła w Prusiech czyni; i tam się modląc, gdy sobie szczęśliwego wejścia na posługę Pańską prosili, Prusacy je niektórzy wypatrzyli, i cicho się do nich przewiozłszy, ujrzeli ludzie dziwne, niewidziane, w odzieniu mniskim, ale jako owieczki pokorne; i umysłili je poimać. Tedy jeden z nich najgorszy cicho schodząc na świętego Wojciecha, który wtenczas psalterz mówiąc, drogę swoją Panu Bogu polecał, okrutnie go wiosłem z tyłu między łopatki uderzył.

Padł o ziemię święty Wojciech, a oni wołali: co tu czynicie, uciekajcie z tad, pozabijamy was i pomęczemy prędko. A święty Wojciech on wielki ból cierpiąc, dziękował Panu Bogu w sercu swym.

Wyniść przecię z onęj pruskiej ziemi niechciał: ale szedł do jednego miasta gdzie był zjazd ludzi wielki do przekupna. Obstawili je ludzie oni srodzy, pytając: coście zacz, co chcecie: A święty Wojciech powiedział: idziem z Polski, niosąc wam zbawienie wasze, sługam jest Boga żywego, co stworzył niebo i ziemię, i wszystko co jest na nich. Poznajcie Pana Boga jednego, a wybawcie dusze wasze z mocy piekielnej i czartowskiej, wreszcze w Jezusa który świat odkupił, a chrzciecie się na grzechów waszych odpuszczenie. Takie i inne ewangelii ś. słowa, gdy chodząc po wsiach i miastach rozsiewał. Prusacy się śmiali, a słuchać nie chcąc, kazali im z ziemi winić, rozkazując pod utratą gardła i majątności, aby ich nikt do gospody nie przyjmował. Szli wzgardzeni z miasta w pole się udając. Myślił i mówił ś. Wojciech: podobno się tym ubiorem naszym brzydzą, abo by odmienić nam te mniskie szaty, a wziąć kleryckie; zapuścim już brody, a tym czasem idźmy do Litwy, potém się tu z lepszym szczęściem wrócim, albo tu gdzie wyrabiamy chleba, u jakiego wieśniaka, wzdłuż albo co ich zbawieniu pomóżem, albo wždy koronę męczeńską najdziemy. I puszczał się ku Litwie, w polu mszą świętą odslużywszy, a trochę się chlebem posiliwszy, w drogę swoją szli, a gdy czas nocny na odpoczynienie przychodził, położyli się w polu i spali, Panu Bogu drogę i zdrowie swoje polecieli. A gdy nazajutrz służbę ś. rano w polu czynili, Prusacy z poduszczenia najwyższego ich kapłana, którego Krywe zwali, żalowali iż świętego Wojciecha zdrowo puscili, i goniąc z gniewem, naleźli je niedaleko miasta Romowe nazwanego, na onejże służbie Bożej. Tam wnet porwawszy świętego Wojciecha, siedm włóczeń w nim utopili, i rozsiekawszy na drzewie zawiesili. Tak ten wielki święty oddał ofiarę swoją Bogu swemu, a męczeńskiej korony, której długo w rozlaniu krwi swój dla Chrystusa Boga swego pragnął, ucześnie się stał. Dwa jego towarzysze poimani są od onych okrutników, a ciało trzy dni tak leżąc rozsiekane, straż od jednego orla miało, aż się jeden zmiłował, i ono pogrzebł. Gdy się tego dowiedział Bolesław książę polskie, bardzo wielką żalością zdjęty, posłał zacne posły do Prus, żądając ich o ciało Wojciecha ś. A oni widząc iż się tak pilnie o nim król pyta, i stara, chlubili się z tego, mówiąc: Bogasmy polskiego zabili, i nie damy go inaczej aż nam tak wiele srebra przywieść król każe, jako ciało

samo zaważy. Nie żałował się na tak wielką utratę, pan on pobożny: wiedząc jako go Pan Bóg w wielkich a sławnych zwycięstwach za przyczyną tego świętego szczęścił, nad wszystkie skarby najdroższe sobie członki, w których Duch święty przemieszkował, i pałac Boskiego przebywania poczytając, zebrał wielką kupę srebra, i posłał do Prus. Ale Pan Bóg nabożeństwo i chęć pobożną Bolesławowi, cudem wielkim uczcił, i swego męczennika zasługę wsławił, bo ciało ono tak się lekkie na wagach stało, iż bradzo mało srebra wzięło. Z jaką czcią i radością, tryumfem i pokorą on król z kapłaństwem i ludem swym ciało ono pierwój do Trzemeszna, potem do Gniezna prowadził, baczeniu twemu polecam czytelniku, gdzie cudami wielkimi słynie po dziś dzień, i korony polskiej którą on wyniósł, wielkim obrońcą i patronem zostaje, przed sędzią i Bogiem naszym Jezusem, którego z Ojcem i z Duchem świętym moc, sława i rozkoszowanie na wieki. Amen.

C.

CHARAKTERY

CZYLI

WIZERUNKI HISTORYCZNE.

THE

WORLD OF THE FUTURE

JAN KARÓL CHODKIEWICZ

przez

Adamal Namuszewiczal. Warszawa 1865.

Widzieć było w Chodkiewiczu niepospolity szczęścia ludzkiego udział w samej jego postaci. Oblicze z wejrzenia groźne, lecz pełne powagi; czoło wysokie, nos orli, oczy bystre i przenikające, znaki pewne wspaniałej duszy i marsowego umysłu. Taż sama fortuna, która mu wysoki ród zdarzyła, nie była skąpą i w szafunku bogactw. Pojął w małżeństwo naprzód Zofiją Mielecką, wojewodziankę Podolską i hetmanównę wielką koronną, wdowę po Symeonie Olelkiewiczu księciu Słuckim: potem Annę Aloizyą księżniczkę na Ostrogu, wojewodziankę Wołyńską: obie panie urodzeniem, wychowem, pobożnością i bogatemi wnioskami znakomite. Sam idąc przez stopnie do najwyższych w narodzie dostojenstw, naprzód podczaszym Litewskim i hetmanem półnym, potem starostą Żmudzkim, gubernatorem Inflant i hetmanem wielkim, naostatek wojewodą Wileńskim został. Dzieła wojenne, odniesione z nieprzyjaciół zwycięstwa, ciągly niejakiś i ustawiczny pomyślnych losów akt w życiu jego związały. Atoli rządziła nim gruntowna cnota, która mu we wszystkich sprawach towarzysząc, pamięć jego wiekom podawać niestanie.

A naprzód zalecają jego pobożność, wiara żywa, gorliwość o nią, część Bogu czystem zawsze i żarliwem sercem oddawana, usilnie przed walkami modły, po nich uprzejme dziękczynienia; stateczne we wszystkie dni sobotne spowiedzi, i do stołu Pańskiego przestępowania. Nie ściszał dłoni dla rozszerzenia chwały bożej i pożytku bliźnich, poczyniwszy w Kretyndze, w Bychowie i Krożach dostatecznie dla różnych zakonników fundusze. A kochając Boga, musiał kochać i ojczyznę, ile że jedno bez drugiego być nie może. Świadkiem są tego sprawy jego i koszta łożone na obronę kraju. Miasto Bychowskie szanćami i murem, według żołnierskiej budowli należycie opatrzył: zamek Lachowicki mocnemi twierdzami obwarował: po wielu dobrach swoich pobudował arsenały, różnym one

rynsztunkiem i działami napelniwszy. Cnotę hojności, którą płonne umysły rozrzutem nie darami mierzą, do potrzeb tylko i nagród rozszerzając, ubogich prawdziwych wspierał, ranionych albo zasłużonych żołnierzy pieniędzmi, odzieniem, bronią, udziałem stołu, dawaniem koni obdarzał. Z łaskawości wielką sobie u obcych i swoich sławę zjednał, nie pastwiąc się nad więźniami, ale ich z honorem, darami i paszportami do swoich krajów odsyłając. Po zwycięstwie Kircholmskiem, pobitych nieprzyjaciół zwłoki, w najokazalszym sposobie, według obrządku ich religii pogrześć rozkazał lub dopuścił,

Wszystkie wyprawy jego do Inflant, dzielności, szczęścia i pracy będą wiekuistym dowodem. Nie było trudności w przeprawach, którejby nie przełamał: nie było miejsca tak obornego, gdzieby zwyciężkich orłów i pogoni nie utkwił: nie było nieprzyjaciela, którego by się uląkł i nie zgromił. Zamek Wołmierski bez klęski swoich, otwartym szturmem zdobył: Parnawę odzyskał i bronił: Rygę, Dyament, Derpt, Białykamień od szwedzkich zamachów mężnie zasłonił: a przenosząc meztwo z lądu na morze, tychże Szwedów okręty, niezwykły do wodnych przygód Litwin popalił. Kircholmskie jego zwycięstwo, w dziejach nawet obcych słynie; gdzie z trzema tysiącami jazdy, do czternastu tysięcy Szwedów, Niemców, Francuzów i Belgów z pola pozmiatał. Przydam tu, co mi sama prawda mówić każe; że przez tyle lat płosząc Szwedy, żadnej bitwy nie przegrawszy, całej tej wojny zupełnym pogromcą został. Wciągnęły go potem losy do kłótni Moskiewskich. W najtrudniejszych ojczyzny czasach wojskiem rządził: przecież choć w głodzie, nieprzyjaźniach, zazdrości, buntach żołnierskich, z ogromnemi Moskalów pułkami, krwawe zwodząc boje, sławę Rzeczypospolitej i drobne jej siły, które miał pod sobą, w całości zachował. Próżno mu zawiść niepomyślność pierwszej wyprawy zarzucała: jakby wódz ten, na cel swywoli i nieposłuszeństwu cudzemu wystawiony, idąc w zapasy z domowem szaleństwem a obcą potęgą, nie wiele dokazał, gdy obywatelów ocalił. Na długiej z Władysławem expedycyi, odzyskawszy obszerne włości i prowincye, chwalebne wojsko do domu odprowadził. Nakoniec po tylu pracach i trudach podjętych, taki mu kres życia nieba zrzadziły, ażeby je razem z wojną, ze wszystkich, ile ich prowadził, największą dokończył.

Był Chodkiewicz z przyrodzenia i zwyczaju na wszystkie wojenne fatygi i niewczasy nad spodziw otwardniały. Czulość, głód, upały, zimna, miękkich pieskliwców, postrach wyrodny, bardziej go jeszcze w statku krzepiły. Niezaspął

nigdy na pomysłne okazy: nie żałował kosztów na pomysłne szpiegi: a w rychłym i porządnym szykowaniu tak był dzielny, że się największymi w starożytności wodzami równał. Umiał geometryę i architekturę żołnierską: w językach różnych był biegły. Piękne konie, siedzenia, rynsztunek wojenny wielce kochał, i wnie się aż do okazałości sposobił. Słowem, z twarzy, głosu, jestu, chodu, odzienia, do wojny od natury uformowany. Mówił krótko, zwięźle i żarliwie w obozie jak żołnierz, w radzie jak senator. Z powagą słodczy, grzeczność i wesołość w prywatnych posiedzeniach łączył: chyba że w nim przy końcu melancholia górę wzięła, której z różnych chorób, pracy i troskliwości naciągnął, mianowicie podczas wojen moskiewskich, dla rozpusty żołnierskiej, a zazdrości równych. Wyprawa Chocimska, nie taka jak żądał umysł jego obszerny, a w szczupłym nader obrębie zacieśniony, do większego jeszcze smutku przywiodła. Często się wydawał z niepomiarowaną cholera, nie umiając powściągać pierwszych gniewu zapędów, mianowicie na wojnie tureckiej: dla której przyczyny wielu go żołnierzy nie lubiło. Przyznać jednak należy, że gdyby w rozlukanem konfederacką i moskiewską rozpustą wojsku, karności nie utrzymał, stracilibyśmy dawno już skołataną tyłą przeciwnościami ojczyznę. Żył lat sześćdziesiąt, przebywszy zawsze prawie w polu i na koniu około czterdziestu. Ciało zmarłego z Chocimia do Kamieńca, potem do Ostroga przeniesione, w grobie od żony zbudowanym złożone spoczywa.

DŁUGOSZ.

Przez

Jędrzeja Moraczewskiego.

Długosz na swoją epokę prawdziwie wielki pisarz; jest jedynym z tych, któremu od wstąpienia na tron króla Władysława Łokietka z małym wyjątkiem tego, co Archidyakon gnieźnieński dobrze opisał, niemal wszystko zawdzięczamy o Polsce i nawet o postronnych państwach aż do traktatu ołomunieckiego.

Nie w tém Długosza zasługa, że zaspokaja ciekawość ale w tém, że przez niezmordowaną pracowitość więcej nad wszystkich innych pisarzy przyczynił się do obwarowania miłości ojczyzny w sercach polskich. Zakończył on swoje błogie dla Polski życie w dniu 29. Maja 1480. roku. Rok

przeszło ciężką słabością złożony, w spokojniejszych chwilach brał pióro do ręki i bieżące wypadki, jak mógł zapisywał, dopóki w Bogu nie spoczął. Trudno się wstrzymać, aby z rzewliwego zamknięcia jego dzieła, albo raczej dziejopisarskiego testamentu, przynajmniej trzech ustępów nie przytoczyć: „po zgłębianiach i rozmyślaniu,“ są słowa Długosza „po podróży i zachodach, które przedsiębrałem dla wyszukiwania źródeł i swoich i cudzoziemskich, po zniwagach i obmowach, po ubliżeniach i naganach, unoszę się i niedrobną rozkoszą wśród ciężkich i na łożu boleści, żem do końca niniejsze doprowadził dzieło.“ A jeżeli się czytelnikowi pokaże coś, albowi wszystko nieskładnem, bez ogłady, niechaj przebaczy brakowi nauki wysłowienia, zdolności. W tym obszarze tak rozmaitych przedmiotów, trzeba być aniołem, aby umieć wszystko do jasnej prostoty a szczerzej prawdy doprowadzić. Niepisałem ja ewangelii ani listów kanonicznych jak święci apostołowie, tylko według mego ducha pisałem o rzeczach ludzkich, przechodnich, zmiennych, ale odpowiedzialność za rzetelne przedstawienie biorę na moje sumienie, bez obawy nadwreżenia.“ Złożywszy dzięki Panu Bogu, Najświętszej Pannie, archaniołom i świętym patronom Polski, dodaje Długosz na koniec: „wzywam was duchownych, zakonników, mężów świeckich wysokiego ukształcenia, doktorów, profesorów, magistrów, i młodzież naukową i przepisujący ze wszystkich wydziałów świetnego naszego uniwersytetu krakowskiego, ażebyście, jak który będzie miał sposobność, w całości lub częściowo, moje dzieje dalej prowadzili, a upaść i przeminąć im niepozwolili. Was jeszcze doktorowie, magistrowie, profesorowie proszę, błagam, zaklinam: wyznaczcie jedną z lepszych kolegiatur, a do niej zaopatrzcie magistra ze zdolnościami, posiadającego naukę i wyższe wiadomości: niechaj wolny będzie od wszelkich innych zatrudnień, wyłącznie poświęca się dziejom: nad nimi myśli, w nich się tylko kocha i rozkosz znajduje, przy nich czas spędza, o nich tylko we dnie i w nocy z drugimi i z sobą rozmawia.“

Długosz urodził się roku 1415 we wsi Niedzielsku pod Wieluniem, żył więc lat sześćdziesiąt i pięć: nauki odbywał w Krakowie, a poświęciwszy się stanowi duchownemu, snadno wyszedł na kanonika krakowskiego i kustosza kolegiaty wiślickiej. Kardynał Olesnicki, przez znaczny ciąg czasu rządca Polski, to pod imieniem zgrzybiałego Jagiełły i rejencyi, albo w zastępstwie Władysława Warneńczyka, lub w bezkrólewii po nim, a na koniec za pobytu w Litwie Kazimierza Jagiellończyka, nie w jednej ważnej sprawie polegał na Długoszu. Jemu to polecił posłannictwo do Rzymu

względem ostatniego otrzymania kardynałstwa i na Węgry w celu pogodzenia Hunyadego z Giskrą. Za Kazimierza króla dla niełaski z powodu zatargów o biskupstwo krakowskie, przez czas niejaki niebrał Długosz udziału w sprawach królewskich i Kraków opuścić musiał, jednakże potem wrócił do łaski króla, prowadził układy o Malborg i inne miasta z najemnikami krzyżackimi; do traktatu toruńskiego znacznie się przyczynił. On należał do pełnomocników królewskich, co oddawali Czechom powołanego na tron Władysława Jagiełły, on bronił jego praw przy układach w Nisse, a lubo dla swego niższego tytułu ukazuje się wszędzie po za biskupami, wojewodami, kasztelanami i urzędnikami królestwa, przecież każdego zbiorowego działania samą treść stanowił. Jak oświata, tak bezinteresownością wyższy nad drugih, niewiązał się ani do króla, ani do papieża, bo wtedy tylko osobistości, a nie uczucie do prawdy i sprawiedliwości się odzywały: dla tego w sporze władz duchownych ze świeckimi, patrzył, na której stronie cel dobry przeważa i téj zaraz się chwycił. Słyszając z pobożności, nie zapominał o szczęściu doczesnem narodu, a interes całego chrześcijaństwa z interesem Polski starał się godzić. Dzieje polskie Długosz przez lat dwadzieścia pięć z wielką pilnością pisał: nieraz wykrywszy nieznane źródło, znaczną część na nowo, a czasem do szóstego i siódmego razu przerabiał. Prócz dziejów ogromnej obszerności, wygotował geografią Polski, opis życia świętego Stanisława, niemniej świętej Kunegundy żony Bolesława wstydlwego, książkę o rodach i herbach szlachty polskiej. Ułożył z należytemi opisami wykaz wszystkich dochodów nie tylko katedralnych, ale i klasztornych i rozmaitych kościołów i pobożnych zakładów w diecezyi krakowskiej. On miał pierwszy przywieść z Włoch do Polski rękopisy historyków łacińskich Liwiusza, Salustiusza, Kurcyusza, Justyna, a zarazem niemało dzieł Cicerona, o czém jednak wątpić trzeba bo niektórzy ci autorowie: już dawniejszym polskim pisarzom znani byli. Będąc już na łożu choroby, został Długosz przez króla do Rzymu przedstawiony na arcybiskupstwo lwowskie, które jako w kraju ruskim, bardziej z tytułu tylko, niż z innych względów pojętnem być mogło. Przyszła atoli śmierć, nim się w zupełności doczekał tego wysokiego urzędu nie tak w kościele, jak na radzie królewskiej. Ciało Długosza złożono na Skałce i obok grobu świętego Stanisława, jako w kościele, przy którym on dopiero Paulinów osadził i uposażył.

CHARAKTER SŁOWIAN.

Wyjatek z dzieła A. W. MACIEJOWSKIEGO: „Historja prawodawstw Słowian,”
Warszawa i Lipsk 1832—1835 roku. Tomów 4.

Słowianie mieli ciała rosłe, zdrowe i silne. Z twarzą wszyscy byli podobni sobie; toż samo z koloru włosów, oczu, z mowy i charakteru, który był prosty, otwarty i łagodny. Z natury weseli, szczególniejsze znajdowali upodobanie w muzyce; mieli oddawna wyraz *gusle* od Serbów dziś jeszcze używany, na oznaczenie muzycznego narzędzia. Byli religijni, ale się oraz gusłom i wieszczbiarstwu oddawali, i to pomiędzy niektórymi ludami słowiańskimi mieszkańcami z téj strony Karpat upowszechnili. Lubili nad wszystko wolność, nie cierpieli mieć pana nad sobą. Później od Greków przymuszeni żyć pod władzą jednego, rodakowi rządy oddali, woląc swemu raczej, niż obcemu ulegać. Skromni w jedzeniu i napojach uczt nie lubili, łatwo znosząc głód, niedostatek i trudy. Wszakże przykrzyli sobie znosić rolnicze znoje; woleli raczej trudnić się pasterstwem i chowem bydła: ale z czasem polubili wiejskie prace i wielce im się oddawali. Domowe ich pożycie było wzorowe. Pospolicie odbierała sobie życie żona po stracie męża, nie mogąc przeżyć jego śmierci. Z cudzoziemcami do siebie przybyłymi, jak najgościnniej się obchodzili, i wywierali zemstę na tego, który się z przychodniem źle obszedł. Domy swe stawiali w niedostępnych miejscach, a będąc zewsząd otoczeni nieprzyjaciółmi i zawsze ich napadu lękając się, mieszkania swoje opatrywali wielu wychodami, ażeby się tém łatwiej w razie niebezpieczeństwa uratować mogli. Z tego też powodu mniej dbali o wygodne mieszkania; i to za zwyczaj się składało z chałupy nieczystej i brudnej. W obrębie granic swych walcząc, nadludzkie okazywali męstwo. Najbardziej lubili walczyć w ciasnych i do nagłego napadu sposobnych miejscach. Lekka zbroja najbardziej im przystała i walka nie w szeregach, ale pojedyncza. Z wrogiem zaciętym walcząc, strzał jadem zatrutych używali: a w razie grożącego im niebezpieczeństwa, wskakiwali w wodę, pod którą długo bez utraty życia zostawać umieli. Wszakże wroga swego dopóty za nieprzyjaciela uważali, dopóki stał na placu bitwy. Z pojmanym obchodzili się łagodnie, nieobracali go na niewolnika, lecz po skończonej wojnie pozwalali mu za okupem powracać do domu, albo jeżeli zechciał, pozostać u nich i żyć z nimi w przyjaźni. W zdrowych i pięknych mieszkając okolicach bardzo się rozmnażali, i dla tego wcześniej zaczęli w obcych krajach osady zakładać.

Przeszedłszy góry posuwali się coraz dalej na zachód i połączyli się z przedkarpaccimi Słowianami, w Morawii, Czechach i nad Elbą mieszkającymi. I tych obyczaje powabnemi kolorami malują nam kronikarze niemieccy; ale ich charakter w wielu razach, różnił się od charakteru Słowian zakarpaccich. Według wyznania tychże kronikarzy, poczciwość, rzetelność, łagodność nawet względem swych nieprzyjaciół zachowana, piękne ich cechowała dusze. Był to lud pracowity i na wszystkie niewygody i trudy zachartowany; ale ucisk i przemoc Niemców zrobiły go gnuśnym i niedoleżnym. Starszym i przełożonym okazywał wielkie uszanowanie. Był religijny i niczem się nie dał skłonić, ażeby, nawet gdzie tego zachodziła potrzeba, przysięgał. Gościnność aż do tego stopnia posuwał, iż osobne czczył bóstwo gościńi się opiekujące (*Radagast*). Charakter jego otwarty, sposób myślenia prosty i niedostępny, obyczaje łagodne; ale im bliżej Niemiec mieszkał, tém był skrytszy lud słowiański w zawieraniu przyjaźni ostrożniejszy; wszakże z kim ją zawarł, wiernie mu jęj dochował. Bratem swoim nazywali Słowianie przedkarpaccy tego, z kim się rozmówić i zrozumieć mogli; ale o tém braterstwie zapominali ci, którzy z Niemcami sąsiadując, ich językiem przemawiać, i ich obyczajem rządzić się nawykli. Od nich to i od Prusaków, narodu niesłowiańskiego, przyjęli wiele szpetnych zwyczajów. Do tych ja liczę zabijanie ludzi bogom na ofiarę, mordowanie nowonarodzonych dzieci i wielożeństwo, które na Pomorzu i nad Elbą u wszystkich klas ludu miało miejsce; gdy przeciwnie u innych Słowian, podobnie jak i u Scytów, tylko królom było dozwolone. Wszakże z tego co im jest wrodzone, to jest, z zamiłowania wolności, którą nad życie cenili, nigdy się nie wyzuli Słowianie; bronili jęj do upadłego: i naród który jaki lud Słowiański ujarzmił, musiał go albo wytępić, albo swobody jego zachować. Więc ażeby zawsze być w stanie obronienia tego, co najdroższém dla serc swoich mieli, zarówno kobiety, jak i mężczyźni uczyli się władać orężem. Nawet i *Wenus słowiańska* wyobrażoną była zbrojną.

Odkąd się Słowianie na osobne podzielili pokolenia, i osobne narody składać zaczęli, charakter ich w głównych zarysach wszędzie był jednaki, w szczegółach się tylko różnił. Wszakże malując charakter głównych narodów przedkarpaccich i zakarpaccich, nie na pojedyncze zdarzenia względ mieć należy, ale potrzeba badać ogół, i ztąd pewny wyprowadzić wniosek. Dawni kronikarze tu i ówdzie nieco nam w téj mierze napomknęli: ich następcy mniemali, że dosyć jest wiele nagromadzić szczegółów, ażeby dokładnie

charakter narodu opisać, dla tego też pożądanego nie dopięli celu. Dalej w tej mierze postąpili pisarze nowsi; wszelako i z ich opisów coś dokładnego o duch narodu, a przynajmniej co się pierwszego okresu¹⁾ dotyczy, wyciągnąć niepodobna.

Charakter Polanów, narodu, jak się zdaje z Lachami, później nazwanemi Polakami, będącego w związku, krótko ale dobitnie opisał Nestor. Samychże Lachów dzieje tego okresu roztrząsnawszy, pokaże się że umysł ich był już to spokojny i łagodny, już prędki i porywczy jak nurty Wisły, której zamieszkiwali brzegi. Ręka zręczna tym narodem kierująca, i w duchu narodowości jego działająca, potrafiła zawsze jak miękkiemu woskowi nadać kształt, jaki sama chciała; zwłaszcza jeżeli żywy jego umysł zawsze czemśis zająć się potrzebujący, stosownie zatrudnić umiał. Ale czemśis użytecznem niezajęty umysł Polaka, sam się zaprzętnąć potrafił. W obradowaniu i sejmikowaniu najbardziej sobie podobał: i to jest jego istotny żywioł, do którego zawsze tęsknił i wzdychał. Zalety jego i wady te same są któreśmy w ogólnych zarysach dopiero opisać mówiąc o zakarpackich i przedkarpackich Słowianach. Zwykł on je odkrywać w czasie wielkich niebezpieczeństw ojczyzny i dowieść, co też istotnie już w tym okresie za czasów Władysława Łokietka światu objawił, że wszystko dla dobra powszechnego poświęcić jest gotów, niekiedy nawet i osobistą urazę. Rolnictwem, pasterstwem i łowiectwem zajmował się szczególnie: prawodawstwo jego dostarcza na to dowodów.

W ciągu okresu drugiego, u wszystkich Słowian, włościanie a pomiekad i mieszczanie, mało co obyczaje swoje zmienili; ale będąc upośledzeni, w późniejszym zwłaszcza czasie, przez panów i szlachtę, upadali się, gnuśnością i pijaństwem. Szczególnie też o włościanach polskich i ruskich, rozpajanych przez żydów, powiedzieć to należy. Po miastach większych, panował obyczaj i zwyczaje cudzoziemskie. Właściwy więc charakter słowiańskich ludów, jaki one w tym okresie rozwinęły, upatrywać należy w stanie wyższym.

W ogóle przyznać trzeba, że wszelkie wady, jakie się panów i szlachty czepiały, miały swój zaród w braku gruntownej oświaty, o którą się przecież słowiańskie ludy zawsze ubiegały, ale jej stale posieć nie mogły. To sprawiło iż panowie i szlachta, czeska też mianowicie i polska, raz popadłszy w błędy, pozbyć się ich nie mogła; dla tego, że będąc powierzchownie ukształcona, lubiła słuchać rozsie-

¹⁾ Maciejowski dzieli historią prawodawstw słowiańskich na dwa okresy: pierwszy kończy się w XIII i XIV wieku, drugi w XVII i XVIII.

wanych o sobie pochwał, a za urazę poczytywała, jeżeli jej ktoś błędy wytykał i na dobrą naprowadzał ją drogę. Co większa, łudząc się pozorem, w błędach nawet własnych pewne upatrywała zalety, a przejmując obce wady, mniemała że narodowość jej, nie tylko na tém nie szwankuje, ale owszem wznosi się i krzepi. Tak więc panowie czescy, zapatrując się na magnatów zachodniej Europy, włoskim obyczajem, pod owe czasy żyjących, włoskim odznaczali się polorem, a w ich ślady wstępując stan miejski, a poniekąd i wiejski, podobnie jak i Włosi miał upodobanie w sztukach pięknych, w próżniactwie i t. p. wszakże wad szpetnych, mieszkańcom włoskiej krainy właściwych, potrafił uniknąć. Czeskim obyczajem prowadzili się z początku panowie polscy; ale później, mianowicie też przez królowe Francuzki, i ogólny pociąg do francuzczyzny całej niemal Europy, francuzkie polubili obyczaje. Jednakże Polaków obyczaje nie zfrancuziały; bo Polak nie zasmakował w dowcipach i uszczypliwości francuzkiej. Pańskiemu sposobowi życia, potakując szlachta i chętnie na ich przebywając dworach, pańskie obyczaje i zwyczaje w domach swoich zaszczerpiała. Nie dziw więc, że teraz i w szlacheckich dworach, obcych poniekąd obyczajem prowadzić się zaczęto, i chętnie obceni przemawiano językami. To bardzo było na rękę cudzoziemcom, tłumnie się do słowiańskich krajów zbierającym: uwielbiali oni polor i oświatę słowiańską, a szlachta lubiła słuchać pochwał rzesisto sobie ztąd sypanych.

Rozmaite okoliczności wzbudzały chęć w panach i szlachcie, podania do potomności swojego imienia. Kiedy jedni, za własną lub obcą walcząc sprawę, na polu marsowem, chlubne zbierali wawrzyny, inni, w zaciszu ukrywając się domowem, obrali sobie sądownictwo za środek do dopięcia swego celu. W Polsce zawierając umowę obywatel, i z tego powodu akt urzędowy spisując, w niego niemal cały rodowód wpisywać polecał. W Czechach pilnie wyszczególniano w prawnych wywodach, rodowitość i familijne stosunki takie, które do rzeczy wcale nie należały; i tamże częstokroć pieniano się dla tego jedynie, ażeby publiczne i prywatne archiwa, zapelnąć plikami sądowych papierów. Nikt się więc dziwić temu nie będzie że u nas, na Węgrzech i w Czechach, upowszechniło się pieniactwo w wysokim stopniu, i że, jak wyraźnie w prawach naszych i czeskich powiedziano, umyślnie nabywano spory od obcych, byle się pieńnić w sądach.

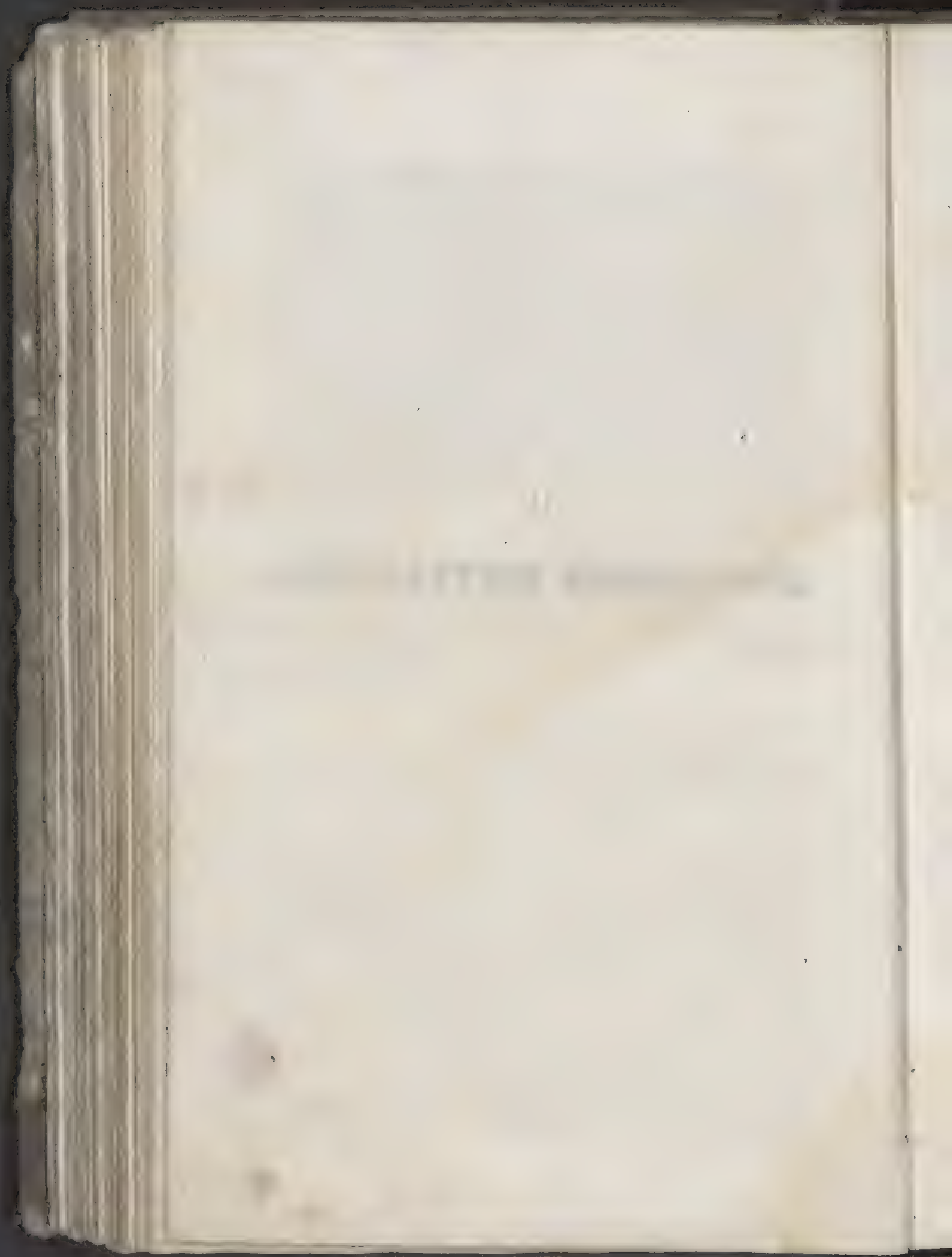
Z zamięłowania publicznego życia i uczęszczania na sejmiki i sądy, wylęła się rubaszność, którą łatwo przy-

swoił sobie wesoły i lekki umysł Słowianina. Ztąd poszło, że u nas i gdzieindziej, do najpoważniejszych rozpraw mieszano żarty, najbardziej ponurową twarz rozśmieszyć zdolne, i że nieraz poważne sprawy w śmiech obracano, byle innych pobudzać do śmiechu.

Atoli rząd sprężysto działający, tudzież skromne i cnotliwe słowiańskie niewiasty, potrafiły zawsze utrzymać na wodzy płęć mężką w należytych karbach przyzwoitości; bo dla obudwu miał naród wiele szacunku. Każdego niemal słowiańskiego ludu ustawy, osobne przyznały białymgłowom prawa, świadczące, jak wielce bitni i czuli Słowianie, ród poważali niewieści. Burzliwy i na obradach publicznych opryskliwy Słowianin, w domowém zaciszu zupełnie się dał powodować swojej małżonce; a przy końcu okresu tego, w publiczném nawet życiu, podług ich woli, albo raczej rozkazu, stawiał swe kroki.

D.

MONOGRAFIE HISTORYCZNE.



DZIEJE PANOWANIA ZYGMUNTA III.

Przez

J. W. Niemcewiczal. Warszawa 1836.

Sejmiki po śmierci króla Stefana.

Rok 1587.

Już zdobywca Połocka i Inflant, mężny król Stefan Batory, w Grodnie, dnia 12. Grudnia 1586 r. życia dokonał. Porwały go Polsce zawistne przeznaczenia, w chwili gdzie zwyciężkim bułatem rzuciwszy postrach na sąsiedzkich mocarzów, od zwalczonych pokoju pewny, ciężkie rządu naszego wady, poprawić, niepewność losów naszych ustalić zamysłał. Niepłonnem jest dziejopisów zdanie, że mąż ten wielki, za przeważnym Zamojskiego wpływem, zamysłał przed zgonem swoim, lub ustanowić następstwo, lub przynajmniej sposób elekeyi poprawić, że chciał położyć szranki swawoli, ukrócić zuchwalstwo możnych, słowem swobodom, rządowi naszemu, nadać trwałość i pewność. Zamysł acz i w ten czas już trudny, wyrównywający jednak Bohatera śmiałości! Już wieści o tych wielkich odmianach rozchodziły się po kraju: cieszyli się miłośnicy powszechnego dobra, znana w królu przeciw burzycielom surowość, świeży na Zborowskim przykład, powściągały zuchwałych szemrania; zbliżaliśmy się do szczęścia, oddalił je na zawsze nagły prawie zgon najwaleczniejszego z królów.

Gdy wieść o tak ciężkiej stracie rozeszła się po kraju, pomieszanie, okropna żalność przejęły serca Polaków, nade wszystko ludzie rycerscy, przypominając odbyte świetne pod nim wyprawy, niebezpieczeństwa nawet i trudy, opłakiwali w Stefanie, króla, wodza, dobroczyńcę, całą chwałę i zaszczyt swój.

Stanisław Karnkowski, prymas królestwa i arcybiskup gnieźnieński rozesłał uniwersały na sejmiki, senat zaś zwołał do Warszawy na dzień pierwszy Lutego. Stanisław Żółkiewski, ojciec sławnego później hetmana, krótko przed śmiercią Stefana na województwo ruskie wybrany, we Lwo-

wie, szlachtę ziem swoich zgromadził. Zjechał tam i Zamojski, ani zcierpiał by się zaczęły obrady, aż żałobna uroczystość jak dług winny pamięci zmarłego króla wypełnioną zostanie. Ze łzami, z smutną wspaniałością odprawiły się te święte obrządki. Maciej Piskorzewski, sekretarz królewski, miał pogrzebową mowę w łacińskim języku. Lecz nicostygły jeszcze śmiertelne Batorego zwłoki, gdy przytłumione tylko namiętności, gdy pycha, zazdrość, nienawiść wybuchać zaczęły, tym śmielej, że zawieszone w czasie bezkrólewia i władze, i prawa, zuchwalstwu złośliwych, wszelki odejmowały hamulec. Dwa możne naówczas domy, Zborowskich w małej Polsce, Górków w wielkiej, niechętnie zesłemu królowi, zawisne Zamojskiego, możne w dostatki, niespokojne, wyniosłe, by własnej dogodzić i pysze i zemście, nie wahały się rzeczy powszechnej zaburzyć.

Szeroko rozrodzony dom Zborowskich trzech jeszcze żyjących braci zaliczał: Krzysztofa, podczaszego koronnego, Jędrzeja, marszałka nadwornego, i Jana kasztelena gnieźnieńskiego, czwarty Samuel, za zabicie Wapowskiego w czasie króla Henryka wygnany, później z wzdargą praw, burzący w kraju, czyhający na życie królewskie, przez wyrok Zamojskiego mieczem skarany. Wpływający do sprzysiężenia Krzysztof i Jędrzej, pierwszy uszedł do Moraw, i wsparcie u domu Rakuskiego znalazł, zawieszono sprawę Jędrzeja; Jan tylko najstarszy z braci do spisku nie wchodził, miał on nawet nadzieję otrzymania od zmarłego króla darowanie winy dwom braciom swoim.

Po opuszczeniu przez Henryka tronu polskiego, Zborowscy przyczynili się najwięcej do wyboru Stefana, i za tę przysługę dumni, wymagali od króla całej wdzięczności prywatnego człowieka. Czynił Batory, co zwrot na przysługę bez krzywdy zdutniejszych i uszczerbku dobra publicznego kazaly, lecz że wszystkiego co chcieli nie czynił, poczytali Zborowscy jak gdyby nie wypłacił się niezem. Bodło ich najbardziej raptowne wyniesienie Zamojskiego, rozjatriła do końca śmierć brata Samuela; żalem, zemstą i zawziętością, więcej jeszcze niż związkami krwi złączeni, jak tylko śmierć Batorego wszelką bojaźń odjęła, wygnanego Krzysztofa przywołali do kraju.

Przyjaciele i krewni, ludzie chciwi nowości, do porużeń gotowi, wszyscy co niechęci Zborowskich dzielili, lub z własnych pobudek, lub poduszczeni od nich, związali się z burzycielami. Przed zaczęciem jeszcze głównych królestwa obrad, zamiary przeciwne Zamojskiemu, duch zawziętości, niezgody, wszędy w Sejmikach wywierać się zaczęły. We Lwowie nawet, gdzie wpływ Zamojskiego tyle znaczył, zna-

leżli się stronnicy Zborowskich: z tém większem zadziwieniem ujrzano na ich czele Mikołaja Jazłowieckiego starostę sniatyńskiego, że ten żadnego nie miał powodu być w nieprzyjaźni z Zamojskim; przeciwnie i owszem: bo gdy przy wstępie Stefana na tron Zborowscy chcieli mu wydrzeć starostwo sniatyńskie, wstawiając się za nim u króla, Zamojski nieprzyjaźń Zborowskiego wojewody krakowskiego ściągnął na siebie. Przecież niepomny na to Jazłowiecki, wołał do swóich: „Czas jest o bracia położyć tamę wyniesieniu i potędze jednego człowieka nad nami wszystkimi! I komuż są jeszcze tajne zuchwałe jego zamysły? Sam się on z nimi, przechwala w tych listach, któremi pokrzepiając nadzieje przyjaciół swoich, wystawia im obszernie władzę, bogactwo i silne z Batorami związki. I któż z was jeszcze nie wie, że sam jeden, z wzgardą praw waszych, książęcia siedmiogrodzkiego, lub którego z Batorych, na wolnym tronie polskim osadzić zamysła? „I czemuż przeciw nadużyciu władzy, przeciw wygórowaniu jednego nad wszystkimi my wszyscy bronić się mamy? czemu uwolnić rzeczpospolitą od ustawicznej bojaźni? Przykróceniem, zniesieniem władzy tej. Wymagają tego i całość rzeczypospolitej, i przodków naszych ustawy. Napisane od kilku wieków prawa, mówią iż ze śmiercią królewską, ustają władze wszystkie, i że wien czas równa wszystkim wolność, urzędników nie cierpi. Jeżeli prawu temu posłuszne są inne zwierzchności, jeżeli w czasie bezkrólewia, nieczynną jest pieczęć królestwa, czemuż buława działająca ma zostać? Postrzeżmy się, zaradźmy złemu wcześniej, inaczej srogo już doznane przewrodenia, wiecznie na karkach naszych ciężać będą.“

Przyjęta ta mowa od stronników z oklaskiem, od większej części zebranej szlachty z oburzeniem i zgrozą, a gdy gwar ustał, Zamojski w ten się odezwał sposób; „Jakichkolwiek bądź w tej ojczyźnie naszej dostąpiłem dostojenstw, nie dostąpiłem ich przez pochlebstwa, nie wymusiłem na przykrzaniem, nie pozyskałem żadną chytrością, lub czyny niecenami. Z pierwszej młodości mojej, ciągłą i pilną pracą, w dojrzałym wieku, w obozach trudami, niebezpieczeństw, bojem, w senacie zdrową radą, stałem się tém, czém mię widzicie; powierzonej mi od króla władzy, używałem zawsze przeciw nieprzyjaciółom, naprzeciw ojczyźnie nigdy. Świadcami jesteście sami, jakem aż nadto może gorliwie, stawał przy swobodach narodu, ani bym chciał dzisiaj obalać tego, czego z wami zarówno używam, za com walczył, czego zawsze broniłem: jeżeli winowajca skarany był, nie ja to, lecz skaralo go prawo. Fałszywemi są o Batorych wieści: nie jestem tak zapamiętałym, bym kogokolwiek,

przeciw woli wszystkich, zamyslał na tron wprowadzić, a gdybym nawet mógł to, nie chciałbym. Zaprzeczam ja, by z śmiercią królewską wszelkie władze ustawać miały; sam rozsądek wskazuje, że zawsze być powinny, że zawsze trwają. Mniej nad inne rządy, rzeczpospolita bez rządu wojskowego obejść się, i stać może. Nie dla powagi królewskiej ustanowieni wodzowie, lecz dla pożytku i spokojności tej ojczyzny, która w czasie bezkrólewia, na większe niż w innych czasach rozruchy i niebezpieczeństwa wystawiona jest. Na próżno więc te pierwiastki obrad publicznych płonnemi mieszać trwogami, winowajczem jest potwarzać tego, na którym plamy niema. Nie we mnie szukajcie niebezpieczeństw dla wolności polskiej; jeżeli co wolność tę nadwyreżyć, jeżeli co zniszczyć ją może, to niezgoda, zawziętość, wyuzdana swywola i pycha."

Powstali niektórzy przeciw tej mowie, lecz widząc, że Zamojski nie tylko liczbą przyjaciół, lecz powagą i wzięciem ich w narodzie silniejszym był, nie już o odjęcie władzy hetmańskiej, lecz o przydanie mu towarzysza walczyli: gdy bowiem obyczajem przodków, prócz hetmana wielkiego był jeszcze i polny, którego powinnością było strzedz granic państwa, domagali się by wakujący ten urząd przez śmierć Sieniawskiego, komu innemu w tak niebezpiecznych chwilach był powierzonym, i już na miejsce to wyznaczyli Jazłowieckiego; lecz nie tak bojaźń niebezpieczeństwa, jak żądza osłabienia przewagi Zamojskiego, pobudzała Zborowskich. Trwały przez dni kilka te spory, i jak nieraz zdarza się, nic nie ustanowiono z tego wszystkiego nad czem spierano się tak długo. Prawami jednak w czasie dawniejszych bezkrólewów ustanowionemi, zabezpieczone sądy; obostrzona karami spokojność publiczna; na sejm warszawski z obydwóch stron wybrani posłowie.

Co Zborowscy na Rusi, to samo przeważny Górka w wielkiej Polsce wyrządzał; po wszystkich prawie sejmi-
kach, też same skargi i powstawania nieprzyjaciół Zamojskiego, też sama z strony przyjaciół jego obrona, słowem też postać rzeczy, i tenże skutek.

* * *

Zamordowanie Dymitra 1606 r.

Przez dni szesnaście trwały gody weselne, lecz gdy dwórcy i Polacy oddawali się radości, Iwan Wasilewicz Szujski, tenże sam, któremu Dymitr niedawno życie darował, zgromadzał w domu swoim sprzysiężonych, i do spełnienia okropnej zbrodni tajemne czynił układy. Odkryte między strzelicami bunty, przytłumione zostały surowością wodza

ich Mikulina, znaczna ich liczba skarana śmiercią. Tatyszczew za wstawieniem się Bosmana darowany życiem. Zganił nawet Dymitr surowość wyrządzoną nad winowajcami. Te tak często wylatujące iskry ostrzegać go były powinny, że tlały pożaru płomienie; przecież zaufany ślepo; ani te grożące oznaki, ani ostrzegania wojewody sandomirskiego i innych Polaków, nieuczyniły go baczniejszym, i owszem za naleganiem posłów naszych, aby się miał na ostrożności, wysłał do nich kanclerza swego Buczyńskiego, upominając, aby byli bezpieczni: tak dobrze, mówił Dymitr, wziąłem we władze to państwo nasze, iż nad wolą moję nic się w niem stać nie może.

Jeżeli rzecz jaka tę niesłychaną ślepotę wymówićby zdołała, to udatne powiększenie od Szujskich, i sprzysiężonych, wszelkiej życzliwości i poszanowania dla cara: by tém bardziej Dymitra i Polaków oszukać, rozpoczęli hersztowie z posłami naszymi negocyacye, o przymierze między dwoma państwami naprzeciw Turkom. Dymitr Szujski jeden z sprzysiężonych najwięcej w tém okazywał się czynnym. Nie opuszczano niczego, coby tylko podejrzenie najmniejszą bojaźń usunąć mogło: a gdy nasi na cześć nowej carycy, rycerskie turnieje wyprawiać mieli, gotowali tarcze, kopije i godła, spiskowi zachęcając, by się spieszyli, rozsiewali między pospółstwem, że te wszystkie przygotowania na wytepienie ich czynione były.

Taką podwójnością, takim ukrywaniem się zachwycili i Cara Dymitra, i naszych bez żadnego przygotowania i obrony. Już ponaznaczane kredą wszystkie gospody, gdzie stali Polacy, gdy dnia 27 Maja po wesołych godach, przeciągnionych do późnej nocy, udał się Dymitr do spoczynku. 300 halabardników Niemców strzegło carskich podwoi, i wierny Bosman spał w przedpokoju: gdy jeden z sprzysiężonych przyszedł do Niemców niby imieniem cara, pozwalając im udać się do domów swoich: uwierzyli niebaczni i oddalili się, 30 tylko zostawiwszy na straży. Równie ze świtem huk ogromnego dzwonu, w który w gwałtownych tylko okolicznościach uderzają, przeraźliwie słyszeć się daje. Porywa się Dymitr, narzuca na siebie polską czamarkę, bierze szablę turecką, wychodzi; spotyka Dymitra Szujskiego: zapytuje, dla czego dzwonią? na ogień, odpowiedział Szujski; toż samo pytanie czyni po mieście poselstwo, sprzysiężeni odpowiadają, że Litwa bojarów wyrzyna. Natychmiast we wszystkie uderzają dzwony, zbiera się hurmem pospółstwo uzbrojone rohatynami, rusznicami, siekierami, staje na czele ich Wasil Szujski, w jednym ręku trzymając krzyż, w drugim dobytą szablę. Idźmy, wołał,

ukarać przywłaszczyciela i tyrana, jeśli go nie zabijem, głowy nasze stracone. Na głos męża, święty znak Zbawiciela trzymającego w ręku, rzuca się pospólstwo do zamku. Staje w bramie trzydziestu pozostałych hałabardników i mężny odpór dają; lecz gdy kilkakroć strzelono do nich, wielu legło, inni porzuciwszy hałabardy, ratowali się ucieczką. Tymczasem Piotr Bosman usłyszawszy rozruch zawołał do cara: *Zdrada, ja umrę, a ty radź o sobie.* To mówiąc stanął we drzwiach pokoju, a siekąc wdzierających się szablą, sam nakoniec od licznych ich ciosów poległ. Dymitr bez żadnej widząc się obrony, wyskakuje przez okno i ciężko się tłucze; wtenczas jeden z Moskwy głęboką ranę zadaje mu w łytkę; pada car zboczony w krwi własnej, omdlewa; przybiegają strzelce, a ulitowawszy się stanu jego podnoszą, oblewają wodą, i do zmysłów wracają. Zemdlonym głosem odzywa się, by go bronili, obiecuje obrońcom majątki i żony bojarskie. Nadbiegają sprzysiężeni, a widząc strzelców już strzelających do dworzan, idźmy, wołali głośno do miasta w domy strzeleckie, a wyrzynajmy wszystkie żony i dzieci ich; strwożeni tém odkazaniem się strzelce, spuścili na dół rusznice i rozeszli się. Przypadli naówczas dumni bojarowie, wyrzucając Dymitrowi, że nie był carem, ale Hryckiem Otrepiowem Roztrygą, a gdy on się odwoływał do matki, książę Galliczyn przydał: wypiera cię się matka twoja; w czasie tych rozmów, syn jeden bojarski *Gregory Wolniew* wcisnąwszy się między ludzi, zpod germaka strzelił, i nieszęsnego zabił. Przypadło pospólstwo, a długo nad ciałem się pastwiąc, zawlokło je za nogi do monasteru, gdzie matka jego mieszkała, pytając, czyliby to był syn jej. Ona ze łzami rzekła: *pytać mnie było o to, kiedy żył, dziś gdy nie żyje, już nie mój.* Ztamtąd zawleczono ciało na rynek, i położono obok ciała wiernego Bosmana. Tymczasem gdy jedni z sprzysiężonych ścigają i mordują Dymitra, drudzy z dość znacznym poczem rzucają się na pokoje carowej. Nie miała ona przy sobie jak panie dworskie, i kilku pacholąt polskich: nie wielkiej obrony z tej słabej młodzieży można się było spodziewać, przecież starszy nieco od innych Osmolski, herbu bończa, słysząc że się już zuchwale wdzierali do pokojów carowej, stanął we drzwiach, i mężnie bronił przystępu, lecz wkrótce kilka z rusznic wystrzałów zważyło go na ziemię. Jedna z tych kul trafiła ochmistrzynię carowej, panią Chmielecką, i ta z rany umarła: niewstrzymały zapalczywych przestach i łzy nieszczęsnych kobiet. Ta carowa, przed którą wczoraj jeszcze jak przed panią zginano kolana, obdarta z wszelkich ozdób i naga prawie z kobietami swemi, zawleczona do innego domu.

Gdy się to dzieje (mówi jeden z przytomnych na Moskwie dworzan polskich) i Polacy jak gdyby za karę wyuzdań, i popełnionych gwałtów, zaślepieni od Boga, po wczorajszych godach rozmarzeni winem, spoczywali bez żadnej straży i opatrzenia; okropne bicie dzwonów przebudziło ich dopiero, lecz przebudziło ich za późno. Porywają się, widzą pomordowanych już na ulicach tych wszystkich, którzy, czyłito dla potrzeb domowych na rynek, czy za innemi sprawami wcześniej od innych powychodzili: żaden z spotkanych bezbronných Polaków nie uszedł śmierci, sam strój stawał się zbrodnią. Nie dosyć na tém, nadchodziła zapalczywa czerń na wszystkie już wprzód naznaczone kredą naszych gospody, zabijając, dusząc, ze wszystkiego plądrując. Przy rabowaniu domu pana Słońskiego, który już Polskę porzucił, i do cara był przystał, znaleźli Moskale składy wina i miodów, zagrzani napojem, tém śmielsi jeszcze, nadchodzą na dom Tarły chorążego przemyskiego, który się był z panem Lubomirskim zamknął. Tu pierwszy dano im odpór; udano się do zdrady, całują krzyż, przysiegają, że zdrowi przy życiu i majątku zostaną, byleby się poddali. Zaledwie ich wpuszczono, pada 36 czeladzi rozsiekanych na sztuki; tam Tarło, Lubomirski, pani Tarłowa, Herburtowa, potłuczeni, skrwawieni, obnażeni do koszuli, zawleczeni do zamku. Ksiądz Pomiński przy samym podniesieniu świętej ofiary cięty w głowę upada, brat jego zabity. My dworscy poselscy (mówi dalej przytomny pisarz, z którego dziennika niniejsze okoliczności wyciągnęliśmy pokrótce) my poselscy, skoro się tumult ten wszczął, obwarowaliśmy dom nasz wokół, czekając tylko póki się nie zbliżą, oddając się Bogu, w przedsięwzięciu jednak bronięcia się do upadku. Był naprzeciw dom pana Mniszcha, starosty łukowskiego, gdzie niemało i innych znaczniejszych osób mieszkało. Najwięcej Moskwa zażartą była na nich, z przyczyny odebranych naigrawań się i obelg. Nie tajném było niebezpieczeństwo staroście łukowskiemu; przywiązawszy więc do strzały kartkę, i wypuściwszy ją, dał tym sposobem znać poselskim o niebezpieczeństwie swoim, i wraz odbiegłszy całą swą czeladź, w jednym żupanie wpadł do poselskiego domu. Przestrzeżona od bojarów czerń, by nie gwałcić domu posłów, dotąd nie odważyła się nań targnąć, lecz gdy za Mniszchem i inni wymykali się, a lud jął strzelać do nich, wtenczas ludzie poselscy w obronie rodaków gęstą strzelbę puscili z dachów i okien; tym sposobem odparci, rzucili się na dom Kazanowskich, rozszarpali go ze szczętem, i 22 czeladzi zabili. Szerząc coraz dalej łupiestwa i rzezie, przyszli nakoniec do dworu Stefana

hospodara wołoskiego, u którego książę Konstanty Wiszniowiecki stanął był gospodą, ten obwarowawszy się, i mając z sobą dzielny poczet ludzi, bronił się odważnie i długo; zatoczyła czerń działa, lecz wystrzały idąc górą, nie wiele szkodziły.

Wtém czasie przybiegł przed wrota dworu poselskiego *Boris Naszczokin* prosząc o rozmowę: wyszedł do bramy Gąsiewski starosta wilejski, przed którym Naszczokin, inieniem dumnych bojarów żaląc się na wprowadzenie samowładca i gwałty Polaków, kończył, prosząc aby się posłowie nie mieszały z tymi Polakami, którzy z wojewodą sandomirskim przyjechali do Moskwy, że tym tylko sposobem całymi zostaną.

Gąsiewski odpowiedział w te słowa: „Przybyliśmy tutaj w poselstwie do Dymitra cara: bōście wy go sami za hospodara waszego uznali; dziś zamordowawszy go, powiadacie, że nim nie był. Nam nie do tego; niech wam Bóg, podług prawdy waszój pomaga. My jako posłowie piwinniśmy być pewni bezpieczeństwa naszego, jednak zwałcono je, czego nawet w dzikich narodach nie widać. Co się tyczy szlachty polskiej z wojewodą sandomirskim przybyłej, przybyła ona tu nie na wojnę, lecz na gody weselne, zaproszona od cara, i od wszystkiej ziemi waszój; jeżeli się niektórzy ze sług dopuszczali zbytków i nieprawości, udawać się należało po sprawiedliwości, nie zaś za kilku występnych, krew niewinną tak okrutnie przelewać. Dziękujemy dumnym bojarom, za dobre ich chęci ku nam, powiedziecie im inieniem naszym, niech baczą, by krew niewinna JKMei pana naszego, dłużej przelewana nie była: gdyby ich zaś (co uchowaj Boże) dalej przed oczyma naszymi mordować miano, tedy ani na to zimno patrzeć, ani żelaz naszych wstrzymać nie będziemy mogli. Będziemy się bronić, polegniemy wszyscy, ale co z tego wyniknie, łatwo dumni bojarowie przeglądać mogą.“

Skoro Naszczokin odpowiedź tę odniósł do zamku, wraz Szujski i inni bojarowie wpadłszy na konie, biegali po ulicach, hamując pospólstwo od łupiestwa i mordów. Książę Mscisławski biegł na ulicę mielecką, gdzie najwięcej sług carskich i carowój poległo, książę Wasil Szujski przybiegłszy do domu księcia Wiszniowieckiego, zastał tam rzeź niezmierną, bronił się Wiszniowiecki walecznie, a mając do 200 kopijników na koniach, chciał z nimi wypaść z domu i na szturmujących uderzyć; wstrzymali go od tego dowódcy pospólstwa, zapewniając wszystkim całość i bezpieczeństwo; lecz skoro Polacy pozsiadali z koni i odprowadzili je do stajni: wraz lud niewinny strzelać i wdzierać

się do domu zaczął. Wiszniowiecki, znowu się zamknawszy, z górnej sali odważnie się bronił; w téjto chwili przybiegł Wasil Szujski i Iwan Mikitycz. Ci z wielką pracą uśmie-
rzywszy pospólstwo, ocalonych Wiszniowieckiego, Stadni-
ckich, Kazanowskich, Tarła, zaprowadzili do rozmaitych
gospód; domy zaś i sprzęty ich złupione, pobita czeladź. Za-
bitych w dniu tym Polaków jedni do 2000 drudzy do 4000
liczą. Sprawiedliwie piszący dziennik téj rzezi, uważa, że
gdyby Polacy nie byli się tak ślepo oddali napojom i ospal-
stwu, gdyby byli rozdzielone siły swoje, czy w domu posel-
skim, czy u księcia Wiszniowieckiego skupili, pokonaliby
byli niesforne i źle uzbrojone hufy pospólstwa; lecz stracili
przytomność, uzbrojeni nawet bronić się niechcieli; słowem
Bóg, chcąc ukarać dumę ich o przestępstwa, nieszczęsnych
zaslepił.

Już téż z zapadającym zmierzchem ustała zapalczywość
ludu, dano straż bezpieczeństwa do poselskiego domu, po-
wrócona niejakaś na mieście spokojność. Jak żałosna noc
nastąpiła po dniu tym rzezi! Rozproszeni po odległych go-
spodach Polacy, niewiedząc o sobie, szukali się nawzajem.
Ileż radości ze znalezieniem oplakanego już przyjaciela, ile
żału i smutku, gdy krewny lub przyjaciel postrzeżony wśród
stosu trupów! Co chwila przybywali do domu posłów, ka-
plani, rycerstwo, niewiasty! wszyscy obdarci, skaleczeni lub
zbici. Za pozwoleniem bojarów wysłali posłowie do pana
Tarły i Lubomirskiego, dowiadując się o losie ich. Znale-
ziono nieszczęsnych w postrzelanej i krwią zewsząd zbry-
zganej budowie: na podrzuconej na ziemi słomie, leżał
w jednym końcu Tarło z Lubomirskim, grubą tylko przy-
rzuceni koszulą, w drugim pani Tarłowa, Herbertowa i inne
Polki potłuczone srodze, okryte najuboższą odzieżą: zbyt
raptowne, niestety! przejście z przepychu i bogactw do naj-
smutniejszej nędzy! Natychmiast posłowie wysłali im szaty,
bieliznę i wszystkie potrzeby. Nie tu tylko okazała się ich
hojność; dosyć było być rodakiem i nieszczęśliwym, by do-
znawać od nich wszelkiej pomocy i wsparcia.

Po długim naleganiu, odkryto nakoniec Mniszchowi,
że córka jego była przy życiu; odprowadzono ją nawet do
ojca z kobietami jej, nie już w carskim przepychu, lecz
w stosownej do stanu jej dzisiejszego nędznej odzieży. Co
za widok dla nieszczęśliwego starca! Tém zapewne dotkli-
wszy, że w upokorzeniu tém córki, widział własnej wynio-
słości ofiarę. Przecież cios tak okropny nie uleczył w starcu
dumnych jego urojeń; z przerywaniem snów wielkości, nie
zniknęły powrotu jej nadzieje. Przyjął wojewoda Marynę
z największym uszanowaniem; ustąpił jej całego domu

swego, wolał czić jak panującą, niż jak nieszczęsną córkę do łona swego przytulić.

Co do Maryny, mówi Cilli, doznane nieszczęście, widok śmierci tak bliski, wyniosłości jej nie ugięły bynajmniej. Przestańcie, mówiła do starających się ją w nieszczęściu pocieszać, przestańcie żalów waszych niewczesnych; raz uznana za panią mocarstwa tego, nigdy nią być nie przestanę; ten któryby mi chciał wydrzeć koronę, wprzód życie wydrzeć musi.

Dnia 29 Maja, to jest w trzy dni po rzezi, właśnie gdy grzebano trupy naszych w polu za miastem, bicie dzwonów cerkiewnych, huk trąb i kotłów ogłosiły miastu, że książę Wasil Iwanowicz Szujski obrany został carem moskiewskim. Dozwoły mu losy przez chytrość i podstęp dojsć do celu wszystkich życzeń jego, dozwoły wstąpić na tron, by go zeń wkrótce strącając, tém jawniej okazać światu, że są sprawiedliwe nieba, ścigające zbrodnie na majestacie samym.

Rok 1611. Pożar Moskwy.

Groźby wodza polskiego nie zmniejszając w niczem złej woli, skrytszemi tylko uczyniły postęпки; podwojono oświadczenia wierności z większą niż kiedy pokorą, cisnęli się bojarowie na Gąsiewskiego podwoje: unikało pospółstwo wszelkiej z naszemi kłótni; lecz w tymże samym czasie pod pozorem nadchodzącej chrzczenia wody uroczystości i większego w mieście bezpieczeństwa, tłumami lud napełniał stolicę. Żołnierze nawet Łepunowa z ukrytą bronią cisnęli się do niej. Baczny na wszystko Gąsiewski, widząc krocie ludzi, pomnażających już niezmierną stolicę ludność, widząc swoich zbyt słabe siły, by ją całą osadzić, do zamków Krimgrodu i Kitajgrodu pułki swoje pościagał; zamki te bardziej utwierdził, i z Białymgrodem nowemi murami połączył.

Wkrótce straże nasze odkryły u bram miasta stosy broni na wozach, zbożem i sianem nakryte; przyniesli szpiegowie wieść, że Łepunów w 80,000 wojska, Zarucki we 20,000 dońców do stolicy zbliżają się i są tylko o mil 20; postrzegano, że lud znów zuchwałiej postępował z naszemi. W tym stanie były rzeczy, gdy dnia 28 Marca 1611 roku dano znać Gąsiewskiemu, że na Kitajgrodzie wszczęła się kłótnia między naszemi a Moskwą. Przypada Gąsiewski na koniu, usiłuje bój rozerwać; napróżno: już zbyt posunięta zawziętość: mnóstwo trupów moskiewskich leżało na ziemi, sama noc rozjęła walczących. Nazajutrz znów się wszczyna bunt w Kitajgrodzie, i okropnie do Białegomuru szerzy się; w pierwszym miejscu, przez mało zbrojnych zamieszkanem kupców, 6000 Moskwy wycięto, mocniejszy posadą

swoją Biały-mur, samych kramów do 4000 liczący, bitniejszym osadzony ludem, zaciętszą sprawił walkę: porwało pospólstwo kilka działek z basztów, i zatoczywszy na ulicę, jęło strzelać do naszych; napróżno towarzystwo posunęło się do nich z kopijami: wszędzie znalazło zatrzymujące je, gotowe już zapory; stawiał lud przed sobą stoły, ławy, niezmierne kłody drzewa, i z za tych, jak z za blankietów, gęsty ogień wypuszczał; nadto z okien i dachów, z rusznic, samopałów, drągami nawet rażono Polaków potężnie; jeżeli ci, chcąc ich za sobą pociągnąć, zmyślali niby ucieczkę, Moskwa teżsame zapory niosąc w ręku za sobą, i zastawiając się niemi, sama bezpieczna ze swobodą nacierających gromiła. Znojno już było naszym, gdy Gąsiewski przysłał im sto piechoty, spieszyło się kilka towarzyskich hufców; acz w porównaniu z nieprzyjacielem liczba ta, zbyt była słabą, z taką jednak rzuciła się zapalczywością, iż rozerwała sztąchety, i moskwę daleko odparła; nieprzyniósł zapęd ten końca zbyt krwawym zapasom. Zatoczywszy więcej dział, z pomnożoną liczbą, ze czterech stron natarła Moskwa, i już Polaków odegnała daleko; w tej ostateczności, gdy już Polacy o sobie powątpiewać zaczęli, dał się słyszeć głos: *ognia, ognia, podpalajcie domy!* Rzucili się natychmiast pacholicy, i obwiodszy kilka domów pakułami i smołą, zapalili łuczywem; powstał wiatr z naszej strony, a płomień ku nieprzyjacielowi pędząc, do ucieczki przynaglił. Dla bezpieczeństwa schronili się nasi w wieczór do Krymgrodu i Kitajgrodu.

Tam w głębi nocy, przy blasku okropnego łuna, zeszli się wodzowie na radę: postanowiono, by pułki stojące dawniej w spalonym już Białym-murze z 2000 piechoty niemieckiej, wyciągnęły za miasto, prócz dwóch Chorągwi poważnego znaku, cośmy zachowali konie, księcia Poręckiego, w której ja byłem porucznikiem (mówi Maszkiewicz) i Tyszkiewicza, której Ludwik Poniatowski dowodził; reszta towarzystwa zpieszona być musiała. Gdy oddział po lodzie przechodził przez rzekę, postrzegła straż z wysokiej Iwanowej wieży w Krymgrodzie, że Struś ciągnący do stolicy, z małemi hufcy Polaków, ugania się z tłumami zebranymi pod miastem Moskwy, niedopuszczając, by się z naszymi połączył. Ogromny parkan przedzielał dwa wojska Polaków; ci co wyszli z Białego-muru, niewiedząc jak się dostać do Strusia, dzielący ich, wysoki, ciągnący się daleko, parkan sosnowy w kilku miejscach kazali zapalić razem: gorzała smolna budowa, iskry, okropny płomień, i kłęby czarnego dymu zionąc w powietrze; gdy Struś mąż nieustraszonego serca, zebrawszy swoich „*Wiara (zawołał) kto cnotliwy, niech*

idzie za mną,“ to mówiąc, spiał konia ostrogami i sam pierwszy w pałającą odchłan rzucił się: poszło za nim rycerstwo; z niewymowną radością ujrzały się dwa wojska połączone z sobą.

Nieprzyszło dnia tego do boju; pożar bowiem rozszerzywszy się do ulic poblizszych, potężnym rozdymany wichrem, gnał Moskwę przed sobą: szli za nią bezpiecznie Polacy, coraz bardziej podniecając płomienie. Sami bowiem przychylni naszym bojary zachęcali, by nie oszczędzać. Doszedł na koniec ogień do najludniejszej miasta części, i wkrótce ogarnął ją w koło: z smolnego drzewa wyniesione gmachy w jednej chwili płomieniste tylko okazały ściany; któż okropność téj nocy wystawi? Ogień falami wzbijając się do góry, na szeroko rozciągniętym horyzoncie krwawo czerwone łuno rozwinął; niżej czarne tło gęstego dymu ciążyło nad nieszczęsnym grodem: wylatujące przez nie ogniste iskry, i pałające drzazgi, powiększyły okropność. Trzask walących się wież cerkiewnych, przekleństwa nieszczęsnego ludu, płacz i narzekania niewiast, z bogactwy, z drogiemi dziećmi ginących śmiercią okropną! jak gdyby niedość wszystko pożerającego żywiołu: grzmot rozstawionych dział polskich w gęste pospólstwa tłumy mordy i kalectwa roznosił. Przez trzy dni i noce trwała wściekłość nie niszczącego płomienia, dłużej jeszcze wśród dymiących się pożogów szerzył chciwy żołnierz łupiestwa i mordy swoje. Do stu tysięcy spalonych i poległych mieszkańców liczą dziejopisowie ówczesni; ocalono żywcem, z przedniejszych Andrzeja Galliczyna, brata Wasila; zrzuceno patriarchę z dostojenstwa i do więzienia wtrącono.

Ustały mordy i wrzawa wojenna. Gdzie gród niezmierny niegdys, wznosiły się białe stosy popiołów i dymiące się do góry pożogi: gdzie niedawno snuły się roje żyjącego mnóstwa, głucho milczenie. Inna Kitajgrodu postać; skład najbogatszych wschodnich i zachodnich towarów oszczędzony od ognia, by się stał niepochamowanej chciwości łupem: tysiące sklepów rozszarpane w dniu jednym; i jak zwykle w bojach, ci, co w nich narażali się najmniej, bogacili się najwięcej. Z tąd w wojsku zwady, zarzuty i szkalowania; spierano się o wydarte nieszczęsnym łupy, jak gdyby o prawem należącą własność. Te to pożogi, łupiestwa, i mordy, zostawiły jad zemsty i nienawiści w sercach najpóźniejszych pokoleń.

Niestety! późno lecz surowo pomścił się za nie straszny oddawca łez i narzekań ludzkich!

Wkrótce wśród bogatych sprzętów, wśród pereł, złota i srebra, uczuł żołnierz polski najokropniejszą nędzę, zu-

pełny niedostatek żywności; pochłonał ogień zapasne składy, gdyż nie miano ostrożności przewieźć ją do Kitajgradu; głośno żołnierz o pożywienie wołać zaczął. Niezostawał inny środek, jak się jej po kraju dobijać orężem.

Śmierć Zygmunta III. 1632 r.

Czterdziesty szósty rok panowania dopełniał już Zygmunt; ucichły zawzięte niechęci, sama sędziwość, długo doznawane przykrości, łagodziły serca dla niego; zaczynał król ten patrzeć spokojnie na zbliżający się zachód życia, gdy nieba raz jeszcze bolesnym ugodziły go ciosem. Ulubiona małżonka, matka licznych rodów, Konstancja Austriacka, nagle porwaną mu była. Zarzucali Polacy pani tej, z innych stron przykładnej i świątobliwej, że więcej pamiętała, iż się urodziła arcy-księżniczką rakuską, niż że była królową polską. — Przecież domowe jej cnoty, przystępność, łagodność, nade wszystko myśl, że ona jedyną była pociechą, wiekiem i chorobą znużonego króla, sprawiały, iż żal po niej był powszechny i szczery.

Nie atoli wyrównać nie mogło rozpacz i tęsknota króla samego. Dwadzieścia i sześć lat spędzonych w miłości i zgodzie, słodki obyczaj wspólnego znośnienia i dobrych i przeciwnych kolei, niedostatek ufego powierzania się, którego nie już zastąpić nie mogło, widok nakońcu tylu osierociałych dzieci, napełniały serce Zygmunta goryczą i ciężkim żalem.

Zmieniła się odtąd postać dworu całego: król we łzach i smutku rzadko kiedy dozwalał się widzieć: cięższy niż wprzód przystęp do Pana; niedopuszczały go otaczające niewiasty (przez troskliwość dla starganego zdrowia), nie wchodzili do komnaty, jak poufali ze sług i urzędników: zaniedbane publiczne i domowe sprawy, wszystko szło przez ręce Urszuli Meierin, do najskrytszych domu przypuszczonej tajemnic. — Jeżeli potrzebnym był podpis królewski na dyplomie jakim, że król z trudnością już pióro mógł trzymać, niesiono je do sypialnego pokoju, tam nie jedno podług woli i upodobania, otaczających domowników, podpisywano.

Do smutku i ciężkich boleści, któremi Zygmunt był obarczony, niemal przyczyniła się rozrzutność królewicza Władysława: ustąpione mu dochody z całego księstwa Siewierskiego, nadane liczne i bogate starostwa, rocznie z skarbu królewskiego wyznaczone sumy, nigdy dostatecznymi nie były. Kiedy Adam Kazanowski, pierwszy Władysława powiernik, kiedy inni domownicy opływali w dostatkach, sam królewicz zawsze widział się w potrzebie. Dochody, kosz-

tówne sprzęty, wszystko przenosiło się do Kazanowskiego do tego stopnia, iż król dom jego zapieczętował, i komissyją do wejrzenia w nadużycia wyznaczyć był przymuszony, z tąd ciężkie między Zygmuntem i synem zarzuty i skargi.

Tymczasem starania lekarzy, szczególnież użycie za-
włok do ściągania humorów, pokrzepiło nieco zdrowie kró-
lewskie. Użył król polepszenia tego, by raz jeszcze ze sta-
nami o sprawach publicznych, i o zapewnieniu losu liczego
potomstwa naradzić się: zwołany więc sejm nadzwyczajny
trzyniedzielny na dzień 1 Kwietnia.

Gdy się już stany do izby senatorskiej zebrały, a król
dla ciężkiej niemocy, wśród ministrów i dygnitarzy koron-
nych na krzesła do tronu był przyniesiony, smutek na bla-
dej twarzy wyryty, schorzała postać jego, tkliwem polito-
waniem scisnęły serca wszystkich: nigdy izba sejmowa
w smutniejszej nie okazała się postaci: senat i posłowie
czarną po królowej okryci żałobą; na wszystkich twarzach
żałość i boleść. Oznajmił kanclerz od tronu, iż car mos-
kiewski, mimo trwającego jeszcze sojuszu, nietylko nowe do
wojny przygotowania czyni, lecz już niespodziewanemi na-
jazdami granice rzeczypospolitej trapi. Postanowiono zatem,
by, *ne quid Respublica detrimenti capiat*, królewicz Włady-
sław zniosłszy się z hetmanami obojga narodów (przy któ-
rych władza najwyższa trwać miała) z uchwalonem wojskiem
na granice moskiewskie ciągnął; gdyby zaś car do zacho-
wania pokoju szczerą chęć okazywał, naówczas wyznaczeni
na tymże sejmie komisarze, z ścisłą ostrożnością, przeciw
zwykłym narodu tego wybiegom, trwanie pokoju obwarować
i podpisać mieli.

Zaledwie wniesiono projekt opatrzenia rodu królewskiego,
gdy stany głośno króla prosić zaczęły, by królewiczowie
i królowna wezwani, i obradom publicznym obecnymi być
mogli. — Nieprzytomnym był królewicz Władysław, lecz
wesзли królewicze Jan Kazimierz, młodszy bracia jego Jan
Albrycht, Karól Ferdynand, Aleksander Karól, i młoda
infantka Katarzyna. Zasiadli miejsca niżej tronu: widok
licznego w pierwszej młodości na ziemi polskiej zrodzonego
królewskiego plemienia, co dziś w połowie, wkrótce cał-
kiem osieroconem być miało, widok rodu, któren rzeczo-
spolita przyjmowała na łono swoje, tkliwą radość wzbudził
na twarzach wszystkich; wypogodziło się zachmurzone Zy-
gmunta czoło: nastąpiło uroczyste milczenie; król, acz słabym
głosem, w te słowa odezwał się do stanów:

„Przy jawnej wszystkiemu światu wierze narodu nam
od Boga za wolnemi głosami poddanego zawsze ta bywała
pietas i życzliwość ku królom i panom swym, iż potomstwa

ich, pomnąc na zasługi przodków, nieopuszczali. Oto są te dzieci zrodzone na ziemi polskiej; oto potomstwo razem moje i wasze; nie ma ono już matki, a wkrótce i ojca postrada. Poruczam je rzeczypospolicie całej; kiedy mnie nie stanie, niech troskliwość wasza czuwa nad niemi, niech hojność wspiera!”

Tkliwe, pocieszające głosy napełniły gmach cały obrad publicznych. Wśród powszechnego wzruszenia, nie było oporu, gdy czytano ustawę opatrzącą potomstwo królewskie. Królewiczowie Jan Albrycht i Karól Ferdynand z dzieciństwa od króla poświęceni kapłaństwu, jeden z nich biskupstwo warmińskie, drugi biskupstwo Wrocławskie na Szląsku otrzymał.

Dziś po śmierci Andrzeja Lipskiego, z pozwoleniem stanów, biskupstwo krakowskie pierwszemu z królewiczów oddano. Pozostali Jan Kazimierz, i Aleksander podzielili między siebie oprawę zeszlęj królowej Konstancyi. Jako to: Tucholę, Upitę z Pilą, Swięć, Latowice, Leżajsk, Kamieniec, Zawiszyn, i Stanisławów; — w Litwie zaś ekonomią Kobrzyńską i Olitę. Królowie Katarzynie, aż póki postanowioną nie będzie, nadano starostwa brodnickie i golubskie. Król wynurzając wdzięczność swoją dla stanów, praw korony do mennicy rzeczypospolitej ustąpił.

Przypuszczono do posłuchania króla i stanów, posłów rakuskich; ci w tkliwych mowach błagali o posiłki naprzeciw przewadze i szczęściu Gustawa. Odpowiedziano: że wstrzymanie przez lat tyle Szwedów od rzucenia się na kraje Ferdynanda, ważną już było usługą, że dalej Polska w walkę tę wdawać się nie może; przydano, że ostatnia pruska wyprawa, drogie jej odkupienie, najlepszą będzie odmówienia tego u dworu wiedeńskiego wymówką.

Nie było, jakśmy namienili, przeciwieństwa w hojnym opatrzeniu potomstwa królewskiego; lecz gdy Zygmunt, czyli to z szczerzej troskliwości o spokojność wewnętrzną, czyli z chęci wiedzenia przed zgonem, kogo mu Polacy za następcę przeznaczają, projekt względem poprawy trybu elekcyi królów wniesć zalecił: dotknięcie tak tkliwej dla silnych przesądów materyi, żywy opór wzniciło.

„Nietykajmy, mówiono, opoki, na której spoczywają wszystkie wolności nasze. Trwożą nas sąsiadów przykłady: patrzmy, co w Czechach, co w Węgrzech dzieje się; i te ludy, jak my, były niegdyś wolnemi; lecz zaledwie dumny Rakuszanin osiadł trony te, lubo święcie prawa i swobody ludów tych zaprzysiągł, skoro wolne królów wybory w dziedzictwo przemienił, zginęły wolności, swobody, zginęła mowa ojczysta, synowie wolnych ludzi niewolnikami stali się.“ —

Tak jedni mówili z przekonania, inni nie chcieli opuścić tych bezkrólewioń, gdzie przez śmiałość i obrót utracone majątki odzyskać, nieposiadane nigdy nabyć, tak łatwo było. Nierozumiejmy atoli, by zbywało na światłych, bezstronnych, nieuprzedzonych mężach, którzy silnie popierali obostrzenie srogich bezkrólewioń nadużyć; lecz ci przemagającemu mnóstwu uleść musieli. Spory w tej sprawie cały czas sejmowania zajęły, nieraz zboleły król do drugiej i trzeciej z północy przysłuchiwać się im musiał. Przyszedł nakoniec dzień zawarcia sejmu, i posłowie raz ostatni pożegnali króla. Rzadko bowiem był taki, któryby patrząc na ustające siły jego, najmniejszą mógł karmić nadzieję, że go raz jeszcze ujrzy.

Sprawiedliwą troskliwość ta była. Zbyt dla tak słabego już ciała trudy sejmowe stan zpowia królewskiego pogorszały codziennie. — Zapadł nakoniec król niebezpiecznie dnia 23. Kwietnia r. 1632, a 30 t. m. przeniósł się do życia lepszego.

Czytający z uwagą dzieje te, charakter, przymioty i wady pana tego mógł już łatwo ocenić. Jedne i drugie były skutkiem wychowania, pierwszych młodości wrażeń; później skutkiem obcowania z ludźmi, których król ten do bliższej poufałości swojej przypuszczał. Chwalebna, gdyby niewyłączna gorliwość o wiarę, przesadzone wyobrażenie o władzy królewskiej, szczególnie o niczem nie mogącej być zmienioną prawości dziedzictwa; uleganie duchowieństwu i obcym, zaciętość w odzyskaniu berła szwedzkiego, długo zachowana obojętność dla Polski, łatwość w chwytaniu się wielkich zamiarów, oziębłość i opieszałość w wykonywaniu ich, obok wachania się, upór, obok wyniosłości, słabość, statek, wiara, i uprzejmość w stadle małżeńskim, wyniosła niedostępność dla wielkich, dla domowników poufała łagodność, miłość, sprawiedliwość, prędko zapomniane niechęci, łatwo nawet przebaczone urazy, te są duszy i umysłu Zygmunta celujące znamiona. Wychowany pod okiem czulej matki Katarzyny Jagiellonki, powodując się całkiem radami Kardynała Hozyusza, ks. Stan. Warszewickiego jezuity, później od mnóstwa otaczających go jezuitów, Skargi, Wysockiego, Herburta, Wujka, przyjął młody Zygmunt z dzieciństwa właściwe zakonowi temu prawidła. W dzieciństwie nauczył się wierzyć, że władza królewska żadnymi ustawy ograniczoną być nie może; że prócz jednego rzymskiego wyznania wszystkie inne wyznania były bezbożne; że w całym duchowieństwie jedni tylko jezuiti godni byli ufności i wiary. Niedziw więc, że z takimi prawidłami przybyły do Polski młody książę, na samym wstępie niepodobał sobie Polaków, ani od nich polubionym został. Przyzwyczajonemu

księciu do posepnego uszanowania, niemiłą zdała się ta szlachetna swoboda w zdaniach, pismach, mowach nawet. Polacy nawykli do połączonej z godnością przystępności Jagiellów, uczuli się obrażonymi dumnym Zygmuntem milczeniem. Im bardziej się młody król wpatrywał, im bardziej rozciągał władzę panujących w Szwecyi, pewność dziedzictwa berła porównywał z ograniczoną i dożywotnią tylko władzą królów polskich, tém bardziej żądza do ojczy- stej ziemi górowała w sercu jego. Ogromność, ludność, za- możność potężnej na ówczas Polski, traciły z swęj ceny, gdy ich tylko docześnie i niezupełnie przychodziło używać. Ztąd w całym ciągu panowania swego patrzył Zygmunt na Szwecyę jak na dziedziczną własność, na Polskę jak na prze- mijającą dzierżawę. Wolność, z którą Zamojski, Zebrzy- dowski, i wielu z przedniejszych odważało się mówić, prze- niosły poufałość Zygmunta do tych cudzoziemców, którzy lepiej pochlebiać i ulegać umieli. Podwójne z domem ra- kuskim zpowinowacenie, napływ z arcy-księżniczkami jezu- itów, Niemców, dam dworskich odosobniając króla od na- rodu, coraz bardziej powiększały niechęć ku niemu.

W wyprawach moskiewskich popełnione błędy, zarówno na króla, jak i na zawisć między wodzami, niesforność, rozpustę w żołnierzu, na gorszącą obojętność i niechojność w podatkach składaćby można.

Słpe oddanie się rakuskiemu domowi, uporczywe i nie- korzystne z Szwedami walki, tyłokrotne odrzucania świe- tnego pokoju, nienagrodzona nigdy strata Infant i portów nadmorskich, są winą Zygmunta samego. Jakoż, co było świetnego w tém panowaniu, nie Zygmuntowi, słuszniej przypisać należy tym wielkim mężom, których Opatrzność w jednym czasie tak licznie Polsce nadając, zdaje się iż okazać chciała, czémby był kraj nasz, gdyby nad nim król dzielny umysłem i sercem panował. Pod nim świetne het- manów naszych zwycięstwa, nie stałyby się jak pod Zy- gmuntem nieużytecznemi; pod nim wzgarda praw i maje- statu, niesforność, gorszące związki wojskowych, rozprze- żenie wszystkiego w ścisłejsze karby ujęte, nieprzyniosłyby klęsk tylu. Lecz jeżeli ciężko zasmucające nas wykroczenia te, ciemną plamę na wiek ów rzucają, ileż uświetnia go czynów chlubnych i wielkich! Gdziekolwiek obrócił się oręż polski, wszędy zielone wawrzyny spadały na zbroczone żelazo onego. Czyż nie podniesie się dusza na widok Za- mojskiego, wiodącego syna Cezarów w okowach, nadającego prowincye holdowniczym koronie polskiej książętom! Nie nigdy niezatrze pamięci przeważnych zwycięstw Klisowa, Kircholnu i Trzeiany.

Ileż twierdz szturmem zdobytych, ileż wytrzymanych okropnych obleżeń! Przeznaczyły losy (nam niestety przeciwnie) żyjącym w czasach Zygmunta Polakom patrzeć na tryumfy Rzymianom tylko znajome: widzieć zwalczonych, pojmanych mocarzy, korzających się przed królem, senatem i ludem! Męstwem i wytrwałością zrównali się hetmani nasi starożytności wodzom.

Widziały cecorskie błonia siedmdziesięcioletniego starca, przekładającego śmierć nad więzy haniebne. Równy mu wiekiem i dziełami Chodkiewicz, omdlewający na siłach, trzema dniami przed śmiercią, rzucał się w nieprzeliczone Muzułmanów zastępy, a ostatni widok, co uderzył obumierające oczy jego, stawiał mu pierzchające ich tłumy. Te to wspomnienia pocieszają zasepione późniejszymi nieszczęściami serca Polaków; i mówić każą: *Nos quoque floruimus!*

Większego geniuszu, tęższej duszy potrzebował Zygmunt, by z znarowioną już szlachtą panować świetnie i dzielnie. Gdyby był atoli przy niedostatku tylu przymiotów, posiadał znajomość charakteru narodu naszego, nam wiele strat, sobie niemało poniżenia byłby oszczędził. Przy schyłku dopiero życia upamiętany Zygmunt w ślepym uporze odzyskania berła szwedzkiego, od zmiennych Szwedów do wiernych Polaków przeniósł serca swego życzliwość: wtenczas dobry naród dotknięty tym zwrotem przychylności, czule dzielący pana swego i straty domowe, i ciężkie dolegliwości, uraz dawnych zapomnień, okazał dowodami przywiązania i hojności, iż dobre ku niemu chęci nigdy straconemi nie są.

OSTATNIE LATA

panowania Zygmunta starego i Zygmunta Augusta

przez Joachima Lelewela. Warszawa 1821.

Rok 1548.

Strapiony pod koniec życia Zygmunt I. burzliwością gminnowładztwa szlacheckiego, miał przynajmniej pociechę, że za długiego panowania swego sprawiał rzeczpospolitą, bez wewnętrznego krwi rozlewu, ochraniał ją nawet od ciężkich wojen postronnych, co wszystko srodze za jego żywota inne kraje trapiło. Francya przyszedłszy, do sił wewnętrznych przez rozszerzenie władzy królewskiej, przez utrzymywanie znacznej siły zbrojnej zapoczęła od niejaku czasu ubijać się o Neapol i do Medjolanu

swe prawo rozciągała. Wkroczył w te prawa Franciszek I., i po czterykroć odnawiał krwawe z Karólem V. zmaganie się. Politycy postrzegli w praktyce równowagę polityczną w téj czterokrotnej walce, zbiegiem różnych pobudek podnieconej; ujrzeni szlachetny ze strony Franciszka opór, ochraniający Europę od jarzma Habsburgskiego; walkę ciężką, w której Franciszek I. wszystką przemoc Karóla V. na sobie trzymał. Karól V. król Hiszpanii i Indyi zachodniej, obojęd Sycylii, niższych Niemiec dziedzic, Sardynii pan, zostając cesarzem niemieckim, odziedziczył wielką część Lombardyi; naczelnik książąt niemieckich, a brat jego Ferdynand arcyksiążę całej Austrii, dopinając królestw Czeskiego i Węgierskiego, rozpostarł szeroko w Europie władzę Habsburgskiego domu od krańców Portugalii do Włoch, a od północnego morza do brzegów Afryki, gdzie zdobycze Karóla V, orły niemieckie w Tunis zatykały. Tak ogromne ciało: różnorodne, morzami przerwane, wnet dało uczuć we Włoszech małym panom, że nie ich rzeczą jest, z nim się mierzyć. Włochy od niego ujarzmione. Części tego państwa, więcej niż inne Europy strony, kwitujące i zamożne, lud w boju dotrwały i łupy z Ameryki na czas skarb zasilają. Od strony Polski spokojne, cierpiało i zapominało zmianę losu Prus i Krzyżaków. W ciągłym jednak ruchu: w jednej stronie szeroko na lądzie i na morzu opierało się o potęgę Solimana II. w innej, otaczało sprężystą Francję. Gdziekolwiek Karóla V. umysł losami Europy zaprzętnął się, wszędzie z Franciszkiem lub Solimanem miał do czynienia. Franciszek stanął jak główny przedmiot równowagi. On sam jeden równoważący; albowiem: jeśli wzywał Bałtyku, było to bezskutecznie; jeśli Anglii, to było niestale; jeśli Włoch, w tych znikły środki szukane; jeśli Niemiec, w nich niedojrzałe; jeśli naostatek Solimana II., w nim, nie tyle wyszukany, co zwykły domu Habsburgskiego uciążliwy domownik znajdował się. Tak Soliman II. czy w przymierzach czy bez przymierzy w jednostajnym działaniu współniczył Franciszka krokiem. Długi czas, prawie nieprzerwanie ucierając się oba z Karólem V. odwlekli ciosy na drobniejszych książąt wymierzone. — Zaburzone religijnym niepokojem Niemcy napępniały się tym czasem wojennymi poróżnieniami. Potępienie z woli cesarza, od wielu książąt osłanianego Lutra, groziło wielkiej części Niemiec powstaniem papieżką i cesarską, tyle odwlekana, ile stawało przeszkód od Francyi; ile groza Turcyi radziła Karólowi wielkie zamiary do czasu odkładać a wzywać złutrzających książąt do silnego odporu moszlema. Wywdzięczali się za samą odwłokę książęta protestancy, tak od swych protestacyi (r. 1529) nazwani. We wzrasta-

jących atoli podejrzeniach: to w przymierzach, to w Smalkaldzkim związku (r. 1530) wzmocnienia słabych sił swoich szukali. Palili ludzi ich wyznania, jako kacerzy, król Franciszek, ale z nimi szukał przyjaźni; a następca jego, tegoż kacerstwa prześladowca, głosił się opiekunem wolności niemieckiej. Cóżkolwiekbydź, nadszedł czas, gdy Karól V. cesarz i różnych królestw król związał się z Rzymem, na wytepienie kacerstwa, kiedy w Niemczech samych, milczeniem pokrywając podwójne zamiary, ścigał orężnie niektórych książąt rzeszy, tych którzy bezprawia popełniali i konstytucję przestapili. Zwycięstwo i złamane przyrzeczenia, podały w więzy cesarskie naczelników związku Smalkaldzkiego i luteranizmu. W téj chwili, tak sąsiedzkie spokojnej Polski ludę przerażającą, w Czechach, gdy już od niejakiemu czasu Ferdynand ich król, pierwszy z narodem zaprzysiężone pakta zerwał, strwożyli się Czesi o całość swych swobód i narodowość, i dotknął ich pierwszy cios uszczerbku praw. Sejm krwawy w Pradze (r. 1557) ogłosił wyroki króla zwycięscy; publiczne smaganie wbijało w pamięć poniżonych Czechów, że tron Habsburgski jest dziedziczny: miasta rozbrojone i więzy nad nimi rozpięte. W Niemczech zaś Karól V. na szczycie wielkości r. 1548 traktuje swobody Rzeszy, rozkazuje sumieniom, im wiarę przepisuje, a pomysłnością opojnoy, mściwe opłaty wybiera, miasta obala, zawczasu wszelkim dowolnictwem gniecie. W tym: niewiara, zdrady, niewdzięczność, stanęły w zapasy z gwałtownością i wykroczeniami zwycięscy; z cicha nasadziły raz ostry na wyteżoną Karóla wynisłość. Runęła niespodzianie pod obrótnością Maurycego nowego elektora Saskiego cała wielkość Karóla. Niemcy, wolność odzyskały: a Karól widząc skruszoną nadzieję, widząc dzielącą się jedność Habsburgskiego domu, niezdolny zapewnić synowi cesarskiej korony, zmierzył sobie własne trony, ustąpił z nich synowi i bratu, którzy z następcami w różnym sposobie w wielkiej części Europy, dźwigali ciężkie berło, uciążliwe umysłom i poniżonej ludzkości. Niedożył końca Karóla V. Zygmunt, ale był jeszcze świadkiem bez przerwy rosnącej jego znikomiej wielkości i wespół z innymi wielkimi ludźmi trony sprawującymi razem temu wiekowi przyswiecał. Henryk VIII. przy niemałych usposobieniach osobistych i szczęśliwym położeniu większą część życia na małżeńskich, miłosnych i rozwodowych sprawach, a na teologicznych zatargach strawił; w kapryśnej mieszaninie działania swego, rozpuścił cugle gorzkiemu humorowi; dziki despota upadł swém dzielném skinieniem publiczne narodu obrady. Soliman II. właśnie wspaniałomysłny despota: do zwycięstw Bóg go

powołał, z szablą w ręku wśród zwycięstw, folguje zwyciężonym, których jak bezbożników za łatwe ofiary poczytuje; lecz umie szczerze wzajemnością wypłacać: drżąc rozkazuje Węgrom, zapewnia Polsce spokojność. W upartych między sobą walkach, Franciszek z Karólem zatrzęśli Europą, a w ich zajściach: szczerze, zamięszała obłuda i oszukanie; przyjazne pojednanie, gniewne uniesienia; obok prędkiego puzszenia w niepamięć najdolegliwszych obraz i zniewag prędsze pojątrzenie; przy najzacniejszem zaufaniu, najwyższukanse wykrety; kroki naostatek odrażające i śmieszne. Podrażniła ich emulacya i podburzyła namiętności; cierpkość wieku, wywiodła przed oblicze świata pojedynki i pozwy; niemiała wstrętu od upadlającego wzajem traktowania się; zwichnięte wyobrażenia o prawości szukały wybiegów i rozgrzeszeń; wreszcie, kształcąca dyplomatów gabinetowych włoska niemoralność i polityka, niewzdrygała się zbrodniczych zarzutów i postępów. Franciszek łącząc w sobie wszystkie swego narodu usposobienia, ich płomień, w mgnieniu oka łatwo płonący, do sławy i rycerstwa zapalony, pędził się za swem imieniem. Żacny i uczciwy, niezdolny przez się dopuścić się podłości ani o nią posądzać, podobał się narodowi swemu z serca i duszy. Uniesiony za obecną chwilą i powabnemi poradami uwodzony, działania swe płochością a często brakiem roztropności naznaczył. Karól V. doświadczeniem poduczony, ilu narodów był władcą, tylu charaktery, zdawało się, w jednym sobie wykształcił. Raczej ciszą i pogodnem uczuciem przejęty, niż wesołością zachwycany, na uniesienia czułości oziębły, szukał środków skutecznych, patrzył jedynie na powodzenie w którémby duma i wyniosłość, wypocząć mogły, a chciwość władania nasyconą została. Zastanowił on a często zadziwił narody swoim umysłem i głową. Niczem niezachwiany przy miernych, ale do rzadkiej dojrzałości rozwiniętych talentach, niepowierzał się; od zapędów wolny, od wpływu obcego bezpieczny, długo przetrawiał części, obejmował całość, kojarzył przyszłość z przeszłością, nim uknute zamysły, z dyssymulacją i ubliżeniem prawości, do ostatka z energią coraz więcej natężeniem popierał krokiem. Wzajemne wysilenie się, Franciszka i Karola, dało się ich narodom uczuć. Franciszek jedynie spójnością łatwo wymierzonych środków mocny, dał odpór i ocalał. Karólowi V. rozmaitsze, nie tak łatwo obliczone i wyczerpane, a daleko większe los udzielił: odpierał on jednego nieprzyjaciela, wstrzymywał we wskazanych obrębach drugiego; wielu mniejszych i ludy pognębił; wreszcie, sprawa religii, po raz pierwszy w polityce, spreżytości dodała. Wzywali oba sporni mocarze królów Europy

do walki, wzywali i Zygmunta polskiego: lecz Zygmunt przemawiał głosem jednawczym i pokoju. W cichéj ustroni, utrzymywał się zdala od burzliwości Europy i zalety swego narodu w wysokiej dojrzałości w sobie ukazał. Brak w nim zupełny zapędów Franciszka, przebiegłości Karóla, ale spokojną dusza, nieznała ni chciwości ni zazdrości; panuje wszelkiem poruszeniom. Serce proste i otwarte, zdolne jednać nieograniczone zaufanie, łatwe do złudzenia i uwiedzenia, gdyby go zdrowa rozwaga od uchybień nieochraniała. Niebrakło mu męstwa chociaż miłość pokoju do nieczynności przywodziła. Ztąd Zygmunt, łatwo przyzwalający, powolny aż do opieszałości, łagodny aż do pobłażania. Moskwa, Prusy, Turcja, Węgry i Austria, różnemi sposobami doświadczyły tych usposobień jego; niekiedy do słabości i cierpliwego krzywdy znoszenia pomknionych. Lecz każdy krok jego, wolny od ostrości wieku, wolny od dzikich uprzedzeń, tchnął majestatyczną powagą i godnością: nigdzie z zacnej drogi swéj nieschodził, nie skaził się dziwaczniemi lub poniżającemi się kroki, jakożkolwiek, zpomiędzy królów Europy, najmniej na tronie władzy mając, w bezwładnym stanie swoim, do niedoleżnych wyskoków najwięcej pochopu. Zapewnił na długie lata pokój narodowi, zjednał sobie wszystkich dworów przyjaźń i wysokie poważanie. W tymże czasie, gdy pierwszy on luterskiego książecia stanowił, odbierał błogosławieństwa Rzymu, kiedy z Solimanem II. stałe przymierza kojarzy, wówczas dochowywa przyjaźń domowi Habsburgskiemu. Bez wielkich przedsięwzięć, bez wielkich wypadków, bez rażącego blasku, w mierności swojej jak niczem nieprzycmione światło równą jasnością łagodnie działa, przejmuje uczuciem ciszy, uprzejmie pociesza i spokojną roskosz wznieca. Dał Zygmunt czas do rozwinięcia się talentów i usposabiania do przyszłego znaczenia. Trzeba było jego powolności, jego łagodności i baczności, by kierować i unosić, z cicha niebezpiecznie poruszonym statkiem. W tym niespodziany zawrót, poruszył bałwany: niknął wzgląd dla dostojnego dobroczyńcy ludzkości, dla prawdziwego ojca ojczyzny i dotknął go w chylącym się do grobu wieku, dolegliwym zatrudnieniem, może już zbyt ciężkiem na zwątlące barki. Przy czerstwości jednak umysłu, przebywszy lat ośmdziesiąt, jeszcze na łożu śmiertelném, starzec sprawy narodu czynnie odbywał, a czterdziestoletnie dostojenstwo, aby się dorwać większego w rządach królestwa wpływu, z innemi wielu, odjąć zamierzali: biskup Maciejowski i hetman Tarnowski.

DZIEJE W KORONIE POLSKIEJ

od 1538 — 1573.

przez *Lukasza Górnickiego*. Warszawa 1829.

Nie surowy regiment¹⁾), a przystojna panowania miara, króla Zygmunta pierwszego, mądrość, stateczność, szczęście, wielkość zwycięstw nad nieprzyjacioły, i insze jego wielkie a prawie królewskie cnoty to sprawiły, iż synowi swemu Zygmunтови Augustowi, spokojne królestwo, a w nieprzyjaciółach téj korony, strach wielki zostawił; rozdzieliwszy się z tym światem dnia wielkanocnego przed wielką mszą, roku 1548. Na ten czas ksiądz *Samuel Maciejowski* biskup krakowski i kanclerz koronny, przy skonaniu z królową Boną i z królewnami będąc, zaraz komornika, o śmierci królewskiej znać dając, do króla Zygmunta Augusta, który na ten czas był w Wilnie, wyprawił. Tegoż dnia do tegoż pana z ostatniejszą sprawą²⁾), księdza *Przerębskiego*, proboszcza krakowskiego (który potem podkanclerzem bywszy, i biskupem chełmieńskim, na arcybiskupstwo gnieźnieńskie wstąpił, i na nim dokonał żywota), posłał, napominając króla, żeby się z przyjechaniem swym do Krakowa pospieszył. Po przyjechaniu księdza *Przerębskiego*, jako się w niektórych rzeczach z strony królowej Barbary postąpiło, niżej będzie. Tu król August zaraz się począł gotować, posławszy pierwój przed sobą *Jana Radziwiłła* podczaszego wielkiego księstwa litewskiego, do królowej matki swój, który szerokiemi słowy imieniem króla pana swego królową ciesząc, o powolności i miłości synowskiej przeciwko matce wiele a gruntownie obiecując, ujął nie mało smutku pani strapionej. Rychło potem król sam do Krakowa przyjechał, a zwoławszy senatorów do siebie celniejszych, posły do postronnych panów, i czas pogrzebu nazajutrz po świętym Jakubie naznaczył. Miał król Zygmunt od cesarza Karla³⁾) *Velus aureum*⁴⁾) dawno sobie na znak braterstwa posłane: które iż po śmierci tego który je miał, do podskarbiego tego bractwa, aho do starszego brata odesłać była powinność: pana *Stanisława Ostroroga*, który kasztelanem międzyrzeckim umarł z tym do cesarza Karla, a do Węgier do siostry królowej węgierskiej Izabelli, księdza *Filipa Padniowskiego* sekretarza (który potem pieczęć mniejszą pusiwszy, biskupem krakowskim umarł) z poselstwem pełnym miłości, i do

¹⁾ Rząd. ²⁾ Z dokładniejszą wiadomością. ³⁾ Karól V. ⁴⁾ Order złotego runa.

inszych panów chrześcijańskich na pogrzeb prosząc, posłał. Przyjechał był prawie tych dni, gdy król Zygmunt umrzeć miał, Stanisław Łaski, wojewoda sieracki, z sejmu rzeskiego od cesarza Karla, na którym sejmie iż się upominał pruskiej ziemie *Dayer Michel*¹⁾ i o Łaskiego to się oprzeć musiało, jako posła od króla polskiego: po niektórych traktaciech, dał się do tego przywieść Łaski, iż zezwolił na kompromis o ziemię pruską; w którym kompromisie, król rzymski Ferdynand, brat Karolusów, był naznaczony superarbitrem. Ten kompromis na piśmie przyniósł z sobą, którym ja w rękę miał, i czytał służąc księdzu Maciejowskiemu. Co król i senatorowie obaczywszy, i widząc wielkie w tym niebezpieczeństwo, a zwłaszcza, iż za dawnych czasów te kompromisy dały się znać koronie polskiej: zdało się królowi i senatorom, kogo znowu posłać, żeby ten kompromis skażon być mógł²⁾. Jakoż zgodzili się wszyscy na księdza Hozyusza, biskupa chełmińskiego, który potem kardynałem umarł, jako tego, który pruskich rzeczy był dobrze wiadomy. Tego wyprawiono znowu, i czas niemały tam strawiwszy, do tego wždy rzeczy przywiódł, iż on kompromis szyję złamał. Co iż się wszystko działo za mych dorosłych lat, i bycia mego u dworu, wspomnę i to, co się za lat mych pacholących toczyło, a dziękuję Panu Bogu, jako za wszystkie insze wielkie łaski, tak i za tę, że mi się dał urodzić za panowania króla Zygmunta pierwszego: którego żywot, iż wypisany dostatecznie nie jest, od tych którzy od niego dobrodziejstwa odnieśli, jest czego zaprawdę żałować, i na te niewdzięczniki w sercu gniew sprawiedliwy ponosić. Ide tedy do tego czasu gdy mię na naukę do Krakowa dano, co było roku 1538, we trzech lat po starodubskiej, a w rok po kokoszej wojnie. Wtenczas król Zygmunt August, (którego natenczas królewiczem zwać będę, chociaż już był koronowanym królem) wyprawował się do Wołoch. A z królewiczem jechał Jan z Tarnowa kasztelan krakowski, hetman koronny, i Andrzej z Górki kasztelan poznański, a Generał wielkopolski. Wyjechał królewicz z Krakowa ku końcu miesiąca Sierpnia, a z nim król stary i królowa. Pierwszy nocleg był w Wieliczce, wtory w Bochni, gdzie się syn z rodzicami pożegnał. W drodze tej do Wołoch, pamiętając ci dwa senatorowie kogo im w opiekę poruczono, mieli do tego królewicza³⁾, żeby o wszystkim w ciągnienu wiedział, sprawy i postęпки wszystkie rycerskie miał przed oczyma, a bez wiadomości jego, żeby się nic nie działo.

¹⁾ Mistrz Krzyżaków w Niemczech. — ²⁾ Zniweczony być mógł. —

³⁾ Skłaniali ku temu królewicza.

Zaczyn musiał się ledwie nie każdego dnia nie mały czas trawić, jako na sądziech; tak zaś, gdy albo takie, albo owakie sprawy następowały, że i do utęsknienia królewiczowi przychodziło i do utyskiwania na niedobre zdrowie. Co komorni jego widząc, dali znać królowej, że panowie senatorowie małe baczenie mają na lata młode, i słabe królewicza zdrowie, zamykając się z nim po kilka godzin zawsze i w ustawicznej pracy go mając, zaczyn do niedobrego zdrowia już przychodzi. Co gdy królową doszło, jąła narzekać, lamentować, ganić to, że król od siebie, syna jedyne go mając, w tak daleką i niebezpieczną drogę posłał. Owa tak długo było tych lamentów, tych próżb, iż król stary zwyciężony temi rzeczami, kazał się królewiczowi wrócić, i wrócił się z Glinian. Bardzo ganili ludzie to wrócenie królewiczowe, i byli ci którzy mówili, a mianowicie Raczkowski rotmistrz, że ten pan, prawi, gdyż teraz za lat swych młodych strzelby nie słyszał, ludziom się w ordynku nie przypatrzył¹⁾, szyku bitwy nie widział, już ten pan walecznym nigdy nie będzie.

Rok 1544.

Z Warszawy król z królową Boną, i z królową młodą jechał do Brześcia na sejm litewski, na który przyjechał też król August z Wilna, i stał w dworze biskupa łuckiego za Muchawcem, bo na zamku dla niego stanie być nie mogło. Tam była rada o wielu rzeczach, lecz ta była najgłówniejsza, jeśli król stary miał puścić księstwo litewskie synowi, czy po staremu sam oboje dzierzeć, a syna i z żoną jego mieć przy sobie. Było nieco panów, którzy nie radzili tego dzielić. Tegoż zdania była i królowa Bona; lecz większa część senatorów, łapując łaski u pana młodego, przemogła, iż król puścił synowi księstwo litewskie, zostawiwszy sobie tylko ten tytuł: *Supremus Dux Lithvaniae*²⁾. Nie wszysej to królowi staremu chwalili, i było co mówić, na obie strony. Jakoż czas to pokazał potem, byłoli to dobrze, albo źle. Jechał tedy z Brześcia król młody, i z żoną, na księstwo litewskie do Wilna, a król stary z królową do Krakowa, gdzie mieszkając, sejm roku 1545 złożył, na którym okrom czopowego z miast królewskich i duchownych, na żołnierza pogranicznego, nic się nie postanowiło. Tu w tym czasie przyjeżdżali do króla z Litwy, jako senatorowie, tak dworzanie, i inisi rozmaici ludzie, i powiadali o sprawach, dzielnościach, pracach, sądach króla młodego, chwając przed królem, i do nieba wynosząc mądrość, i czu-

¹⁾ Porządku wojskowym. ²⁾ Najwyższy książę litewski.

łość jego; rzekł król: zostawcie téż co ganić, mili panowie. Jakoż tak było, że król August urzędowi swemu pańskiemu czynił dosyć, ale Pan Bóg onę cnotliwą a świętą królową Elżbietę, żonę jego długo na świecie mieć nie chciał; umarła w Wilnie tegoż roku i tam pochowana. Żył potem król August w Litwie bez żony, nieco odmieniwszy obyczajów. A król stary, to takie, to owakie o synu miewał wieści. Nastąpił zaś rok 1546, którego do Turek Stanisława Broniowskiego dworzanina posłano, i po nim Mikołaja Cikowskiego. Tegoż roku Carolus cesarz na niemieckie księżęta lud cicho zbierać począł: a Polska nasza tymczasem w pokoju stała, i nie było potrzeby sejmu składać, aż w rok 1547 którego roku ono zebranie ludzi od Karolusa cesarza do skutku przyszło bitwą, w której Fryderyk kurfirst Saski¹⁾ był poimany. Lecz ja do sejmu naszego idę, na który król jechał z królową Boną do Piotrkowa, gdzie téż był na ten czas z Litwy przyjechał król August. A iż było sławę puszczono o nim, żeby miał pojąć żonę z domu panów Radziwiłłów, Barbarę, która przedtém była za Stanisławem Gasztołem, kasztelanem trockim, przeto król stary osobno na pokoju pytał o to syna, i żeby mu powiedział prawdę. Tam jako odpowiedział ojcu, nikt tego nie wie; lecz tak rozumieli ludzie, że się nie przyznał: albowiem po starcu nie znać było frasunku żadnego, który podobnoby się był pokazał, gdyby się był syn przyznał, a najbardziej z téj miary, iż bez woli i rady jego do tego małżeństwa przystąpił. Na tym sejmie (który nie bardzo był ludziom ku myśli, iż królowa Bona za starością i niedobrem zdrowiem królewskim brała na się rządy), byli ci którzy radzili, iżby król stary regiment synowi spuścił, i zażył téj pociechy, patrząc na porządne a świętobliwe panowanie syna swego; jakoż nie bardzo się tego zbraniał król stary. Lecz królowa Bona coś inszego, a podobno swego upatrując, prosiła, żeby król nie kazał o tym przed sobą wzmianki czynić. Gdy się tedy co inszego, jako być mogło, na tym sejmie postanowiło, i skończyło: a trwał sejm czas nie mały, iż i w rok 1548 wstąpił, król młody do Litwy się wrócił, a król stary z Piotrkowa do Krakowa jechał bardzo chory.

Nie długo po przyjechaniu do Krakowa, gdy i lata dojrzałe ujmowały sił przyrodnych, i choroba co dalej, to się bardziej szerzyła, dnia wielkanocnego przed wielką mszą (jakom to na początku tego pisanja mego wspomniał), słuchając mądrego napominania spowiednika swego, księdza Wita, zakonnika od ś. Trójcy, oddał Panu Bogu ducha swego,

¹⁾ Elektor saski.

przy bytności królowej i królewien, i księdza Maciejowskiego, biskupa krakowskiego, który jako, i przez kogo królowi do Litwy dał znać, i w inszych rzeczach jako się postąpiło w sprawach R. P. już się to wyżej napisało.

Idę do pogrzebu tego wielkiego króla, który się odprawować począł, nazajutrz po świętym Jakubie, z wielką pompą, to jest we Czwartek 26 Julii. Byli posłowie wielcy od cesarza Karolusa, Ferdynanda króla rzymskiego, elektorów, książąt czeskich i włoskich, od królowej węgierskiej, od Wenetów, i od innych wielkich książąt; a margrabiowie brandenburscy sami osobami swemi byli. Panowie też koronni stawili się mało nie wszyscy. Dawano wszystkim cudzoziemcom dostatki wielkie¹⁾ tak iż przedtym żadnego polskiego króla, z większą pompą, z większemi ceremoniami, z większemi dostatkami nie grzebiono. Kazanie na mszy wielkiej po łacinie uczynił ksiądz Maciejowski biskup krakowski, którym tak wzruszył ludźmi, iż i ci którzy nie do końca rozumieli²⁾ języka łacińskiego, musieli płakać. Po pogrzebie (który trwał trzy dni, z odprawowaniem processyi) po odprawie posłów cudzoziemskich, i po odprawie dworu, zdało się tak ludziom, iż królowa Bona radaby była mieszkała przy synie; lecz nie wiem z której przyczyny poczęła być jakaś niesnaska między niemi. Zaczyn królowa jęła się gotować w Mazowsze, żeby na oprawie swój usiadła³⁾. Ochmistrem u niej był⁴⁾ Jan Ocieski, który potem po śmierci Grabi podkanclerzego, był podkanclerzem, i po śmierci księdza Maciejowskiego kanclerzem koronnym. O czym niżej się powie. Nie długo po pogrzebie, król pan nowy w Piotrkowie sejm złożył tegoż roku, na który zjechawszy się panowie koronni i posłowie, iż nie tajemne było małżeństwo królewskie, (bo na on czas jeszcze, po przyjechaniu do Wilna księdza Przerębskiego, po śmierci króla starego, królowa na zamek wzięta i urzędnicy byli jej oddani) najprzód o ożenieniu tym mówić, porozumiewać się senatorowie społy poczęli, zgodnie to chcąc mieć, żeby król rozwiódł się z żoną. A gdy widzieli posłowie za pierwszą prozbą stateczny umysł królewski, że przysięgi łamać żonie niechciał: powtórę rozkazali, żeby Piotr Boratyński uczynił do króla nową prośbę.

A tu dopiero król sam temi krótkimi słowy rzecz tę

¹⁾ Wygody wszelkie. ²⁾ Nie zupełnie. ³⁾ Oprawa, czyli reforma-cya, fundusz dożywotni od męża dany żonie, w miarę jej posagu, Czacki o prawach T. 2 s. 7 tu więc znaczy: osiadła w dobrach puszczonej jej w oprawie. ⁴⁾ Marszałkiem dworu.

skończył. „Co się stało, odstąpić się nie może: a *wam* przystało nie o to mnie prosić, iżbym żonie wiarę złamał, lecz o to iżbym ją każdemu człowiekowi na świecie dochował. Przysiągłem żonie, téj nie odstąpię póki mnie Pan Bóg na świecie zachowa: a miłsza mi jest wiara moja, niż wszystkie na świecie królestwa.“

Zatém król do sądów przystąpił: i sądził kto się wdał w sądy. Zaś posłowie znowu przyszli, prosząc króla żeby zaniechał sądów. Na co ksiądz Maciejowski od króla odpowiedział, że król powinności swéj królewskiej chce czynić dosyć, a proźbie panów posłów w téj mierze dogodzić nie może. Zatym rozjechała się większa część senatorów, i posłowie; a król osądziwszy nieco akcyi¹⁾ z temi co zostali senatorami, uniwersały po koronie rozesławszy (w których obciążał sobie na posły, iż sejm rozerwali, a do tego co był król uczynić gotów, potwierdzenie praw²⁾, podług obietnicy dawnéj swojej przyjąć nie chcieli) ruszył się z Piotrkowa do Krakowa, i tam mieszkał przez rok 1549.

Zaczém przyszło potém do koronacyi królowéj Barbary. Koronował ją ksiądz arcybiskup Dzierzgowski chorą, i taż choroba potém żywot jéj odjęła. Przy której koronacyi był ksiądz Zebrzydowski kujawski biskup, i insi biskupi, i senatorowie, jako się wspomniało wyżej; a po koronacyi odprawił się hold książąt lennych. A iż o sobie czuł³⁾ ksiądz biskup kujawski, Zebrzydowski, przez wojewodę wileńskiego, a Trzebuchowskiego czyniąc staranie: przeto tamże w Krakowie dano mu biskupstwo krakowskie. Biskupstwa zaś tak insze poszły: Drohojowskiemu kujawskie, a chełmskie którym był Drohojowski, Jakubowi Uchańskiemu referendarzowi dano, a ksiądz Podlódowski na plebanii przestać musiał, nie złój wprawdzie, lecz fortuny w rzeczach swych tym sroższej doznał, im go była obietnicą swą wyżej podług sta: dano mu potém i referendaryą po księdzu Uchańskim.

Nastąpił rok 1551, którego królowa Barbara umarła, z wielkim królewskim żalem. Ciało król do Wilna prowadził, mając z sobą dwór osobliwych ludzi, i sekretarzów duchownych godnych niemało, między którymi był ksiądz Jan Przerebski. Tamże król z wielką uctewością, królowę na zamku, gdzie i pierwszą żonę, pochował. Tego roku był głód wielki, i siła ludzi od głodu pomarła. Rychło po pogrzebie król w Winié sejm litewski złożył. A w Polsce Synod był w Piotrkowie, z którego puszczone jest na świat Con-

¹⁾ Spraw. ²⁾ Swobód. ³⁾ Dbał o siebie, czynił staranie.

fessio¹⁾ księdza Hozyusza, który potem kardynałem w Rzymie umarł. Tego też roku Andrzej z Górki kasztelan poznański, a generał wielkopolski, umarł; po nim kasztelanią dał król Piotrowi Czarnkowskiemu, a generałstwo Janowi Kościelskiemu. Na tenże czas też Andrzej Zebrzydowski, zabiegając iżby katolicka religija wątlona nie była, słysząc o Krupce Przecławskim, iż sobie Marcina Lutra heretyka naukę upodobał, i jawnie dobrą ją być wyznawał, pozwał go przed się. Sąd był w Krakowie w biskupim dworze. Z tym Krupką nie mało przyjechało było ludzi: między którymi był Marcin Zborowski, kasztelan kaliski, z wielką gromadą przyjaciół swoich, a stał w dworze swym przeciwko dworowi biskupiemu. A iż ze wszystkim hurmem do dworu biskupiego przyjść chciał, biskup obawiając się takiego rozruchu, kazał wrota wielkie zamknąć, a za wroty przeciwko ulicy kilka działek zatoczyć; jednak fórtka była wolna. Zaczyn kasztelan kaliski posłał do biskupa z niejakim uskarżaniem, iż przed nim, i przyjaciół jego wrota zawarto, i działa zatoczono: wywodząc to, iż sąd każdy nie w zawarcu, ale jasnie, jawnie, przy bytności jako najwięcej ludzi może być, być ma. Jakoż gdzieby wrota nie były otwarte, że on fórtką, jako dziurą, i z przyjaciół swemi do tego sądu przyjśćby nie chciał; ale i Przecławski nie byłby winien, aniby przeciwko niemu dekret stać się mógł, gdzieby do takiego sądu zawartego stanął. Na to poselstwo biskup wskazał, iż przez sługi swoje da odpowiedź: i wnet potem posłał kilku sług swoich, między którymi byłem i ja, służąc na onczas po śmierci księdza Maciejowskiego temu biskupowi, do pana Kaliskiego, umawiając się, iż te wrota zawarto nie przed kasztelanem kaliskim, radą pańską, ale przed pospolstwem, żeby to, jako nieunoszone, rozruchu jakiego nie uczyniło u sądu; a co się dział tyczy, te zdawna tak są zatoczone, i zawždy potem tak je każdy zatoczone znajdzie, które jednak tak zatoczone nikomu nie szkodzą. A przecie sąd ten w zawarcu nie jest, ani dwór zamknięty; są dosyć przestronne insze miejsca, którymi do dworu nie jedno wchód ale i wjazd jest. Owa po posyłaniu z obu stron raz i drugi, iż ksiądz biskup wrót otworzyć nie kazał, kasztelan z przyjaciół swemi nie przyszedł; tylko Krupka z kilką osób stanął. A będąc na sądzie pytany z strony wiary, powiedział, iż podług ewangelii świętej a szczerego słowa Bożego wierzy, a wyznawa głowę kościoła Bożego Pana Chrystusa. Wszakże jeśli mię, prawi, kto lepiej nauczy, upornym nie będę. Powiedziano mu od biskupa, że z tych słów znać, że jest przeciwny kościołowi;

¹⁾ Książka pod tym tytułem czyli wyznanie wiary.

którego acz jest Pan Chrystus głową, jednak widomą głowę tu na ziemi chce mieć, i ma namiestnika swego, ojca świętego, papieża, który uznawa między trądem, a nie trądem. Przeto ta rzecz odwłoczona być nie może; musisz jasnie powiedzieć, jeśliś jest, i być chcesz, katolikiem prawdziwym, nie słuchając ani u siebie mając inszych księży, jedno te którzy od biskupów swoich przystojnie są poświęceni, i trwają w starożytniej katolickiej wierze, wyznawając głowę, a Chrystusowym namiestnikiem w Rzymie, ojca świętego papieża. Czyli masz jaką inszą cudzoziemską religią? Tu Krupka rozmaitych wymówek używając, i układnie mówiąc do biskupa, radby był zniknął od sądu tego, dobrym sposobem; wszakoż gdy docierano nań, nie mogło być inaczej, jedno się przyznać, że nie tak wierzy, jako księża mówią. Biskup zatem uczynił rzecz do niego: że się zawiedzie bardzo ten każdy, kto kościoła nie słuchając, udaje się za nowemi proroki, i woli jednemu człowiekowi wierzyć, niż zgromadzeniu wszystkiego świata. Przeto aby się radniej wrócił do religii przodków swoich, niżeli żeby miał za uporem swoim, i majątność stracić, i coś droższego niż wszystkie majątności. Jakoż gdzieby nadzieja pewna była o jego nawróceniu, łatwiejby się dekret odłożyć mógł. Te słowa biskupie nietylko nie pochamowały Przeclawskiego, ale go zagrzały bardziej, że na nie taką dał odpowiedź: iż od tej religii którą wziął przed się, żadna go rzecz na świecie, by najśrodsza, nieodstraszy. Przy tym sędzie byli kanonicy krakowscy i kollegiaci, którzy wszyscy gdy się zgadzali na jedną sentencją, iż Krupka jest heretykiem znacznym, biskup pro tribunali¹⁾ siedząc, a uczyniwszy umowę²⁾, iż pomniejszy Bogu jest, niż ludziom, pronuncyował³⁾ Krupkę być heretykiem, i odesłał go do urzędu świeckiego, iżby na nim prawo pospolite, na heretyki postanowione, było wykonane. Przy tym wszystkim ja byłem: i jako po mnie, było nieco godnych ludzi, okrom osób duchownych, którzy nie bardzo to chwalili księdzu biskupowi, że taki uczynił dekret, wątpiąc żeby miał mieć swój skutek: a kładąc sobie przed oczy księdza Maciejowskiego który i biskupem krakowskim, i pieczętarzem, i w łasce u króla będąc, jednak takiego dekretu przeciwko onym, które był przed się pozwał o wiarę, uczynić nie śmiał, widząc że rzeczy tych dopiąć trudno było. Po tym dekreście, kasztelan kaliski objechał celniejsze senatory w Polsce: jako kasztelan krakowski, Kmity Sobieńskiego, wojewodę kra-

¹⁾ Na sądach. ²⁾ Wspomniawszy, iż więcej względu mieć powinien na Boga, niżeli na ludzi, więcej pamiętać o Bogu. ³⁾ Ogłosił.

kowskiego, i siła inszych wojewód, i kasztelanów. Także przyjaciele insi jego, po różnych miejscach się różjechali, sławiąc biskupa o tak ostry dekret: i ukazując jako rzecz niebezpieczna jest wolnościom szlacheckim, żeby księza podczciwych ludzi (gdyż każdy heretyk infamis), czci odsądzać mieli. Owa po tym obostrzeniu ludzi wielkich i małych przeciwko biskupowi, roku 1552 sejm jest złożon: a miejsce sejmu w Piotrkowie, na który król z Litwy przyjechał w wielkiej poczcie ludzi osobliwych. Tam po prozycy nioczym posłowie mówić nie chcieli, ażby dekret biskupa krakowskiego podniesion¹⁾ był: czego posłom celniejsi senatorowie pomagali. Bywało mowy dosyć w radzie, to od biskupów, to od senatorów świeckich, przecz nie przystoi praw dawnych burzyć: ukazowali biskupi, iż żadna insza rzecz rychlój nie wywróci każdego państwa, każdego królestwa, jako różność w chwaleniu Boga. Drudzy zaś przyznali to, iż odmiana wiary, odmianę państw czyni: jednak żeby to w mocy księży być miało, czynić *infamem* kogo chcą, Boże tego uchowaj! Po długim tedy rozbieraniu tych rzeczy; król uczynił dekret: Iż z strony religii, nikomu inszemu uznanie nie należy, kto dobrze albo źle wierzy, jedno biskupom; lecz około pocziwości nie onych to sąd. Tym dekretem stan duchowny tak był obrażon, iż uczyniwszy protestacyą, że się gwałt dzieje ich prawom, kilka dni do rady nie chodzili. I od tych czasów, nietylko sąd z strony wiary biskupiěj ustał, ale i listów onych do starostw wydawać z kancelaryi przestano; żeby się wwięzowali²⁾ imiona tych szlachciców, którzy klątew przez rok i sześć niedziel nie zniesli z siebie. A za tym zepsowaniem jurysdykcyi księżej, do tego przyszło, iż *impune*³⁾ teraz bracia, siostry, synowcy, stryje, i insze powinne powinni pojmują: są i ci co po dwóch żon mają: są i ci którzy z cudzemi żonami ślub biorą, i mieszkają. Co jeśli dobrze, czas to pokaże.

Potém we Gdańsku dowiedziawszy się ksiązę pruskie, iż król przez Żmudź do Litwy jechać chce: prosił króla do siebie do Królewca, i po proźbie rychło ze Gdańska sam wyjechał, także i ksiązę pomorskie. Wiecej we Gdańsku nic się nie sprawiło, okrom tego, że tam Brodnicę król dał na wieczność Działyńskiemu, która to Brodnica to sprawiła, iż eksekucya⁴⁾ za czasem doszła. Ruszył się król ze Gdańska ku koncu Septembra, i przyjechał do Królewca, gdzie cały tydzień mieszkał: a ksiązę pruskie podejmował dwór wszy-

¹⁾ Usunięty. ²⁾ Obejmowali. ³⁾ Bezkarne. ⁴⁾ Odejmnowanie posiadaczowi dóbr korony nieprawnie rozdanych.

stek, i tak hojnie, iż co jedno kto zamyślił wszystkiego dawano. Byli ci którzy na pany swe obroki brali, a panów u dworu nie było: co acz ksiązę wiedział, jednak dawać kazał. Jednego dnia trafiło się, iż ksiązę chciał królowi ukazać owce swoje, i jako owczarze płoty owcze z miejsca na miejsce dla pastwy owcom przenoszą. Wyjechał król w pole z ksiązęciem dla tego, a iżby ksiązę tym większą wdzięczność królowi pokazał, rozkazał w pole wywieść strzelbę ognistą. Tam gdy już król i owce, i płoty i insze gospodarstwo ksiązące oglądał, i ku miastu jechać miał: kazało ksiązę ogniste kule z moździerzów wypuszczać; Puszkarz zapalił raz, i drugi, z kąd ogień do cyntlochu dojść miał. Nie doszedł ogień, raz i drugi; posłało zatem ksiązę do puszkarza z gniewem, że tak nierządnie tę strzelbę nagotował, a iż go o to karać chciał. Puszkarz strwożony, iżby niełaski księżęcój nie odniósł, rozsypał siła prochu blisko moździerza, tak iż i pod moździerz nie mało się wtoczyło; a gdy zapalił on proch, który do cyndlochu miał ogień podać, zapalił się i on co się pod moździerz wtoczył a ruszywszy moździerz, nawrócił go ku królowi. Wypadła kula, a wypadłszy zaraz zgasła; jednak obaczyli wszyscy, że prawie nad ludźmi gdzie król, i ksiązę stało, spaść miała: jeli się umykać, rozjeżdżać; a w tym jako pacholę z szefelinem za królem na koniu stojąc, kniaź Wiśniowiecki w górę patrzył na kulę, tak kula uderzyła go w wierzch czoła, i wyrwała zadnią część głowy z muzgiem, że i na króla mózg strzelił, a tymże pędem konia pod kniazem w krzyż trafiła, że i kniaź i koń, na miejscu zaraz zostali. Ksiązę strwożony nad miarę, kazał puszkarza poimać i na gardło go skarał. Król obaczywszy ksiązęcą z przypadku tego wielką żalność, cośmy wszyscy jasnie z twarzy jego widzieli, cieszył ksiązę piękniemi słowy, i napominał, żeby się nie frasował; gdyż widoma to rzecz jest, że nieumyślnie to się stało: bo w tymże sam ksiązę był niebezpieczeństwie, w którym i król; i dołożył król chcąc to koniecznie mieć, żeby puszkarzowi żywota nie brano. Na wieczerzy król jadł z ksiązęciem pospołu, i dodawał mu dobrej myśli. A iż z królem był Gabryel Tarło, który potem ochmistrem był u królowej Katarzyny i starostą chełmskim, a miał u ksiązęcia z dawna wielką łaskę, naprawił go król na ksiązę, iżby często pił do niego za zdrowie królewskie; sam też król kilkakroć pił do niego. Owo ksiązę był podpoiony, lecz mu to przecię z głowy nie wyszło, wyznawając, że go tym Pan Bóg nie ladajako dotknął; a choć tu u króla pana swego wymówiony jest, jednak nieprzyjaciół jego bez wątpienia najdzie, co w tej

mierze zechce poganić. Ku końcu jednak wyjazdu królewskiego, a zwłaszcza iż go w tym król często napominał, zdało się to wszystkim, że tego żalu w książęciu ujęło się niemało. Wyjechał król z Królewca, a już dżdże jesienne przykre następować poczęły; dostatki w drodze wszystkie od książęcia dawano, lecz dwa noclegi były, gdzie jedno król sam tylko domek jeden, izbę z komorą dla siebie mieć mógł, a wszyscy na chłodnikach z chróstu przestać musieli. Na takim noclegu gdyśmy byli, przyszła nowina, iż Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski, a hetman polny, wprowadził na województwo wołoskie Aleksandra wojewodę, który niemały czas w Polsce mieszkał. Ta nowina króla bardzo zafrasowała, i wielce ganił to Sieniawskiemu, że się tego ważył. Obawiał się bowiem król, żeby tego za zgwałcenie przynierza Turek nie brał sobie, a zatem na koronę się nie oburzył: przeto wnet uniwersały pisać kazał do Rusi, aby do Wołoch od naszych najazdy nie były; a ci którzy są w Wołoszech, żeby z tamąd co najrychlej wyjeżdżali pod srogim karaniem, a iż nie było gdzie pisać, pisaliśmy w izbie tej nędznej, z której pokój królewski był, noc całą. Naza-jutrz z temi uniwersały komorniki odprawiono. A król do Żmudzi wjechał, gdzie go Hieronim Chodkiewicz starosta żmudzki, hojnie przyjął, w niemałej poczcie przeciwko niemu wyjechawszy.

Rok 1565.

Tego roku sejm był w Piotrkowie, i na nim bardzo wiele konstytucyi uczyniono, między którymi i ona była, żeby król mógł wziąć na dobra stołu swego pięćkroć sto tysięcy złotych. Drugiego zaś roku 1566 sejm lubelski nastąpił, na którym niewiele się sprawiło, co łatwo obaczyć z recessu¹⁾ lubelskiego. To tylko pamięci godne, iż k. arcybiskup Uchański, mając tę wiadomość, iż król odesłać królową żonę swą do brata cesarza Maxymiliana chce, ku końcu sejmu, wstawszy ze stołka swego, a zaraz powstała i rada wszystka koronna, przy czém i posłowie byli, uczynił rzecz do króla dosyć poważną, przekładając niebezpieczeństwa, któreby na koronę przysć musiały, gdzieby małżonkę król, panią świętobliwą odesłać do braci miał; więc gniew boży, którego zatem i król i R. P. nadziewaćby się mogła, gdyż królowa do niełaski nie dała żadnej przyczyny; o czém dosyć szeroko i mądrze mówiwszy klęknął, a potem padł na twarz, prosząc z płaczem króla, przez Boga żywego, iżby królowej

¹⁾ Przedmioty, które na żadnym sejmie nie były uchwalone, recessem odsyłano do postanowienia na drugim.

nie odsyłał, a w zgodzie i miłości z nią tak jako przystoi mieszkał: płakać pomagali i senatorowie arcybiskupowi. Zatem król kilka słów rzekłszy na on czas, odłożył do jutra odpowiedź swoją, i dał ją taką: że tego przywieść na sobie nie może, iżby takiej dogodził prośbie, a iż cięższaby mu to rzecz była, niż pozbyć żywota: przeto aby mu w tém już pokój dano, prosił. A iż był na sejmie Piotrkowskim wyżej mianowany, król postanowił ciągnąć z wojskiem na Moskwę, i w radzie jawnie, jasnie odpowiedział, że osobą swą iść chciał, dokładając tego, iż za sprawiedliwością swoją, a pomocą bożą, obrałby to radniej, sam a sam z nieprzyjacielem czynić, niżby za stoczeniem ku bitwie wojsk siła krwi Chrześcijańskiej wylać się miało: przeto w roku tym 1567 ruszył się z Wilna już w jesieni, pierwój do Markowa, potem do Radoszkowic, gdzie szuk był¹⁾. Z której zaś przyczyny ta wojna nie doszła, i co za poselstwo do króla od moskiewskiego było, Kozłów Moskwiczin jako zginął, Szylin jako w więzienie wzięt, przestąpić to słuszniej jest, niż pisać. Lecz tego zamilczeć się nie godzi, iż od Rzeczypospolitej polskiej, senatorów i rycerstwa, mieli legacyą, ksiądz Piotr Myszkowski, podkanclerzy; pan Łysakowski, kasztelan chełmiński; a pan Stanisław Czarnecki, komendor do panów i rycerstwa wielkiego księstwa litewskiego, z sejmu piotrkowskiego, wzywając Ich M. do Unii: którą legacyą bardzo pięknie odprawił ksiądz Myszkowski w Mołodzieczenie, ukazując jako wiele na zgodzie i miłości należy, a przypominając obietnice, spiski²⁾ i przywileje, jakimi to dwoje państw zdawna złączone jest, a skutek się ze złem obojga państwa przewłacza. Dali odpowiedź panowie litewscy, iż nie są od tego, żeby Unia skutecznie dosyć nie miała: lecz z takim warunkiem, jakoby najmniej poniżone nie było wielkie litewskie księstwo i nie w tytułach, nie w prawie, nie w intracie nie było zmniejszone, abo urażone. Po téj radoszkowskiej, Jan Chodkiewicz, starosta żmudzki, z częścią ludzi, a działa królewskimi szedł pod Ulę, pod którą leżawszy nieco czasu, iż zima twarda była, szanować się trudno było, odeciągnął. Téj Uły zaś innego czasu, kniaź Roman Sanguszko, bez wielkiego wojska, jedno rozumem, sprawą, a czułością, dostał z wielką swą sławą. Rychło potem, iż frajbiterowie³⁾ które król miał na morzu, dla wielu przyczyn, gdańszczanom byli ciężcy, wygubili je, dawszy jedne potracić, a drugie

¹⁾ Przegląd wojska. ²⁾ Opisy. ³⁾ Dowódcy okrętów, którym poruczone było dopilnowanie, ażeby handel zakazany nie był prowadzonym, na ile ażeby nie oszukiwano.

wygnać; czém król obrażonym będąc, kommissarze do Gdańska posłał, lecz do miasta nie są puszczeni. Zaczém pozwano miasto na sejm przyszedł, a ten do Lublina był obiema narodom dla skończenia Unii złożony na dni grudniowe roku 1568, trwał ten sejm aż się w końcu lata odprawiał roku 1569. Na nim skończyła się Unia: lecz nie pierwój, aż król Podlasze i Wołyn do korony przyłączył. Sądzeni téż Gdańszczanie byli, nalezieni nieprawi¹⁾ i do więzienia wzięci, jednak nie skarani; ale znowu zdało się królowi kommissarze tam posłać. I posłał biskupa kujawskiego, Karnkowskiego, który był potém arcybiskupem gnieźnieńskim; Sierakowskiego wojewodę łeczyckiego, Mikołaja Firleja, na on czas kasztelana krakowskiego. Na tém sejmie książę młode pruskie Albrycht Fryderyk hołd czynił; i tego téż czasu książę mekielburski, Magnus, który dla nietrafnych spraw swoich, w Inflanciech był pojmany, i dany do Rawy na więzienie, jakom to wyżej wspomniał, za przyczyną wielu książąt niemieckich, wolnym uczynion jest: uczynił jednak pierwój przystojną królowi, i R. P. przysięgę. Niż się ten rok skończył, Strasz, Polak poturczony²⁾, posłem od Turka do króla przyjechał. Po poselstwie Straszowém, Andrzej Tarnowski do Turek wyprawion: który potém za ludźmi cesarza tureckiego posłany był z Carogroda, z czauszem, aż tam gdzie wojska tureckie ziemią i morzem szły ku ziemi moskiewskiej do Astrachani. Te wojska Turek dla tego był wyprawiał, iżby przekopali górę, którą zowią Perewoloka, żeby te rzeki, Wołcha i Don, zejść się mogły: ale się Turkom bardzo nieszczęściło, tak iż i morzem, i ziemią ledwie się ich co do domu wróciło; a Tarnowski z ludźmi temi wszystek czas bywszy, dla tego żeby wojska tureckie ziemie królestwa polskiego nie zajmowały, ztamtąd się z Perekop do króla wrócił. Po zwróceniu Tarnowskiego, z którym był i czausz turecki przyjechał, był sejm w Warszawie roku 1570 na którym kommissarze, co je z Lubelskiego sejmku wysłano było do Gdańska, dali sprawę królowi z postępów swoich, które się podobały królowi: odnieśli za to pochwałę, a od posłów dziękę. Z tego sejmku zaś drudzy kommissarze do Gdańska posłani, żeby ono postanowienie pierwszych kommissarzów skutek wzięło; lecz do tego skutku nie przyszło. Tegoż czasu do Moskwy posłani byli: Jan z Krotoszyna, wojewoda inowrocławski, Rafał Leszczyński, starosta radziejowski; a z Litwy Jan Talwosz, kasztelan żmudzki, a z nim Andrzej Iwanowicz Charytonowicz Ubrynski, pisarz litewski, podług zwyczaju. Dalej

¹⁾ Występnici. ²⁾ Z chrześcianina na turecką przechodzący wiarę.

coby u nas tego roku znacznego, i do napisania godnego było, nie widzę; ale Moskiewskiemu pamiętny to rok Pan Bóg posłał: bo Tatarowie aż do Moskwy miasta przyszli, i spalili wszystko, z kąd korzyść wielką, i ludzi niezliczoną liczbę w więzieniu wzięwszy, znowu się do Perekopu wrócili. Nastąpił rok 1572. Złożony sejm był w Warszawie tego roku, którego statecznie zacząć, nierzkać kończyć, powietrze nie dopuściło; ale i choroby królewskie, podagra i chiragra, czyniły króla do sejmowania nie sposobnego. Tymczasem jednak testament tajemnie pisać kazał; pisał go na pokoju doktor Augustyn Rotundus, sekretarz i wójt wileński, człowiek enotliwy, a w prawie i inszych naukach biegły. Gdy tedy powietrze szerzyć się gwałtowniej poczęło, król mając z Warszawy, a choro bardzo, do Knyżyna wyjechać, niż go z łóżkiem na wóz na to urobiony wniesiono, iż sobie nieco brał za obrazę od królowny Anny, siostry swój, i przez niemały czas do siebie jej nie przypuszczał, rzekł mu Karwicki Obożny: Miłościwy królu, a więc tak W. K. M. odjedziesz ztąd, z królowną się Jój M. siostrą swą nie pożegnawszy? Ba miłościwy królu, umrzeć jej pewnie od żalu przyjdzie: każ jej W. K. M. przyjść do siebie, bo ona o to W. K. Mości, łzy wylewając, prosi. Tu król zamilczawszy trochę, rzekł: każcież jej przyjść. Przyszła potem królowna, i z płaczem przeprosiła króla, a król oddał jej spisany testament, kilka słów do niej rzekłszy. Potem na wóz wnieść się kazał; gdy na wóz z łóżkiem wstawiony, dwiema jurgieltnikom na wozie przy sobie bydź kazał, Andrzejowi Boboli, a Fabianowi Klińskiemu; było i pacholąt kilka na wozie, i tak wyjechał z Warszawy. Gdy miał przyjeżdżać do Tykocina, z noclegu przed Tykocinem pisał do mnie, żebych nikogo do miasta nie puszczał z tych co naprzód jadą. Ja uczyniłem dosyć woli pańskiej, zacząłem wielki orszak ludzi z wozmi, z kolasami, stał przed miastem. A kiedy król wjeżdżał we wrota miejskie, jeli ludzie krzyczeć, prosić żeby król puścić je do miasta kazał, a Karwicki obożny do woza przystąpiwszy, powiedział: Miłościwy królu, tu w tym obozie są żony woznic, masztalerzów: jako tu zostaną przed miastem, tak woznice, masztalerze, odbieją od koni do żon, żeby tu u nich iedli, i tak szkoda w koniach bydź może; przeto każ W. K. M. puścić do miasta, i kazał król żeby wjechali; a zatém obozem ludzi stajennych, powietrze do miasta weszło, i było bardzo wielkie, iż ledwie się, przeszedłszy pół zimy, uspokoiło. Tego dnia król pytał mię, jeżeli się już bernardyni wyprowadzili z murowanego kościoła do drewnianego w mieście;

powiedziałem, że się nie wyprowadzili; pytał czemu; albo tamten klasztor jeszcze nie gotów? Powiedziałem, iż gotów ze wszystkim, lecz nie mając i ja rozkazania Waszój Królewskiej Mości żeby się wyprowadzili, nie śmiałem ruszać ich z miejsca dawnego, ażbym pierwój dowiedział się woli W. K. M. Tu król: idźże do nich, i rozkaż im, żeby się prowadzili. Szedłem zaraz, i opowiedziałem zakonnikom wolą królewską, którzy dali tę odpowiedź, że są gotowi wypełnić Jego K. M. rozkazanie. Nazajutrz król wyjechał do Knyszyna; bernardyni téż w kilka dni tamże jechali, za któremi ksiądz Krasinśki, biskup krakowski i podkanclerzy, przyczynił się do króla, iż król im użyczył czasu do prowadzenia sześć niedziel, które niż wyszły, król Panu Bogu ducha oddał. Przed śmiercią dzień, w Niedzielę, 6. Julii, gdym przyjechał do Knyszyna, i przyszedłem przed króla do łóżnice, spytał mię, jeśli z sobą przywiózł wizerunki: odpowiedziałem, że ich nie wziął, rozumiejąc iż Wasza K. M. tego czasu tym bawić się nie miałeś. Król zatém: jedźże do Tykocina, a bądź u mnie jutro z niemi. Poszedłem zaraz z oczyma zapłakanemi, a widząc pana zbytnie schorzonego, i rozumiejąc że ledwie jutra doczekać miał, jechałem zaraz na zamek, (bo przedtém mieszkanie było moje w mieście w dworcu), i tam przeniósłem się ze wszystkim. Tego dnia, gdym ja w Knyszynie był w Niedzielę, powiedzieli doktorowie królowi przy księdzu biskupie krakowskim, iż lepiej, prawi, żebyś W. K. M. z Panem Bogiem się pojednał: bo acz jeszcze znaków śmiertelnych nie widzimy, jednak od spowiedzi, od przyjęcia Najświętszego *Sakramentu* bywa to często, że się ludziom na zdrowiu poprawuje. Zatém król: powinniście to, prawi, byli dawniej mi powiedzieć, a nie cieszyć mię niepotrzebną pociechą; a toż jutro księżę biskupie ja to uczynię, a do tego co należy, żeby gotowo było. Nazajutrz tedy w Poniedziałek, 7. Julii, Najświętszy *Sakrament* po spowiedzi, i olej święty przyjąwszy, rozdzielił się z tym światem, z niewymownym żalem nas wszystkich sług jego, którzy nie panaśmy mieli, ale dobrotliwego Ojca. Lat miał gdy umarł 52 bez kilka niedziel. Pan to był cnot wielkich, które wyliczać i zdobić słowy, méj głowy nie jest, lecz najdzie się ten, kto to uczyni, i na przykład inszym królom, żywot jego na piśmie poda, iżby umieli insi królowie wolnym rozkazować ludziom, i mieć taką w królowaniu miarę, jaką on miał, iż i ci, którzy kiedy za dekretem jego szli na śmierć, żadnego okrucieństwa jemu nie przypisowali, a w obec wszyscy w koronie ludzie, i wielcy i mali, tak drogie mieli jego zdrowie, iż

każdy za nie żywot swój był położyć gotów. A tu przypatrzeć się każdy może, jako owi monarchowie są nie-szczęśliwi którzy mówią: Oderint dum metuant¹⁾. Ten pan miłością ku poddanym wszystko był sobie zjednał, i dla tego szczęśliwe było jego królowanie.

1) Niech nienawidzą, byle się lękali.

E.

KRONIKI

I

SYSTEMATA HISTORIÆ.

1800

1800

Z KRONIKI POLSKIEJ MARCINA BIELSKIEGO.

Kraków 1597.

O przyjściu Lecha do Polski.

Już tedy ukazawszy to na oko każdemu, że naród nasz polski poszedł od Słowian, a Słowianie od Henetów, którzy w Azji mniejszej nad morzem czarnem mieszkali naprzód, a z tamtąd na dwoje się rozeszli: jedni z Antenorem po wojnie trojańskiej do Illiryku, a drudzy jeszcze pierwsi dobrze z Alanem wtórym wodzem swym, tu do Sarmacyi, i rozszedłszy się, zasię się z sobą pomieszczeni, to jest nasi sarmaccy z tamtymi illiryckimi: tedy już mi tu nie innego nie przyjdzie ukazać, jedno to, zkąd, jako, i kiedy Lech Słowianin najpierwszy wódz nasz tu do nas na te kraje przyszedł; do czego niż przyjdziemy, różne o tym sentencye kronikarzów naszych pierwsi położemy.

Pisali jedni Lecha z Czechem, książęta słowiańskie, z Dalmacyi, albo Karwacyi, jeszcze przed Narodzeniem Pańskim, w te krainy przyjsć, a naród Słowiański w Dalmacyi, w Illiryi, Istrii, Bulgaryi, Pannonii, zdawna przebywać. Drudzy zasię powiadają, że nie z Dalmacyi, ani Karwacyi tu przyszli: ale jako do Illiryku i Dalmacyi z Rusi albo Sarmacyi, tak i tu do Polski i do Czech z Rusi. I téjże sentencyi jest Marcin Kromer, co ma, rozumiem, z Blondusa. Acz i Wapowski tegoż rozumienia był. Wszakże wolę się ja z starszymi w téj mierze zgadzać: którzy mając to, jako przez podanie, od swych dawnych przodków, mocno twierdzą, że to dwoje pomienione książąt Lech i Czech przyszli tu do nas z Kroacyi, gdzie mieszkali nad rzeką Krupą, we wsi albo miasteczku, które zwano Psary: gdzie jeszcze i po dziś dzień znać, że tam był zamek, a wieś trwa do tych czasów. Coby była za przyczyna wyjścia ich z tamtych krain tu do nas, (gdyż pospolicie ludzie zwykli, z stron północnych do zachodnich, albo południowych się cisnąć, nie z południowych do północnych) tedy nierozu-

miem, żeby była inna przyczyna, jedno ta, że im podobno ciasno było: zaczęły przychodzić im do zwad i do ruchów domowych. Albowiem z tych krain wiele się tam ludzi, do nich nacisnęło. A ktemu wiedzieli, że te tu kraje były jako na poły puste, z których Wandalitowie precz wyszli byli. Może i to być, że ci Wandalitowie, co tu byli ostali, posłali sobie po tych dwoje książąt pomienionych do Karwacyi, aby im tu przyszli panować: gdyż Czechom, albo morawskiej ziemi nie bardzo odległa jest karwacka ziemia. Aeneas Silvius tę przyczynę kładzie: żeby Czech jedno księżę miał tam zabić, i przetożby i z bratem miał z tamtąd wynieść. Ale to nie ku rzeczy: bo jeśliby Czechowi z gardłem uciekać przyszło, tedyby Lech nie był powinien tego dla brata uczynić a pogotowiu poddani ich.

Któregoby też czasu tu przyjść mieli ci bracia pomienioni Lech i Czech, różni są w tej mierze historykowie. Bo jedni dobrze jeszcze przed Bożym Narodzeniem powiadają, jako to chce mieć Wincenty Chadłubek, i inni starzy: a drudzy po Bożym Narodzeniu. Wapowski twierdzi, że roku pańskiego 550. Wszakże przypatrzwszy się okolicznościom wszystkim, i czasy dobrze zgodziwszy, podobą mi się zdanie Wapowskiego w tej mierze: i ja na nim przestawam. Któredyby też do nas ciągnąć te książęta mieli, i naznaczyli niektórzy, zwłaszcza Czescy, piszą, że szli jako najprościej przez węgierską ziemię, Morawie przyległą, i przyszli naprzód do Morawy, gdzie też swego języka wiele ludzi należeli: a potem do Boemii weszli, która zdawna tym imieniem była nazwana od Bojów, Gallów, albo Francuzów: w której mieszkali, Niemce wypędziwszy: a potem je Niemcy Markomani z tam wypędzili. Skoro oglądali oną krainę, podobała się im bardzo, i tam na jednej górze, rzeczonej Rżyp, między dwiema rzekoma Elbem i Wołtawą, namioty swe rozbiwszy, sadzić się poczęli. A gdy Czech brata swego prosił, żeby mu onych krain ustąpił; a sobie innych szukał, uczynił mu to Lech kwoli, że ustąpił jako młodszemu; gdyż Lech był starszy, jako Długosz pisze. Acz też czescy kronikarze Czecha starszym czynią. Także pożegnawszy się z nim, postąpił dalej z ludźmi swymi, i obrócił się prosto ku północy, a ku wschodowi słońca: i przyszedł na te miejsca, gdzie dziś Szląsko a Wielka Polska, Margrabstwo, Pomorzenie, Mekielburg i inne; a wszędzie swego narodu języka wiele ludzi znalazł, zwłaszcza Wandalitów, albo Wenedów, z którymi lud swój spolił. I przeto nas też niektórzy Wandality zowią. A nawet jeszcze i dziś w kościele śpiewają: *Benedic Regem cunctorum, conversa gens Vandalorum.* A tę pieśń powia-

dają złożył Wojciech święty jako i Bogarodzicę, którą przodkowie nasi, idąc do potrzeby, zwykli byli śpiewać, i szczęściło się im. Którą i ja też tu wpiszę, dla wiecznej pamiątki.

Bogarodzica Dziewica Bogiem sławiona Marya, u twego syna Gospodynia Matko zwolona, Maria, ziscisz nam, spuścisz nam: Kyrie elejson.

Twego syna Krzciciela zbożny czas. Usłysz głosy: napelni myśli człowiecze: słysz modlitwę, jenże się prosimy.

To dać raczy, jego prosimy: Daj na świecie zbożny pobyt, po żywocie Rajski przebyt: Kyrie elejson.

Narodził się nas dla syn Boży: w to wierzaj człowiecze zbożny: iż Bóg lud, przez swój trud, odjął djabłu stroże.

Przydał nam zdrowia wiecznego: Starostę skował piekielnego: śmierć podjął: wspominał człowieka pierwszego.

Jenże trudy cierpiał bezmierne: jeszczeć był nieprzyśpiał za wierne, aliż sam Bóg zmartwychwstał.

Adamie, ty Boży Kmieciu, ty siedzisz u Boga wiecu, domieść nas swe dzieci, gdzie królują Angeli.

Tam radość, tam miłość: tam widzenie Tworca Angielskie bez końca: tam się nam zjawilo Diable potępienie.

Ni srebrem, ni złotem, nas Djabłu odkupił, swą mocą zastąpił: ciebie dla, człowiecze, dał Bóg przekłóć sobie ręce, nodze obie: krew święta szła z Boku, na zbawienie tobie.

Wierżże w to, człowiecze, iż Jezus Chryst p̄rawy cierpiał za nas Rany, swą świętą krew przelał, za nas Chrześciany.

O Duszy o grzesznej sam Bóg pieczę ima, Djabłu ją odejma: gdziesz to sam przebywa, tu ją ksobie przyma.

Już nam czas, godzina, grzechów się kajaci, Bogu chwałę daci, ze wszystkimi siłami jego miłowaci.

MARYA Dziewica, prosi syna twego, Króla Niebieskiego, aby nas uchował odewszego złego.

Wszyscy święci proście, nas grzesznych wspomóżcie: byśmy zwami byli, Jezu Chrysta chwalili.

Tegoż nas domieści, Jezu Chryste miły, byśmy z tobą byli: gdzie się nam radują wszystkie niebieskie siły.

Amen, amen, amen, amen, amen, amen, amen, tako Bóg daj, byśmy poszli wszyscy w Raj, Gdzie królują Angeli.

Wszedł tedy tu Lech z ludźmi swemi roku Pańskiego 550, za panowania Justyniana cesarza rzymskiego, i to zacne królestwo polskie założył.

* * *

Bitwa Warneńska

Lata Pańskiego 1444 dnia 20 Września król nie mając i połowice ledwie tego wojska, co miał pierwój, i przetosz smutny był bardzo, wyjechał z Segedzina, i ciągnął prosto do Bulgaryi: trzeciego dnia Października u Orszawy rzeki się przeprawił przez Dunaj: a tam goniec polski ścignawszy go, oddał mu listy, które on przeczytawszy, lzy mu się z oczu rzuciły: co też jedną nie dobrą wrózką było.

Amurates gdy się tego dowiedział, dziwował się temu barzo, i nie wając sobie tego lekce, wnet się pojednał za

jakimi mógł kondycjami z Karambeglem Tatarzynem, i pojednawszy, z onym wszystkim wojskiem z Azyi do Europy się obrócił: a jeszcze do Grecyjej do swych starostw wszystkich pisał, aby co nawięcej ludzi zbierali, a pod Adryanopole się z nimi stawili, obiecując tam sam z tym wojskiem, które miał, niedługo do nich przybyć: a nad Władysławem się tego jego krzywoprzysięstwa zemścić, samegoż Jezusa chrześcijańskiego Boga, któremu Władysław wiarę złamał, biorąc sobie na pomoc. A Władysław ku Nikopolim miastu, które jest głową wszystkiiej Bulgaryi ciągnął, tym umysłem, aby jako mógł naprędzej do Kalliopolim i Hellespontu przybyć, a tam się z armatą chrześcijańską złączyć. Aczkolwiek była inna droga prostsza na Adryanopole, ale że się onychże gór co pierwój bał, wolał dalej a lepiej na Bulgaryą polmi czystemi objechać, udawszy się trochę na lewo ku morzu Pontskiemu. I tak przyjechał do Nikopolim, dnia 26 tegoż miesiąca, gdzie iż było miasto dosyć opatrzone dał mu pokój, tylkoco przedmieścia około niego spalił. Tamże przyjechał do niego Dragula, Wojewoda nadolnej ziemie wołoskiej, ze cztermi tysięcy koni, który prosił króla, aby mu za złe nie miał, że ołdował Turkowi, bo musiał. A gdy ujrzał mały lud węgierski, mówił: iż więcej Turek miewa ludzi gdy w łowy jedzie, albo na przejażdżkę. Gdy nie było wszystkiego a wszystkiego wojska więcej dwudziestu tysięcy, jezdyszesnastu tysięcy a piechoty czterech z Krzyżowniki, a tak radził królowi, aby się wrócił a nie zwodził bitwy z Turki, tusząc straconej bitwie: jedna, iż nad przymierze, druga, iż mało ludzi. Podobala się ta rada wielom ich w wojsce: ale Julianus kardynał nie dał na to słowa rzec, powiadając: że nacieżej nam do Helespontu przyjść, zastaniem tam swych dosyć, z którymi gdy się złączym, będzie nas z Turka. Co słysząc Dragula ruszywszy ramionami rzekł: Boże daj to by tak było, co ten ksiądz powie. Gdy tedy widział, że nie mogło być inaczej, zostawił królowi ludu swego cztery tysiące i z synem. Acz i sam miał być wola jechać, ale widział, jako w zwierciadle, do czego miało przyjść: jakoż i wieszczka jedna (której on bardzo wierzył) źle zgoła królowi tuszyła: i przetoż wolał sobie dać pokój, tylko przedsię syna wyprawił, którego z płaczem prawie żegnał i napominał, aby jako nabarziej króla był pilen. Co widząc wielom się łzy z oczu puszczały. Przetoż dał też królowi dwa konia barzo prędkie dla jakiej złej przygody, i dwu przewodników, którzy wiedzieli przeskoki wszędzie tamtych miejsc. Potem od Nikopolim, w lewo zostawiwszy Dunaj, podle góry Hemu ciągneli do Tracyi, gdzie rozkazał król pod gardłem, aby kościołów chrześcijańskich nie łupili, ani

palili, ani ludzi mordowali, tylko żywności brali. Ztądże się ich wiele z dobrej woli poddawało królowi. Puściwszy też kilku więźniów Turków, dał im król takowe listy, aby Turkom wolno było z miast i z zamków bliskich uciekać ku morzu, które wszystkie wcale obiecował król kazać przewieść do Azyi, żeby tam sobie bezpiecznie mieszkali, a Tracyi dali więcej pokój. Wszakże wołało się ich nabieżeć do Sumena i Petrasza, zwłaszcza z Machoraczu, Warny, Kanarny, Galaty, i z innych miast które są nad morzem: bo tam były troiste mury mocne, i przekopy głębokie w koło; ale ich przedsię nasi tegoż dnia gdy przyszli dobyli: gdzie na pięć tysięcy Turków wzięli. Tam wtenczas dwa Polacy dobrze sobie poczynali: Jan Tarnowski, a Leszek Bobrzycki; gdy Tarnowski u Sumenu wrota wysiekl, (gdzie odniósł dwie ranie srogie) a Bobrzycki naprzód u Petraszu na mur wskoczył. Stał też król do Szkanderberga do Albanii o pomoc spólną przeciw Turkom, według powinowactwa chrześcijańskiego: i obiecał się, by go jedno Jurek Deszpot chciał przepuścić przez Rachę ziemię przez góry wolno; ale nie mógł tak prędko przyjechać, bo też nie ufał Deszpotowi, iż z Turki przeciw jemu pierwój dzierzał. A w tym czasie Amurat przewiozłszy się przez morze u Kalliopolim z ludem swym wszystkim, którego miał około ośmdziesiąt tysięcy, a drudzy piszą sto tysięcy, przyciągnął do Adrynopola, gdzie złączył się z drugim swym wojskiem. Nie zawściągnęli ich nasi Chrześcianie, jako byli rzekli, i jeszcze snąć brali myto od nich po czerwonemu złotemu od głowy gdy je przewozili. Przyjechali szpiegowie, którzy znać dali królowi o wielkim ludzie tureckim, wszakże nie lękał się nie tego. A tak wojsko naszych przyszło dnia 10 Listopada do Warny, miasteczka pod górami, które już nasi byli wzięli. Wtém przyszła nowina o wschodu słońca, że Turcy już barzo blisko są. Przeto poczną się nasi co prędzej gotować. Króla że na ten czas lewa noga bolała, bo się mu był wrzód na niej uczynił, Jan Huniad szykował wojsko, które między góry a jeziorem co jest u Warny postawił, czoła trochę zakrzywiwszy, na lewym rogu tylko cztery chorągwie nad błoty, jakoby w bezpieczniejszém miejscu postawił, i tamże sam stanął: a króla za sobą w pośrodku z dworem jego wszystkim. Na prawym rogu który był ku górom postawił Frankobana z Hagierskim biskupem, którym Deszpot i Juliana z Krzyżowniki i Wołochy przydał. Za nimi Waradziński biskup i Bobrzycki Polak stanęli. Więc chorągiew S. Ładysława, która już na ostatku ku obozu stała: a tenże opodał stał, ku żadnemu pożytku naszym nie był. Także nasi w szyku będąc na trzy godziny na dzień Tur-

ków czekali. A to za złą wróżkę mieli, że proporzec królewski wiatr zrzucił i podarł: i królewski koń długo na się królowi nie dał wsieść. Naprzód tedy Turków 6000 przed wojskiem swym przyszło z wielkim okrzykiem, z którymi się Frankobanus i Symon Hagerski biskup mężnie potkają, i łatwo porażą, tak iż poczną uciekać Turcy. Co obaczywszy Waradzyński biskup, który pozad stał, rzucił się z swego miejsca w pogonią za nimi: toż i Deszpot i Wołosz uczynią: I tak oni obadwa biskupi i Deszpot i Wołosz zagonią się za nimi, mniemając, że to już koniec: ano źle na górę wbieżeli, ali obaczają wojsko takie tureckie, którego oczyma przejrzeć nie mogą. Przeto niewiedząc gdzie, trzy biskupi w lewo się udadzą chcąc uciec, ale trudno było: bo błota zastąpiły: na których Waradzyński uwiązł i z koniem, i tak marnie gardło dał; a Hagerski widząc że źle, niechciał za nim, ale nad błoty prosto ku Galacie się udał, i tam zabit: a drudzy powiedają że poiman i mianoby go widzieć potem w Turzech, a on chodził za owcami. Deszpot i Wołosz tém sobie lepiej poczęli, że zasię na swe miejsce przyszli. Zaczyn Turcy mocą wszystką przyszedłszy na tak zamieszany prawy róg, łatwo go starli, a Wołosz i w góry napędzili. Potem aż do chorągwie S. Ładysława się przebili: gdzie Frankobanus a Julianus kardynał tylko się im trochę oparli. Tamże i Bobrzycki Polak zabit tuż u samego obozu. I do obozu już poczęli się byli Turcy sypać, a nasi z prawego rogu wszyscy uciekać, aż król Władysław przybiegł z hufcem swych i ratował ich: zaczyn Turcy jeśli wnetże tyl podawać. Nie goniąc ich jednak daleko król wrócił się zasię do Juliana i do Frankobana, na które gdy świeży lud turecki nastąpił, znowu sroga bitwa między nimi była, i Turków tam znowu legło bardzo wiele, (acz tego przed wielkością nie znać było) bo gdzie się jedno na nie Władysław obrócił, tedy drogę w nich sobie wszędzie uczynił, tak iż już co żywo pierzchało przed nim, ani mu się żadne ufce tureckie oprzeć nie mogły. Wtém nasi trafili na wielbłądy, na których rzeczy cesarskie były, a tych bojąc się konie żadną miarą na nie przytrzcć niechciały: wszakże Wołosz przypadłszy z gór, odpędzili je precz, i pole wolniejsze naszym uczynili: a wszakże siła zaraz na kupie naszych padnie. Wtém przyjdzie na króla ufce wielki tatarski, ale i ten król niezadługo rozgromił. Po nich już ostatni ufce turecki nastąpił, wszakże i ten jał sprośnie uciekać, i nieostali się drudzy aż w Adrynopolu: i roznieśli tę byli wszędzie nowinę po tureckiej ziemi: że Turki porażono. Janazarowie tylko sami na placu zostali: gdzie azyjski basza z bitwy uciekł, i Amurat głową swą uległ:

a ten chciał już był uciekać, aż mu Jańczarowie pobocz na konia włożyli, jako Wapowski pisze: który wnetże jął ich i dla Boga prosić, aby sobie jako najmeźniej poczynali: a téj zdrady i złamania wiary Bogu swemu nad Gaury do gardł swych się mścili. Potém w Niebo wejrzawszy pocznie tak do Boga głosem wielkim wołać: O Boże chrześcijański, jeśliżes jest Bóg prawdziwy (jakoż ja ledwie nie rozumiem tego, o tobie) zemścijże się ty dziś nad Chrześciany swymi tego coć wiarę swą złamali, i imię twe święte nadaremno wzięli. Władysław także widząc, iż na Jańczarach wszystko prawie zwycięstwo należy, wkrótce swoich naponni, aby się nie nie trwożyli, a w Panu Bogu a Zbawicielu swym, o którego krzywdę czynią, zupełną nadzieję mieli. Zaczynają wszystką mocą rzuca się do nich. Ale Jańczarowie leżeli mocno w sprawie, przetoż trudno im było co uczynić. Widząc tedy Huniad, w jakim niebezpieczeństwie król był położony, przybiegł do niego z lewego rogu, który téż nie źle sobie poczynął, prosząc i dla Boga, aby ujeżdżał, a na lepszy czas się chował: ale mu król powiedział: że wolę umrzeć a niż uciekać. I tym się bardziej jeszcze począł drzeć między Jańczary, gdzie i baszę azyatyckiego, który tam był uciekł, sam swą własną ręką zabił. Przetoż Huniad chcąc radzić wczas o sobie z lewym swym rogiem wszystkim uciekł, króla na mięsne jatki wydawszy, który tylko z trochę Polaków zostawszy, meźnie się bijąc, zabit od Jańczarów, gdy konia pod nim przebito że padł. Polacy co byli przy nim dali się także zbić. Potém głowę jego uciawszy Jańczarowie na drzewiec wetkli, którą po wojsku na znak zwycięstwa nosili. I tak zginął król osobliwy w swoich młodych latach dosyć marnie: którego żalowali niepomału wszyscy chrześcijańscy panowie: bo w nim nadzieję pokładali, że ten był miał wyswobodzić wszystko Chrześcijaństwo od mocy tureckiej: lecz iż szczęście inaczej chciało, żal się tego Boże. Kallimach inaczej trochę tę bitwę opisuje, powiadając, że Huniad (który nie lewego tylko rogu pilnował, ale wszędzie biegał po wojsku, i pomoc dawał gdzie było potrzeba) nie uciekł aż po straconej bitwie, i już było króla zabito między Jańczary, którego ciała gdy nie mógł dostać, dopiero uciekł z Wołochy tylko samymi. Ale jakożkolwiek, dobremu słudze godziło się było przy panu umrzeć. O Julianie téż pisze i o Deszpocie i Frankobanie, że do obozu już byli uciekli wtenczas, gdy ich król ratował. Insze rzeczy także pisał. Trwała ta bitwa aż do wieczora: i przetoż Turcy nie gonili nikogo: nawet całą noc Jańczarowie nie spali, obawiając się Chrześcian, aby na nie znowu nie uderzyli. Przetoż i nazajutrz na obóz nie

śmieli uderzyć, aż trzeciego dnia, bo się bali jakieś zasadzki: gdzie kogokolwiek naleźli, nikogo nie żywli. Julian uciekając zabit od Wołochów. Drudzy piszą na przewozie, gdy Wołoszyn przewoźnik obaczył u niego tłumoczek ciężki, i zabiwszy go wrzucił w wodę. Z Polaków tylko dwa uciekli: Jan Rzeszowski herbu półkozio, który był potem biskupem krakowskim, a Grzegorz z Sanoka, herbu strzemię, który był potem arcybiskupem lwowskim. Zabiei też wtenczas dwa bracia Tarnowscy, Jan Major i Jan Gratus, i Zawiszowie dwa czarni. Tamże też metryka polska, jako ją pospolicie przy królach wożą, zginęła: i mają jej jeszcze kilka ksiąg w Konstantynopolu Turey.

Z KRONIKI MACIEJA STRYJKOWSKIEGO.

Królewice 1582.

O przyjęciu wiary Chrystusowej.

Wszystek jakmiarz okrąg świata szerokiego zaraz od wtórego początku i rozmnożenia się narodu ludzkiego, przez Noego patriarchę i synów jego, po onym wielkim a straszliwym potopie i zalaniu wszystkiej ziemi, zdradą chytrą fałszywych kłamców djabłów zwiedziony, prawdziwą Boga jednego, wiecznego i wszechmocnego chwałę w niepobożne ku wielu fałszywych bogów nabożeństwo przemienił był, tak, iż naprzód ludzi umarłe dla dobrodziejstw od nich wziętych, albo dzielności w rycerskich sprawach dokazanych, albo dla wypaleczenia rzemiosł i naczyń ludzkiemu pożywieniu i robocie należących, chwalił.

Naszy Sarmatowie, Polacy, Rusacy, Litwa, Prusowie onych szaleństw starych naśladowali, gdyż ty krainy północne nad insze narody w tych sprośnych błędach dłużej trwały, dla wrodzonej swojej srogości i zwierzęcej okrutności, dla której w te kraje przyjść apostołom i ich posłańcom trudno było z nauką ewangelii. A też naszym przodkowie będąc w one czasy narodem najwaleczniejszym, w rycerskich sprawach wszystek wiek swój bawiąc, nie dysputowali się koło religii. Naprzód tedy Polacy, Pomorczycy, Mazurowie, ty naprzedniejsze bogi mieli: Jowisza, którego oni zwali Jesse, tego chwalili za wszechmocnego i za dawcę wszech dóbr. Plutona też boga piekielnego, którego zwali Nia, chwalili wieczór, prosili też od niego po śmierci lepszego i wcześniejszego miejsca w piekle i dżdżów

albo uskromnienia niepogody, którego kościół był w Gnieźnie najświętszy, jako Długosus świadczy. Cererę też boginią ziemną, wynalezicielkę zboża wszelkiego, którą oni zwali Marzana, téj téż w Gnieźnie, jako Wincenty Kadłubkus, biskup krakowski, pierwszy kronikarz polski pisze, był wielkim kosztem zbudowany kościół, gdzie jęj na chwałę dziesięciny wszelkiego zboża po żniwach ofiarowali, prosząc na drugi rok o żyzne urodzaje. Wenerę też boginią miłości zwali Zizilią, której modły czynili dla płodu, i wszelkich roskoszy cielesnych od nięj żądali. Dianę, boginią łowów, swym językiem zwali Ziewonią albo Dziwanną. Castora téż i Polluxa, rzymskich bożków chwalili, których Lelusem i Polelusem nazywali, co jeszcze i do dzisiejszych czasów u Mazurów i Polaków na biesiadach, gdy sobie podleją, jawnie słyszymy, kiedy Lelum po Lelum wykrzykują. A zwykli byli mężowie i niewiasty, starzy i młodzi, na święta tych bogów swoich w jedno się schodzić miejsce do tańców i krotofil inszych, którą schadzke *kupałą* zwali, zwłaszcza 25 dnia Maja miesiąca i 25 Czerwca, co jeszcze do tych czasów w Rusi i w Litwie zachowują: bo skoro po Niedzieli przewodnięj aż do ś. Jana chrzciciela niewiasty i panny do tańca się gromadą schodzą, tam ujawszy się za ręce: Lado, lado i lado moja! powtarzają, acz prości ludzie nie wiedzą zkad ten obyczaj urosł. Także owy kołyski dziwne, o świętym Piotrze, i wieczory święte po narodzeniu Pańskim, wszystko od starodawnych zabobonów pogańskich poszło, bom się téż tego i w Turczach sam własnym okiem napatrział, roku 1575 Decembris 20 die, i zaś kiedy u nas Szrodoposćie wielkie.

Chwalili jeszcze Polacy wiatr szumiący za boga, który nazywali Żywie, także Pogodę, boga jasnych a wesółych dni, jako słyszał Miechovius od przodków swoich.

Chwalili téż drugi wiatr Pochwist, który, jako Miechovius pisze (ale Kromer Pochwist niepogodą wyklada) jeszcze Pochwiscelem zowią, przeto kiedy już taki się wiatr świszczący trafił, padali i klękali.

Chwalili nadto i Ruskie bogi, to jest: Pioruna, Striba, Mokossa, Chorsuma, i inszych, którym był Włodzimierz, monarcha wszystkięj Rusi, syn Swentosławów, czyniąc ofiary za braty pobite, w Kijowie bardzo wiele kościołów zbudował i balwanów po górach okolicznych nastawiał, a zwłaszcza balwan Piorunowi, bogowi gromów, chmur i łyskawic (którego najwięcej chwalił) naozdobnięj wystawił; ciało samo i kształt wzgóre wyniosły, był z drzewa misternie rzezany, głowa jego z srebra, uszy z złota, w ręku zaś trzymał kamień nakształt pioruna palającego, któremu na cześć i na

chwałę ogień dębowy, który wiecznym zwano, kapłani ktemu przystawieni palili, co jeśliby dla niepilności stróżów kiedy zgasł, takowych na gardle karano, co téż Litwa, Żmudź i starzy Prusowie zachowywali.

Tymże kształtem obraz tego Pioruna był w Nowogrodzie wielkim postawiony i z wielką uciechowścią za boga chwalony, na tym miejscu gdzie teraz jest manastyr chrześcijański, Peruńskim nazwany. Potém gdy wiarę chrześcijańską Rusacy wszyscy według greckich ceremonii przyjęli za Włodzimirza Swantosławowica roku od stworzenia świata (według ruskiego rachunku) 6497 a od Chrystusa 980, jakośmy o tém wyżej napisali, zaraz ten bałwan z mostu w rzekę Wołchowę wrzucili.

Czechowie zaś i Bulgarowie Sławacy, bracia naszy, téż bogi chwalili, ale osobliwie Nerota i Radamasa mieli. Najpierwszy z Sławaków Bulgarowie między wielkimi skałami za Dunajem ku Tracyi mieszkający, jakom sam od ich teologów, gdy tamtędy dwa kroć i tam i sam jeździł, ale raczej chodził (bo trudno dla wyniosłych skał pod niebo na wozie leżeć) słyszał, i jako Cromer lib. 3 i Blondus świadczą, wiarę chrześcijańską przyjęli za Mikołaja tego imienia papieża rzymskiego trzeciego, po Chrystusie roku 860. Potém mniej niż we trzydzieści lat tym w sąsiedztwie przylegli: Raczowie, Serbowie, Bosnowie, Karwaci, Dalmate, Illirykowie, za panowania Swantopluga sławiańskiego książęcia, wiarę chrześcijańską i lepsze obyczaje od Greków i Włochów sąsiednich przyjęli.

O tym Swentoplugu pisze Wenceslaus kronikarz czeski, iż w Morawach na tenczas królował, w Wielogradzie stolicę mając, a z Morawcami swoimi naprzód się ochrzczył i wiarę Chrystusową uznał, a potém za jegoż staraniem i Borzywoj, czeskie ksiązę, chrześcianinem został i żonę Ludmiłę i wszystek naród swój ku téjże wierze prawdziwej przywiódł, lata od Chrystusa 900; a Długosz zaś świadczy, iż troje książąt Słowiańskich: Rościszaw, Swantopelk i Kocel, od Greków wiary chrześcijańskiej przyjęli ceremonie, roku od Chrystusa 800, gdy na wschód słońca, to jest w Konstantynopolskim cesarstwie Michał, a na zachodnym rzymskim, Arnolphus, którego wszy ujadły, panowali.

A nawięcej około ćwiczenia i nauczania w nowej wierze tychto narodów słowiańskich świeżo ochrzczonych Cyrillus i Metodius, biskupowie święci, pracowali, którzy téż tego za dozwoleniem papieskim dowiedli, iż Słowakom swoim przyrodzonym językiem godzi się liturgie albo msze i insze obrzędy kościelne odprawować Omnis spiritus laudet Dominum! Aby wszelki duch chwalił Pana.

Polacy zaś naszy po Słowakach inszych rokn od Chr. Pana 965 do wiary chrześcijańskiej przystąpili, z téj przyczyny, iż gdy był syn ślepy Zemomysławowi Leszkowicu, prawnukowi Piastowemu, książęciu polskiemu, roku 921 urodził, a gdy mu już lat siedm minęło, tedy książę Zemomysław wezwał do Gniczna, gdzie była jego stolica, wszystkich panów radnych i szlachtę, aby onemu dziecięciu, według zwyczaju pogańskiego, włosy przystrzyżono: bo w siedmi lat u Polaków, Mazurów i Pomorczyków był starodawny obyczaj dzieciom włosy pierwsze (co dziś u chrześcian chrzest, a u Żydów i Turków obrzezanie waży) postrzygać i imię dawać. A gdy się zjechali panowie do książęcia na one ceremonie, smętnie je odprawowali, gdyż i książę Zemomysław niemniej się frasował, jako kiedy bez potomstwa był, tak i wtenczas, ponieważ syna ślepego, w starości ledwo doczekanego, widział, a gdy tak wszyscy miasto wesela żałości byli, wnet oto radość niespodziana smutnych pocieszyła i uweseliła, bo dziecię bez żadnej pomocy lekarzów przejrzało, które bez mieszkania sama księżna matka przyniosła z radością, dobrze widzące, do ojca przed biesiadującą. Co ujrawszy oni goście, wnet wszyscy z niewymownym weselem z onego cudu dziwnego poruszeni, książęciu, księżnie i młodemu dziedzicowi szczęśliwego panowania winszując, radowali się, wierząc to być ku swojemu i wszystkiej rzeczypospolitej dobremu od bogów zrządzenie, przeto tym ochotniej, weselę i hojniej, jeden za drugim i każdy z osobna radując się, za zdrowie, według zwyczaju pili, gonitwy stroili, tańcowali, krzyczeli, bogom dzięki czynili, etc. A dziecięciu onemu imię Mieczysław dali, jako temu, który sobie mieczem (ojczyznę rozszerzając) miał sławy nabyć, według Długosowego świadectwa. Ojciec jego Zemomysław, odprawivszy wesele, i goście, pany radne i szlachtę pospolitą hojnie udarowawszy, opuścił ich, a od wieszczków pytał, coby się rozumiało to ślepe narodzenie, i nierychle, aż w siedmiu lat oświecenie syna swojego, i jakieby powodzenie za jego żywota być miało; którzy powiedzieli: iż Polska w ciemnościach do tych czasów leżąca, za jego panowania oświecona być miała, co poganie rozumieli, iż miała być szerokością granic rozmnożona. Przeto ono dziecię za rozkazaniem ojcowskim, jako na książęcy stan należy, było wychowane. Potem gdy Zemomysław Leszkowic, prawnuk Piastów, umarł, jako Długosz rachuje roku od Chrystusa 964, w Gnieźnie go pogańskim obyczajem pochowano, a na jego miejsce Mieczysław, syn ślepo narodzony, dobrowolnie od wszystkich stanów, monarchą polskim piątymnastym od Lecha rachując, wybrany. Ten, pierwszy

swój wiek w cnotliwym życiu wykonał, ale jako skoro dorósł lat swoich i swowoleństwa, rozpustniczym został, bo żon siedm pogańskim obyczajem pojął, z którymi wszeteczności swojej dosyć czyniąc, jednak potomstwa nie mógł otrzymać, dla czego często się uskarżał na nieszczęśliwą nieplodność swoją. A między Polaki już byli niektórzy z wędrowki kupiectwa z Czech i z Morawii, z Śląska i z Oławy, wiarę chrześcijańską, wracając się do domu zanieśli. Było też wiele cudzoziemców, częścią księciu polskiemu na dworze służących, częścią kupiectwa sprawujących, a częścią pustelnicy żywot w dalekich a głębokich pustyniach lasów, dla spokojnej chwały Chrystusowej wiodąc, wiele chrześcian mieszkało. Ci tedy poczęli księżęciu Mieczysławowi radzić, przepowiadając mu prawdę wiary chrześcijańskiej, a obiecując mu na wszystkim szczęśliwe powodzenie i potomstwa rozmnóżenie, skoroby jedno tę wiarę świętą szczerze przyjął. Opuścił tedy Mieczysław one pierwsze siedm żon, z którymi pogańskim obyczajem długo obcował, a zaraz posłał w dziewosłęby do Bolesława, czeskiego księcia, (który ono był Wacława, między święte policzonego, brata swojego, w kościele na modlitwach zabił) aby mu siostrę swoją Dąbrówkę w małżeństwo oddał, czego mu Bolesław nie odmówił. A skoro przyrzekł wiarę chrześcijańską gwoili małżonce przyjąć, posłał mu siostrę swoją, Dąbrówkę w świetnych pocztach do Gniezna, roku od Chrystusa Pana 965, gdzie tegoż dnia samo księżę Mieszko, albo Mieczysław ze wszystkimi pany polskimi, przed oblicznością Dąbrówki oblubienicy swojej i przed czeskimi pany, wiarę chrześcijańską przyjął i ochrzcił się.

Pisze Miechovius; iż mu z Mieska Mieczysław imię na chrzcie przemieniono; także zaraz ślub małżeństwa świętego z księżną Dąbrówką przyjął, potem wesele z wielką a królewską prawie hojnością przez wiele dni wypełniwszy, pany czeskie, którzy Dąbrówkę przyprowadzili, znacznie udarowane odprawił, a wszytek się udał na rozmnożenie i gruntowanie w państwie polskim wiary Chrystusowej, za napominaniem i usilnym staraniem żony Dąbrówki, kościołów dzieła na różnych miejscach z ciosanego kamienia wnet postawił, dochodami, także nadaniem klejnotów ubogacił, które na dwie diecesie stołeczne rozdzielił i dwu arcybiskupów w Polsce gnieźnieńskiego i krakowskiego, ustawił; drugie zaś kościoły i biskupstwa, jako poznańskie, smogorowskie, które bicińskie, a potem wratysławskie przezwane jest; kruczwickie także, które za postępkiem czasów do Władysława na kujawskie biskupstwo przeniesiono, plockie w Mazowszu, chełmińskie w Prusiech, lubuskie w Śląsku, i kamińskie

biskupstwa założył, którym dziesięciny z wszelkiego zboża, tak z swoich jako szlacheckich i chłopskich ról, wiecznym wyrokiem przypisał i nadał. Przy tych fundacyach był legat papieski, Egidiusz kardynał, biskup tuskulański; a na arcybiskupstwach i biskupstwach, kanoniach i plebaniach hojnie nadanych, Włosi, Francuzowie, Niemcy, naprzód byli przełożeni, gdyż jeszcze Polacy do takich urzędów byli dla prostości pogańskiej niesposobni. Pierwszy arcybiskup gnieźnieński był Wilibalmus; krakowski drugi arcybiskup Prechorias; poznański biskup pierwszy Jordanus, wratisławski Gotfridus; kruszewicki albo władysławski Lucidus; plocki Angelotus, chełmiński Octavianus; kamieński Julianus; lubuski Jacintus biskupi etc., za których pilnością i usilnym staraniem, wiara chrześcijańska w Polsce wielkie wzięła pomnożenie, zwłaszcza gdy ich wiele podarkami książęcymi, który wszystko państwo swoje w tej świętej sprawie objeżdżał, byli przyłudzonymi. Drudzy zaś groźbami do chrztu świętego przymuszeni bywali; za czym pogańskich onych bożków bałwany w miasteczkach i po wsiach były tłuczone, łamane i palone, i one ich sprosne pogańskie obrzędy wygładzone były od wojewodów, starost, wójtów i inszych przełożonych.

A iż tak w szerokim państwie księstw polskich, wiele ich było chrztu albo odrodzenia z wody i z Ducha świętego potrzebujących, a lud polski był bardzo prosty, gruby i uporny, dla tego książę Mieczysław jawnym wyrokiem wywołać po miastach i wsiach wszędzie kazał, aby każdy z osobna, tak szlachta jako poddani i wszelkiego stanu ludzie, pod gardłem i straceniem majątności, siódmego dnia Marca miesiąca, pochrzcili się, i tak wszyscy przez chrzest święty wiarę chrześcijańską nabożnie przyjęli, a bałwany wszystkie popsowali. A pamiątkę burzenia tych bałwanów jawnie co rok, gdy ten dzień przyszedł, sprawowano; co i dziś w Wielkiej Polsce i w Szląsku zachowują, abowiem dzieci w Niedzielę szrodopustną, uczyniwszy sobie bałwana na kształt niewiasty Ziewonięj, albo Marzanny, który pierwój cięli, wetknawszy na kij długi noszą, żałośnie śpiewając, a jeden po drugim opiewając, albo na wózku wożąc. Potém w kałużę albo w rzekę z mostu wrzucają, a do domów co wskok uciekają, jakoby od bałwanów do prawdziwej chwały Chrystusa Pana.

Wyczyszcwszy tedy od onych sprosnych pogańskich obrzędów Polskę swoją książę Mieczysław, dla gruntowniejszego znaku, i zapalczywój chęci wiary chrześcijańskiej, ustawił to, aby każdy słahcic, gdy kapłan miał ewangelią zaczynać na mszej: *Initium sancti Evangelii*, etc. mieczów do

połowice z poszew dobywali, które zaś chowali, gdy chór odśpiewywał: *Gloria tibi Domine!* jakoby okazując w sobie chęć zapaloną bronić ewangelii i wiary nowo przyjętej: i długo ten obyczaj trwał w Polsce.

HISTORIA NARODU POLSKIEGO.

przez A. Naruszewicza. Lipsk 1836.

Wstęp.

Kraj Polski, w jakiej go teraz rozległości widzimy, utworzył się w przeciągu wieków z różnych ziem: które z początku, to jest, jak tylko o nich pamięć ludzka, bądź przez pisma, bądź przez podania zasięgnąć może wiadomości, od różnych krwii, językiem, i obyczajami ludzi były posiadane. Przypadki od rzeczy śmiertelnych nierozdzielne, a z nich pochodzące częste mieszkańców przemiany, jak innym krajom tak i naszemu nie jedną zdarzyły cywilną postać: póki już pewnem, i trwałem jednością, rządu, religji, i nazwiska ogniwem związanym nie został. Cóż albowiem była Polska terazniejsza w pierwiastkach wiadomości o swojej posadzie przed Erą chrześcijańską, owszem i długo po niej? Oto kraj pusty i lesisty, albo w częściach tylko swoich niektórych tym ludem nasadzony, który starożytność piśmienna pod powszechnem Scytów, Celtów, Celtoscytów lub Sarmatów imieniem ukryła. Znali ją Grecy, lecz tylko przez handel, i przez osady swoje, które ku Dnieprowi pomknęły, gnieźdząc się około Czarnego morza. Znali ciż sami, albo przynajmniej słyszeli o głębszych jej częściach około dolnej Wisły, i morza Bałtyckiego: z powieści tych co im bursztyn przedawali. Wszakże ta znajomość ciemna i niedokładna, mieszając bardziej jeszcze prawdę przez podania gminne, przez dodatki zmyślonych powieści natworzyła tyle przeciwności, że w tym sprzecznych z sobą baśni odmęcie, ledwo tylko co podobnego dociekać można, a pewnego nie stanowić nie podobna. Zniknęło potem i to nazwisko Scytów w niepamięci ponurzone, lub rzadszem być poczęło. Rzymscy pisarze, gdy ich naród opierał już broń swoją zwyciężką z jednej strony o Eufrat w Azji, z drugiej o Elbę, Dunaj i Dniestr w Europie, cisnąć się ku wschodowi i na północ, postrzegli znowu zdala tę naszą dziczyznę: lecz prawie na nią tylko spojrzawszy, mało coś pewnego i prawdziwego o Sarmatach w niej mieszkających

powiedzieli. Powieści ich były ogólne, i niedokładne, albo na domysł tylko rzucone. Wielbiły łacinskie pióra Rzymiany, jako zwycięzców Sarmackich: namieniały czasem i o klęskach przez Sarmaty poniesionych; lecz jacy to byli Sarmatowie? z kąd się wzięli? gdzie mieli pewne swoje siedziska? zamilczały. Cóż Rzymianie, Panowie prawie świata, i już po zbitych na teraźniejszej Wołoszczyźnie Dakach, sąsiedzi tychże Sarmatów, około Dniestra i gór karpackich siedzących, możeby przez osadniki tam swoje pewniejszego coś o nich powiedzieli, gdyby powstające wkrótce nieznajomych dawniej barbarzyńców wylewy, a ciągnące się ku Dunajowi przez kraje Sarmackie, lub około nich zbrojne Gotów, Alanów, Hunnów i Wandalów orszaki, większą jeszcze ciemnotą, i tumanem krajów Sarmackich nie ogarnęły. Któż mógł dojrzeć isierki światła prawdy w tej powszechniej pomroce, przez cztery prawie wieki trwającej? Zamieszały się w niej narody Germańskie znajomsze Rzymianom, i od nich okoliczniej opisane: a cóż mówić o Sarmatach, których udzielne imię albo zniknęło zgoła, albo wpadłszy w otechłań innych setnych narodów zbijających się z sobą, i mieszanym, w ich się naturę przeistoczyło? Napełniła się po Gotach i Hunnach znagła Słowakami, nie tylko Sarmacya dawniejsza, ale Pannonia, Mezya, Illiryk, i Germania; którzy wytrąciwszy lub podbiwszy pod swoje jarzmo wędrownie przed sobą przybysze, oraz pierwotne, jeżeli się jacy zostali, osadniki, sami szeroko hordami swojemi różnych nazwisk, od Wołgi do Elby, i Dunaju zalegli. Z tych to ostatnich porodziły się nieznajome pierwój ani Grekom, ani Rzymianom przez dziewięć blisko wieków narody i królestwa: Rusinów, Morawców, Czechów, Bulgarów i wielu innych: z tych wyszedł i naród Polski.

Nie przyznajemy sobie tyle światła, abyśmy najdokładniejszy jego z tylu wieków, z tylu ciemnot, i niepewności wywód uczynili. Próżneby to było przedsięwzięcie, lub na samych tylko domniemaniach i podobieństwach nazwisk trafunkowych słabo ufundowane. Myślą naszą jest to tylko powiedzieć o tej ziemi, i tych na niej dawniejszych mieszkańców, co o nich przypadkiem najdawniejsi pisarze powiedzieli. A tak uchylwszy na stronę próżne szlakowania narodu Polskiego, że tak rzekę, z arki Noego od innych przyprowadzonego, przełożemy tylko czytelnikowi posadę kraju Polskiego, idąc za niezmiennem gór, rzek i morza przewodnictwem. Okażemy czasy, kiedy ten kraj, i jakim ludem był osadzony. Mówić będziemy w pierwszej księdze o Seytach, Sarmatach, i Getach przed Erą Chrześcijańską tu zamieszkałych: potem o tychże Sarmatach, Getach,

i Germanach po przyjściu Chrystusowem przez dwa wieki tu siedzących; tudzież o przechodzie Gotów przez Sarmacyą, i onych tam osiadłościach. Druga księga zamknie dzieje trzech wieków dalszych, sławnych przechodami różnej dzicy Azyatyckiej, ku granicom Państwa Rzymskiego około Dunaju; tam rzecz będzie o jej zdobyczach, wojnach, klęskach, a z nich zguby, lub posuwania się ku Włochom, i za Elbę otwartą drogą do Europy Słowiańskich narodów kreślony zostanie obraz. W trzeciej powiemy o Słowianach, ich rozległości, obyczajach, i religii. Czwarta zamknie początkowych niepewnych książąt naszych historią: i z kąd wypłynąć mogły te baśnie, któremi ona jest napelniona.

* * *

Rok 1331.

Tymczasem nie przychodziły do skutku krzyżackie obietnice względem mającego nastąpić sądu polubownego o Pomeranią. Nowy mistrz krzyżacki Luder, książę na Brunświku, następca Wenera nie czuł się być w obowiązku dotrzymania umowy swojego poprzednika, ani na czas umówiony sprowadził króla czeskiego; lubo Łokietek uiszczając się w słowie zaprosił do siebie Karóla węgierskiego na dokonanie pokoju. Ten pierwszy krok wiarołomstwa potwierdził się nagłym Krzyżaków na zamek Bydgoski napadem, i onego zabranie, nim jeszcze wyszedł czas zawieszeniu broni zamierzony. Król lubo nie ufał nowemu mistrzowi, iż z jego odmianą, rzeczy téż odmienić się miały, dla pokazania jednak powszechności, że słowo trzymał, oczekiwał do upływu czasu umówionego: a nimby znowu przyszło do wojny, widząc się być starym i słabym, umyslił rozdzielić ciężar panowania oddając Wielkopolskę pod rząd synowi Kazimierzowi. Dochodził już ten młodzieniec lat dwudziestu jednego, i zdał się być zdolnym do ulżenia prac sędziwemu ojcu, mając wszystkie przymioty godne tronu i miłości u ludzi. Wyznaczył zatem Łokietek miasto Chęciny w księstwie Sandomirskim na zjazd powszechny wszystkich ziem, dla naradzenia się względem wojny z Krzyżakami, dla sądów walnych, i dla oświadczenia narodowi swojego przedsięwzięcia. Na tém zgromadzeniu za radą przytomnych panów poczyniwszy niektóre rozporządzenia, i ogłosiwszy różne edykta, ruszył z urzędu generalstwa Wincentego z Szamotuł wojewodę Poznańskiego, a księstwo Wielkopolskie oddał z zupełną władzą Kazimierzowi, aby sam w Krakowie spokojniejszy wiek kończył, mając towarzysza i pomocnika prac królewskich. Upominał syna do sprawiedliwego i łaskawego

z poddanemi postępowania; do pilnej straży państwa, do odzyskania dawnych onego granic, przez Niemce, Czechy i Krzyżaki zabranych, a do naśladowania siebie mężstwem i stałością w przywodzie walecznemu rycerstwu na odpór nieprzyjacielowi; że tym sposobem przy bojaźni Bożej, a miłości ojczyzny, we wszystkich sprawach swoich pomysły znajdzie powodzenie.

Ledwo Kazimierz przybył do Wielkiejpolski, znalazł tam swojego i ojczyzny zdrajcę w osobie Wincentego wojewody. Odebrany mu poważny i zyskowny urząd starosty generalnego, za nie nader dobre onego sprawowanie, wznecił w nim chęć szkodliwą zemsty i niewdzięczności ku panu, z którego ręki to dobrodziejstwo otrzymał. Książęta Szląscy, sami już hołdownicy Czechów, zdawali się być Szamotulskiemu słabymi nader do dźwigania go w ułożonem przedsięwzięciu. Udał się więc do Malborka, do mistrza Krzyżackiego Ludera, ofiarując mu poddanie Wielkiejpolski, w której wiele jeszcze zamków i miast miał pod swoją strażą, z obietnicą przystawienia w ręce nieprzyjacielskie samego Kazimierza. Wzrastająca Krzyżaków duma w pochłonięciu całej Polski kazała się im chwycić tak pochlebniej okazji. Zgromadzone natychmiast wojsko w jak największej tajemności wzięło rozkaz ciągnąć za Wisłę w Kujawy. Dani mu za wodzów Teodoryk de Aldenburg marszałek, Otton de Luterberg wielki kommandor i Tomasz Oward Anglik, który mało co przed tym ze stokoną chorągwią na pomoc im przybył: a ci wszyscy z Wincentym wojewodą znosić się mieli. Około 22 Lipca przebywszy Krzyżacy rzekę pod Toruniem, gdzie wielki mistrz miał oczekiwać na skutek tej wyprawy, pokazali się naprzód pod Brześciem i Inowrocławiem tak niespodziewanie, że gdyby straż czujna, postrzegłszy chorągwie nieprzyjacielskie, nie miała się do broni i bram nie zawarła, byłyby oba zamki w ręku krzyżackim. Straciwszy nieprzyjaciół do dwuchset ludzi, nie chciał się bawić oblężeniem dalszym tych fortec, spiesząc do Wielkiejpolski, a zysk swój w przedkości i postrachu pokładając. Jakoż dobył naprzód i spalił Słupcę, miasteczko biskupa Poznańskiego; potem ruszywszy ku Pyzdom, gdzie przez szpiegów o bytności Kazimierza wiedział, łatwo i to miasto opanował. Omyliła go jednak nadzieja pojmania królewicza, który znalazłszy sposób ucieczki, w lesie gdzies okolicznym schronienie znalazł. Rozgniewany tą utratą mniemaną zdobyczy żołnierz, rzucił się na gmachy miejskie: i całe to miasto z domami i kościołami w perzynę obrócił. Naostatek zapuściwszy drapieżne zagony za przywodem Szamotulskiego po obu stronach

rzeki Warty, nie tam w całości nie zostawił: a w oczekiwaniu z Prus i Inflant posiłków, tymczasem z niezmiernemi łupami znowu za Wisłę przepadł.

Tak pomyslna dla Krzyżaków wyprawa dała im powód wkrótce do drugiej, lecz obfitszej w ludzie i klęski wzajemne. Ruszone od mistrza wszystkie wojska z Prus, Pomeranii, z ziemi Chełmińskiej i Michałowskiej pod ich szczególnymi kommandorami. Ściągnęło się do ich obozu wiele panów Niemieckich od Renu i z innych krajów tegoż narodu ze swojemi pocztami. Pomnożyli tenże obóz Krzyżacy Inflantscy z ludźmi Szamotulskiego. Co wszystko wynosiło do kilkudziesiąt tysięcy bojowników w piechocie i jeździe. Przeprowadzone to wojsko przez Wisłę u Torunia pod sprawą Teodoryka z Altemburga marszałka, Ottona de Luterberg kommandora wielkiego, Sywarda Szwarceburga i Jana kommandora Dobrzyńskiego, udało się ku Łęczycy, opuszczając Kujawy, których rabunek mistrz do powrotu swoich zachował. Obronił się zamek Łęczycki; miasto z okolicami wypalone. Przeciwnie w Kaliszu dobyta forteca, a miasto ocalało ze stratą obleźców po kilku dniowym szturmie, którzy tam oczekiwając próżno na posiłki Czeskie, rozsypali się na dalsze spustoszenia. Gniezno, Żnin, Nakło, Środa, Pobiedziska, Kłecko i Kostrzyn wszystkie te miejsca popsuły nieprzyjacielskie pożogi. Nie przepuszczono kościołowi katedralnemu w Gnieźnie: a gdy w nim nienasycona chciwość dostać nie mogła świętych zwłok męczennika Wojciecha, ukrytych dobrze przez tameczne kapłany, zostały w odpowiedzi wszystkie sprzęty kościelne wynalezione i rozszarpane. Z Wielkopolski przenieśli rozbój w Sieradzkę, gdzie równie nie uszły klęski od ognia i łupiestwa zamki i świątynie, w Sieradzu, Uniejowie, Warcie, Szadku i Stawie wespół z miastami popalone lub zdarte. W Sieradzu przeor Dominikański, udawszy się do jednego z wodzów Krzyżackich, nazwiskiem Hermana, kommandora Elbińskiego, gdy go przez dawną przyjaźń w Elbingu, a litość chrześciańską i skromność współzakonną zaklinał, aby niewinnym ludziom życia i majątku nie odbierał, odpowiedział mu hardy mnich językiem Pruskim *nesprest to jest nie rozumiem*: i złupiwszy kościół ze wszelkich ozdób, same mnichy z kapie, a czeladź ich z koszul na szyderstwo odrzuć kazał. Poszli znowu Krzyżacy do Kalisza, którego gdy ani tą razą dla posady i warunku od oblewów rzeki Prosny dostać nie mogli, po dwóch dniach obleżenia z utratą swoich kilkudziesiąt, udali się do Konina: a przenosząc ogień, trwogę i pustynię z jednego na drugie miejsce, wielką część Wielkopolski niesłychanych w dawniejszych wiekach szkód nabawili.

Uchylając się od podobnych klęsek ziemianie mieszkający w okolicach jeziora Zaniemyśla, ukopali wał na siedm mil długi z głębokim rowem, poczynając go od Zwolny i Kępy aż do Głuszyny, w który napuściwszy z jezior i błot przyległych wody, rozumieli się być bezpiecznymi od nieprzyjaciela. Szlachta, wieśniactwo, i kto tylko miał jaki majątek w sprzętach i dobytku, cisnął się za ten przekop, dla ocalenia fortun i osób własnych. Uwiadomiony o tym składzie nieprzyjaciół, wysłał tam trzy tysiące jazdy Pruskiej; lecz i nasi ostrzeżeni od chłopstwa o ich ciągnięciu, posłali do króla, który już wszedł do Kujaw, prosząc o pomoc. Wyprawiony marszałek dworski z kilkuset nadwornej milicyi, znalazł gotowe do obrony obywatelstwo z przybranym gminem; a z nim wespół wyszedłszy za okop, tak potężnie przyjął owe Prusaki, że z nich mało co z pogromu uszło. Długosz powiada, że za czasów jego jeszcze na tém bojuwisku znajdowano liczne koście, świadeczne klęski nieprzyjacielskiej. Lecz, i na innych miejscach rozgromiały królewskie podjazdy rozbiegłych po łupiestwie Niemców tym śmielęj, że król był niedaleko z obozem, a na pierwszy odgłos wpadnienia ich w Łęczyckie, zebrał niepospolite wojsko z Sandomierzanów, Krakowianów, i Wielkopolanów, których rebellia Szamotulskiego nie dotknęła. Atoli widząc nierównie większe siły krzyżackie, w porządne hufce lekkiej i ciężkiej jazdy, oraz piechotę niemiecką opatrzone, nie śmiał im stawić pola; ale się tylko od Łęczycy za nimi gonił, lub wyprzedzał, szarpiąc z zasadzek, gdzie się podala okoliczność. Postanowili Krzyżacy napisać na obóz królewski w powrocie swoim niedaleko Konina, i tak zręcznie pod niego się podemknęli, że król rzucić musiał nagle swoje stanowisko, zostawując w nocy nieprzyjacielowi wozy i inne wojenne zawady a sam pomknął się ku Radziejowu. Trapiła go wielce nierówność mocy, aby się mógł w polu otwartém rozprawić, i w jednym dniu szczęśliwą bitwą tylu klęskom kochanej ojczyzny tamę położyć. Przedsięwziął zatem zamysł trudny i niebezpieczny, lecz który pomysłny skutek w rozum i cnotę obrócił. Wiedząc iż Krzyżacy na radach i pomocy Szamotulskiego polegali, posłał do niego tajemnie z przełożeniem usilnem powszechnych narodu nieszczęśliwości, a razem z obietnicą powrotu do łaski i zapomnienia wszystkich przestępstw, byleby Krzyżaków porzucił. Obeszły okrutną duszę sromota zdrady, i żalność skrzywdzonej ojczyzny: przystąpiła chęć dumna sławy, aby ten co jęj niedawno był zbrojca, został życia dawcą i mścicielem. Pod pozorem wybadania sił królewskich, wyszedł Szamotulski w postaci szpiega z obozu Niemiec-

kiego i przed królem się stawiał. Miłość żarliwa ocalenia narodu od gorszych skutków kazała dobremu królowi zapomnieć na winę złego obywatela, i przyjąć go do łaski. Opowiedział wojewoda o stanie wojsk krzyżackich: iż lubo w nim wiele było mężów rycerskich, dobrze w odwagę, oręż i konie opatrzonych, więcej atoli znajdowało się hałastry, czyniącej pozór tylko wielkości, lecz płonnej i bez serca. Radził królowi nie uchylać się od walnej bitwy: że złamawszy naczelne tylko hufy strojne i dzielne, resztę ich sama trwoga zburzy i rozproszy. Obiecywał dołożyć starania, aby nieprzyjaciela okazywaniem słabości wojsk polskich od wszelkiego podejrzenia potyczki odwiódł: a w czasie gdy ona zajdzie, że z tyłu nań z ludźmi swojemi uderzy.

Po takich ułożeniach wrócił się Szamotulski do Krzyżaków, zapewniając o wszelkiem bezpieczeństwie: że król, świadomy dobrze ich większości, myślił tylko o porządnem cofnięciu się, aby z tak niebezpiecznego kroku swoich wyprowadził. Krzyżacy ufając powieści wojewody, jako mającego u nich wiarę, zaniechali gotowości do boju: a w przedsięwzięciu tylko uprowadzenia za Wisłę niezmiernych płonów z Kujaw, Sieradza i Wielkiejpolski zabranych, poczęli ruszać się z wolna, ile przy nadchodzących już jesiennych niewczasach do Prus. Otton, wielki kommandor z niejakim Reus de Plawen wyszli przodem z częścią wojska dla opanowania Brześcia. Druga część, ciągnąc obciążona zdobyczą ku Radziejowu, zbliżyła się ku wsi Płowcom czyli Blewo, i tam na noc obóz założyła. Równiny okoliczne, zdatne do wysforu koni i bitwy jezdnej, w której najbardziej król ufał, determinowały go, aby nie czekając dalej na tém miejscu spotkał się z Krzyżakami, ile już rozdzielonymi na dwa osobne zastępy. Dnia 27. Września ze wschodem słońca zbliżył się król pod obóz nieprzyjacielski, gdy jeszcze Krzyżacy spokojnie zasypiali, trunkiem całonocnym rozmarzeni i bezpieczni. Za ostrzeżeniem czatników powstała w ich obozie trwoga tym większa, że na słowo wojewody nikt się nie spodziewał, aby Polacy nastąpić mieli. Mgła straszna nie dała korzystać królowi z rozruchu nieprzyjacielskiego. Trąby, kotły i wrzaski żołnierskie słyhać było z obu stron: strony siebie nie widziały. Nieprzyjaciel miał czas do szyku: a król też nim przyszło do sprawy, wymowniejszy wiekiem i pracami podjętymi, niżeli w słowa, po krótkim swoich upomnieniu na czele wojska oczekiwał. Wszakże szanowny monarcha, w bojach zrosły i osiwiwały, niosąc szczątek życia na ofiarę dobra poddanych, uchylć się kazał, acz poniewolnie, synowi Kazimierzowi, oddając go pod straż szlachcicowi Nekandzie, herbu Topór, aby w przygodzie śmierci ojcowskiej miał naród mściciela i obrońcę.

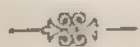
Z rozegnaną mgłą, gdy dzień jasny mężów, oręż i losy ich z pomroki wynurzył, ukazał się Krzyżacki zastęp straszny i ścisły. Albowiem kommandanci i waleczniejsi z Niemców bojownicy, żeby się w szykach i związku nieodstępując do upadłej bronili, łańcuchami przez pasy puszczone sami siebie powiązali. Z pięciu królewskich hufców poskoczył pierwszy, złożony z nadwornego ludu i przebrańskiego rycerstwa: za nim inne kolejno ze szlachty, z różnych księstw zebranej. A gdy się zmierzały oba wojska, jak Krzyżacy mężnie się bili, tak Polacy choć od przewyższającej liczby Niemców ogarnieni, ostatnich sił, nie cofając kroku, dobywali. Wstąpiła w okrzepłe siedmdziesiątletniego starca członki zielona pierwszych lat jędrność. Biegał między nieprzyjacielskimi stosami król waleczny, zasłaniając się puklerzem od ciosów, a mieczem wzajemnie przeciwnikom zadając raży. Po kilkogodzinnych zapasach, gdy wojewoda obiecaną nie dawał pomocy i wątpić poczęto o jego wierze, ukazał się on nakoniec, biorąc z tyłu nieprzyjaciela. Świeża moc na zmordowanych i niespodziewana wprawiła Krzyżaków w większą słabość, a dalej w utratę serca, zamieszanie i rozsypkę. Cisnęli ich tym dzielniej nasi i byłaby już zaraz wygrana, gdyby Otton z Plawenem uwiadomieni około Brześcia o rozpoczętej bitwie, uciekających swoich nie wstrzymali. Za ich nadbieżeniem odnowiła się bitwa, lecz nie na długo. Zwycięzcy nie chcieli sobie dać wydrzeć wygranej: Krzyżacy też znużeni drogą, i nie mogąc już do ładu przywieść swoich, podali tył sromotny. Tu już nie była równa walka, ale rzeź i zabój; mianowicie gdy Teodoryk, marszałek w głowę cięty, dostał się w niewolę z hrabiami de Plawen i Honstein. Do samego wieczora ścigany i bity nieprzyjaciel zasłał szeroko trupami pola. Legło wielu braci i Niemieckiego rycerstwa, a więcej nierównie innego gminu. Liczba wszystkiej straty wynosiła do 20 tysięcy. Z naszych zabito kilkaset: a między innymi znaczniejsi: Żegota z Morawicy, chorąży krakowski, Krystyn z Ostrowa chorąży Sandomierski, syn Prandoty kasztelana krakowskiego, i Jakub z Szumska, kasztelan Żarnowski.

Wiem o tém, iż z Niemieckich pisarzy jedni to sławne Polaków pod Płowcami zwycięstwo w milczeniu zostawili. Drudzy przyznawszy im wygraną z początku, tegoż samego dnia zwycięzców w innej potyczce do szczytu zniesli. Inni nakoniec obie strony na równej straty i sławy szali położyli. Myśmy poszli za Ekhardem spółczesnym, Cornerem późniejszym nieco, kronikarzami także niemieckimi: a Anonimem i Długoszem, z których pierwszy żył za Jagiełła, drugi za niego także: oba zaś co napisali, sły-

szeli o tém od starców na téj bitwie znajdujących się. Życie stuletnie nie było tak rzadkie w wiekach żołnierskich, pracą i wstrzemięźliwością hartownych, jak w naszych, gdzie młódź z pieluch pieskliwie wychowana, kwiat młodości rozpustą wędzi, a w pierwiastkach wiosny swawolna i słaba nieużytecznie niknie. Nazajutrz gdy król objeżdżał plac potyczki, znalazł jednego szlachcica, przebitego trzema włóczniami, nad którym gdy się zastanowił ubolewając iż wiele cierpiał, odpowiedział mu Floryan Szary (było to jego nazwisko): królu bardziej mię boli zły sąsiad, niżeli te rany. Na to Władysław: bądź dobrej myśli: uwolnię cię od tego sąsiedztwa: i kazawszy go zanieść pod namiot dla wyleczenia, gdy żołnierz do zdrowia przyszedł, całą mu tę wioskę kupił a na pamiątkę cnoty rycerskiej do dawnego herbu, zwanego *Koźlerogi*, trzy włócznie przydał.

Nie omylił się téż na słowie królewskim Szamotulski; przywrócony do sławy i honoru, acz nie na długo: ponieważ w roku następującym szlachta Wielkopolska, uczyniwszy nań tajemny spisek za poniesione straty w czasie rebelii, na sztuki go rozsiekala. Nie był téż szczęśliwszy od Krzyżaków wierny ich sprzymierzeniec Jan Czeski: albowiem gdy tegoż samego czasu obległ Poznań, szlachta poznańska z mieszczanami dała mu odpór, że straciwszy przy obleżeniu do siedmiuset ludzi i porzuciwszy szturmowe działa, nazad wrócić się musiał, nadgradzając niepomyślność téj wyprawy kupnem Głogowa od Jana książęcia. Wreszcie ani poniesiona pod Płowcami klęska, ani bulla papieżka wyznaczająca komissyą na zweryfikowanie szkód biskupowi kujawskiemu poczynionych, ani nakoniec, jako pisze Długosz, negocyacya królów Czeskiego i Węgierskiego nakłonić mogła Krzyżaków do wrócenia Pomeranii: owszem oni tegoż samego czasu wprowadziwszy z Niemiec za pieniądze wiele pocztów zbrojnych, nowe przy końcu Listopada w Kujawach uczynili spustoszenie.

II.
PROZA
NAUKOWA I ROZUMOWA
CZYLI
DYDAKTYCZNA.



STOPIEŃ III.
ZASADNICZOŚĆ I WZNIOSŁOŚĆ.

.....

41

EXHIBIT

EXHIBIT A

EXHIBIT B

EXHIBIT C

A.

FANTAZJE

I

CHARAKTERYSTYKI UMIEJĘTNE.

1801

THE HISTORY OF THE

OBRAZ UMYSŁOWEJ SFERY CZASÓW.

przez W. Gaszyńskiego. 1843.

Za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historyi swojej: — w Religii do zupełnego zwątpienia — w Filozofii do zupełnego obalenia zasad Politeizmu. Augur śmiał się z Augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie żywiące wśród ludów, a nie równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — quot capita tot sensus. — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm, przechadzały się, jak mary po owdowiałych piersiach ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcyi, rewolucyi, wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem, i plebejanin Mariusz i patryciusze Sylla nie zdolali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać i żywą teraźniejszością uczynić! — Śmierć tylko śmiercią wprowadzić można; — jedno życie tylko nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając a nie niszcząc, kochając a nie kając zabijać. Wszyscy ci wielcy czy *zatracciele*, czy *odnowiciele* z ostatnich czasów Rzymu, jedną cechę na sobie noszą: — pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą ku czemu dąży historia świata. — Jedni trzymają się podania Grakków, i chcą demokracji — drudzy wierzą jeszcze w *Bogi Many* Appiuszów i marzą o arystokratycznej Rzeczypospolitej. — Takiem marzeniem obłąkany Brutus, ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając zwątpi o sobie, o ojczyźnie i Bogach, i krzyknie: „Cnota jest także złu-

dzeniem.“ — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naówczas. Słabość, niepełność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten bliiski dnia sądu i przeobrażenia swego!

A nie tylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tem. Inna jeszcze tu występuje cecha — nad wszystkie ważna, dowodna — niechybna — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć dotycząca się tylko materialnej strony ówczesnego człowieczeństwa. Kiedy albowiem wszystko na polu Ducha się rozprasza, zkadinał wszystko na polu materialnych spraw i celów coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowuje. Rzym choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż — i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię: Juliusz Cezar; — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży — przejdzie Rubikon bezbożnik, powie *jacta alea est*. — Cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Gallia o Egipt uderzy — Germanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomiesza, rozkrwawi, napelni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimowoli, mimowiedzy połączy, pobrata; granit plemion nieznających siebie zetrze na piasek jeden, tensam, gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa! I o nim żydzi myśleć będą, że on ję Bogiem! — Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem ję Boga. Na polu historycznego czynu, on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana! — On, świat przywiódł do materialnej jedności, bez której żadne słowo życia, rozejść się nie może — on ziemię znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec!

A lat niewiele później, któż zaczął stąpać po tej bi-tęj drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą — i że Bóg, nieznany w Atenach, objawion w Hierozolinie? — Czy nie Piotr — czy nie Paweł — czy nie Jan Świety? — Szaleli następcy wielkiego Juliusza — przesładowali wiarę nową — żartowali wśród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcian przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowej religii — że to samo co ich na *krótko-* i *kroto-*

chwilnych Bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi poczetemu z nieba — i że jedność materialna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincyi podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym, postępu dla Chrześcijaństwa. — Dbali o tę jedność, pielęgowali ją, bronili jej o ile sił zniewieściałych im stało — a tém samém ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym chrześcijaństwem wzrostem! W ręku Optarności narzędziami byli — prawa historyi dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlerze i kupcy za czasów naszych — i tak z tylu szatanów widomych na ziemi, każdy był sługą bożych myśli — każdy jedną cegłą więcej rzucaną do budowy kościoła. — Jako Imperatorzy przeszli oni obarczeni przekleństwami ludzi — jako *cegly* zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w Historyi!

Discite historiam exemplo moniti! — Lat dwa tysiące upływa a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu; — ostatnie podrzuty Rzeczypospolitej rzymskiej odbiły się w strasznym, epileptycznym zadrgnieniu rewolucyi francuskiej. — Zerwały się cienie Maryusza, Sylly, Katyliny pod krwawą postacią Dantona, St. Justa, Robespiera — wreście dni Cezara przełaty się w dni Napoleona! — A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepelniony wiedzą siebie samego i celem któremu kwoli Duch Boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł umierając na skale wygnania: „*odemnie liczyć się będzie nowój Ery początek.*” Wtém słowie zawarta prawda i jego i całej przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska Napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w *niszczeniu*, zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty! — Od Grakków świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa; od Lutra nowożytny nie miał pokoju — cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa!

W okęgach religijnych wszędzie rozbrat: — Kościół katolicki, jakby snem od wieków trzech, od ostatniego Soboru, ujęty — Schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześcijaństwa, na tysiąc kacerstw rozerwana; protestantyzm sam sobie zagadki rozwiązujący i mówiący *consuma-*

tum est! W okęgach filozoficznej wiedzy pewność — ale *braku* tylko; — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. *Wściekło - flegmatyczne*, że tak powiem, zaprzeczenie filozofii do najwyższego bezkształtu doszło. Jednostronność *myśli* tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzód jednostronność materii, której się trzymał ród Encyklopedystów francuzkich. Ztąd mniemań, teorii, przypuszczeń, systematów zgmatwany rój, brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków, co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezye chrześcijańskie wszystkie, panteizm Indyjski cały, Dualizm perski, Monoteizm hebrajski, Idealność wyłączna i Zmysłowość wyłączna, wskrzeszone razem i w tej mieszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zsuwające tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnięcia, same proszące się o śmierć, by się prędzej przemieniły, i nową iskrą życia pojednane zmartwychwstały młodem napowrót! — Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

RODU LUDZKIEGO PRZESILENIE.

(Z dzieła: Ojciec-Nasz. 1848).

Święty Boże! cóż się dzieje w świecie? jakże uroczo, jakże obrzydliwie razem! Zewsząd prawda się wykluwa a kłamstwo przemaga wszędy. — Stroi się świat jakby na gody, przy pogrzebowem łkaniu głodzonych lub mordowanych; — morze rokoszy — i ocean cierpienia; — a przy rokoszy nuda, rozpacz przy cierpieniu! Powołani, obsiedli rozpustne życia biesiady, a niepowołanym przekazali zgrzytanie zębów na ziemi, a w ziemi wspólne grobowisko: bo mędracy tego świata wyrzekli, że dla nich u stołu żywota nie stało już nakrycia. W sprawach publicznych prywata, w prywatnych zakala. Próżność się święci, a cnota próżnuje. Bożego słowa kaźden używa, albo nadużywa, ale nikt w niem nie żyje, ni ono nie żyje w nikim. Braterstwo ludzi i ludów się głosi, a Kainowe zbrodnie przeszły od ludzi do ludów! Tu postęp występkiem, ówdzie występkiem postępek! Tu życie silne a nikczemne, ówdzie konanie nikczemne a silne. A to życie pozorne, bo już zarażone śmiercią; a tamto śmierć pozorna, bo już zapłodniona życiem!

Oto przed nami nieprzypuszczane cuda przemysłu, oto niedomyślane skarby nauki, oto rosnące wciąż ślady olbrzy-

mięj a gorączkowej pracy; oto zbytki, o jakich nigdy Sybarytom się nie śniło, oto siły jakich nawet wyobraźnia bajecznym Tytanom przypisać nie śmiała! A przy tém wszystkim lud i ludy łakną, pragną, i jęczą wzdychaniem niewymowném! Na cóż się to wszystko zdało? do czegoż to prowadzi? Cóż opatrzyła nauka uczonych, cóż zarobiła praca robotników, cóż obmyśli nareszcie łzy tylu pokoleń? Święty Boże! cóż się dzieje w świecie!

Dzieje się po raz drugi to, co raz dopiero odbyło się w historii, ale co już więcej się niepowtórzy póki ludzkość ludzkością: rodu ludzkiego *wtóre* przesilenie. Świat stary umiera, a nowy się rodzi; świat *trzeci* nastaje!

Byćżeż to może? nasz świat pełen otuchy, w żywotne soki bogaty, w zasoby odwieczne uzbrojony, w drogi swoje zadufany; ów świat tak silny, że sił swoich chekpliwie nadużywać zdolen; tak uczony, że już ani wierzy, ani nawet wątpi; tak uczciwy z rachuby, o ile uczciwość popłaca; tak pewien siebie, że aż obojętny: miałżeby już ustępować przed nowym światem w téj właśnie chwili, kiedy się sam zabiera tak wygodnie u siebie się rozgościć?

Pomnijcie na ostatek dni starego Rzymu, na jego wiekową potęgę i dzielność, na legiony jego nieprzezwykłe, na praw jego zawarte sklepienie, na wszystko złoto przez niego zdobyte, na wszystko zboże spływające corocznie ze śpichlerzów świata całego, by karmić jego obywateli, tych panów świata; na jego drogi i wodociągi, na jego trudy i igrzyska, na fortunę rzymską wreszcie, której żadna ani przedtém ani potem niesprostala; i powiedzcie sami: kiedy takie słońce zaszło, jakieżby zająć nie mogło?... Pomnijcie też na Baltazarowe biesiady i na przerywające je przestrogi! Pomnijcie nareszcie na wyraźne przestrogi Zbawiciela, na dni Noego i na dni Lotowe. Wszakci i wtenczas ludzie jedli, pili, kupowali i sprzedawali, sadzili i budowali... i ufali w siebie, aż do dnia onego, w którym Noe wszedł do Korymbia... albo Loth wyszedł z Sodomy. — Pomnijcie więc i czuwajcie!

Miałżeby świat nasz zasłużyć na los Rzymu, albo na los Gomorry? miałżeby znowu potop jaki, potop krwi albo ciemnoty osromocić naszą ziemię?

— O nie! Potopu już nie będzie, na skażenie ziemi. Mogą być klęski, mogą być powodzie, jeżeli je sami rozpuścicie; a wtedy jako ślepe uragany, porwać mogą ludzi złej i dobrej woli. A zapobiedz im, od was samych zależy. Bo spojrzycie, wszakże wykszałca się już różnobarwna tęcza ludzkości, ów znak wiecznego przymierza, znak spokoju

i pocieszania! Patrzcie a domyślcie się drog i środków pańskich!

Wszakże już nie słabi jak dawniej, ale przemnożni wołają o pokój! Wszakże już nie gołębie, ale sępy niosą gałązkę oliwną; a wszakże już nie sępy, ale gołębie zaprawiają się do walki! Cóż to znaczy? Oto, że ludzie, którzy znać za własnym tylko uganiają się zyskiem, pracują dla ludów; oto że ludy, które znać za własną tylko miłością rzucają się w katusze, pracują dla ludzkości!

Widzimy... i płaczemy nad niemi; bo oto tamci gubią się bezmierną chciwością, a oto ci gubią się bezmiernym poświęceniem! A chociaż ani chciwość jednych, ani poświęcenie drugich nie mają spełznąć daremnie, to jednak żal nam słodkich cierpień tych, i gorzkich rozkoszy tamtych!

I żal nam onych którzy żadnej rozkoszy ducha dotąd niezaznawszy, przecież cierpienia wiekuistego domyslać się już zaczynają.

O! wybaw, wybaw nas Panie!

O biedni my i słabi, mimo wszechbogactw i sił naszych! O nieradni my i nie dzielni, mimo doświadczeń i wszelkiej wprawy naszej! Mamyż więc sami jąć się dzieła, któremu dotąd niesprostały wieki, mimo natchnionych Boga posłańców? Gdzież mądrość, gdzież hart ducha po temu? Tylko zamęt w umysłach, czczość w sercach, niedołęztwo w charakterach! Zdołamyż biedne sieroty odbyć ten straszny przepływ ze starego świata ku nowemu o włosnych wiosłach i żaglach, bez gwiazdy, bez magnesu, bez sternika!

Sternikiem waszym Chrystus, magnesem bratnia miłość jego, przewodnią gwiazdą Święta Modlitwa którą wam przekazał. W tej to modlitwie zawarł on wszystko, czego wam na dal potrzeba; w niej wskazał wam wszystko, do czego dotąd mieliście dążyć, do czego się sposobić, a co dziś właśnie przy spełnieniu czasów, pojąć i osiągnąć macie. Wszakże on przyrzekł, odchodząc do Ojca, iż niezostawi was sierotami, a czuwając nad wami do dziś dnia niebieskim okiem swoim, obmyślił wam od początku a zostawił w pamięci waszej zapis przyszłego dziedzictwa na czas pełnoletności waszej.

SEN W PODHORCACH.

przez ks. Stanisława Chałaniewskiego. Wilna 1847.

Roku 18.. wracałem z Galicyi na Wołyn i przybyłem na nocleg do Podhorzec. — Ilekroć trafiło mi się przejeżdżać przez tę majątność Rzewuskich, zawsze mnie skorciło odwiedzić piękną kaplicę architektury włoskiej i stary zamek. — Znany ci on dobrze ze swoich wielkich, niewygodnych, zimnych pokoiów, wspaniałe marmurami ozdobnych, z sufitów obyczajem włoskim urządzonych i z rozmaitej swój staroświecczyzny. Była to późniejsza jesień, dzień przykry, dżdżysty, prawdziwie listopadowy; lecz że dość wcześnie przybyłem na nocleg, udałem się do kaplicy. Ta była zamknięta. — Przykro było patrzeć na jej piękną facyatę już dość bliską upadku. Dalej poszedłem do zamku; lecz i ten był ciągle niezamieszkały. Zastałem na dziedzińcu tegoż samego burgrabiego, który mnie przed kilką laty wszędzie oprowadzał. Skoro mię postrzegł, dobył z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi od głównego wchodu. Luboć nie raz jeden oglądałem osobliwości pałacu tego, przecież nie miałem serca odrzucić uprzejmiej posługi, o którąm nie prosił, więc udałem się za nim do zamku.

Przeszliśmy wolnym krokiem, nigdzie się nie zatrzymując, wszystkie większe i mniejsze komnaty, aż do sali, w której, nie wiem, czy przypominasz sobie, znajduje się ów sławny okrągły stół z Oleska, na którym, zaraz po narodzeniu się swojém król Jan III. był położony. Zachodzące za krwawy obłok słońce, przykry rzucało blask przez okopcone okna na sciany czarnego marmuru. Przewodnik mój i ja nie mieliśmy sobie do powiedzenia: bo on już kilką razy wypowiadał mi się był wszystkiego o tym zamku, a ja wcale nie byłem w humorze rozumowania, tak mi się smutne myśli snuły po głowie. — Nie dawno bowiem ojciec mi drogi przeniósł się do wieczności, a te marmury czarne, przywiodły mi na myśl moją ciężką stratę. Tylkom raz zapytał burgrabiego: — Dawno tu już panowie nie byli? — Dawno panie! odpowiedział. Nieboszczyka pana hetmana nie znałeś kochanku? Nie panie. Ani pani hetmanowej? Nie znam jej panie. — A pana Wacława? I tego nie znam: bo ich noga tu nie postąpiła, od kiedy mnie tu na burgrabiego przysłano, to jest od lat dwunastu. Więc już go dalej nie pytałem, i jakeśmy przyszli, takeśmy w dwóch wyszli z pałacu milczkiem, jak ludzie idący processyą na eksportacyi jakiej, Okazawszy potem wdzięczność moją sta-

ruszkowi, wróciłem spiesznie do kwatery mojej w gospodzie. Mocno zimnym wiatrem przejęty, po krótkim pacierzu udałem się na spoczynek.

Ale daremnie; sen od powieki coraz dalej ulatywał a mnie się po głowie poczęli snuć wszyscy mi znajomi Rzewuscy, z których niektórzy pomarli, a drudzy nie są w stanie ten zamek od ruiny zachować.

Spojrzałem przez sen, a powieki były zamknięte.

Młły Boże! cóżem zobaczył? Wielki, wysoki pokój sypialny cały adamaszkiem karmazynowym wybity. Po prawej stronie dwa staroświeckie ogromne okna szczelnie okiennicami zaparte, nad którymi firanki tegoż koloru były zapuszczone. — Po lewej wysoki z czarnego marmuru komin, z zegarem kształtu antyków. Nad nim z niewielkich tafel układane zwierciadło weneckie, w ramy srebrne misternej filigranowej roboty oprawne. Z jednej strony komina bliżej mego łóżka dwa ogromne obrazy od sufitu do podłogi ścianę zakrywały, z drugiej strony dwa drugie téjże samej wielkości ukazywały się. — Odźwierki okien, drzwi i podłoga były czarnym marmurem wykładane. — Sufit z tafli snycerskiej roboty, mocno pozłocony. — Przy ścianie poprzecznej naprzeciw miejsca, w którym się znajdowałem, stało łóżko staroświeckie z baldachinem i firankami jedwabnymi karmazynowymi, które podniesione były. — Na łożu nawpół siedział nawpół leżał młodzieniec jakiś w stroju niedbałym. — Przed nim stolik, na którym lampa słabe rzucająca światło i kilka leżało ksiąg rozwartych i papieru kilka arkuszy porozrzucanych. Zdawało się, że pisanie był zajęty. — Wszystko to mi się dość niewyraźnie ukazało dla braku żywszego światła. Wtém na zegarze wybiła dziesiąta, głównia na kominie z trzaskiem wielkim prysnęła, przeraźliwym długim piskiem jęknęła, i tak się dzielnie zajął ogień, że cała komnata nagle, jakby pochodniami oświetlona została. — A mnie taka opanowała ciekawość, że już nie myślał o przewróceniu się na drugi bok, tylko lepiej jeszcze przez sen oczy otworzyłem, a powieki były zamknięte.

Chciałem przedewszystkiem młodzieńcowi się przypatrzeć na łożu spoczywajcemu; ale nim tam doleciał wzrok mój, pomimowolnie zatrzymały go najbliższe dwa obrazy obok komina umieszczone. — Pojrzą na pierwszy.

Boże mój! cóż to, za prześliczny Polak!! (pomyslałem sobie). Był to pan wysokiego wzrostu, wspaniała figura od stóp do głowy. Oczy miał ciemnobłękitne, i niewypowiedzianie szlachetnym sposobem wesołe. Wszystko w nich było, co tylko wielka dusza pozazdrościćby mogła; uprzej-

mość, wyrozumiałość, bystrość dowcipu, bez najmniejszego cienia obludy, rozsądek, stateczność bez uporu, jakieś spokojne męstwo z głębokich źródeł serca płynące, wszystkie te promienie duszy na przemiany odbijały się w jego wzroku, jak w czystym zwierciadle, i wielki rzucały blask na wypogodzone czoło, a żaden z nich zbyt nie raził. Całe to oblicze zdawało się powleczone cichością serca, jakby jaką srebrzystą zasłoną. — Inne rysy twarzy były także bardzo piękne; czupryna podgolona trochę, włosy ciemnego, wąs także, broda niezbyt długa i nieco kędziorem wijąca się; cera świeża, nieco ogorzała, lekki rumieniec, okazywały jeszcze wielką czerstwość wieku, lubo gdzie niegdzie srebrzył się włos na głowie i koło ust wielce powabnych. — Co się zaś tyczy sztuki malarskiej, ten obraz był najdoskonalszym ze wszystkich w tym pokoju będących. Strój zaś był taki: (równie bogatego w życiu moim nie trafiło mi się widzieć ani na obrazach, ani w istocie). Krój kontusza był z czasów zygmunto-wskich. Podobnie się nosił stary wojewoda Kicki, którego pierwszy raz widział roku 18.. na pokojach u cesarza Aleksandra. — Kontusz zaś sam na obrazie był koloru jak śnieg białego, w kwiateczki także białe, wyrabiany z misterniej jakiejś materii mnie nie znanej, wiem tylko, że nie bławatnej: poły miał z przodu dobrze rozchodzące się, wyloty w tył zarzucone. Żupan karmazynowy z precudownego bławatu perskiego, rozlicznymi wzorami i barwy mienił się; pas po żupanie tegoż samego koloru z tyfityku perskiego wielkiej ceny, bóty skórzane ponsowe tak przychodzące do nogi i stopy, iż rzekłbyś pończoszki jedwabne; podkówki złote. — Lecz nadewszystko ozdoby z drogich kamieni były w oczy i prawie raziły swym blaskiem. Wielki soliter, jak orzech włoski, błyszczał w spince u szyi. Z jednego boku kontusza wszystkie haftki były brylantowe, a z drugiego każdy guz była jedna perła urjańska między dwa brylanty osadzona. Guzy zaś żupana wszystkie, były także wielkie dyamenty. Również zaś wielkości kamienie, jak klejnot w spince, okrywały rękojeść karabeli i część pochwy, reszty bowiem nie można było dostrzec pod zapuszczonej poły. Dziwnie pięknie blask tych wszystkich brylantów odbijał się na czerwieni spodniej szaty. Na piersiach miał gwiazdę także z ogromnych soliterów. Z razu nie mogłem dostrzedz, jaki to był order, tak mi klejnoty wzrok emily; kształt przytęm gwiazdy nie był podobien do tych, które mi były znane. Potem, przypatrując się lepiej, ujrzałem na krzyżu gwiazdy te słowa, także brylantami wysadzone. *Vicisti, vince* i przypomniałem sobie, że Władysław IV. ustanowił order na cześć Niepokalanego

poczęcia Maryi Panny, który niepamiętam już dla jakich powodów nie przyszedł do skutku, bo dopiero król Sas utworzył order orła białego z godłem: Pro fide, lege, et rege. Piękny ten pan na obrazie miał jedną rękę wspartą na pasie, a w drugiej trzymał lekką czapkę z drobnutkim barankiem, piękne pióro czaple w kokardzie dyamentowej osadzone było.

Któż to być może ten Sarmata wspaniały? — Ot sen i mara, nic więcej, lepiej więc przewrócić się na drugi bok i porządnie zasnąć!!! Tylko com miał to uczynić, głośnie, głębokie westchnienie pomimowolnie zmusiło mnie patrzeć przed sobą i pojrzałem, lubo powieki były zamknięte:

Młodzieniec zerwał się z łoża i począł niespokojnym krokiem przechadzać się po pokoju; mogłem mu więc z bliska dobrze się przypatrzeć. Mógł mieć lat około 23. Rysy twarzy były piękne, delikatne, lecz zniewieściałe. Włos jasno żółtawy, rozczochrany, czoło zupełnie odkryte, brwi bardzo ciemne i skupione nad oczyma blado niebieskimi; i ta sprzeczność nadawała jego twarzy jakąś cechę dziwactwa, był to, iż tak powiem, wybitny rys kaprysu. W ranniej odzieży, z piersią i szyją odkrytą, niepewne stawiał kroki i zatrzymywał się często zamysłony; widać było zaraz, że to on tak głęboko przed chwilą westchnął. Porwał potem nagle lampę ze stolika, szybko postąpił do portretu, który po drugiej stronie komina, trzeci po panu Koniecpolskim, znajdował się i zapalił lampę, przymocowaną do jego ramy, urządzoną w celu malarskim, żeby obraz w przyzwyczajeniu sobie ukazywał się świetle. Jest to scena z poematu Götego, w której Mefistofil z Pentogrammatu czarnoksięskiego siłą, mocą, zaklęciem dobyty, ukazuje się w postaci znakomitego męża przed Faustem.

W tém turkot powozu zajeżdżającego przed dom dał się słyszeć, a ja pomyślałem sobie: „Chwała Bogu! ktoś do tego panicza przybył z wizytą; przerwie mu jego niedorzeczne monologi, które gniewają pp. hetmanów, a mnie wielka opada trwoga, ilekroć oni się odezwą.

Jakoż w istocie w kilka minut potem pokryte drzwi adamaszkiem i zupełnie dotąd przezemnie nie postrzeżone, z trzaskiem się rozwarły, i wszedł do pokoju rażnym krokiem dziwacznie przybrany młodzieniec. Był on twarzy wesołej i dość przyjemnej, lecz wiekiem zdawał się być starszym nieco od tamtego panicza; w rękę trzymał maskę. Strój jego także był maskowy i najdokładniej naśladowający ubiór Mefistofila na obrazie, tak, że nawet o klamercie płaszczyka hiszpańskiego nie zapomniano. Włosy, wąsy i bródka, były równie jak u Szafranca.

— Wszak to Miecielski? (zapytał młodzieniec wahającym się idąc naprzeciw niemu krokiem).

Miecielski. Czyś mnie nie poznał od razu Zygmuncie? Przecież nie włożyłem jeszcze maski na twarz. — A to przednia rzecz!

Zygmunt. Nie kładź jej wcale Stasiu, tak będziesz lepiej mógł oddać charakter twarzy Mefistofila.

Miecielski. Dziękuję za łaskę, nieczuję w sobie najmniejszego powołania do zręcznego małpowania tego arcyłotra, i przejęcia się jego, (jak ty mówisz) geniuszem. Przyznam ci się nawet, że ci nie mały dał dowód przyjaźni, kiedy się zgodził na ten kostium tego obmierzłego szatana.

Zygmunt (śmiejąc się). O cóż ci idzie, wszakże i u nas w Polsce nie inaczej tylko tak musi być ubranym.

Miecielski. Właśnie to też wielkiem głupstwem znajduję. Dla czegoż my to nie możemy mieć naszego narodowego djabła? Wy, literaci, ciągle rozprawiacie i piszecie o narodowości, a jeszcze niezgodziliście się na kostium djabła polskiego. Powtarzam więc, że wasza erudycja, panowie literaci, funta kłaków nie warta, kiedy nie umiecie się zgodzić na kostium djabła polskiego. — Stryj mój, pan kasztelan Sandecki, wielki znawca i miłośnik starych gminnych powieści, zapewniał mnie, że wyobrażenia o djablach w sukniach hiszpańskich, czy niemieckich, zjawiało się dopiero w Polsce wtedy, kiedy za Zygmunatów nasza szlachta zaczęła wysyłać dzieci do Witembergu i innych akademii luterskich, z których potem oni niemieckie nowinki do kraju przywozili z sobą; lecz że przedtem djabeł polski inaczej zupełnie wyglądał w oczach ludu.

Zygmunt. Jakże naprzykład?

Miecielski. Oto był cały czarny, jak murzyn; rogi miał na głowie, twarz najochydniejszą, oczy jak dwa żarzące się węgle, pół lokcia języka czerwonego z pyska mu wisiało, koźle kopyta miasto stóp ludzkich, potężne pazury u palców, na koniec długi sążnisty ogon. I nato są niezaprzeczone dowody po starożytnych obrazach w naszych starych cerkwiach i kościołach. Drwij sobie, drwij! To był prawdziwie djabeł narodowy. — Sto tysięcy razy charakterystyczniejszy, zabawniejszy i cięższego ducha, od tego waszego luterskiego, szwabskiego, wymokłego bakalarza Mefistofila, (potem spojrzawszy na siebie dodał). Cierpieć tego kostiumu nie mogę, i wołałbym już pójść na bal w stroju starego djabła z rogami i językiem karmazynowym.

Zygmunt. Dobrze, dobrze, drwij sobie. — Ty wiesz, że poeci są jasnowidzący, jak lunatycy; widzą, chodzą, dzia-

łają, żyją życiem wzniosłem, duchownem wśród najciemniejszej nocy waszego prozaizmu.

Miecielski. I jak puszczyki pocziwym ludziom spać nie dają. — Gniewaj się, nie to nie szkodzi, bo ja choć raz muszę ci Verba veritatis dobrze wyrecytować. — Co mi tam po waszém poetyckim życiu, kiedy w niem zdrowego rozumu nie ma; co mnie tam po waszej wyobraźni, co jak szalona dziewczka po domie biega, gotowa nawet z trzeciego piętra skakać dla tego, że gospodarz domu, rozsadek, bezwładny leży, jakby paraliżem ruszony. Ja wiem, że to wy się niby tém szczycicie, iż się nie poddajecie zimnym rachubom rozumu i rozsadek kładzicie w rzędzie jałowej prozy. — A jabym się niewiedzieć o co założył, że Homer wasz protoplasta, że Dante, Milton, Wirgili, Szekspir, i wielu ich tam liczycie ojców poezyi, byli w swój sztuce pisania, najrozsądniejsi ludzie. — Wszakże sami ich pod niebiosa wynosicie z głębokiej ich znajomości serca ludzkiego i stosunków świata, który nam przed oczy stawia: jakżeby ją posiadać mogli bez rozsądku i rozwagi? prawdziwy, niesztuczny zapach poetyczny nieleka się rozumu, owszem bierze go za mocną podstawę wszystkich swoich utworów. Tylko chwilowy szal rozhukanój fantazyi nadrabia chałasem, żeby pokryć niedostatek siły duchownej i zrywa skwapliwie więzy przyzwoitości i odwieczne prawa umysłu, zupełnie w tém podobny do ekliwego szampana, którego pianka wysadza z trzaskiem korek butelki, lechce trochę podniebienie, lecz w słabości sił nie podźwignie. A mnie się zdaje, że geniusz jest jak stare wino węgierskie, od którego naczynie nie pęka, lecz kto go w miarę umie zażyć, wzrasta na siłach i trzeźwy jest, nie doświadcza bólu głowy.

Teraz pozwalam ci Zygmuntku do woli się dąsać, bo co tyłkom miał na sercu przeciw tobie, wyszło jak oliwa na wierzch.

Potém Miecielski przechadzając się po pokoju z Zygmuntem zatrzymał się przed obrazem magnata, bogato w klejnoty przystrojonego, a przypatrując mu się długo z upodobaniem, tak się odezwał:

To mi ale pan i piękna postać! Pan kanclerz wielki koronny. Jakże to ja kocham twego Antecessora linii macierzyńskiej, pana Jerzego Ossolińskiego. Jakież to był piękny, ukształcony umysł przy najszlachetniejszych przyniotach serca. — Któż wspaniałej potrafił Rzymowi ukazać w swój osobie zacność wielkiego narodu, jak ten wielce przyjemny i uczony pan? Mniejsza o to, że przy jego tam paradnym wjeździe na poselstwo powodowe bachmaty jego,

srebrne, czyli złote podkowy gubiły: bo przepychem i Turkom rad się nadstawia; ale kiedy on z posłami europejskich dworów, wówczas w Rzymie bawiącymi, z każdym jak najpłynniej własnym jego językiem począł rozmawiać, i wszystkich swoją nauką i miłym obejściem się w zachwycenie wprowadził, jak niegdyś sławny Jan Zamojski, o! wtedy, to każdemu przytomnemu Polakowi miło musiało być przyznać się do rodu takiego człowieka. Zygmunt pojrząwszy na obraz i na Miccielskiego uśmiechnął się. Miccielski rzekł: Cóż cię tak rozwesela?

Zygmunt. I ty Stasiu śmiać się będziesz, jak ci się do jednej rzeczy przyznam; możeby lepiej było milczeć, ale nie, w takiś mnie dobry humor wprowadził, że ci się z tego dziwactwa wypowiadam. — Być może, że mi na to znajdziesz lekarstwo jakie, bo mnie samego ta rzecz czasem trapi.

Miccielski. Mów, mów — cóż takiego?

Zygmunt. Wiedz tedy, że kiedy z wieczora zasnąć nie mogę i smutne mam myśli, albo nadedniem, w łóżku z zamkniętą powieką marzę o dawnych dziejach, w fantazyi mojej staje zupełnie, jak go tu widzisz, pan kanclerz Ossoliński, we wszystkich tych drogich kamieniach, tylko że one wówczas daleko mocniej błyszcza, niżeli na obrazie, luboć on jest niepospolitego włoskiego pędzla. — Powiesz mnie: nie dziwnego, dla tego, że to malowidło mam zawsze przed oczyma; prawda, lecz w tém jest rzecz osobliwa, że ja w tym stanie dobrze poznając, iż to jest mój pan kanclerz z portretu, przecież mam jakieś niezem nie przewyćżone wewnętrzne uczucie, że ten sam pan Ossoliński jest także (zatrzymuje się).

Miccielski. Cóż jest? co? powiedz!

Zygmunt. Jest moje własne sumienie.

Miccielski. Jakto sumienie twoje? niewiedzieć co!

Zygmunt. Tak, sumienie moje, albowiem ilekroć trafi mi się błąd jaki popełnić i niespokojność mnie ogarnie, ten pan kanclerz staje przedemną i wymawia mi głośno. — Najskrytsze myśli moje, które chciałbym ledwie nie przed samym sobą zataić, na jaw mi dobywa. Czasem grozi, czasem upomina tylko; niekiedy bardzo słodkim głosem przemawia do mnie, jak najczulszy ojciec, i głęboko nade mną wzdycha. Bywają dni, w których bliżej do mnie przystępuje, np. w rocznicę śmierci matki mojej, w którym dniu mam zwyczaj spowiadać się, niezawodnie widzę go z rana, a on po prostu napędza mnie do kościoła. Także kiedy jestem zajęty jakimś nowym przedsięwzięciem, albo rozmy-

ślam o jakimś nowem dziele, lub téż z kim mam zabrać znajomość.

Miecielski. Proszę cię mów dalej, bo to mnie wielce zajmuje.

Zygmunt. Owoż tak, jak ten pan kanclerz, w roli sumienia mego, ukazuje się także w myśli mojej, w stroju zupełnie takim, jak dziś twój....

Miecielski. (Przerywając mu) Mefistofil, zaraz domyslałem się tego. Piękne towarzystwo, nie ma co mówić. — I jakim ci się okazuje?

Zygmunt. Zupełnie takim, jakim go geniusz Göthego na świat wydał. Wysokim, śmiałym duchem, pełnym nowych oryginalnych myśli. — Jest on najlepszego tonu, przytém grzeczny niezmiernie, lecz trochę pochlebca, a nadewszystko w najwyższym sposobie drwiarz dowcipny i z tego względu rozmowa jego jest czasem przykra.

Miecielski. Jakto, ty się wdajesz z nim w rozmowy?

Zygmunt. Dziecko jesteś, Stasiu! wszakże to są czczone płody fantazyi, której twórcza siła swobodniejsza jest w tym półcieniu myśli przy nawpół uśpionych zmysłach. — Ilekroć Mefistofil mi się więc zjawia, zaraz pan kanclerz wdaje się i poczynają sobie się sprzeczać, bo się nie cierpią od dawna. Mefistofil jest zwykle grzeczniejszy i dowcipniejszy w swych odpowiedziach; ale pan kanclerz ma za to więcej Logiki i powagi. Z tém wszystkiem widzę, że to zakrawa coś bardzo na chorowity stan jasnowidzących, albowiem od niejakiego czasu nadto mi się naprzykrzają te somnambuliczne mary. Muszę pomówić z moim doktorem, żeby mi dał coś chłodzącego. — No Stasiu, śmiej się — co się tobie stało?

Miecielski. (Pokrywając smutek). Śmiać się nie mogę. (zdejmując z szyi medalik Matki Boskiej na jedwabnym sznureczku i podając go Zygmuntowi mówi): Mnie ten medalik dała ciotka, Karmelitanka bosa w Krakowie, zapewniając, że kto go nosić będzie z wiarą na sobie, wolny będzie od wszelkiej trwogi i niepokoju dniem i nocą. — Ja mam drugi taki i sam doświadczyłem, że jej słowa są prawdziwe. Proszę cię, włóż go na siebie, a zobaczysz, że będziesz lepszy miał sen. Wszakże ty nie Wolterzystą, bo to już nie w modzie u was: Z resztą dobra noc, Zygmuntku.

Zygmunt. Dobra noc — Stasiu — kłaniaj się pięknie odemnie wojewodzinie i oświadczyć proszę mój żal, że mi zdrowie nie dozwala być na jej balu.

I zasnął młodzieniec i była cisza grobowa. Wtém od portretów uderzyła jasność i dym. Struchlałem. Kanclerz, sumienie wystąpił na pokój a równocześnie prawie ruszył się Mefistofil.

Sumienie poszło wprost do okien i otworzyło okiennice. Dzień był już wielki i jasny, niebo pogodne, i cała ta część pokoju dobrze oświeconą została.

Mefistofil wnet począł szukać najciemniejszego kąta, żeby się w nim ukryć. — Sumienie tym czasem tak się odezwało: „Kryj się, jak chcesz, znam cię ptaszku nocny, nie ci to nie pomoże.“ Potém przystąpiwszy do łóża młodzieńca śmiało, z surową twarzą, tak doń przemówiło: „Wstawaj, już pora, panie Zygmuncie, Aleksandrze, Napoleonie, czy jak ci tam imię, bo waćpana z niepotrzebnej dworszczyzny coraz inaczéj w dzieciństwie przezywano. Wstawaj, czy to się godzi tak długo leżeć? Wstydz się. — Przeczegnaj się. — Pomódlimy się nie długo, ale szczerze, a potém pogadamy o ważnych waćpana interesach. Człowiek na to przyszedł na ziemię, aby pracował, i to pocziwie.“

Zygmunt. Ach! szanowne sumienie! prawdę mówisz, ale zawsze jedno a jedno, czy nie masz, drogi panie, co nowego?

Sumienie. Nic nie mam nowego dla ciebie, panie Zygmuncie, Aleksandrze, czy jak ci tam imię, póki się waść sam na nowego człowieka nie przerobisz, nic nowego, jakem sumienie! wszystko stare, ale pożyteczne dla waćpana. Porzuc waść legatorstwo, porzuc to nieustanne przy sygarze polowanie za nowemi jakimiś myślami, to niedobre literackie próżniactwo. Czyś waćpan zapomniał o starém przysłowiu Salomonowém: Nihil sub sole novum? (Ecles. C. I. v. 10). Nie nadymajże się z téj odrobiny talentu, coć Bóg udzielił w miłosierdziu swoim. Nie ufaj ślepo każdej myśli, coć przez głowę przeleci, jak nietoperz przez stary, otwarty lamus; lecz wprzód ją dobrze waż na szali rozsądku, inaczéj narazisz się na największe brednie, i na szwank wystawisz twe uczciwe serce, jak to się wczoraj już stało, kiedyś waść zamyslał na bohatera forsztelować tego watażkę Chmiela. Co za srom i hańba! Mój Boże! mogłżem się ja tego spodziewać po waści, panie Zygmuncie, potomku tak wielkich miłośników wiary i ojczyzny? — A wiesz waćpan z kąd to pochodzi? po części z niegodziwych książek, więcéj może jeszcze z nieukostwa w rzeczach religii, a nade wszystko z najgorszego towarzystwa, w którém waćpan zostaje. (Tu pojrzał groźnie na Mefistofila). Nie dziw, że

z takim doradcą różne nieprzyzwyczajone zamiary snują się waci po głowie.

Mefistofil. Ja od początku świata, dniem i nocą, nad niczem innem nie pracuję, jeno nad konkordancją rozdwojonego, ducha ludzkiego, żeby się on pozbył owęj szkodliwej tęsknoty za rzeczami niewidzialnymi, za jakimś szczęściem urojonem, nędzymskim, (prawdziwe gruszki na wierzbie), co odrywa go tylko od rzeczywistej, dotykanej pomyślności, którą ma pod ręką. Pracuję, żeby w człowieku i sumienie się uspokoiło i ludziom było wesoło na świecie. Wszakże to dzieło jest godne prawdziwych przyjaciół i dobroczyńców ludzkości. A przecież, wieleż ja tu już wycierpiałem prześladowań za tę moją krwawą pracę, za tę walkę zaciętą ze zgubnymi przesadami? — Ale taki był i będzie zawsze los poświęcających się dla narodów; zawsze płytka zawieść gminu powstaje z zawziętością przeciw wspaniałym przedsięwzięciom, bluźni to, czego pojąć nie jest w stanie. Wszakże cechą prawdziwej cnoty jest statek, a wielkie przeciwności podwajają siły wielkich serc. Z tém wszystkiem nie przeczę, że pragnąłbym pomocy, czynnego współdziałania w pięknym zawodzie, (tu obrócił mowę do sumienia i rzekł sentymentalnym głosem) Szanowny mężu! połączmy nasze usiłowania...

Sumienie. (Ze świętym gniewem powstawszy, krzyknęło). Bodajes na wieki przepadł, czyli raczej wrócił tam, z kądes na zgubę tego młodzieńca wyleciał! Vade post me Satana! Mnie się z tobą godzić? i łącznie z tobą działać? jest to to samo, co samobójstwo popełnić. Ale ty wiesz dobrze, duchu nieczysty! że ja umrzeć nie mogę, bo Chrystus położył na mnie cechę wieczności, zapalił w mem sercu pochodnię światła swego boskiego.... Tu Mefistofil zniknął.

Miedzy Zygmuntem a sumieniem jego, czyli panem kanclerzem, taka się nakoniec wszczeła rozmowa:

Sumienie. Jak się czujesz na zdrowiu Zygmuncie?... uspokój się.

Zygmunt cały drżący i blady zdawał się nie słyszeć tych słów, z trwogą się przytulał do ramienia pana kanclerza niespokojnie patrząc obok siebie, jakby się obawiał czyjejs bytności: nakoniec słabym odezwał się głosem:

— Ach! gdzież to ja byłem?... jakaś przepaść... nie wiem gdzie byłem, mój Boże!... co to za okropna twarz, jeszcze w blasku słońca i obok ciebie panie.... Ach żeby tylko mógł wygluzować z pamięci tę szkaradną poczwarę piekła... ona mnie oczy i mózg wypali... ona mi zaczerni i zabrudzi

wszystkie myśli.... wyssie wszystką krew serca mego.... Ach! nieopuszczaj mnie kochany, szanowny mój dobroczyńco! Nie opuszczaj mnie, ojczy, królu méj duszy! Przebacz memu niewypowiedzianemu głupstwu i szaleństwu! Bez ciebie ja żyć nie mogę... I tak mówiąc, to składał swoją głowę na ramię pana kanclerza, to przyciskał oczy do piersi jego, jakby chciał o wszystkim zapomnieć, to znowu wiodąc na wszystkie strony wzrok obłąkany, kilka razy się odezwał, jak nieprzytomny sobie: Gdzież on jest?.... gdzie?.... Ach jakąż to okropna twarz w blasku słońca i twego oblicza, Panie!... Pan kanclerz widząc stan jego tak litości godzien, cieszył go i uspokajał gruntownymi wywodami z pisma Bożego. Nakoniec począł młodzieniec szlochać i płakać jak dziecko. Zdawało się, że cały we łzach się rozplynie. A płacz to był tak serdeczny, że sam sobie we śnie pomyślał: kto takiego płaczu nie słyszał, ten nie może mieć wyobrażenia, do jakiego stopnia serce ludzkie może cierpieć, a przecie nie pęknać. Nakoniec sumienie uroczystym głosem rzekło: Pax tecum! Pytasz mnie Zygmuncie, gdzie wróg Boga i ludzi podział się? Wiedz tedy, że skoro jasność Boska błysnęła nad nim z gromem a obiwszy się o klejnoty moje twarz mu oblała, on wnet w krwawym ogniu splonął i w powietrzu zniknął.

Tu Zygmunt począł z wielkim płaczem całować ręce panu kanclerzowi, potem rzekł: Wszakże nigdy mię już nie opuścisz, nie prawda?

Sumienie. Nigdy, to nie jest w mojej mocy.

Zygmunt. I zawsze będziesz mnie tak otwarcie, mocno, po ojcowsku upominał?

Sumienie. Będę, jeśli mnie szanować będziesz.

Zygmunt. O! wiecznie! wiecznie!

Sumienie. Zygmuncie! dziś rocznica śmierci twojej świętobliwej matki. Dziś trzeba, żebyś szedł do spowiedzi. — Wiedz, że to za jej gorącą modłą jam od Chrystusa moc pozyskał z Nieba do otrzymania w twym sercu zwycięstwa nad duchem ciemności. — Pamiętaj, żeby dzisiejsze moje i twoje cierpienia nie były bez owocu. Nie podawaj się ślepo wszelkiego rodzaju myślom, jakkolwiekby ci się pięknymi wydawały, lecz waż je wprzód na szali wiary i rozsądku, bo w krainie myśli, prócz twego własnego, inne jeszcze możesz posłyszeć głosy, a nie wszystkie od Boga pochodzą. Strzeż się samotności bez Boga.

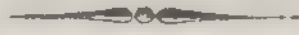
Idźmy gotować się do spowiedzi i rachować się ściśle z sobą.

Zygmunt. Idźmy!.... w twojej wierny przyjacielu pomocy całą mą nadzieję po Bogu pokładam.

Sumienie. Pax hominibus bonae voluntatis. (Łuk. II. 14.)

Wtém liczne harfy z wielkiej wysokości odezwały się. Zygmunt zdumiony zapytał: Zkąd te dźwięki i nadludzkie głosy? A pan kanclerz rzekł: To chór aniołów radujących się z opamiętania się serca ludzkiego.

Tum i ja się ocknął.



B.

MONOGRAPHIE UMJEJETNE.

GOODBYE

TEORYA JESTESTW ORGANICZNYCH

przez

Jedryjał Sniadeckiego. Wilno 1858.

Wszystkie rzeczy przyrodzone, których umysły nasze dostrzegać mogą, na dwa wielkie podziały rozłożyć się dają. W jednym z nich widzimy ciała bezwładne zajmujące miejsce, i wszystkim popchnięciom zewnętrznym równie posłuszne; ale same w sobie żadnego źródła odmian nie mające, a zatem takie, że i same przez siebie exystować by mogły, i zostawione sobie samym, w nieskończone pasma wieków, trwałyby nienaruszone i niezmiennie musiały. Takowe ciała zajmujemy pod nazwiskiem ciał martwych. W drugim wydziale widzimy ciała takie, w których oczewiście wewnętrzny jakiś ruch i pasmo ciągłych odmian ma miejsce; widzimy, że exystencya tych ciał jest przemijająca, że się poczynają, rosną, do pewnej doskonałości dochodzą, i nareszcie giną; zostawując po sobie i z siebie wydając ciała inne sobie podobne, które ich zastępują miejsce. Takowe ciała nazywamy *ożywionemi*, *żyjącemi*, lub przez wzgląd na ich ukształcenie *organicznemi*.

Istotna między ciałami żyjącemi i nieżyjącemi różnica jest ta: iż te ostatnie znajdują się w doskonałym stanie spoczynku, i dla tego oddzielone od wpływu ciał innych, pasmem wieków swój właściwy i charakterystyczny stan zachowują. Drugie znajdują się w stanie ruchu, który, za wyłączeniem ich od ciał innych, natychmiast ustaje na zawsze, i nigdy rozpoczętym na nowo być nie może. Cała treść następującej nauki, różnicę tę jak najjaśniej okaże.

Ciała organiczne dzielić zwykliśmy na dwie klasy, z których jedną oznaczamy imieniem roślin, drugą imieniem zwierząt. W pierwszej ciała te przywiązane są do miejsca w którym rosną, doskonałą się, wydają owoce i giną, nie mając władzy, przenoszenia się same przez się z tego miejsca na inne. Dla drugich wolne są poruszenia, mocą któ-

rych położenie swoje i miejsce odmieniać, według poruszeń zewnętrznych lub wewnętrznych, mogą. W ciągu téj nauki okaże się, iż rośliny przywiązane są do ziemi, powietrza i wody; zwierzęta do ziemi, powietrza, wody i roślin.

Mówimy nadto, że wszystkie jestestwa organiczne *żyją*. Życie to, w całym ożywionym świecie, zależy na wzroście i doskonaleniu się organizowanych jestestw, przez przybieranie sobie i wyrabianie szczególne niektórych ciał otaczających; w niektórych nadto roślinach i zwierzętach wszystkich na poruszeniu i czuciu. Niektórzy nawet poruszenie i czucie do samych tylko zwierząt ograniczyć chcieli, lecz niesłusznie: gdyż ruch oczewiście i w roślinach ma miejsce, lubo nie we wszystkich równie widoczny; o czuciu innych jestestw zaledwo z jakąkolwiek pewnością sądzić możemy. Wreszcie wyobrażenie czucia wzięte jest z nas samych i zastosowane do zwierząt, w których fenomena życia bardzo są do nas podobne. Lecz fenomena życia roślinnego więcej się od nas oddalają, a zatem gdyby nawet istoty te czuły, wszelako sposób którymby czucia swoje wyrażały, musiałby być całkiem różny od tego, jaki w nas samych postrzegamy, i jaki w zwierzętach widzieć się daje.

Dwa zatem są fenomena ożywionemu światu właściwe, to jest: *organizacya i życie*. Obadwa lepiej się czuć, niżeli opisać dają. Mamy ich w nas samych, mamy w tysiącnych otaczających nas jestestwach przykłady. Od czego zawisły, jakim są prawom i siłom przyrodzonym posłuszne, w ciągu następującej nauki dochodzić mamy.

Ponieważ tedy materya odżywna raz organizowana, bez przyzwoitego ciepła, wody i powietrza, rozkładać się zupełnie, nawet po wygaśnięciu siły organicznej, nie może: więc ile razy w takim się znajdzie przypadku, a od innych ożywionych jestestw za pokarm użytą, i przerobioną nie będzie, tyle razy trwać w składzie swoim nienaruszoną, pasmem nawet wieków, może. W dawnych czasach, ludzie możni, których zawsze próżność najulubieńszym była żywiołem, nie umiając przelewać w późną potomność swéj duszy, starali się ciała przynajmniej nienaruszone dla niej zostawiać. Na ten koniec następcy ich, ciała te obmyte, po wyjęciu z nich, lub zepsuciu wszystkich wnętrzności: posypywali sodą i w niej przez dni kilkadziesiąt trzymali; potem obmyte i wysuszone, ciałami olejnymi, pachniąciami i balsamami napawali. Te broniły przystępu powietrza i wody, a same, przyciągając zwolna kwasoród, zamieniały się w gatunek pokostów, tym mocniej przystępu wody i powietrza broniących. Całe potem tak przygotowane ciała, cienkiem naklejoném płótnem, jak najmocniej w koło obwi-

jano. Niektóre takowe starodawnych Egipcyan roboty, naszych nawet doczekały czasów.

Natura, która jednym swoim dziełem, wielu razem największym zadosyć czyni zamiarom, częstokroć ogromne istot organicznych lub ich zwłok masy pasmem wieków we wnętrznościach ziemi grzebie i ukrywa. Oprócz tego albowiem, że cała zwierzchnia kuli naszej warsta, całkiem niemal, istotom organicznym winna jest swój początek i ze zwłok ich na wpół rozrobionych po większej części się składa, nieskończone istot takowych lub pokruszonych ich części mnóstwo codziennie się, dosyć głęboko, pod ziemię dostaje. Morze oblewając większą część ziemi, nieokreślone mnóstwo istot organicznych w sobie mieści, które codziennie kończąc kres życia swojego, na dnie morskiem się gromadzą i nawzajem z sobą mieszają. Oprócz tego, wszystkie wody powierzchnią ziemi obmywające: deszcze, wylewy, potoki, zbiegając się do wspólnych koryt czyli rzek, zewsząd części organiczne lub ich ułamki w znacznej obfitości z sobą toczą i do morza spławiają, którego dno wyścieła się zwolna, takowemi pokładami. Dodać należy, że taż sama woda razem przynosi i składa ułamki gór i koryt rzecznych, przez co dno morskie podnosi się zwolna i nieznacznie, kiedy wyniosła powierzchnia ziemi co raz się bardziej niża. Z tąd wypada, że morze po upływie wielu wieków przymuszone jest dawne swoje siedliska opuszczać i coraz inne części ziemi zalewać; a im większa była w miejscach, które niegdyś zalewało, wody głębokość, tym osadzone naprzód istot organicznych zwłoki, głębiej się w ziemi pochowane znajdują. Do tej codzienniej lecz nieznacznej pracy wody przydać należy nagłe i ogromne rewolucye, którym ziemia nasza pokilkakroć, jak się zdaje, ulegała. Do takich rewolucyi liczyć należy i obszerne wystąpienie wód ze swoich brzegów, czyli potopy, obszerne i gwałtowne poruszenia atmosfery, przez które częstokroć całe lasy pokładane bywają i t. p.

Takowe składy organiczne, bądź na dnie morskiem osiadające, bądź przez gwałtowne wzburzenia ziemi w jej przeniesione wnętrzności, znajdują się w zupełnem niepodobieństwie doświadczenia dobrowolnego rozkładu. I temperatura albowiem miejsc, w których osiadają, nadto jest niska i przystęp powietrza niepodobny. Zaczem wodą zalane, jej tylko jednej i niektórych istot kopalnych pobliskich doświadczać mogą czynności. Woda wszystkie naprzód słodkie, klejowate, solne, i ekstraktowe części w sobie rozpuszcza i unosi; potem zwolna części włókniste odmiękcza, rozrabia, drobni i rozprasza; przez co części roślinne

i zwierzęce przywodzą się zwolna do samych olejów, żywic, siarki i tłustości, na które woda żadnej niema mocy. Takowe pierwiastki żywiczne i tłuste, ostateczne zepsutych istot organicznych w królestwie kopalnym zabytki, znajdujące się w tychże samych lub pobliskich pokładach istoty ziemne napawają i przejmują; albo zgromadzając się na dnie twardem i skalistém, tu i owdzie z wodami razem na powierzchnią ziemi wytryskują. I ten jest prawdziwy początek tak nazwanego węgla ziemnego i wszystkich tłustości ziemnych. Że ciała te kopalne niczem się istotnie od olejów i żywic nie różnią, a zatem z tego samego źródła pochodzą, pokazuje ich rozkład chemiczny. Że zaś przez takowe psucie jestestw organicznych, za pomocą wody, z tłustościami i żywicami razem wydobywa się znaczna część siarki, zatem nie dziw, iż we wszystkich pokładach węgla ziemnego, tak wielka się znajduje obfitość piritu.

Te zabytki jestestw organicznych w królestwie kopalnym, tak są, w czasach naszych obfite, iż, wyjąwszy samo jądro kuli ziemskiej, które całkiem z granitu uformowane się być zdaje, reszta ziemi zupełnie się z warstw, w pamiętki organiczne mniej lub więcej bogatych, oczywistego dzieła wody, składa. Węgiel ziemny wszystkie inne tłustości mnóstwem przechodzi, tak, że ledwo jest kraj jaki, któryby w pewnej głębokości ziemi, w wielu miejscach ciałem tém nie był podesłany. Tak wielkie zaś mnóstwo ciał tłustych i zapalnych pomiędzy warstwą ziemi ukrytych a szczególniej piritów, które wszędzie w takowych pokładach nader są obfite, zapaleniu się niekiedy podpadać może. Ponieważ albowiem woda wszędzie się pomiędzy takowemi pokładami, sączy i zbiera, musi nakoniec sama rozkładowi ze strony piritów podpaść. Tym sposobem kwasoród przechodząc do związku z siarką, opuszcza znaczną część materji ciepła, przez co, całe takowe pokłady rozgrzewają się zwolna. Wzbudzone ciepło, tym bardziej rozpoczęty rozkład wody przyspiesza, przyspieszony, tym większe i gwałtowniejsze wzbudza ogrzanie. Wszystkie te odmiany nieznacznie rozmagają się stopniami, aż nakoniec ogromne owe istot zapalnych magazyny rozgrzewają się mocno; całą znajdującą się przy sobie wodę, albo rozkładają, albo zmieniają w parę; i jeżeli, na ówczas, otworzą sobie komunikacyę z morzem, jeziorami, lub znacznemi rzekami, rozpalenie ich, rozkład i zmiana w parę wody, posuwają się nagle do najwyższego stopnia. Na ówczas uformowana niezmierna gazu wodorodnego i pary wodnej ilość, niemogąc się w żadnych podziemnych wydrążeniach, rozpadlinach, i jaskiniach pomieścić, nieopisanym, nieograniczonym, zaledwo pojętym

gwałtem, na wszystkie się strony rzuca i rozpiera; najuporczywsze i inaczej nieprzełamane przeszkody targa i roznosi, całe wnętrzości ziemi wstrząsa i kołysze, całą jej powierzchnią porusza i trzęsie. A nateżając usiłowania swoje w proporcji oporu, wszystko nakoniec łamie, rozrywa i znosi, dopóki sobie na powierzchnią ziemi wolnej nie utoruje drogi. Tak dopiero, otworzywszy powietrzu atmosferycznemu wolny do ogromnych owych, zapalnej i rozżarzonej materji składow, przystęp, całe wnętrzości ziemne płomieniem zapala. A tu przez wzmaganie się jeszcze większe mocy ognia, zamiana wody w parę i formowanie się gazu wodorodnego nateża się i rośnie, przez co nowe częstokroć powstają trzęsienia, znaczną powierzchnią ziemi, prowincye, państwa niekiedy całe, zajmujące, dopóki sobie uformowane istoty lotne do pierwszego ogólnego otworu, wolnej nie utorują drogi. Tutaj zaś znosząc i gromadząc to wszystko, cokolwiek im opór czynić mogło, mnóstwo ognia, wody, popiołów, ziem, kamieni, ciał stopionych lub na wpół ogniem strawionych, z niezmiernym hukiem i impetem na wierzch wyrzucają. Pierwsze takowe, gazu wodorodnego i pary wodnej do wybuchnienia usiłowania, dają początek trzęsieniom ziemi, samo wybuchnienie wulkanom.

Do trzęsienia zatem ziemi, dosyć jest, ażeby woda warsty piritów, lub węgla ziemnego w pirit bogatego obmywająca rozłożyła się po części, i początek gazowi wodorodnemu dała; do wulkanów i przystęp powietrza jest potrzebny. I ponieważ rzadka jest część ziemi, któraby, w głębszych swoich warstach, piritów i węgla ziemnego nie miała; dla tego i trzęsienia ziemi wszędzie się zdarzyć mogą, i wulkany albo się w każdej części ziemi znajdowały, albo pokazać się na przyszłość mogą. Jakoż, w samej rzeczy, każda część kuli ziemskiej ma swoje wulkany, że nie wspomnę o wygasłych, których ślady w każdym, niemal kraju natrafić można. Trzęsienia ziemi, na ówczas się tylko, zdarzyć mogą, kiedy uformowane, pod ziemią, istoty lotne wyjścia wolnego nie mają; dla tego albo bywają w miejscach od wulkanów odległych, i wybuchnienie ich kiedykolwiek obiecuja, albo w miejscach bliskich wulkanów, jeżeli znisziona jest przypadkiem miejsc tych z otworem wulkanu komunikacya, naówczas samo wybuchnienie poprzedzają i nim się kończą. Ta nauka wszystkie fenomena wulkanów jak najjaśniej tłómaczy, lubo, w tém miejscu, wchodzić w żadne obszerne tłómaczenia nie mogę.

Takim tedy sposobem zabytki organiczne, w królestwie kopalném, zgromadzone, rozkładają się, nareszcie, i palą. Takowa kombustya wszystkie te istoty zmienia ostatecznie

w wodę, kwas węglowy, kwas i podkwas siarczany, które przez otwór wulkaniczny ulatują; i w popioły, które wybuchnienia na powierzchnią ziemi wyrzucają. A tak składające zagrzebaną ową odżywną materię pierwiastki powracają na powierzchnią ziemi, gdzie w nowe istoty organiczne przechodzić, i życie na nowo rozpoczynać mogą. Tym sposobem niezmiernie odżywną materię zbiory, którym natura długie przeznaczywszy, w wnętrznościach ziemi mieszkanie, sposobność do organizowania się i życia odjąć się zdawała na zawsze, zyskują nową do życia okazją, a narzędziem, którego przyrodzenie do tak wielkiego używa zamiaru, są wulkany. Widzimy zatem, jak jest wielki ich, w ogólnym natury układzie pożytek; jak potrzebne są do utrzymania powszechnej równowagi, jak psując niekiedy małą i nieznaczającą część żyjących jestestw, całej ich powszechności usługują; i jak dziwnie najwyższy wszystkich rzeczy autor, nierozzerwanym skutki z przyczynami jednoczy węzłem. Bez przytomności jestestw organicznych na ziemi, nie miałyby miejsca wulkany, które się bardzo późno po pierwiastkowym utworzeniu świata pokazać musiały. Bez wulkanów, wielka część materii odżywną, przenosząc się codziennie w głębokie ziemi wnętrzności, a nie mając sposobu powrócenia na jej powierzchnię, straconaby na zawsze dla życia i organizacyi była; a gdy te straty pomnażają się codziennie bez powrotu i nagrody, liczba jestestw organicznych zmniejszałaby się na koniec, w tym samym stosunku, i wreszcie zaginąć całkiem musiała.

Najistotniejsze zaś narzędzie, którego natura do tak wielkich używa zamiarów, jest *woda*. Ona najmocniejszym jest jestestw organicznych żywiołem; ona najwalnieszą ich przenoszenia się pod ziemię i długiego tam przemieszkowania przyczyną; ona podobnie szczególniejszego ich w tém zdarzeniu, rozkładu i zamiany w istoty tłuste, narzędziem; ona zatem początkiem warstw węgla ziemnego i piritów; ona na koniec pierwszą do rozkładu tych ostatnich pobudką, a przez to najważniejszą poczęcia się i wybuchnienia wulkanów przyczyną. Więc ta sama przyczyna, która materii odżywną, na tak długi przeciąg czasu, drogę do organizacyi i życia zamknęła, do nich ją później powraca, i znowu na koniec grzebie; tak że w tym równie, jak w całym natury układzie, przyczyny i skutki, spotykają się i wiążą nawzajem z sobą.

LISTY Z KRAKOWA

przez

Józefa Kremera. Kraków 1843.

Sztuka i przyroda.

Nikt nie przeczy, iż Sztuka piękna była nauczycielką ludów i karmicielką wszystkich myśli i uczuć prawdziwie człowieczych; gdyby tedy ona była prostém natury naśladowaniem, rzecz jawna, iżby same dzieła natury były potężniejszym środkiem do tego celu, niż dzieła sztuki. Na cóżbyśmy więc mieli tworzyć z całym móżdżem i poświęceniem naszym to, co już przyroda sama tak sułą, tak wielką odmierzyła nam miarą. Czyliż mogłaby już praca być mniej potrzebna?

Odwiedźno te nasze Tatry, zapuść się w serce olbrzymich grodów natury, a wnet cię odstąpią myśli porównywające sztukę i przyrodę. Pożegnaj społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinie, porzuć sioła i kołyszące się błogosławieństwem zbożne łąny, i wstąp na ostrze łomnickiej iglicy, na najwyższy szczyt Krępaku wspinając się po piętrach coraz wznioślejszych, przedrziej się przez wszystkie szczelby coraz biedniejszej, coraz niższej roślinności. Przebywszy bory ciemnej sosny, wyżej dosięgnieś krzewów karłowatej brzozy, wyżej jeszcze granice najwznioślejszych polan, zostaw następnie ostatnie smugi traw zielonych, a staniesz w smutnej ojczyźnie gładkich i suchych mchów i pierwotnych porostów, kędy poczyną się grobowe samowładztwo martwego kamienia. W koło dźwigają się stós na stósie gruzy ogromnych bałwanów granitowych: — głuchego zniszczenia obraz. Roztworzą ci się zewsząd niby ulice, niby labiryntne budowania, place i ściany roztrzęsionego miasta Gigantów a wszędzie cisza śmiertelna, jakby u grobu natury. Ni tu kwiatek zabłyśnie, ni ptaszek zaszeleści, wszelki głos tu zamarł i został gdzieś w głębi. Od czasu do czasu tylko, usłyszysz martwy i trupi łoskot, jest to skała granitowa, co urwawszy się z posady swój, w podskoki szalone podbijając się coraz, chyżej a chyżej pędzi i warcząc przepada w otchłaniach, porywa w swym polocie do okropnej podróży tłumy skalnych ułamów, góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumionym grzmotem — i znów ucichła. Znowu natura w koło oniemiała, a ta cisza, niby zimną ręką śmierci, okryła serce; bo to milczenie głębokie straszniejsze niż głos grożących piorunów na ziemi. Spinaj się wyżej a wyżej po urwiskach sterczących i stromych upła-

zach, aż cię kołem obstapia; niby straszidła niebosiężne, szczyty bure Tatrów, syny innej natury, co je zrodziła wśród mroków i cierpień ziemia nasza. i wśród wywrotów całej świata dzielnicy. Te szczyty zrosłe u dołu kotliną czarną, pokryte są śniegów płachtą, niby koszulą śmiertelną, bo tu skonanie wszelkiego żywota i ciemno wiecznie i wiecznie zimno. Gdy po długiej fizycznej pracy, po twardszym jeszcze trudzie duszy, staniesz wreszcie na samym ostrzu łomnickim, świat nowy, dziwny i straszny obejmie cię sobą. W głębiach pod tobą przeciągają chmury i pokryły sobą ziemię całą, niby morzem nieprzejrzanem, a miotane oddechem wiatru, igrają falą i wzdymają się, jakby oceanu wody. Turnie sterczą z chmur, jak wyspy wśród łona powodzi.

W rychle wiatry tu i owdzie podarły obłoków opone, a po przez te szczeliny, jakby przez okna, widzisz w przepaści płatami świat zielony, rozkoszny. Teraz rozstały się chmury, spadła zasłona ze sceny stworzenia, a już jakby mapą na dnie otchłani rozciągają się całe kraje, narzucone tkanicą, srebrną siatką rzek; zdala, na rąbku północnym widokregu, świeci się stary Kraków nasz. Kręchy ciemniejsze tu i owdzie rozsypane, znaczą porozrzucane szmatami bory, a w kropki i plamki bezkształtne spłynęły mieszkania ludzi, sioła i miasta. Wszystko w głębi pozostało, i życie ludzi, i ok morskich gromady, i kosodrzewiny, i zwierzęta i rośliny i trop dzikiej kozy i gniazda tatrzańskich orłów; i wszystko przepadło w toni głębokiej: przepadło życie i śmierć, radość i żal, śmiechy i westchnienia!

Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim; sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły cię sobą; tam ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezdno błękitów niebiańskich. Dech wiekuistości powiewa ochłodą, a przeczucie niesmiertelnej istoty twój wzmaga się w piersiach, i tysiączne dotychczas drżące w duszy głosy budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tuteczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; — coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, niby wieki całe rozdzielają cię od dnia wczorajszego. Zdaje ci się tutaj, jakbyś już przeżył chwilę skonania twego i odprawiał już tę najcięższą i ostatnią pracę, i jakbyś tu teraz ocucił się z długiego snu grobowego, i przez wspomnień szereg patrzył się na lata twoje upłynione na ziemi, co jeno słabo jeszcze brzmią w sercu, niby głos dalekiej muzyki. Wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad ziemią, niby dymy ofiarnych kadzideł; posyła je świat ku niebu, jako modlitwy dziękczynienia i zrzekowiny swoje z Bogiem.

Mamyż cię jeszcze w myśli postawić na śnieżnych czubach wiekuistej Himalai, lub na lodowych Andów lub Alpów rogału? kędy atmosfera rzadka, misterna, niezafarbowana więcej błękitną barwą, ale gdzie na miejsce lazurów niebiańskich już czarny i ciemny eter rozpostarł się na oném przestworzu wiekuistém świata, a twarz słońca i gwiazdy wszystkie palą się czerwonym ogniem?

A przecież, zaprawdę, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z ducha płynące! Zaprawdę, wysokie są Alpów i Tatrów przyczół, ale wyżej sięgają zacne człowieka sprawy! Gwiazdy goreją chwałą Boga na niebie, ale piękniejszą Jego chwałą są czyny wielkich ludzi na ziemi; wszak te jak i tamte z łaski Bożej się dzieją. Bóg promieniem swój wiekuistej mądrości przeświecając świat materji, zapala go życiem jestestw milionów, ale gdy przejmie sobą ono najwyższe i ostatnie dzieło swoje, bo ducha człowieka, wtedy już promień światłości Jego, jakby słońce przez pryzma kryształowe puszczone, zajaśnieje złotemi barwami tęczy, i odradza się w duchu człowieka nową wspaniałością: bo zaświeci wiarą, pięknnością i mądrością. Co człowiek zacnego i wielkiego sprawi, sprawi błogosławieństwem nieba. — — —

Jeżeli zaś człowiek w Sztuce pięknej ma wybierać, co jest najwzniosléjszém w Naturze, wypływałoby znowu ztąd iżby winien być w takim stosunku do natury, aby właśnie najogromniejszą jej potęgę w całej świeżości jej uroku poznać mógł. Ale rzecz zupełnie przeciwnie się ma: bo właśnie najbogatsze skarby piękności przyrodzonej, albo są z trudnością przystępne dla sztuki, albo też na zawsze zasłonięte przed śmiertelnemi oczyma ludzi. Jeden rzut oka na naturę wrychle nas o tém przekonać zdoła.

Człowiek ciałem swém z prochu do ziemi przykuty zdolen jedynie marzyć o przestworach niebiańskich bez końca, początku i granic jak wieczność, kędy światów, słońc i planet tłumy bieżą niby pochodnie Boże po czarnym eterze, czerwonym jaśniejąc płomieniem. Na skrzydłach wyobraźni jedynie zdoła przelatywać to królestwo niebieskie, mijając tych gwiazd oceany, póki ziemia nasza wraz z księżycem swym nie zleje się w jedną świecącą kroplę, póki zupełnie nie utonie atomem w przepaści niebios. Nie daremnie to już Plato marzył o muzyce światów, o harmonii sfer. Ale cóż rzucać się w te myśli zawroty; alboż to nasz własny planeta, owa matka ziemia, nie stroi się w klejnoty cudownego uroku, ale tak odsunione od świata i sztuki pięknej, że tylko trafem szczęśliwym ktoś tam z Europy zabłądzi?

Czyliż cała przeszłość ziemi naszej, cała historia jej żywota nie jest dobitną i głośną nauką, iż natura w najsilniejszym ogromie swej wielkości obojętną jest na oko człowieka, i że ona podziwienia jego nigdy nie miała na względzie: bo właśnie gdy planeta nasz odprawiał młody wiek swój i burzył się dzikich sił potęgą, Sztuka piękna nie znała go jeszcze.

Słuchaj co mówią geologowie o onych lat tysiącach, co upłynęły niepowrotnie do wieczności łona; rzekłbyś, że ci plotki prawią, gdy na zasadach pewnych, na faktach niezaprzeczonych wysnuwając cały wątek łomotów i wywrotów, jakie przecierpiała ziemia, nim te części świata nasze, te twierdze lądów osiadły ostatecznie na węglach swych. I księgi święte nawet wspominają o powodziach ziemię trapiących, a tak niby pieczęcią wierzytelności potwierdziły głębokie prace, bystre badania umiejętności czasu naszego. Zapaść się w głębiny ziemi, rozświeć te jej tajniki ukryte przed światłem dnia białego; odważ te warstwy skalne, co jakby wiekiem kamiennym późniejsze przywalały stulecia: tu jakby w podziemnym grobowcu znajdziesz hieroglifami wypisane dawne dzieje świata; myśmy się już teraz nauczyli czytać hieroglify te. Zanurzając się w głębie ziemi patrz, jak to ławy i warstwy skalne jedne na drugich rozpostarte, niby karty kronik ziemskich, a znów po kilka lub po kilkanaście ich stanowią osobne grupy, oddziały, niby tomy oddzielne, z których każdy do innej wielkiej epoki czasu należy; wody je w długim i w bardzo długim czasie przeciągu osadziły. Te ławy skalne atoli tu i owdzie pękły, rozwarły się, zesunęły i podniosły się w górę; tam znów są pogruchothane, wykręcone, a sprawcami tych wywrotów i nieładu pokładów były masy roztopione ogniem podziemskim, co z głębin wykipiając gąszczem rozpalonym cisnęły się w górę, gruchocząc, podzwigując, rozrywając i przeginając ławy dziełem wód będące. Te masy wrzące ostygły, stężały w ciągu wieków; są to bazalty, porfiry, gnejzy, granity sterczące grodami Alpów, Tatrów i gór olbrzymich ziemi naszej, i stanowią jakby jej wzrąb i wiązanie. Tak na rozkazanie Boże ognie i wody były budownikami kształtów ziemskich, jako je dziś widzimy, a dzieje rodzenia się ziemi są pełne boleści, okupione śmiercią całego świata jestestw żyjących. Srożenie się dzisiejszych wółkanów, trzęsienie ziemi dające się uczuć po przez pół oceanów przestrzeni, i owe podnoszenie się lądu szwedzkiego na ogromnej przestrzeni od Kalmaru do Tornea odbywające się do dziś dnia pod oczyma naszymi, toć wszystko jest niby drobiazgowe porównanie z gwałtami, jakich doznał niegdyś planeta nasz przez podzwignienie się onych skał ogniowych.

Łomoty te i wywroty wszystkich kształtów lądów ziemskich, przetwarzania takowe po kilka razy się powtarzały, a była ta tragedia świata z wielu — z wielu bardzo aktów złożona. Lądy tracąc dno pod sobą, zapadały się w głębiach, a posada oceanów wyparta, wysadzona do góry, zalewała powodzią suchą ziemską; tak lądy stały się trzonem mórz, a dna oceanów lądem i zniknęło wszystko, co było żywe. Ale gdy wody się rozbiegły, a ziemia powiewem ciepłym wyschła, wtedy ustroiła się znów w łąki, knieje ciemne, trzciną i kwiatem dziwnego rodzaju, a na tej scenie nowi okazali się mieszkańcy nowego i dziwnego kształtu, a po grobowej ciszy natura zabrzmiała z całych piersi nową żywota pieśnią; aż gdy znowu na nią kolej przyszła i wszystko przepadło w żywiołów zamęcie, i znow mór padł na żywot wszystek, i znów dziki szum i grzmot rozhukanego morza zagłuszył wszelki żywota głos i sobą pochłonał, a wszystko, co na suszy było, pomarło. Ale duch Boży unaszał się nad wodami, i zawarte są źródła przepaści i okna niebieskie, a zahamowany jest deszcz z nieba i wróciły się wody z wierzchu ziemi idąc i wracając się.

Nowe zaranie zajaśniało nad światem i obudziło umarłe życie, a natura znów przywołała jestestwa wszystkie do wielkiej żywota uczy. A jaka musiała być ta natura i to życie, już łatwo zgadniesz przypatrując się onym zabytkom w puszczach z dawnych lat nam zostawionym, bo ona stara kośnica ziemia nasza pełną jest szczątków i resztek zwierząt i roślin. W głębi do tysiąca stóp poniżej posady morskiej znachodzimy w kamień obrócone kości zwierząt ssących, a nawzajem na szczytach alpejskich, na kilka tysięcy stóp wysokich, złożone są zabytki muszli, ślimaków i innych jestestw morskich. Tak tedy cała kula była życiem hożem i pełnem siły, z którym porównana dzisiejsza, choćby uważana w onych puszczech zwrotnikowych, jest martwą i głuchą. Wszak pod wiecznymi lodowcami i nigdy nie topniejącymi śniegami podbiegunowej trupiiej strefy, odkrywamy, skamieniałe reszty organicznego świata, będące tej samej istoty, co dzisiejsze nasze zwrotnikowe, mogące się tedy udawać tylko wśród spieków i waru ciepła. W zimnej północy Europy i Azji znachodzimy kości krokodylów, słoniów i lwów, mających ojczyznę swoją wśród skwarniej strefy, kędy nigdy nie ma zimy.

Nie mówmy, iż te części spławione zostały falą oceanów, boć sposób, w jakim one pogrzebane są, jawnie świadczy, że w tych samych miejscach zginęły, kędy je znajdujemy. Weź np. one reszty palmów i paprociów w sąsiedztwie bieguna północnego znalezionych, a obaczysz, iż

wszystkie ich części, nawet najmisterniejsze, jako kwiaty i kity w całości zachowane są; coby przecież być nie mogło, gdyby były falą z pod równika aż pod biegun przyniesione. Z tego raczej rośnie pewność, iż cała kula ogrzana była skwarem, ciepłem pochodzącem właśnie od tych podziemnych ogniów, co z głębi przygrzewając roślinom i zwierzętom, czyniły świat do szklarni podobnym, a wilgocią nasyciona atmosfera, bujna i nowa ziemia, dodawały aż do zbytku siły i przesycaly sokami świat żyjący. Natura zwłaszcza kochała się w płodach potwornych i igrała fantastycznemi, pełnemi swawoli kształtami. A w tych kształtach natura czyż była, czy jest dostępną dla sztuki?

Doczesność i wiekuistość.

Oniemiały dzwony krakowskie, całe miasto przybrało na się postać uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnawszy, wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, by po staremu cześć dać w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje, i jasnym spojrzeniem rozplynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię i w serce ludzi nadzieją świecąc.

Bóg umarł, i potęga przyrodzenia uspiona, jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali a nad światem pieśń skowronka, niby dzwonek poranny natury, ogłosi mu przebudzenie i świt. Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go ciężej kamienia grobowego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie, póki i na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w której i jemu anioł w bieli ciemnicę otworzy, a wtedy spadną z niego i uciechy tej ziemi, i jój biedy, i jój płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onęj wielkiej zmartwychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem droгим z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota, i niby Bożem imieniem pukają rokrocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niem tęskne obrazy upłynionej młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnej naszej istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiej pielgrzymki człowieka; wzywają go, by się policzył z życiem, i światem i z sobą, by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnej życia ścieżce, ile znowu zwiedło w sercu nadziei, ile ulud złocistych zgasło. — Aleć im samotniej, im smętniej i ciszej w duszy, im więcej traci wagi doczesność, tém jaśniej wiekuistość zaziera we wnętrze człowieka, i rozświeca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki, jakby harmonią niebiań-

ską, wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści umilkną — a w sercu świątecznie, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niem płomień nieskończonej miłości, i jakby organy, zagrzmi samotne duszy nabożeństwo. — W takich chwilach świat zewnętrzny i rozkosze jego, i trudy, i wszystkie te nocne widziadła doczesności naszej, ulatują niby ptaków płoche stada, a uczucia ziemskie, i cała część człowiecza do grobu się kładzie. Jakby na zesłanie ducha Bożego, jakieś jasnovidzenie rozświeca myśl; wtedy już świat jego, i pstry jego orszak, i dzieje człowieczego rodu, i własne serca bicie nie ma więcej dla nas tajemnicy, rozwiązują się zagadki wszystkie. W takich chwilach świętych, duch występuje z cielesności grobu, wstaje z martwych, rośnie z siebie, dźwiga się olbrzymem, ogarnia nieskończoność swém objęciem; zna, że wiekuistość bez granic, czasu i przestrzeni, jest ojcowizną jego, a nieśmiertelność domem.

Ta istota nieśmiertelna a wiekuista, którą Bóg tchnął w człowieka od początku, jest właśnie tą potęgą, co jak złota nić jest wpleciona w całą tkaninę historyi rodu ludzkiego, i we wszystkie stosunki i czynności każdego człowieka, a choć ona rzadko widzialna, wszędzie przecież jest obecna, niezerwana nigdy, i sama zostaje i trwa; choć cała owa tkanina doczesna się pada, i wszystkie inne jej nitki pruchnieją, właśnie wtedy ona sama nietknięta zostaje, wystąpi na jaw jaśniejąc swém złotem.

Patrz na wszystkie człowiecze sprawy; od kolebki aż do ostatka żywota, na jego wszystką robotę, i na trudy jego, marzenia, sny, troski i uciechy, a wszędzie obaczysz, iż siła, co nawet jemu bezwiadomie w nim prze i w nim robi, rodzi się z nieśmiertelności ducha jego.

Potocz okiem na pasowanie się całej historyi człowieka, zaczawszy od owój wielkiej chwili, gdy się dotknął poznania owocu, tracąc niewinności raj; podsłuchaj tajemną robotę stóleciów, co jak uderzenie pulsu, wybijają światu ulatujący do wieczności żywot jego, a wszędzie, i zawsze i ciągle, znajdziesz pod oponą przypadkową i marną, pod postaciami wielkich wydarzeń historyi, nieskończoność istoty człowieka. Bez niej ród nasz nie miałby dziejów, ni postępu, byłby zawsze jeden i zawsze ten sam, należałby do poziomego zwierząt koła, dzieje jego przekazaneby były historyi przyrodzenia. Jak w różnobarwnym tłumie wypływają na widok figury latarni magicznej, przesuwają się po nieruchomej ścianie, przemykają się coraz inne a inne, a prześwieca je wszystkie lampy płomień, co w ciemnym pokoju gore niewidomie, tak przemykają się lat tysiące, i narody,

i wielkie imiona w historii na nieruchomém wieczności tle; ale lampa, co je przeswieca, jest zawsze jedna i taż sama, jestto płomień nieśmiertelnego ducha, co wiecznie goreje, choć ukryty w ciemnościach doczesnego życia i niedojrzany cielesnemi oczyma człowieka. Ta nieskończoność, którą Bóg człowieka uposażył, by miał godnego sługę i towarzysza wiekuistości swój, jest oną wielką sprężyną, co ród nasz porusza i do działania porywa. Ona jest światłem i słońcem wywołującym jakby z kwiatu pączków wielkie epoki i wielkie czyny w historii, i wszystko co w życiu ludzi na jaw występuje, i co jest treścią jego; ona mu gra w duszy, i na jawie i we śnie, ona wznosi się w pacierzu dziecięcia i w hymnach narodów, ona dźwiga mu piramidy, śle go po śmierci na bitew pole, uczy go biegu gwiazd i tajemnic własnego ducha, odkrywa mu nowe światy i roztwiera tajemnicze ziemi łono, waży słońce i planet brzemię, roztwiera księgę przeszłości i przemawia wyroczni ustami.

Człowiek jest nieśmiertelną istotą i nieskończoną, bo jest rozumną istotą. Tu szukaj źródła onych najgłówniejszych praw jego; bo religii, filozofii i sztuki pięknej. Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieczego, i już nie pytaj, z kąd się one biorą. Człowiek z nieskończonością zarazem odebrał i Sztuki piękne, i mądrość i religią; nie utyskuj tedy nad znikomością rzeczy ziemskich. Wszak Bóg sam umarł dla prawdy, która nie ginie na wieki; robak wprzód zasklepia się w swym grobie, nim przerodzony w lekkiego motyla uniesie się, złotem jaśniejąc skrzydłem: a przekonanie o nieskończoności istoty naszej, wykwiła z uważania skończoności. Bo zważ, dęby długo-wieczne tak przemijają, jak ich liście, a skały granitowe tak się rozpylają w powietrzu, jak przejrzyste obłoki koczujące po niebie. Jak ciągle przelewające się fale oceanu błyszczą znikomie iskrami w słońca promieniu, tak przelewa się falami wieczny ocean rzeczy zmysłowych; a kędy nań spojrzysz jasne opatrności oko, zapalają się iskrami jestestw milionów, a za każdą nową falą inne a inne zabłysną jestestwa i giną, zamigocą się i gasną. Więcej jeszcze cierpu ma ta marność i znikomość rzeczy ziemskich, skoro staniesz nad ową ogromną rzeką historii rodu człowieczego, co płynie gdzieś tam z górnych nieznanych światów zamglonej przeszłości; płynie ona rzeka całe stulecia, płynie przez lat tysiące, i spławia nam kości nieznanych zwierząt ze starych lat, toczy jakieś gruzy dawnych świątyni, pomników ułomy, i jakby liście pobrzeżnych krzewów, niesie imiona królestw, światowładnych państw i zgruchotane włócznie ludoburzców krwawych, a gdzieś tam unoszą się na jej falach jakby

kwiaty jakieś, pieśni stare, strzaskanéj lutni reszty i laurowe wieńce; a przecież po obu stronach onego biegu historyi, a z daleka od jéj brzegów, rozlegały się zaiste ludy liczne, jak piasek pustyni, i grody, i miasta potężne i państwa; o nich historia milczy, nawet ich imion nie doniosła naszym czasom. Utonęły te narody i państwa w wiecznéj otchłani zapomnienia, jak tonie rozbitek na otwartém morzu; gwiazdy tylko widzą śmiertelny trud jego, a Bóg tylko sam słyszy ostatnie wołania jego skonu. Lecz dokądże płynie ona rzeka, w jakąż nieznana dal przebiegają się jéj wody? by znów z kolei późniejszym lat tysiącom zanieść jakby bajeczną wieść, prace i trudy naszych stuleciów? kędyż jest ujście téj rzeki? gdzie jest on ocean wiekuisty, co ją w swoje objęcia pochłonie sobą?

A jeżeli już rzeczy zmysłowe, jeżeli dzieje historyi są znikomości obrazem, témci więcej wewnątrz istoty naszej jest piętnem ciągłego tworzenia i niweczenia się uczuć i myśli; wszak o tem wspominaliśmy już wyżej. Lecz nie utyskuj nad tą skończonością rzeczy ziemskich: boć właśnie jéj poznanie prowadzi do pojęcia nieskończoności istoty naszej. Bo zważ, czylibyśmy utyskiwali nad skończonością wszystkiego, co doczesne, gdybyśmy zarazem w sobie nie mieli wyobrażenia nieskończoności? zkadżeby się rodziło w nas poznanie znikomości tego, co nas otacza, gdybyśmy zarazem przy tém nie myśleli o jakimś istnieniu, co nie ginie nigdy? zkadżeby nam przychodziła ona tęsknota, patrząc się na przemienność, gdyby nam się przed myśl nie stawiało jakieś istnienie, co trwa na wieki? Zawsze, gdy o skończoności pomyślimy, nasuwa się duchowi naszemu nieskończoność. — Te dwa pojęcia odwrotne sobie, zawsze razem chodzą. Nieskończoność tedy iście w naszej myśli mieszka.

O Ideale.

Uważ dobrze, co się dzieje z przedmiotem rzeczywistego świata, gdy go do sztuki przeniesiemy. Wszak każdy przedmiot takowy, rzeczywisty — czyli to on będzie jestestwem natury, jako n.p. postać człowieka, zwierzęca, okolica i.t.p. czyli to będzie przedmiot wzięty ze stosunków społecznych i obyczajowych, i przeniesiony w obraz, lub tragedią, komedią, powieść i t. d. zawsze on będąc częścią rzeczywistości, z którą jest ściśle połączony, jest jakby tylko jedną nicią wplecioną w całą tkaninę natury i społeczeństwa. — Tysiące stósunków i węzłów, łączą go z ogółem, z tą rzeczywistością, do której należy, i dla tego też on na sobie nosi cechę swéj istoty ułomkowéj, znać po nim, iż on sam nie jest całością, ale jedynie częścią jakiejś całości, i ta to

cecha jest piętnem doczesności jego. Taka więc jest istota przedmiotu w rzeczywistym świecie. Jeżeli zaś ten przedmiot przeniesiony będzie w świat Sztuki, wtedy się też wskroś przeobrazić winien; bo skoro on nie istnieje już wtedy dla siebie, ale istnieje dla objawienia się ducha, więc ta jedynie strona jego istoty będzie miała znaczenie, co temu objawieniu się ducha służy; wszystko zaś inne, jako już nie mające wartości, z niego spada i ulatuje. Znikają tedy z przedmiotu wszystkie przypadkowe znamiona, wszystkie drobne i bezważne cechy, będące skutkiem związku jego z rzeczywistością, a gdy jego przeznaczeniem jest, by nie rzeczywistości tej służył, ale ducha był wyrazem, więc też zrywa te wszystkie nitki łączące go ze światem rzeczywistym, odłącza się przedmiot od niego, staje się nie zawisłym — uosabnia się, zakończy w sobie. — A lubo zachowuje istotę swoją indywidualną, przecież przestaje być częścią i ułomkiem rzeczywistości, i sam przeobraża się na całość duchowną, na jedność zupełną. — Przedmiot tak przeobrażony, postać tak uświęcona jest *ideałem*.

Ideal tedy wyobraźnikiem ducha będąc, tyle zaiste tylko w sobie zawierać winien, ile potrzeba do objawienia ducha; winien być tak całością, jednością osobną, jak duch, który o sobie w nim znać daje. W ideale właśnie jest pogodzenie rzeczywistości i ducha; te dwa bieguny spotykają się z sobą na pół drogi, i zlewają się w jedno, oba się równoważą. — Więc rzeczywistość nie przechodzi w zupełności w świat duchowy: boby się stała abstrakcją, myślą, rozumowaniem; tak na przykład postać jakiego człowieka przeniesiona w całkowitości w świat duchowy, może być przedmiotem uwag psychologicznych, wywodów medycznych, rozumowania filozoficznego i t. d. a wtedy już nie chodzi o tego pewnego człowieka właśnie: bo te wszystkie rozumowania i wywody i t. d. są czémś bezielesnym, czémś ogólnym, a ideal wyrażać winien pewnego jednego człowieka. A jeżeli takie myśli ogólne zechcemy zmysłami unaocznic, jeżeli zechcemy, aby n. p. rzeźba i malarstwo były li czystym wyrazem ducha, toć wtedy figury staną się oznakami symbolicznymi, godłami, hieroglifami, jak na przykład: dwoje skrzydeł oznaczają młot i t. d., wąż skreślony w pierścień oznacza wieczność, trójkąt tróję, krzyż mękę Chrystusa Pana, łódź kościół, jabłoń grzech pierworodny i t. d. i innymi znakami, które same przez się nie mają znaczenia, przez zgodność jednak ogólną wyrażają zwykle jakieś myśli i uczucia. A ideałowi właśnie chodzi nie o ogólną naturę ludzką, lecz o to, aby ta postać w rzeźbie, lub obrazie, lub poezji, oznaczała pewnego jakiego człowieka, lub jakieś pewne bóstwo, mające swój

właściwy osobisty charakter, swoje własne piętno i indywidualność, różniące go od wszystkich innych, i aby się ten człowiek uwidomił, stał się cielesnie obecny czyli to w posagu, czyli malowany będzie pędzlem i farbami, czyli wyrazami jak w poezyi. I na wzajem duch nie przechodzi w zupełności w rzeczywistość. Tak, by zostać przy naszym przykładzie, postać ludzka z całą swoją rzeczywistością okazuje się w daguerotypie, lub w jałowym kronikarzu. — Ideał pozostaje w środku między czystą duchowością a szczerą rzeczywistością, łączy te dwie sprzeczności w jedność.

Patrz na posąg marmurowy, co z podnóża swojego, jakby nadziemskich światów zesłaniec na nas się patrzy; wszak to niby postać rzeczywistego człowieka; rzekniesz może nawet, iż w naturze znajdziemy wiele kształtów ludzi podobnej prawie piękności i powabu. Wszelako posąg ten w swym uroku jest innej urody, niż koło ludzi stworzonych: bo jest wolnym od przypadłości wszelkich, obojętnych dla niebiańskiej piękności jego, a będących skutkiem ich natury cielesnej i doczesności przemijającej, której ulegają ludzie w padolach rzeczywistego życia zrodzeni. On od głowy do stóp, jest duchem, duchem uzmysłowionym, żywym; a gdy w rzeczywistych ludziach, choćby najwyższej urody, duch jedynie w obliczu się wyraża i w oczach ma stolicę swoją, w posagu tym duch wszędzie jest obecny, z każdej części patrzy tysiącami oczów, rozlany po całej postaci, drga i w kędziorach włosów i w rzemyku sandałów, a co doczesne, nieznaczące, spadło z tej postaci, niby głuche zwłoki, a co wiekuiste, wystąpiło na jaw, więc też ta postać wywinęła się z objęcia znikomiej doczesności, odosobniła się, zerwała związki z rzeczywistością, cała jakby ochrzczona w oceanie ducha. Podobnie, gdy postać droga z dawnych czasów, przed wielu laty zmarła, w sennem marzeniu staje nocnem nawiedzeniem z innego świata przed duszą naszą, choć zarysy drogiego oblicza i postaci tak żywo wskrzeszone, tak prawdy pełne, iż żadne przypomnienie na jawie wyrównać jej nie zdoła, przecież wskroś przejęta jest przeobrażającą odmianą, bo z niej znikły cisnące żywota biedy, i troska ziemską, co tłumi i więzi ducha swobodę, a przez całe zjawienie goreje i świeci zorza wyższego świata i nieznanego dawniej nieśmiertelności uśmiech. Postać stała się nieskazitelnym duchem, nie zależącym więcej od doczesnego świata, duch atoli zjawił się w postaci oznaczonej i pewnej drogiej nam osoby. Przybrał na siebie ciało rzeczywistości uduchowionej.

Otóż dwa te konieczne pierwiastki, bo wzniesienie się

nad doczesność, to jest zerwanie stosunków z rzeczywistością, a zachowanie przecież indywidualności pewnej, oznaczonej osoby, są dwiema koniecznymi stronami ideału. Powiedziałbym, iż w ideale przedmiot rzeczywistości wprzód musi tracić ułomność doczesną, zerwać z rzeczywistością, umrzeć ziemską śmiercią, przejść niby przez czyszciec duszy mistrza, zmartwychwstać bez skazy w piękności świecie, a tak odrodzić się ideałem.

ESTETYKA

czyli

UMNICTWO PIĘKNE

przez Karola Libelta. Poznań 1848.

System sztuk pięknych.

Summą wszystkiego istnienia, wszystkiej wiedzy i wszystkiej filozofii, jest to proste przekonanie: że nie ma formy bez treści, ni treści bez formy i że zatem z obojga każda rzeczywistość złożona. W każdym więc pojedyńczym przypadku dochodzić nam tylko z osobna trzeba, co jest formą, a co jest treścią, a co z połączenia jednej i drugiej powstaje. Bóg sam w naturze objawia formę; w ideałach, jak się przez ludzkość rozwijają, objawia treść swoją a to obojgo stanowi wszechmoc, czyli istotę Jego. W naturze prawa natury są treścią, zewnętrzne objawy tych praw formą, a jedno i drugie siłami natury. Ale i same siły natury stoczyć się muszą do tej najwyższej trójcy: formy, treści i ich połączenia, i nie trudnooby było okazać, że siła atrakcyi jest treścią, siła repulsyi formą, a siła ruchu, czyli wszelkiego żywota natury, jednością dwóch sił poprzednich i że następnie wszystkie inne siły są tylko tych trzech sił pierwotnych odmianami. Podobnie w rozliczności ideałów musi być naczelną ich trójca, musi być: ideał formy, ideał treści i ideał ich połączenia.

Ideałem formy jest piękno; ideałem treści prawda; piękno i prawda w jedności jest dobro. Są to trzy najwyższe ideały, wypełniające nieskończoną treść istoty bożej: najwyższa doskonałość wiedzy, czyli mądrości bożej, najwyższa doskonałość formy, w którą się każda myśl Boża obleka, i najwyższa doskonałość żywota, będąca sobie sama celem. Bóg pojęty, jako najwyższe dobro, jest najwznioslejszy-

szém pojęciem, które dopiero przyniosła z sobą nauka Chrystusa. Wszystkie dzieła Boże noszą na sobie znamię téj trójcy ideałów. Sam świat jest pięknem, jest prawdą, jest dobrem. I ludzkość cała jest tych samych trzech ideałów rozwojem. Z tąd i sztuki piękne z nich się w jeden całości kształt rozwinać powinny¹⁾.

Ideał sam przez się, acz jest najwyższym ogólnikiem treści, nie jest dla tego myślą tylko oderwaną, czyli abstrakcją: jest to i owszem myśl już w odpowiedniej formie swojej ujęta; ideał jest sam rzeczywistością z formy i treści złożoną. Treścią jego jest myśl Boża, zwana ideą, będąca żywotniem i postępowem rozwijaniem się z siebie; formą jest każdoczesny tego rozwoju pojaw, czyli obłocz zewnętrzna idei. W takiej obłoczy idei Bożych należy pojąć każdy z trzech pomienionych ideałów, z których każdy znowu, względnie uważany, stoi albo po stronie treści, albo po stronie formy, albo po stronie rzeczywistości, z połączenia tamtych powstającej. Ztądto w sztukach pięknych przywykliśmy uważać rozwój samego ideału piękna; w umiejętnościach samego ideału prawdy; w społeczności ludzkiej samego ideału dobra. Są i to przecież tylko przewagi względne. Albowiem i sztuki i umiejętności i społeczność ludzka są rzeczywistościami, a ztąd w każdej z nich także znowu być musi forma i być musi treść, aby z ich połączenia rzeczywistość powstać mogła. Sztuki piękne tém się szczególniej wyróżniają od dwóch innych rzeczywistości, że dają równowagę formy i treści, którą w naturze i ludzkości wpływ różnych okoliczności znosi i nadwiera; że więc nie naturę, nie ludzkość mają za przedmiot, ale ideały będące tak tworów natury, jak życia ludzkiego pierwowzorami: bo w tych tylko ideałach, w tych prototypach obleczonej myśli bożej złożon ów spokój boski, niezmienny, owo oblicze niebiańskie, owa równowaga i odpowiedność formy i treści.

Sztuki piękne, będąc przedstawieniem ideałów, muszą się odnieść do naczelnéj ich trójcy, którąśmy wyżej wskazywali. Nietylko więc samo piękno: przedstawiać będą prawdę, lubo nie prawdę oderwaną, obnażoną, umiejętną, lecz prawdę obleczoneą w odpowiednią formę, wcieloną w materyał, zgoła prawdę, jako ideał pojętą; nareszcie przedstawiać będą dobro, lubo nie dobro powszednie, społeczne, lecz jako ideał, w odpowiednie, piękne kształty przyobleczone. Na tę trójcę ideałów: piękna prawdy i dobra, czyli formy, treści

¹⁾ Cośmy tu w krótką treść zebrali, obejmuje w obszerności system filozofii wyobraźni czyli Umnictwa, który trzecim tomie filozofii i krytyki podajemy.

i żywota rozpadać się muszą sztuki piękne i na tej trójcy, jako na głównej podstawie zbudowany być musi ich system. Tam gdzie są naczelne pojawy formy, treści i żywota, przedstawiające się nam jako rzeczyistości najogólniejsze, to jest: natura jako materjalność, człowiek jako idealność, społeczność jako żywotność, tam także w każdej rzeczywistości z osobna, jako na osobnym materjale, rozwinać się musiała sztuka i tworzyć nową trójkę trójce, charakterem zupełnie od siebie odmiennych, a jednak jeden żywotny w sobie system, stanowiących. I tak jest rzeczywiście. Wiemy, że artysta z materjału tworzy sztukę. Bierze go naprzód z martwej natury i tworzy odpowiednią trójkę sztuk plastycznych: architekturę, snycerstwo i malarstwo; bierze potem z żywotnego materjału ludzkiego i tworzy odpowiednią trójkę sztuk idealnych: muzykę, poezję i wymowę. Ze i trzecia jeszcze trójka sztuk pięknych być musi, mamy już ku temu pewny wniosek, albowiem trójka plastyczna wyraża znowu sztuk pięknych formę, czyli ideał piękna w bliższem znaczeniu; trójka idealna wyraża ich treść, czyli ideał prawdy w bliższem znaczeniu; koniecznem więc pokazuje się przejście do nowej trójki sztuk pięknych, coby była formą i treścią w jedno i przedstawiała ideał dobra w ściślejszem znaczeniu. Wtenczas dopiero zdobędziemy zaokrąglony w sobie całokształt sztuk pięknych, w konieczności takiego, a nie innego rozkładu, takiego a nie innego zewnętrznego pojęcia każdej sztuki z osobna.

Systematyczny rozkład sztuk pięknych będzie zatem następujący:

I. *Sztuki formalne, albo plastyczne:*

- | | |
|--|------------------|
| 1. Architektura, kształtująca ideał piękna, | } w przestrzeni. |
| 2. Snycerstwo, kształtujące ideał prawdy, | |
| 3. Malarstwo, kształtujące ideał dobra. | |

II. *Sztuki treściowe, albo idealne:*

- | | |
|---------------------------------------|-------------|
| 1. Muzyka, kształtująca ideał piękna, | } w czasie. |
| 2. Poezja, kształtująca ideał prawdy, | |
| 3. Wymowa, kształtująca ideał dobra. | |

III. *Sztuki społeczne, albo żywotne:*

- | | |
|---|------------|
| 1. Idealizowanie natury, kształ- tujące ideał piękna, | } w życiu. |
| 2. Estetyczne wychowanie czło- wieka, kształtujące ideał prawdy, | |
| 3. Idealizowanie społeczności, kształtujące ideał dobra | |

POMYSŁY

O WYCHOWANIU CZŁOWIEKA

przez Florianą Bachwicą. Wilna 1847.

O systemacie wychowania.

W całym systemacie świata ziemskiego, w organizmie indywidualnym człowieka, we wrodzonych uczuciach i zdolnościach obu płciom nadanych, wyczytujemy najoczewistszy dowód: iż przed początkiem tego świata, była istota wszechmocna, najmędrsza, przewidująca, która uczyniła, przed-ustanowiony, poprzedzający plan i Systemat wychowania ludu, w szkole tego świata. W niej bowiem, pojedynczy człowiek służy ogółowi społeczności, a społeczność pojedynczemu, płęć jedna przewodniczy drugiej w wynajdywaniu i pilnowaniu się drogi udoskonalenia. Wiek przeszły rozjaśnia wiek przyszły.

Dla myśli ludzkiej zostawiono jest: ten systemat Boski w jego widocznych rozrządzeniach wyczytać, i ze czcią religijną najściślej wypełniać, nie zawierając bynajmniej naślepo, utworom osobistej spekulacyi autorów, z ustawami przyrodzenia niezgodnym: bo te miejscowemi okolicznościami, osobistemi widokami i opiniami wieku są najczęściej omylone. Zwykle są z sobą niezgodne, i obudzają tylko uczone sprzeczki. Gdy przeciwnie prawda jest jedną, systemat więc prawdziwy, Boski, musi być jeden.

Naprzykład: czyż mówił prawdę Russo, oburzający się na wszystkich prawie uczonych swojej epoki, dowodząc, iż cywilizacya ludzi jest stanem wymuszonym, niewłaściwym, nieszczęście tylko dla ludzi przynoszącym? — Albo w drugiej ostateczności: czyż nie jest omylną teoria racjonalizmu, zbyt wyznaczająca nauki i rozum, z zaniedbaniem przeczuć wiary, tradycyi i objawień religii? Albo czy był na prawdzie oparty, powszechny systemat Likurga całe czoło narodu wychowujący na wyłącznych wojowników? Widzimy wprawdzie: iż płęć męzka, od pierwszego dzieciństwa w igraszkach niemowlęcych nawet, siadania niby na koń, uzbrajania się niby orężem, odkrywa już naturalne powołanie do stanu rycerskiego. Ale ta wrodzona skłonność jest tylko znamię, iż płęć męzka, ma powołanie wywalczyć na tym świecie panowanie praw z niebios pochodzących, porządku, siły rządu, sprawiedliwości, miłosierdzia, miłości braterskiej, prawdy i piękności, zwyciężając zwierzęce zamięszanie i chaos ciemnoty. Wszakże oprócz ducha rycer-

skiego są w mężczyznach inne wrodzone powołania, i tak jeden od młodości wzdycha do zwiedzenia świata, do podróży i niebezpieczeństw nawet żeglarskich. Inny pała chęcią uczonych wiadomości, chce poznać niebo i ziemię, drugi z rozkoszą bawi się robotami rzemieślniczymi, ów lubi zasiewać, sadzać, przesadzać, zajmować się rolnictwem; inny znów budować i t. d. Ludzie są więc stworzeni ze zdolnościami i naturalnym powołaniem do wszystkich stanów w organizmie społecznym potrzebnych. Mylny zatem i jednostronny był systemat Likurga zwrócony wyłącznie ku temu, aby z całego narodu wykuć jeden tylko stan, zahartowanych wojowników.

Również, nie może być powszechnie zastosowaną teoria, dowodząca, iż każda społeczność powinna chodować i układać dzieci według swoich potrzeb czasowych. Bo ludzie mają dane życie, i wychowują się w szkole tego świata nie dla potrzeb czasowych, ale dla celów wiecznych, niesmiertelnych, ku którym nadane są kierunki z rozlicznych stanowisk i obowiązków w organizmie społecznym istniejących.

Wychowanie zatem powinno usposabiać młodzież na przyszłych obywateli zdolnych do zajęcia różnych stanów, do których w przyszłości w dojrzałych latach, wrodzone zdolności lub zdarzone okoliczności ich powołują. Mężczyźni mają być zahartowanymi do znoszenia trudów, umocnieni w charakterze duszy, rozpostrzeni w wiedzy umysłowej: aby znając prawa Boskie i ludzkie, byli zarówno zdolni jak do wojennego, tak do cywilnego, lub uczonego stanu. Kobiety zaś, w świątyni serc swoich, mają żywić święty ogień miłości Boga i nadziei, miłosierdzia i dobroczynności dla bliźnich, czci dla praw Bożych, obyczajności, czystości moralnej i piękności estetycznej.

Wiara w obu płciach najgruntowniejszą jest zasadą wychowania, jest źródłem prawdy. Bez wiary największy byłby nierozum poświęcać młodość, niekiedy zdrowie i życie, na trudy nauki i doskonalenia: gdy to wszystko byłoby tylko znikomością, marzeniem, ułudą. Przeciwnie z wiarą, największym jest nierozumem żyć po zwierzęcemu, bez wychowania, bez nauki, bez religii, bez uprawy moralnej, bez mocy charakteru, pogrążając się wstecz od postępów w ciemnotę, w zmysłowość; cofając się od celów życia i udoskonalenia.

Stanąwszy więc na bezpiecznej opoce wiary, jako na jedynej podstawie wszelkiej nauki i wiedzy, starajmy się z tego wzniosłego stanowiska, spojrzeć jeszcze dalej i szerzej, postępując za wskazówkami palcem Bożym uczynionymi, w rozpoznaniu celów wychowania się ludu w szkole tego świata.

O uprawie woli.

Na tym świecie wśród ludzi, biorąc rzecz ogólnie, zmysłowość nie tylko pociąga wolę, w rozdwojeniu z wyższymi ideami, ku zwierzęctwu, namiętnościom i cielesnemu dogadzaniu; ale w sferach uczuć zmysłowych, wylęga się w ludziach pycha, której zwierzęta nie znają. Pycha pokusza wolę do niezliczonych grzechów, a nawet do buntu szatańskiego przeciw wierze w Boga i przeciw Boskim prawom miłości i sprawiedliwości. Chęć znowu w człowieku Ignie zwykle do zmysłowości. Do chęci i pychy przyłącza się wyobraźnia, malując upragniony przedmiot w powabach czarownych. Do wyobraźni, chęci, zmysłowości i pychy skłania się zawsze rozum i nastreca z przebiegłością sposoby do zaspokojenia uczuć i urojeń. Siła, zatem woli, nastawiana takim tłumem pokuszeń, powinna, zdaje się, zawsze uleść, zawsze człowieka w upadek pogrążyć. Wszakże, w wewnętrznym pasowaniu się z sumieniem, wrzaca i miotana, utrzymywana jest na wodzy potęgą władzy ducha, i często wola musi się odrywać od najgorętszych czuć namiętnych i widoków pychy; a wypełniać czyn świątobliwy, bohaterski, moralny, władzą i sądem ducha nakazany. Wtém jednak rozdzieleniu woli na dwoje, w tém wewnętrznym pasowaniu się, odbywa człowiek ciężką i trudną próbę; potrzebuje więc koniecznie mocy charakteru, dla nadania której, obok uprawy rozumu i sumienia, zachowując równowagę, trzeba koniecznie uprawiać tę moc charakteru, i w tym względzie nieść wczesną przez dobre wychowanie młodzieży, pomoc. Człowiek zostawiony w naturalnej prostocie, bez edukacji wyłącznej samego rozumu, i bez zgorzienia, będzie uczciwie sądził, czuł i postępował: bo żadna w nim władza, nie jest edukacją wyżej podniesioną, spaczając inne. Lecz skoro troskliwie naukami uprawiamy rozum, nie zaniedbujmy wówczas równoważnej uprawy sumienia i woli; bo inaczej uformujemy skrzywionych, spaczonych w sądzie i czynach wychowawców, celom egzystencji człowieka nie odpowiadających.

Myśl źle zastosowana, równości i niepodległości, rzuciła była błędną metodę, od wielu rodziców i nauczycieli przyjętą, przypuszczania dzieci do nieograniczonej poufałości i zbytcej śmiałości. Ta wielka wada i omyłka wychowania, nadała, niektórym z młodzieży, charakter wymagający, samolubny, żadnej powagi ani rodziców, ani wieku, ani zasługi nieznający. Ci w zarozumiałości o sobie, z jakąś ironią spoglądają na wszystko i wszystkich. Wychowawcy takiej metody, są zwykle, lubiący sobie we wszystkim do-

gadzać, a strasznie nie lubiący trudów, obowiązków i przeciwności. Lada przykrościami stanu i powinności natychmiast się zrażają.

Doświadczenie nas naucza: iż kto nie szanuje rodziców nauczycieli, przełożonych, ten nie będzie umiał szanować żadnych świętości. Znakomity filozof, Trentowski powiada: „Syn, który będąc chłopcem nie nauczył się posłuszeństwa dla ojca, uzbroi później przeciw niemu rękę świętokradzką.“ Kant zaś naucza: „Zaniedbana karność większem dla wychowanka jest nieszczęściem, niż zaniedbana kultura: bo ta daje się nabyć później, samowolność, zaś i dzikość z pobłażania pozostają aż do śmierci.“

Na powadze więc doświadczenia i sądu ludzi mądrych opieram zasadę: iż w uprawie woli, należy powrócić do praw pierwotném natchnieniem od początku podyktowanych, w utrzymaniu młodzieży we właściwem uszanowaniu i uległości dla rodziców, dla przełożonych, dla starszych, we właściwej karności, w skromności i posłuszeństwie.

Samodzielność ducha w panowaniu nad wolą, jest jedyną cechą najwymowniej dowodzącą, iż wedle władzy w duchu wzbudzonej, możemy być przez własną zasługę dobrymi — moralnymi, a nawet wielkimi w czynach: albo przez uspienie w sobie władzy, możemy być nikczemnikami słabego charakteru — w zmysłowych zabiegach do zwierząt zbliżonymi. Taka wolność władzy nad wolą, odpowiada prawom przyszłej sprawiedliwości, do czynów i zasług dobrowolnych, odnosić się tylko mogącej. Gdybyśmy nie posiadali władzy ducha nad wolą, wszystkie nadziemskie idee: prawdy — sprawiedliwości — spólnego szczęścia i t. d. nie mogłyby nigdy w stosunkach społecznych urzeczywistnić się. Żadna kreacya myśli ludzkiej i ofiara czynu, nie mogłyby nigdy, na świecie w stosunkach towarzyskich się objawić: a cel naszej exystencji byłby żaden. Stopa jednostajna instynktowa, byłaby zarówno udziałem ludzi, jak jest przeznaczeniem zwierząt, — postęp i udoskonalenie ani byłyby pojęte nawet, i nigdy w dziejach Historyi takie znamiona nie były widziane.

Gdybyśmy znowu, mając w sobie władzę nad wolą, nie używali jej w czynach praktycznych, ten wielki dar duchowy pozostałby w nas tylko marzeniem. Poprzestawilibyśmy tylko na pięknych projektach — na budowaniu w imaginacji zamków na lodzie, unikając wszelkich trudności passowania się z sobą samym i ze sprzecznościami zwykle każdemu ważniejszemu przedsięwzięciu towarzyszącemi. Szlibyśmy na ślepo za uczuciami zmysłowemi, instynktowemi, podobnie jak zwierzęta — a piękne myśli, bez władzy wyko-

kania, istniałyby tylko w sferach imaginacji, *twórzobraźni*, nieprzeistaczając się nigdy w piękne czyny.

Lecz Bóg czynów i ofiar po nas wymaga, — a czyny tylko kładzie na szali zasług i rzeczywistości: bo pomysły ludzi marzących tylko, a nie działających, giną bez żadnego użytku dla bliźnich — dla społeczności — nie pojawiając się nigdy w rzeczywistości na scenie historycznej, lub familijnych wspomnień. Najśmięszniejsza też jest rola w życiu społecznym zapaleńców zuchwałych w słowach i przechwałkach, a zniewieściałych i próżniaków w działaniu — nawet najdrobniejszym. Przez wychowanie więc obudzać w młodzieży samodzielność władzy ducha — nadawać moc charakteru moralnego jest koniecznym i najważniejszym obowiązkiem.

Do uprawy woli należy zamięłowanie prawdy. Zbawiciel też naucza: „A niechaj mowa wasza będzie „jest, — jest — nie, nie.“ Winniśmy więc przestrzegać młodzież, aby nigdy, żartem nawet, nie zbaczała z charakteru rzetelności i prawdy — aby brzydziła się kłamstwem i przewrotnością, aby w potocznej rozmowie nie używała przysięg — ale słów *tak — nie*; i żeby zapewnieniom, w tych słowach zawartym zjednywała największą ufność.

Życie człowieka na tym świecie, jest czasem danym do użycia darów Bożych, wrodzonych talentów i zdolności — a wzbudzenie władzy wewnętrznej nad wolą, jest jedynym środkiem do użycia tych darów ku naszemu zbawieniu i udoskonaleniu. Kto zaś tych darów nie używa, dobrowolnie ściąga na siebie poniżenie, grzech i karę. Do takich to ludzi nasz Zbawiciel zastosował swą naukę: „A niepożytecznego sługę wrzucić do ciemności zewnętrznej, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów.“ Mat. 25 — 30.

Największym tedy dla człowieka jest nieszczęściem, gdy obok uprawy rozumu — a nawet uprawy sumienia, ma jednak zaniedbaną uprawę woli i mocy charakteru, — gdy nie ma w sobie wzbudzonej władzy ducha i namiętnościom puszcza wolne cugle: gdy zniewieściałość, zmysłowość dogadzanie sobie i próżniactwo, samopas w jego duszy odbywają harce, rodząc w niej grzechy i cierpienia piekielne.

CHOWANNA

CZYLI

SYSTEM PEDAGOGIKI

PRZEZ

B. F. Trentowskiego. Poznań, 1842.

Czém jest wychowanie?

Jest, że tak powiem, wiosenném ludzkości tchnieniem, owiewającém lekko i mile młodego człowieka, jest wodą ogrodnika, rosą krzepiącą kwiat i lejącą w niego cudowną siłę wzrostu! Tylko w domu rodziców, tylko w ziemskim raju i pod okiem Boga ojca może się udać dobre wychowanie dzieci. Każde dziecko jest świeżo urodzonym Adamem, lub nową Ewą, potrzebuje więc raju i boskiej opieki! Jeżeli raj ten jest czeluścią piekła, jeżeli bogi czuwające nad młodem bóstwem są rodziną szatana, biada dziecięciu! Rodzice są wzorem doskonałości, świętym dziecka ideałem! Ich bezbożność, dzikość, złość, głupota, wykwinność: ich ludzkość, rzetelność, dobre lub złe obyczaje, stają się biednej dzieciny przymiotem. Dom rodzicielski jest całym światem dla młodego anioła, atmosfera tego domu jest jego żywiołem, jest kwasorodem, którym żyje i krew swą różuje, który w ciało i duszę swą zamienia. Wielka jest władza pierwszych wrażeń; te wrastają w istotę dziecięcia, jak ślady noża w młode drzewo. Im młodsze dziecko, tém większa bierniej jego jaźni potęga. Wychowanie leży przeto wyłącznie w ręku świętych lub przeklętych Penatów, w ręku ojca, matki, nianki, ochmistrzyni, nauczyciela, i jest granitową Egiptu opoką, na której przyszła stać będzie ludzkości dziecięcia piramida! Dobrze wychowany człowiek jest, mimo braku nauki i wyższych zdolności, całe swe życie dobrze wychowanym człowiekiem; idzie śmiało w lepsze towarzystwa, pływa w nich jak zwinny złoty pstrąg w wodzie lub jaskółka w powietrzu, i niepotrzebuje się w oczach tonu za swą rubasność rumienić! On jest nadobnym narcysem, jednakim w ogrodzie króla i wieśniaka. Wonność pewna go otacza i ztąd téż miłym on jest gościem, gdzie tylko zawita. Gracye są jego towarzystwem nieodstępném i zdobywają mu serce, choć jeszcze i słowa nie wyrzekł. Czém jest piękność oblicza lub strój ciała dla zewnętrznego człowieka, tém jest dobre wychowanie dla mieszkającego w nas Parysa. Dobre wychowanie jest blaskiem tęczy bóstwa naszego rokującym nam życia pogodę! Komu na niém

zbywa, ten niezdola, choćby był największym jeniusem, choćby go wszystkie muzy i boginie Olimpu za rękę wiodły, ukryć niedostatku swego; niezdola tego całą swą potęgą zdobyć, co bez własnego przewinienia w rodzicielskim Edenie utracił! Jeżeli pragnie gwałtem uchodzić za dobrze wychowanego, staje się tylko śmiesznym i niezgrabnym pawianem. Wychowanie możemy li w czasie dzieciństwa otrzymać, nigdy później. Czy jest dobre, czy jest złe, staje się drugą naturą naszą, i doświadczony wzrok znawcy ludzi postrzega natychmiast, czy osoba z nim po raz pierwszy w stosunek wchodząca, w pałacu, karczmie, chacie lub stajni wychowaną została. Jakie nasze wychowanie, tak wśród ludzi występujemy, tak nas też przynajmniej w pierwszych chwilach przyjmują! Wychowanie jest blaskiem sobistości naszej gwiazdy, barwą istoty naszej kwiata, złotem naszego bóstwa, oblewającem nas glorią atmosferą; — kształci wprawdzie nasze ciało i duszę zarazem, czyli jaźń całą, ściągając się przecież szczególnie na ciało i dla tego jest pedagogicznym twierdzeniem i pedagogiczną *realnością*, czyli rzeczą fundamentalną. Zewnętrzność jest nadewszystko celem wychowania; ją należy wykształcić jest jego staraniem! Środkami zaś są ćwiczenia gimnastyczne, taniec, troskliwe udoskonalenie ruchu wszystkich ciała członków, obudzenie zmysłu do przystojności, słowem cała koterya, której świątynią i życiem jest salon! Wychowanie nie jest jednak *chodowaniem* lub *tresowaniem*. Chudujemy roślinę, tresujemy zwierzę, wychowujemy człowieka. Wychowanie jest właściwie ubraniem bóstwa człowieczego we wdzięki Gracy i li człowieka własnością. Wbrew tej prawdzie wiele rodziców *choduje* lub *tresuje* swe dziatki, i mniema, że to *dobre wychowanie*! We wszystkich krajach jest dobre wychowanie jednakie, bo tylko jednakiem być może. Dobrze wychowany w Polsce jest zatem dobrze wychowanym we Francyi, w Niemczech i wszędzie. Dobre wychowanie jest owocem cywilizacyi, nieznane jest przeto u ludów i rodzin dzikich. Miasto lub wieś, gdzie braknie dobrego wychowania, jest knieją dwónożnych wilków lub niedźwiedzi.

Czém jest nauka?

Jest, że tak powiem, nieprzyjemnym wiatrem jesiennym stariej ludzkości, co młodego człowieka oblewa chłodem, by rozpalone bóstwa jego żelazo w stal zamienić i tym środkiem prędkiej go przywieść do celu! Ludzkość jest jak świat podeszłą wiekiem matroną, uczyniła już w umiejętności i sztuce tak olbrzymie postępy, że dziś niepodobieństwem jest zupełnym, jednemu człowiekowi zdobyć cały ten indostan

bogaty i zrobić go płodną głowę swęj kopalnią! Rodzice zdołają dziecię wychować, ale niezdają sami je we wszystkim, co mu kiedyś przydatnem być może nauczać; potrzebują więc obcej pomocy, i biorą ochmistrzów lub ochmistrzynię do swego domu, albo téż wysyłają wychowanka do publicznej szkoły. Nauka jest względem wychowanka cherubinem z mieczem ognistym! Przez nią utracą młody Adam i młoda Ewa raj swego dotychczasowego szczęścia, zstępuje na padół płaczu i musi biedzić się z pracą. Dziecię ma przynieść z sobą dobre wychowanie do szkoły, ponieważ tu wychowanie jest rzeczą podrzędną, nauka zaś głównym celem. Nauka bogaci wprawdzie głowę wychowanka, nie jest przecież i na jego serce bez dobroczynnego wpływu; pod otwartą głową bije zazwyczaj i otwarte serce! Dobra głowa przemienia się zwykle w dobre serce, jak przyczyna w swój naturalny skutek! Myśl bogata jest rodzicielką uczuć bogatych! Wychowanie jest tylko coraz więcej prawem przystojności, zawarowaną dzieci igraszką, nauka jest już ich znojem; wychowanie opiera się na filarach przyzwyczajenia, nauka jest trudną zdobyczą i wymaga usilności; wychowanie stoi chętnie pod czepcowém berłem matki, nauka pod surową buławą ojca. Nauka także dotyczy się zarówno ciała i duszy, a przeto całej jaźni wychowanka, ponieważ nie sama umiejętność, ale także sztuka i rzemiosło, które po większej części tylko fizyczność naszą zatrudniają, są jej przedmiotem. Wewnętrzność człowieka, t. j. dusza jest tu jednakże szczególnie na względzie: bo wszelka nauka, nawet zupełnie mechanicznego rzemiosła, rozwija duch ludzki z całym jego zdolności gordyjskim węzłem. Jedném słowem, wychowanie kształci naszą *powierzchność*, nauka naszą *duchowość*; wychowanie rozwija *bierność* naszej sobistości, nauka jej *czynność*. Wychowanie i nauka stoją zatem w zupełnym *względnej różni* kontraście i są jej *przeciwnymi krańcami*. Jeżeli wychowanie jest *twierdzeniem*, nauka jest *przeczeniem*. I tak się téż ma rzeczywiście. Człowiek n. p. naukom poświęcony i w księgach zagrzebany, nierobi sobie wiele z dobrego wychowania, uważa je za fraszkę, przeczy je tedy! Jak ciało do duszy, tak wychowanie do nauki. — Nauka ma zazwyczaj publiczną szkołę za swój kościół, znajduje przecież i w domu rodzicielskim swe ołtarze; ztąd *nauczyciel publiczny* i *nauczyciel prywatny*. Szkoła przynosi więcej korzyści wychowankowi mającemu być kiedyś obywatelem, żołnierzem, ogniwem małym w wielkim łańcuchu państwa, ponieważ wezwyczajają do towarzystwa i jego cnot wszystkich; nauka zaś domowa jest lepszą dla królewicza i takiego młodzieńca,

który ma z czasem stanąć na czele rządu, bo go do samotności, przestania na sobie, do tonu pańskiego, sługom szczególnie wszechmocnością swą groźnego, wezwyczajają, i od gminu oddala. Ale i szkoła kształci czasem niebezpiecznego królika. Kto był n. p. prymusem przez wszystkie klasy i został w końcu wieńcem księcia młodzieży ukoronowany, jak się to nieraz na Zoliborzu w Warszawie zdarzyło, kto musiał rówieśników swoich trzymać w oddali i rygorze, zastępować miejsce profesora, i ciszy szkolnych pilnować, ten nabył carskiego taktu, wzroku rozkazującego i imponującej powagi, ten został nawet i w późniejszym życiu tureckim baszą. Taki człowiek unika rozkoszy towarzyskich, ponieważ te nie stały mu się w jego młodości drugą naturą. Ztąd też stopnie w szkole, przy całej poeYTECZNOŚCI, nie w każdym razie są godne pochwały.

Czém jest wreszcie oświata?

Jest wychowaniem i nauką w jedni. a tém samém *rzeczywistością* obojga. Oświata niema szczególnie ciała, jak wychowanie, ani szczególnie duszy, jak nauka, na względzie; ciało i dusza społem, czyli *jaźń* wychowanka bez względu jest jej przedmiotem. Jej celem jest kształcenie samodzielności, wolności, całej boskości, czyli właściwej sobistości wychowanka. Sobistość ma się tu stać osobistością, osobą, ma zarumienić się coraz żywszym i wyraźniejszym kolorem. Oświata jest zatem kardynalną rzeczą dla jeńialnego pedagoga, który nie proste tylko narzędzie, ale samodzielnego i wolnego, jak sam, wykształcić pragnie człowieka. — Nawet najpłytszy ochmistrz domowy i profesor zgodzi się na to, że wykształcenie *jaźni i sobistości* młodzieńca najświętszą jest rzeczą w domu rodziców i szkole. On sam wszakże zaszczePIA w swych wychowankach głęboki szacunek dla *jaźni i sobistości*, przynajmniej dla własnej, przynajmniej dla téj, którą on sam w sobie czuje! Każdy człowiek pragnie mniej więcej w sobistości innych zaszczePIć dla siebie kolonią, i *jaźń* własną zrobić szpikiem pacierzowym każdego ze swych znajomych i przyjaciół. Herakles świat zdobywa i sądzi, że jedynie Heraklidy godnymi są panowania nad zdobytym przez niego światem; Bonaparte rozdaje tylko Bonapartystom korony, Luter rozradza się w Lutrach, Hegel w Heglistach! Równie tak zwany mąż wielki, jak małuczki podobnym koniecznie być chce nędznej musze, która nieskończoną znosi jaj mnogość, i której każde jaje zamienia się w muchę, w wierny obraz muchy macierzy! Wszelki żyjący twór w naturze jest samolubem! Prima charitas ab ego, jest jedném z praw natury! A więc

i pedagog zwyczajny chciałby w swym wychowancu ujrzeć samego siebie, i na woskach jego osobistości, rodzinną pieczęć własnej jaźni wycisnąć. Zaczém nie jak zwyczajny pedagog, ale jak Bóg, nie jak ochmistrz ziemski, ale jak ochmistrz niebieski, kształć wychowanca na twe podobieństwo! Bóg jest naszym ochmistrem najwyższym! On jest samodzielnością, leję więc w istotę swych wychowanców samodzielność! On jest wolnością, sobistością, jaźnią samego stworzenia, tchnie więc w nas iskierkę wolności, sobistości, jaźni! Jeżeli tedy samodzielność, wolność, sobistość, jaźń, słowem bóstwo święte twego wychowanca ochraniasz, jeżeli nie starasz się bóstwa tego stłumić, ale je podnieść, ale rozwinąć mu silne skrzydła, bądź miłością i wolnością, siéj miłość i wolność, a miłość i wolność będzie twém żniwem! Dla tém lepszego pojęcia oświaty, stawim tu w kilku wyrazach porównanie tejże z obu jej połowicami, t. j. z wychowaniem i nauką. Wychowanie jest praktyką, nauka teorią, oświata praktyką i teorią społem, czyli *synezą*; wychowanie jest empirycznój, nauka spekulacyjnój, oświata filozoficznój natury, wychowanie jest rozłogą, nauka *przyczynowością*, a oświata rozświatem Boga w człowieku! *Wykształcenie* jest ich *Parabramą*, t. j. całością. Wychowanie, nauka i oświata są trzema gwiazdami w konstelacyi wykształcenia. Bądź wychowujesz, bądź nauczasz lub oświecasz młodzieńca, zawsze *kształcisz* tylko jego jaźń i sobistość!

Tu kilka rzucamy małych myśli błyskawic rzecz naszą rozjaśniających. Dziecię żyje pierwszém człowieka życiem w domu swych rodziców; żyje na miękkim wezgłowie miłości i miłuje świat cały. Kochanie jest wiarą świętą; słowo miłości niepotrzebuje dowodów! Ojciec więc jest jeszcze dziecięciu bogiem, matka jeszcze aniołem stróżem, a inni domownicy opiekuńczemi jeniuszami z tysiąca i jednej nocy. Co ojciec mówi, jest mu świętą ewangelią; co inni robią, jest wzorem jego roboty! Dziecię jest tu tém, czém wiosenna ziemia względem pełnej deszczem chmury, jest istną *biernością*. W takim stanie jest człowiek przedmiotem wychowania! — Dziecię wreszcie podrosło i stało się zdolnym chłopcem. Chłopiec siedzi w szkole i pilnie słucha. Mądrość jego mistrza, którą ten mu, ile podobna, dostępną czyni i prawie na talerzu podaje, obudza w nim chęć do jej zdobycia. Jest to mądrość drobiazgowa, propedegiczna, do pojętności młodych uczniów zastosowana, jedném słowem mądrość dziecinna, i dla tego nietrudna! Po małym mozole dopiął chłopiec swego celu, zdobył złote runo, za którym gonił, i dostał promocyą do wyższej klasy. Ale i tu idzie mu wszystko łatwo. W trzeciej, czwartej

piątęj i szóstęj klasie podobnież! Im więcej się nauczył, tém łatwiej poznaje, że wszystkie te umiejętności nie są pracą Herkulesa, że są więcej igraszką, niż znojem. Pierwotne jego wyobrażenie o ludzkiej mądrości traci teraz prawie wszystkie barwy. Wtém wychodzi nowe dzieło. Jeden z jego nauczycieli, którego zna osobiście, a nawet lekceważy, podnosi tę lub owę naukę i ogłasza wiele rzeczy dotąd niesłychanych! Widzi tedy podrosły chłopiec, że wszystkie nauki, są wynalazkiem człowieka, pragnie być także wynalazcą! Bierze pióro, pisze wiersze i otrzymuje pochwałę. Coraz więcej przekonywa się o swym talencie i twórczym duchu, staje się w końcu *zarozumiałym*! W ostatnich klasach uważa się już za jeniusz wielki, za światło ziemi, za drugiego Appollina; krytykuje wszystko, szydzi z dawniejszych nauczycieli, nieszczerdzi nawet ojca własnego, który mu był przed laty bogiem! Mój dziad, tatulo, ma słabą głowę, prawi młokos do drugiego młokosa! W tych chwilach świtu ducha staje się republikaninem, jakobinem, terrorystą. Głupia jest mu ojców jego religia, głupia konstytucya narodowa, głupi świat cały; on wie wszystko lepiej, pragnie ziemię do góry przewrócić nogami! W całym tym obrazie widzimy jak nauka pierwotne czynności duchowych zarzewie zwolna rozdmuchuje, jak im żagwie przypina i w końcu w grożący je płomień zamienia! Wychowanie kształci naszą *bierność*, nauka *czynność*! — Oświata istotna nie króluje ani w domu rodzicielskim, jak wychowanie, ani w szkole, jak nauka, ale na uniwersytecie! Uniwersytet jest rodzicielskim domem i szkołą zarazem w pewnym rodzaju; salonem lub knajpą i mądrości słuchalnią! Młodzieniec otrzymawszy szumnie tak zwany *patent dojrzałości*, wymienia go na złoto matrykuły akademickiej. Idzie na prelekcyę. Tu znajduje mężów z wielkim imieniem. Wystrzelili nad gmin, aż pod niebios stropy, i świat sobą napełnili! Ich uczoność głęboka, jak atlantyku tonie; ich wymowa śpiewem syreny! Sława toruje im drogę, sława idzie za nimi! Czołobitność otrzymują ze wszech stron, jako haracz boskiemu ich duchowi należny! Zdumiał młodzieniec! Przed bogów obliczem uczuł się niczem, i nabrał innego wyobrażenia o umiejętności. Rumieni się sam przed sobą, wstydi się za dawniejszą zarozumiałość i niewiadomość! Jego czynność ukorzona staje się po raz drugi biernością! Czynność ducha jednak wrosła już wszystkimi nerwów włóknami w niego, jest mu drugą naturą, ustać więc w nim nie może, jednoczy się tedy z nową jego biernością. Bierność zaś i czynność w jedni, są *dzielnoscią*, a każda dzielność kończy się zwykle na *samodziel-*

ności. Tym sposobem staje się młodzian samodzielnym. Prawdziwa oświata jest zawsze własnym utworem na gruzach utworu innych. Myśl młoda karmi się myślą starą, trawi ją i w sok swój obraca. Nikt nas właściwie oświecić nie zdoła, tylko my sami siebie: bo oświata jest, że tak powiem, *samodziałem naszej jaźni*, samodzielności dziecięciem! Bierność wychowawcy jest *koniecznością*, która w naturze panuje; jego czynność jest *prawnością*, która w następstwach myślenia i we wszystkich krainach ducha berło swe dzierży; jego samodzielność wreszcie jest natury koniecznością i ducha prawnością w jedni, czyli *wolnością*. Na uniwersytecie używa też młodzian pierwszej swój wolności. — Oświata ma początek, ale niema końca; musi ciągle postępować, ciągle iść naprzód, inaczej pójdzie w tył; zaczyna się na uniwersytecie, a kończy się z ostatnią życia naszego godziną. — Z tego co wyłożyliśmy, niewypada bynajmniej, ażeby wychowanie li w domu rodzicielskim, nauka li w szkole a oświata li na uniwersytecie panowała. Młodzian może otrzymać w domu rodzicielskim nie tylko wychowanie, ale naukę i oświatę. Szkoła zważa także na dobre wychowanie i polepsza je, ile podobna. Nawet na uniwersytecie masz naukę i wychowanie, gdyż młodzian i tutaj *uczyć się musi*, a wchodząc w stosunek z ludźmi dobrze wychowanymi, *kształci dalej swe wychowanie*. Wychowanie, nauka i oświata zra- stają się z sobą tak silnie, że je w rzeczywistości rzadko samotnie spotkasz; trwają całe życie: bo świat jest także wielkim rodzicielskim domem, szkołą mądrości i uniwersytetem!

Wychowanie, nauka i oświecenie są przeto trzema stacyami wśród pielgrzymki świętej do kraju ubóstwienia, trzema bokami w doskonałości trójkącie; są środkiem wiodącym nas do najwyższego celu, gościncem trzema rzędami lip wysadzonym do Salomonowej świątyni naszego przeznaczenia. Trzy te pojęcia stanowią tróję na mnogich ostrowiach pedagogiki w każdym ich ziółku przytomną. — Tu można wreszcie umiejętność naszą następnym odmalować sposobem: *Pedagogika jest umiejętnością: wychowania, nauki i oświaty młodzieży*. Oznaczenie to jest najzwyczajniejsze a przytém i najgłębsze. — Wiemy tedy, że pedagogika ma na celu, bóstwo spiące w człowieku przebudzić i natchnąć je samodzielności pożogą; wiemy także, iż tego celu można dopiąć wychowaniem, nauką i oświatą, słowem *wykształceniem*. Mimo tego wiemy bardzo niewiele. Niedosć bowiem wiedzieć, że kształcić dziecię trzeba, musimy jeszcze wiedzieć, *jak je kształcić?* To pytanie rozwiązać nam może jedynie cała umiejętność pedagogiki, czyli cała Chowanna.

DWORZANIN POLSKI

przez Łukasza Górnickiego, wydany w Warszawie 1828.

Męstwo dworzanina.

Gdy się dworzanin mój zacie, i tak szczęśliwie, jako się powiedziało, urodzi: zakon, a zawołanie jego, abo (jako dziś mówią) professya, niechcę aby była inna, jedno rycerskie rzemiosło, w którym naprzód wiarą przeciwko panu swemu, a potem męstwem, siłą, ochotą, i przeważnością, potrzeba żeby między drugimi słynał, czyniąc temu dosyć, po wszelki czas, i na każdym miejscu; a najmniejszej rzeczy nie puszczając mimo się, któraby mu niesławę przynieść miała, bo szwank¹⁾ w tej mierze, a ustąpienie na lewo, by o włos, wieczną sromotą pachnie; a jako pocziwość białejgłowy, która ją raz straci, nigdy się jej nazad nie wróci: tak sława pocziwego, a rycerskiego zawołania człowieka, jeśli najmniej w czym uszczerbiona będzie, już się nigdy nie poprawi, ale tak zhańbiona, a pełną lekkości zostanie. A tak ten mój dworzanin, im ćwiczeńszy będzie w tym rzemieśle rycerskim, tym będzie wziętszej czci, a chwały godzien. Wszakoz ja tego na nim nie wyciągam, iżby w tym był tak doskonały, żeby wojska wieść, a hetmanic mógł: bo temu niewiedzieć gdzieby był koniec, ale kiedy będzie główniejsze sztuki wiedział, i rozumiał to, co żołnierzowi rozumieć trzeba; a przy tym będzie to miał w sobie, com pierwój powiedział, to jest wiarę całą panu swemu, a serce niewyciężone; tedy ja już na tym przestanę, jedno żeby to takie wielkie serce zawždy się w nim najdowało. Abowiem rychlój czasem na małych rzeczach, niż na wielkich serce poznać: bo w potrzebie wojennej gdzie wiele ludzi na to patrzy, najdują się więc drudzy, którzy chociaż już zdechli na poły²⁾, jednak przed wstydem³⁾ idą oslep, a czynią co dobrym należy, acz też podczas⁴⁾ wie to Bóg jako, a zacię w mniejszych, a nie tak gwałtownych rzeczach, gdzie obaczają iż mogą uledez, a niewdać się w niebezpieczeństwo, zwłaszcza, kiedy w takiej nieśmiałości nie ma ich nikt porzecz, barzo radzi zostaną przy chrześciańskim pokoju. Otóż mój dworzanin, niechcę aby takim był; ale chociażby dobrze widział, iż ani ma na się szpiega nieśmiałości, ani może mieć świadka męstwa, a cnych swych posług: przedsię niechaj to czyni, co dobremu cnotliwemu należy, po-

¹⁾ Uszczerbek. ²⁾ Obumarli na pół. ³⁾ Dla wstydu. ⁴⁾ Czasem.

mniąc na ono, iż najpewniejsze świadectwo jest sumienie własne, a za cnotliwe sprawy sama cnota hojną zapłatą jest. A kto jedno dla tego pocziwie czyni, aby był widzian, ten się z cnotą fałszywie obchodzi, okazując jój prawdziwą miłość; gdyż ku czemu innemu, a nie kniej, skłonne jest jego serce. Zgoła dworzanin ten mój, sercem męzkim, a wspaniałą myślą, zawżdy się znacznie popisać ma. Jedno téż zasię niechęć, aby zuchwalstwo w nim panowało, iżby pochmurnym wejrzeniem, postawą srogą, odętym wąsem, straszyć miał, a nieumiał łagodnie mówić, jedno z fukiem a wszystko o wojennych rzeczach, a jako zbroja najmiejsza jego pierzyna a z przyłbice najsmaczniejszy trunek: bo kiedyby takowy miał bydź, prędkoby każdemu człowiekowi obmierzył, i zasłużyłby słyszeć one słowa, które pocziwa pani jedna takiemuż zuchwalcowi na biesiedzie powiedziała, bo gdy ten kilkakroć poczczon tym był od niej, żeby się abo do muzyki przysiadł, abo tańcował, abo wżdy rozmową się jaką z pannami bawił: a każdy raz, dobry pan nic innego nie powiedział, jedno iż to jest lekkich ludzi dzieło, a nie jego ćwiczenia rzemiosło, spytała go nakoniec pani: A to rzemiosło W. M. jakież wżdy jest?¹⁾ Odpowiedział jój: (uczyniwszy pierwój postawę srogą) we krwi, prawi, nieprzyjacielskiej brodzić, a swój nie żałować. Rzekła zatem pani: Mnieby się wierę zdało, ponieważ teraz wojny nie masz, abys W. M. dał się czyście tłustym²⁾ namazać, a wespołek ze zbroją, i z tym wszystkim czego W. M. przeciwko nieprzyjacielowi używasz, dał się gdzie do szafy schować, aż do tego czasu, kiedy wojna będzie, abys W. M. barziej niż teraz nie zardzewiał.

Rzekł ktemu J. M. pan Lubelski: Niemogła trefniej powiedzieć chłopu głupiemu, który mniemał, aby ten, kto tańczy, abo się miłością para³⁾, uderzyć nieumiał, abo żeby żołnierzowi biesiada, a krotchowila ująć co godności miała.

Zaś powiedział pan Kryski: A przeto dworzanin przeciwko nieprzyjacielowi, czasu wojennej potrzeby, niechaj używa sierdzistości swój, a okrucieństwa,⁴⁾ starając się o to, żeby zawżdy na czele, zawżdy między pierwszemi bywał: ale między swemi: a co potém? układności, skromności, a stateczności trzeba, tą się on niechaj zaleci. Lecz to nad wszystko, żeby w nim tego ludzie nie znali, iż pragnie być widzian: boby tym wszystko popsował; zwłaszcza jeśli się jeszcze sam niewstydlwie chwalił.

¹⁾ Jest przecie. ²⁾ Cały tłustością. ³⁾ Zajmuje. ⁴⁾ Gniewliwości i surowości.

ŻYWO T

CZŁOWIEKA POCZCIWEGO.

PRZEZ

Mikołaja Reja, 1567, wydany w Warszawie 1828.

Starzy oni filozofowie zacni pogańscy, nie wiedząc nic ani o Bogu, ani o wolcy Bożej, ani o zakonie¹⁾ iego, tylko się tak przyrodzonymi cnotami sprawując, kto czytał ich sprawy może się iście²⁾ podziwować, pomyśliwszy sobie co to byli za ludzie, a jako cnotliwych, pobożnych a pościwych obyczajów i używali i w nich się zachowywali. Ale iż świat jako jest odmienny i z dziwnymi sprawami swemi, to już jawnie a prawie na oko widzimy, że za odmiennością czasów jego i dziwniejsi ludzie nastawają, i dziwnie się mieszają z obyczajami swemi. A ma li się prawda rzecz, za łaską Bożą, acz i prawa pańskie i prawa wedle biegu świata tego słusznie postawione, a znacznie objaśnione mamy, przedsie co dalej tho w gorsze a w zawikłańsze się sprawy i udawamy i bezpiecznie³⁾ ich używamy, a trudno się już koła ledajako zachamować mają. A to nam wszystko rozumki nasze nowo wymyślne, omylne postawki⁴⁾ pycha a słówka przekęśowane⁵⁾ czynią. Czego nie tak przodkowie nasi używali, co się i z starego pisma ich ukazuje iż po prostu mówili, ale statecznie przy tém co ich pocziwemu stanowi należało, i stali i mocno tego używali. A iż wszyscy narodowie języki swemi sprawy, cnoty, i pocziwe obyczaje, dla pohamowania swawolnego przyrodzenia ludzkiego i pisali i na piśmiech potomkom swym zostawiali, jednochmy my polacy w swym języku zadrzemali, a mało pisma mamy któreby nas wzdy też czasem pochamować mogło, jakobyśmy wzdy roztropnej słuszności spraw, zwyczajów, i postępków swych pocziwie używać mogli. Bo jako insi narodowie o nas polakach piszą, iż trudno ma być który naród tak z przyrodzenia do każdego obaczenia tak przykłonny⁶⁾ jako jest naród nasz polski, na którąkolwiek stronę staranie a ćwiczenie swe będzie obrócić chciał. A gdyż o to nie nie dbają ci, które Pan Bóg i naukami ozdobić i ubłogosławić raczył, aby pisaniem swém albo rozważnym upominaniem swym ludzi przestrzegali z ich powinności, tedy wzdy niech kamienie wołają⁷⁾. Tedy mi się z téj przyczyny zdało acz

1) Prawo. 2) Istotnie. 3) Śmiało. 4) Postanowienia. 5) Zwodnicze.
6) Do pojęcia tak sposobny. 7) Niech do was i kamień przemówi.

prostakowi a nie uczonemu, przypatrując się sprawom a obyczajom ludzkim, nasłuchawając się téż częstokroć co poćciwi między sobą ganią a przy czym téż słuszenie przestawają, a co słuszenie pochwalono i poganiono być może, aby się téż wzdy co o tym napisało, jakoby téż wzdy poćciwy polak, gdyż to każdy słuszenie zeznać musi, iż jest z przyrodzenia cnotliwy, swe sprawy a swe poćciwe postęпки stanowić i ku jakimubym je końcowi rozważeniem rozumu przywodzić miał i jako jest powinien w nich się i zachować i stanowić aby umiał. A tak to małe napisanie, które się zamyka w tych to księgach: o poćciwym zachowaniu, o cnotliwym stanowieniu żywota człowieka poćciwego, podawam ci przed oczy slachetny polaku, acz prostym szyrmem¹⁾ ale dali Bóg życzliwym od prostego napisane. Ale gdyż cię Pan Bóg obdarzyć raczył z przyrodzenia roztropnym baczeniem, tak jako to i inni narodowie zeznawają, tak rozumiem że sobie ostatka z swego uważnego rozmysłu dołożyć będziesz umiał, i sławę, i myśl spokojną, i żywot poćciwy, i Panu Bogu wdzięczną ofiarę, jakożes się o to starać powinien, okazać i uczynić będziesz umiał. Co inaczej być nie może jedno iż musisz temu swawolnemu osłowi a temu tępemu ciału swemu ująć obroku, a dodawać mu ostróg, i przypatrować²⁾ mu często munsztuku, aby swowolnie nie bujało. A tak gdy będziesz te księgi czedł³⁾ tedy wiedz, iż są na trzy części rozdzielone. Pierwsza część jest od urodzenia człowieka jakie są przypadki jego, i jakie ma być ćwiczenie i wychowanie jego aż do lat średnich jego. Druga część jest od średnich lat jego jaka ma być sprawa około niego, i jakie mają być postęпки jego i stanowienie pocziwego żywota jego. Trzecia część jest gdy już przyidzie do wieku ostateczniejszego a do pocziwych a sędziwych lat swoich, jako téż tam już ma w rozmyslnym żywocie swoim, a w pocziwój powinności swojej a w bojaźni Bożej stanowić ony wdzięczne, spokojne, a sędziwe czasy swoje, a jako się nie ma lękać ani przypadków żadnych tego świata, ani sędziwości swój, ani onego ostateczniejszego strachu, który nas już ma doprowadzić do inszego królestwa a do inszych roskoszy niżeli są świata tego. Co tak rozumiem iż cztąc⁴⁾ powoli, lepie, to będziesz umiał rozważyć, niżeli jakoć tu jest krótko wywiedziono, Vale.

¹⁾ Stylem, układem, od szermowania, składania się palaszem.

²⁾ Przyciągać. ³⁾ Czytał. ⁴⁾ Czytając.

Z POLITYKI ARISTOTELESOWEJ.

Doktoral Sebastjana Petricego. Kraków 1665.

Wstęp.

Przyrodzoną rozumu światłością niegdy filozofi oświeceni w jednym człowiecze wyrażony kształt rządu, i jakoby żywy przystojnego się sprawowania obraz, upatrzyli, którego nie bez przyczyny małym światem nazywali. Bo jako jeden nieskończony rządca Pan Bóg wszystek świat rządzi, tak też dla człowieka wszystkie rzeczy stworzone, pod rząd i rozkazowanie jego słuszenie są poddane. Ziemia jest stworzona dla ziół, zioła dla zwierząt, zwierzęta dla ludzi: tak ludzie zioły, zwierzęta i wszystkimi na świecie rzeczami władają i rządzą. A jako rząd w przyrodzonych rzeczach, na przykład, w obrotach niebieskich, w rozszykowaniu czasów, wiosny, lata, zimy, jesieni, dnia, nocy, w rodzeniu ziół, owoców, zboża i rozmaitych zwierząt, pewny bywa: tak w sprawach ludzkich, im większa jest dla woli naszej, która się na przeciwne rzeczy zanosi, niepewność i odmiana, tym większego rządu potrzeba było. Dla którego Pan Bóg człowiekowi dał część Bóstwa swego, rozum, którym samym chciał człowieka mieć od innych zwierząt różnego, porządniejszego i szczęśliwszego. Zwierzęta powodem natury sprawując się, niepochybnym porządkiem na świecie żyją: człowiek rozumu się dzierzając, tym niepochybniej w sprawach swych może postępować, im bliżej przyczyn spraw swoich dochodzi. Zwierzęta tak żyją, jak nimi natura, która w sprawach swych błędu nie zna, rządzi: człowiek tak ma żyć, jako rozum i baczenie każe. Jeśli kiedy natura dla nieposobności rzeczy swego pospolitego trybu uchybia: jako gdy się co urodzi niezwyčajnego, bez nóg, bez rąk, za dziw i cudo poczytamy, niewinując w tym ułomnie i niezwyčajnie urodzonych rzeczy: dla tego iż w nich samych nie jest rządu władza. Zás jeśli człowiek uchybi brodu, nie tak się, jako przystoi rządzi, dziw i cud jest; ale iż się często trafia, niedziwujemy się, gęstością takich cudów z dziwu zrażeni; jednak iż odstępować rozumu sobie do porządnego życia, od Pana Boga danego, zostaje winien sam sobie. On i sam sobą i zwierzęta wedle natury władając, rządu od Pana Boga w głowę swą wlepionego, jako jakiej miary pewnej (której uchybiwszy, błąd musi nagany być godny) ma się trzymać. Sam przez się widzi człowiek, zasłone cielesności z oczu swych odrzuciwszy, jako z swojej osoby na świecie żyć: jako się z inszemi tak bliskimi, jako

dalekiemi, nikomu nie szkodząc, każdemu chcąc być pożyteczny, sprawować ma. Lecz iż jest ze dwojgą rzeczy, z dusze niewidomój, rozumnej, i z ciała, od dusze czułość swoją biorącego, zlepiony: więcej się tego dzieje co czuje, jako rozkoszy, dostatków, możności i insze dobra mają miejsce. Co widząc filozofowie, ludzie mądrzy, przystojnie do samej cnoty naprzód ludzie prowadzą: ukazując, iż cnota sama jest na świecie, od przedniej części człowieka pochodząca, najprzedniejsze dobro, wedle którego insze dobra wszystkie cielesne, jakoby jakim niechybnym wymiarem, mają być miarkowane, jako ich kto ma używać sam, jako z inszemi, wymyślili nauki albo filozofiej o sprawach ludzkich trojaki rozdział. Co przynależy do rządu samego siebie, Ethiką, to jest, własnej powinności nauką; co służy do postępu z inszemi ludzmi, jako domowemi bliższemi, Ekonomiką i gospodarstwem: co z obcemi i odleglejszemi Polityką i rzeczą pospolitą nazwali: nauki barzo ludziom wszelkiego stanu pożyteczne. Bo jako każdy może powinność swą na świecie odprawować, jeśli niebędzie wiedział na czém powinność jego, naczém szczęście jego zawisło? Jako ten może domem i czeladzią rządzić, kto rządzić siebie nie umie, kto w powinnościach swoich własnych błądzi? Jako też może kto miastem albo rzeczą pospolitą rządzić, który domu swego rządzić się nie nauczył? Gdyż rzeczpospolita nic inszego nie jest, jedno wielka wielkość domów w jedną społeczność dla snadnego na świecie życia zgromadzonych. Jedno jest szczęście, jedna powinność każdego z osobna człowieka: cnotliwe i dobre na świecie życie, które jest domu i gospodarza z domownikami snadne życie i z wczasem wszystkich, według przystojności. Owo dobrze i cnotliwie żyć grunt jest, na którym wszystkie rządy mocno stoja, na którym wszystko szczęście ludzkie zależy: dobrze żyć, sam z sobą; dobrze żyć w domu i w gospodarstwie; dobrze żyć, w rzeczy pospolitej. Tak dobre życie i przystojny w wszelkich sprawach postęp, jest kształtem i istotą wszystkich rządów; a dobre życie na rozumie, na najprzedniejszej części człowieka zależy, tak iż kto rozum ma, dobrze żyć może: kto dobrze żyje, szczęśliwym i błogosławionym jest na świecie: kto szczęśliwym jest, wszystko ma, ni naczym mu niechodzi. Zaś przeciwnym sposobem kto rozumu nie ma, albo snąć mając, rozkazania jego w tajemnym sumieniu grzmiącego słuchać niechce, taki źle żyje: źle żyjąc, nędznym i mizernym jest: mizernym będąc nic nie ma, wszystkiego mu nie dostaje. A tak na tym wewnętrznym, dusze naszej niewidomój, regimencie, to jest rozumie, wszystek rząd zależy na ziemi: z kąd małym światem człowiek przewany

jest: iż jako jest jeden co wszystkiemi rzeczami rządzi na niebie, tak też jest człowiek który na ziemi włada jeden wszystkim; jaki jest rząd pewny w rzeczach przyrodzonych, takiby też niepochybnie był w sprawach ludzkich, gdzieby się ludzie wszyscy wedle rozumu sprawowali, jako powinni; zgadzałby się nieomylny biegów niebieskich i natury samej, porządek, z tym rządem na ziemi, gdzie człowiek wszystkiemi rzeczami, bezdusznymi i żyjącymi, włada i rządzi. Do którego to wedle rozumu życia i rządu samo sumienie człowieka skrycie ciągnie żalem w omyłce: bo gdzie w jakiegokolwiek sprawie swój pochybi baczenia, zaraz obaczwszy się, żałuje, iż nie dosyć uczynił przystojności, powinności swój. Przywodzą też i filozofowie, którzy mądrze opisują ludzkich spraw filozofią, to jest, pewny sposób jako się ludzie na świecie przystojnie i wedle cnoty sprawować mają: co powinnością zowiemy, dla tego iż powinien każdy człowiek wedle rozumu się rządzić. A iż najgruntowniej i najśnadniej podał Aristoteles naukę o sprawach ludzkich językiem greckim: na tom się puścił, abym polskim językiem, dla początku pospolitego, przykładem inszych narodów, którzy swym językiem pisma wielu filozofów mają, jego naukę, o rządzie spraw ludzkich, na świat podał.

Jeśli od przodków zostawioną majątność, godzi się
przedawać.

Wszakże, Boże dajto, jak się niegodzi, tak aby niewolno było przedawać! Abowiem widzimy, iż po śmierci rodziców, którzy w młodych latach dopadłszy władze nad majątnością swoją, dobra przodków swoich wielką pracą nabyte, nieczemnie na pijaństwie, na obżarstwie, na rokoszy marniej, która jak dym mija, tracają; jak wiele młodzi na niepotrzebne, i ich stanowi nieprzystojne stroje, majątności wydawają. Tym sposobem familie niszczyć muszą. Ale dowodów w tym, nie narzekania trzeba. Pierwszy jest: Naturze niewdzięczność pokazać, nie godzi się: gdyż kto się naturze sprzeciwia samemu Panu Bogu sprzeciwia się: ale przedawać od przodków nam zostawioną majątność, jest naturze sprzeciwiać się: bo taką majątność natura sama daje; nie szanować tego, nie kochać się w tym, co kto dał, jest niewdzięczność pokazywać: tedy nie godzi się żadnemu majątności ojcowskięj przedawać. Nadto, o dobrodziejstwo od przodków dane i o opatrzenie nie nie dbać, nie godzi się: ale kto sprzedaje od przodków swoich nabytą majątność, na opatrzenie jego, nie dba o dobrodziejstwo przodków swoich: tedy nie godzi się majątność nam zostawioną przedawać. Dziedzictwo nie przyznawasz być opatrzeniem? nie

zowiesz dobrodziejstwem? Niewdzięcznym się czynisz niewdzięczny utratniku; gdy dla maluchnej rokoszy wielki dochód ojca twego odbywasz głupie! Rzeczysz: długi muszę płacić, niechęć być nikomu winien. A czemuś się dłużył? czemuś nie tak żył skromnie, jak ojciec twój, coć nabył, co ty teraz utracisz? kto kopę winien; kopę ma dochodu na tydzień, kopę na tydzień trawi, ten z długu nigdy nie wyjdzie, nie wypłaci się nigdy; także też kto więcej trawi niżeli dochodu ma, niepodobna rzecz aby nie miał utracić. Kopę masz intraty, kopęś winien; półtora złotego traw, tak z długu wynidzisz przez krótki czas; także też chcesz zachować ojcowską majątność w całe, nie więcej wydawaj, niżeli intraty masz; nie stracisz nic. Drugi nie wie co ma, nie wie co trawi, nie wie też jak w dług wlezie, dla którego majątność musi sprzedać. Dla tego, głupi i gnuśny jest, który sobie dobrze nie radzi, ani o tym mądrych ludzi się pyta; ale sprzedając ojczyznę nie radzi sobie, ani się przyjaciół o to pyta: tedy sprzedający ojczyznę głupi jest. Że nie radzi o sobie dobrze, który sprzedaje ojczyznę; ztąd znać, iż dochód, którymby się miał żywić odbywa, zastawia, sprzedaje: którego już trudno nazad nabyć, wykupić, odkupić, chyba byś chciał mając kopę intraty nie trawić, co nie jest rzecz podobna. Nawet kto czyni szkodę miastu, abo rzeczypospolitej, tego potrzeba karać i niedopuszczać mu tego: ale sprzedający ojczystą majątność czyni krzywdę miastu i przykładem złym i miłości swęj przeciw ojczyźnie umniejszeniem: bo kto więcej ma, więcej jej może służyć: tedy sprzedającego majątność potrzeba karać i bronić mu tego. Jak wielka szkoda staje się miastu, gdy stany szlacheckie niszczej; utraciwszy majątność, ziemską wdowy w miastach pojmują! jak wielka szkoda rzeczypospolitej, gdy przodków zacnych imiona niewdzięcznością, abo raczej głupstwem giną! gdy familie stare upadają i w niwecz się obracają!

Acz jasna rzecz jest, czego się w tym trzymać, wszakże iż czasem i dobrze i źle sprzedawają majątności swoje ludzie: potrzeba wiedzieć tę różność. Do przedania ojczystej majątności dobrze, ma być dobra przyczyna: jako gdy kto rzeczy pospolitej służąc, majątność ojcowską utraci, sprzedać musi, taki dobrze sprzedaje; nie tylko mu tego nie ganić, ale mu przyznać rzadką cnotę, który dla miłej ojczyzny majątność swoją sprzedał: jako gdy kto dla ojczyzny wojuje swym kosztem przeciwko nieprzyjacielowi ojczyzny: gdy kto poselstwa w cudzych krajach z pochwałą ojczyzny swym kosztem odprawuje: gdy kościoły, zamki, mosty buduje. Podczas będzie się zdać dobra przyczyna, ale właśnie

nie będzie, jako gdyby się kto w domu przeciwko sąsiadowi wojną obłożył. Zaś przyczyna zła tracenia majątności jest, gdy kto marnie wydaje dochody: jako na pacholki niepotrzebne, na rozkosze zbytnie, na koczce strojno w kobierce ubrane, na karty, na kostki: jeszcze gorzej na obżarstwo, pijaństwo, bankiety, na stroje insze i niepotrzebne, i stanowi nieprzystojne: i tego chwalić nie trzeba, co do panny tak się wystroi, że kilka wiosek przestroi. Lepiej się zalecać tym co masz w stodole, w brogach, niżli tym co masz na grzbiecie z sobą możesz wozic. A tak majątność nie ma być przedawana, którą natura daje: abysmy nie byli niewdzięcznymi; którą nam dzielność i praca rodziców przynosi, abysmy mieli o czém ojczyźnie służyć! Czego też po nas chce sprawiedliwość sama, abysmy ojczyźnie krzywdy nie czynili; opatrność nasza, abysmy miawszy nie żebrali; potrzebują też tego po nas potomkowie nasi, aby opatrność i dobrodziejstwo jakie po nas znali.

Na dowód pierwszy. Co jest naszego, to możemy odbyć; prawda jest: wszakże nasze, dwojako się rozumie, w używaniu jedno, drugie cośmy swą pracą nabyli. Co nam zostawiają przodkowie, to nie jest nasze, tylko tego używanie mamy. Bożesmy sami tego nie nabyli, powinniśmy też naszym dzieciom zostawić, co nam zostawiono. Na drugie mówię: wierzę ja temu, iż w wielu rzeczachpospolitych dobrze postanowionych cierpią przedawania ojcowskich majątności, wszakże nie rozkazują i nie chwalą: tak lichwę cierpimy, ale jój nie chwalimy, jakoby sprawiedliwej. Na trzecie odpowiadam iż to stary zwyczaj raczej wniósł do rzeczypospolitej, niżeli sama wymyśliła rzeczpospolita: bo gdzieby zakazano przedawać majątności, wnetby bunty i rozruchy się poczęły w rzeczypospolitej. Rzeczpospolita tedy przedawanie majątności ojcowskich cierpi, jako złą rzecz, ale nie ukazuje być to słuszne. Na ostatek mówię, iż przedawanie majątności nie może być bez szkody naszej: bo się nigdy na nią nie zdobędziem; nie bez szkody przyjaciół, bo im odejmiem opatrzenie, nie bez szkody rzeczy pospolitej jako się wyżej pokazało. A tak już widzisz, iż się nie godzi żadnym sposobem majątności ojcowskich przedawać, ponieważ własność jest używania, ale nie własność mienia; dożywotne tylko dochody z ojczystej majątności możemy brać, ale nie przedawać zgola.



C.

SYSTEMATA UMIEJĘTNE.

THE END OF THE WORLD

O FILOZOFII

PRZEZ

Januś Śniadeckiego. Wilno, 1822.

Z naukami Greków przeszło do Rzymian, a potem i do nas nazwisko Filozofii, brane w rozmaitem znaczeniu. Najwłaściwiej jednak służyło tym naukom, które zostawił w swych dziełach Aristoteles, obejmujących wiadomości o duszy, o rzeczach przyrodzonych i obyczajach: to jest, nauki umysłowe, fizyczne i moralne razem wzięte. Bo mądrość uważana, w nauce jestto dzieło wytrawnego i ćwiczącego się rozumu w poznawaniu rzeczy, jego pojęciu dostępnych: i właśnie to wszystko zawiera podział nauk przez Aristotelesa podany. Filozofia więc zamykała w sobie: Logikę, Metafizykę, Fizykę i Etykę. Oddział filozoficzny po wszystkich dawnych uniwersytetach obejmował dopiero wyliczone nauki, do których przydano matematykę, jako naukę prawdziwie umysłową, która jest i najlepszą logiką praktyczną, i do fizyki nieodbicie potrzebną. Ale jeszcze w każdej prawie nauce chciano mieć filozofią: i to znaczenie choć szczuplejsze i ograniczone, nie sprzeciwia się wyżej położonemu, bo to jest ogólniejszy widok jakiegokolwiek szczególnej nauki, odniesiony do początków pewnych i jasnych przez rozum ustanowionych. Każda przyrodzona nauka jest dzieckiem rozumu, kiedy jest pasmem prawd i twierdzeń, wywinionych przez czyste pojęcie i prawe wnioskowanie.

Jeżeli nazwisko filozofii przeniesiemy do człowieka, natenczas mądrość zależy na okazaniu rozumu w znajomości rzeczy, i razem w postępach życia: bo to są dwa istotne i nierozdzielne warunki do utrzymania towarzyskiego porządku, i do szczęścia osobistego, do których dąży człowiek rozsądny: bo na tej harmonii myśli i czynów zależy pokój duszy, najpierwsze dobro człowieka: i zależy jeszcze cała godność natury ludzkiej. Miłość więc mądrości prowadzi człowieka do ciągłego ubiegania się o doskonalenie rozumu, który go wynosi do najpierwszego rzędu stworzeń

ziemskich: i o pokazanie tego rozumu w swych sprawach i postępkach, które go utrzymują na tym tronie pierwszeństwa. Słowem filozofia jestto nauka prawego myślenia i życia, w ciągłej praktyce okazywana. Prawdziwy więc filozof trudni się, z przepisu Des-karta, nie urządzaniem świata, ale urządzaniem swych żądz i chuci: patrzy na nieprawości, ale z drogi sprawiedliwości nie schodzi: uzbraja się stałością i męstwem tak na nieprzyjazne ciosy, jak na zwodnicze uśmiechy fortuny: szuka szczęścia osobistego w pełnieniu swych obowiązków, i w spokojności sumienia: i nigdy z oczu nie spuszcza szacunku samego siebie.

Czyli więc zapatrywać się będziemy na filozofią jako na naukę: jest ona dostojnym i najważniejszym zatrudnieniem człowieka około wydoskonalenia samego siebie. Jeżeli ją uważać będziemy w człowieku: jest ona owocem nauki i rozwagi, okazanym w myśleniu i postępowaniu. Tak w pierwszym, jak drugim znaczeniu, jest chlubnym zarobkiem i najpiękniejszym zaszczytem natury ludzkiej.

A przecież są ludzie, u których filozofia i filozof są jeszcze dziś nazwiskami szyderstwa i obelgi: zadają jej w mowach i pismach występki zepsutej moralności i przewrotnego myślenia, liczą na jej karb najhaniebniejsze zbrodnie i zgorszenia. Te zarzuty złośliwie pomyslane, a prawie niczem niepoparte, sąto szkodliwe uprzedzenia zarażające opinią publiczną. Jest, zdaje mi się, walną powinnością ludzi naukami zajętych zapobiegać, aby się fałszywe zdania nie szerzyły w narodzie: bo pierwszą własnością oświecenia jest mieć dobre pojęcie tego, o czém się mówi i pisać i sądzić o rzeczach, nie z uprzedzenia, ale z przekonania.

Powierzchowni statysci zelżyli w wieku naszym filozofią, przypisując jej niesłusznie początek i okropności rewolucyi francuzkiej. Kto widział Francją przed rewolucją nie w Paryżu, ale po prowincyach: kto czytał dzieło Neckera o administracyi skarbu: kto patrzył na spory parlamentów obstających przy prawach fundamentalnych Monarchii, i na usiłowania rządu wyłamującego się z tych praw, ten zapewne w książkach i marzeniach ludzkich, przyczyn rewolucyi szukać nie będzie.

Jeżeli fałszywi statysci spotwarzyli filozofią, nierównie jej większą wyrządzają niekiedy krzywdę teologowie, którzy niedowiarstwo przezwali filozofią: przypisują jej całą naukę bezbożności, wyszukują skrzętnie irreligii tam, gdzie jej nie masz: nicują mowy i pisma nawet te, których nie rozumieją: wpajają publiczności podejrzenie na uczonych i na najznakomitszych pisarzy: zgoła szkalują pobożnie ludzi i nauki:

i nibyto wielki czynią religii zaszczyt i przysługę, wma-
wiając niebacznie w publiczność: że ten dar niebieski, to
boskie prawidło sumienia i życia, jest tylko dla nieuków
i głupców. Prawdziwa filozofia zna granice ludzkiego po-
jęcia i za nie nie wykracza: zna słabość rozumu w rze-
czach nawet jego dociekaniu zostawionych: a co krok ucząc
się skromności, nie ośmiela się do przetrząsania tajemnic,
od Twórcy sobie zabronionych.

Prawda, że byli ledwo nie we wszystkich wiekach pi-
sarze i filozofowie, którzy shańbili swoje pióro irreligią i
bezbożnością, rozszerzyli zgorszenie i ośmielili rozwiozłość
z niezmierną dla towarzystwa klęską. Ale wykroczenia nie-
których, dająż prawo do podejrzenia na wszystkich, i do
przezwiska zelżywego na całą naukę? Naczelnicy sekt, ka-
cerstw i ledwo nie wszystkich od kościoła katolickiego od-
szczepieństw, wszakżeto byli teologowie: godziż się dla tego
nazywać teologią nauką odszczepieństwa? i posądzać uczo-
nych i sławnych teologów o to, że oni mogą nie być pra-
wowiernymi synami kościoła? Lekkomysłność jest w każdej
sprawie, w każdej nauce szkodliwa, ale najszkodliwsza w te-
ologii: bo tu zachodzi wielkie niebezpieczeństwo zrażenia
i odstraszenia sumieni bojaźliwych od nauk istotnie społec-
czności potrzebnych; niebezpieczeństwo krzywdzenia ludzi
na dobrej sławie, najmilszej każdego w towarzystwie wła-
sności, a zatém przestąpienia najpierwszego i fundamental-
nego prawa religii naszej, która od miłości Boga nie po-
zwala oddzielać miłości bliźniego.

Zdania ludzkie pismem ogłoszone, wzięte nie luzem
i pojedynczo, ale odniesione do tego, co je poprzedza i co
po nich następuje, mogą być religii przeciwne, a zatém
ludziom i towarzystwu szkodliwe, natenczas jest chwalebna
gorliwość i powinnością teologów ścigać takowe zdania,
wystawiać je w swych szkodliwych skutkach i siłą przeko-
nania tamować szerzenie się zarazy i bezbożności. Ale też
mogą być zdania, na pozór tylko mylne, podlegające róż-
nemu tłumaczeniu, które osnowa pisma i inne jego miejsca
wyswiecają i okazują jako niewinne. Natenczas sprawie-
dliwość każe wytknąć i rozróżnić znaczenie szkodliwe od
niewinnego; ale nie posądzać pisarza o pierwsze, kiedy
osnowa pisma tego nie stwierdza. Jest to zaiste rzecz
w autorach naganna, a nawet dobremu pisaniu przeciwna,
wtrącać do dzieł poważnych zdania wieloznaczne, i na złą
stronę brać się mogące; ale znowu zastanawiając się głębiej
nad giętkością myśli i mowy, przekonamy się: że ledwo
jest myśl ludzka, którejby, przez skrzętne lub złośliwe szpe-
rania, na dwie strony obrócić nie można, i przypisać auto-

rowi to, czego on nigdy nie myślał. Szarpać natenczas i potępiać pisarza o to, co jest owocem cudzego przywidzenia jestto naśladować owego tyrana Syrakuzy, który kazał zgubić człowieka za to, że mu się przyśnił jako buntownik.

Odwróćmy oczy od tego obrazu nieprawości: i dzie. ludzi, wszystkiego na złe użyć mogących, nie przypisujemy, ani świętemu powołaniu, ani tak wielkiej i dostojnej naucz. Każda nauka ma swoich półmędrków i kuglarzy, którzy ją znieważają i psują: i ma także prawych czcicieli i wyznawców, którzy ją z chwałą i pożytkiem doskonałą i szerzą. Własnością pierwszych jest powierzchowność, podłatana dumą i zuchwałością; przymiotem drugich jest gruntowność, ozdobiona skromnością i wielką przezornością w sądzeniu. Gruntowny teolog nie osławia filozofii, ale ję się uczy; jako sobie nietylko pomocnej, ale nawet istotnie potrzebnej. Potrzeba mu filozofii do roztrząsania i ustanowienia charakterów, przez które rozeznaje się wiara prawdziwa od fałszywej: do zgłębienia i mocnego wystawienia pobudek zniewalających do wiary: do wyłożenia gruntownych początków, znamion i zasad pewności historycznej. Potrzeba mu filozofii do uwag krytycznych nad tém, czego dowodzi; żeby odrzucał dowody słabe i takie, którychby użyć mogła religia fałszywa: do rozpoznania tego, co jest przykazem boskim, od tego, co jest przydatkiem ludzkim: do zgruntowania i zrozumienia zdań ludzkich, różne znaczenia mieć mogących: i do rozróżnienia tych, które prawdziwie krzywdzą religią, od tych, które ję w niczem nie naruszają. Potrzeba mu filozofii do zdrowego sądzenia o cudach: bo przyjmować skwapliwie i rozsiewać cuda zmyślone i niepotrzebne, jestto osłabiać prawdziwe, na których się religia nasza opiera.

Wyliczone tu potrzeby wyciągają po teologu rozległej nauki, czystego i trafnego rozumu i tej bezstronnej i łagodnej wyrozumiałości, która zniewala umysł i serce w duszach nawet nieprzyjaznych i upartych. Tacy to teologowie światłem filozofii wsparci, są i będą zawsze przyjaciółmi nauk i oświecenia; oni tylko umieją sprawę religii bronić i utrzymywać z tą mocą i godnością, jakie przystoją prawdziwie nieskalanej ani namiętnością ani głupstwem.

Religia jako dzieło boskie obeszłaby się bez wszelkiej ludzkiej pomocy; ale jako sprawowana przez ludzi, przeciwko ich przewrotności potrzebuje usługi filozofii. Filozofia jestto użycie rozumu w poznawaniu świata. Jak religia tak rozum są darami nieba: więc się łączyć razem i wspierać powinny do utrzymania porządku towarzyskiego, do

skazania człowiekowi dróg szczęśliwości teraźniejszej i przyszłej i do godnego uwielbienia Boga w rozwadze, podziwieniu i w prawem użyciu dobrodziejstw rozlanych w stworzeniu świata.

WYKŁAD

Filozofii natury i filozofii ducha ludzkiego

przez

Dr. Józefa Kremera, Wilno, 1852.

Natura.

Dzieje pojmowania natury są zarazem historią duchową ludzkiego rodu: bo stosunek myśli człowieka do przyrody świadczy zarazem o treści, którą sam na sobie zdobył i wyważył z wiekuistych głębin istoty swojej.

Duch człowieka w porannych chwilach ludzkich dziejów, jakby niemowlę, pogrążony w urokach tajemniczych zmysłowego świata, nie uznał jeszcze siebie, ani odróżnił nieskończoności własnej od potęg głuchej materii i jakby oczyniony czarodziejską pieśnią natury, tonął w marzeniach sennych. Natura ta, przybierając się w szaty zjawisk zmysłowych, to go straszy i trwoga serce mrozi, to znów pieści, głaszcze i uśmiechem pociesza — to gromem swoim i błyskawicą przeraża, to go znowu, niby spłoszone dziecko, przytulając do ciepłego łona, złotem jabłuszkiem i kwiatkiem bawi. Nie dziw przeto, iż wtedy człowiek, nieświadom wiekuistej puścizny w piersiach własnych, korzy się przed naturą jakby panią swoją, a jej przykazanie, owo prawo materii, za prawo i zakon swój uznaje. Jest to jedność człowieka i natury, jest to pierwsza epoka jego pielgrzymki przez historię. Lecz ta jedność jest dopiero pierwszą, pierwotną jednością człowieka i natury: bo dopiero zamętem i pomieszaniem ducha i materii. A trzeba było silenia się lat tysięcy, pasowania się narodów, które dawno pomarły, zanim duch człowieka dorobił się prawdziwej jedności swojej z przyrodą: bo jedność takowa, jak z jednej strony zależy na odróżnieniu się jego istoty od natury, tak z drugiej strony opiera się na zjednoczeniu się z tą naturą, mocą rozumu i umiejętności. Ta przeto rzetelna jedność z naturą stanąć jedynie może na przekonaniu, iż duch stworzony, dobiwszy się wysokości jemu należnych, będzie sobie

miał naturę za podnóże swojej chwały i potęgi. Wszak również myśl winna znowu twardym trudem a wytrwałością dokupić się poznania tajemnicy przyrody, wysledzić jej mistyczne pracownie i zedrzeć opone, w którą się odziały olbrzymie jej potęgi: słowem, człowiek winien zrozumieć naturę. A gdy myśleniem przeniknie wszystkie zagadki jej żywota, wtedy dopiero poznać zdoła, że jego rozum z rozumem natury jest w jedności; że myśli, pulsujące w naturze, są jedynie uzmysłowieniem myśli jego własnych; — wtedy też duch jego zleje się w jedność z przyrodą całą, w ową jedność prawdziwą. Atoli w tej jedności nie straci wiedzy o różnicy własnej istoty a zmysłowego świata — tylko dreszczem nieskończoności przeniknie go prawda, że duch a natura poczęte są i zrodzone są z jednej i tej samej myśli bożej.

Lecz inaczej się rzecz ma w onej pierwotnej, niemożnej, niemowlęcej jedności: bo w niej człowiek, mącąc nieładem ducha i materję, nie zdołał się upamiętać, i sam rozpływał się w naturze, w niej tonął nie uznając siebie. Syn zmysłowości, i przyrodę i siebie pojmował jedynie zmysłowo. Zamiast usłuchania szeptów nieskończoności drgającej w sercu własnym, i zrozumieć wyrocznie ducha swojego, przypisał to materji; ztąd świat zmysłowy zaludnił się duchami, zagrał czarami i zabobonem. Gwiazda, robaczek, rzeka lub zwierz straszliwy, to teraz jego Bogi, to demony zaklęte w jestestwa materialne; rój marzeń ciężkich na jawie, jak zmora cisnie jego duszę; człowiek wierzy w gusła, sam czarodziejem się staje, rozkazuje naturze, a tak dowodzi owej swojej jedności ślepej z naturą, dowodzi że nie zna rozdziału między myślą a materją. On nie świadom, iż jedynie potęgą i trudem duchownym zdoła stać się panem przyrody i jej władzcą; on natury jeńcem; przeto szczuty gorącą chucią własnej cielesności, sam staje się jestestwem natury i srogością podobny dzikiemu zwierzwowi.

To jest pierwszy oddział wielkiego dramatu kształcenia się człowieka; świadczą o nim wszystkie ludy, które się zatrzymały na pierwszym szczeblu rozwoju swojego.

Po nim rozsuwa się drugi obraz. I tutaj nie znika jeszcze owa nierozdzierzgłona jedność ducha i natury, ale przybiera wyższe, głębsze formy. W obec człowieka, wszystko co jest, rodzi się i znika, przesuwa się po scenie rzeczywistości, niby bezcielesne cienie latarni magicznej. W tém migotaniu i mienieniu się wszech jestestw, niby morskich fal, niema nic stałego, krom tej wiecznej nietrwałości tego wszystkiego co jest. Ztąd też myśl człowieka, zanurza się teraz w głuchych głębiach wszelkiej bytności i wróży, że

tam na dnie owych zjawisk różnobarwnych świata przebywa istnienie, co jest zawsze jedno i toż samo, co jest bez różnic, bez granic, co nieskończone w czasie, nieskończone w przestrzeni. To istnienie ciemne wypuszcza z przepaści swoich owe tłumy jestestw różniących się między sobą; lecz te jestestwa, to czerce widmo, to bańki wodne, co świecą, co błyszczą chwilę, lecz znów, utopione w otchłaniach owego głuchego istnienia, giną bez śladu, ustępują innym nowym bańkom, co znów w sobie pękając, roztryskują się w nicestwie. Tak wiecznie i wiecznie wszystko się przemienia, a wiecznie jedno tylko jest prawdą, że niema prawdy, krom owego ciemnego istnienia, co nie jest żadnym szczegółowym jestestwem, co jest owym morzem bezdennym, igrającem, niby falami, światem jestestw wszystkich. — Nie dziw przeto, iż sam duch człowieka, nieuznawszy siebie jako całość udzielną, samoistną, sam siebie uważa za jedną z tych baniek znikomych, co wraz z całą naturą ginie w przepaściach ogólnego głuchego istnienia. Duch roztryskując się w nicestwie dokonywa smętnych zaślubin swoich z tym istnieniem co go pochłania, a tak zarazem tonie w jedności z naturą wszystką.

Jest to panteizm orientalny w całej straszliwości nocnego majestatu swojego; jest to owa nauka, co w ułudnej postaci nadziemskiej poezji, przyprawiwszy sobie skrzydła anielskie, uśmiechem czarodziejskim uspiła Indye: a gdy je snem duchowym złożone być widziała, wyssała z tego ludu, niby upiór, krew żywotną, serdeczną, i zostawiła go wyschlą mumią na ziemi. Ten panteizm przeszedł narody wschodu, przystrojony w szaty niby głębokiej filozofii; ale mądrość tej filozofii była rozpaczą bez granic, a słowa jej, dzuma śmiertelną dla ducha. Wschód nie zdołał wyrwać się z tych topieli chłonących go; lecz my dziś, młodsze syny wytrawionego świata, zdołamy stanąć wszelkiemu panteizmowi oko w oko i zapytać się: czém się dzieje, iż jestestwa różne zradzać się mogą z istnienia, które samo ma być bez różnic w sobie? zkadże tedy powstaje ta różnica jestestw? I zaiste, uważmy, jeżeli ta różnica jestestw nie bierze się ze samego istnienia tego, więc te jestestwa dla tej właśnie różnicy swojej są zupełnie niezawisłe od istnienia tego, nie są w żadnym związku z niem, są w sobie samoistne. Tak tedy obok tego istnienia głuchego, istnienia bez różnic, istniałaby rozmaitość jestestw, jako druga od niego różna potęga i niezawisła od niego, jako moc, równa mu z pochodzenia i wagi, nie mogąca przeto być pochłoniętą w tym istnieniu głuchym! Jeżeli zaś inaczej się dzieje, jeżeli te jestestwa, tak różne od siebie, rzeczywiście pocho-

dzą od istnienia owego; przeto téż to istnienie winno mieć te różnice w sobie zarodem; nie jest przeto głuchém i cichém w sobie, nie jest w sobie bez różnic; a w takim razie nawzajem téż te jestestwa różne, pochodząc od tego istnienia ogólnego, wiekuistego, będą w sobie miały piętno pochodzenia swojego, będą w sobie miały również pierwiastek ogólny, wiekuisty. W takowym razie jestestwa zmysłowe znikają, ale nie znikają myśli które się niemi wyrażają, a które są treścią owego istnienia. Te myśli różne między sobą, są trwałe i nie przemijają nigdy, choć przemija szata materji, która je przyobleka. Jestestwa zaś duchowe, będąc już nietylko myślą ale myślą myślącą, wyrażające tedy same siebie, same przez się są wiekuiste, nieginące nigdy, są nieśmiertelne. Jest to zarzut, przed którym nie zdoła się ostać *panteizm, w jakiegokolwiek się pojawi postaci*. Atoli długi szereg stuleciów i tłumy narodów przeszły przez historję, zanim świat zakląć zdołał słowami prawdy owe straszidło panteizmu, co dziś jeszcze upiorem niekiedy wstaje z grobu i trwoży przybrawszy na siebie szaty filozofii.

Gdy ta nauka za nic sobie waży osobność, osobność ducha, w Grecyi rozwiązała się zagadka sfinksowa, tajemnica istoty człowieka, bo tutaj świadomość siebie uznana była za pierwiastek wszelkiego duchowego żywota. Jakoż tutaj bóstwo nie jest więcej potęgą głuchą, otchłanią bez treści, nieświadomą siebie, bóstwo jest tutaj jestestwem wolném, wiedzącem o sobie. To wyobrażenie o niebie, ma swoje odbicie na ziemi: Grek czuje się być jestestwem duchowém, niezależném i siebie świadomém.

Atoli i w Helladzie myśl nie wyswobodziła się jeszcze w zupełności z pod przewagi i uroku natury; człowiek nie zerwał jeszcze do ostatka z ową pierwotną jednością ducha i przyrody: bo choć on zna nieskończoną wyższość ducha nad naturą, toć go jeszcze pojmuje jako obleczonego w postać zmysłową. Grecya nie zdoła wystawić sobie ducha samego przez się, lecz go przyodziwa w ciało, w materję. Grek uduchowił materję, a uzmysłowił ducha. A gdy natura jest właśnie rozprysnięciem się całości myśli na jednostkowe, odrębne od siebie jestestwa w przestrzeni i czasie; przeto téż w Helladzie bóstwo jedno, nieskończone, bezwzględnej w sobie treści, rozstępuje się na wielość bogów o postaci cielesnej, o słabościach ludzkich: one cierpią, czują, gniewają się i radują po ludzku, rodzą się i żyją w czasie. One, choć same nieśmiertelne, zstępują z jasnego promienistego Olimpu na ziemskie doliny, kochają się w synach i córkach śmiertelnych, bo im tęskno na niebie, w tym samym majestacie wiekuistej potęgi. Choć ten jasny, luby świat bogów, po-

częty i wypiastowany w sercu człowieka jakby w cichym Olimpie własnych uczuć jego, jest wyrazem obyczajów a myśli i czynności duchownych; toć przecież każdy z bogów zarazem jest jeszcze wyobraźnikiem jednej lub nawet więcej ze sił przyrody, a nadto te bogi, choć światowładne, w przekonaniu Greków są tylko greckimi bogami, bo oznaczają wyłącznie grecką narodowość, a tém samém mają na sobie piętno pochodzenia materyalnego, piętno natury.

Lecz materya uduchowiona, lecz duch uzmysłowiony jest pięknoscią. Nieskończoność ducha, stając po raz pierwszy wśród ludzi, bierze na się skończone formy materyi, by nie olśnić wiekuistością swoją śmiertelnych oczu człowieka. Atoli przez te formy zmysłowe promienieje jasność bezwzględnej prawdy, a tak zradza się piękność na ziemi; a człowiek paląc ofiary na ołtarzach swoich bogom, owym piękności ideałom, sam duchowi swojemu pokłon i cześć oddaje.

W rychle atoli przeminęła ta młoda wiosna ludzkich dziejów, którą obchodziła historia w ojczyźnie Hellenów; w rychle, jakby ze struną zerwaną, umarła harmonia ducha a natury i rzeczywistości. Sokrates odwrócił się od natury i od rzeczywistości otaczającej go w koło, w głębinach piersi jego odezwał się głos proroczy, i szepnął demon: że człowiek nie w naturze, ale w sobie samym winien dosłuchać się prawdy wiekuistej; że nie ta rzeczywistość, więc nie ten obyczaj, religia, prawa Grecyi, nie natura, ale duch sam, przekonanie ogólne, jest miarą wszech rzeczy.

Tak jedność myśli a istnienia wszelkiego, będąca zadaniem każdej filozofii, miała się teraz wysnuć ze samej myśli naszej; we własnej myśli człowieka winien był zdobyć sobie tę jedność.

Prawdy, które Sokrates orzekł, jakby abstrakcyje, jakby ulomki niepowiązane, a nitki złote niesplecione z sobą, związały się w system, w całość, w geniuszu Platona i Aristotelesa, idących na chwałę człowieczemu rodowi. Przecież lubo Aristoteles był najpotężniejszym duchem ze wszech ludzi, których kiedykolwiek zaznała historia: przecież ani on sam, ani Plato, nie zdołali dokonać owego zadania filozofii — jedności myśli i istnienia. Nie dosłużyła się Grecya téj jedności i nie mogła się jój dobrać, bo należało wprzód zerwać do ostatka ową jedność pierwotną ducha i natury, rozwiesić do dna ducha i przyrodę, a następnie dopiero dorobić się jedności obu tych stron. Lecz Grecya nie zdołała nigdy wyłamać się w zupełności z pod uroku natury; zatem też nigdy nie dorobiła się rzetelnego zrozumienia natury, owéj prawdziwéj jedności myśli i istnienia.

Ztąd też jej filozofia kończy rozpaczając o wszelkiej rzeczywistości, umiera na sceptycyzm, powątpiewając o prawdzie na ziemi. Myśl obojętnie na świat, cofa się w siebie, jakby do cichej, pustej, zrabowanej świątnicy własnego ducha i tam kona ze czczości.

Roma, uczennica w umiejętności Grecyi, idzie jej śladem; lecz co w Grecyi było rozpaczą umiejętności, staje się tutaj okropną rzeczywistością. Rzym długo konał przed śmiercią. Tu w sercu człowieka otworzyły się próżnie bezdenne przesycenia; zatem z rozpacz albo rzuca się w objęcia rozkołysanej zmysłowości, i to nazywa filozofią Epikura; albo, w dumie stoicyzmu — w głuchocie sceptycznej — kończy samobójstwem. Świat wołał ratunku; wtedy na oścież rozwarły się bramy, i tłumne czernie wyroiły się na Europę. Tak znów zjawiała się owa pierwotna jedność z naturą, pełną surowizny i rozuzdanej dzikości. W sercu tłuszczy butność i zuchwalstwo, a w mózgu gore żar fantazyi; rozsiadła się ona przeto obozem po stolicy stariej a spróchniałej cywilizacyi. Ale w tym samym Rzymie, w którym co dopiero królowała potęga światoburzcza — w tym Rzymie wiara zbawienna założyła wielki ołtarz swój: ztąd wyszło ukroczenie zuchwalstwa i owój surowizny barbarzyńców północy. Wiara jakby w czyscu przepaliła serce chucią wrzące, i w płomieniach rozrzewnienia wytopiła zeń zmysłowości żuźle. Namiętność prochem spadła na ziemię; hardy syn natury skruszał — zapłakało mu w duszy, ukorzył się jakby dziecię pokutujące i zwrócił oczy ku niebu. Myśl i serce teraz ucieka od natury, jakby od wroga swojego; co zmysłowe, co cielesne, teraz wydaje się dla niego szatańską pokusą; rozstał się do szczętu z przyrodą, a wśród boleści zdjęta mu jest katarakta z zewnętrznego oka. Tak się uduchowiał, zidealizował; tak wśród ścierań się i łamań średniowiecznych odbyło się przerodzenie z gruntu człowieka, i pękły ostatki owój pierwotnej jedności.

Gdy już duch historii świata znalazł dla siebie pole wykarczowane i wyplenione z chwastów zmysłowych, wtedy w XV. i XVI. stuleciu padło ziarno nowego zwrotu w dziejach ludzkich. Człowiek miał się pogodzić z przyrodą i dorobić się trudem duchowym owój jedności prawdziwej z naturą. A stanęli wśród ludzi, jakby prorocy tego nawrotu do natury, Kopernik i Kolumb: tamten po niebie, ten po ziemi odkrywa światy nowe. Duch godzi się z naturą; przeto Leonard i Rafael sprowadzają z nieba postacie malowanych obrazów, w nich uzmysławiają ową jedność ducha i natury, ideału i materyi. W tych obrazach nieskończoność przybiera na się formy z natury, pożyczone;

w nich doczesność a wiekiistość, niebo a ziemia, obchodzą zrekowiny swoje. Bako ogłasza światu nowe zapatrywanie się na naturę, a Kartezjusz orzeka: „*myślę, więc jestem*,“ a tak w tych trzech słówkach jednoczy myśl i istnienie. Filozofia podejmuje te trzy słowa jego i przedzie je przez trzy następne wieki, aż w końcu, po długich zapasach z sobą, dochodzi do prawdy, że myśl Boża opatrzna rządzi światem, że Bóg jest przytomny w świecie; lecz że sam ten świat stworzony, jest tylko rąbkiem szaty jego. Filozofia wykazuje, jak owa myśl Boża świeci w gwiazdach i drga w pyłku, rusza się w spadającym jabłku i w kołowrotach planet na niebie, przemawia w dźwięku i w żarach płomienia: jak oddycha w roślinie, w czynnościach psychicznych duszy człowieka; jak pali w sumieniu, jak wodzi ród ludzki przez lat tysiące i przemawia w sercu wiarą; jak prze myśl człowieka do coraz wyższego rozwoju, a myśl ludzka przedzie nie swoją i po tej nici spina się coraz wyżej, aż stanie u podnoża tronu Bożego.

Historja ziemi.

Dziś natura i jej praca około ziemskiej kuli ucichła; przeszły jej konwulsyjne porody i bólesci; przebrzmiała wojna dzikich potęg; niekiedy tylko roztworzy się tu lub owdzie ognisko wulkanu i zionie płomieniem i wstrząśnięciem obszarem krajów, strachem ściskając serca ludzi, i przypominając że owe stare cyklopy, przywalone brzemieniem skalnym, jeszcze nie usnęły na wieki; że pracują i robią chcąc się wydzwignąć z ciemnic podziemnych, gdzie je opatrzna ręka Mądrości przedwiecznej zamknęła. Lecz te gwałty a łomoty są jedynie słabym przypomnieniem dawniej natury; zaledwie postraszą a już zamilkną, by nie przeszkadzały pracy duchowej ludzkiego rodu. Człowiek dziś pielgrzymując po tej ziemi, jakby po ojcowskim domu swoim, wpatruje się w to ukształtowanie ziemskiej skorupy, i pyta ją i bada o losy i dzieje tej budowy planety swojego; a ziemia, zaklęta w imię umiejętności, opowiada epoki zrodzeń swoich. Z wierzchu, tuż pod stopami naszymi, zamknięte są kości zwierząt, zupełnie podobnych do dzisiejszych, a wśród nich rozsypane są stare urny, popielnice kości ludzkich, szyszaki i topory starych, zmarłych wieków. Lecz gdy się weźmiesz głębiej i zapytasz się dziś martwych świadków zapadłej natury, już inny świat rozłoży się przed oczyma naszymi. Obaczysz ziemię, choć w mroźnych dziś strefach, okrytą gajami drzew skwarniej zwrotnikowej natury; w nich ogromnej wielkości jelenie pasą się stadem, i cisną się gromady słoniów, mastodontów i innych olbrzymów

natury zwierzęcej, a po bagnach igra hippopotam, nosorożec, a po brzegach grzmi rykiem lew i tygrys, i wyje niedźwiedź srogiej wielkości: lecz nigdzie niema śladów stopy ludzkiej. Ale i ta scena do nowszych należy, poprzedza ją inny świat: ocean ogromny rozwlókł się po ziemi, a w jego głębiach ciżbą nieprzebraną uwijają się łodziki, żeglarki o dziwnych kształtach. Ale głębiej i głębiej znowu sięga badawcza myśl geologa, a jeszcze starsza epoka przedstawia mu się w dziwnych postaciach. Łądy lśniące bogatą naturą, lasy palmowe i szyszkowych drzew, poszywają doliny i góry; potężnym korytem przewalają się nurty rzek, a wody i ziemia pełne potwornych płazów, tak olbrzymich, że już żadne z dzisiejszych z niemi w porównanie pójść nie mogą; grzeją się na słońcu, gramolą się po bagnach, i puszczają się na łup w gęste puszcze pierwotne; a żółwie, krokodyle i inne jaszczury, tysiącami szukają w młakach pożywienia dla siebie. A po wodach i po łądach i po powietrzu snują się straszidła dziwolężne, owe ogromne pterodaktyle, owe płazy uskrzydłone a smoczęj postaci, co panują we wszystkich trzech żywiołach ziemskich. Lecz i tu jeszcze nie znajdziesz pierwszego okresu, pierwszej formy naszej ziemi. W poprzednich epokach nauka coraz biedniejsza w formy w formy wyższego życia, aż наконец zdoła wydać podrzędne ślimaki, korale, a w końcu jedynie świat mikroskopowych wymoczków.

Każda epoka tedy zawiera osobny dla siebie system zoologii i botaniki, które znów wszystkie w połączeniu z dzisiejszym światem, dadzą się zjednoczyć w jeden wielki system botaniczny i zoologiczny. Tak biorąc za podstawę dzisiejszy świat zwierzęcy i roślinny, jeżeli spostrzeżemy w łańcuchu stworzeń tu lub ówdzie jakiś brak pośredniego ogniwa, jakiś za nadto nagły skok, jakąś lukę między niższym a tuż po nim następującym wyższym jestestwem, już ten brak i luka znajdzie dopełnienie swoje w jakimś jestestwie już nieobecnym w dzisiejszym systemacie świata, a przytomnym nam jedynie w jakimś szkielecie lub kości, w skamieniałości lub odcisku. Na wiele wątpliwości znajdziemy odpowiedź, bylebyśmy się zapytali tej kośnicy dawno zapadłego świata, i zrozumieli tę jego mowę starą.

Budowa zewnętrzna kuli ziemskiej.

Powyżej rozsnuliśmy zasadnicze pojęcia wnętrza kuli ziemskiej, a tak rzecz sama prowadzi do odwrotności swojej, zatem do zewnętrznej budowy planety naszego. Atoli ten związek ogólny między wewnętrzną a zewnętrzną budową ściślej się jeszcze okaże, gdy zważymy, iż budowa wewnę-

trzną skorupy ziemskiej, ma się do ukształtowania powierzchni ziemskiej jak *potęga wewnętrzna do zewnętrznego objawienia*; co jest (jak wiemy) jedną z kategorii logicznych. Jak wszędzie tak i tutaj rzeczywistość jest wyrazem ogniwa logicznego; bo ukształtowanie powierzchni, tak całej kuli, jako jej pojedynczej miejscowości, jest odbiciem odpowiedniej mu geologicznej natury.

Dopiero nasze czasy przerodziły jeografię w umiejętność i postawiły ją jako równieśnicę obok starszych jej siostr w świątnicy wiedzy ludzkiej. Dawniej jeografia była zbiorkiem wiadomości i wiadomości, przyczepionych jakby z łaski do dziejów pojedynczych ludzi historycznych lub do żywota narodów i państw. Tak żyła w ubóstwie i poniżeniu, okruciami, które spadały z bogatego stołu historii, polityki lub filologii; szczęśliwa, jeżeli ją raczyli uważać za użyteczną, choć podrzędną pomocnicę w wspaniałej budowie wiedzy, którą duch ludzki sobie dźwigał na mieszkanie a chwałę swoją. Lecz skrzętna i baczna robotnica, pracując w zaciszu, obaczyła się w końcu wśród obfitego dobytku długowiecznych trudów swoich i spostrzegła, jak jej duchowa majętność się wzmogła, jak te jej wiadomości rozjednostkowane a ułomkowe fakta, zrosły się w jedną całość organiczną. Teraz roztworzyły się inne widoki dla jej działania. Pojęła ona, że jej zawisłość od innych nauk się skończyła, że zdoła już sama zapracować dla siebie na swój własny dom; bo jakby gromem zapalił się w niej pomysł, że i ona ma to zacne powołanie, by wysledzić Boże słowo skreślone, tak budową lądów i krajów, jak architekturę dzielnic świata, jak morską topielą, jak gwiazdztwem pismem na niebie. Co było dla dawniej jeografii jakby faktem przypadkowym w naturze, co było dla niej opisem niewolniczym, wyliczaniem, stało się już treścią dla myśli, dla rozumowania filozoficznego. Gdy teraz umiejętność młoda z wysokości obłocznej zadumiona wpatrzyła się w tę kulicę ziemską, pobożną myślą w niej tonąc, już poznała, że tu Opatrzność nie nie zostawiła swawoli ślepego przypadku, że zanim człowiek był wywołany słowem Bożem, anioły Pańskie prostowały dziejom ludzkim ścieżki na ziemi; że każdy ocean, każda część świata, każdy kraj, każda rzeka a morskie pobrzeże, ma głębokie znaczenie swoje. Tutaj góry i doliny, sieci wód i pobrzeża, przemówiły o mądrości Bożej i zaśpiewały hymn na chwałę wiekuistej myśli stwórczej. Jak kości w organizmie wierne do siebie należą, jedną składając całość, tak również uznano że te lądy i te morza, rzeki i części świata, nawzajem wypływają z siebie; że tym właśnie trybem, jakim są,

a nie innym, winne były być zbudowane, jeżeli się miały stać domem ojczystym dla historyi i kształcenia się ludzkiego rodu, tudzież nauki jego początkowej, zanim duch człowieczy, odrodziwszy się śmiercią ciała, przejdzie do wyższej szkoły Bożej, prowadzącej go już pod stolicę niebiańskiego Ojca.

MYŚLINI

CZYLI

CALOKSZTAŁT LOIKI NARODOWEJ,

przez

Br. F. Trentowskiego. Poznań 1844.

Pierwsze oznaczenie loiki.

Ciemne są wierzeje, przez które świat wysunął się z powiatów wieczności; ciemny jest ogólnej matki naszej, ziemi początek; ciemne jest każdej rzeczy, każdego zwierza i człowieka, ludzkości całej pierwocie; ciemna jest ta romantyczna gwiazda, co raj dziciństwa świata i naszego dzieciństwa rokosznym swym brzaskiem złościła; ciemno jest przed wszelkim słońca wschodem. Z ciemnic nocy występuje wszystko jak Afrodyta z głębin Oceanu. Nie bez głębokiej myśli Grek starożytny zrobił noc matką swych Bogów i świętą wszechistnienia głowatką. Każdy początek, zaczęć i początek Myślini, jest prawdziwym mżykiem. Z zawiązanemi oczyma stoimy tu przeto i oczekujemy na pierwszy połysk loicznego dnia. Chociaż i zrzucimy z oczu zawiązkę, zobaczymy niewiele; gdyż oko nasze spotka jedynie zmrok przedśłoneczny, czyli *loiczne zaranie*. Jest tu bowiem obowiązkiem naszym oświadczyć, czém jest loika, t. j. dać pierwsze jej oznaczenie. Niech oznaczenie to będzie jasne, jak Oblicz Mojżeszowego Jehowy; niech otrzyma piętno najwyższej doskonałości; wszelakoż émy pierwiastkowej nierozpędzi. Czemu? Może to być li płomyk światła walczącego z ciemnością. Chociażby on i błyskawicą wybuchnął, to bardziej razi, niż oświeca. O przekonaniu czytelnika ani myśli. Pierwsze oznaczenie loiki niewyczerpnie, jak naturalna, téj umiejętności, nie da się postawić, jak talerz z potrawą; roztworze tylko podwoje do naszej świątyni i pokaze ołtarz główny, z daleka. Loikę ujrzyć można poraz pierwszy tak jedynie, jak ten lub ów przedmiot nam nie-

znany, leżący w niesłychanej oddali; jak obłoczki światła gdzieś na dnie niebieskich przepaści! Niema więc nic dziwnego, że początek loiki jest ciemny.

Ciemność każdego początku jest już jego trudnością. Ale są jeszcze inne do trudności tej powody. Życie zwyczajne ma przysłowie: *wszelki początek jest trudny*. Nigdzie atoli niejest on tak trudny, jak w umiejętności. Jeżeli bowiem pragniesz np. pałac wystawić, masz ziemię gotową, którą sam Bóg uczynił *calcem*, t. j. niewzruszonym gruntem, a więc wyborną gmachu twego podstawą. Dobrotliwy Ojciec wszechświata przygotował Ci tu nawet materiały, bo stworzył od wieków granitowe góry, z których kamień brać możesz; dał ci glinę, z której snadno cegły wypalić; bo wapno, do twój budowli potrzebne, jest jego dziełem. Ty masz tylko zabrać się do roboty. Nim przyszło Ci na myśl gmach stawiać; już Bóg zrobił dla niego posady i przygotował ci wszystko! Zupełnie inaczej rzecz się ma z umiejętnością. Tutaj niedość wziąć się do roboty, ale pierwój *calc* i materiały trzeba stworzyć samemu, bo umiejętność jest światem odmiennym od tego, w którym budujesz pałace. Umiejętność jest światem, który ma człowieka swym stwórcą. Zgoła tak zwana *nauka boża* nierobi tu wyjątku, bo i ją utworzył człowiek, t. j. niebios wysłaniec. Mówią powszechnie, iż Bóg stworzył świat z niczego. Również z niczego stworzył człowiek umiejętność, która jest jego światem. Co się to znaczy? Oto, niemamy tu *nic gotowego, nic danego*! Wszystko a wszystko zrobić tu trzeba samemu. Jest to więc trudność niesłychana. — Lecz niedość. Ciało nasze powstaje z prochu i w proch się obraca. Z nasienia wydobywa się młoda roślina i kończy swe przeznaczenie nasieniem. W jakie pierwiastki rzecz się rozwiązuje, z takich i powstała. Jutrzenka dla Europy, jest zorzą dla Ameryki. W całej ogromnej okolicy, będącej Izdy kościołem, początek jest wszędzie końcem. Toż samo dzieje się i na łonie umiejętności. Skoro tedy chcesz zacząć loikę, musisz ją pierwój ukończyć. Nim poznasz jej wstępnie, trzeba ci znać jej zaworniki. Kto loikę wydaje temu to nie trudno, bo może ją kilkakrotnie przerobić, i po skończeniu dzieła, dzieło zaczynać. Ale czyliż czytelnik, co z autorem pracy tej nie odbył, zdoła dzieła jego zaczątek należycie zrozumieć? To niepodobna. Zrozumie go niezawodnie, ale wtedy dopiero, skoro już całe dzieło przeczytał i po drugi raz bierze je do ręki. Koniec loiki, jako i wszelkiej innej umiejętności, będącej okrągłym systemem, czyli po polsku okrągłym całokształtem, jest jej punktem zaczątku. Ztąd pierwiastkowe jej oznaczenie jest trudne i trudne być musi. Któż tego nie

pojmuje, że na pytanie: *czém jest loika*, wtedy zdołamy należycie odpowiedzieć, lub daną nam odpowiedź należycie zrozumieć, skoro znamy już loikę na wylot? Trudność takowa niech przecież nikogo nie zraża! Kto kołace cierpliwie, temu będzie nareszcie otworzono. Ostrowidz rodzi się ślepo jak każde zwierzę, pozyskuje przecież w czasie swym wzrok najbystrzejszy. Toż samo znaczy się o ostrowidzu w nas mieszkającym, czyli o poznającej jaźni.

Pożytek z loiki.

1. Któż wątpi o pożyteczności arytmetyki i jeometrii, które nas ze stosunkami czasu i przestrzeni, czyli liczb i figur obznajmują? Ktoby utrzymywał, że dwie te nauki są na nic nieprzydatne, uznanyby został od powszechnego rozumu za nieuka, niewiedzącego co mówi. „Arytmetyki, rzekł papież Sixtus V., można nawet osłów nauczyć.“ Papież ten nieśmiały przecież, przy całym lekceważeniu tej nauki, powiedział, że ona *niepotrzebna i niepożyteczna*. Któż zaprzecza pożyteczność grammatyki, nauczającej nas mówić i pisać poprawnym językiem? Któż śmiałyby także pożyteczność loiki, tej duszy wszech umiejętności, podawać w wątpliwość? Wszelakoż są ludzie, co nas zapewniają, iż porządna głowa, choć nie zna loiki, myśleć będzie porządnie, iż przeto bez nauki tej obejść się może. „Jeniusz, mówią oni, jest sztuki wiecznym przeciwnikiem. On chce latać jak śmiały orzeł, ta zaś pragnie obcinać mu skrzydła. Loiczne formy myślenia są, jako utwór szkolnictwa, niezgrabne i pedantyczne. Lepsza nie znać ich wcale, niż wedle nich myśli swe ustawiać. Loika bierze swobodne myślenie w eugle i wie, jak konia na deptak, jak chłopaszka do francuskiego tancmistrza. Myślącemu człowiekowi, mającemu jeniusz własny, szkodzi ona bardziej, niż dopomaga, bo ofiaruje mu z całą grzecznością *kajdany na głowę!*“ — Ludzie ci będą mieli wtedy jedynie słuszność, skoro stanie się prawdą, że np. wieśniak prosty zdoła mówić językiem ojczystym wybornie, choć nie zna grammatyki; że nie uczysz się arytmetyki i nie mając o liczbach najmniejszego wyobrażenia, można rozwiązywać wszystkie arytmetyczne zadania; że bez znajomości jeometrii można być doskonałym miernikiem ziemi, a nawet lepszym od dotychczasowych mierników. Jeżeli loika ma brać w kajdany jeniusz myślenia, czemuż więc nie czyni tego samego grammatyka, arytmetyka i jeometria względem jeniuszu języka, liczenia i mierzenia? Jak Newton bez matematyki, a Mickiewicz, Śniadecki, Kollataj bez grammatyki, nie byłiby tém, czém zostali; tak jeniusz myślenia nie obejdzie się bez loiki. Może

Kant, Fichte, Szelling loiki nie znali? Więc z was są większe jeszcze myślenia jeniuse! Jak nieznawca grammatyki ustąpić musi dzielnemu grammatykowi nawet tam, gdzie ma słusznosc, albowiem nie znajdzie dostatecznych powodów ku poparciu własnego zdania, i jak nieznawca nauki liczenia oszukany łatwo zostaje od kramarzy i żydów; tak ten co loiki nie zna, nie zdoła przeciw porządnemu loikowi bronić swęj sprawy, choćby i najświętszej. Loik, wprawny we wszystkie wykręty, znajdzie tam brak związku, bład myślenia, gdzie ich niema i zwyczajnemu człowiekowi piaskiem oczy zasypie. W jego ręku stanie się naturalista myślący wnet lalką, z którą zrobi co mu się podobać będzie. Przed nim pokaże się sam jeniusz myślenia prostaczkiem! Loika daje nam pewność myślenia, albo raczej oręż, którym bronić się możemy. Czém jest karabin w obronie ciała, tém jest każde prawo loiczne w obronie ducha. Każdemu z nas mile i święte jest własne przekonanie. Za pomocą loiki będziemy mogli przy niém pozostać, bo potrafimy temu, co nam je chce wydrzeć, dać przyzwoitą odprawę. Loika zabezpieczy nas od niejednego zawstydzenia. Żaden szkolarz nam nie rzeknie, skoro pomiarkuje, iż umiejętność tę znamy: „Ucz się pierwěj loiki, niż zaczniesz się wdawać w uczone rozprawy!” Bez znajomości loiki nie można należeć do ludzi wykształconych. Znajomość ta jest tém dla myślącego człowieka, czém sztuka fechtowania i musztra dla żołnierza. Jest to sztuka uzbrajająca naszego ducha i podnosząca go do wyższej potęgi; sztuka, którą pokonać można tysiąc-kroć silniejszą naturę.

2. Wielu mężów, z inněj strony godnych czei głębokiej, ma przekonanie, iż cała filozofia jest li ćwiczeniem myślenia, gymnastyką i atletyką, czyli szermierstwem ducha ludzkiego, który ustawicznie obchodzi swe igrzyska olimpijskie, i coraz to innemi, samowolnie wymyślonemi popisuje się sztukami! „Loika, mówią oni, jest także ezczą igraszką ducha, jak i cała filozofia; może być zabawką żaków szkolnych, ale dla mężów nie ma interesu. Również my uczyliśmy się loiki; myśl nasza przecież ani się rozszerzyła, ani spoteźniała, lecz została taką, jak dawniej była. Nauką tą tylko nas do żywego znudzono. Precz więc z loiką! Są to stare, na nic nieprzydatne rupiecie; barbarzyńska wieków średnich i scholastyki spuścizna!” Nie chcemy tu przedstawiać panom tym całej niesłuszności, którą loice wyrządzają; nie wyrzucamy im: że nie mają ani myślu dla filozofii, ani należytego o niěj wyobrażenia, i że to jedynie własną ich winą być może, skoro ucząc się loiki, niczego się nie nauczyli; uderzamy w nich ze strony sumienia. Przysłowie

arabskie mówi: „Nie rzucaj w studnię kamienia, z której napiłeś się wody!“ Wreszcie: „Ni w Wiedniu, ni w Paryżu, nie zrobiają z owsa ryżu.“ Że Niemcy są myślącym narodem, tego nikt nie zaprzeczy, a gdyby to i uczynił, przekonać go snadno, pokazawszy mu choć z daleka cały Indostan niemieckiej umiejętności. Otóż w Niemczech, w tym kraju samodzielnego myślenia, jest przysłowie: *Einer faulen Geistespfütze ist gar die Logik unnütze.*

3. Szczególniej pożyteczna jest nam loika, skoro wpadniemy w ręce sofistów, faryzeuszów, dyplomatów, a takich ludzi w każdym czasie i narodzie jest wiele, i skoro ci ichmościowie, pragnąc nas do czego nakłonić, t. j. zrobić swém narzędziem, przeciw nam ze swymi sztucznymi i podstępnie wymyślonymi dowodami wystąpią; skoro usiłują na wszystkie sposoby, albo wyzuć nas z religii i moralności, albo też przywieść do nierozumnej wiary, do fanatyzmu. Natenczas czuje każdy sam przez się, iż mowa ich daleka jest od prawdy; ale kto niezna loiki, niepotrafi wykryć mylników, i w końcu ulegnie, a przynajmniej zostawi przeciwnikom zwycięstwa chwałę. Eubulides wynalazł, jak nas starożytni zapewniali, siedem mylników; ale stronnictwa polityczne i religijne, namiętność, interes, samolubstwo, wynajdują ich dziś co chwila siedem razy siedem. Tu waż szatan zastępuje miejsce gołębicy Ducha Świętego. Loika jest słoneczną tarzęą przeciw takim napaściom. Ona jest lampą Epikteta w ciemnym lesie pism bezbożnych i nieobyczajnych, lub też zamierzających pozbawić nas, pod czadzą świętości, zdrowego rozumu, który nam Bóg dał nie nadaremnie; jest pochodnią w labiryntach ateizmu, mystycyzmu. Za jej pomocą zedrzesz z osła lwią skórę; przejrzysz Hegla, Szellinga; ocenisz Witwickiego pisma i prelekeye paryskie Mickiewicza, wedle ich zasługi. Kto zna dobrze loikę, ma talizman przeciw wszelkiemu oszustwu.

4. Bez loiki niepodobna jest żadnej umiejętności prawdziwej, żadnej filozofii należycie zrozumieć, a tém bardziej jaką z nich samemu porządnie uprawiać. Jak można n.p. krytykę czystego rozumu Kanta pojąć i ocenić bez loiki? Wszakże dzieło to zapuszcza w loice swe filary, wyprowadzając z niej kategorye, antimonie i t. p. Któż zrozumie metafizykę w ogóle bez loiki? Czy podobna kazanie, lub inną mowę jaką, którą mamy odprawić publicznie, rozłożyć dobrze na części, skoro nienauczyliśmy się z loiki, co przy podziale umiejętnego przedmiotu należy się niespuszczać z oka? Czy można porządny artykuł do czasopisów lub list dobry do przyjaciela ułożyć bez loiki? Jeżeli tu rzecz się uda, będzie to li ślepym przypadkiem. Ludziom nie-

znającym loiki, wydarza się też często, iż jedno ich wypracowanie jest niezłe, drugie zaś otrzymuje publiczną chłostę. Loika, chociaż jej propedeutyką nauk wszystkich nazwać niemożna, ze względu, iż stanowi część filozofii oddzielną, a nadto nienajpierwszą: jest przecież w pewnym znaczeniu całej naukowości przysionkiem, albo raczej klucznicą do jej niebios. Jest tém, jako filozofia myślenia, które, jak naturalna, we wszystkich umiejętnościach panuje, ze wszystkiemi się zrasta i do wszystkich prowadzi. — „*Une bonne logique ferait dans les esprits humains une révolution bien lente et le temps pourrait seul en faire connaître un jour l'utilité.*” My zaś mówimy bez warunku: „Dobra loika sprawi w każdym człowieku, co nieznał jej wcale, lub też znał li powierzchownie, wielką rewolucyą wewnętrzną; przerobi go i odmieni zupełnie. Także Myślini wywrze na każdego wpływ niesłychany, co nie został dla oczywistej prawdy raz na zawsze ślepiakiem. Wszystko to dowodzi, jak pożyteczna i dobroczynna jest umiejętność nasza!”

5. Jeżeli sztuka Eskulapa jest pożyteczna, dla tego, że choremu ciału naszemu przywraca zdrowie czasami; dla czegoż więc niemiałaby być pożyteczną loika, która niezawodnie chorowitego, t. j. fałszywemi naukami skrzywionego ducha uleczy? Albo też, — szanujemże, jak dzicy, tylko ciało, tylko mięso? Loika rozpędza umidła poetyczne i wszystkie mary, wyrzuca szczer z umiejętności i pokazuje nam rzeczywistą prawdę; możnaż więc wątpić o jej pożyteczności? Prawda, niejest ona ani krową ani kozą, którą doić można; ale czyliż to jedynie jest pożyteczne, co jemy i pijemy, co nas tuczy? O, ileż naówczas pożyteczniejsza jest miska rzepy lub ziemniaków, niż wszystkie wyniosłe i niebiańskie czczewa wiary chrześcijańskiej! Kto od umiejętności więcej wymaga, niż co mu daje, t. j. więcej, niż samego rozjaśnienia i zaspokojenia ducha: ten niechaj się nieudaje przed ich ołtarze! Tu żaden zwierz i żaden kramarz nieznajdzie nasycenia: tu nie biją złota na dukaty i chleba niepieką. Umiejętność nie jest ani fabryką, ani młynem, ani młockarnią, ani garkuchnią.

ESTETYKA

CZYLI

UMNICTWO PIĘKNE

Karola Libelta.

Tom drugi. Część pierwsza.

PIĘKNO NATURY.

Petersburg 1854.

Architektonika Natury właściwa.

Wyraz to za obszerny na przedmiot, który przedstawiamy. Astronom może dzieło swoje nazwać mechaniką niebios, bo myśl jego badawcza kołuje po przestworzu wszechświatów i odwieczne ich prawa wykrywa. Atoli któżby się zapociekał podać obraz architektoniki wszechświata? To więc co podajemy, ogranicza się tylko na architektonice samej powierzchni ziemi naszej. Ale i tu taki jeszcze obszar przedmiotów, że ich ani objąć, ani do zupełności przedstawić nie podobna. Na ogólne więc tylko ograniczymy się tej architektoniki cechy. Nazwisko, acz w takim ograniczeniu, dla tego zatrzymaliśmy, że część, by też najmniej, zawsze nosi na sobie charakter całości, skoro tę samą ideę co i całość przedstawia.

Możnaby powiedzieć, że ziemia nasza dopiero się stała piękną, gdy została siedzibą rodzaju ludzkiego. W tém jej przeznaczeniu, że miała zostać mieszkaniem nieśmiertelnego ducha, podczas jego doczesnego ziemskiego żywota; że miała stać się rozległą sceną dziejów świata, niejako areną, na której coraz inne pokolenia, ludy i narody występować będą i odbywać harce swoje; w tém w ogóle przeznaczeniu planety naszego, aby dać obsłonę dla ducha i jego pojawów, leży rzeczywiście charakter piękna, i to piękna architektonicznego.

Atoli człowiek wczas odbiega od natury, nie żyje po jej jaskiniach, pieczarach, kniejach; wnet stawia sobie mieszkanie, godne być mieszkaniem nieśmiertelnego ducha, zmienia piękno natury na piękno sztuki, światem własnych dzieł pięknych otacza się, i w nim przedewszystkiem żyje. Natura też z swój strony mało zdaje się troszczyć o rozwój dziejowy na ziemi. Dzień po dniu, noc po nocy, piękności swoje roztacza, mało dbała, czy i jakie pokolenia w jej uroczne oblicze patrzą. Były okolice i są jeszcze w obszarach Afryki i południowej Ameryki, na kilka tysięcy mil

kwadratowych rozległe, a dziewiczego natury uroku pełne, które bezludne pustkami stoją. Tam właśnie, gdzie się najszczytniejsza przedstawia architektonika natury, wśród skał i rozpadlisk, wśród gór niebotycznych, wiecznymi lody pokrytych, tam właśnie najmniej są przydatne miejsca na mieszkanie człowieka, który się licznymi pokoleniami swymi głównie rozsiedla po nizinach, po nad brzegami rzek i mórz.

Architektonika natury musi zatem być obsłona wyższej idei, niżeli jest idea nieśmiertelnego ducha w człowieku. Ideą tą jest przytomność wielkiego Boga Stworzyciela; tego samego Boga, którego królestwo młodzieńcza fantazja Greków na górze Olimpu zakładała, któremu potem Abraham na górze Moria ofiarę z syna chciał sprawić, od którego później Mojżesz na górze Synai odbierał dziesięcioro przykazań, a którego świat chrześcijański wyznawa na górze Kalwaryi, gdzie się odbyło dzieło odkupienia. Na tych więc szczytach architektoniki ziemskiej, z kąd jakby bliżej było do nieba i zbawienia, a dalej od padółu ziemskiego, gdzie panuje grzech i śmierć, tam człowiek szukał przytomności wielkiego Stwórcy.

Ale jego przytomność następuje ci się wszędzie, gdzie ludzkie rozmiary nikną, a rozmiary boskie, nieskończone, czyli *bezmiary* się rozpoczynają. Z gór szczytów, dokąd czasem tylko orzeł skrzydły swemi sięga, gdzie horyzont ziemi rozprzestrzenia się w nieskończoność, a ludzie nikną i olbrzymie ich dzieła maleją w punkta zaledwie dojrzane, wśród urwisk skał piętrzących się w niebiosy, i przepaści-
stych rozpadlin, z kąd ledwie echo wrzuconego kamienia powraca, wśród tych mass i ogromów kamienistych, wśród granitów, porfirów, bazaltów, kredy, piaskowca i napływowych rumowisk, dźwigniętych niesłychaną siłą z wnętrza ziemi po nad jej powierzchnią, lub osadzonych na niej wód ogólną powodzią; tam nas ogarnia duch boży, i zda się że się unosi po tych bezmiarach.

Otóż architektonika natury, jest wygłosem potęgi, wszechmocy i chwały bożej; milcząca jest skamieniałym hymnem jego wielkości; jest wspaniałą estradą jego świątyni, której sklepieniem firmament, a ścianami nieskończoności przestrzenie wszechświata. Jako taka jest symbolem nie człowieka, ale samego Boga. Bóg mieszka w całej naturze, on ją sobą przenika, a człowiek, jako mrówię pod cedrami Libanu, po powierzchni ziemi pełza i buduje się.

Wszakże w tej małości człowiek jest wielkim, bo jest duchem nieśmiertelnym. Bóg go stworzył, aby poznawał chwałę jego, i na to ziemię zrobił mieszkaniem rodzaju

ludzkiego, i oddał mu w posługę i pożytek nie tylko co ziemia i morze nosi, ale nawet siły natury zholdować pozwolił. Przeznaczeniem człowieka jest: zrobić sobie z tego tutecznego pobytu raj ziemski, i sprawić, by się wola Boga pełniła jako na niebie, tak i na ziemi. Wtenczas też dopiero, gdy królestwo niebieskie na ziemi zapanuje, rodzaj ludzki wejdzie w ściślejsze połączenie z Bogiem, i ziemia w architektonicznej piękności swojej, stanie się nietylko symbolem przytomnego w niej Boga, ale i człowieka, co się do Boga podniósł i duchem ją swoim napełnił.

Stawając przed tym ogromem planety naszego, i mając pod architektonicznym względem objąć jego piękności, mógłby estetyczny badacz zostawać w kłopotcie, od czego zacząć i na czém skończyć. Wszakże każda umiejętność ma to sobie właściwego, że jest systemem, i że ona badacza, myślącego, nie on ją prowadzi. Ci, co przeciw systematyczności, jako przeciw czczemu formalizmowi powstają, nie pojmują natury systemu, nie mają ani wyobrażenia o tej wewnętrznej dyalektyce każdej filozoficznej umiejętności, która zarazem jest jej metodą i treścią, a w tej jedności jej postępem i rozwojem.

Wskazaliśmy powyżej trzy dyalektyczne momenta w pojęciu plastyczności: rozmiaru, kształtu i wyrazu, gdzie pierwszy przerzuca się w drugi, a trzeci jest jednością obydwóch. Otóż w tych trzech momentach jest klucz do całej umiejętności plastyki natury; na nich polega cała metoda tego działu umiejętności i cały jej rozwój; te trzy momenta wszędzie pokazywać i powtarzać się będą, a zawsze pod inną formą. One zaś same także już tylko są inną odmianą naczelných trzech momentów: formy, treści i żywota, na których cały nasz system umnictwa, a następnie system umnictwa pięknego został zbudowany.

Na onych trzech momentach polega rozkład całej plastyki natury, bo architektonika natury jest jej pięknem rozmiarowém; skulptura natury jej pięknem kształtowém; malarstwo natury jej pięknem wyrazowém. Na nich polegać też będzie rozkład każdego jej pojedynczego działu w szczególności. Czém są rozmiary w architektonice ziemi? oto jej powierzchnie bezmierne; czém są kształty? oto skaliste wyniosłości po niej; czém wreszcie wyrazy? oto architektoniczny wyraz wygląda jak z odsłoniętego oblicza ziemi, z odsłoniętych formacji jej pokładów.

Zasada wiedzy.

Zapytajmy się, co to jest myśl, tak nam doreczna i powszednia? Jestto pomysł, sąd, zdanie, które się stają by-

tem czyli jawem, gdy są objawione wyrazem, albowi znakiem zewnętrznym. Czy i te znaki, te symbola są także myślą? Odpowiedź na to łatwa: że znak nie może być tej samej natury co przedmiot, którego jest znakiem, bo inaczej przedmiot samby się naznaczał i nie potrzebował znaku. Powiedziano nie raz, że myśl jest duszą wyrazu, a wyraz ciałem myśli. Niechby i tak było, to i w takim połączeniu duszy z ciałem, jednego za drugie brącby nie można. Lecz wyraz, symbol, pomnik jakikolwiek, wreszcie znak myśli, jest tylko dla naszej myśli znakiem; nie nosi zatem duszy w sobie, ale ją ma w nas; jest więc w daleko wyższym jeszcze stopniu wyosobionym od myśli. Powiadają atoli dalej: myśl go do bytu wywołała, on jest jej utworem, jej dziełem. To twierdzenie mija się już z prawdą i na złudzeniu polega. Zapewne, że myśl jest wszędzie; tém więcej musi być w wyrazie, którym się wyraża. Ale dla tego, że myśl z nas wysadzona go zapełnia, nie idzie zatem, aby go utworzyła. Myśl w tém właśnie pokazuje niemoc swoją, że się jako myśl objawić nie może; że czysto duchowa, oderwana jej istota, jako taka, pokazać się nie potrafi, ale aby wyjść z siebie, wyjść na pojaw, ukazać byt swój, potrzebuje wyrazu, znaku, coby jej dał ciało, a z ciałem byt rzeczywisty i mieszkanie doczesne i nieśmiertelność. *Co czego potrzebuje, tego sobie stworzyć nie może, ale musi wziąć zkadınad.* Niedostatek nie może siebie sam wypełnić. Dla tego i myśl, będąca w niemocy, w niedostatku pojawienia się na zewnątrz, jeżeli się przez znak nie wyrazi, nie może tego stworzyć, czego jej nie dostaje. Myśl z siebie znaku ni wyrazu na żaden sposób wyprowadzić nie może; bo nie ma ani środków, ani materiału do tego; bo jest wewnętrznością; a wyraz jest zewnętrznnością, tam jest idealność, tu realność, dwie zupełnie przeciwne natury, i jedna drugiej nie może być ani córą, ani matką. Musi zatem być inna potęga ducha, pośrednicząca między temi obiema naturami, która buduje ciało dla duszy, wyraz dla myśli.

Wpadłszy raz na trop niedostateczności samej myśli, ścigamy ją dalej w tym kierunku. Powiedzą może obrońcy jedynowładztwa rozumu i despotycznego panowania myśli, że myśl wyrazu, ni znaku dla siebie nie potrzebuje, bo wyrazy to tylko zmysłowe formy dla zmysłowych ludzi, pomocniki zacieężne, idące w pomoc ograniczonym przez ciało zdolnościom ducha, będącego samą myślą. Odpowiadamy im na to, że co nie ma pojawu, to nie ma i bytu. Bóg sam nie istniałby, gdyby się wciąż nie objawiał. Cała potęga, cały żywot myśli na jej zewnętrznem objawieniu się polega; myśl grzmi słowem, a jak piorun uderza czynem. Nasza

ograniczoność, stawia wprawdzie granice myśli, ale pojaw
jój nie dzieje się w skutek tego ograniczenia, ale w skutek
konieczności jój istnienia. Z bytem myśli koniecznie jój po-
jaw połączony; bez pojawu nic nie istnieje. Nietylko więc
zewnątrz nas myśl obleka się w znak, w wyraz, w ciało,
aby się pojawić mogła, ale i w nas samych, wewnątrz na-
szego ducha, potrzebuje form dla wyrażenia się. Dopiero
w tych formach i przez te formy, myśl zbudza się i wiedza
się staje. Myślenie inaczej jest niepodobne. — Dość długo
w zeszłym wieku rozprawiano o tém, ażali człowiek wyra-
zami, to jest słowami mowy, myśli. Wszystkie te rozprawy
byłyby niepotrzebne, gdyby się zastanowiono nad naturą
myśli, w sposób dopiero wyłożony. Człowiek nie może ina-
czej myśleć, tylko przez znaki myślenia, czy to niemi będą
słowa mowy ustnej lub pisaną, czy też obrazy całe, bę-
dące równie warazem myślenia.

Kiedy taka jest konieczność myśli, że ani zewnątrz, ani
wewnątrz nas, bez wyrazu pojawić się nie może, widzimy
oraz, że w ogólności bez zewnętrznego znaku, ani z nicości
swojej powstać, ani się porodzić, ani niemowłeciego kroku
postawić nie jest zdolną. I taż to jest wielowładna pani, co
sama jedna berło ducha dzierżyła, sama jedna wypełniła
jego istotę niby celę zakonną, wiodąc w niej żywot samotny?

Pierwotnymi wyrazami wewnętrznie objawionej myśli
są wyobrażenia, obrazy świata zewnętrznego, i na sposób
tegoż świata kontrfetywane wizerunki świata wewnętrznego,
ogólniki i idee — niejako jój *triarii i hastati* w niepoliczonem
wojsku pomysłów, na które przecież, acz są duchowej na-
tury, duchowego niema wyrazu, i znaku na nie u rzeczy-
wistego świata myśl pożyczać musi. Któż te wyobrażenia
formuje i składa, w które się myśl obudzona ubiera? Nie
ona, z téj saméj przyczyny, z jakiej wewnętrznego wyrazu
z siebie dać nie mogła, ale znów inna siła ducha, której
obrazowanie, kształcenie, formowanie, zgoła tworzenie, oso-
bną jest pracą i osobnym wydziałem. Znamy tę siłę. Jest
nią wyobraźnia. Rozum samowładny poczytał ją za jedną
z najniższych służb swoich, a my ją uglądamy, jako rów-
niankę jego, o równych prawach, jako matkę wszystkich
pomysłów.

Ważne z tak zmiennego stanowiska, jakie zajmuje ro-
zum do wyobraźni, i wyobraźnia do rozumu, wypadają na-
stępstwa.

Obok pierwiastku ducha myślącego, pojmującego, są-
dzącego, rozumującego w ogólności, postawionym został
pierwiastek tegoż ducha, innej natury, oblekający myśl w ciało,
dający jój wyraz zewnętrzny, — pierwiastek kształcący, for-

mujący, obrazujący, twórczy w ogólności, — płodna matryca wszystkich pomysłów, wszelakich pojawów, w których się myśl ducha wytłacza. Myśl pojęta dotąd w oderwaniu swoim (*w abstrakcyi*), znalazła żywioł ku rzeczywistości i stała się zdolną pojawu, uzewnętrzenia i kształtu.

Widzimy oraz, że między pierwiastkiem myślącym i kształcącym, nierozzerwana panuje jedność, że oba są razem czynne. Jak w naturze światło i ciepło razem powstaje, i niema przedziału między jednym a drugim, podobnie jednocześnie przenika się działanie rozumu i działanie wyobraźni. Nie można powiedzieć co jest wcześniejsze, a co późniejsze. Gdzie jest wrażenie, obraz, znak, tam już jest i myśl, a gdzie jest myśl, tam już ma i wyraz swój. Nie ma pojawu bez myśli, ni myśli bez pojawu. I rzecz to bardzo naturalna.

Powtarza się tu tylko odwieczne prawidło, że niema treści bez formy, ani formy bez treści. W pojmowaniu odrywamy jedną od drugiej, ale rzeczywiście jedna bez drugiej istnieć nie może. Czémże jest myśl, jeżeli nie treścią? czém wyraz jój, jeżeli nie formą? Wyobraźnia jest zatem w duchu jednostkowym równie istotną, jak rozum: jest bowiem władzą — potęgą, nadającą formy treściom ducha rozumowym, wyprowadzającą je czarodziejską siłą do bytu, do pojawu — jest rozumu kształtem, postacią, ciałem. Jako taka i jako równoczesna działaniom rozumu, jest jego równiennicą; uwarunkowana przezeń, jest zarazem i jego warunkiem. Jako należąca do istoty ducha jednostkowego, i wypełniająca jedną jego potęgę, jest oraz rozumowi współistotną. Wraz z nim stanowi dwójcę potęg zupełnie sobie współrzędnych, i przenikających się nawzajem, będących jednością istoty ducha. Wyobraźnia uważana zwykle jako władza duszy — w znaczeniu podrzędném psychologiczném, na podobieństwo pamięci — nabiera u nas znaczenia władzy ducha i stanowi podobnie jego istotę, jak rozum ją stanowi.



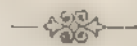
III.

PROZA

POBUDZAJĄCA I ZNIEWALAJĄCA

CZYLI

ORATORSKA.



STOPIEŃ III.

PRAWDZIWOŚĆ I WZNIOSŁOŚĆ.

III

EXCIP

OF THE

RECORDS

OF THE

A.

GŁOSY

SEJMOWE I POSELSKIE.

1894
JAN 1 1894

GŁOS

ALEKSANDRA LINOWSKIEGO,

POSŁA Z WOJEWÓDZTWA KRAKOWSKIEGO

miany z okoliczności miast koronnych i Litewskich na sessyi sejmowej
dnia 14. Kwietnia. 1791 roku.

Szczęśliwym nazwać można ten naród, który zastarzałe wady rządu swojego, wtenczas przejrzeć, wtenczas poprawić przedsięwzię, kiedy przepelniona miarka klęsk i nieszczęść na społeczność z nich wypływających, wskazała moment właściwy ich odmienienia! Bliskim szczęśliwości nazwę jeszcze ten naród, który chcąc być wolnym, zaczyna od zrzucenia najhaniebniejszego jarzma, jarzma przesądów, uprzedzeń i nawykłości!... Jeżeli człowiek, chcący dopełnić przeznaczenie rozumnego stworzenia, powinien nad sobą samym pracować, aby umysł jego mógł być wolnym w samej nawet niewoli; cóż dopiero przyjdzie powiedzieć, o umyśle prawodawcy wolnego!... Jeżeli ten, mimo światła wieków i narodów cisnących się do jego przekonania, pieścić się ma, że tak powiem, z niewolą moralną, odpychając przyswojonemi sobie przesądami, prawdę, i zdrowego rozumu wnioski? Jeżeli ten, którego duch być powinien od wszystkich skaz prywatnych, powszechnym oczyszczony interesem, może powtarzać bez wstrętu, iż to tylko zna dobrem, co dotąd było, lub co było za jego czasów? iż to jest sprawiedliwem, co drobnej jego pochlebia próżności? iż to tylko być powinno świętym i szanownym w oczach wskrzesicieli ojczyzny, co na moment pogłaskać gminną może popularność?

Niespodziewam się Najjaśn. Stany, aby skład dzisiejszych prawodawców, chciał takowej jeszcze niewoli zostawić na sobie cechę.

Materya, która z kolei rzeczy do waszej przychodzi decyzji, materya o podniesieniu miast polskich, gdyby tylko w widoku potocznego ich urządzenia przychodziła: ani tak pilną, ani braną w tém miejscu byćby mogła. Lecz przy-

chodzi ta materya, najjaśniejsze Stany, w widoku konstytucyjnym, przychodzi w ciągu reformy rządowej, przychodzi wtenczas, kiedy naród ma mówić o najwyższej swój władzy, o jej składzie: i dla tego w materyi o miastach, ta jest najcelniejsza kwestya, czyli miasta do reprezentacyi narodowej należeć mają? lub co jedno jest powiedzieć, czyli lud milionowy ma zyskać w poprawie konstytucyi wolność, i obywatelską egzystencyą?

Tu, najjaśniejsze Stany, nim mi przyjdzie pokazać potrzebę i dobro ojczyzny mojej z zamiaru takowego: należy mi uprzątnąć w umysłach waszych zawady, które śmiem powiedzieć, sami sobie niebacznie tworzycie. Wprawdzie stoi prawo kardynalne, które pod wyrazem rzeczypospolitej szlacheckiej, zdaje się zagradzać na zawsze wolności polskiej; zdaje się nieść wyrok, iż garstka szlachty polskiej, na tym swą zasadziła wolność, aby siedmiu przeszło milionami była otoczona niewolników. Mimo uszanowania, które winienem prawu stojącemu, trudno jest utaić w sobie śmiałą szczerość, którą posła mniemam być powinnością, wtedy zwłaszcza, gdy chodzi o grunt całego rządu. Powiem więc bez ogródki, iż prawo to, było jedynie hołdem popularności, było skutkiem zręczności jednych, i trwożliwości drugich; więcej powiem, było postanowione w brew życzeniu całego narodu, jeżeli życzenie narodu zrozumieć chcemy. I to łatwo jest wytłumaczyć. Nie było nigdy głośniejszego żądania narodu, nad to, które jednogłośnie wołało na dzisiejszych prawodawców. „Uwolnijcie nas i potomki nasze od możnowładztwa domowego; bo dopóki trwać to będzie, ojczyzna nasza w wiecznej zostanie podległości, a my pod hasłem wolności, w najprzykrzejszej zostaniemy niewoli.“ Na ten głos ogólny narodu, jakim czynem odpowiedzieliście prawodawcy? Oto, wyrzekłszy że rzeczpospolitą szlachecką mieć chcecie, wydaliście wyrok fatalny, iżby na zawsze możliwym Polakom zostawioną była łatwość przewodzenia i panowanie w kraju. Łatwiej bowiem nad małą garstką ludzi, do rządu należących, przewodzić i onym nawet oczy nad prawdziwem ich dobrem zaćmić, niżeli panować i przewodzić wtenczas, kiedy do wolności, kiedy do wpływu rządowego miliony ludzi należą. Słabym osobistemi siłami, w liczbie szukać pomocy należy: wielość osób jednym złączonych interesem, jedynie stanowić może wagę z temi, którzy panować lubią, którzy do panowania mają w ręku więcej sposobów. Wy, najjaśniejsze Stany, przeciwnie uczyniliście. Możeż bowiem, ta mała liczba osób których wolność interesować powinna, w której część jedna mało oświeconych, druga do ulegania

nawykłych, trzecia zbyt ubogich aby wedle publicznych czuwać mogła interessów, możesz mówię zostawić nadzieję, iż zdoła sama przez się wolność w Polsce utrzymać? Możnaż nie widzieć, iż wcześniej lub później ulegnie pod ciężarem, który siły przewyższa? Nakształt tego łakomcy, który gdy otrzymał od bogów, iż wszystko, czego się dotknął, w złoto mu się obracało, zginął własną a nieroztropną chciwością; tak stan ten kiedyś, stać się może ofiarą dzisiejszój o wolność zawiści. Prawo więc kardynalne będzie zguby waszój kardynalną przyczyną. Prawo to, lubo przeszkadza ustanowieniu prawdziwie wolnej konstytucyi, lubo przeszkadza przywiązaniu ludu milionowego do waszój wolności, i napełnia prawdziwych synów ojczyzny smutkiem, jednakże go nikt naciągnąć nie potrafi, aby przeszkadzało reprezentantom miast, należenia przynajmniej do decyzji w sejmie, tyczących się ich directe materji; bo zawsze to ulubione cacko rzeczypospolitej szlacheckiej, zostanie przy tych, którzy ogólne mieć będą w ręku prawodawstwo, a tém samém oczywiste, i liczbą i ogólnością władzy pierwszeństwo i zwierzchnictwo. Zostaje więc tylko pokazać, czyli tym sposobem przynajmniej poprawiając błąd poprzedni; broniąc, aby prawidło zgubne jak najmniej zrobiło szkody; czyli mówię, realnie miastom tego przywileju potrzeba, i czyli niezawodnie znajdzie się w tym kraju całego pożytek?

Ze miastom decyzji w sejmie w swoich potrzebach odmówić nie można, krótka jest za tém przyczyna. Któż jest taki co by się mógł wolnym mniemać wtedy, kiedy dla niego cudza wola stanowi prawa? kiedy zwierzchność bez niego nad nim wyniesiona, może własność jego obciążyć podatkiem? kiedy za sędziów osoby i rzeczy jego, kto inny mu siebie narzuca? klasa ludzi pod rządem drugiej zostając klaassy, wolną się mniemać nie może. A przecież nikt z was, najjaśniejsze Stany wyrzec tego wyraźnie nie chce, iżby miasta polskie i ich mieszkańcy były niewolnikami waszemi! i ten kto Rzym statożytny na poparcie udzielności jednego stanu wspomniał, nie dodał że za czasów Rzeczypospolitej Rzymskiej, wielka część miast włoskich, miała w Rzymie prawo obywatelskie do praw stanowienia, że wotowali ich pierwsi mieszkańcy równie z tym Panem świata, z tym ludem w murach jednego miasta zamkniętym. Za cóż więc to chcecie skutkiem wykonać, czego wam wstyd głośno wyrzec nie pozwala? Ani temu nikt wierzyć nie może, iż miasta polskie wolności nie potrzebują; iż miasta polskie bez wolności szczęśliwemi kiedyś były. Potrzebują wolności, bo jęj każdy potrzebuje człowiek: bo onę winna im społeczność, bo społeczność sama wolnych potrzebuje ludzi: bo łatwiej w wiel-

kiej niż w małej liczbie utrzymać się wolnemi; bo nakoniec, wolność roztropna jest najpierwszą i najdroższą związków społecznych korzyścią. Były kwitnace miasta niegdyś w Polsce, bo był kraj cały w pomyślności; miały, lubo w części i nie ciągle, prerogatywę ludu wolnego (co już zbyt jasnie dowiedzioném tu było): zniszczył nierząd pomyślność ogólną, zniszczyły wojny i napaści zagranicznych, świetność miast polskich. Gdyby nie to, byłaby ich pomyślność zaprowadziła do wolności; dziś wolność od roztropnych udzielona prawodawców, do pomyślności usłać im może drogę.

Że zaś z wolności i podniesienia miast polskich ogólna szczęśliwość, ogólna siła, ogólne i rozmaite korzyści na wszystkich ziemi polskiej mieszkańców wypłynąć mają; to, na pierwszy rzut uwagi widoczném się staie. Po tylu na to dowodach, dodam tylko, iż domieszczenie miast prawdziwej obywatelskiej wolności, zaludni miasta polskie mającym z obcych krajów przychodniem. Wiek bowiem przyszedł, w którym źle lub dobrze zrozumiane wolności prawidła zajmują powszechniej, niż kiedykolwiek umysły ludzkie. Przykrzy się mającym ludziom w niektórych krajach rządów arbitralność, w drugich momentalne gwałtowności, wolność w nadziei, niespokojność obecnie sprawujące. Polska dla nich będzie ucieczką, jeżeli im wolność i spokojność ubezpieczy. Tak niedawno niesmak religii, Anglią, Hollandyą i Prusą mającymi i przemysłnemi napełnił przychodniami, którzy dotąd jeszcze wypłacają się sownie nowym ojczyznom swoim za to, iż w nich znaleźli to, co im wtenczas okrutna odmawiała ojczyzna. Jestem pewny, iż dziś wyrzeczone prawo, że *ludu miejskiego reprezentanci należeć do sejmu będą*, jutro Polskę dla najswobodniejszych cudzoziemców zrobi krajem pożądanym.

Takie to uwagi, takie prawdy trafić do przekonania waszego prawodawcy powinny. Kto z was mniema, iż konstytucya rządu Polskiego, w całym swoim znaczeniu dobrą była, niech mi zaprzeczy widzialnych skutków, które tego potężnego ciała niedołężność, konwulsye, słabość, znikomienie dowodzą, a zgon jego bliski i okropny rokuja. Kto z was mniema, iż ostrożność nie pozwala poprawy konstytucyi; niech pamięta, że, jak w życiu ludzkim jest czas, w którym regułę życia odmienić potrzeba, tak w życiu narodów jest czas, w którym konstytucyą poprawić, odmienić, do wieku, do okoliczności, do obyczajów, do miary światła stosować należy. Amerykanie, dając sobie nową konstytucyą, wynaleźli epoki pewne, w których konstytucyą swoją przejrzyć i poprawić powinny. A my zastarzałej naszej konstytucyi z niezgodnych złożonej części, w duchu stronnictwa

i egoizmu stanowionej, albo obcą w największej części narzuconej ręką; mamyż się wzdrygać poprawić w tym momencie, kiedy nam do tego jedyną Opatrzność zdarzyła porę? kiedy na nas naród, mniej jak my próżnością nadęty, woła o ugruntowanie szczęśliwości powszechniej? Inna jest rzecz powiedzieć: iż lekce i często wzruszać konstytucyi nie należy; a inna, iż poprawić jej w czasie przyzwoitym przez uszanowanie starożytności, nie można. Lecz w materji toczącej się, gdy nie o ogólnem mowa prawodawstwie, nie mogę powiedzieć aby konstytucya odmieniona była.

Nie przestanę wam zatem powtarzać, najjaśniejsze Stany, iż ten jest jedyny sposób naprawić błąd początkowy, dać ojczyznę nie mającym ojczyzny; przywiązać do wolności większą dusz liczbę, aby swoje upewnić; zrobić większą liczbę tej wolności twierdzą, aby ani tron, ani duch arystokracji tak wam znany w Polsce, niebył coraz przeciw niej mocniejszym; aby uniknąć wyrzutu wieku oświeconego, iż cechą wolności naszej jest próżność; iż jej tryumfem, jest arbitralne nad podobnemi sobie przewodzenie.

Królu Najjaśniejszy! racz przypomnieć narodowi ów czas, w którym *liberum veto* tak było świętą rzeczą dla Polaków tamtego czasu, iż nieśmiertelnego Konarskiego xiażkę, szkodę i nieszczęścia z tego prawa dowodzącą, publicznie palić chciano. Dwadzieścia lat upłynęło ledwie, i niemasz Polaka, któryby nie uczuł, że z *liberum veto* ginął, że za zniesienie jego błogosławić winien panowanie Twoje. Taki jest los przesądów. Ty Królu, z pośród szlachty wybrany, na to przecież, byś narodowi panował; i wy prawodawcy od szlachty przysłani, na to, byście naród dźwignęli, i jego upewnili szczęśliwość, sądźcie wspólnie czy wolności udzielić jest wolność utracić; czy ojczyznę poświęcić należy próżności jednych, czyli chybiając tej, dać ojczyźnie należy zbawienie?

MOWA

Jana Zamojskiego do króla 1605. roku.

Najjaśniejszy Miłościwy królu! Niech to W. K. Mości nie obraża, że *insolito more* z stołka swego senatorskiego wstawszy, napośród izby *votum me* odprawiam: nie czynię tego z lekkomyślności, ale żebym był lepiej od W. K. Mości i ojców zebranych słyszany. Straciłem bowiem zdrowie,

słuch i zęby, nie w miękkich rozkoszach, ale w twardych obozach, na usługach miłej ojczyzny. Co w dzisiejszej przygodzie dla dobra i sławy Polskiej Korony czynić przystoi, powiem pokrótce. A najprzód co do wojny inflanckiej, com W. K. Mości dawniej napróżno radził, to i teraz bodajby nie napróżno, powtarzam. Wstyd jest Miłościwy Panie dla tej Korony Polskiej z tak małym nieprzyjacielem przez lat kilkanaście nieużyteczne, nieukończone nigdy, prowadzić boje. Trzeba żebyś W. K. Mość, aby raz wysłał w tamtą stronę wszystkie siły swoje, wysłał swoje hetmany, zdał na nich nieograniczoną władzę, opatrzył ich w dostateczne sposoby, zapasy. Niech nie wracają, aż rzecz się zakończy. Skarzemy się wszyscy na niedostatek poborów, a lud niewinny płacze, o pomstę do Boga wołając, że już kilkanaście poborów za W. K. Mość wybrano, któremi jak szafowano i na co je brano, W. K. Mość najlepiej wiesz, że wiele z tych pieniędzy nie na obronę kraju, lecz na potrzeby W. K. Mości i za jego rozkazem wzięto;... to nie ma być..... Co się tyczy Moskwicina, wiele on niegdyś pogranicznym krainom Rzeczypospolitej łupieztw i szkód przynosił, ale tak go ś. p. król Stefan poskromił i uniżył, iż ów hardy Iwan Wasilewicz przystąpił już był do zamysłów króla Stefana i papieża Syxtusa V. naprzeciw Turkom, i że gdy Syxtus swe miliony na to przeznaczył, my Polacy wojsko z tej strony, Moskwa przez Persy niewiernych ciśnąć miała. Gdy papież dowiedział się o śmierci Stefana, płakał i te słowa powiedział: *Nos autem sperabamus quod ipse redempturus erat Israel.* Jakoż laudabile było propositum, nie tak, jak teraźniejsze zamysły nasze, gdzie wszystko od dnia do dnia odwłoczemy, wszystko razem słabo zaczynając i nic nie kończąc. Zaraz po wstąpieniu na tron W. K. Mości chciałem ja tę myśl tę odnowić, ale się nie zdało. Uczynione z Iwanem Wasilewiczem przymierze odnowiło się z dzisiejszym kniazem moskiewskim; radziłem, by to przymierze święcie zachować, bo i skład rzeczy dzisiejszych, a co więcej, samo sumienie tak każe. Dziś niektórzy Ichmość mimo woli Stanów wtargnęli do Moskwy, jakiegoś Dmitra na tron prowadzą. Słyszeliśmy, że ten Dmitr był zadłabiony, dziś znowu żyje. Cóżto! czy jaką komedję Plauta lub Terencyusza grają przed nami! Wszystko to ciężkie kłopoty na Rzeczpospolitą sprowadzić może, lecz jeżeli ten ów Dmitr jest prawdziwym, jeżeli się tam tego księstwa koniecznie zachciało, niechżeby się to było za uchwałą sejmową i z większą potęgą zaczęło i odprawowało.

Kiedy Turcy tak blisko do granic naszych podsuwają się, gdy z Inflantami niema końca, nie potrzeba nam no-

wych szukać nieprzyjaciół, i owszem zawrzeć traktaty handlu i przyjaźni tak z angielskim, jako też z duńskim królem. Do sułtana tureckiego i hana tatarskiego co rychlęj poselstwa wysłać należy, by i z téj strony mieć pokój. Na sejmie ostatnim krakowskim sprawa elektora brandenburgskiego, hołdownika téj korony, dostatecznie roztrząśniętą była. Nie będzieli mogło księstwo pruskie, jak własność nasza być do Polski wcieloném, trzymamy, że W. K. Mość i bracia nasi postanowią rzecz tę ku największemu pożytkowi Rzeczypospolitéj. Ja tylko przypominam, że i s. p. król Stefan 200,000 od Auszpacha wzięte na wojnę moskiewską obrócił.

Przystępując do spraw domowych swę wolą i niekarosć wojskową, najprzód wytknąć muszę; nadto się rozbiegły zuchwałości jēj koła, żadna władza hetmańska powściągnąć jēj nie jest w stanie. Mamy wprowadzić prawo zakazujące rycerstwu wszelkich związków i konfederacyi; gdy się pod wództwem mojem w Inflanciech wojsko buntować zaczęło, zgromadziłem je w wieniec i prawo to przeczytać kazałem, alic mi zaraz w téj konstytucyi pokazali dodatek (chybaby wojsku zapłata zatrzymana była), że natenczas wolno mu się konfederować, a zatém buntować. Jest też i druga konstytucya, która zabrania karać hetmanom żołnierza bez rotmistrza, a kiedy rotmistrz i żołnierz z jednego koła i razem trzymają, cóż nie ujdzie bezkarnie? Trzeba więc koniecznie dawną władzę hetmańską powrócić, żołdu nie zatrzymywać, *otia dant vitia*, nie gnuśnić na leżach zimowych, lecz nad stepami Dniepru i Krymu stać żołnierz, powściągać najazdy tatarskie i swewole Niżowców powinien.

Miłościwy Panie, wkradło się w ciało Rzeczypospolitéj złe wielkie, złe toczące żywotność jēj; jest to zbytek niszczący kraj, nie zasilający nawet uboższych robotników, bo wszystko z zagranicy bierzemy; należałoby cudzoziemskich rzemieślników do nas przyciągnąć: ci dotąd surowe materiały od nas biorąc, drogo nam potem wyrabiane sprzedają. Do zbytku należy i ta nierówność, co się w stan nasz szlachecki zewsząd wciska, prosimy W. K. M., abys jēj nie dopuszczał, i jakieś swobody i wolności nasze zastał, takie zachować raczył. Nic nam po tych obcych tytułach, za któremi się u cudzych Książąt niektóre rody uganiają, nie dopuszczaj W. K. M. jednym familiom wynosić się nad drugie. *) Co do mnie, wolę z tą cną bracią moją równęj

*) To się ściagało do Myszkowskiego, który sobie tytuł Margrabiego od Książęcia Mantuy wyjednał.

wolności zażywać, jakoż dali Bóg i najmniejszego szlachcica równém sobie kładę we wszystkiém. Z téj to nierówności pochodzi zbytek i przepych, każdy bowiem pnie się jak najhojniej pokazać.

Zamysł W. K. M. żenienia się z siostrą nieboszczkiéj s. p. Królowy Polskiej, wcale mi się niezdaje: przez ożenienia dom Rakuski poujarzmiął Królestw tyle, nadto, jest to obrzydliwe, zakazane od Boga, a wiesz W. K. M., że Pan Bóg za grzechy Królów, zwykł lud wszystek karać. Z miejsca więc mego i sumieniem Senatorskiém nie pozwalam na to i przeczę.

Rozchodzą się także wieści, jakobyś W. K. M. za życia swego, Królewica J. Mci chciał koronować; niema to być: nie dla tego, żebyśmy mu korony życzyć nie mieli, ale dla tego, że koronacye za żywota, mogłyby to berło dziedziczném uczynić, i pozbawić nas prawa przy elekcyi wkładac na panujących potrzebnych warunków. Pragną wszyscy, żebyś nam W. K. M. najdłużej panował, pragną zapewne i tego, by po nim nie kto inny, jak Królewicz JMśc nastąpił. Zawsze ten naród Polski Pany swe i krew ich miłował, szukał ich po wszystkich krajach, po klasztorach, kościołach, sam W. K. M. jesteś świadkiem tego, żeśmy go *per liberam electionem* wybrali, dla tego żeś potomek Jagiełłów dawnych Panów naszych. Nie minie korona syna W. K. M., ale dwie rzeczy potrzeba potemu. Daj mu W. K. M. przystojne wychowanie, wyjmij go z pod opieki kobiet, gdyż i to najwięcej zaszkodziło s. p. Zygmuntowi Augustowi. Druga rzecz potrzebna jest, aby cudzoziemcy byli od wychowania Królewica JMci oddaleni, niech ten zacny potomek W. K. M. obcych narodów ludzi sobie nie smakuje. Lud Polski miłować niech się uczy; *Justitiam colere, sapientes consulere, assentatores fugere*, a on sam i my z nim będziemy szczęśliwi.

Mamy i insze urazy do W. K. M. Poprzysiągłeś nam kilka zamków na Ukrainie zbudować, nie zbudowano żadnego; zamek nawet w Kamieńcu Podolskim nie naprawiony. Nie miałeś W. K. M. *custodiam corporis sui* mieć tylko *ex indigenis*, a my widziem u W. K. M. Alabartników, Szwedów, Niemców, Hiszpanów i to nie miało być, powinienes nam W. K. M. przysięgi dotrzymać. Dla czegoż to wszystko źle? oto, że W. K. M. mieć racyz przy boku swoim radę młodą, której się dajesz powodować. Szkoda W. K. M., szkoda nas wszystkich, którzy ojczyźnie naszej dobrze życzymy. Uraża nas także, że W. K. M. z pokojów swoich królewskich tajemne listy posyłać racyz do innych krain, przez cudzoziemce targujesz, albo pono

przedajesz nas W. K. M.; a Rzeczpospolita dla tego przysięgle pieczętarze mieć chciała, aby żaden list królewski bez wiadomości ich nie był pisany, ani posłany. Więc też od W. K. M. ludzie godni, ludzie zasłużeni żadnego opatrzenia, żadnej nagrody za krwawe posługi swe nie odnoszą. Stracili poddani do W. M. serce, samochcąc zgubić ich miłość. Cała godność i potęga Królów Polskich, wspiera się na miłości ludu, łatwo będzie W. K. M. o pieniądze, łatwo o pomnożenie, gdy pozyskasz serce poddanych, bez tego trudno co począć w naszej wolności, w której się Kochamy i bez niej żyć nie możemy. Lecz nie przeszkadza ta wolność, byśmy Królów naszych nie miłowali, jakoż lubo przodkowie nasi śmiało prawdę Panom swoim mówili, nie czytamy jednak, by je jak gdzie indziej dlabili, albo kozikiem kluli: każdy Król Polski na łożu swém umarł. Co do nas siła mamy, na W. K. M. w czemesz nam W. K. M. niepraw. Nie nowinać to Polakom, gdy im Królowie przysięgi nie dotrzymali, że ich wygnano z Korony, a obierano innych, jeżeli więc i W. K. M. nieobaczysz się, ani poprawisz, nam nielża, jak idąc torem przodków naszych, W. K. M. P. N. M. za morze odwieść, gdyż się już sam W. K. M. z królowania swego wyzuwać raczysz.

Miłościwy Królu, dla Boga proszę cię, obacz się, popraw się, *Svetia genuit, Polonia excepit et educavit.* Ta Polska jest twoją matką, ta cię karmi, ta cię przyodziewa, ta cię ozdabia, miłuj ją jak matkę swoją, miłuj nas poddane twe, chceszli się tu z nami zestarzyć, chceszli, abyśmy cię miłowali i szanowali jak Pana swego, a gdy tak uczynisz, i błogosławieństwo Boskie nad W. K. M. będzie zostawało, i potomstwo jego, będzie godne królowania za wolną elekcyą, długo Polakom panować będzie.

(Wyniosłszy potem ręce do Nieba rzekł:) A wy cnotliwe dasze Tarnowskich, Tęczyńskich, Ostrorogów, jakich już dziś nie widzimy, którzyście niegdys wiernie ojczyźnie waszej służyli, a dziś w wiekuistej chwale na oblicze Boga patrzacie, uproście nam, ojczyźnie naszej wspólne pomnożenia szczęścia w domu, zwycięstw nad nieprzyjaciół.

WITANIE

rady stanów kor. polsk. do króla JMci Zygmunta III.

w polu przed miastem Kazimierzem

przez J. Ks. Wawrzyńca Goślickiego, biskupa kamienieckiego czynione dnia
10. Grundnia 1587.

W Krakowie w drukarni Łazarza, Czwartek 7.

Złotem i srebrem nie przyciągnąłeś nas do siebie W. K. Mość. Prywata żadna nie zgwałciła, ani zhołdowała ani posromociła pocziwych animuszów i języków naszych. Czyste serca i ręce są przed Bogiem i Rzeczpospolitą naszą: jasnie w oczy sobie, jako ludzie pocziwi, patrzeć możemy. Duch niebieski, nie duch świata tego, elekcyą tę w nas sprawował: serca i oczy ludzkie obwionawszy, tam je obrócił, gdzie niebywały, do tego też, którego nie widziały. *Magnum erat chaos inter nos et te*: przekopy kamienne, wały morskie, skały nieprzebyte okryły nam W. K. M., przecie jednak zakryć nie mogły. Słynie daleko cnota. Prędko lot sławy dobrej. Otośmy przecie znaleźli króla i pana ze krwi panów naszych, królów naszych, ojców ojczyzny naszej. Dogodziliśmy ktemu w obieraniu pana i króla, woli miłego Boga, który z narodu i języka swego, każe ludowi swemu pana sobie obierać; dogodziliśmy ojczyźnie naszej, która się raduje, patrząc na syna swego, na krew panów swoich, królów swoich, dobrodziejów.

Daliej chlubi przed królem świetność daru, który z tak wspaniałej ku sobie chęci narodu otrzymywał, razem zagrzewając go, aby naśladowaniem sławy swych przodków, jako też uiszczaniem powziętych o sobie nadziei, w wzajemnym wywdzięczeniu się wspaniałość okazał.

Nie straciła nic Polska z Jagiełłowego plemienia za morze je daleko wysławszy; owszem wygrała, iż za białą płeć męzką dostała:... gościem tu nie jesteś; tyle, ile ludzi widzisz, w każdym z nich łaskę i dobrodziejstwa przodków swoich upatrować będziesz..... Nie masz na świecie, czémby sobie monarchowie miłość u poddanych prędzej zjednać mogli, jako łaską i dobrodziejstwem. Na gotoweś tu żniwo przyjechał, zażywać prędko będziesz raczył tej miłości i szanowania w osobie swojej, które dawno przedtem W. K. M. jako potomkowi swemu zgotowali i zostawili oni święci Jagiełłowie, W. K. M. przodkowie. A jeżeli sam jeszcze przymnażać tego będziesz, o czém my nic nie wątpimy; a gdzież możesz na świecie szczęśliwiej żyć i sławniej panować, jak tu? Jest Polska, rzec tak możemy, jako

centrum Europy; a tać to jest perła świata dobrego: ztąd, gdzie chcesz, możesz sam wejrzeć. Na W. K. M. także sławnie panującego, najbliższe narody mogą patrzeć; z panowania W. K. M. Pana Boga chwalić i pociech ustawicznych zażywać. Na głowę swą koronę weźmiesz, którą naddziadowie, pradziadowie, dziadowie, wujowie W. K. M. sławnie nosili. Ludowi téż takiemu panować będziesz, który starożytnością i szerokością języka, żadnemu najzacniejszemu narodowi miejsca nie postąpi. Tu wiara przeciwko panom stateczna, tu miłość przeciwko ojczyźnie gorąca, tu cnota i sława nad wszystkie klejnoty najdroższe w poważaniu bywają. Dzielności i męstwa nie przypominam: każeszli pytać, dowiesz się: powieć Tatarzyn, Wołoszyn, Turczyn i wiele innych nieprzyjaciół koronnych. Sromaćli się będą prawdy powiedzieć? doznasz jój sam, gdy do tego przyjdzie. Nie na takim placu i w takim królestwie stolicę osiedzisz, gdzie owo tylko kramy liczą, albo łatki sprzedają; ale w takim królestwie, które jest murem i szczytem chrześcijańskim państwu od nieprzyjaciół Krzyża świętego: tu, nie będzieszli próżnował, a nieprzyjaciół powabi: niebo sobie i swemu rycerstwu budować będziesz, tyle ofiar krwawych Bogu swemu na każdą godzinę oddawając, ile głów i języków pogańskich wygładzisz, imię boże i chwałę jego świętą bluźniących. Wstąpże tedy szczęśliwie i fortunnie na stolicę od Pana Boga tobie przeźrzaną i zgotowaną; weźmij szczęśliwie sceptrum w rękę swoją, abys rządził lud boży, przez onego samego tobie poruczony. Niechaj tedy Bóg jako żrenicę oka strzeże W. K. M., niechaj skrzydłami wszechmocności swojej okryje i ociszy majestat panowania twego: niechaj na stolicę królestwa tego szczęśliwie prowadzi i postawi, abys ją rządził rządem Bogu miłym, rządem nie jednemu, nie dwiema, ale wszystkim poddanym swym pożytecznym, rządem takim, któremibys u przyjaciół miłym i przyjemnym, u nieprzyjaciół strasznym był.



B.

PRZEMOWY WOJENNE.

THE END OF THE WORLD

MOWA

KAROLA CHODKIEWICZA.

(I, opis bitwy z Turkami nad Dniestrem, pod Kamieńcem Podolskim, r. 1621).

Kiedy los i potrzeba Rzeczypospolitej, wymagały tego, żołnierze, abym je, złamany trudami i wiekiem, raz jeszcze podnosił oręż mój i szedł na wojnę; uczyniłem to jedynie, bym ojczyźnie mojej usłużył. Cóżby mnie bowiem innego przywieść mogło, bym te siwe włosy twardym hełmem okrywał? Wszystkie zaszczyty, wszystkie dostojenstwa, po które ludzie sięgają, już się na mnie skupiły; nie pozostało żądać chyba tego, bym to krótkie już życie w obronie kraju położył: położę je więc, a potykając się wpośród was, nie bez chluby polegnę. Walczyć nam, bracia, potrzeba: całość Rzeczypospolitej, pomsta tylu zabitych Polaków, szabli naszych wzywają. Patrzcie, kiedy stoimy! ta ziemia czerwieni się jeszcze krwią Zółkiewskiego; ¹⁾ jak oko zasięga, biela się niepogrzebione kości ziomków naszych. Nie płaczu, nie narzekań wymagają oni po was; nie, wołają oni, byście ich pomścili. Ilekroć ręce wasze zbierzecie krwią niewiernych, ilu ich trupem polegnie na ziemi; tyle to będzie błagalnych ofiar, któremi uczcicie ich cienie. Przebóg! długoż jeszcze ciężkie obelgi znosić będziemy. Oto i teraz okrutny Nuradin, ²⁾ w tyle nas, zapuścił zagony swoje po Podolu i Rusi; pali, pustoszy, wyrzyna, powiązanych krewnych i przyjaciół waszych w brzydką pędzi niewolę. Przyszedł dzień stanowiący; nie idzie tu, by wiedzieć, czy Wołoszczyzna będzie naszą, lub ich? lecz czyli Polska cała zostanie swobodną i niepodległą; czy mamy dopuścić, by tureckie bunty utkwily nad Wisłą? by srogi barbrzyniec, obaliwszy świątynie i prawa, deptał po karkach naszych? by niestety! Polakom po turecku mówić kazano? Po to okrutny Osman wyruszył z siedlisk swoich Azji i Europy ludy. Lecz niech

¹⁾ W klęsce ponteskiej pod Cecorą, gdzie waleczny ten wódz poległ, roku 1620. ²⁾ Han tatarski.

was nie trwoży to mnóstwo, ta okazałość; są to tłumy, nie ludzie, czcze cienie i liczba: umysłem, zwyczajami, ubiorem zniewieścieli, wycieńczeni roskoszą, potrafią wstrzymać męztwo tych dawnych Sarmatów, tych Polaków, co żelazne słupy zabili w Elbie i Dnieprze? Te słonie, te trzody wielbłądów, obciążonych jukami, za pierwszém uderzeniem trąby, za pierwszym blaskiem szabli naszej, rozproszą się lub padną! Za danym więc znakiem, wy Polacy i Litwini, rzućcie się odważnie; niemasz do schronienia się miejsca! Tu bystry Dniestr i nieprzebyte skały, na przodzie Turcy, w okóło rozstawieni Tatarzy; lecz mężnym szerokie pole sława otwiera. Jeżeliby nawet kto był nieśmiały, niech konieczność stanie mu za cnotę." (Tu ręce podniosłszy do góry, tak kończył): „Ty zaś potężna Sprawiedliwości, przez którą panują królowie, a wojownicy otrzymują zwycięstwa, powstań na zawziętych imienia twojego bluźnierców, przyspiesz krzywd naszych pomstę, wywróć palcem twoim tłumne pogańców szeregi, i pokaż, że jesteś Bogiem i obrońcą naszym!"

PRZEMOWA

PRZY

uroczystym poświęceniu chorągwi wojsku nadanych,

miłana dnia 3 Maja 1807 roku w Warszawie.

przez J. P. Woronicza. Kraków 1833.

Memoriam fecit mirabilia suorum misericors, et miserator Dominus! Psalm 110.

Uczył pamiątkę dzieł swoich łitościwy i miłościwy Pan!

Szanowny ten obrządek religijny w poświęceniu modlitwa kościoła Bożego starożytnych herbów i razem przewodniczych znaków sławy rycerskiej: połączona z tym obrzędem rocznica pamiętnej konstytucji rządowej, od całego narodu uroczystie przyjętej, w tej samej stolicy i po całym niegdy królestwie naszym przed lat piętnastą radośnymi okrzykami uwielbionej: słodka i pocieszająca nadzieja dalszych przeznaczeń, które nam szlachetne serce i dzielna potęga nieporównanego bohatera zareczają; wszystkie te przyjemne uczucia w dniu dzisiejszym zgromadzone, mogą nie wycisnąć na nas tego uwielbienia Boga ojców naszych, które niegdy prorok jego obecnym i przyszłym narodom

w pieniach swoich przekazał: — „Uczył pamiątkę dziejów swoich miłosierny i litościwy Pan.“

Uczył w szczególności na nas pamiątkę wszechmocności swojej, aby nam przypomniał, że on jeden wiecznym i najwyższym Panem, na którego skinieniu losy i przeznaczenia ludów spoczywają. — Pamiątkę dobrodziejstw swoich: aby nas niemi do wdzięczności ku sobie pociągnął. — Pamiątkę klęsk i utrapienia, aby nas ukarconych baczniejszymi uczynił, i odzyskane dobrodziejstwo lepiej cenić nauczył. Zgoła, przypominał nam to wszystko, o czém ustawicznie myśleć i do czego całemi siłami dążyć winniśmy.

Ta zapewne święta i pobożna myśl natchnęła serca wasze! dostojni mężowie! ta mowa myśl przywiodła was tu z gronem urzędów wykonawczych, w świetnym orszaku rycerstwa, abyście w otwartém obliczu nieba i ziemi składając z całym tym ludem przed ołtarzem Boga Zastępów rycerskie zawiązki jestestwa naszego, wyznali uroczyście te prawdy, które są zasadą i całych nadziei rękojmią.

Kiedy byłem szczęśliwy pocieszać niekiedy łzy wasze na zmierzchłych gruzach rozpaczy; pozwólcie szanowni rządowi krajowemu naczelnicy! abym, przy rozbłyśnionej jutrzence wyświecił wszystkim współbraciom naszym świętość i ważność niniejszego obrzędu waszego, którego celem jest: przypomnieć wiarę i pobożność ojców naszych; ocucić pamięć na przeszłość; zwrócić mądre baczenie na przyszłość.

A gdy pod tym troistym względem wystawiasz nam w twych wyrokach, niebiosami temi nieogarniony wiekuisty Panie! prawdziwy rozum, wielkość i szczęście, przygotuj serca i umysły nasze, by to wszystko, co ku dobru naszemu raz może ostatni przypominasz, w sercu i pamięci utkwilo.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Próżno rozwodzić się nad tą prawdą, że przyrodzony i nierozdzielny związek między Stwórcą i stworzeniem tak jest w istotność i naturę człowieka wpojony, że go żadna zagłada czasu, żadna odmienność siedziby, i wychowania, żadna różnaitość różnych stosunków społeczeństwa zwatlić i zagładzić nigdy niezdola. Gdzie tylko znajdziemy człowieka: oczy jego ku niebu wzniesione, ręce wyciągnięte ku szukaniu Tego, który każdym ruchem i krokami jego kieruje. A następnie to wewnętrzne czucie i przekonanie dochowało we wszystkich wiekach i narodach tę pierwszą religii zasadę, że skoro jest jakiś Pan i gospodarz téj ogromnej budowy świata; więc się nic bez woli jego nie dzieje, nic bez zezwolenia i dołożenia się jego przedsięwzięć niewolno. — A jeśli tém wewnętrzném natchnieniem, w owych nawet

wiekach błędu i ciemnoty, powodowały się wszystkie narody; kiedy owe przetarte Greki i Rzymianie kroku jednego w sprawie bądź prywatnej, bądź publicznej bez porady bóstwa uczynić nie śmiały; ileż my szczęśliwi, że jesteśmy plemieniem tych ojców, którzy przed tysiącem lat do znajomości i wysokich tajemnic prawego Boga wezwani, dobywszy pierwszy raz oręża na obronę jego ewangelii, wiarę za hasło rycerskiej sławy po obozach otrąbili, a tego nowo poznanego Pana nieba i ziemi wiecznym królem, poradnikiem i hetmanem, sobie i pokoleniom swoim postanowili. — Jakoż on to jest, który nad inne dzieła rąk swoich umiłowałszy szczególniej ród ludzki, sam jako czuły ojciec i mądry gospodarz dobrem się jego i porządkiem cały nie jako zajął. On pierwszy podzielił ziemię między ludy i pokolenia podług języka i rodu każdego. *Divisit gentes secundum linguas et nationes.* On je sam niedostępnymi górami i morzami od napaści poogradzał; a pierwszy zuchwalec, który zakreślone od niego granice przestąpić považyl się, zburzył świat niepokojem i wojną; i póty zapewne ten zamięcony gwałtów i najazdów ocean miotać rozwalin świata nie przestanie, póki przyrodzonej i pierwiastkowej dzielnicy ludziom nie powróci. — On to jest, który chcąc nauczyć przyszłe narody i pokolenia, jak sam jeden niewidzialną mocą niemi się opiekuje, obrał jedno drobne niepoczesne u świata plemię, które widomą i obecną dziwów swoich wszechmocnością przez wiele wieków, jak matka dziecię, za rękę prowadził: morza dla przechodu jego w kamienny pomost przetwarzał; góry rozdzierał; pokarmem i odzieżą cudownie opatrywał; i całą zależnioną naturę w biegu swoim dla niego wstrzymywał. — On to jest, który niegdy owym carom assyryjskim na łonie rokoszy i niedołęstwa gnuśnie drzemiącym, niewidomą ręką wyrok zagłady na ścianach Babilonu zakreślał; i téjże nocy zapowiedzianą groźbę przez dzielnych i walecznych Medów do skutku przywoził. On jest, który obozy wiarołomnego Sennacheryba pożerzącym mieczem anioła w oka mgnieniu w stopy trupów zamienił; który owych Cyrusów i Aleksandrów wiekami wprzód prorokom swoim objawił; ich ród, nazwisko i przyszłe czyny wypisał, a w zamierzonym od siebie kresie wszystko do litery sprawdził. On to jest, który, zbliżając oczekiwane przyjsie swoje na ziemię dla ubóstwienia natury człowieka, uciszył zaburzony świat jedynowładnym berłem Oktawiana; a zamykając ochryple wojnami ciosanych posągów bóżnice, wyższe i szlachetniejsze przeznaczenie rodzaju ludzkiemu ogłosił.

Ale po cóż w przepaściach wieków śledzić wszechwła-

dnęj prawicy Tego, który początku i końca nie ma? który jest tym samym dzisiaj, jakim był; nim się jeszcze czasy i wieki zrodziły. Oto dziwy jego stoją tuż przed oczyma naszymi! oto w zadumaniu pyta zalekniony świat! co to jest za bohater, który ziemię waszą oswobadza? Tysiące ludów i krajów do berła jego przyłgnęły; tysiące sprzymierzeńców nowy byt, bezpieczeństwo i świetne zaszczyty w przyjaźni jego zyskały! miliony zbrojnych zastępów przed obliczem jego po stokroć pierzchnęły! góry i urwiska stopą ludzką nietknięte, kark swój nieujężdżony przed nim schyliły. Tysiące nasadzonych zdrad, podstępów i śmierci wymierzonych, cienia się jego ulękły! Niedobyte twierdze, zbrojownie, stolice państw i narodów bramy mu swoje otworzyły! Lądy i morza ślady przechodu jego z poszanowaniem wskazują, ziemia przed obliczem jego zaniemiała, żywioły same meztwem i cierpliwością jego pokonane, na stronę zwycięzcy przechodzą! Co to za człowiek? ledwie stanął na ziemi naszej, a więźnie i więziciele zniknęli. Starce zgrzybiałi, ojcowie rodziny z synami i całym domem na koń wsiadają, młodzieńcy szlachetnym zapalem roziskrzeni, przez nasterczone dzidy i zapory przedarłszy się, pod zbawcze chorągwie lecą w zawody! dzieci nawet z rąk matek wysłiznione z orężem się mocują. Rycerze wczorajsi z mistrzami ćwiczonymi wojny o pierwszeństwo chlubnej śmierci dobijają się! — Wszystko wre! — zakwita! — radością i pociechą oddycha! — Wszyscy głusi i ślepi na domowe przycierpienia, od nagłych przemian nieoddzielne; każdy prywatne łzy i dolegliwość nadzieją w zakęcie otarłszy, z wesołą twarzą i wylanem sercem ostatni ułomek chleba wybawcy swemu przynosi.

Jakiż traf tyle dziwów do osoby jednego człowieka przywiązał, aby nie tylko narodom, ale i sercom ludzkim bronią niedosiężnym, samowładnie panował? Kto mu tę cudotwórczą łaskę do rąk podał? Zostawmy to nikiemnym oszczercom, a szczęścia naszego niezblaganym nieprzyjaciółom; niech oni tyle niepojętych wypadków w nędznej i mylnej rachubie ludzkiej szukają. Ale my synowie światłości, świadomi z religii owego wiecznego źródła, z kąd państw i narodów zmiany wytryskują; możemyż nie zawołać: *Digitus Dei hic est!* palec tu jest Boży! Ręka to wszechmocna przygotowała wszystko i wykonała. Tak nagle odmiana postaci świata całego niemoże być dziełem, jak tylko tego, który nim włada, i kieruje: *haec est mutatio dextera Excelsi.* Wejrzał on na łzy i lamenta tylu milionów ludów, nieokreślonej dumie i samowolności poświęconych, za blahy kruszec nędznie zaprzędanych, na rzeź i okropne

mordy z pod ostatnich ośników świata pędzonych; a chcąc tę wezbraną powódź nędz i ucisków rodzaju ludzkiego różczką oliwną trwałego pokoju rozpędzić: przygotował wiekami bohatera, który jeden to dzieło boże po bożemu wykonać był przeznaczony. A kiedy najokropniejszy gwałt i gorsząca niesprawiedliwość w obaleniu przedmurza Europy, stał się pierwszym zarodem tylu wulkanów, które tą najpiękniejszą częścią świata miotają, uleczyć złe w samém nasieniu, obdarzyć skołatany świat gruntownym i stałym pokojem, zgasić ostatnią isierkę wojennego żarzewia, skleić wszystkie narody wzajemną korzyścią, szacunkiem i słodkiego braterstwa ogniem; i to wszystko wskrzeszeniem narodu naszego utrwalić: nie może być zamiarem jak tylko posłańca bożego.

I jakże, po tylu wysokich i szlachetnych celach, po tylu środkach do zamiaru tego cudownie przedsięwziętych i tak daleko posuniętych, jeszcze tój wszechmocnej ręki nie poznajemy? jeszcze serca i oczu ku niej nie zwrócim? będziemy równie zimno i obojętnie poglądać na dziwy jej wiekami spełniane, jak i na te codzienne, oswojonym widokiem u nas spowszedniałe, które tём słońcem kierują, aby nam przyświecało, które te drzewa niedawno skrzepłe i zamarte, wdziękami nowego życia rozzieleniają? A skoro ten wieczny i niepojęty w swych dziwach Swiatowładca innego celu dziełom swoim zamierzać nie może, jak tylko przez nie dobroć i chwałę swoją stworzeniu objawiać; będzie u nas to drobném, poziomém i do gminnych przedmiotów odsunioném, co tylko tę chwałę i znajomość jego przypomina, ożywia i od pokoleń do pokoleń podaje? Nie daj Boże! aby ta skrzepła i okropna ku niemu obojętność, pierwszą podwalinę tój nowój budowy naszej śmiertelnej spruchniałością zatruli! im większy i niebezpieczniejszy gmach na niej założem, tём nas prędzej okropnym przywali i zagrzeniebie upadem. — Jeżeli chlubno nam jest pod hasłem i chorągwiemi W. Napoleona odzyskiwać ojczyznę, nie będziemy razem korzystać z przykładu jego, który sławę jego z poziomu doczesnego do ksiąg wieczności przeniesie. Od czegoż on to ogromne dzieło rozpoczął? Oto wykonał to wprzód, co sławni berła jego poprzednicy. Karol W. i Konstantyn, dawniej uczynili. Dzwignął órtarze Boga prawego, w gwałtowném zaburzeniu wstrząśnione; rozjaśnił na świątyniach znaki zbawienia, i wyrzekł z Konstantynem: *In hoc signo vincam*, w tym znaku zwyciężę! a ledwie wyrzekł, jednym krokiem od Sekwany do Niemna ziemię przemierzył.

A jeżeli bliżej jeszcze dotykają własne i domowe doś-

wiadczenia, więc rzućmy oko na ubiegłą przeszłość naddziadów naszych, jak oni tym duchem żyjąc, budowę swoją przez tyle wieków utrzymali.

CZEŚĆ DRUGA.

O ileż ta nas uwaga pociesza, szanowni rodacy! że kiedy nieodparta niczem potęga czasu, kiedy wszystkie sprzysiężone nieszczęścia nad zagładą naszą pracowały, odjąć nam wszelako niezdolały téj szlachetnej i wybitnej cechy rodu naszego, która nas w tylu przemianach szczęścia nigdy przestoczyć nie dopuściła. A jeśli stare przysłowie niesie, że Bóg i natura nic próżno nie czynią, albo rzetelniej i po chrześcijańsku mówiąc: jeśli Bóg twórca i ożywiciel natury, w biegu jęj ważne i sobie wiadome cele naznacza; możemy wątpić, aby ta ciągła i nigdy niezmacona natura nasza dalszych i wyższych przeznaczeń niemiała? Jakoż czy rzucimy okiem na pierwszą kolebkę imienia i składu naszego; nie widzimyż w niej, że ta gałąź rodu sławiańskiego w samym związku coś wielkiego i trwałego wróżyła? Ileż nie kosztowało dawnych Germanów wdrzeć się stopniami w dziedziczne brzegi naddziadów naszych Elby i Odry? kiedy inne odnogi sławiańskie daleko ludniejsze, w nawale chciwych sąsiadów z imieniem zniknęły, i ledwie nam ślad pobratymstwa swojego z nami, w zardzewionym języku dochowały. Cóż mówić, gdy później oręż i przymierza, obszerniejsze i stalsze granice panowania naszego rozciągnęły; ileż każdy wiek, każda okoliczność, każde nawet nieszczęście blasku i świetności narodowi naszemu przydało! Przebieżcie ten długi szereg głośnych i pamiętnych zwycięstw; któremiby starożytne narody całe księgi i pamiętniki swoje nappełniły; policzcie owe miliony najezdnych tłumów, które po tyle razy powodzia kłesk i zatracenia tę ziemię zalały i rozorwały. Czyjaż ręka ten nietknięty korab jestestwa naszego na szumiącym wylewie tylu nieszczęść i zaburzeń cudownie unosiła? Ta zapewne! która do jestestwa i bytu naszego wyższe i dalsze przeznaczenia przywiązała; która w ocaleniu naszym całość i życie tysiąca narodów zabezpieczyła.

Nie dla siebie samych żyli ojcowie nasi! Ich granice, potęga, sława i same nieszczęścia, były zbawieniem i świetnością całej Europy. Jeżeli w jęj okręgu znamiona chrześcijaństwa na świątyniach Bożych dotąd jaśnieją; jeżeli tyle jęj ludów i pokoleń, łuków scytyjskich i turbanów azjatyckich dotąd nieprzybrały; jeżeli ta cała zachodnia połać świata, równego losu z owemi kwitnącemi niegdy carstwa wschodniego krainami nie doznała; czyjeż to dary i dobrodziejstwa? czyjaż to krew sownie kupiła i opłaciła?

Kto te rozrojone tłuszcze, i napady niewstrzymanej dziezy odpierał i roztrącał? Oto pierś i oręż ojców waszych! Tu się owe hordy, jak rozdęte morza wzburzonego bałwany, o ścianę rozbijały, tu swój grób znajdowały i otuchę dalszego postępu traciły. Polska za Europę we krwi tonęła, a Europa za jej plecami bezpieczna, swoje światło i korzyści doskonaliła. Opowiadajcie to wiekom i pokoleniom przyszłym nasterczone kośćmi mogiły naszego Podola i Ukrainy! Bądźcie do zgonu świata mownemi piramidami naszych znakomitych zasług dla całego rodu ludzkiego. Właśnie lat trzydzieści i pięć dobiega, jak tej odwiecznej narodów chrześcijańskich strażnicy pierwszy cios śmiertelny zadano. Zdumiał się świat! rozśmiała się w norach i bagniskach swoich dzicz pocieszona, jęknęli wszyscy cnotliwi i rozumni, i dzisiejsze okropne skutki tego gwałtu przepowiedzeli. Ale nikt się za krzywdę nie ujął! Niestety! ten wieczny Sędzia i mściciel krzywd ludzkich, chciał wprzód przed światem pokazać, że w ciebie, w ciebie, choć okropnie obciętem i skaleczonem, jeszcze wszystkie zarody potęgi i mocy pozostały.

Lat kilkanaście ciszy wewnętrznej jakiej takiej spokojności, podało wam szanowni rodacy! sposobność pomyslenia o węgielnym kamieniu konstytucyi politycznej, któraby niezagojone rany ciała narodowego od dalszej gangreny uratowała. Owionął święty duch zgody i jednomyslności serca i umysły wasze; zbliżył ludzi do ludzi, roztrącił ponury mur przesądu i nieufności między dziaćkami jednejże matki; pogodził mądrze, przelane ze krwią niewinne nawyknięcia, z obecnymi stosunkami czasu i położenia; skojarzył szlachetnie i zabezpieczył korzyści wszystkich sąsiadów; i wreszcie dał wiekopomny przykład wszystkim narodom, co to jest prawdziwa zgoda kilkunastu milionów ludzi, wewnętrznem czuciem i przekonaniem wykrzykniona.

A kiedy nam wolno dzisiaj tych chlubnych czasów rocznicę słodko przypomnieć, niech jej sława i pamięć umai najprzód okwitą wysługami sędziwość twoją, pamiętny owego dotąd nierozwiązanego sejmku marszałku, i niniejszej kommissyi rządzącej dostojny prezesie!

Przywdziejcie radosne wieńce i wy wszysey, tego pamiętnego soboru pełnomocnicy, głośni z waszej niezłomnej gorliwości i światła, w dziejach i sercach narodu wdzięcznością uwiecznieni. Szczególniejszy zbieg okoliczności, który was do tej stolicy w tym czasie zgromadził, niech was dalszych przeznaczeń wieszczem przeczuciem pocieszy. Ta ciągła i niepojęta kolej rozmaitych przemian narodu naszego, ten nagły przechód z upodlenia do sławy, ze sławy

dó upadku; i musi mieć szczególniejsze w tajnikach Opatrzności przeznaczenie. Jest to drugi ów tajemniczy Samson w księgach bożych opisany, sławny cudotwór siły i waleczności; który młodzieńcem jeszcze lwy rozjadowane rozdzierał; dalej jedną szczęką zbrojnych Filistynów rozmiatał; bronił długo swoich i cudzych granic od napaści barbarzyńców; wreszcie zdradą i podstępem jednej Dalili uwikłany, nikczemnie usnął i moc swoją utracił; a niezwalczony tylu ludów wybawiciel, sam się nakoniec w niewoli zaplatał. Ale skoro mu silodawcze włosy w pętach odrosły, jednem wtrząśnieniem zgromadzonych nieprzyjaciół ruinami przywalił. Niech ten stosunek, będąc niejako dla nas pociechą i wróżbą, stanie się baczną na przyszłość przestroga, która jest ostatnim celem niniejszego obrzędu.

CZEŚĆ TRZECIA.

Po tylu okropnych doświadczeniach, po tylu niezagojonych bliznach, które nam co moment obecne dzieje klęsk naszych przypominają: zdaje się być próżnym zapędem odwozić od téj przepaści, z której się z takim wysiłkiem wydobywamy. Ale ta jest, między innemi, pierwotna cecha skazitelnosci człowieka, że jak o przeszłym upadku i nieszczęściu łatwo zapomina, tak lada polyskiem pomyślności olśniony, i za pierwszym popędem przelotnych marzeń uniesiony, częstokroć istotne środki korzystania z pory szczęśliwej marnie utracą. Kogo Opatrzność od téj śliskiej i pospolitej rzeczom ludzkim wywrotności łaskawie ochrania, wlewa mu wcześniej wyższy smak i zamiłowanie takich prawideł, które ze źródła wiecznej mądrości wypływając, nad odniętem wszystkich błędów i mniemań ludzkich panują, a w każdym czasie i położeniu za najpewniejszą postępowania wskazówkę całemu rodzajowi ludzkiemu służą. Jakoż, jeśli dzisiejszym obrzędem wyznajemy Boga zastępów początkiem wszelkiej mocy i obrony; jeśli od niego w pobożności ojców naszych błogosławieństwa orężowi naszemu szukamy: możemyż go razem niewyznać źródłem mądrości, rady, i najpewniejszej wszystkich zamiarów naszych rękami? Wieleż już razy zawiodły nas układy, rachuby i przezorności ludzkie, które za lada powiewem przeciwnych chuci i widoków, codziennie się roztrącają i nawzajem pożerają! Nie będzież godna rzecz przy nowych przerodzinach jestestwa naszego, zwrócić uwagę na te wieczne i nieodmienne zasady, które jako są pierwszym nasieniem rządnych społeczeństw, tak wzrostu i trwałości onych najpewniejszą warownią.

Ale kiedy i czasu krótkość na świętą przestrzeń zba-

wiennęj rozwagi wystąpić niepozwała; i światło wasze, doświadczeni krajowego rządu sternicy, w tym duchu nam przewodniczy: pozwólcie, same przynajmniej rozdziały tych przestróg, rozsypanej po świecie braci naszej z dzisiejszego obchodu przekazać. A te są: zgoda i jednomyślność; mądrość w przedsięwzięciu dzielnych i skutecznych środków; stałość nieporuszona w wykonaniu ich.

O! gdyby głos mój niedołężny wznieść się podolał na sam wierzchołek naszych Tatrów granicznych, gdyby napęlić mógł szerokie nadbrzeża Dniestra, Dniepra i Dźwiny, gdyby ocucić zdołał wszystkich nadmorców bałtyckich i euksyńskich; wołałbym nie ludzkim, ale bożym i na nas spełnionym wyrokiem: *Regnum in se divisum desolabitur!* Takie tylko królestwo wiecznie zaginie, i wewnętrzną niezgodą rozszarpane, zdradzie bramy otwiera. Wołałbym z proroakiem: *Bracia! wszyscy się zbierzcie jakoby jeden mąż i człowiek jeden, z jedném sercem, z jedną radą!* (Jud. 20).

Ale jeżeli mądrze rządzić sobą samym, jeżeli pokonać i ujarzmić wzburzone i nieczem nieujęte żądze w jednym człowieku, trzeba duszy wielkiej, szlachetnej i nieścignionym lotem nad gminną sferę wyniesionej: do jakiegoż stopnia wielkości ten się wynieść powinien, który miliona ludzi roiskiem całym niedostępnych namietności, w tajnikach serca ukrytych, w tysiące zdrańczych postaci co moment przekształcanych, użytecznie władać i one do jednego celu kierować zamysła. O ileż taki poświęcić winien kosztownych ofiar z własnej miłości, z osobistych wygod i przyjemności, z rozmaitych względów i widoków, które z dostojnością publicznego człowieka zgodzić się nie mogą. Trzeba takiemu być więcej, niżli człowiekiem: a kogo na to niestanie, biada mu! jeśli bez owej z nieba nadanej łaski mojęszowej na ten plac przewodnictw występuje, i siebie i przewodzonych w odmętach morskich zatopi!

Wszakże co w ludzkich i przyrodzonych siłach jest wątłym, śliskim i niebezpiecznym; to w dobroczynnych Opatrzności układach, trwałości, mocy i dzielności nabiera. Kogo ona do tak wysokich i bożych zaszczytów opiekowania się dobrem ludzkim łaskawie przybiera; tego bożemi znamionami widocznie między ludźmi wyświeca. Ona w sercu jego prawem i nieskażonym, rozżarza ów święty i z nieba zapalony ogień miłości rodu swojego, który wszystko ogarnia, trawi, pożera, dla którego każda ofiara zdrowia, życia i wszystkich osobistych widoków najprzyjemniejszą staje się powinnością. Ona mu wlewa owego ducha prawdziwej i tego imienia godnej mądrości, która nie w gwarze szumnych, burzliwych i błyskotnych przewidyń, ale w skromnej i spokojnej

rozwadze, prawdę od mamiących pozorów rozróżniać naucza. Ona mu do każdego przedsięwzięcia stosowne i niezawodne środki natrąca; niebezpieczeństwa i przygody zdala wyjaśnia, sposoby odwrócenia onych wcześniej gotuje. Ona przed oczyma jego za pierwsze i niezmiennie prawidło, ścisłą i sumienną sprawiedliwość stanowi, bez której żadne społeczeństwo ostać się nie może, a królestwa choćby najpotężniejsze, z upadkiem jej, od narodu do narodu przechodzą. Na jej widok nikną wszystkie prywatne względy i nikiemne ulegania; bezczelna zbrodnia i obłuda z posiadzenia uczciwych z załękniem uchodzi, zasługa wzgardzona i poniżona głowę podnosi, cnota z szanownego ustroju gwałtem wyciągnięta, należne sobie miejsce zabiera, i całe towarzyskie ciało tym ożywczym ogniem natchnione, przyrodzoną dzielność i sprężystość odbiera.

O ileż te pierwsze rysy prawdziwych opiekunów dobra publicznego, w księgach wiecznych zakreślone, całych nas, szanowni bracia, zająć i ogarnąć powinny; ileż w tym zwierciadle pilnie przeglądać się mamy, abyśmy w tym zgiełku radości i pośpiechu, miasto lekarstwa, nową truciznę tej matce omdlałej nie podali, albo jej twarzy ulubionej, przemianą tylu wieków niezatartej, obcemi farbami nieprzekształcili. Wieleż to widzów i podsłuchów na nas czatuje, jak się w tym dziele trudnym i zawiłym, sami sobie zostawieni znajdziemy? Sami nieprzyjaciele nasi, poglądają co moment z ponurych ustępów, aby lada usterkiem naszym rozpacz swoją pocieszyli, że się bez ich przewodztwa i rozumu nie obejdziem, że kiedyś znowu na ich sidła i zasadzki niebacznie nabiegniemy. Sam nakoniec wielkomyślny i szlachetny wskrzesca imienia naszego, darząc nas tylą dowodami szacunku i dostojnej życzliwości swojej, uwieńczając świetnemi znakami pierwiastkową dzielność oręza, czeka tej ostatniej pociechy, aby nas szanownym ze wszech względów narodem, srcą i sprzymierzeństwem jego godnym, w obliczu świata całego ogłosił. Ileż te pobudki duszę naszą rozniecać, gorliwość pomnażać i uharcać powinny! Idzie tu o los wieczny całego plemienia naszego: a ten los może do tych pierwszych kroków i momentów jest przywiązany. I gdzież się do tak ważnego dzieła skupiemy? który punkt powszechnego zjednoczenia i ufności obierzemy? Oto w cnocie, charakterze i gorliwości waszej, dostojni mężowie! Dla was ta pociecha zachowana była, abyście tę niwę ojczystą po spłynionym śmiertelnym zamrozie, pierwszym zakrojem prac waszych użyznili: a następnie jakie najprzód nasiona na niej wsiejecie, takim nadal plonem odradzać się będzie. O ile zaszczytów i niebezpieczeństw,

pociechy i bojaźni, błogosławieństw i przekleństw, dostojne stanowisko wasze osiadło! Ale Bóg ojców naszych sprawdzi na was te obietnice w księgach jego zapisane: że *byłiscie z rodu i nasienia tych mężów, do których wybawienie Izraela było przywiązane.*

Ale kiedy nie w domu tylko, ale i za domem, mamy się pokazać; kiedy wszystkich tych środków przedsięwziętych, i choćby z największą stałością prowadzonych, ostatnia rękojmia złożona jest w meztwie i orężu twoim, o ty najchlubniejsza częśćko narodu, stanie rycerski! więc i obrządku tego dokonanie do ciebie należy. Zstąpcie tu święte i nieśmiertelne duchy Bolesławów, Kazimierzów, Jagiełłów, Zygmunatów, Batorych, Sobieskich! otoczcie ten świetny i okazały orszak cieniami Tarnowskich, Zamojskich, Chodkiewiczów, Czarneckich i całym szeregiem tych imion drogich, które sława uwiecznia! Natchnijcie mnie ogniem górnego waszego siedliska, aby głos mój był was godnym. — Szanowni bracia, nowo dla ojczyzny uzbrojeni! O! któż stanu waszego świętość, obowiązki, i wysokie przeznaczenie oceni? I wy, którzyście imię w Europie wywołane, aż na piaski murzyńskie dla przechowku unieśli! któreż was lądy i morza nie znają? które narody i języki imion waszych ze czcią i politowaniem nie wymawiają? Nadbrzeża Tybru, Padu, Rodanu, Sekwany, Renu, Dunaju: i owe ogorzałe skwarem arabskie Izmaela pustynie! Zgoła, gdzie tylko dosięgnął oręż i sława Napoleona, tam i was niezbędna miłość za nim wlokła i potyrała. Już się spełniły wasze nadzieje. Napaśćcie się słodkim widokiem, uściskajcie współbraci waszych, którzy jednym z wami duchem goreją. Pojrzyjcie na tych starców we łzach tonących z radości, na te matki rozczulone, które was dziatkom swoim pokazują, na ten lud radością i wdzięcznością ku wam zachwycony. Przenieście myśl nieśmiertelną w odległą głębinę przyszłych pokoleń, które jeszcze słońca nie widziały; a i te już was po imieniu znają, już wasze mogiły i popioły czułości łzami skrapiając, wdzięcznym kwieciem potrząsają. Wzniescie oczy na te górne sklepienia, niezgaszonym światłem tlejące, i tam pierwsze miejsca przeznaczone dla tych, którzy za wiarę chlubnej śmierci dokupili się. I jeszczeż mała nagroda wasza, która granic i końca nie ma? Ale gdzież się zapędzam w obliczu twojem szanowny książę, tego rycerskiego orszaku obecny wódzu i wojny dyrektorze! Z twoich ust odbierać będzie ten waleczny poczet rozkazy; w twojem sercu dziadowskiego bohaterstwa pełnem, czerpać nieprześniane szlachetnych zachętów i polotów do sławy. Boże! Ty jesteś litościwszym sędzią niż ludzie. W twoich statutach

nie czyny tylko, ale i chęć dobrze uczynienia do nagrody ma prawo. Ty jeden znasz rzetelną przyczynę, dla czego ta budowa świetna ruinami swojemi nas zasypała! Wejrzyj więc i teraz z nadwierzchołka tych gorejących słońców, na układy i nadzieje nasze, które na niemyślnej szali wyroków twoich przeważasz! Ileż już przysiąg i ślubów przed Tobą wykonaliśmy? Niestety! odwróciłeś niedawno od nas twarz twoją, a imię i poznakę naszą jeden wiatr płochy po świecie rozdmuchnął. — Zwróciłeś znowu łaskawe ku nam oblicze, a my oto w tej samej godzinie pogromem oręża przestraszamy. — Pókiż z nami tę wojnę łaski i niełaski na przemian prowadzić będziesz? czego się od nas tak drogo dobijasz i dokupujesz? Oto nędznej ofiary serc naszych! Ah! jeżeli dziś je przynajmniej pozyskasz, już nas świat cały nie pozna. Ale jeśli przeciwnie, jeśli Cię usta nie sercem wyznajem, jeśli Ty Bogiem nie naszym! niech nas te mury okropnym przecuciem wstrząśnione, rozwalinami swemi przywala! Niech nas ta ziemia nieszczęsna w rozdartych wnętrznościach swoich na wieki pochłonie, niżelibyśmy ufność naszą i całą zawiedzionych nadziei naszych ośnowę w hańbie przeżyć, i wieczną sromotą opłacać mieli. Amen.

BIBLIOTEKA OO. KAMERUŁÓW
w Bieniszewie

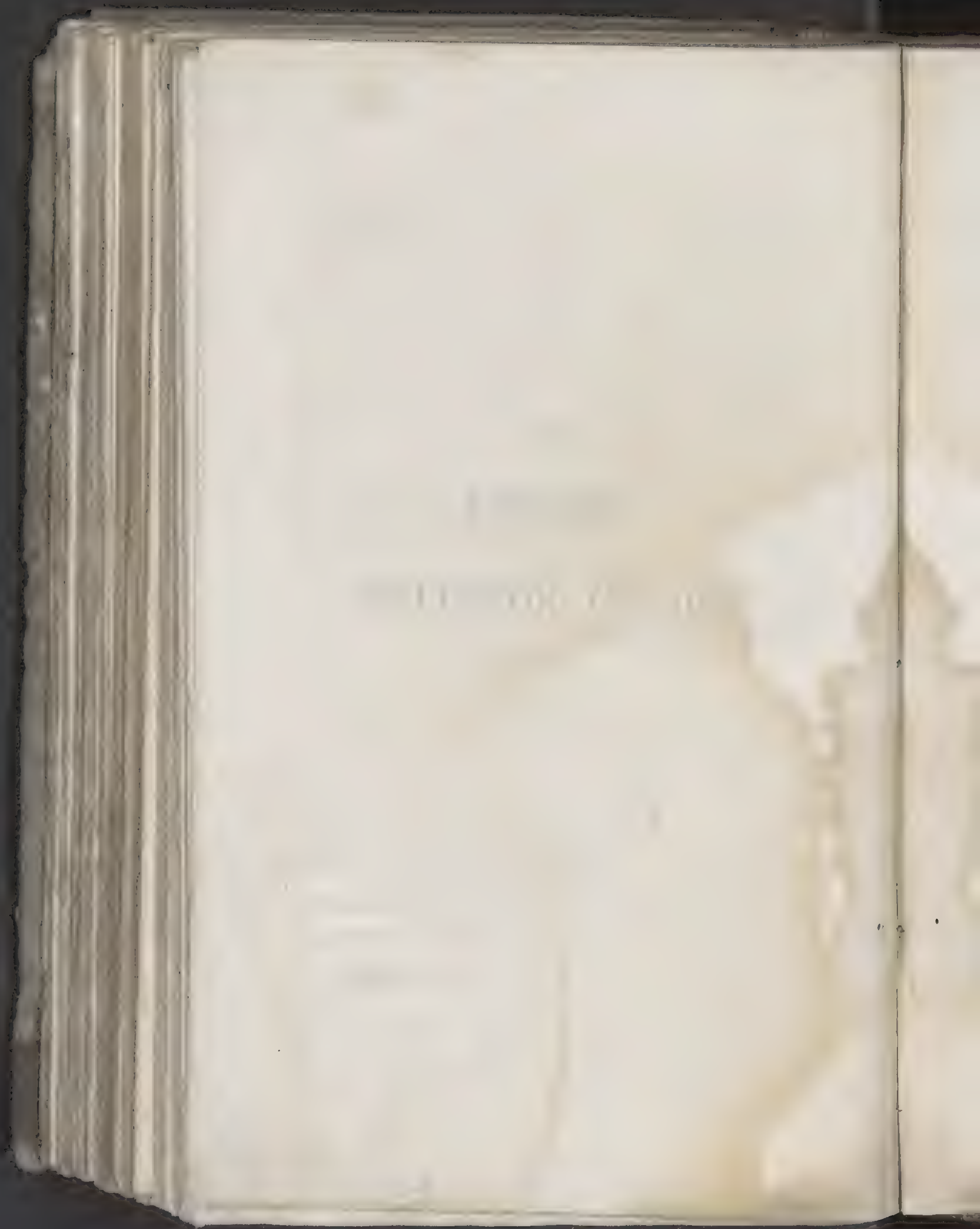


C.

KAZANIA

I

ODEZWY KOŚCIELNE.



KAZANIE POGRZEBNE

NA

zamku krakowskim, w kościele św. Stanisława,

w roku 1583, dnia 18. Grudnia czynione

przez

księdza Szczymskiego Skarżyskiego,

kanonika warszawskiego.

Mulier timens Deum ipsa laudabitur.

Niewiasta bogobojna będzie wychwalana.

Wielce bych temu był rad, żeby kto inszy tym czasem na to miejsce przed W. M. był wystąpił, któryby ten akt, acz żalosny i płaczliwy, lecz przedsię zacny i chwalebny, z taką mądrością i wymową, jakiej jest godny, odprawił; niżli ja który się do tego najmniej sposobnym być nieczuję ani znajduję. Wielkich abowiem i zawołanych stanów, zacnych i dzielnych spraw ludzie, ostrego rozumu, doświadczonęj mądrości, przespiecznej i rozrywczęj wymowy, chwalców potrzebują: aby tak zacności stanu, i spraw ich, mądra wymowa we wszem dogodziła: czego iż wemnie nie masz, rozum tępy; nauka mała, abo raczej żadna, wymowa i z przyrodzenia trudna, i już z laty wespólek z pamięcią barzo zesła, obawiam się, żeby i tak zacna osoba, której żalobny obchód według powinności chrześcijańskiej sprawujemy, przystojnego i godnego zalecenia nie odniosła, i uszy W. M. mądre i czyste, więcej próżne niżli pełne, barziej głodne niżli syte, stąd nie odeszły.

Wymawiał się Mojżesz, kiedy go Pan Bóg do Faraona posyłał, trudnością i niebezpieczeństwem mowy swęj: Panie, proszę zlec to komu inszemu, abowiem ja nie jestem wymówca: niebezpiecznego i trudnego języka jestem. Wymawiał się temuż Panu i Jeremiasz: a, a, a, panie Boże mój, oto baczysz żeć i mówić nie umiem. Pokuszałem ci się i ja tego, lecz iż mi się z rozkazania wymówić, ani przystało, ani godziło, ważyłem się o to, acz z bojaźnią, przed W. M. stanąć, nie w dufności jakiej godności, ale z posłuszeństwa

więcej: mając nadzieję w łasce Boskiej, któremu posłuszeństwo miłsze jest niżli ofiary, że mi on dopomóc będzie raczył, który daje wymowę i mądrość: tudzież i w dobroćliwości W. M. że to cokolwiek będzie, wdzięcznie przyjąć raczyście. A jeśliżby się więc w czym albo tak zacnej osobie, albo czystym uszom W. M. nie dogodziło, czego się barzo obawiam, tym łatwiej przepuścić, hardość abowiem i pycha, i u bacznych przyganę: lecz pokora i powolność, choć i u grubych ludzi, łaskę i folgę odnosi. Umyśliłem tedy, za pomocą Boską, łaskom waszym powiedzieć, ku czci i ku chwale Panu Bogu, którego dary są co jedno w kim jest chwalebneho, ku zaleceniu i pochwaleniu tej zacnej i bogobojnej pani: ku zbudowaniu też naszemu, o zacnym i sławnym jej urodzeniu: o wielce uczciwych i pobożnych w każdym stanie jej sprawach: o świętym i pobożnym dokonaniu, a z tego nędznego świata zeszcium: co gdy ja odprawuję, proszę, żebyście spokojnie i z cierpliwością słuchać raczyli.

Każdemu człowiekowi, który ma być chwalon i zalecan, wiele na tym należy, żeby też i przodki i rodzice swe, godne pochwały i zalecenia miał. Powiada abowiem pismo święte: Chwała to człowiecza, uczciwego ojca mieć, sromota synowska ojciec bezecny.

Godnie są chwały i zalecenia, którzy przez własne swe cnotliwe i dzielne sprawy, do sławy i dzielności przychodzą: lecz niewiem czemu większą poważność i zalecenie tacy mają, którzy dziedziczną z pradziadów, dziadów, rodziców wziętą dzielność, mądrość i pobożność w sprawach swych pokazują. A dla tegoż ku większej pochwalie i zaleceniu tej zacnej i sławnej, a rzec mogę, świętej monarchiniej, której żałobne ceremonie sprawujemy, zdalo mi się krótko przypomnieć nieco zacnych i dzielnych a bogobojnych spraw przodków i rodziców, z których poszła, i według ciała się urodziła: nie iżbyście tego W. M. lepiej aniżeli ja nie wiedzieli, ale iż wdzięczna i miła rzecz jest, o cnocie i pobożności słuchać, której taka jest poważność, że niejedno w paniech i dobrodziejach, ale też i w nieprzyjacielach ją miłujemy i wysławiamy.

Poszła tedy Królowna Jej Miłość Katarzyna Polska, a z tym z łaski Bożej Szwecka, Wandalska, Gotska Królowa, z zacnego domu i narodu Jagiellowego, Wielkiego Księstwa Litewskiego Książąt i Panów, którzy potem z wolęj Boskiej, z wielkim naszym dobrem, do tego przyszli, że też byli Pany i Królami naszymi, z pradziada Władysława

Jagiella, dziada Kazimierza, ojca Zygmunta pierwszego, Królów i Panów Polskich.

Pięć cnót jest, które pismo królom osobliwie przypisuje i one upomina, aby się w nich najwięcej kochali, i w panowaniu swym z wielką pilnością je zachowali. Które to cnoty, jeśliże były w ojcu téj zacnej a bogobojnej monarchiniej, której żałobne ceremonie obchodzimy, niechce się szeroko rozwodzić, gdyż jeszcze wiele Waszój Mościów jest, którym dobrze pamiętne, a lepiej aniżeli mnie świadome są; ledwie albowiem pół wieku człowieczego jest, jako z tego ziemskiego królestwa, do onego niebieskiego odszedł: napomnę tylko o mądrości jego, mimo innych rzeczy wiele, świadczy porządne a szczęśliwe jego panowanie. Mądrości albowiem rzecz własna a przyzwoita jest, każdą rzecz w mierze swój i w pośrodku stanowić i zachowywać: który porządek jaki był za szczęśliwego panowania króla Zygmunta: jako każdy stan w swój mierze i rządzie statecznie stał, to wiele ludzi dotąd jeszcze wzdychając wyznawa: był Senator Senatorem: Biskup Biskupem: Żołnierz Żołnierzem, Kupiec Kupcem etc. Dziś wszystko z miary swój wystąpiło, i dziwnie a nędznie się zopaczyło. O sprawiedliwości zaś jego, świadczy wielki pokój, w którym panował, i w którym nas po śmierci swój, ledwie bodaj nie dotąd zachował. Jaką sprawiedliwość poddanym oddawał: świadczą w młodych leciech, a w dobrym zdrowiu ustawiczne i pilne sądy, sprawiedliwe dekreta, i to, że za panowania jego, prawa i statuta porządnie zebrane i spisane są. A Panu Bogu jako prawym się czynił, z skutków i z spraw jego każdy snadnie poznać może: bo i Chrystus Pan powiedział: Z owoców ich poznacie je. Świadczy w Kościele przy chwale miłego Boga wielka uczciwość i stateczność, ustawiczna modlitwa przy Mszy świętej, której żadnego dnia nie opuścił. Świadczy pilne i nabożne kaznodziei, jako posłańców Bożych słuchania, upominania ich, chociaż podczas surowego, wdzięczne przyjmowanie, tak, iż téż był zwykł mawiać: jeśli nam kaznodzieje prawdy mówić nie będą, kto ją nam mówić będzie? A jako zaś z Królem Dawidem miłował ozdobę i ochędożność domu Bożego: przypatrzcie się tak pięknej i ozdobnej, przy tym zacnym kościele kaplicy, którą wielkim swym własnym nakładem zbudował, nadał, i kapłany na porządne oddawanie chwały Bożej osadził. Spójrzycie na grób Patronów swych Św. Stanisława i Wacława, który tak bogacie i ozdobnie postanowił: wejrzyjcie na bogate klejnoty, aparaty w skarbiech kościelnych. A jako Panu Bogu służył w bojażni, broniąc i zakazując tego, co przeciwko rozkazaniu Bożemu było, świadczą srogie jego

Mandaty, którymi i kacerstwa z królestwa wyganiał, i wszystkim aby swych dziatki do Witembërgu, skąd to wszystko złe na świat Chrześcijański wyszło, nie syłali, surowie i srodcie zakazował. Z tych i innych wielu spraw, okazuje się sprawiedliwość jego, i ku poddanym, i ku Panu Bogu: za czém mu téż Pan Bóg dał to z łaski swój, że nieprzyjacioły swe mężnie uskromiwszy, spokojnie królował, i między Chrześcijańskimi Pany niezgody jednał i pokój czynił, tak, iż kiedy umarł, rzekł jeden zacny Monarcha: Umarł Ojciec pokoju. O Miłosierdziu jego, świadczą wielkie jałmużny do Szpitalów, do Klasztorów słane, nad ubogimi i utrapionemi, miłościwe z pomocą i ratunkiem ulitowanie. Prawdy jako przestrzegał, i jako wielec się w niej kochał, o tém się już powiedziało: gdy srogie ale prawdziwe upominanie wdzięcznie przyjmował. O łaskawości jego, wielkie świadectwo dawają, one pospolitego człowieka, gdy do miast wieźdzał, wdzięczne a miłe obwoływania; O zawitajże do nas szczęśliwie, nie panie, ale ojcie nasz miłościwy: Błogosław ci Panie Boże: Chowaj cię zdrowego na długie lata, żebyś nam, jeśli nie wicznie, tedy jako najdłużej szczęśliwie panował i królował. Miał tedy świętej pamięci Król Zygmunt te pięć Cnót królewskich w sobie, przetoż i porządnie, i spokojnie w wielkiej miłości i uczciwości szczęśliwie królował. Z takiego tedy ojca ta szlachetna i zacna zmarła pani wyszła! I tego drzewa tak piękne owoce rodzącego, ta poślednia i najmłodsza latorosłka, która narodziwszy ślicznych owoców, cnót świętych, i bogobożności, zostawiwszy potomstwo miłe, wielkiej i nadzieje i oczekawania, teraz już jakoby uwiedła i uschła, na tym żałobnym majestacie w oczach naszych leży. Acz tedy wielką pochwałę i zalecenie ztąd ma, że z tak sławnych i chwalebnych przodków poszła, lecz tym większe, że się od nich cnotliwemi sprawami nie odrodziła, ale wiernym a prawdziwym potomkiem ich, przez wszystek żywot swój się pokazywała. O czém teraz łaskom waszym, jako na króciec będzie być mogło, powiem:

Urodziwszy się z takich rodziców, jakie przez nie wychowanie wzięła, to w dalszych léciech sprawy jej pokazały. To abowiem jest pewny znak dobrego wychowania, gdy dziatki laty postępują, jako pismo mówi, z cnoty w cnotę, i jako o Panie Zbawicielu naszym napisano jest: Pomnażał się w mądrości w léciech i w łasce u Pana Boga i u ludzi. Jakie tedy ta pani święta zmarła wychowanie miała, to cnotliwe jej sprawy i postęпки w dalszych léciech pokazywały.

W panińskim stanie będąc, nie jedno póki była pod zwierzchnością rodziców, ale téż i w sieroctwie, onoty panińskiemu stanowi należące, pokorę, wstyd, uczciwość, ku

Panu Bogu miłość i nabożeństwo, z wielką miłością zachowywała. Acz tak z wysokiego stanu i rodzaju wyszła, nie jej to nie unosiło: lecz jako najwięcej pokorę i uniżenie po sobie pokazywała, pomnąc na to co jest napisano: Imęś jest najwyższy, tym się najwięcej uniżaj, a najdziesz i u Pana Boga i u ludzi łaskę. A zaś nabożeństwo takie w niej było, że i siostry swe, acz też nabożne, tym przewyższała, o to się prawie samo starając, czego po pannie Apostoł mieć chce, żeby myśl swoją samym Panem Bogiem bawiła, i o to się ze wszelką pilnością starała, jakoby była czystą i świętą, i na ciele i na duszy. A przetoż tém się bawiąc, do żartów, tańców, płasów, łamanych ukłonów, nanniej pośpieszną nie była. Acz też i od tego wielkim pohamowaniem były częste jej choroby, i ledwie nie ustawiczne głowy bolenie, w czém ją chciał tak Pan Bóg mieć, żeby ona święta dusza, takimi próżnościami, i świeckimi śmieciami, nie była zeszpecona.

Tak stan paniński przeszedłszy, przyszła potem z wolęj Bożej do stanu małżeńskiego. Król Zygmunt August, świętej pamięci, u którego jako u brata w mocy i w opiece była, w Wilnie dał ją za żonę, Oświeconemu Książęciu Finlandskiemu, Królewiczowi Szwedkiemu Janowi, który dziś z wolęj Bożej, wielkim i sławnym Monarchą jest, Królem Szwedkim, Wandalskim, Gotskim: w którym stanie małżeńskim, tak się zachowała, że wszystkie one cnoty, które w poczciwej małżonce chce mieć Apostoł, w sprawach swoich wyraziła. Lecz acz tak się zachowała, jednak wspólek i z miłym małżonkiem swym ująć tego nie mogła, co o tym stanie małżeńskim napisał Paweł S.: którzy w małżeństwie są, frasunków cielesnych ująć nie mogą, bo i na drodze wielkich trudności, i niebezpieczeństwa, tak na ziemi, jako i na morzu użyli: ale te za pomocą Boską przebywszy, i zwyciężywszy, gdy do Księstwa przyjechali, gdzie się jako w domu, pokoju, wesela, radości użyć spodziewali, tam naj-sroższe wiatry, największe frasunki i trudności na nie powstały.

Król Eryk, brat Księcia Jana, małżonka tej świętej pani jej zmarłej, zawaśniwszy przeciwko sobie tyraństwem swoim wszystkie poddane swoje, wszystkie też u siebie podejrzane miał, i co jest własna tyrannom, nikomu nie dufał, a tym więcej, że znać z superstyciei gwiazdarskiej, w której się był poplótł, miał te wróżki, że za żywota jego, inszy królować, i Tron jego królewski opanować miał: a między wszystkimi najwięcej miał podejzranego dzisiejszego Króla, brata swego, Książę Finlandskie Jana, i przeto, że w nim wielką godność i dzielność we wszelkich sprawach baczył i znał, a ktemu jeszcze więcej, iż wi-

dział, że u wszystkich poddanych swych był w wielkiej powadze i miłości, tak iż gdzieby był albo do królowania chciwym, albo brata starszego w ucziwości nie miał, mógłby był przed nim do Królestwa przyjść. Lecz żeby się w to mniemanie nie podał, jakoby dla tego nań złe serce mieć miał, ten pretext nań gniewu i niełaski swój założył: Żeś się ty z nieprzyjacielem moim, Królem Polskim, spowinowacił, pieniędzyś mu na mnie pożyczył: tą farbą złe serce swe pokrywszy, jako na nieprzyjaciela, i swojego, i korony swój, nań się obórzył: naprzód poborce swe posławszy, dochody, czynsze, i podatki wszystkie, od własnych jego poddanych odebrał, potym i wojsko posłał, którzy go na zamku jego własnym w Finlandiėj oblegli i dobywali, w którym obleżeniu, co za wczasu, bezpieczeństwa, i wesela ta zacna pani użyła, każdy się domyslić może, gdy słyszy, że i do tych pokojów, w których mieszkała, kule z dział i inszej strzelby w strop i w ściany biły. W którym obleżeniu acz Książę Jego Młść dosyć się mężnie broniło, i od Świątek aż do Świętego Bartłomieja, na sobie ono zatrzymawało: lecz bacząc, że go i nadzieja pomocy i ratunku, której się od nas za spowinowaceniem spodziewał, omyliła, bacząc i między tymi, którzy z nim byli na zamku, zdradę: a nade wszystko, że i Księżna Jój Młść, i Polacy pilnie prosili, aby się raczej ucziwie poddał, a niżby tak wraz mieli wszyscy okrutnie pomordowani zginać, dufając i niewinności Książęcój, i wrodzonėj miłości braterskiej: usłuchał Książę Janusz, poddał się pod słusznemi kondicjami, z których mu żadnej nie strzymano, wzięwszy go wspólek z Jój Młścią Księżną, zaraz je do Stocholmu, głównego miasta Szwedzkiego, i stołecznego Królewskiego, przywieziono: gdzie gdy przyjeżdżali, wysłał Król Eryk przeciw Księżnie Jój Młci, radząc jój i namawiając ją, aby Książęcia Jana małżonka swego, jako tego, który winien jest obraży majestatu królewskiego, odstąpiła, ażeby się albo do Ojczyzny swój wróciła, albo za łaską Królewską na oprawie swój wolnie mieszkała. Co słysząc wierna i ucziwa małżonka, pomyślała na zacność domu i narodu swego, na ucziwe swe wychowanie, i na ślub swój, który i Panu Bogu uczyniła, męża we wszelakiėj przygodzie nie opuszczając: a iż od płaczu i żalu mówić nie mogła, ziąwszy z palca ślubny pierścień, na którym było wyrzezano: *Quos Deus conjunxit, homo non separet*, Posłowi onemu, który ją namawiał, oddała, który tak dziwnėj mądrości i stateczności zdziwiwszy się rzekł: Gdyż tak chcesz, co cię przy mężu spotka, musisz wszystko rada nie rada przyjmować; i zaraz od niej skarby, klejnoty, pieniądze, odebrać rozkazał, sługi, Panny, i Szlacheńce Polskie,

po zamkach różnych rozesłano, Szwedów, którzy byli Książęciu Jego Młci wiernymi, rozmaitemi i okrutnemi mękami mordowano. Co tam było za żałosne i płaczliwe panów z sługami rozłączanie, jako bolesne patrzenie na sług niewinnych mordowanie, każdy u siebie uważaj. Same zatem do Grypsolmu, na srogie i okrutne więzienie zawieziono. W którym to więzieniu, jakiej roskoszy, wczasu, dostatku użyli, jako się zimna, głodu, brudów, i innych nędz, które za więzienie idą, naciępieli: każdy bacznym snadnie się domysleć może, gdy je tak ze wszystkiego obłupiwszy, nie jako ludzie stanu Książęcego, ale jako najsprosniejsze zło-czyńce do tego więzienia oddali. Wszakże z tąd się nędza ich pokazuje, że kiedy im pierwsze dzieciątko Izabella umarła, i tej czymby do grobu nagość jej pokryli mieć nie mogli. Ktemu, że i sobie i mężowi z brudnych obrusów koszule szyła: do tego wielkie i częste niebezpieczeństwa przybywały, że Książę Jego Młść, kilka raz mało o gardło nie przyszedł. A jednak ta cna a wielkiej pochwały godna pani, nigdy w takich niedostatkach i trudnościach serca nie straciła. Abowiem że w nich największa pociecha i najmniejsza obrona jej była, wierna i pokorna ku Panu Bogu modlitwa, na tej sama posiłek na sercu wzięwszy, małżonkowi swemu też ustawicznie dobrą myśl czyniła, upominając, aby nie wątpił, ale w Panie Bodze mocną dufność pokładał, ktemu przykłady z pisma świętego przywodziła: Pomni że Jozepha świętego z niesprawiedliwego więzienia wyprowadził, i najpierwszym panem po Królu w Egipcie uczynił: Pomni jako Dawida prawie z ręki tyranna Saula wyrwał i na stolicy jego posadził; umie abowiem P. Bóg swoje z frasunków nie jedno z więzienia, ale i z paszczek lwich, z posrządka ognia wyrwać i wyswobadzać, na czym się nie omyliła. Ziścił abowiem P. Bóg to, co o sprawiedliwym człowiecze przez Proroka powiedział: Jestem z nim w więzieniu jego, wyrwę go i chwalebnym go uczynię.

Z dziwnego zrządzenia Boskiego Król Eryk jednej nocy, na świtanie prawie takie widzenie miał, jakoby do niego człowiek w szacie białej na pokój wszedł, który jemu na oczy okrucieństwa jego wyrzuciwszy, a mianowicie to, iż brata do więzienia niewinnie osadzić dał, tegoż zabić i żonę jego Moskiewskiemu posłać umyślił, a tak Bóg ci przez mnie wskazał, żeś srogi gniew jego przeciw sobie pobudził; jeśli okrucieństwa nie przestaniesz, brata z żoną wolno do księstwa ich nie puścisz, że cię na rozumie skarże, odejmieć baczenie, po lesiech, po skałach, jako szalony biegać będziesz, królestwo stracisz, abowiem że Pan Bóg miłościwie sprawiedliwy, już płaczliwe modlitwy brata twego i małżonki

jego wysłuchał. Przestraszony tyran tak straszliwemi słowy ocknął się, i komorników pytał: Był tu kto? Powiedzieli mu, że nikt nie był. Wszakże jednak nie go to jako jednego Faraona nie obruszyło: okrucieństwa swego, i złościwego przedsięwzięcia o zamordowaniu Książęcia Jana nie po-przestał. Posłał abowiem jednego zdrajcę z komornej swój rady, z kilkaset knechtów, aby Książę Jana, i synaczka Zygmunta, którego w tym więzieniu mieli zamordować, a księżnę do Moskwy posłał. Lecz Pan Bóg, który swych nigdy z opatrności swój nie opuści, dziwnie tę dradliwą radę ro-zerwał. Knechci hetmana onego swego jęli mocnie nalegać, aby im powiedział, dokąd i na coby je prowadził, z czego acz się im dziwnie zbraniał, lecz gdy rad nie rad posługę, na którą szedł im opowiedział, żadnym obyczajem na to przyzwolić nie chcieli, powiadając: Nie daj tego Boże, abyśmy my na człowieka niewinnego, który przy sobie żadnej obrony nie ma, ręce i broni nasze podnieść mieli: wiecznaby to nasza sromota i hańba była: nieśmielibyśmy inszemu rycerstwu i wszem ludziom w oczy wejrzeć. A iż Król Eryk, wzgardziwszy tak straszliwe upomnienie Boskie, okrucieństwa swego poprzestać nie chciał, Pan Bóg też srogi gniew swój nad nim według onego widzenia okazał, odjął mu rozum, że jako szalony, podarszy na sobie szaty, z zamku zbieżał, i wyrwawszy jednemu Knechtowi albart, w pole biegał. Co widząc preceptor jego, za nim się puścił, upominając aby się obaczył, aby k sobie przyszedł. Lecz on obróciwszy się, człowieka onego dziwnie starego, swą własną ręką zamordował, a zatym po lesiech, po skałach, przez kilka dni, jako szalony kryjąc się i uciekając biegał, aż ledwie Panowie jego, zbiwszy kilkanaście set knechtów, oszarpanego i zgłodzonego, i na poły zmarłego znaleźli: tam go na jednym zamku zamknawszy, wielkie o nim staranie czyniąc, ciepłemi pokarmy i muzyką do tego przywiedli, że nieco ku sobie przyszedł; zatém do niego kilka przedniejszych Panów przyjechawszy, co się z nim działo opowiedzieli, i baczna namową, jako takiego upominali, aby poznawszy srogie karanie ręki Boskiej, złości poprzestał, brata z żoną niewinne ludzkie z więzienia wypuścił. Przyjął to wdzięcznie, i prosił aby o nim radzili, iżeby brata zaraz mógł widzieć. Na co gdy mu powiedzieli, że go straż z zamku nie puści przez listu twojego, zaraz list pisać rozkazał, podpisał rozkazując strażej, aby brata wolnie z żoną z synaczkiem wypuścili, i do siebie ze wszelką uczciwością bezpiecznie do Sfarcu przyprowadzili. Dokąd kiedy już Książę z więzienia przyjeżdżało, wyszedł przeciwko jemu Król Eryk z zamku z mostu, i czapkę zdjawszy, czekał aż

z okrętu z żoną i synaczkiem wysiadł, i tamże na onym placu, acz błota dosyć było, klęknął, i krzyżem padszy, Książęcia Jego Młci prosił, aby mu dla Pana Boga wszystko odpuścił, a Królestwo które mu zaraz spuszczał, od niego przyjął. Tymże sposobem klęcząc, krzyżem padał przed Księżną Jój Mcią prosząc, aby mu to więzienie przepuściła, toż uczynił i przed synaczkiem ich Zygmuntem, który acz w więzieniu będąc, nic więcej ludzi nie znał, jedno ojca z matką, a kilka sług brudnych i oszarpanych: jednak kiedy mu Król rękę podawał, z góry rączką w rękę jego uderzył, czemu się wszyscy ludzie zdumieli, i krzyk płaczliwy uczynili: zatym witania, przepraszania, i biesiady rozmaite krotochwilne strojone były.

Tym prawie cudownym sposobem Pan Bóg niewinne Książę wespólek i z miłą małżonką, z niewolej w której byli przez pięć lat, wywiódł i wyswobodził. Dopuszczać on abowiem na wybrane swoje frasunki, ale ich w nich nie opuszcza, tak jako prorok święty powiedział: Wiele frasunków jest ludzi sprawiedliwych, ale ze wszystkich Pan Bóg je wyswobodzi.

Lecz acz tym sposobem Książę Jego Młśc Janusz wespólek i z miłą małżonką swoją z więzienia wyswobodzeni i do Księstwa przywróceniu byli, przedsię Król za złą komorną radą fortelów zdradliwych pod nim używał, i o zdrowie go przyprowadzić wiele raz usiłował, tak, że i nad inszymi które podejrzane miał okrucieństwa swojego nie przestawał, a szukając na to okazy, jakoby jadowitemu sercu swojemu dosyć uczynić mógł, obwołać rozkazał koronacją miłośnice swój, którą za żonę był wziął, kiedy mu syna zrodziła. Na tę Koronacyą naprosił Książąt bracięj swojej i Panów co naprzedniejszych, chcąc one tą koronacyą, krwią bracką, i panów Rad swoich, a co naokrutniejsza, i niewinnego dzieciątka Zygmunta synaczka Książęcia Janusza, oblać, a jakoby poświęcić. Lecz Pan Bóg który swych jako żrzenice w oku strzeże, onęj to tak rzeknącej Królowej, litością i żalem serce wzruszył, iż przez starą Królową Księżną Jój Młśc. przestrzegła, żeby synaczka z sobą nie brali, ale raczej jako nadaléj być może od siebie odesłali. Stąd Książęta ich Młśc. bracia Króla Eryka i z pany inszymi, łatwie się domyślili, co za biesiada i krotochwile na téj koronacyej być miały.

A przetoż bacząc Króla być Tyranna, i bez rozumu, jeli o sobie radzić, a obrawszy potajemnie Książę Janusza za Króla, i za Pana sobie, z niemałym wojskiem do Stocholmu przyprowadzili, tamże do miasta dobrowolnie wpuszczeni, zamek nie przez rozlania krwie, bo i Król Eryk

téż lud miał, wzięli, Książę Janusza na stolicy i majestacie królewskim posadzili, a króla Eryka do więzienia osadzili, w którym on umarł: a Król Janusz i dotąd z wolęj Bożej sławnie i szczęśliwie panuje. Tak P. Bóg który przewraca stołki Książąt hardych, a pokorne i łaskawe na miejscu ich posadza, Tyranna Eryka z stolicy zrzucił, a Książę Janusza na stolicy jego posadził, o którym to być może rzeczono co téż o jednym Jeremiasz Prorok powiedział: Wyprowadził go z więzienia, i postanowił Tron jego wysszej nad Trony Królów inszych. A wspólek téż księżna J. M. z małżonkiem swym, do dostojenstwa i korony Królewskiej podniesiona jest: aby tak jako była uczesniczka frasunków i więzienia, tak téż była towarzyszką pociechy i Tronu Królewskiego.

Na którym tak zacnym i wysokim stanie będąc, cnót swych i pobożności nie umniejszała, ale tym więcej a więcej w nich się pomnażała, na modlitwach ledwo nie ustawiczna była, dnia żadnego nie opuszczała, któregoby Panu Bogu przy najchwalebniejszej ofierze Mszej świętej, za wszystko dobrodziejstwo dziękować nie miała. Wdów, sierót, i wszelkich utrapionych, wielką opiekunką i obrońcą, a prawie matką miłościwą była; Dzieteczki swoje przykładem Tobiaszowym, zaraz w młodości Pana Boga się bać i grzechu strzec uczyła: w wiarę świętą Katholicką Chrześcijańską, i we wszelakie nabożeństwa, z wielką uprzejmością i pilnością zaprawowała: a zawždy przy jawnym i pospolicym nabożeństwie, podle boku je swojego trzymała.

A jeśliżec się kiedy uskarżała, tedy na wielką niewdzięczność (zwłaszcza gdy się jaki Polski Szlachcic do Szwecijęj trafił) narodu swego zwykła się była uskarzać, że w trudnościach i w więzieniu, nie jedno ratunku, ale téż i pociechy nie znała: a co cięższego, że i posagu przez ojca świętej pamięci zebranego, przez brata Króla Augusta na potrzebę koronną nałożonego, małżonkowi jęj nie oddano; i miała snąć mawiać (a niewiem jeśli nie prorokowała): Pan Bóg sprawiedliwy karać was będzie za taką niewdzięczność, którą nam potomkom panów i dobrodziejów swych pokazujecie. W religijęj świętej Katholicznęj powszechnęj Rzymskięj wielką stateczność aż do śmierci swęj zachowała.

Słyszeliście jako być mogło nakrócéj, o zacnych i bogobojnych sprawach tęg to wielkięj Monarchinęj, i w panieńskim i w małżeńskim stanie, w szczęściu i w nieszczęściu, w więzieniu i w królowaniu. A jeśliż godna jest z żywota swego pochwalenia, tym więcej godniejsza, iż tak święty pobożny żywot swój takąż śmiercią zapieczętowała, o której teraz miłością waszym króciuchno powiem.

Kiedy się ten czas i dzień przybliżał, który Pan Bóg

wiecznym przejrzaniem swym postanowił, aby frasunkom i niemocom jej koniec uczynił, a z tego nędznego i doczesnego żywota, do onego wiecznego i błogosławionego powołał, dopuścił na nie ciężką a już ostatnią chorobę, w której jako ciężkie boleści cierpiała, nie drzewiej poznano, aż kiedy ją umarłą omywano. W tej chorobie przez dwadzieścia niedziel była, a cierpiąc tak wielkie boleści, że nie podobna rzecz, żeby je mógł być człowiek sam króć posiłku i ratunku Boskiego wytrwać i wycierpieć; żadnego znaku niecierpliwości w nich niepokazywała, jedno Panu Bogu ręce składając dziękowała, a o świętą cierpliwość prosiła, słów onych używając Augustyna S. „Panie, gdyć się tak podoba przydawać boleści, proszę, przydawaj też i cierpliwości.“ Pod czas też ony słowa mówiła: Nikt nie wie co ja cierpię. Mając tedy już tak pewnego gońca śmierci w domu swym, tak ciężką i bolącą niemoc, co przedtem w dobrém zdrowiu bardzo rada czyniła, często Pana i Zbawiciela naszego w najświętszym Sakramencie przajmowała, to tym częściej z świętszym i gorętszym nabożeństwem, w tej niemocy swęj czyniła. Na piąty dzień przed śmiercią, gdy ją Król J. M. małżonek jej nawiedzał, co na każdy był dzień zwykł rano czynić, prosiła, aby ku niej do łóżka bliżej przystąpić, i rękę swoją podać jej raczył; wzięwszy rękę królewską między ręce swe, rzecz do niego uczyniła. „Widzę że już czas i godzina się przybliża, kiedy koniec weźmie ślub nasz, przez nas społecznie sobie poślubiony: Naprzód dziękuje W. K. Mci, za wszystkie łaski, któreś przeciw mnie małżonce swęj, jako wierny małżonek i pan mój miłościwy pokazywać raczył: a choćć tak rozumiem, żem przez ten wszystek czas, wszystko co przystało wiernęj i uczciwęj małżonce, W. K. M. z powinną uczciwością i powolnością oddawała; wszakże jeśli bym kiedy z krewkości albo z nieobaczenia W. K. M. w czym obraziła, proszę pokornie, racz mi to dla Pana Boga odpuścić: a przytym pokornie proszę i upominam, chceszli aby cię Pan Bóg błogosławił, i królowanie twoje, sławnie i szczęśliwie rządził sprawował, żebyś się go bał a wolęj jego świętęj we wszem przestrzegał.“ Potym, skazawsz yna dziatki swe, które tudzież stały, rzekła: Masz owoc małżeństwa naszego, które proszę cię, jako ojciec miłuj, a jako Król i Pan ich, abyś na nie łaskaw być raczył: a podniószy oczy swe na Króla, najwięcej W. K. M. pokornie proszę, a niechaj to tą ostatnią prośbą otrzymam, żebyś tych dziatki naszych od tego ćwiczenia, które przez mię wzięły i od świętęj religij Katholickiej Rzymskiej, ani sam odwodził, ani komu inszemu namawiać pozwoлил.“ Zatym do dziatki napominanie uczyniła, aby na wychowanie swoje

zawždy pamiętały; Panu Bogu w świętej wierze katolickiej, przez wszystkie dni żywota swego, w świątobliwości i w sprawiedliwości służyły, obiecując im Boskie błogosławieństwo, jeśliby to strzymały, grożąc przeklęctwem, jeśliby przestąpiły.“ Potym Królowi J. M. sługi swe zalecała, prosząc aby im miłościwym Panem być i łaskawie opatrzyć, i odprawić je raczył. Ostatnie Króla J. M. małżonka swego pilnie i pokornie prosiła, aby testament jej w całe zachować raczył, a ciała jej żeby między Heretyki z ceremoniami heretyckimi do ziemi nie oddawał. Tu Król J. M. dłużej od żalu trwać nie mogąc, zalawszy się łzami, z pokoju wyszedł: a ona zatém z sługami się swemi obojój płci żegnała przepraszając każdego rękę swą dawała. To rano odprawiwszy, potym po Kapłana posłała, Spowiedź świętą z wielkim żalem z pokorą uczyniła, a po mszy świętej Sakrament przenaświętszy, jako zbawienny posiłek; na tak daleką drogę z wielkim nabożeństwem przyjęła. To odprawiwszy co Chrześcijańskiej Pani jej przystało, mało co sobie odpoczęła: a iż jej Pan Bóg kilka dni zdrowia jeszcze był przedłużyć raczył, w tych to dniach, ile choroba dopuściła, naprzód Testament i wolę swoją ostatnią przez spowiednika swego spisała podpisawszy i zapieczętowawszy temuż oddała. Potym zawoławszy wszystkich sług, protestacyą albo oświadczenie przed Panem Bogiem i Anioły jego, i wszystkim dworem niebieskim, i tymi którzy obecni byli, z wyznawaniem wiary S. w Składzie Apostolskim uczyniła, oświadczając się, że nie w żadnej innej religijej, jedno w świętej Katolickiej Rzymskiej wierze, umrzeć i ducha swego Panu Bogu oddać chce. A gdy tak już ze wszystkim się ułatwiła, niczym się innym nie bawiła, jedno rozmyślanie o onej Ojczyźnie niebieskiej, zupełnie się pod wolą boską poddawając, aby Pan Bóg czynił z nią, co jest jego wola święta: a gdy ją baczyli kapłani być bardzo mdłą, nigdziej od niej nie odstępowali, na przemiany we dnie i w nocy jej strzegąc, albo czytając, albo co nabożnego przy niej rozmawiając. Rano w poniedziałek gdy obaczyli, że już siły przez nią były, i przyrodzenie niemocy ustępowało, Olój święty ostateczny Sakrament Chrześcijański na nie włożyli, który z wielkim nabożeństwem i uczciwością przyjęła: potem według zwyczaju świętego Chrześcijańskiego świecę zapalono, znak jasnej i dorącej wiary i miłości ku Panu Bogu w ręce jej podali, którą obiema rękoma trzymając skonała, i ducha swego Panu Bogu w ręce oddała, cnotliwy i bogobojny swój żywot śmiercią nabożną zamknęła.

Wspominając téż na tej bogobojnej, cnotliwej paniej sprawy w każdym stanie jej, niech wszelki z niej według stanu swego, wzór cnoty, i bogobojności bierze: Panny, pokory, wstydu, uczciwości i nabożeństwa: uczciwe mał-

zonki, przeciw mężom swym, we wszelakię przygodzie, wiary, miłości, uczciwości, dziatki swe aby z młodości bojaźni Bożej uczyły w wierze świętej Katolickiej i w nabożeństwie czwyczyły i wychowały; a wszyscy w obec w doległościach i frasunkach cierpliwości, w opatrności Boskiej mocnej dufności, w wierze św. Katol. Rzymskiej stateczności.

A ty najjaśniejsza Miłościwa Królowa w tym żałobnym frasunku i smętku swoim, że cię młodsza siostra do tego kresu, do którego i sama idziesz, upредиła: ciesz się na przód wolą miłego Boga, tak się Panu Bogu podobało, tak się stało: przystojna aby się to człowiekowi podobało, co się Panu Bogu podoba. Ciesz się przytym wiarą i nadzieją pewną świętą Chrześcijańską; żeś siostry swęj niestraciła aleś ją do onęj wiecznej niebieskiej ojczyzny przed sobą posłała: przyjdzie ten czas, kiedy da Pan Bóg nie w płaczu ale w weselu, nie w tęg grubęj żałobnej płachcie, ale w białęj i w ślicznej szacie, wspołek z nią, i z świętymi przodkami twemi, tam wiecznie żyć i królować będziesz.

Chowaj się proszę cię miłościwa Królowa Pani moja, w te złe czasy Kościołowi Bożemu, za którego prawdziwą religją świętą, nie sobie nie waząc obrażenia wielkich ludzi mężnie się zastawiasz. Chowaj się Rzeczypospolitej: baczysz że nie jedno z pogranicza, ale i w domu jakieś straszliwe chmury powstają: któż wie? jeśliż nie za tobą, jako za mocnym murem, w jakim takim pokoju dotąd siedziemy? Chowaj się miłemu potomstwu, tęg siostry twęj zmarłęg, którym pókiś ty żywa, matka nie umarła. Chowaj się ubogim sierotom, i wdowom utrapionym, które jako do matki do ciebie się uciekają. Chowaj ubogim żebrakom, Klasztorom Szpitalom, Zakonnikom, Mniszkom, którzy jałmużną twoją żywi. Chowaj się tęg na koniec nam wszystkim sługom twym, których po Panie Bodze wszystka pociecha i nadzieja, w dobrym a długim zdrowiu twoim. Żywże cię chowaj Panie Boże, i błogosław cię do lat Ojcowskich Amen.

KAZANIE

na pogrzebie królowęj polskiej Anny,

ostatniego potomka domu Jagiellowego,

przez Ks. P. Skarę. 1600.

Godzi się po śmierci człowieka pobożnego chwalić, i przykład cnót jego ludziom zostawić, i pamiątką wieczną dobroć jego uczcić, i żałować a płakać śmierci jego. Przed śmiercią, mówi pismo, nie chwal żadnego; dla odmiany i niedotrwania, któremu ludzka słabość podlega. Lecz po

dokonaniu pracy i drogi żywota tego, i po skończeniu roboty, chwalmy dobre robotniki, aby wspomnianie ich było ku błogosławieństwu, i nam do zbudowania, i onym do zapłaty. Nie będziem chwalić téj białégłowy królewskiej z znaczności, z urody i wdzięczności: bo to lekkie i spolne ze złemi dary; ale z bojaźni Bożej, i z cnót, który z niej rosta, sławić ją winni jesteśmy. Pierwój jednak włożyć to chcę do serc waszych, dla zbawiennój przy pogrzebie nauki: jako śmierć wielkich ludzi, płci obojój, większe w nas uzalenie nad ludzką nędzą wzbudza: jaśniej w niej na słabość szczęścia świeckiego patrzym: znaczniejszy jest i głośniejszy ich upadek, większa w nim bojaźń mocy Boskiej: straszliwy ich jest do sądu Bożego przystęp: większa szkoda i żalność, gdy wielkiego i królewskiego stanu ludzie umierają.

Okrom tego samego w ciele żywota nie wiele ubogiemu śmierć odejmuje. Mało miał: nie wiele traci. I nie jest wielkie nad jego śmiercią uzalenie. Lecz człowiek stanu i szczęścia wielkiego, z bogatego staje się ubożuchny nędznik. Póki żył, tysiącami szafował, skrzynie złota i srebra, i drogich kamieni, i pereł napełniał, swoim to być mienił, i w tym się kochał, i przygód się żadnych nie bał. A gdy zasnął, mówi Psalm; nic nie znalazł w ręku swoich. Ze wszystkiego złupiony i odarty, jako jeden pojmaniec najnędzniejszy został. Śmierć wszystko wydarła i porzucić kazała.

Z onego rozkosznika, w potrawach, w szatach, pościelach, jedwabiach, w woniach drogich i perfumach: staje się brzydki i sprosny trup. Z onego podniosłego i gromadnego, wielkim dworem ludzi ubranych i znacznych obtozonego: staje się u grobu i w ziemi odbieżany i wzgardzony i osierociały. Z onego możnego, przed którym wszyscy drżeli, i mocy się jego bali: staje się pośmiewisko i wzgarda: jako straszydło u prosa, po którym ptacy depcą, którzy naprzodku przystąpić do niego nie śmieli. Z onego, który do siebie wszystko garnał, zbierał, brał, zamykał, ścisnął: stała się rozbita puszka, w którą młot śmierci uderzył, i z niej wszystko wysypał, aby zbierał, kto mógł, a sama próżna, zdziurawiona i skruszona na skorupy została.

O dziwna a straszliwa odmiano! Takieli, jako on Agag król mówił, gorzka śmierci czynisz oddziały? oddzielasz od pieniędzy, od bogactwa, od rokoszy, od pompy i stanów wysokich, od majestatów, królestw, od rozkazowania, od towarzystwa i dworów, od żony, od dzieci, od męża, od powinnych, nakoniec od zdrowia, od żywota i od ciała? wszystkiego odstąpić, i porzucić wszystko rozkazujesz. Jaż suję nad takimi nie uzalić; i nie płakać? Płacz, prawi, na dkmartym, bo ustała światłość jego. Nietylko światłość

ustała, iż nic nie widzi; ale się wszystko w ciemność i nędzę, i wzgardę i obrzydzenie obróciło.

Gdy Amaza, wielki Dawida króla hetman, zabity na drodze z wyciekłemi trzewy leżał: żołnierze mijający mówili: „Onże to tak wielki Pan, że chciał być na miejscu Joabowym? patrz, na co przyszedł.“ Gdy Jezabellę, przed którą ziemia drżała, z okna zrzuceno, i zdeptaną kopytami końskimi psi jedli: lud płakał a mówił: onaż to Jezabell? Srogie i ciężkie odmiany w śmierci panów wielkich, smutne uzalenie nad nędzą ludzką pobudzają. Czego na ubogich i niskich ludkach nieznać.

Na wielkich Panach gdy umierają, łacniej doznawamy słabości wszystkiego ludzkiego szczęścia, i niepodobnej naprawy i trwałości jego. Gdy ubogi umarł, myślim i mówim: Nędza go i niedostatek umorzył: nie miał co jeść: grubemi się potrawami zepsował i robotą się zerwał: nie miał się czém leczyć, ani barwierza, ani doktora mieć nie mógł, ani lekarstw potrzebnych. Apanu wielkiemu i z Indyi lekarstwa przywożono, i ze Włoch doktory miał, i co najkosztowniejszych i najzdrowszych potraw używał, i perły i złoto mógł jeść: a przecie nie nie pomogło, odjąć się śmierci nie mógł.

Gdy ubokiego kmiotka zabiją, i wszystko po nim zgini: nie dziwujem się, i ludzkiej niepotężności nie znamy; bo mały, a odjąć się nie mógł, i jako robak zdeptany. Ale gdy pan i król wielki, który takie wojska, i tak straszliwą moc, i dostatek wojenny i domowy miał, upadnie i poleże, i wszystko się po nim rozproszy, dopiero mówim: Nic na świecie nie masz mocnego ani trwałego: odmiany i nędza najwyższe szczęście tego świata rozbija. Możesz śmiechowi mówić, jako nauczył Mędrzec: Nie zdradzaj mię; i weselu: nie śmiej się ze mnie. Bo żarty z ciebie szczęście każde czyni, gdyć się trochę ukaże, a wnet cię zaś odbieży i zdradzi.

Gdy kto podły umrze, wstrząsienia i wzruszenia, i odmian żadnych po nim nie masz: jakoby list z dębu cichucho zleciał. Jako o jego narodzeniu, tak też o śmierci jego ledwie kto wiedział, i nie masz po nim rozruchów, ani swarów, ani niepokojów, ani odmian: Lecz gdy pan wielki umarł, jako dąb mocny, ogromny głos i trzask, lecąc na ziemię uczynił. Wszyscy się przelekli: drudzy w niepokoje i swary wielkie po nim wpadli: drudzy szkodę i zgubę swoją śmiercią jego odnieśli.

Na pańskich śmierciach; straszliwa jest moc Boska i władza niebieska. Panowie są jako morze, które się wiatry podnosi i burzy, i straszyli są, wszystkim zatopieniem grożąc. Lecz im sam tylko Pan Bóg mówi, jako jest u Joba: Ucichnij, póty wylewaj, tu stój. Gdy im koniec żywota zamierza, i moc ich króci.

Nie o takich nam teraz rzecz: ale o téj wielkiej królowej Annie Jagiełłównie, której żałośny ten pogrzeb czynim. Która nie tylko szkody żadnej królestwu temu i ludziom swoim nie uczyniła: ale osobliwą miłością narodu swego będąc, wielce im pożyteczna była, i pokój a dobro rozmnażała, i z wielkich trudności wyrывała, iż zejścia jej bez żałości i serdecznego bolu i wylania łez naszych wspomnieć nie możemy. Nie tylko wszystkim pożyteczna i Rzeczypospolitej i poddanym swoim jako matka była: ale tę cnotę przełożonych dobrych z przodków swoich wzięła, i oną rodzaj ich jako ostatni potomek zamknęła.

LIST PASTERSKI KASPRA CIECISZOWSKIEGO

Biskupa Kijowskiego i Czernichowskiego, polecający Duchowieństwu jego
Diecezyi Nabożeństwo i modły za wiarę, Króla i Ojczyznę, pisany
z Warszawy dnia 27. Grudnia 1789 roku.

Czyniąc zadosyć obowiązkom naszym pasterskim, zaleciliśmy od początku sejmku po wszystkich kościołach diecezyi naszej, publiczne modlitwy do Boga, od którego wszelkie dobro swój bierze początek, a którego błogosławieństwo, wszelkie przyrodzone środki i ludzkie zabiegi może skutecznemi uczynić.

Niedościgły w swych wyrokach Pan zastępów, raczył wejrzeć na prawowierny lud swój, i spuścić nań dobroczynny światła niebieskiego promień, tak iż z prawdziwą radością pasterskiego serca naszego, miłością religii i ojczyzny jedynie tchnącego, możemy się do was odezwać najmiłsze w Chrystusie owieczki, iż Bóg skłaniać się zdaje do prośb naszych. Jako bowiem podług nauki pisma ś. najpewniejszym jest znakiem ostatecznej narodów zguby, gdy Bóg przebraną grzechów miarą sprawiedliwie zagniewany, usuwa od nich swe światło, zostawuje je w ślepotie omamieniu i błędach; dopuszcza na nie ducha zawrotu, w którym nic zbawiennego radzić i działać nie mogą; tak przeciwnie winniśmy z wdzięcznością i pokorą uznać, litościwą jeszcze nad narodem naszym wszechmocnego Boga Opatrzność, gdy nam daje poznać prawdziwe dobro i pożytki nasze; gdy najpierwsze ich okazuje nam źródło; gdy nas naprowadza na prostą drogę prawdy i świętej sprawiedliwości, aby ta była jedynym prądwidłem i wieczną zasadą trwałego rządu i prawodawstwa naszego.

Jako wszelkie bądź najmniejsze towarzystwa ludzkie, dobrym rządem utrzymują się; tak tém bardziej ogromne

narody, trwałego i jednostajnego potrzebują rządu, bez którego trwać i kwitnąć nie mogą. Bez dobrego i trwałego rządu, niemasz w żadnym towarzystwie ani szczęścia, ani sprawiedliwości, ani prawdziwej wolności i bezpieczeństwa: bo tam nie panuje prawo boskie, cnota, obyczajność, rozum, ale gwałt, ślepotą, błąd i namiętności, które ludzi do zwierząt dzikich podobnymi czynią.

Tę prawdy, o której nas najmiłsi, religia i przyrodzone rozumu światło przekonywa; smutne dowody i liczne a okropne skutki w ojczyźnie naszej widzieć się dały.

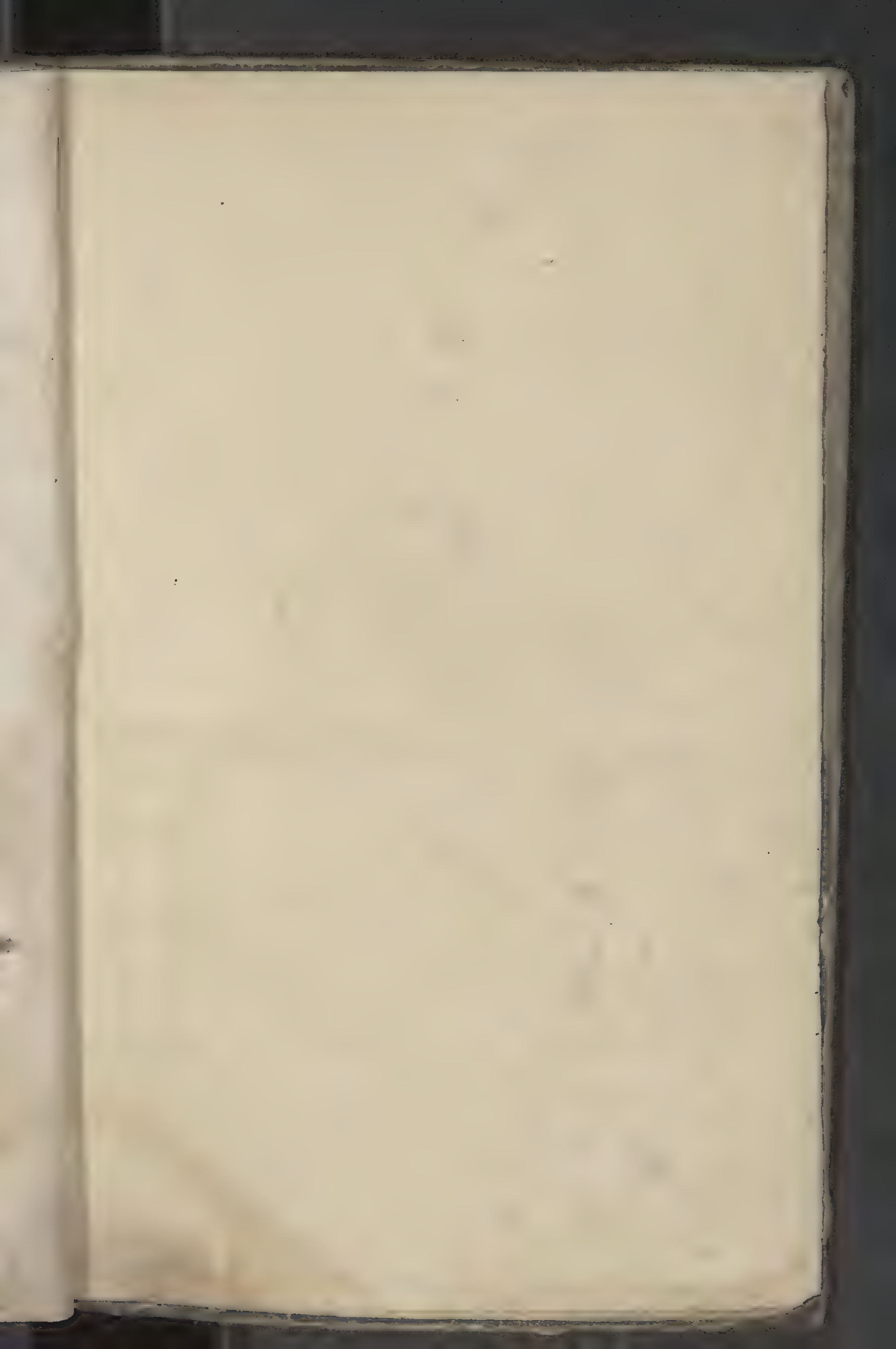
Niepewne osób, domów i majątków bezpieczeństwo, zaniedbane dawniej potrzebne i zdrowe nauki, kunszt i rękodzieła; nieznany dobrze handel, przytępiony przemysł, nędzne w wielu miejscach gospodarstwo rolnicze, podupadłe miasta, niedostatek ludności, arbitralna sprawiedliwość, zepsute obyczaje, szkodliwe w pospółstwie nałogi, przemoc mocniejszych nad słabszemi; niezaradzające złemu, ustawicznie stanowione, a mało zachowane prawa, ich częste odmiany i przeciwności; wprowadzony w publiczne nawet sprawy, urzędy, obrady, duch niezgody, intrygi, ambicji i chciwości; nachylały ojczyznę naszą do ostatniego upadku i zguby, od której ją dotąd ochroniło miłosierdzie boskie przez prawowierność religii, i grunt dobry charakteru narodowego. Świeżą jeszcze i smutną wszyscy mamy pamiętkę, żeśmy doznali razem tego wszystkiego, cokolwiek w przeciągu wieków najokropniejszego i najhaniebniejszego narodom trafiać się może. W jakim proszę, najmiłsi! zostawaliśmy stanie, ogromnemi zewsząd otoczeni mocarstwy, wzgardzeni od zaufanych i chlubnych w swęj sile narodów; bez rady mocy i obrony zewnętrznej, bez wewnętrznego porządku, bez zgody i jedności, przepędziliśmy wiek w bezczynnej prawie rozpacz; jakbyśmy się zdawali oczekiwać tylko owej smutnej już przeznaczonej dla nas chwili, w której miały być zatarte ślady narodu naszego, i zgaszona wiecznie pamiętka sławnego niegdyś imienia Polaków.

Dzięki władnącej losami narodów Opatrzności. Nowa zdarzonych okoliczności postać, serca Polaków napelnia duchem mężstwa i nadziei ku podźwignieniu; szczególna każdego obywatela gorliwość, różne do tego podaje środki. Ojcowskie najjaśniejszego króla JM. Stanisława Augusta pana naszego miłościwego, jednego z najlepszych, najroztropniejszych i najtroskliwszych o dobro ojczyzny królów, starania; usiłowania oraz zgromadzonych rzeczypospolitej stanów, w czasie pracowitych i długich obrad, niezostają bez pożytku; i owszem naznaczone są cechą błogosławieństwa Pańskiego. Uznać albowiem należy szczególném Przedwiecznej mądrości natchnieniem, że w jednym prawie momencie po-

znawszy sejmujące rzeczypośpolitej stany, że wszystkie nasze klęski, nieszczęścia i bezprawia, z jednego wynikają źródła; to jest: żeśmy nie mieli pewnego, stałego i jednostajnego rządu; jednomyślnie i z okrzykiem powszechnej radości, pierwsze zasady poprawy onegoż ustanowiły.

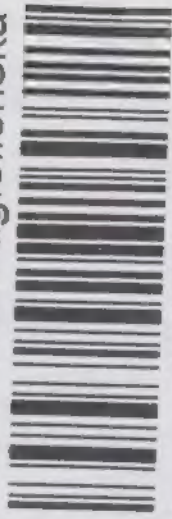
Dziękujmy więc Bogu za tak szczęśliwe początki tego dzieła, które nam zaręcza wewnętrzną spokojność, własność majątku każdego mieszkańca, które nam wystawia miłe widoki największej pomysłności krajowej, które nas zapewnia o zewnętrznej mocy i obronie, o trwałej i od obcych szanowanej narodu i imienia polskiego exystencji.

Dwa są, najmilsi! największe dary, które Bóg ludziom na tym świecie dać może: pierwszy, światło wiary; drugi, dobry rząd i prawodawstwo. Nierozumiejcie, aby dzieło dobrego rządu i prawodawstwa, mogło być dziełem słabych sił rozumu ludzkiego. Przedwiecznej i najwyższej mądrości udzieloną częścią, królowie rządzą narodami, prawodawcy sprawiedliwe prawa stanowią. *Per me Reges regnant, et legum Conditores justa decernunt.* Prośmy więc, aby Bóg dał ducha mądrości, porozumienia się, zgody i wzajemnej miłości. Mówmy do Boga z Dawidem królem: *Aperiente te manum tuam, omnia implebuntur bonitate; avertente autem te faciem; turbabuntur auferes spiritum eorum et deficient.* Oświadczoną za odebrane dobrodziejstwa wdzięcznością zapewniamy dla siebie nowe pomoce Najwyższego. Aczkolwiek bowiem patrzymy z radością na założone tej wielkiej budowli fundamenta; nadaremnie jednak pracowalibyśmy, według przestrogi psalmisty, jeżeli jój Pan Bóg kończyć nie będzie: aniby cała nasza bacność stała się użyteczną, jeżeli on nas w swój straż nie będzie utrzymywał. Ponówe więc zatém, najmilsi w Chrystusie! wasze modlitwy i nabożeństwa, przez posty i jałmużny błagając majestat Boski, aby jako się przyłożył do roztropnego dzieła, równie do pożądanego końca przyprowadzić go raczył. Wstawiajcie się do Boga zastępów, ażeby we wszystkich ożywiał prawdziwą wiarę i baczną pamięć na to, czego cześć Bogu powinna, całość religii i powaga kościoła wyciąga: a ile chwalebnie to prawowierne królestwo utrzymać się usiłuje, przy swojej politycznej niepodległości; tyle zawsze oświadczało poddanności ku temu, który wywyższa do tronów i składa z nich; a niepobożne królestwa od narodu do narodu przenosi. Pobożnym więc i prawdziwie chrześcijańskim życiem, usiłujcie zasługiwać sobie, aby powziął o nas myśli nie ucisku i dolegliwości, ale pomysłności i pokoju, który jest skutkiem sprawiedliwości podług Jeremiasz proroka.





Biblioteka Jagiellońska



stdr0029340

